PRZEGLĄD POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY PIERWSZY. — TOM CXXII.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1914.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1914.

Hasła etyczno-religijne monizmu.[1]

Jak po długiej martwocie zimowej ciepły wiatr wiosenny przyrodę budzi do nowego życia, tak i w historyi ludzkości po okresach płaskiego, zimnego materyalizmu zwykło się budzić świeże, nowe życie etyczne i religijne. I właśnie dzisiaj żyjemy pod wpływem takiego nowego, świeżego powiewu. Wiek dziewiętnasty stał pod znakiem przyrodniczego materyalizmu i oderwanej naukowości. Sądzono, że postęp naukowy wykaże nicość i zbyteczność jakichkolwiek haseł i ideałów etyczno-religijnych. Tymczasem, im głębiej umysł ludzki zapuszczał się w subtelną analizę rzeczywistości, tem większą odczuwał pustkę w życiu i w sercu; tem większa odzywała się tęsknota za światem wyższym, idealniejszym. I w naszych sercach rozbrzmiewa owo tak rdzennie ludzkie wołanie, któremu wielki biskup z Hippony dał klasyczny wyraz: „Niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie, o Boże". A na ten głos z gorącego Południa odpowiada nowoczesny filozof Północy. Leo hr. Tołstoj pisze: „Jak pisklęta za pokarmem, tak krzyczy dusza nasza za Bogiem". Jak wspaniałe, niebotyczne pasmo górzyste stoi Bóg przed duszami naszemi, a odwieczna tęsknota rwie nas ku owym wyżynom.

I nowożytny monizm naturalistyczny nie jest w stanie zagłuszyć tej tęsknoty mieszkającej na dnie duszy nowożytnej. I dlatego stawia nam przed oczy nowe hasła etyczno-religijne; dlatego powtarza nam wciąż, że on lepiej aniżeli jakakolwiek

[1]) Odczyt publiczny, miany dnia 12. marca 1914 r. w sali Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie.

dotychczasowa religia jest w stanie dać nam nową treść życiową; że on jeden umie pogodzić nowożytną kulturę z naszemi potrzebami etycznemi i religijnemi.

Otóż jaka jest ta nowa etyka, ta nowa religia doskonalsza, jaką nam monizm dzisiejszy dać obiecuje?

Według monizmu cała rzeczywistość jest odwieczna, niestworzona, podlegająca ciągłej ewolucyi. A w tej rzeczywistości jedynej i bezwzględnej wznosi się człowiek, niby cudny kwiat na kołyszącej się łodydze. Człowiek jest najwyższym stopniem powszechnego rozwoju; on jest owocem tych długotrwałych wysiłków, na jakie się rzeczywistość zdobyła, ażeby się dźwignąć jak najwyżej, ażeby dojść do świadomości, do woli i rozumu. Tak więc i człowiek pochodzi z tego świata, nietylko z ciałem swojem, ale i z umysłem i wolą, z całą duszą swoją. I człowiek jest istotą li tylko doczesną: i on jest istotą biologiczną; a jako taka podlega wszystkim prawom przyrodniczego rozwoju. Dusza jego jest tylko wyższym stopniem materyi. Niema duszy czysto duchowej, substancyalnej; niema nieśmiertelności indywidualnej.

Zadaniem więc etyki jest, według monizmu, wykryć ową zasadę życiową, uwydatniającą się w naszej organizacyi, w naszej strukturze psychofizycznej. Ta zasada życiowa musi być zasadą etyczną, gdyż nie może być innej sprężyny naszego życia i działania nad tę, którą nam natura dała, według której postępować sama natura nas zmusza.

Gdzie więc znajdziemy ową zasadę? Ponieważ człowiek jest tylko owocem bezwzględnej ewolucyi, więc ta sama zasada, która jego życiem kieruje, musi się objawić w całym świecie organicznym jako sprężyna życiowa, w świecie zwierząt i roślin, jednem słowem, w całej przyrodzie. Zasada ta będzie u człowieka bardziej wyrazistą, będzie pełniejszą i doskonalszą, gdyż człowiek wzbił się za pomocą rozumu ponad całą naturę, ale nie może być istotnie różną.

Otóż jaka jest ta zasada? Jestto zasada samozachowania, wola do życia, kategoryczny rozkaźnik (imperatyw) ciągłego postępu. W niższych formach swoich ta zasada występuje jako egoizm czyli jako bezwzględna dążność do szukania osobistego

i indywidualnego pożytku; we wyższych formach zaś objawia się jako altruizm, jako szukanie dobra innych także. Lecz ten altruizm jest tylko przedłużonym egoizmem. Z tej zasady wypływa różnica między dobrem a złem moralnem. Dobrem moralnem jest to, co służy do zachowania swego bytu, do jego rozwoju i postępu; złem moralnem jest to, co temu rozwojowi i postępowi przeszkadza.

Zatem, powiadą monizm, etyka nowożytna powinna być na wskróś indywidualistyczną. Gatunek i społeczeństwo nie mogą w tem oświetleniu być uważane za cel, lecz tylko za środek. Jednostka nie żyje dla gatunku, lecz gatunek jest tylko dalszym ciągiem jednostki, jest rozszerzoną jednostką. I ten właśnie stosunek jednostki do gatunku tłumaczy naszą wiarę w nieśmiertelność. Nieśmiertelność, to nie jest jakieś życie pozagrobowe, to nie jest jakieś niebo wieczyste; to jest wyraz tej siły żywotnej w nas, która, wzrastając, posuwa się od jednostki do jednostki, od rodziców do potomstwa po przez wszystkie generacye przyszłości. Nieśmiertelność: to wieczna przyszłość, to ustawiczny postęp rodzaju ludzkiego.

Tak więc nowy rozkaźnik etyczny wychodzi z popędu samozachowawczego i przekształca się w popęd zachowania rodzaju, wreszcie w popęd społeczny, narodowy, ogólno-humanitarny. Zatem najwyższe przykazanie moralne polega na zaspokojeniu tego popędu życiowego w sposób najdoskonalszy, najbardziej odpowiedni każdorazowym warunkom społecznym i kulturalnym. Niema prawdziwego szczęścia poza zaspokojeniem tego popędu; a odwrotnie zaspokojenie tego popędu nie może nie prowadzić do szczęścia. Gdzie się ta dążność odzywa, tam odzywa się głos sumienia etycznego. Odpowiedne tej dążności urządzenie warunków życiowych stanowi prawdziwą piękność i jest miarą naszej moralnej wartości. Tak więc człowiek wraz ze swoją dążnością do rozwoju jest jedyną i najwyższą miarą wszechrzeczy. To jest cnota naturalna, a jej nagroda, to postęp. Tej nagrody nie należy się spodziewać w jakiemś przyszłem życiu. Zdrowie, szczęście i piękność: oto jedyne niebo ludzkie.

Tak więc etyka monistyczna, która się lubi nazywać etyką

jedynie naukową, prowadzi do kultury doczesnej, do misyi doczesności, do szczęśliwej przyszłości tu na ziemi tylko.

Oto główny zarys nowej rzekomo etyki, zarys zaczerpnięty ze samych oryginalnych dzieł filozofów i moralistów monistycznych. A z tym nowym poglądem na etykę łączy się nowy, odpowiedni pogląd na religię. Bo religia jest nieodłączna od etyki. Dopiero spełnienie obowiązków etycznych prowadzi do najwyższych zadań religijnych. Jakich zasad się kto trzyma w życiu etycznem, taką też będzie miał religię. Odrzucenie etyki właściwej prowadzi do odrzucenia wszelkiej religii. I jak etyka boża prowadzi do prawdziwej religii teistycznej, tak etyka naturalistyczna z natury rzeczy rodzić musi i religię czysto naturalistyczną.

Otóż religia jest według monizmu niczem innem jak afirmacyą życia. Jest ona wyrazem przekonania, że człowiek ma prawo do bytu, że posiada wartość wewnętrzną, rokującą mu szczęśliwą przyszłość tu na ziemi. W tej religii według monizmu nasza siła, nasza pociecha, nasza potęga, zadatek lepszej przyszłości.

I dlatego należy odłączyć tę prawdziwą i właściwą religię od jakiejkolwiek formy wyznania religijnego, od jakiegokolwiek Kościoła, od jakiejkolwiek wiary. Wiara chrześcijańska w życie przyszłe i pozagrobowe, wiara w Boga, wiara w nagrodę lub karę po śmierci jest czczą i pustą łupiną, którą odrzucić należy jako niezgodną już z dzisiejszym postępem naukowym. Jedyną treścią religii, treścią żywotną i prawdziwą jest tylko afirmacya życia. Życie: to najwyższe bóstwo; religia: to kult tego nowego bóstwa, to kult życia i postępu. Grzech: to nie przekroczenie przykazań bożych lub kościelnych; grzechem jest wszystko to i tylko to, co tej afirmacyi życia się sprzeciwia. Oto religia w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu; tak twierdzi monizm.

W tej religii prawdziwem i jedynem objawieniem jest to jasne i świadome przekonanie o swoim postępie, przekonanie, do którego człowiek dochodzi na podstawie nowożytnej nauki. Jedyną ewangelią jest ewangelia rozwoju i postępu. Królestwem

bożem jest urzeczywistnienie tego rozwoju i postępu w naszem życiu.

Tak się przedstawia system „nowej“ etyki i religii, zbudowanej na fundamentach naturalistycznego monizmu. Nie można mu odmówić pewnej logiki i jasnej, bezwzględnej otwartości. I w rzeczy samej warto raz jasno zdać sobie sprawę tak z całości jako też z pojedyńczych składników tego systemu. Bo z temi myślami spotykamy się dzisiaj nietylko we filozofii zawodowej, ale i w dziełach i dziełkach popularnych; podobnemi myślami przesiąknięte są liczne czasopisma i gazety, nasze powieści i utwory poetyckie; one to napełniają całą niemal atmosferę, w której żyjemy i którą oddychamy. Co filozof wypowiada w suchej i naukowej, ale zato przynajmniej otwartej terminologii, to literat ubiera w strojne, barwne szaty poezyi, to publicysta ukrywa na dnie swoich studyów społeczno-politycznych, temu pedagog usiłuje nadać dostępną formę didaktyczną i wychowawczą, to wreszcie życie konkretne wciela w różnorodne przejawy codziennej, mijającej rzeczywistości.

Lecz pytajmy się, czy tak zwana „nowa“ etyka i religia naukowa jest naprawdę naukową? Czy opiera się na podstawach naprawdę krytycznych? Czy buduje w dalszym ciągu zgodnie z doświadczeniem i zgodnie z prawami rozumu?

Otóż dokładniejsza analiza wykazuje, że cały ten nowy pogląd na świat i życie opiera się na kilku dogmatach zupełnie dowolnych, nienaukowych i nieudowodnionych, na dogmatach zresztą, które bynajmniej nie są wynalazkiem dopiero nowoczesnego monizmu, gdyż je już w dawnej starożytności znano i zwalczano. Posługuję się tu naumyślnie wyrazem „dogmat“, gdyż monizm naturalistyczny znajduje szczególniejszą przyjemność w tem twierdzeniu, że on sam może się obejść bez wszelkich dogmatów, że opiera się wyłącznie na podstawach krytycznych i naukowych, podczas gdy pogląd na świat chrześcijański według niego krępuje wszelką działalność rozumu, skoro przyjmuje dogmaty, których rozumowo udowodnić nie może.

W rzeczywistości jednak podobne zdanie wyrasta z rażącej

i wcale nie naukowej niewiadomości rzeczy, o którą chodzi. Przyznaję i przyznać muszę, że wiara katolicka przyjmuje niektóre dogmaty, których za pomocą rozumu zgłębić i poznać nie jesteśmy w stanie. Ale przyjmujemy te dogmaty jako prawdziwe dlatego, że wprzód przekonaliśmy się drogą rozumową i naukową, że istnieje Bóg jako najwyższy Pan świata i jako umysł nieskończenie mądry, że ten Bóg może poznać i objąć swym umysłem prawdy, które są poza granicami naszego ciasnego rozumu i wreszcie, że ten Bóg, prawdziwy i nieomylny, objawił nam pewne nauki jako prawdziwe. I cóż w tem dziwnego, że wierzymy w coś, czego my sami wprawdzie zgłębić nie jesteśmy w stanie, dlatego, że ten Bóg nieomylny nam powiedział, że to jest prawdą? Ileż to prawd przyjmujemy w życiu praktycznem a nawet w pracy naukowej dlatego, że człowiek wiarogodny, znający się na rzeczy, nam to powiedział!

Inaczej rzecz się ma z dogmatami monizmu naturalistycznego. Tutaj domaga się od nas wiary w te dogmaty nie w imię nieomylnego autorytetu, lecz w imię samego rozumu i to tego właśnie rozumu, który widzi, że te dogmaty nie są uzasadnione. Mamy więc wierzyć w dogmaty, których sprzeczność z zdrowym rozumem jest oczywista; mamy przyjąć te dogmaty jako podwaliny całego życia naszego; mamy poddać swój rozum pod oczywisty błąd i powiedzieć: *credo quia absurdum.*

Jakie są te dogmaty naturalistycznego monizmu?

Na pierwszem miejscu stoi dogmat absolutnej hegemonii rozumu ludzkiego, a raczej doświadczenia. Ten dogmat absolutnej hegemonii rozumu prowadzi w konsekwencyach swoich do skrajnego indywidualizmu, sceptycyzmu, a wreszcie nihilizmu. Albowiem nie chodzi tu o rozum zbiorowy rodzaju ludzkiego, ani też o zdobycze pracy rozumowej ubiegłych stuleci. Ostatnim sprawdzianem prawdy jest rozum każdej jednostki z osobna. W miejsce więc nieomylnej Prawdy stawia się własne, niedoskonałe poznanie; miejsce wiekowej tradycyi zajmuje butny krytycyzm niewyrobionego umysłu, który poza ciasnym swym widnokręgiem nic nie widzi. Stąd wyrasta wzgarda dla jakiejkolwiek tradycyi, usunięcie wszel-

kiej powagi. Wszelka łączność naszego pokolenia z czasami ubiegłymi się rwie; każdy buduje gmach wiedzy ludzkiej na nowo, zburzywszy poprzednio wszystkie inne dotychczasowe systemy jako niedojrzałe i niedość nowoczesne. Podczas gdy w jakimkolwiek zawodzie uważa się to za rzecz naturalną i konieczną, że dopiero po długiem, sumiennem przygotowaniu się wolno wypowiedzieć swoje zdanie, swoją krytykę, to w kwestyach etycznych, politycznych i religijnych każdy chce uchodzić za znawcę, za ostatnią, najwyższą i nieomylną instancyę. Lecz odwoływanie się do dogmatu absolutnej hegemonii rozumu jest w istocie rzeczy tylko nędznym płaszczykiem skrajnego egoizmu i bezbrzeżnej zarozumiałości. Nic więc dziwnego, że naturalistyczny kult rozumu wtrąca nas w przepaść najnierozumniejszych niedorzeczności.

Na drugiem miejscu stoi dogmat t. zw. zamkniętej przyczynowości przyrodniczej. Dogmat ten jest właściwie tylko inną formą pierwszego. Jeżeli doświadczenie jest jedynem źródłem i kryteryum prawdy, wtedy niema niczego po za granicami możliwego doświadczenia. Wszelka zależność przyczynowa zamyka się zupełnie w świecie zjawiskowym, przyrodniczym. Tak więc niema przejścia do sfery nadprzyrodzonej, do Stwórcy i Boga. Zasada zamkniętej przyczynowości przyrodniczej odejmuje Bogu wszelkie prawo do wkroczenia w przyrodę. Tak więc z góry niemożliwym staje się wszelki cud, wszelkie objawienie. Tutaj możemy się namacalnie przekonać, z jakim dowolnym, nieuzasadnionym i wprost fałszywym dogmatem mamy do czynienia. Monizm naturalistyczny chce się wszędzie i wyłącznie na doświadczeniu opierać. I z tego doświadczenia, w którem nie uwzględnia wypadków cudownych, wyprowadza rzekomą zasadę, że wszelkie zjawisko przyrodnicze ma swoje wyłączne i jedyne przyczyny w zjawiskach poprzednich, że nie wolno nam szukać przyczyn poza samą przyrodą. Qtóż przychodzą lekarze i świadczą po dokładnem zbadaniu rzeczy o jakiemś cudownem, niewytłumaczonem w sposób naturalny uzdrowieniu; oto przychodzą historycy i przytaczają dowody niezbite na istnienie faktu objawienia. To są również fakta, podpadające

pod doświadczenie nasze tak dobrze, jak jakikolwiek inny. Albo co stoi na przeszkodzie, żeby lekarz doświadczalnie stwierdził całkowite spróchnienie kości, brak całej jej części, a następnie, że nagle, bez użycia jakichkolwiek środków lekarskich kość odrosła cała i zdrowa? Lecz monizm naturalistyczny takich faktów nie przyjmuje. Wtedy powołuje się na swoje prawo zamkniętej przyczynowości przyrodniczej i powiada: doświadczenie uczy nas, że wszędzie panuje bez wyjątku zasada zamkniętej przyczynowości przyrodniczej. A zatem te rzekomo cudowne uzdrowienia nie mogą być cudowne; one muszą się dać tłumaczyć w sposób naturalny, albo — są tylko oszukaństwem. A więc w imię jednego doświadczenia odrzuca się inne doświadczenie: któż nie widzi tutaj rażącej sprzeczności?

Na trzeciem miejscu wymienić należy t. zw. dogmat kultury, czyli dogmat, że najwyższym i jedynym celem ludzkości jest praca kulturalna. Wiadomo nam już, że monizm odrzuca Boga, życie przyszłe, świat nadprzyrodzony. Wtedy oczywiście nie pozostaje nic innego dla człowieka jak jego życie tu na ziemi, oraz praca dla ziemi. I w rzeczy samej niema najmniejszej kwestyi, że człowiek ma obowiązek i to ścisły, by nietylko pracować na utrzymanie swego życia, ale nadto, by w miarę sił, zdolności i stanowiska społecznego przyczynić się do dobra bliźnich. Mamy obowiązek utrzymać przekazany nam przez przodków naszych stan kulturalny, mnożyć go, rozwijać i udoskonalać. Kościół katolicki nigdy tego nie zaprzeczył; a może nikt nie zwrócił tak dobitnie uwagi naszej na obowiązki kulturalne jak wielki nasz papież Leon XIII. Lecz praca kulturalna nie może być jedynym i wyłącznym celem naszym. Jednostronne uwielbienie kultury pociąga za sobą jako reakcyę pesymizm, przesyt i głębokie niezadowolenie. Zresztą jeżeli się odrzuca wszelkie wyższe zadania ludzkie, nie jesteśmy nawet w stanie określić, na czem prawdziwa kultura polega. Czy kultura jest wynikiem jedynie pracy gospodarczo-politycznej, przemysłu i handlu? Ależ to wszystko mogą nam nieprzewidziane wypadki zewnętrzne w ciągu jednej nocy zburzyć. Czy kultura oznacza literaturę, sztukę, naukę? Ależ

wiemy dobrze, że bardzo często sztuka i nauka nietylko nie przyczynia się do prawdziwego szczęścia, lecz budzi nowe, subtelniejsze potrzeby i tym sposobem staje się źródłem większego jeszcze niezadowolenia. Czy wreszcie kultura oznacza zharmonizowane życie moralne i religijne? Tak, nietylko nasza wiara, ale i wielu wybitnych myślicieli, stojących poza Kościołem, widzi w życiu moralnem i religijnem najszlachetniejszy objaw kultury prawdziwej. Ale czy monizm może dać niezachwiane podwaliny dla naszego życia etycznego i religijnego? Wszak monizm wyznaje otwarcie, że jego jedyną religią, to kult ludzkości. Wszak monizm odrzuca wyraźnie wiarę w Boga i w życie pozagrobowe, odrzuca Kościół z całem jego życiem wewnętrznem, odrzuca ofiarę, odrzuca modlitwę. Jeden z nich powiada z całą otwartością: My nie znamy modlitwy, gdyż nie uznajemy Boga poza nami, do któregobyśmy się w naszych modlitwach zwrócić mogli. Naszą jedyną modlitwą, to praca nad spełnieniem naszych zadań, jakie nam tutaj w tem życiu przypadają w udziale. To jest przynajmniej otwarcie powiedziane. Lecz wtedy powiadam i ja z całą otwartością: kto nie chce modlitwy, ten nie chce religii. Bo niemasz religii bez modlitwy, w której człowiek wznosi się do Boga. Wtedy pytam się razem z Fryderykiem Nietzschem: Człowiecze rezygnacyi: wszystkiego tego chcesz się wyrzec? Któż ci da siłę do tego? Jeszcze nikt nie miał dotąd tej siły!

A zatem, chociaż monizm wciąż nam mówi o wielkości naszych zadań kulturalnych, musimy podnieść przeciwko niemu ten poważny zarzut, że monizm nie jest nawet w stanie dojść do jasnego i zdrowego pojęcia kultury.

Ale może praca kulturalna, to jest to życie etyczne we wyższym niż dotąd stopniu? Lecz etyka monizmu również nie jest w stanie uzasadnić wyższą kulturę, gdyż monizm przyznaje się do zupełnej autonomii moralnej.

I to jest właśnie czwarty dogmat monizmu, dogmat etyki niezależnej. Na czem polega etyka niezależna? Według powszechnego przekonania etyka łączy się ściśle z religią, a etyka i religia są nieodłączne od pewnych najwyższych prawd metafi-

zycznych. Otóż monizm powiada, że etyka nowożytna nie ma zgoła nic wspólnego ani z filozofią ani z religią. Według niego można nie mieć żadnej religii, nie mieć żadnych przekonań metafizycznych, a jednak być człowiekiem wysoce etycznym. Etyka nowożytna jest jedynie wykwitem ścisłej obserwacyi naukowej, a w szczególności owocem nowożytnych nauk przyrodniczych.

Tak twierdzi monizm; lecz właśnie takiem twierdzeniem pokazuje, że nie zastanowił się na seryo nad istotą i zadaniem etyki. Gdyby etyka nie była niczem więcej jak hygieną lub psychologią, wtedy nauki przyrodnicze mogłyby uzasadnić etykę. Lecz etyka jest czemś więcej aniżeli zbiorem zasad zdrowotnych lub reguł dobrego wychowania. A etyka jest dlatego czemś więcej aniżeli nauka przyrodnicza, ponieważ człowiek, o którym etyka traktuje, jest więcej niż istota biologiczna. Człowiek jest z natury swojej istotą społeczną, etyczną i religijną. Etyka nie mówi nam, co było lub co będzie, nie mówi nam, jak człowiek żył lub jak żyć będzie — to jest przedmiotem etnografii i historyi kultury ludzkiej — lecz ona mówi nam, jak człowiek żyć powinien. Tego nam zaś żadna nauka przyrodnicza, doświadczalna powiedzieć nie może. Dlatego etyka niezależna jest z natury rzeczy niemożliwą. Etyka niezależna jest właściwie tylko pozornie naukowym płaszczykiem niezależności od wszelkiej etyki. A wiemy doskonale tak z własnego doświadczenia jak z historyi ludzkiej, że niezależność od etyki pociąga za sobą zależność od własnych i cudzych namiętności. Gdyby monizm naprawdę liczył się z doświadczeniem, wtedy przekonałby się wnet o tem, że całe doświadczenie ludzkości przez te tysiące lat jej istnienia jest tylko jednym wielkim dowodem na tę prawdę, że ludzkość bez etyki, zależnej od religii, od wiary w Boga, po ludzku żyć nie potrafi. I właśnie to doświadczenie zmusiłoby monistów do uznania etyki, stojącej ponad zwykłem doświadczeniem.

Lecz monizm naturalistyczny jest zbyt krótkowidzący, ażeby mógł dojść do tego przekonania. Przeciwnie, ogłosiwszy

raz nieomylny dogmat etyki niezależnej, chce konsekwentnie zmienić istotę religii, chce religię przykroić do swojej etyki.

I tak dochodzi do piątego dogmatu swego. Jest nim dogmat antosoteryologii, dogmat, że jak człowiek sam jest początkiem i końcem religii, tak też jest sam swoim zbawcą i odkupicielem.

Że człowiek każdy, czy bogaty lub ubogi, czy nizki lub na wysokim postawiony stopniu, wygląda z głęboką tęsknotą serca wybawienia z tej wewnętrznej walki i rozterki, uwolnienia od tych rozmaitych bolesnych prób i cierpień życiowych, o tem niema dwóch zdań. My nie jesteśmy bogami; lecz każdy z nas, choćby największy i najpotężniejszy, jest tylko słabym, znikomym człowiekiem. Każdy dzień, każda niemal godzina przynosi nam przykre zawody i cierpienia, każdy dzień przypomina nam aż nazbyt dotykalnie nasze słabości i ułomności, i całe nasze życie wewnętrzne jest jedną wielką tęsknotą za zupełnem, prawdziwem szczęściem. Kto przyniesie nam rzetelne, prawdziwe i niezmienne szczęście? Kto nas wybawi od naszych ułomności i cierpień? Na to odpowiada dzisiejszy monizm: człowiek sam siebie zbawi! Owszem, niektórzy filozofowie nowożytni twierdzą nawet, że człowiek zbawi nietylko siebie, ale i Boga. Boć i Bóg jest według nich wciągnięty w odwieczną, ustawiczną ewolucyę; i Bóg jest skończoną, zmienną i cierpiącą istotą — a tylko człowiek może mu przynieść zbawienie swoją świadomością, swoją wiedzą, swoim czynem. Tak twierdzi Artur Schopenhauer i Edward von Hartmann; tak twierdzą wszyscy ewolucyoniści, o ile jeszcze jakiekolwiek bóstwo przyjmują.

Lecz jeżeli gdzie, to przedewszystkiem tutaj widać, jak niepsychologicznym, niezgodnym z jakiemkolwiek doświadczeniem jest podobny pogląd. To już nie jest wiara i religia, lecz karykatura wszelkiej religii. To już nie jest filozofia, miłość mądrości, lecz szczyt samolubnego, dumnego zaślepienia. I dlatego niema się co dziwić, że podobna pseudofilozofia i pseudoreligia kończy się zawsze — czarnym pesymizmem, niechęcią do życia, etyczno-religijnym nihilizmem.

Oto w krótkim zarysie główne podstawy nowej, naturalistycznej i monistycznej etyki i religii. Dziwnem wydawać się może, że taka etyka i religia znajduje swoich apostołów i kaznodziei, swoich obrońców, filozofów i apologetów. A jednak tak jest. Bo ta nowa religia pozwala nam być wszystkiem: estetami, literatami, ludźmi nauki i nie krępuje nas w niczem i pod żadnym względem — chyba pod tym jednym, że nie pozwala nam być — wierzącymi chrześcijanami. Zwolennicy otwarci takich poglądów liczą dzisiaj już dziesiątki tysięcy. A któż poda liczbę tych, którzy życiem swojem i praktyką na te same się piszą zasady? Przyznać jednak należy, że te nowoczesne poglądy pogańskie wśród katolików stosunkowo mało liczą otwartych i zdecydowanych zwolenników. Poza katolicyzmem jest ich bez porównania więcej. Bo ktoby się otwarcie do tych zasad przyznał, tem samem zrzekłby się wszelkiej przynależności do Kościoła katolickiego.

Cały ten ruch antikościelny i antireligijny jest tylko smutnym dowodem na to, że świat dzisiejszy w bardzo wielu jednostkach zatracił zupełnie zdrowe zrozumienie tego, czem jest religia chrześcijańska dla każdej jednostki zosobna, jak dla narodów i społeczeństw. Bez religii chrześcijańskiej, Chrystusowej nie mielibyśmy ani dzisiejszej nauki, ani dzisiejszej kultury. Paweł Deussen, jeden z najwybitniejszych dzisiejszych znawców ludzkiej kultury, który się jednak wcale nie przyznaje do pozytywnego chrześcijaństwa, powiada słusznie na jednem miejscu, że dzisiejszej kultury nie można rozumieć bez Chrystusa i św. Pawła, tak samo jak bez Arystotelesa i Platona.

A zatem walka nowożytnego monizmu naturalistycznego przeciwko religii chrzescijańskiej jest walką przeciwko najistotniejszym czynnikom naszej kultury. Lecz jak w ubiegłych stuleciach, tak i w wieku dwudziestym walka ta nie będzie uwieńczona skutkiem. Piętrzące się fale nowożytnego pogaństwa zdołają wprawdzie niejeden kamyczek, chwiejny i luźny, oderwać od skały Piotrowej, lecz skała pozostanie nienaruszona.

To też najlepszą i najskuteczniejszą bronią, z jaką przeciwko nadciągającemu monizmowi i naturalizmowi walczyć mo-

żemy, to pogłębienie znajomości Chrystusowej w sobie i innych, to pełne i konsekwentne życie naprawdę chrześcijańskie.

„Jam jest prawdą, drogą i żywotem", powiada Boski Mistrz. Te słowa sprawdzają się nietylko w życiu prywatnem i chrześcijańskiej pobożności, one się również sprawdzają w życiu społecznem i publicznem, w nauce i sztuce, we wychowaniu i w polityce. Tutaj fundament prawdziwej, trwałej kultury. Kultura monizmu: to pałac wystawowy, który po kilku miesiącach lub latach rozpada się w gruzy.

X. Fr. Klimke.

Metody w pracy społecznej.

Referat wygłoszony na kursie społecznym w Krakowie.

Wielki biskup społeczny Ketteler powiedział: „żeby wyleczyć wielką chorobę socyalną, nie dość, że nakarmimy i przyodziejemy kilku biednych i przez służącego poślemy kilka talarów więcej, niż dotąd, do kasy towarzystwa opieki nad ubogimi, to zaledwie maleńka cząstka naszego obowiązku — my musimy dążyć do tego, żeby się zasypały przepaści, ziejące w społeczeństwie, żeby się zmniejszyła nienawiść ubogich do bogatych, żeby wielka liczba naszych braci wyzdrowiała na duszy i odzyskała na nowo wiarę, nadzieję i miłość Boga i ludzi".[1])

„I z zupełną słusznością powiedziano, że najbardziej piekącem, pisze O. Weiss,[2]) zadaniem czasu naszego, jest rozwiązanie kwestyi społecznej. Chodzi tu przecież nietylko o przywrócenie zdrowych stosunków gospodarczych i państwowych, nietylko o odnowienie rodziny i wychowania, nietylko o podniesienie obyczajności i religijności, to wszystko jest, jak się rozumie samo przez się, także w wysokim stopniu potrzebnem — lecz chodzi o wszystko razem, o przywrócenie zdrowego społeczeństwa". I słusznie, w życiu społeczeństw warunki polityczne, społeczne, ekonomiczne i moralne ściśle się ze sobą wiążą i wzajemnie na siebie wpływać mają tak,

[1]) Str. 46. Ks. Bis. Faulhaber.

[2]) *Sociale Frage und sociale Ordnung.* O. Weiss. O. Pr. 3. wyd. str. 9.

że od normalnego i zdrowego rozwoju, od pełnej harmonii między wszystkimi czynnikami życia, szczęście społeczeństw zależy. Stąd my musimy nietylko znać całokształt pracy społecznej w naszych czasach, ale także ten całokształt pracy przeprowadzić.

W dobrze urządzonych społeczeństwach i mających kilkadziesiąt lat pracy za sobą, jest ta praca społeczna już ujęta w karby, dobrze rozróżniczkowana, celowo i umiejętnie przeprowadzona i kierowana według wypróbowanych metod, opartych nietylko na doświadczeniu długoletniem, ale na naukowych wywodach i naukowych uzasadnieniach.

§ 1. Chaos i zamieszanie w pracy społecznej.

U nas, przedewszystkiem pod zaborem austryackim i rosyjskim, z powodu rozmaitych przyczyn, okoliczności i warunków naszego życia narodowego, praca społeczna dopiero się rozpoczyna, a przy tem w wielkiej części jest w okresie chaosu i zamieszania, tak pojęć, jakoteż i samejże działalności.

Największem błędem naszej obecnej pracy, to brak jednolitych, stałych, pewnych, fundamentalnych, zasadniczych, już wypróbowanych metod pracy społecznej.

Kraj nasz aż trzęsie się od wielości, rozmaitości i różnobarwności rodzajów pracy społecznej.

Niemal co głowa, to nowy sposób, odmienna metoda pracy.

U nas ciągle powstają stowarzyszenia, ale nieraz tylko dlatego, że znajdują się jednostki, które albo zakładają je z prostej próżności, chęci błyszczenia, przodowania. Zdarza się nawet, że powstają stowarzyszenia nowe, celem załatwienia osobistych porachunków założycieli z kierownikami pokrewnych istniejących instytucyj. Inne powstają znowu z niepoprawnej naszej wadliwości — co głowa to rozum, — o czem już Bismark złośliwie się wyraził: że, kiedy trzech Niemców się zejdzie, to stworzą między sobą jeden *Verein*; kiedy zaś trzech Polaków się zejdzie ze sobą, to stworzą cztery *Vereiny*.

Niemal we wszystkich dziedzinach pracy społecznej chaos

ten panuje; to pomieszanie pojęć na punkcie podziału pracy i zadań poszczególnych działów pracy.

I tak poszczególne stowarzyszenia nieraz zajmują się, ot poprostu „wszystkiem, co życie niesie". Nawzajem sobie przeszkadzają. Bywają wypadki u nas nie rzadko, że stowarzyszenie, założone w sprawach czysto religijnych, zajmuje się sprawami czysto materyalnemi i odwrotnie, lub stowarzyszenia czysto gospodarcze uprawiają wśród siebie politykę i partyjność, a gospodarczość na drugim planie.

Są i takie stowarzyszenia i działy pracy, co się zrzeszyły celem niesienia potrzebującym warstwom społecznym oświaty, te zajmują się uprawą politycznych systemów i partyjnych zagadnień, kłócą się z drugiemi o urządzenia pochodów na 3-go Maja. Są jeszcze i takie dziwolągi pracy, co się zrzeszyli, by popierać przemysł polski, handel polski i bronić każdego kawałka polskiej ziemi i własności polskiej, — no i prawda, niby od czasu do czasu, „*ut aliquid esse videatur*", robią coś w tym kierunku, ale lwią część posiedzeń, pogawędek, dysput, kłótni i pracy poświęcają urządzeniom uroczystości i pamiątek narodowych, a nawet budowom pomników. A przeciwnie zrzeszeni na to, by postawić pomnik n. p. Dr. Jordanowi, śpią snem błogosławionych.

Albo Związki zawodowe, mające na celu pierwszorzędnie troszczyć się o byt materyalny, dobrobyt, wyzwolenie zawodowe i prawodawstwo, zajmują się przeważnie w wielu grupach urządzaniem koncertów i przedstawień amatorskich.

A zrzeszenia kulturalno-oświatowe, mające ogromne znaczenie w wyrobieniu i ukultywowaniu swych członków na obywateli danego społeczeństwa, żyją życiem suchotniczem, odciętem od życia społecznego, dając najwyżej znać od czasu do czasu, że istnieją, urządzaniem uroczystości z okazyi rozmaitych świąt narodowych i kościelnych, lub systematycznem graniem w karty.

Gdzieindziej znowu składnice, kółka rolnicze, spółki spożywcze tak doniosłą i ważną rolę odgrywające w rozdziale dóbr materyalnych na szersze warstwy społeczne i mające na

celu przeważnie sprawy ekonomiczne i gospodarcze narodu, zajmują się politycznymi stronnikami, wyborami do parlamentu, do sejmu, do gminy, do rady i nieraz swe kapitały i gospodarczą administracyę zaprzepaszczają.

A jakie zamieszanie, wprost nie do opisania, w popieraniu prasy zdrowej, katolickiej. Wypadki na porządku dziennym, że ci, którzy uważają się za bardzo dobrych katolików, prenumerują gazety i pisma, których treść i dochody obracają się przeciw Kościołowi i światopoglądom katolickim.

A cóż powiedzieć o zamieszaniu w zrzeszeniach czysto politycznych. Gdy katolicy wystąpią z żądaniami, by prawa i zasady Kościoła katolickiego uwzględnić i zachować, to się mówi i woła, że rozbijają jedność narodową i rozdzierają kraj. Ale gdy zaś dla celów narodowych lub polityczno-partyjnych Polak-katolik wyrzeknie się prawości, etyki, i zasad katolickich — to wolno, to zgoda, to można, bo tego wymaga postulat stanu. Kiedy zaś żądamy dla Kościoła sprawiedliwości, to zarzucają nam zuchwalstwo, gdy domagamy się wolności, mówią, że chcemy panować.

Jedna tylko jedyna rzecz zdołałaby rozbroić naszych przeciwników, zdrada i odstępstwo podobne do nich, od naszego Kościoła.

Stąd zachodzą dziwne, niebywałe może nawet wśród pogańskich, lub niecywilizowanych społeczeństw kombinacye. Partye bowiem niektóre polityczno-społeczne bez żadnej żenady, ku urągowisku rozumu i logiki zasady swe moralne i areligijne jednoczyć umieją doskonale, raz z twierdzeniem religijności i prawowierności katolickiej, drugi raz z tendencyami anty-katolickiemi, zależnie od potrzeb chwili. To znowu w pewnych wypadkach tendencye ich są czysto klasowe, w innych narodowe, radykalne lub konserwatywne, znowu według potrzeb. Któż wypowie, jaki to chaos wytwarza się w głowie i sercu obywateli polskich.

§ 2. Ważne pytanie.

Dlaczego się tak dzieje? Pytanie ważne, a może nawet najważniejsze w danej chwili!

Odpowiedź na to jest ta: Brak nam zasadniczych i fundamentalnych, a przytem prawdziwych i umiejętnych metod pracy społecznej w naszem społeczeństwie.

Każdy działacz społeczny u nas, można powiedzieć —„chodzi swojemi drogami" i działa po swojemu i według swego widzimisię.

Otóż już raz trzeba wskazać jasny, zdecydowany, prawdziwy, zasadniczy, oparty szczerze na chrześcijańskiej zasadzie i na rzeczywistych i bezwzględnych potrzebach narodu polskiego, kierunek i metody pracy społecznej w naszym narodzie.

Ostatni czas, by sposoby i środki pracy społecznej uporządkować, rozsegregować i zaprowadzić w nich ład, celowość i systematyczność. Nietylko dokładnie wiedzieć, jak pracować, ale i umieć praktycznie dać sobie rady i umieć rozróżnić prawdziwą od fałszywej metody i stanowczo kroczyć po drodze wypróbowanych metod pracy społecznej.

Stąd niektóre zasadnicze, jakby główne i fundamentalne metody trzeba mieć zawsze przed oczyma w pracy społecznej w naszem polskiem społeczeństwie i według nich pracę społeczną przeprowadzać.

Rozumie się, nie wypowiada się tu ostatniego słowa, bo „*nihil perfectum est in mundo*". Zawsze bowiem, każda praca społeczna a więc i jej metody podlegają ustawicznej czujności i wymagają ciągłego wkładu umiejętnej myśli, pracy i dostosowywania do danych potrzeb i warunków miejscowych.

I. METODA PRACY SPOŁECZNEJ W ROZWIĄZANIU KWESTYI MATERYALNEJ.

Najpierw rozpocznę od spraw materyalnych. Akcya społeczna zajmuje się z natury rzeczy pierwszorzędnie kwestyą materyalną i podniesieniem dobrobytu, przypuszczając jak najszersze warstwy do uczestnictwa w dobrach tego świata.

To jest rzecz konieczna. Bez rozwiązania kwestyi materyalnej niema kwestyi społecznej, bo jakkolwiek człowiek przeznaczon jest do nieba, to jednak z natury rzeczy praca spo-

łeczna obracać się musi około spraw doczesnych, gdyż na głos nieba chętniej człowiek nadstawia ucha, jeżeli go nie przygłusza krzyk zbytniej nędzy i troski o chleb powszedni. Mówi stare chrześcijańskie przysłowie: „*per manus ad cor*", czyli do serca ludzkiego najkrótsza droga przez żołądek. Stąd Chrystus Pan, nim wszedł na górę błogosławieństw, by tam wygłosić prawa moralności chrześcijańskiej, najpierw, jak mówi pismo św.: „Obchodził Jezus[1]) wszystką Galileę, nauczając w bożnicach ich i przepowiadając Ewangelię Królestwa, a uzdrawiając wszelką chorobę i wszelką niemoc między ludźmi! I przynosili mu wszelkie źle się mające, rozmaitemi chorobami i udręczeniami zdjęte. I rozeszła się sława jego.... i szły za nim wielkie rzesze"... W ten sposób Chrystus Pan, utorowawszy sobie drogę do serc ludzkich, powiódł je na górę prawodawstwa chrześcijańskiego.

Tosamo czynią Apostołowie. Proszę przeczytać dzieje Apostolskie. Tosamo wybitni działacze chrześcijańscy wszystkich społeczeństw i okresów czasu. Przytoczę tu choć jeden przykład: Taki święty Piotr Klawer, żeby sobie zyskać przystęp do serc dzikich murzynów, najpierw myje ich, przyodziewa, daje łakocie i rozmaite podarunki, a potem dopiero mówi im o prawdach Bożych... Tak zawsze było — „*per manus ad cor*".

Stąd w akcyi społecznej, czyto w kwestyi ludowej czy rękodzielniczej, czy robotniczej, czy drobnego handlu, czy w kwestyi kobiecej, sprawy materyalne musimy uwzględnić na seryo i skutecznie dopomódz do ich rozwoju. A więc popieranie i tworzenie wszelkich kooperatyw: jak kółek rolniczych, składnic, spółek kredytowych, maszynowych, surowcowych, magazynowych, produkcyjnych i wszelkich instytucyj gospodarczych, podnoszących dobrobyt, niezależność bytu i coraz większy rozkwit materyalny, przedewszystkiem wieśniaka, robotnika, drobnego rzemieślnika i drobnego kupca... Nadto warunki pomieszczenia, odżywienia, hygieny, możności pracy, opieki w niemowlęctwie, młodości, starości, chorobie, nieprzewidzianej

[1]) Św. Mateusz. Roz. IV.

potrzebie, i t. d. to wszystko jest przedmiotem pracy społecznej.

§ 1. Troska o zyski materyalne.

Jednak w tych instytucyach czysto gospodarczych, ściśle i bezwzględnie trzeba mieć na oku cel tych instytucyj, t. j. zyski materyalne. Stąd w takich instytucyach nie powinno się uprawiać polityki i partyjności. Nie czynić na czas wyborów siedzib agitacyjnych i asylu dla kandydatów na posłów. A jeszcze gorzej, gdyby takie instytucye swe dochody, miasto na coraz większy rozwój danej instytucyi lub dla korzyści członków stowarzyszenia, lub danej ludności, obracały na cele polityczne i partyjne. Gdyby powoływano na dyrektorów i urzędników danych instytucyj ludzi niefachowo wykształconych i sumiennych, ale jednostki związane polityką i partyjnością, jako w nagrodę za ich służbę polityczną lub partyjną, lub z powodu motywów zakulisowych danego politycznego stronnictwa lub partyi. Są to grzechy krzyczące, które u nas w kraju wprost zabijają instytucye, tak bardzo ważne dla rozwoju ekonomicznego naszego narodu.

Trzeba także unikać, tak zwanego „kumoterstwa“, to jest forytowania swych krewnych, znajomych lub przyjaciół politycznych i partyjnych, bez względu na ich wartość fachową i sumienność w wypełnianiu obowiązków.

Unikać też trzeba uczuciowości w takich instytucyach. Dlatego, że biedny, nie ma zajęcia, nie ma z czego żyć, a więc niech będzie urzędnikiem kasy lub spółki.

Albo zyski danych instytucyj rozdawać na tak zwane cele dobroczynne. Nie wątpię, że jak każdy człowiek obowiązany jest do miłosierdzia, tak samo i instytucye czysto gospodarcze, zwłaszcza jeżeli im się dobrze wiedzie i nie potrzebują bardzo wkładów na własne ulepszenia, są pod pewnym względem obowiązane do świadczenia dobrodziejstw będącym w potrzebie. Ale to nie powinno być nigdy dla osób prywatnych, ale dla instytucyj publicznych. A następnie nie bylejakim instytucyom, ale takim, które są z niemi duchem pokrewne i swą działalnością

gospodarczą czy wychowawczą również przyczyniają się do podniesienia ekonomicznego.

§ 2. Sprawy dobroczynne.

Sprawy zaś w kwestyi dobroczynności i miłosierdzia oddać stowarzyszeniom, jak konferencyom św. Wincentego á Paulo, lub podobnym innym Towarzystwom dobroczynnym. Do nich więc trzeba odsyłać po wszelkie zapomogi i im powierzyć sprawę miłosierdzia. Rozumie się, że w tych towarzystwach dobroczynnych ład, porządek, celowość i roztropność, a zwłaszcza mądra i gospodarna organizacya i dostosowana do potrzeb i warunków naszych czasów być powinna. Niepowetowane szkody wyrządzają instytucye dobroczynne, jeżeli są niezorganizowane i każda na swą rękę działa bez wzajemnego porozumienia się, bo wtedy pieniądze idą na marne. Z punktu chrześcijańskiego zaś godne potępienia, gdyż ubogich i będących w potrzebie nie wiodą do życia uczciwego i cnót chrześcijańskich, ale w przeważnej części do próżniactwa, pijaństwa i innych sprośności. A więc metoda konieczna. Miłosierdzie i dobroczynność muszą być celowo zorganizowane i umiejętnie przeprowadzone.

§ 3. Praca społeczna w stronnictwach politycznych.

Wyżej powiedzieliśmy, że polityka i partyjność nie powinny mieć miejsca w pracy społecznej około rozwiązania kwestyi materyalnej i gospodarczej, zawodowej czy dobroczynnej. Stąd wynika, że powinny i muszą być osobne stronnictwa polityczne dla spraw czysto politycznych. W polityce zaś najważniejszem jest sprawa rządów i władzy, a więc parlament, sejm, rada gminna, rządy w rozmaitych instytucyach, i t. d., a zwłaszcza wybory do nich. „Polityka, mówił umierający minister Wacław Zaleski, — nie powinna nigdy być celem, ale tylko środkiem do urządzania stosunków społecznych w myśl przykazań Bożych. Nasza polityka nieraz chorowała, bo niestety zapomniała o tej zasadzie. Jej głównym błędem jest prywata i brak cywilnej odwagi". Stąd takich stronnictw najistotniejszem zadaniem jest zdrowe i prawdziwe uświadomienie

polityczne ludu, robotnika, mieszczaństwa, inteligencyi. Nie wystarczy prowadzić z zapałem walkę wyborczą. Konferencye, zebrania publiczne, wzruszające odezwy do wyborców, wszystko to wywołuje agitacyę zewnętrzną, ale nie zmienia stanu umysłu warstw społecznych. Najkonieczniejszem jest, aby te warstwy oświecić, uczyć ich myśleć sprawiedliwie, obudzać w nich sumienie, a to nie jest dziełem dorywczem, jak to dotychczas u nas w Polsce wśród katolików się dzieje. Przeobrażenie polityczne według prawdziwej etyki i prawdy tak wielkiego, jak nasz kraj, nie jest dziełem kilku dni, ani kilku miesięcy, a nawet kilku lat. Potrzeba w samej rzeczy za pomocą prawdziwych socyalnych metod odrodzić nasze społeczeństwo, każdą jego rodzinę, każdą duszę polską. Stąd słusznie i prawdziwie powiedział w roku 1906 biskup francuski z Vannes:[1]) „Bardzo dobrze jest przygotować dobre wybory, ale pewniej jest dostarczyć dobrych wyborców". To jest metoda najpożyteczniejsza w związkach politycznych.

Następnie, zachowaj nas Panie, od stronnictw politycznych, których treścią pracy, to nie prawdziwe i realne dobro kraju, choć wszyscy tak twierdzą, ale interesy, wpływy, rządy osobiste albo partyjne. Stąd ustawiczne u nich kotłowanie według zasady „Raz na wozie, drugi raz pod wozem". Dlatego trzeba prowadzić metodę partyi polityczno-społecznej katolików niemieckich, co „wielką politykę światową" zamienili na politykę społeczną. „Do parlamentu, jak prawdziwie pisze Aleksander Woycicki, wnoszą projekty praw społeczno-ludowych i jak dla robotników — zabezpieczenie prawa zrzeszeń, zdolność prawna Związków zawodowych, domów pracy, dla rolnictwa wiele ulg materyalnych szczegółowych, podobnie dla rękodzielników, czeladników, handlowców, — słowem, stronnictwo katolickie obejmuje swym programem reformę społeczną i ją właśnie podsuwa rządowi, jako pierwszy przedmiot troski".

Stąd znakomicie określa pismo włoskie, „*Civiltà Cáttolica*",

[1]) W liście do prof. Henryka Morice. Str. 6. *„Katolicy brońmy naszej wiary"*.

zadanie stronnictw politycznych, wskazując na centrum katolików niemieckich, jako wzór dla wszystkich katolickich stronnictw politycznych. „Centrum, pisze, nie jest jedynie grupą katolicką dla obrony interesów religijnych, lecz jest ono partyą polityczną, która uznaje i broni społecznych potrzeb ogółu, a siła tego stronnictwa polega na jego liczbie, ścisłości, zarówno jak na doskonałości i świeżości jego programu, na udziale zawsze czynnym, pracowitym, przeważającym i częstokroć decydującym, jaki wzięło ono we wszystkich kwestyach politycznych i społecznych". Stanowi on przeto, jak słusznie mówi powyższy socyolog, nie stronnictwo agrarne tylko, ani robotnicze wyłącznie, ani mieszczańskie, lecz tworzy razem z ludem wielką partyę „odbudowy społecznej" na zasadach Chrystusowych, ze szczególnem uwzględnieniem warstw ludowych... na swym sztandarze wypisali zasadę: „*Iustitia — fundamentum regnorum*", — sprawiedliwość podstawą królestw. I tę zasadę spełniają nie obłudnie; bronią zawsze słabszych przeciw silniejszym ekonomicznie, ale nie z krzywdą tych ostatnich. Prawdziwie przykład niemieckiego centrum najbardziej jest wymownym, jaką drogą ma chodzić praca stronnictwa politycznego".

II. METODA PRACY SPOŁECZNEJ PRZEZ ORGANIZACYĘ.

Dalszą metodą pracy społecznej w naszych czasach, tó stowarzyszenia. Powiedział biskup ze Spiry, Faulhaber:[1]) „Stowarzyszenia socyalne... są potrzebą naszych czasów i dlatego także wolą Bożą". Ale by stowarzyszenia prawdziwie i w rzeczy samej stały się czynnikiem twórczym w pracy społecznej w Polsce, potrzeba przedewszystkiem dwóch rzeczy: Ładu i porządku, czyli dobrego rozsegregowania poszczególnych działów pracy i dobrze urządzonej centralizacyi.

[1]) Mowa na wiecu katolickim w Moguncyi: „*Ksiądz czem jest i czego dziś chce*". Str. 41.

§ 1. Segregacya stowarzyszeń.

Należy więc uporządkować i jasno postawić graniczne słupy między poszczególnymi typami organizacyi, by jedna w drugą nie wchodziła, by jedna drugiej nie przeszkadzała, by jedna z drugą do tego samego nie dążyła, zmieniając tylko formę i nazwę. Stąd osobno religijne, osobno kooperatywne stowarzyszenia czysto gospodarcze i finasowe, osobno polityczne, osobno zawodowe, osobno dobroczynne i miłosierne, osobno kulturalno-oświatowe, osobno sportowe, osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet, osobno dla młodzieży. A każde z nich odpowiednio do potrzeb i warunków wymagają osobnego ujęcia, stosownie do celów i zadań danego działu pracy społecznej.

Nadto potrzebny jest nietylko umiejętny i celowy podział pracy dla poszczególnych stowarzyszeń, ale także dla ich kierowników.

Działacz i działaczka społeczna, stojący na czele jakiejś organizacyi, niechże równocześnie nie oddają się całkowicie innym rozmaitym działom pracy społecznej. N. p. będąc na czele spółki rolniczej lub kasy, niech nie uprawiają zawodowo wyborów politycznych; albo stojąc na czele lub pracując w stowarzyszeniach kulturalno-oświatowych, niech równocześnie nie uprawiają pracy w stowarzyszeniach, poświęconych wyłącznie sprawom zawodowo-materyalnym.

U nas jest dużo takich działaczy i działaczek społecznych, których wszędzie pełno po stowarzyszeniach, wszystkiego się podejmują, wszystkim obiecują, na wszystkiem się znają, a gdyby było możliwem, też bez namysłu zostaliby prezesami wszelkich różnorodnych typów organizacyi danej miejscowości.

Tacy społecznicy i społeczniczki to prawdziwi szkodnicy w pracy, bo sądzą, że są zdatni „*ad omnia*“ do wszystkiego, a właściwie są do niczego, gdyż tą metodą psują, opóźniają a nieraz wprost uśmiercają pracę społeczną.

Stąd rozumna i twórcza metoda: oddać się całkowicie jednemu działowi pracy społecznej i w niej się wyspecyalizować. W innych zaś organizacyach pomagać o tyle, o ile główne obowiązki pozwalają.

§. 2. Centralizacya stowarzyszeń.

Następnie potrzebna jest centralizacya. Stowarzyszenia lokalne, choćby dość żywotne i ekonomicznie zamożne, pozostawione same sobie, pozbawione łączności z innemi i osamotnione bez zasilenia wzajemną pomocą, niezdolne są nigdy wywrzeć większego wpływu na opinię i kształcenie stosunków społeczno-gospodarczych, oświatowych, politycznych, i t. d. zwłaszcza w większych miejscowościach.

Nadto stowarzyszenia oderwane od innych pokrewnych organizacyi narażone są ustawicznie na rozmaite wpływy postronne i na niebezpieczeństwo, że ulegną żywiołom destrukcyjnym. Co pismo św. mówi o samotności człowieka „*Vae soli homini*“ — to samo można zastosować „biada samemu stowarzyszeniu“, bo upadnie.

Zupełnie się inaczej ma, gdy dane stowarzyszenie stanowi ogniwo w łańcuchu pokrewnych organizacyj, wówczas wzrasta wpływ każdego stowarzyszenia, które zarazem zabezpieczone jest od szkodliwych wpływów ubocznych i od wielu innych niebezpieczeństw, mając równocześnie zapewnioną pomoc we wszystkich ważniejszych sprawach od centrali, która może utrzymywać biuro stałych funkcyonaryuszów przeznaczonych wyłącznie do pracy w stowarzyszeniach. Centrala znajdzie bowiem zawsze łatwiej na ten cel konieczne środki finansowe.

Centralizacya stowarzyszeń lokalnych w odpowiednie związki okręgowe, ewentualnie krajowe, jest więc konieczna, jeśli ich wpływ ma się podnieść, a działalność ożywić i rozwinąć.

Szczegółowy program segregacyi i centralizacyi poszczególnych stowarzyszeń, wychodzi oczywiście poza ramy tego referatu. Jednak centrale muszą być, jak już je mają Związki zawodowe chrześcijańskich robotników w Krakowie, jak mają Związki katolickich terminatorów dla dyecezyi krakowskiej, jak mają centralę w Galicyi kółka rolnicze i t. p. Taksamo muszą stworzyć centrale stowarzyszenia dobroczynne i miłosierne, jak Tow. św. Wincentego á Paulo, tosamo stowarzyszenia religijne, jak kongregacye Maryańskie i Towarzystwa Eucharystyczne.

Osobne centrale dla Związków niewiast katolickich, osobne dla stowarzyszeń sług, osobne dla pracownic fabrycznych i przemysłowych, osobne dla stowarzyszeń kulturalno-oświatowych, osobne centrale dla Związków politycznych, osobne dla ogólnych spraw życia katolickiego w narodzie polskim, i t. d.

Stąd i nasze społeczeństwo potrzebuje takich centrali akcyi społecznej jak Gladbach z swoim Volksvereinem, jak Kolonia z centralą Związków czeladników, Gandawa dla Związków robotniczych, Lublana z domem swym prasowym dla całej akcyi społecznej Słoweńców, lub stare Kollegium Marianum w Lublanie dla Kongregacyj Maryańskich, Lowanium dla Bauerbundów belgijskich, lub nawet nasz Poznań, który jest stolicą central dla rozmaitych działów pracy społecznej, i t. d.

Warunkiem więc powodzenia naszej akcyi społecznej w kraju naszym jest to zdobycie silnych, sprężystych i umiejętnie prowadzonych stowarzyszeń. Sądzę, że pełne są prawdy słowa wyżej przytoczonego biskupa ze Spiry: „Pierwsze przykazanie pracy duszpasterskiej nad robotnikami brzmi króciutko tak: Organizować! Ale nie zapóźno! Jeśli nas jeszcze gdzie niema, to spieszmy się, bo lada chwila może już być zapóźno! Tesame słowa dadzą się zastosować do wszystkich zagadnień i działów pracy społecznej w naszym narodzie. Pierwsze przykazanie jest organizować wszystko i wszystkich! Ale nie zapóźno! Jeśli nas jeszcze gdzie niema, to spieszmy się, bo lada chwila może już być zapóźno!

§. 3. Finansowość stowarzyszeń.

Omawiając konieczność segregacyi i konsolidacyi stowarzyszeń, nie można nie podkreślić z naciskiem potrzeby, jako „*conditio sine qua non*“ dla rozwoju akcyi społecznej, by nietylko stowarzyszenia czysto ekonomiczne i zawodowe, ale wszelkiego rodzaju i typu stowarzyszenia stawały na silnych podstawach finansowych. Rozumie się, że nie każde stowarzyszenie odrazu stanie się zasobnem i utrwalonem finansowo, ale koniecznie trzeba dążyć do tego, starać się o stałe i odpowiednie

i samoistne źródła dochodowe. Bez trwałych finansowych podstaw niema mowy, by jakikolwiek dział pracy społecznej mógł odpowiedzieć celowi i spełnić swe zadanie.

Dlaczego naprzykład wśród Słoweńców w Krainie praca społeczna święci takie olbrzymie tryumfy? ot także i dlatego, że praca ich ma silne podstawy finansowe. W Lublańskim Domu prasowym i centrali stowarzyszeń, istniejące drukarnia, introligatornia, składy przyborów szkolnych, dewocyonaliów, księgarnie, hotele, restauracye, i t. d., wszystko to jest stałem źródłem funduszów dla całej akcyi społecznej Słoweńców. Tak jest też w Niemczech, tak jest w Belgii, tak jest w wielu wypadkach w Poznańskiem, tak jest n. p. w Krakowie w stowarzyszeniu św. Zyty.

Rozumie się, że jeśli w jakich sprawach, to w finansowych, trzeba iść powoli, ostrożnie, z ołówkiem w ręku i umiejętnie.

Brak przezorności, a zwłaszcza brak umiejętnej i roztropnej gospodarki wykopał grób wielu stowarzyszeniom i instytucyom w naszym kraju. Nie będę przytaczał przykładów, bo to zbyt smutne i drażliwe.

(Dok. nast.).

Ks. M. J. Kuznowicz.

Pogłosy Młodej Polski w dramacie, powieści i krytyce literackiej.

(Ciąg dalszy).

A oto inny poemat dramatyczny: *Gród słońca* Jerzego Żuławskiego. I tu celem szczęście i tu środkiem miłość. Jednak dwa te utwory są krańcowo przeciwne. Chodzi tu bowiem o szczęście materyalne, o wszechstronny dosyt ziemski. Młody bohater, syn matki nieznanej i sławnego architekta, został królem. Włada. Ogłosił darowanie win, odpuszczenie grzechów. Odkrył „świętą cnotę śmiechu" ludom w przekonaniu, że „Bóg nas na życie stworzył i wesele, nie aby w brudnym kajać się popiele za niespełnione winy". Sam też daje dobry przykład: pojął cztery żony, a piątą — mniszkę odebrał klasztorowi. Bawi się i nurza w rozkoszach. Jest też trochę fatalistą, gdy mniema, że „Jeśli mi głowa nie jest bezpieczna wśród mojego ludu, zaiste! życie niewarte jest trudu, by je utrzymać". Pada ofiarą spisku dworzan. Takiego bohatera wyprodukowały teorye wychowawcze i artystyczne mądrego ojca. „Często — mówi architekt — coć grzechem zda się, to potęga jeno, co nowe światy tworząc, sięga nieokiełznana wszędzie i zabrania twórcy praw nowych ująć w jarzmo stare — głowy". Otóż stare jarzmo — to Bóg, etyka chrześcijańska, zasady wiary i tym podobne skrępowania chuci materyalnych. Bohater obok tego, że jest produktem wychowania, głosi prawdę: „Jam nieśmiertelny, jak światłość słoneczna, jak wiatr, jak wody".

Usymbolizował w nim więc poeta wiekuiście żyjący w ludzkiej materyi popęd do hedonizmu. Ale czy taki organizm ludzki da się pomyśleć? A jeżeliby i to się dało — cóż w nim bohaterskiego? Co mi to za bohater: nieudolny w czynie, gadatliwy, jak sroka, samochwalczy i płytki frazesowicz! Sam pomysł *Grodu słońca* — naiwna utopia. O jakimkolwiek dramacie duszy niema mowy. Struktura pomysłu przypomina cokolwiek *Odwieczną baśń* Przybyszewskiego, lecz ten ostatni głębiej sięga w tajemnicze kryjówki ludzkiej natury i umie za pomocą silnych kontrastów wywołać starcia istotnie groźne. Majordomus jest kabaretową figurką kanclerza, młoda zakonnica cieniem Soñki, Bohater niemowlęciem wobec króla, ojciec niegodzien być uczniem Wityna. Cały utwór jasełkowo niemal skomponowany i więcej w nim akcentów powieści, niż dramatu. Ładne są pieśni ślubne czterech żon i ładne cztery toasty Bohatera.

Jakgdyby posępną odpowiedzią na *Gród słońca* Żuławskiego jest tryptyk dramatyczny Bronisława Minkowicza Wysoczańskiego p. t.: *Wyklęci*. Trzy akty dramatu — trzy epizody, przepaścią wieków oddzielone. W *Grodzie słońca* życie, rozkosz i śmiech jedynym celem, tu śmierć wyzwolicielką. Akt I *Wyklętych* w raju. Dekoracya zaambarasowałaby niejednego reżysera; autor każe zdobić scenę tak egzotyczną fauną i florą, jak chamaeropsy, coryphy, kentiae, chaemedoreje, phoenixy, ichtyozaury, sigilarye, calamity, pterophylle,.. Boże święty! Tak ustroić scenę — można się już wyrzec i treści tryptyku, która — prawdę mówiąc — wcale nieoryginalna. Ot, stare dzieje. Chawa tęskni, wąż kusi, upadek — archanioł wypędza. Bóg zsyła śmierć — jako zlitowanie. To samo w drugim akcie, tylko że o X. wieków później, na Litwie; tylko że śmierć stała się wybredną, bo Biruta kazała do komnaty, gdzie łożnica, nanieść jaśminów, więc oboje od jaśminów zginęli. To samo w trzecim akcie, tylko że w Monte Carlo... Wcale to niezabawne, ani głębokie, ani nawet mądre, pomijam, że jest reminiscencyą z Madacha. Jak się wyraża miłość, choć wieki dzielą? Rezultat: zawsze chuć jeno. Przytem poemat młodzieńczą widocznie ręką tworzony. Nie

będę przesiewał plewy ułomnych wierszy, błędów stylu i języka. Ani to dramat — ani poezya nawet.

Do tego samego rodzaju fantastyczno-ideowych pomysłów dramatycznych należy też *Pani słoneczna* Savitri. Wyobraźnia i myśl — oto dwa pierwiastki, z których najtrudniej zbudować dramat. Prawda: — największe talenty świata kusiły się o to z potężnem powodzeniem. Eschil stworzył *Prometeusza w okowach*, Kalderon *Czarnoksiężnika*, Byron *Kaina* i *Manfreda*, Shelley *Prometeusza rozpętanego*. Każde z tych dzieł wcieliło krzyk protestu przeciwko bólowi, ziemi i ogromną tęsknotę do wyzwolenia z ziemskich oków. Każde dało wyraz mistycznemu wgłębieniu się uczucia w boski wątek ducha po otrząśnięciu zeń wszelkich materyalnych łachmanów. I słusznie. Fidyaszowych pomysłów nie wykuwa się z bylejakiego materyału. Człowiek i jego środowisko — to zazwyczaj pospolita glina. Wielkie myśli i wielkie uczucia wymagają też posągowych kształtów. Jeżeli jednak kogo nie stać ani na pierwsze, ani na drugie, ani na trzecie, tworzy człowieka. Dzisiejsza ludzka dusza miewa mroczne zakątki, do których i uczeni i artyści docierają drogą czy to okultyzmu czy to wizyi. Ani w czasie średniowiecznych ekstaz, ani w czasie romantycznych porywów wyobraźni nie było chyba takiej pochopności do symbolizowania wewnętrznych ślepych nakazów, przeczuć, przeznaczenia, jak dzisiaj. Przeczucia Maeterlincka nie przyjęły się. Takie figury, jak Nieznajomy, Przyjaciel, Kanclerz, Gość, Żebraczka Przybyszewskiego okazały się z gruba kute i nazbyt materyalne. Podobało się Bożyszcze Katerli, pożyczone od Shelley'a (z Fragmentów 1821 r.), a z niego rodzi się Biała w *Lucyanie* i *Pani słoneczna*, która staje się sprawczynią losu Bolesławy. Ona każe dwojgu młodym iść do tych, co są smutni i wytracać tych, którzy smutnych krzywdzą. Bolesława w myśl zasady: i to dobre i tamto jeszcze lepsze — staje się agitatorką rewolucyjną, ale oddaje się Zygmuntowi bez ślubu, bo „żadnych obrządków nie uznaje". To nie przeszkadza jej zresztą wziąć ślubu z Zygmuntem w cytadeli w przeddzień jego stracenia, jak nie przeszkadza jej matce, obrończyni obrządków — mówić: ślub — naturalnie —

to tylko przêsąd, ale bez ślubu — to tak źle wobec ludzi wygląda". Zygmunt tedy ginie, Bolesława gdzieś coś „działa", matka przeklina rewolucyę, na tych gruzach zjawia się Pani Słoneczna i zapewnia, że „na cierpieniach ludzi oparte wschody świetliste do jej podwoi", że droga Bolesławy jeszcze długa, a do niej przemówi jej syn (nb. oddany na wychowanie przez rodzoną matkę jakiejś Świteckiej) i ona wie, co mu odpowie. Najmocniejszą stroną dramatu są frazesy. Namiętność, przemoc woli lub przemoc losu — bez znaczenia. Sama Pani Słoneczna jest glinianym fundamentem suchotniczej akcyi. Dramat zimny, rozumowania nie przekonują, ludzie papierowi, w ruch wprawiani nie własnym przymusem psychologicznym, lecz według pociągnięć autorki.

O wiele głębiej pomyślany i mocniej przez poetę na posadach ludzkiej duszy wsparty jest *Judasz z Kariothu* Karola Huberta Rostworowskiego. W literaturze ostatniej doby Judasz potrzykroć przykuł uwagę wybitnych poetów. Najgłębiej sięgnął w duszę jego i posągowy stworzył symbol męski Kasprowicz. Świadom, że zdradził przyjaciela; piecze go bezbrzeżny ból Chrystusa; wszędzie widzi źrenice Zbawiciela, wpatrzone weń z wyrzutem; boi się wzgardy ludzkiej, boi się szelestu w krzewach; pamięta i wciąż przypomina okropny targ; nigdy ukojenia; żyją w nim żądze; wie, że kłamca, zdrajca i uwodziciel. Kasprowicz otrząsnął swą kreacyę Judasza ze wszystkich rysów indywidualnych, jak mróz otrząsa suche listki z drzewa. Pozostawił w nim to, co ogólno-ludzkie. Dał mu dekoracyę cudnej przyrody; pozostawił mu pamięć o głównej zbrodni i odmalował przedziwnie głęboki a jak rzeźba jednolity i wyrazisty wizerunek męczarni duchowej. Zupełnie inaczej Daniłowski w *Maryi Magdalenie*. Tu wszystko realne: i twarz o przebiegłych a zuchwałych oczach, i brwi krzaczaste, i nos haczykowaty, i capia broda, i wargi zmysłowe, i guzy wystające na czole, i rude włosy, i temperament burzliwy, i fantazya wybujała, i inteligencya przenikliwa, i doświadczenie życiowe duże, i ambicya wygórowana, i zmysłowość niepowściągliwa. Niema co mówić: w tem chybionem dziele Judasz naczelną postacią.

Gdyby był Rostworowski znał Judasza Daniłowskiego, zanim napisał swój dramat, mam to przeświadczenie, że byłby więcej krwi gorącej wlał mu w żyły. Judasz bowiem Rostworowskiego bliższym jest Kasprowicza, co dla dramatu nie pochwała. Tylko, że tło tamtego stanowi natura, tego ludzie; tamten ustawiony wśród wieków, ten w chwili dziejowej; tamten cierpi, ten działa, t. j. przez zbrodnię dopracowuje się cierpienia. W chwili wejścia na scenę wie, że „poślubiony złu". Odrazu czuje, że na niebiosach Bóg, w Racheli życie, a w nim szatan. I choć jest to tak, i choć jest niedobrze, że tak, boć przecież dramat wedle odwiecznej tradycyi ma obrazować szereg duchowych przemian, kształtujących postać pod wpływem akcyi, to jednak autor *Judasza z Kariothu* dość subtelnie odczuł różnicę, jaka może zachodzić między symbolem a dramatyczną postacią. I symbol Kasprowicza jednolity i bohater Rostworowskiego psychologicznie jednolity; ale ten ostatni nie tak posągowy, bardziej po ludzku pojęty — i to słuszne. Grają w nim sprzeczne porywy. Wytworzył sobie w Chrystusie ideał materyalnej potęgi:

zamki kamienne wysokość jego
a wody jego wierne są;

tymczasem oto przybył: „proszak! rybitwa z pustą wędą". Domaga się od Chrystusa „znaków", a na jego zawołanie Chrystus ich nie czyni. Jest Judasz podstępny, przebiegły, fałszywy, egoista, tchórz, ale równocześnie tkwi w nim jakieś półświadome przeczucie boskości Chrystusa i własnej nikczemności a winy. Stąd zdarza się, że w chwilach z największym ferworem wygłaszanych przeciwko Chrystusowi dyatryb nagle odmyka się owo, zawarte w głębi poczucie bezecności — i Judasz zaczyna jęczeć i wić się z bólu, jak oto w akcie III, odsłonie 2, scenie 2:

z nagłem przerażeniem:
Nie! Na kapłany! Rachel! Nie!
Na skryby! Rachel! Ratuj mię!
z obłędem szarpiąc szatę na piersi:
Mię dusi! Mię za gardło chwyta! (str. 121)
. . . . . .

W nim jest jakaś moc ukryta...
Jakiś czar... i t. d.

Judasz Rostworowskiego dużo mówi; usiłuje innych, ale szczególniej sam siebie przekonać — i z tem ma biedę największą. On już gruntownie, zdawałoby się, wie i wierzy, że „Jawa padolna, Wieczność w grobie"; on już postanowił nieodwołalnie, że „Biada onemu, który szerzy naukę nędzy i niewoli", a jednak gdy mu Kaiphasz każe później: „wydasz Go", Judasz woła przeraźliwie: „Nie, Panie (błagalnie)! Panie!" I zdaje mu się, że go „robią" zbrodniarzem, i zdaje mu się, że „chory".

A już najdoskonalej, gotówbym prawie powiedzieć, po mistrzowsku odtworzył poeta to rozłamanie wewnętrzne w Judaszu w scenie 2 *Wieczernicy*.

Niby tłomaczy się przed apostołami, w gruncie usprawiedliwia się przed sobą ze swego zdradzieckiego zamiaru. Wyda Zbawiciela! — Dlaczego? Bo obiecał, że „połączy z ojcem syny, że połączy wroga z wrogiem", a jego zgniótł".

Ale to nie dlatego. Główny powód, że nie wierzy w bóstwo Chrystusa. Gdyby był Bogiem, toby go nie wziął za apostoła, to chciałby jego zguby. Z góry już jednych przeznaczył na potępienie, drugich na zbawienie, a to wiedzie do... nienawiści. Ale i to nie dlatego. Dawniej kierował się sercem, wierzył; dziś wziął za busolę czynów swych — kłamstwo. I woła rozpaczliwie: „Cudu! cudu!"

Tak to wmawia w siebie racyę zbrodni zaprawdę w myśl nowej etyki Nietzschego, głoszącej nieodpowiedzialność człowieka za swe działania skutkiem braku wolnej woli.

Jest tedy Judasz Rostworowskiego jednolity, choć pełen sprzeczności, jak niejeden człowiek zresztą. I to właśnie, ten ludzki charakter, zlepek mocy, nieraz pozornej i wielu słabości, miłujący siebie nadewszystko, silny i słaby jednocześnie, mający chwile ocknień i uświadomień, ale i chwile rozpaczliwych pogrążań się w odmęt zła — ten charakter zapewnia kreacyi Rostworowskiego byt w literaturze naszej, bo jest oryginalny i wcale zajmujący. Nie ocala on atoli dramatu. Dramat po pierwsze chory na brak akcyi; zawiera się ona cała w jednem

działaniu: Judasz wydaje Chrystusa. To na pięć aktów za mało. Powtóre poza staranną psychologią Judasza — inne figury obu obozów blade. Jakże blady jest Piotr albo i Jan, gdy mówi, że „narody, żądzami poróżnione, idą społem i podnoszą ku niebu nie wesele, jeno kielich, napełniony krwią serdeczną"; albo i wszyscy razem tak bezradni i „przybici" sofisteryą Judasza! Jakże zabawny Kaiphasz, kiedy w sc. 4 akt. IV. pieni się i zgrzyta niepoczytalnie, burzy się z potężnym impetem dla... niczego, w pustkę, boć przecież nie dla Judasza, który już jak baranek uległy i pokorny.

Po trzecie dramat za mało realny. Analiza psychologiczna skupiła, zaabsorbowała wszystkie promienie talentu autora i pociągnęła widza w głąb duszy bohatera tak dalece, że to dzieło sztuki równa się filozoficznej rozprawie, a dla szarej rzeszy widzów mało jest dostępne. Po czwarte skutkiem tego przeważa w niem pierwiastek rozumowy i sprawia, że jest ono zimne. Prawie jedyną artystyczną przyozdobę dzieła stanowi zmienna, melodyjna, dobrze zestrojona z myślami, rytmika wiersza, zwięzły, oczyszczony z płytkiej i zdawkowej monety frazesu — język i wcale bogate słownictwo, jeżeli notabene pominiemy niekiedy trafiające się brzydkie słowa i zwroty, jak „sny wieżate", „póki nadzieją był gębaty", „ból coś warta" i t. p.

Zatem i ten dramat — choć dzieło niewątpliwego talentu — powiększa liczbę abstrakcyjnych pomysłów, egotycznych uniesień, zanadto indywidualizowanych uczuć, którym trzeba albo genialnej wielkości, albo... skazane na wyłączność i zapomnienie.

III. **Dramat obyczajowy.**

Drugą dziedzinę naszego obecnego dramatu tworzą obyczajowe i społeczne zagadnienia. Społecznych zagadnień życie dzisiejsze niesie ze sobą moc nieprzebraną, ale sztuka, jakgdyby zasugestyonowana przez osławione *Confiteor* Przybyszewskiego, nie lubi ich, unika i wprost lekceważy. Nawet dzielny Wyspiański, chadzający własnemi drogami, nawet ogromne powodzenie

Weseła na scenie, niezbicie dowodzące głodu artystycznych wrażeń tego pokroju, nie obaliło dotąd małostkowego uprzedzenia poetów dramatycznych, dobrowolnie zacieśniających swój widnokrąg do dogmatycznej formułki, jakoby „sztuka, mająca jakiś cel moralny lub społeczny, przestawała być sztuką". W wązkie ramki tej negatywnej i niedorzecznej zasady nie da się wtłoczyć niezliczona ilość arcydzieł wszystkich narodów i wszystkich wieków, boć jest rzeczą jak słońce jasną, że nie cel moralny strąca je zazwyczaj w toń zapomnienia, lecz brak warunków, znamionujących talent twórczy. Niewyczerpaną jest skarbnica moralnych i społecznych zagadnień, jak bezbrzeżną jest skala uczuć i myśli zbiorowej duszy żyjącego narodu. Zależy wyłącznie od wnikliwości wykształconej jednostki w tę zbiorową duszę, od talentu i od mocy opanowania środków artystycznych, czy dzieło twórcze z pod pras drukarskich wychodzi na świat, jak martwy płód poroniony, czy trwa w swym bycie, jak efemeryda, zależna od przyjaznych promieni dziennego światła, czy też jaśnieje jak gwiazda stała tak długo, jak długo naród lub ludzkość czuje i myśli. Mam słuszność. Przyznałby mi ją sam niefortunny kodyfikator wymienionej formułki, gdyby się umiał wzniesć na wyżynę takiej bezstronności, żeby zdołał rozróżnić sprzeczność, zachodzącą między własnym dogmatem artystycznym a własnemi dziełami. Wszakże jego ostatni dramat *Gody życia* — to analiza moralnej tezy.

„Koncepcya mego dramatu — są słowa Przybyszewskiego — najprostsza w świecie: los kobiety, którą szał miłości popchnął na drogę tego, co społeczeństwo nazywa występkiem i grzechem i która wskutek tego dostaje się w bezlitośnie miażdżące tryby obrażonego porządku społecznego".

Akcya ilustruje tezę tak:

Hanka Bielska uciekła od męża z Wacławem Drwęskim, pozostawiwszy Bielskiemu swą córkę. Ogarnęła ją tęsknota do dziecka. Wraca do Bielskiego, ale ten ją wypędza i nie pozwala widzieć się z córką. Staje się więc łupem Janoty, przyjaciela, który pod maską współczucia dla Hanki szukał nasycenia żądzy. Hanka skacze w przepaść, przez Żebraczkę wskazaną, jako

źródło ukojenia. Dramat rozumowany. Naogół dość zimny i bez impulsywnie wezbranych uniesień. W kompozycyi prosty, zwarty i mocny, jak wogóle dramaty tego autora. W kontrastach (Hanka-Wanda) i postaciach ubocznych pomysłowy i zajmujący t. j. wcale nie banalny (Janota-Zofia-Żebraczka). Retorycznie dosadny i w miarę obrazowy, co warto zaznaczyć, gdy się mówi o stylu tego autora. W języku poprawny, z wyjątkiem paru zgrzytliwych błędów, jak „rozprowadziłem wątek myśli pani", „czym panią czem nie uraziła", „ja potrzebuję tylko spojrzeć na twoją rękę", „nie lubię wkładać palcy". Dramat — jednem słowem — dobry.

Ale z jakiegokolwiekbyśmy punktu widzenia rzecz rozpatrywali, musimy orzec, że tendencya jego jest moralizującą.

W 1873 roku Eliza Orzeszkowa w swojej powieści p. t.: *Marya* dowodziła, że „rodzina może być zdrową i musi być szanowaną, choćby jej zabrakło wzajemnej miłości męża i żony". Przybyszewski kpi sobie z tej prawdy, bo Przybyszewski zna tylko instynkty, nie uznaje obowiązków. Czy tak czy owak atoli, czy przyznamy słuszność Orzeszkowej, czy Przybyszewskiemu, stanowczo musimy się zgodzić na jedno: są to dwa przeciwne krańcowo poglądy na — moralność. Nieporozumienie ofiarą polega na tem, że Przybyszewski czyni Hankę bezwolną tylko trybów porządku społecznego, myśmy zaś — z Orzeszkową na czele — skłonni przyczyny jej niedoli i samobójczej śmierci szukać w jej duszy, w jej własnej namiętności, nie krępującej się żadnemi prawami. A jeżeli poza tem Hanka ma jeszcze uchodzić za czyjąś ofiarę, toć chyba najpewniej nikczemnego obłudnika Janoty, adepta dwojakich praw: praw dla słabych i praw dla mocnych, „którzy na to stworzeni, by dla innych prawa pisać, którzy niczemu nie podlegają, ani podlegać nie potrzebują". (129). Kwestya stosunku dwóch płci, mówiąc jasno: kwestya wolnej miłości, nie krępowanej ślubem kościelnym, powtarza się w najnowszym dramacie tak często, w sytuacyach tak różnorodnych, w oświetleniu tak jaskrawem, jak gdyby autorowie dramatu i powieści uważali za konieczne dla odrodzenia narodu wszczepić mu tę chwalebną zasadę, że „pragnie-

nie macierzyństwa, choćby nieślubnego, jest oznaką uzdrowienia kobiecego instynktu" i że „zazwyczaj zawiera się związek ślubny po przyjściu na świat pierwszego dziecka".[1]) My sobie możemy to po staremu nazywać zwyrodnieniem moralnem; autorowie jednak dramatów lubują się w roztaczaniu przed okiem czytelnika i widza scen, w których rozwydrzone dziewki nietylko przodują w nieobyczajnych wymysłach, lecz radeby się uważać za pionierki wyższego porządku rzeczy lub za bohaterskie ofiary „miażdżących trybów" obrażonego społeczeństwa. Godzi się też to uznać prawie za objaw obyczajowo pomyślny, że tak mało dzieł podobnego stempla dostaje się na deski sceniczne, grzesząc przeważnie nieudolnością techniki dramatycznej. Nie posądzam zresztą o grzech ten Jerzego Żuławskiego, autora *Wianka mirtowego*. „Mam żywą sympatyę do *Wianka mirtowego* — pisze w ankiecie *Świata* autor — sztuki, którą grano w Warszawie bez znaczniejszego powodzenia".

Edward i Janka — narzeczeni. Edward uratował ojca Janki od bankructwa i jest dyrektorem jego kopalni nafty. Wraca jednak do domu Władysław, wychowanek rodziców Janki, przyjaciel Edwarda. Janka wmawia Władysławowi, że między nimi oddawna była miłość. Wychodzi za mąż za Edwarda, lecz pragnie na godzinę przed ślubem oddać się Władysławowi. Z Edwardem zrobiła handel obustronny. On dał... zamożność i spokój rodzicom, jej pogodę życia, a ona mu płaci... sobą. „Ale są we mnie — zapewnia — rzeczy, które nie mogą być przedmiotem handlu, takie święte rzeczy, które wolno mi dać tylko zadarmo. Dziś jeszcze rozporządzam tą nadwyżką wartości: mam jeszcze te usta nigdy nie całowane, mam te ramiona do uścisków tęskniące, mam tę pierś, która nie drgnęła dotąd przeczuwanym zaledwie spazmem rozkoszy, mam ten pierwszy krzyk miłosny, którego on nie zdołałby życiem opłacić"... „Otóż w ślubnej sukni przyjdę do ciebie i będę twoja — przez tę jedną, jedyną godzinę — ty, słodki kochanku mój!"

---

[1]) Key Ellen: *„Matka i dziecko"*. Warszawa 1909. Moszczeńska: *„Reformy w wychowaniu moralnem"*. Warszawa. Str. 37 i d.

Władysław walczy z pokusą, a na mgnienie oka przedtem, nim uległ — truje się.

Z pozoru dramat; akcenty silne; namiętności huczą. Władysław nawet ze swą walką wyrazisty i prowadzony przez autora do konkluzyi umiejętnie i efektownie. Ale śmierć Władysława nie jest końcową zmagań się wyniosłej i głębokiej duszy — ani uczuciem potężnej, ani wolą mocnej, ani rozumem w dal godzącej. Jest ona — ta śmierć — rezultatem intrygi nikczemnej kobiety i braku woli niewyrobionego wewnętrznie docenta. Gdyby miał dość hartu wykonać to, co uważał po rozwadze za uczciwe, toby się nie zabił, tylkoby owładnął swą żądzę, ukorzył się przed nakazem wewnętrznym, a może opamiętał lubieżną i bezwstydną dziewczynę. Śmierć tedy nie jest psychologicznem rozwiązaniem dramatycznego węzła, boć to właściwie tylko tchórzliwa ucieczka przed momentem, narzuconym mu obcą spekulacyą erotyczną i własnem wzburzeniem instynktu.

Nie warto doprawdy zastanawiać się nad takim dramatem, jak *Dzwonnik* Feliksa Lubieżyńskiego, w którym niema akcyi, ani jednej poważnie czującej i myślącej istoty, ani jednej z przejęciem utworzonej sceny. Są zaś znowu dwie rozigrane dziewki: jedna kandydatka na księżą gospodynią, Julka, ucząca księdza rozpusty i kradzieży, druga Rózia — niby trusia i niewiniątko, w istocie kochanka kolatora i samobójczyni. Jest oczywiście i głosiciel nowej religii, nowej etyki. Pragnie lud wyzwolić z przesądów, dać mu teatr i naukę zamiast religii. Wszystko to po prostu — głupie.

Bez wartości jest także dramat Leona Wiesenberga *Dwa światy*. Dwa światy — to starzy i młodzi; dwa światy — to szlachta i chłopi czy chłopomani. Ale nie chodzi tu wcale o nowe oświetlenie starego zagadnienia, tylekroć w literaturze naszej już omawianego. Chodzi o to, że starzy muszą pasować przed wybrykami młodych. Aniela, aby zyskać u rodziców zgodę na swój związek — skacze do stawu; Bronisława w tym samym celu zostaje nieślubną żoną i matką. Już stąd widoczna, jak naiwnie pomyślany konflikt. Gadulstwem i frazeologią zastępują się myśli i uczucia; wykrzywiona ironicznie maska wy-

obrażać ma niby treść ukrytą — w istocie pustkę. Brak szczerego talentu mści się na dziele — bez miłosierdzia.

Nie o wiele ponad mierność wzniósł się i Mieczysław Jarosławski w dramacie *Skazaniec*.

Tłem — wrzenie 1905 r. w Warszawie. Główną nicią dramatu miłość Marty i Romana, który ginie na szubienicy, ujęty w chwili rzucenia bomby. Marta pielęgnuje go w szpitalu, zanim się wyleczył z pokaleczeń, w naiwnej nadziei ocalenia go — oddaje się Nadzorcy. Po straceniu Romana w obłędzie kiepskim wierszem bredzi — niby Ofelia — podobnie, jak w tem swem niewczesnem oddaniu się poszła za wzorem bohaterki W. Hugo. Całość ma sporo werwy pisarskiej — i gdyby znowu nie beznadziejne umiłowanie frazesu w zamian za myśl czy obraz, gdyby nie szum i nie piana wzamian za poezyę, toby autorowi można było przyznać dar tworzenia dyskusyi. Dwie tylko postacie żyją w dziele: postać Naczelnika ochrany i jego Pomocnika. Dowcip, spryt, znajomość rutyny śledczej znamionują tę jedyną scenę dobrą w dramacie. Zwłaszcza momenty wzruszające trącą karykaturą, a modły ginącego Romana do natury i modły ateistki Marty nawet jako autosuggestya czynią wrażenie zgrzytu żelaza po szkle.

Podobny w zaletach i wadach dramat Mikołaja Muttermilcha *Listopad*. I tu problemat wolnej kobiety — Zofii, która zmienia kochanków, jak rękawiczki, pogardę głosi dla starości, że kładzie się przed młodością, jak kamień na drodze, nie chce małżeństwa, bo trzeba doń iść przez furtę kościelną lub kancelaryę urzędnika stanu cywilnego, zabija bez skrupułu, krótko mówiąc: jest w słowie i czynie bohaterką wyzwolenia kobiecego.

I w tym dramacie akcya wątła, postacie przerysowane, analiza duchowych stanów płytka, ale dyalogi pełne dowcipu, żywe i — co już rzadsze — tworzone impulsywnie.

Możnaby zamknąć przegląd mizernego plonu dramatu obyczajowego dzisiejszej doby. Jedynym gwoździem, który tkwi w głowach niby tych poetów i niby myślicieli, jest wyzwolenie kobiety z pod urojonego jarzma etycznej niewoli. Wyobrażają sobie raj na ziemi, gdyby kobieta ulegała tylko nakazom in-

stynktów. Mniejsza o wychowanie, o rodzinę, o organizacyę pracy, o gospodarcze postulaty, o obowiązki, o estetykę, o religię, mniejsza o tradycyę, o społeczeństwo, o naród, którego sercem bywała kobieta w przeszłości: rozbić taranem nowej etyki twierdzę skrępowań dawnej moralności, wmówić w nią, że jest tylko samicą, a gdy uwierzy, dodawać, że dopiero taka wiara uczyni ją człowiekiem! Krasiński niegdyś utrzymywał, że „cel Światów — szlachetnienie", że kto

Sennych zbudzi nie na ludzi,
Zbudzi sennych — na zwierzęta,
Miasto świateł wielkiej burzy
Ujrzy ziemskiej dno kałuży.
To nie polskie będą święta...

Ale oczywiście Krasiński ze swą ideologią należy do przeżytków. Bieda tylko, jak śmiesznie mało talentu w całem modnem apostolstwie nowego życia, jak dużo, dużo słów — przy braku cennej treści. Bądź rad czytelniku, jeżeli w beczce wody zdołasz wyczuć kroplę wina. Rozkoszuj się boskim nektarem.

Już też mistrzem w rozwadnianiu nikłej treści jest jeszcze jeden autor sztuk dramatycznych Adolf Nowaczyński. Może to i niedyskrecya, że *Nowe Ateny* i *Cyganeryę warszawską* pozwalam sobie omawiać na tem miejscu, gdyż pierwsza opatrzona podtytułem „satyry" na *Wielki Kraków*, druga tylko „sztuki w 4 ąktach". Ani to ani tamto — nie dramat. Ani komedya. Nie da się zaprzeczyć atoli charakteru obyczajowego i scenicznego układu obu dziełom. Stąd moja rezolucya. Czemże właściwie są te wielkie dyalogi o setkach stronic, naigrawające się lekceważąco ze wszelkich warunków sceniczności?

Nowe Ateny — są to spostrzeżenia kupieckiego komiwojażera, który dostrzega i bez tchu i bez krzty zmysłu krytycznego notuje mnóstwo rysów z łobuzowskim humorem. Lubi plotkę, jak kucharka. Niema w tej kupie plotkarskich śmieci ani odrobiny sentymentu. Są to wiwisekcye na organizmie zbiorowiska ludzkiego, dokonywane z wyrafinowaną i jadowitą złośliwością. Gryzie wcale nie sercem, lecz co się zowie żółcią i wątrobą, doszczętnie stoczoną przez chorobę, rakiem zwaną. Sączy zimną

żółć. Kraków, miłowany przez milion polskich dusz dla swych zabytków, do których przywarło tchnienie wieków, tych wieków, kiedyśmy to nie byli jeszcze bezkarnie poniewierani i potrącani oślem kopytem przez bylejakiego przybłędę, Kraków stary pokazał temu przecherze wyłącznie tylne swoje oblicze, a on naiwnie wziął je za prawdziwe i odmalował zarozumiale a bez troski ze sutym przyborem barw zielono i sinozgniłych.

Nowe Ateny — są to tasiemcowej długości dyalogi o wszystkiem i o niczem: o sztuce, przemyśle, polityce, wychowaniu, szkołach, towarzystwie, mieszczanach, urzędnikach, Żydach, kupcach, profesorach, księżach; o miłości i zasługach ludzi, o przemyśle, o handlu, kraju i zagranicy: o zagłębiu Dąbrowskiem i zagłębiu Krakowskiem, o parlamencie wiedeńskim i ministrach, o grze w karty, o muzyce i dziennikarstwie, o filologii, filozofii i naukach przyrodniczych i t. d., i t. d. Dyalogi pisane gorzej niż volapükiem, bo jakimś ohydnym żargonem rusko-żydowsko-niemiecko - angielsko - amerykańsko - rynsztokowym, naszpikowanym potworną ilością błędów, jakichby się powstydził najnieudolniejszy drugoklasista, a to nb. nie z winy karykatury, tylko z winy autora. Pisze on z zupełną swobodą: tem podobnych (stale!), plantowa mleczarnia, podworzów, nie stojąca w żadnej proporcyi, Prometeusz zkowany (stale!), taka bagaż, z po za (stale!), zpoważniały (stale!), Mochorta, wyanachoretycznionych, wolnem krokiem, z wypiekami na frontach (?), w szluzroku, tem gazem, chojne zaopatrywanie, najrasowniejszy, przecharakterystycznione, odwarzyliby się (od odwaga), klasycystyczna edukacya i bez liczby podobnych kwiatków — wszystko zaś przepisuję nie z dyalogów, lecz z objaśnień samego autora.

I tu, przy omawianiu utworów tego najokrutniejszego z piszących dziś gwałciciela mowy polskiej — niech mi czytelnik daruje to zboczenie od wątku — pozwalam sobie wtrącić uwagę ogólną o języku literackim. Przed laty dwunastu, pisząc o Młodej Polsce, cieszyłem się: „jest u niej pietyzm dla słowa polskiego, jest żywe i świadome pożądanie, aby wymieść z tego słowa wszelką banalność i obcość, wszelkie pospolite wyrazy, a drogie

kamienie wyobraźni zakuwać tylko w szczere złoto mowy ojczystej".[1])

W dziesiątek lat po mnie chwalił język modernistów A. Potocki, „że język ten poddawał się najchętniej wpływowi Słowackiego, to znaczy szedł w kierunku płynności stylu, posługującego się jak i Słowacki najchętniej bogactwem słownikowem, dbając nadewszystko o dosadność, obfitość i subtelność wyrazów, stwarzając je, znowu jak Słowacki, w miarę potrzeby, szukając ich w starej polszczyźnie i w gwarze ludowej".[2])

Śmiem zwrócić uwagę na to, że i stara polszczyzna i gwara ludowa dbały nadewszystko nie o dosadność, obfitość i subtelność wyrazów, lecz, nie zaniedbując zresztą tych ważnych właściwości mowy, dbały nadewszystko o swojskość wyrazów, tworząc zaś nowe, umiały je stosować do ducha ojczystej mowy, liczyły się z brzmieniem pnia wyrazów i na tym pniu osadzały nowe odrośle językowe. Tak czynił Rey, Górnicki i Skarga, tak nawet Kochanowski, zasadniczo mniej od nich oględny w tworzeniu wyrazów, bo zależny od teoryi brygady francuskiej, wyłożonej w manifeście Du Bellay'a: *Illustration de la langue française*. Dopiero wiek XVII, mniej pod tym względem wybredny, przyniósł nam różne: gorgi, forgi, końcenty, faryny, breklesty, falandysze, martauzy, kary (wóz), propozyty, forytaże, dziardyny, spezy, passy, suplementy, imprezy, kontemplatywy...

Nasi zaś wielcy romantycy z podziwu godną troską opiekowali się czystością i rodzimością mowy, żeby jej nie zachwaścić pomiotem obcych słów. Dość przejrzeć listy Mickiewicza z Kowna do Czeczota we Wilnie w okresie druku *Dziadów*, dość znać nalegania Słowackiego z Genewy o przysłanie dzieł złotego wieku, ażeby to sprawdzić. Kiedy w 1827 klassyk Morawski sarkał w satyrze *Do romantyków*, że piszą „gminnym i rozlazłym gwarem" — nie zdawał sobie sprawy, jak niewyczerpaną i bogatą skarbnicą żyjącego języka są narzecza ludu i do-

[1]) *„Młoda Polska"*, str. 148.

[2]) Antoni Potocki: *„Polska literatura współczesna"*. Cz. II., str. 337.

robek dawnych wieków. Czyż potrzeba, lekceważąc własny skarbiec, szukać pożyczek u obcych? A jednak ten sam Antoni Potocki, takie miodowe pochwały sączący ku czci języka modernistów, w swej prozie używa wyrazów: transponuje, esseje, enuncyacya, specyalizacya, obserwacya, akademizm, brutalizm, kodeksowość, indywidualizacya, „logizująca logika pozytywizmu", „salto mortale na trampolinach kazuistyki", pseudyzm, „supremacya logizmu", intellektualistyczny, pepiniera, przeliteraczone, skabotynienie, prymitywa, wyetnografizowane, dortuary, monochordy, symplifikacya, inercya, krystalizacya, „konwencya sensorium psychiki", „inteligencya funkcyonuje", „awatary przemian", odmuzealnił, perypetye, koncepcye; nie powie: główną myślą, tylko dominantą, nigdy nie powie: powaga, tylko autorytet, nigdy: chwała, tylko glorya, nigdy zaborczość — tylko ekspanzya i t. d.

Czy słowa te wzbogacają nasz język? One górę wybijają w naszym śmietniku językowym, tworzą jego brud i zakałę.

Kilka miesięcy temu Zuk Skarszewski w artykule p. t.: *Język zardzewiały* żalił się, że język się rozszczepia: pod piórem mistrzów słowa nabiera ustawicznie mocy i blasku; w naszych ustach i pod naszemi piórami kurczy się i karleje. Wskazywał prostą, krzepką i jędrną mowę chłopską — jako krynicę, skąd należy czerpać treść odżywczą. W odpowiedzi na ten odzew miłośnika ojczystej mowy Stanisław Kozłowski trafne czyni uwagi: „Posiadamy zbiory nowel i powieści, skądinąd niepospolitych, które pisane są nie po polsku, lecz w niezrozumiałej gwarze góralskiej, mamy tragedye nastrojowe w narzeczu mazurskiem, mamy historyczne dramaty z doby zamieszek moskiewskich, w których bohaterowie przemawiają po rosyjsku. Czy to ma być bogacenie naszego języka?" „Są jeszcze gorsze objawy. Są autorzy wzięci i utalentowani, którzy wcale pisać nie chcą po polsku, którym mowa Mickiewicza i Skargi nie wystarcza, którzy jej ani uprawiać, ani bogacić nie myślą, lecz za to mozolnie kują swój odrębny anglo-franco-warszawski volapük. A spotyka ich za to nie pomruk niechętny ogółu, lecz poklask i uznanie. Czem zachęceni autorzy naj-

młodsi o tem tylko myślą, w jakiej gwarze, w jakiem narzeczu, w jakim żargonie przemówić do ogółu, aby pognębić czytelnika"[1])

Uderz w stół — nożyczki się odezwą.

Nowaczyński w swoich *Meandrach*, które pod względem wiersza i języka są karykaturą *Meandrów* Felicyana, gdyż na 100 słów zawierają 50% obcego śmiecia — szydzi w sześciowierszu z urojeń tych, co pragną czyścić mowę:

Grasuje dziś nagminnie jakowyś styl suchy,
Afektowanie czysty, w frazesach przerosły,
Eufemizmami spuchły, głupkowato wzniosły...

Otóż przyczyny kurczenia się i karlenia potocznej mowy naszej szukać trzeba nie w rozszczepieniu się na język literacki i potoczny, lecz w tem, że mowa ukształconej warstwy przeistacza się pod wpływem nie Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza czy Żeromskiego, lecz pod wpływem niezliczonej rzeszy piszących partaczy, którzy zastępują drogę przeciętnemu czytelnikowi ze swemi książkami, broszurami, artykułami w domu, czytelni, kawiarni, sali wykładowej, na każdym kroku i w każdej porze dnia i nocy. Książka, broszura, dramat, wiersz, artykuł dziennikarski, partackim językiem kaleczone a wciąż i natrętnie zaspokajające głód spółczesnego czytelnictwa, muszą przyjąć na siebie odpowiedzialność za zepsucie szarej naszej mowy. One to stanowią kanał, którym szeroką strugą spływa brud zepsuty. I gdyby nareszcie zechcieli zrozumieć doniosłość odpowiedzialności za czystość i piękność szarej, codziennej mowy ci wszyscy dramaturgowie, komedyopisarze, dziennikarze, przygodni krytycy, reporterzy, wykładacze, mowcy i politycy tłumów, toby kształcili i wzorowali się nieustannie na arcydziełach prozaików i poetów dawnych wieków i obecnej doby, a nie kusili się tak łacno o nowotwory językowe, jak to n. p. czyni Nowaczyński w swoich niby dramatach z przeszłości. Jednem z ostatnich dzieł jego napoły historyczna, na poły obyczajowa sztuka p. t.: *Cyganerya warszawska*.

Było to literackie towarzystwo w Warszawie w latach

[1]) „*Świat*" r. 1912, nr. 14. i 23.

1840—43 [1]). Józef Bohdan Dziekoński, syn dyrektora gimnazyalnego, Roman Zmorski, zdolny malarz Brodowski, pełen talentu poeta Wł. Wolski, Karol Witte, Ludwik i Cypryan Norwidowie, Teofil Lenartowicz — składali owo koło literackie, którego część oddawała się nocnym hulankom w Zajeździe Bawarskim, pod Białym koniem, u Grassowa, a nawet u Ryfki Pułtuskiej nad Wisłą. Ale n. p. ani Norwidowie, ani Lenartowicz, ani Witte nie hołdowali pijatykom i włóczęgostwu. Były to lata krwawego ucisku mikołajewskiego. Kiedy Ujejski w 1844 r. odwiedził Warszawę i poznał całą ówczesną niedolę zakordonowego społeczeństwa, pisał:

W ciągłych męczarniach oko moje wodzę
I wszystko widzę pod siłą zaklęcia;
Panie! ja widzę, jak matce niebodze
Wróg małe dzieci wyrywa z objęcia,
Potem je rzuca na krawędzie lodu,
Żeby wytępić szczep mego narodu.
I widzę w puszczach związany w szeregu
Lud, biczowany i głodem i mrozem, —
Giną bez wieści! — i tylko po śniegu
Iście ich znaczy krew starta powrozem;
Panie! czyż krew ta, wylana pod biczem,
Na naszej szali pokuty jest niczem?

(*Gęśl Jeremiasza*).

Grupa zaś owych młodych ludzi nie odstrychnęła się wcale od społeczeństwa, jak to mylnie utrzymuje Witkiewicz. Tem właśnie różnili się od cyganeryi paryskiej, to właśnie ich „ratowało, czyściło moralnie"; „żywili oni w sobie święty ogień — kochałem ich" — zeznaje Lenartowicz. Bujny temperament, gorące umiłowanie ludu, ostry ton, pewna przesada polotu wyobraźni, przejęta od autorów niemieckich, jak E. T. Hoffmann, Scheffel, Grabbe, a równocześnie pogardliwe traktowanie nakazów ładu, przestrzeganych przez rząd rosyjski i pewna żywio-

[1]) Pisali o Cyganeryi lub o Cyganach Marrené Morzkowska, Aleksander Niewiarowski, Paulina Wilkońska, Adam Pług, Piotr Chmielowski, St. Witkiewicz, Teofil Lenartowicz i inni.

łowa jaskrawość protestu wobec ucisku: takie miało znamiona owo gronko łobuzów, ów *Cech głupców*, spokrewniony niewątpliwie w złych i dodatnich właściwościach zarówno z kresowymi bałagutami i skórkowymi, jak z młodzieżą towarzystwa filodemicznego na Rusi, Litwie i Wołyniu.

To mówi historya literatury.

A Nowaczyński w swej czteroaktowej sztuce?

U Nowaczyńskiego szasta się po scenie kilku wygłodzonych oberwańców z jarmarcznej budy cyrkowej w dobranej komitywie paru ulicznych dziewek, nic już do stracenia nie mających, bezdennie głupiego majstra szewskiego, kryjącej się wstydliwie za parawanem hr. Laury, niby typu, w istocie zaś karykatury kobiety wyższego świata tej doby i paru słomianych manekinów ze szlachty ziemiańskiej, których rola równa zeru. Cała ta zgraja miota się i gada, gada, gada — bez myśli, bez celu, nieraz bez sensu. O co im właściwie chodzi? Do czego dążą? Co chcą obalić, co chcą wznieść? Czy po Mickiewiczu i Słowackim mógł uważać się za poetę Lesław, po częstochowsku rymujący gramatyczne końcówki? Czy można sobie wyobrazić tak dziecinnie naiwne gronko ludzi, którzyby za taką poezyę bili wierszoklecie „w entuzyazmie frenetyczne“ oklaski? Czy można sobie wyobrazić, choćby się znało językowe dziwactwa Kamińskiego lub Trentowskiego, takiego Gorgoniusza, który w mowę swą wbija razwraz jak ćwieki wyrazy: zwałaszony, obczysty, pieniądzaż (ma to znaczyć: bankier, ale pisanę przez ż!), złozwiązku, zaufnictwo (ma znaczyć: kredyt), wzew (ma znaczyć: oda), co mu zresztą wcale nie przeszkadza sypać do swych przemówień drugie tyle śmiecia obcego?

Świętą prawdę powiedziała jedna tylko Laura: wszyscy w tej „sztuce“ „wierzgają ciągle konceptami, z których sami się śmieją do rozpuku. Pani de Sevigné najwięcej bała się takich, co są cały dzień dowcipni“... Laurze zresztą wymknęła się ta prawda chyba wbrew jej świadomości, bo i ona tylko udaje przed tymi małomiasteczkowymi geniuszami z Powiśla, że zna Wenecyę, Rzym i Paryż. Gdyby znała rzeczywiście, toby nie posyłała Kamila do salonów „dobrej pani Klaudyny“ w Pa-

ryżu, boby wiedziała, że „dobra pani Klaudyna“ od r. 1836 spoczywa na cmentarzu w Genewie.

Słowem *Cyganerya warszawska* Nowaczyńskiego ma wszelkie znamiona naszej komedyi żebraczej, jest w wysokim stopniu sowizdrzalską, przypomina owych przedwiecznych *Scylurusów*, owych plebańskich *Albertusów*, z wojny i na wojnę idących — a to zarówno w pomyśle, jak w stylu i języku. Pieprzny przysmak ordynarnego paszkwilu stanowi główną jej zaprawę i główną siłę. (C. d. n.).

Antoni Mazanowski.

Wujek w świetle nowo odkrytej korespondencyi.

(C. d.).

III. Prokuratorem powtórnie do Rzymu i wizytatorem kollegiów polskich 1584—1587.

Z końcem marca 1584 zawitał Wujek szczęśliwie do Jarosławia. Lubił to zdrowotne miejsce nad wartkim i spławnym Sanem, podobnie jak Piotr Skarga. Ale jak Skardze w r. 1593,[1] tak i obecnie Wujkowi nie dano tutaj dłuższego, dobrze zasłużonego spoczynku. Na kongregacyi prowincyonalnej, odbytej w Kaliszu 10 maja 1584, wybrano O. Wujka powtórnie prokuratorem do Rzymu, ażeby tam zdał relacyę generałowi Akwawiwie o stanie prowincyi polskiej, a zarazem przedstawił żądania, jakie uchwalono na owej kongregacyi kaliskiej, mianowicie sprawę przyszłej fundacyi kollegium w Kaliszu i Gdańsku, prócz tego sprawę przekładu Biblii na język polski i wiele innych. O pierwszej z tych fundacyi marzył na seryo prymas Stanisław Karnkowski, arcybiskup gnieźnieński, o drugiej zaś Hieronim Rozdrażewski, biskup włocławski.[2] W tym celu jeździł Wujek osobno do Kalisza w czerwcu 1584. W czasie tej podróży przenocował w Pyzdrach, gdzie odprawił mszę św., a na prośbę kaznodziei i mieszkańców tego miasta powiedział ex tempore kazanie i był ugoszczony obiadem u jednego z obywateli. W Kaliszu, spotkawszy się z pry-

[1]) Listy Skargi, nr. 119, 120.

[2]) Listy Hieronima Rozdrażewskiego, z Wolborza 11 sierpnia 1582 i z Raciąża 4 maja 1584, do Stanisława Warszewickiego.

masem, swym dawnym przyjacielem, przepędził z nim dłuższe chwile na miłych rozmowach o tej przyszłej fundacyi kaliskiej i innych bieżących kwestyach.[1]) W lipcu i sierpniu miewał kazania we Lwowie, dopóki w jesieni nie odjechał, jako prokurator do Rzymu, skąd dopiero z początkiem roku 1585 powrócił do Polski.

W maju tego samego 1585 roku spotykamy go w Brunsberdze, w ziemi warmińskiej nad morzem bałtyckiem. Wysłał stąd list do generała Akwawiwy, donosząc mu, co czuł i myślał o O. Antonim Possewinie. Przygotował w tym czasie O. Possewino dzieło o Kościele przeciwko Dawidowi Chytreuszowi,[2]) uczniowi Filipa Melanchtona, a głośnemu koryfeuszowi augsburskiego wyznania. Porządkował je właśnie i poprawiał uczony teolog, O. Wawrzyniec Artur Faunt, zanimby oddano je pod prasę drukarską. Mimo to wszystko, wiele tam jeszcze w tym rękopisie O. Possewina znalazło się rzeczy, które zdaniem Wujka nie dosyć ściśle i gruntownie obrobione były. Dlatego zwrócił na to uwagę, naprzód prowincyałowi Campanowi, a potem samemu generałowi Akwawiwie, ażeby ta publikacya nie zaszkodziła w czem dobrej sławie zakonu. Nie dlatego to piszę, jakobym chciał oskarżać O. Possewina. Uchowaj Boże, bo czemże ja jestem? Lecz dlatego, ażeby Przewielebność Wasza mocą swego urzędu opatrzyła dobrze, coby mogło posłużyć ku większej chwale Bożej.[3])

Prowincya zakonna polska posiadała już wtedy kollegia, nie tylko w Koronie, ale także na Litwie, w Siedmiogrodzie, a nawet w Inflantach. Jednemu wizytować te wszystkie kollegia na tak ogromnej przestrzeni niełatwo przychodziło. Bo, jak powiada Skarga na jednem miejscu, z Krakowa do Dorpatu jest dalej, aniżeli z Krakowa do Rzymu; z Krakowa bowiem do Wilna 110 mil, z Wilna do Rygi 43, a z Rygi do Dorpatu 40.[4])

[1]) Korespon. nr. 63.

[2]) Anton. Possevinus: Notae divini verbi et apostolicae ecclesiae fides... adversus responsum cuiusdam Davidis Chytraei. Posnaniae 1586.

[3]) Korespon. nr. 64.

[4]) Listy Skargi nr. 102.

Dlatego z woli generała Akwawiwy zamianowano z wiosną 1586 O. Wujka wiceprowincyałem polskim z pełną władzą, jaką posiadał sam prowincyał O. Campano. Od 2 lipca aż do 26 października 1586 wizytował on ustawicznie kollegia w Poznaniu, Kaliszu i Pułtusku, nie lękając się wcale morowej zarazy, która w tym czasie czołgała się już powoli po Wielkopolsce, a nawet w kollegium poznańskiem trzy ofiary zabrała ze sobą. Zmarli tam w październiku: O. Stanisław Dobrzycki, Baltazar Rudomina, słuchacz filozofi, i brat Łukasz Tłukomski. Wiele podczas tej wizyty załatwił spraw, wiele fundacyjnych uporządkował rzeczy, a między niemi najważniejsze to, że kollegium kaliskie odstąpiło wieś Sławno kollegium poznańskiemu, to zaś kaliskiemu oddało wieś Bochlewo. Była to bardzo szczęśliwie obmyślana wymiana, z czego jedna i druga strona zadowoloną była. Cieszył się przedewszystkiem z tego, że jego dawne marzenie urzeczywistniło się wreszcie, bo w kollegium poznańskiem kwitła już filozofia i teologia, wykładana przez profesorów tej miary, jakim był O. Fabrycy Pallavicini i O. Alfons Pisano, przedtem profesor teologii na wszechnicy w Ingolsztadzie. Wogóle mówiąc, bardzo korzystne odniósł wrażenie z wizyty swojej, o czem z wielkiem zadowoleniem donosił szczegółowo Akwawiwie w Rzymie.[1])

Wśród owej nużącej pracy nabawił się reumatycznych cierpień, dlatego z początkiem września 1586 przyjechał do Krakowa, mając niebawem podążyć do wód leczniczych w Piszczanach, między Trenczynem a Tyrnawą na Węgrzech. Kiedy już wybierał się w drogę do Węgier, nadszedł list z zamku Kövár od O. Andrzeja Busau do Piotra Skargi. Nie było go wówczas w Krakowie. Otworzył więc ten list Wujek i wyczytał w nim z niemałem przerażeniem swojem, że w lipcu i sierpniu 1586, w czasie morowego powietrza, grasującego w Koloszwarze, Białogrodzie i Waradynie, zmarło wraz z rektorem O. Capeciuszem Jezuitów 30. A byli tam pomiędzy nimi niektórzy bardzo utalentowani ludzie, jak rektor Ferdynand Capeci, Neapolitańczyk, od samego Akwawiwy nazwany mężem według serca Bożego; O. Michał Rypiń-

[1]) Korespon. nr. 65, 66, 67, 68.

ski, prefekt seminaryum ; O. Jan Ardulf, Tyrolczyk, wychowanek niegdyś Collegium Germanicum w Rzymie, potem w r. 1579 towarzysz O. Possewina do Szwecyi, wreszcie profesor w Koloszwarze łaciny i greki ; O. Piotr Szydłowski, obznajomiony już dobrze z językiem węgierskim ; nakoniec brat Urban Schipper, rodem z Prus, lat 29 liczący zakonnik, nadzwyczajnych zdolności rzeźbiarz, rytownik, malarz i złotnik. W Koloszwarze zaledwie pięciu pozostało przy życiu, którzy wczaś w zamku Kövár, starosty Krzysztofa Kereszturi, znakomitego katolika, gościnny dla siebie znaleźli przytułek ; w Colosmonostra ocalał tylko brat Szymon Rasz, rodem z Prus, który w czasie epidemii wszystkim usługiwał i wszystkich pochował. Uwiadomił Wujek czem prędzej o tem Akwawiwę, potem udał się do Piszczan, a pod koniec października dokończył wizytacyi kollegium w Pułtusku. Wizyty jednak w Brunsberdze nie mógł odbyć w tym roku, bo rektor tegoż kollegium, O. Fryderyk Bartcz, bawił właśnie w Wilnie, obradując wspólnie z prowincyałem Campanem nad tak zwaną „Ratio Studiorum“,[1]) którą generał Akwawiwa do pojedynczych prowincyi, w celu bliższego zbadania i ocenienia, świeżo rozesłał, zanimby ogólnie przyjętą i wprowadzoną została. Cenzorował ją również osobno O. Wujek, a zdanie swoje o niej na piśmie wyraił.[2])

Morowe powietrze poczyniło ogromne spustoszenie w siedmiogrodzkich domach. Zabolał nad tą stratą król Stefan Batory,[3]) nie przeczuwając jeszcze, że on sam 12 grudnia tego roku pójdzie za nimi do grobu.[4]) Kim tu zapełnić tak wielkie luki? Skąd dostać profesorów do szkoły i seminaryum w Koloszwarze na miejsce pomarłych? Wobec tego w niemałym kłopocie znalazł się prowincyał polski, O. Campano. Król Stefan Batory domagał

[1]) Ratio atque institutio studiorum per sex patres ad id iussu R. P. Praepositi Generalis deputatos conscripta. Romae 1586.

[2]) Korespon. nr. 69, 70.

[3]) List jego w tej sprawie, pisany w Grodnie 29 sierpnia 1586, do Klaud. Akwawiwy, cf. Veress: Fontes T. II. p. 181.

[4]) Ostatnie chwile życia i śmierć króla Stefana, opisał naoczny świadek O. Marcin Laterna, w liście do Akwawiwy, datowanym w Grodnie 15 grudnia 1586. Veress: Fontes T. II. p. 195.

się koniecznie, żeby O. Wujka wysłano ponownie do Siedmiogrodu. Nie odmawiał swej pomocy ten posłuszny i wielkoduszny mąż, choć w jednym liście, wspominając o tych trudnych siedmiogrodzkich stosunkach, wcale nie dwuznacznie powiedział: Poznałem ja dobrze te węgierskie umysły i doświadczyłem, jak to jest trudno rządzić i kierować nimi. Wiem także o dwóch naszych Węgrach, zniechęconych do mnie. Ale dodał zarazem: Jeżeli nie może odejść ode mnie ten krzyż, tylko żebym go dźwigał, niech się dzieje wola Boża. Jednakowoż pragnąłbym bardzo żeby naszym pracom w Siedmiogrodzie, z poświęceniem zdrowia i życia, odpowiadał stosowny owoc. Albowiem, jak niegdyś Węgry nazwano grobowcem Niemców, z powodu rozlicznych klęsk, jakie tam ponieśli, gdy chcieli Węgry odzyskać z przemocy Turków, tak też słusznie Węgry grobowcem Jezuitów możnaby nazwać, bo w czasie morowej zarazy tylu pochłonęły naszych.[1]) O. Mateusz Struś, który w czasie owej pamiętnej katastrofy szczęśliwie ocalał, przesłał Akwawiwie pod dniem 2 lutego 1587 dokładną liczbę zmarłych w Koloszwarze. Podług niej i wymienionej już wyżej relacyi O. Andrzeja Busau, zmarło w Koloszwarze 23, w Białogrodzie 4, w Waradynie 2.

IV. Wiceprowincyałem w Siedmiogrodzie 1587—1589.

Wyludnione w r. 1586 siedmiogrodzkie domy, nie tak prędko uzupełniono nowymi członkami. W lutym 1587 składało się kollegium w Koloszwarze z 12 członków, szkoła liczyła zaledwie 40 uczniów, natomiast w grudniu tego roku już przeszło 70. W czerwcu tegoż roku znajdujemy już w Koloszwarze członków zakonnych 15, między nimi 5 księży, a Polaków ogółem 8 z O. Mateuszem Strusiem na czele; w Waradynie 3 członków; w Białogrodzie 12, między nimi 6 księży, a Polaków ogółem 5 z O. Jakóbem Wujkiem na czele.[2])

Na dzień 12 lipca 1587 zwołano kongregacyę prowincyonalną w jarosławskiem kollegium. Brał w niej udział także O. Wujek.

[1]) Koresp. nr. 65, 71.

[2]) Veress: Fontes T. II. p. 207, 210—214.

Dnia 2 sierpnia odjechał stąd napowrót do Siedmiogrodu, a pod koniec tego miesiąca stanął już w Białogrodzie. Jako wiceprowincyał, miał tu w Siedmiogrodzie niemałe do spełnienia zdanie, które ostatecznie z końcem roku 1588 zakończyło się epizodem smutnym. Zarząd kollegium w Koloszwarze poruczył O. Leonardowi Rubenowi, z Rygi sprowadzonemu. Zamianował nowych przełożonych w Białogrodzie i Waradynie, obsadził katedry szkolne, tak w gimnazyum jak i w seminaryum papieskiem, zdolnymi profesorami, z Polski, Austryi, Hiszpanii i Włoch powołanymi. Popłacił wreszcie różne długi, jakimi od r. 1584 aż do tej doby seminaryum w Koloszwarze obciążonem było, otrzymawszy na ten cel naprzód 1000 talarów, potem znów 872 od Jana Géczego (Géczi), gubernatora siedmiogrodzkiego, który rządził tą prowincyą w imieniu młodego księcia. Oprócz trosk o te wszystkie domy, był też Wujek w Białogrodzie wychowawcą księcia Zygmunta Batorego, na wyraźne życzenie zmarłego króla, Stefana Batorego. Codziennie 10 godzin poświęcał tej edukacyjnej pracy: przed południem przez 3 godziny miewał z nim lekcye, tyleż godzin po południu; dwie godziny obracał na obiad i rekreacyę z księciem po stole, tyleż godzin na kolacyę i rekreacyę wieczorną. Towarzyszył też księciu w jego podróży po kraju. A ponieważ w tej pedagogicznej pracy rozglądał się za pomocnikiem i zastępcą swoim, takich wskazówek udzielił Akwawiwie w Rzymie: Wychowawcą księcia powinien być człowiek dojrzały, doświadczony, dobrze uczony w filozofii, teologii i kontrowersyach, czyli kwestyach spornych; biegły w językach, przytem wymowny, dobry humanista i historyk. Tego wszystkiego potrzeba na dworze księcia, tem bardziej, że on sam wkrótce, jak się spodziewamy, obejmie ster rządu. Najodpowiedniejszym moim zastępcą w wychowaniu księcia może być O. Hieronim Fericelli, świeżo przybyły z Włoch, gdyż O. Jakóba Kaliskiego, trapionego gorączką, odesłałem do Polski.

Młody książę, podrastając w lata i wzbogacając swój umysł potrzebnemi naukami, żywił jak najlepsze zamiary. Zapragnął mieć Sodalicyę, czyli Kongregacyę Zwiastowania N. Maryi Panny w swoim stołecznym Białogrodzie, więc O. Wujek, uzy-

skawszy pozwolenie Klaudyusza Akwawiwy z 27 sierpnia 1588, zaprowadził ją w tem mieście, na wzór „*primariae Sodalitatis Romanae*“.[1])

Z początkiem listopada 1587 zebrał się sejm w Koloszwarze. Z tego powodu przybył tu z Białogrodu 15-letni książę Zygmunt Batory. Przyjmowano go uroczyście w Kollegium, w Seminaryum papieskiem i w Kongregacyi Maryańskiej. Na jego cześć wygłoszono mowy, deklamowano wiersze, odegrano wreszcie komedyę o św. Szczepanie, królu węgierskim (1000—1038). Przysłuchiwał się także dyspucie filozoficznej; przygotowano nawet na jego przyjęcie dysputę teologiczną o „Bóstwie Chrystusa Pana“, ale gubernator Géczy, kalwinista z Dalmacyi, lękając się rozruchów różnowierczych, nie pozwolił na to. Na tym koloszwarskim sejmie innowiercy wszystkie wytężyli siły, ażeby Jezuitów, jako bałwochwalców, wydalić z Siedmiogrodu. Bałwochwalstwem nazywali oni katolicką wiarę, lecz my — powiada Wujek — wykażemy w osobnej apologii po łacinie i węgiersku, że nie jest bałwochwalstwem kłaniać się Chrystusowi jako Bogu, wzywać na pomoc Świętych oraz czcić ich relikwie i obrazy, pokłon czynić obecnemu w Najśw. Sakramencie Chrystusowi Panu. Domagali się usilnie u księcia, w imieniu całego senatu, wydalenia bałwochwalców z kraju, lecz on kazał im o tej sprawie zamilczeć; zresztą dla pewnych politycznych powodów, najbardziej zaś ze względu na pamięć zmarłego króla Stefana i brata jego, zmarłego księcia Krzysztofa, odstąpili na razie od swoich żądań.[2]) Jezuici jednak z tego zdarzenia smutne dla siebie na przyszłość wyciągali wnioski; ich trapiące przeczucie spełniło się niezadługo w rzeczywistości.[3])

---

[1]) Veress: Fontes T. II. 242.

[2]) Korespon. nr. 72, 73.

[3]) Pod dniem 27 listopada 1588 z Lublina, donosi Stan. Warszewicki Akwawiwie w Rzymie: „Cum has finirem, venit in equo nuncius a P. Viceprovinciali Transsilvaniae [Iacobo Wuieco], celeriter contendes ad R. P. Provincialem [Ioannem Paulum Campanum], cui significat, in conventu quodam nobilitatis in Transsilvania omnino conclusum esse, ut in proximis comitiis, quae celebrari debent ad festum Trium Regum, decretum fiat de nostris ex provincia illa eiiciendis; rogat, ut P. Provincialis quamprimum veniat. Haec si Ptas Vra ex me primum intellexerit, facile animadvertit, quid in eo periculo sit agendum“.

Zaledwie dwa lata upłynęły po śmierci króla Stefana Batorego, aliści odmieniła się nagle postać rzeczy. Młody książę Zygmunt, syn i następca księcia Krzysztofa Batorego, nie miał tej nieustraszonej odwagi, jaką odznaczał się król Stefan. Rządy kraju, jak już nadmieniłem wyżej, sprawował gubernator Géczy. Powoli zagarnął on zarząd skarbu i komendę nad wojskiem, stał się de facto panem Siedmiogrodu. Przemożna partya kalwińsko-aryańska, nie obawiając się już nikogo, na sejmie w Medgyes (Meggies) 21 grudnia 1588, naparła na 16-letniego księcia Zygmunta, aby Jezuitów, jako bałwochwalców papizmu i przewrotnych nauczycieli młodzieży, wypędził z księstwa. Wprawdzie oparł się temu książę i odmówił podpisu na dekret wygnania. Pamiętał bowiem na te słowa, jakie mu przekazał w testamencie swoim król Stefan Batory: „Do ciebie się zwracam najmilszy bratanku, książę siedmiogrodzki Zygmuncie Batory. Jeśli ci jest drogiem dobro duszy i ojczyzny, strzeż i broń kollegiów w Koloszwarze i Białogrodzie, które ja ufundowałem z twym ojcem".[1]) Wtenczas partya różnowiercza zwróciła się do gubernatora Géczego i, pozyskawszy sobie poparcie jego i wojska, wznieciła rozruch. Przeląkł się książę, obawa utraty korony przeważyła nad innymi względami. Pomimo przedstawienia i mocnego protestu, jaki założył na sejmie w Meggies O. Wujek po łacinie, O. Arator po węgiersku tudzież przedstawiciele katolickiej partyi, w sam dzień Bożego Narodzenia 1588 podpisał, choć niechętnie, banicyjny dekret.[2]) Zapomniał snadź w tej chwili o przestrogach, otrzymanych od papieża Sykstusa V., oraz o własnych obietnicach, jakie poprzednio Akwawiwie uczynił.[3])

---

[1]) Wielewicki: Script. rer. polon. T. VII. 122—123.

[2]) List Leonarda Rubena, pisany w Koloszwarze 30 grudnia 1588, cf. Dyaryusz Stan. Reszki, Rękop. Akad. Umiej. w Krakowie nr. 964. — Zob. także Veress: Fontes T. II. p. 242—251, 254—263.

[3]) Papież Sykstus V., dowiedziawszy się o tem, że niektórzy niegodziwi ludzie usiłują wydalić z Siedmiogrodu zakon, pisał do księcia Zygmunta Batorego pod dniem 22 sierpnia 1587 r. i prosił go o to, ażeby wszelkiemi siłami udaremnił ich zamiar. W liście do Akwawiwy, z Koloszwaru 19 listop. 1587, obiecywał uroczyście tenże książę Zygmunt, że jak poprzednio król Stefan Batory, tak i on przyjacielem i obrońcą zakonu pozostanie nadal. Veress: Fontes T. II. 215, 228.

Korzystając z tego rozjuszony tłum, rzucił się na kollegium w Koloszwarze. Wśród najtęższych mrozów, wszyscy Jezuici, nie wyjmując nawet ciężko chorego O. Jana Lelesza w Białogrodzie, zmuszeni byli opuścić swój dom i pójść na wygnanie; jedni do Polski, drudzy do Austryi, inni do Mołdawii, gdzie ich książę Piotr Kulawy „Schiopul" gościnnie przyjął i pole pracy im otworzył. Jan Géczy zaś, dręczony wstydem i wyrzutami sumienia, że uległ namowom, że złamał słowo, dane niegdyś w Grodnie, że zdradził zaufanie swego pana i dobroczyńcy, króla Stefana Batorego, wnet potem w Białogrodzie (7 stycznia 1589) życia dokonał.[1]) Żałował swego kroku i książę Zygmunt. W listach do papieża Sykstusa V i generała Akwawiwy tłumaczył się tem, że to przymuszony uczynił. W siedm lat niespełna potem przywrócił na nowo w Siedmiogrodzie zakon, jak niżej zobaczymy.

V. Przełożonym domu u św. Barbary, prokuratorem po raz trzeci do Rzymu i pisarzem w Krakowie 1589—1595.

Po tych smutnych wypadkach w Siedmiogrodzie, O. Wujek wracał do Polski. Po drodze jednak zatrzymał się w Mołdawii, odwiedzając tam misyonarzy polskich: O. Justa Raba, Krakowianina, i O. Jana Kuniga, których właśnie we wrześniu 1588 O. Stanisław Warszewicki, rektor kollegium lubelskiego, na wyraźne życzenie nuncyusza apostolskiego, Annibala de Capua, sam osobiście wśród grasującej epidemii do Mołdawii odwiózł, a pozyskawszy wielką przychylność księcia mołdawskiego, Piotra Kulawego, osadził ich tymczasem w Roman.[2])

W maju 1589 O. Stanisław Rozdrażewski wyjechał do Pragi z kardynałem Jerzym Radziwiłłem, biskupem wileńskim. Na

[1]) Anton. Socher: Historia Provinciae Austriae Soc. Iesu 1540—1590. Viennae 1740 fol. 404.

[2]) Szczegóły o tej całej podróży z Lublina, od 15 sierpnia do 2 września, przez Zamość, Lwów, Jazłowiec, Czerniowce, Stefanesci, aż do obozu księcia mołdawskiego pod Vaslui koło Jass, w listach Stan. Warszewickiego z 7 września, 22 i 24 paźdz., 9, 15 i 27 listop. 1588 r.

jego miejsce zamianowano O. Wujka superyorem domu św. Barbary. W pierwszym zaraz roku przełożeństwa swego w Krakowie pomyślał o nowej ozdobie kościoła. W wieżyczce, czyli sygnaturce, wzniesionej na szczycie kościoła znacznym kosztem 1588,[1]) umieścił dwa dzwony, istniejące po dziś dzień w całości. Na powierzchni większego dzwonu widnieje odlany grubemi cyframi rok 1589, pod nim zaś odlany obraz Pana Jezusa ukrzyżowanego z Matką Boską i św. Janem po bokach. Na mniejszym dzwonie widzimy w czterech miejscach rozmieszczone znane monogramy I H S, poprzegradzane obrazami, przedstawiającymi jakieś sceny, których jednak z powodu czarnej, wiekowej powłoki nie podobna rozpoznać. Górną koronę dzwonu zdobi winieta z napisem z Psalmu 150: „Laudate eum in cymbalis bene sonantibus".

Potem zabrał się do załatwienia innych bieżących spraw. Otrzymał właśnie w tym czasie list od generała Akwawiwy, datowany w Rzymie 11 maja. Cóż on zawierał w sobie? Przeciwnicy zakonu rozpuścili pogłoskę, że Jezuici z Siedmiogrodu dlatego wydaleni zostali, ponieważ zamierzali wydać ten kraj w ręce Austryaków. O. Wujek dał na to niebawem filozoficznie sformułowaną odpowiedź, wykazując dobitnie, że w całym tym zarzucie nie ma ani słowa prawdy; że dlatego jedynie wydalono zakon, ponieważ partya kalwińsko-aryańska, rządząca w tym kraju, nie mogła znieść i ścierpieć nadal zakonu. Odwołał się przytem na O. Leonarda Rubena i nuncyusza apostolskiego, Annibala de Capua, który już dokładnie poinformował o tem papieża Syktusa V. Prócz tego udał się O. Wujek do kardynała Andrzeja Batorego, generała Bożogrobców w Miechowie. Nie zastał go jednak w domu, bo wyjechał stąd na inny odległy folwark, przedstawił mu zatem rzecz całą na piśmie.[2]) Wkońcu

[1]) Blachę ołowianą na obicie wieżyczki darował król Zygmunt III., belki zaś potrzebne Mikołaj Zebrzydowski. Budowniczym był Daniel Zaidlitz, mieszczanin krakowski. Wielewicki: Script. T. VII. 123.

[2]) Że ta sprawa kardynałowi Batoremu mocno leżała na sercu, dowodzi jego list z dnia 1 lipca 1591, pisany do papieża Grzegorza XIV, w sprawie przywrócenia Jezuitów do Siedmiogrodu. Czytamy w nim między innemi: Dum Illusstrissimus Princeps Transsilvaniae, frater meus charissimus, adhuc esset minorennis et quasi sub cura Consiliariorum suorum, praeter eius voluntatem Religiosi Patres Soc. Iesu ex universa Transsilvania fuerunt electi, satis certe

to jeszcze w liście do Akwawiwy dodał: Ten sposób wydaje mi się najodpowiedniejszym, ażeby sam nuncyusz papieski, albo arcyksiążęta austryaccy: Maksymilian i Ernest, napiętnowali tę obelgę, rzuconą na zakon. Mógłby o tem poświadczyć i Jan Zamoyski, kanclerz wielki koronny, lecz nie wiem, dlaczego tak mało sprzyja i klerowi i Towarzystwu naszemu. Mimo to będzie można i u niego uzyskać odpowiednie świadectwo.[1])

Inna jeszcze kłopotliwa do załatwienia sprawa czekała na Wujka. Niejaki Pater Poklatecius uciekł z domu św. Barbary. Z polecenia prowincyała Campana, O. Wujek w towarzystwie O. Stanisława Rozdrażewskiego i O. Marcina Laterny, stanąwszy osobiście przed biskupem krakowskim, Piotrem Myszkowskim, wytoczył skargę na zbiega i domagał się, ażeby tego apostatę obłożył klątwą kościelną. Zapozwany Poklatecius, stawił się po raz pierwszy przed sądem biskupim 16 sierpnia 1589, wymawiał się usilnie, różne przytaczał powody na swoją obronę, rzucał przytem śmiało i bezczelnie obelgi na zakon, a wkońcu prosił o zwłokę i termin za ośm dni. Gdy nadszedł termin 23 sierpnia, niczego nie dowiódł, przytoczył tylko 14 wykrętów, które jego apostazyi bynajmniej nie uniewinniały, lecz bardziej ją jeszcze oskarżały i potępiały. Wobec tego O. Wujek, powołując się na dekret Soboru Trydenckiego, prosił biskupa, ażeby zawyrokował i po wszystkich kościołach ogłosił ekskomunikę na niego. Zakłopotany biskup, nie wiedział, co z tym fantem począć. Porozumiawszy się jednak z kanonikami, wymawiał się, że to jest rzecz nowa i dotąd niesłyszana w Polsce, ażeby biskupi mieszali się do spraw zakonników, którzy wyjęci są z pod ich praw, a papieżowi podlegli. Przytem to jeszcze powie-

---

acerbo religionis catholicae casu, et quadam etiam Bathorianae familiae ignominia, quae religionis catholicae semper fuit studiosissima... I nieco dalej o tymże księciu Zygmuncie Batorym powiada: Nunc autem crescente cum annis pietatis fervore, eum, quem ab initio cum lacte materno haustum fidei catholicae zelum semper habuit, continere ulterius non potest, quin omnem movere lapidem incipiat, ut Patres Soc. Iesu in eius ditionem revocentur... Archiv. Vatic. Nunziatura di Polonia Vol. XXXI. f. 49, cf. Expeditio Romana 1888—1889, czyli Teki Rzymskie Akadem. Umiej. w Krakowie.

[1]) Korespon. nr. 74.

dział biskup: Macie wasze prawa i konstytucye zakonne, więc według waszego zwyczaju postąpcie sobie przeciwko zbiegowi. Ja zaś, ze względu na złość czasów i zuchwalstwo ludzi, nie chcę się mieszać do tego. Mimo to wszystko biskup Myszkowski wcale nie uniewinniał Poklateciusza, owszem czynił mu gorzkie wyrzuty, przekonał go i zawstydził wobec prałatów swoich. A cóż się później z apostatą stało? Zaraz po tym procesie udał się osobiście do Rzymu, ażeby tam generałowi zakonu przedstawić swą sprawę. Gdyby nie był odjechał do Rzymu, miano go już pojmać, do Jarosławia odstawić i tamże w więzieniu osadzić.[1]) O dalszym jednak przebiegu i wyniku tej sprawy nie ma żadnej relacyi. W krakowskiem archiwum biskupiem przeglądałem starannie akta z r. 1589, ale najmniejszej wzmianki nie znalazłem o tem.

Jeszcze jedną sprawę w tym roku 1589 załatwił pomyślnie Wujek. W domu nowicyackim u św. Szczepana w Krakowie, przebywał w tym czasie Jakób Potocki. Zachował się tam wzorowo pod każdym względem, lecz po dwóch latach i ośmiu miesiącach zakonnego pożycia, nie wiadomo, dla jakich powodów wydalił go z zakonu rektor i mistrz nowicyuszów, O. Kasper Sawicki. Prowincyał Campano radził mu wstąpić do innego zgromadzenia zakonnego we Włoszech lub Niemczech. Zasmucony tem i prawie zrozpaczony Potocki, udał się z żalem do O. Wujka. Ten zaś, wyrozumiawszy jego smutny los, wystosował polecający list do generała Akwawiwy i wraz z tym listem posłał go do Rzymu. Prosił w nim generała, ażeby Potockiego nie wyrzucał z zakonu, lecz zatrzymał go w prowincyi zakonnej włoskiej lub innej, a gdyby to niemożliwem było, ażeby mu przynajmniej wyrobił przyjęcie do jakiego klasztoru w Rzymie lub we Włoszech, bo on do życia świeckiego powracać nie chce.[2]) To przedstawienie odniosło pożądany skutek. Akwawiwa nie tylko zatrzymał go w zakonie we Włoszech, ale nawet potem odesłał napowrót do Polski. We wrześniu 1601 widzimy go w Krakowie u św. Barbary na posłudze zapowietrzonym, w lutym 1607 wysłano go stąd do

[1]) Korespon. nr. 74, 75.
[2]) Korespon. nr. 75.

Loretu we Włoszech na spowiednika polskiego, gdzie też 1622 zakończył życie.[1])

W listach Wujka z lat 1590, 1592 i 1593[2]) napotykamy niestety zupełną lukę, dla braku więc odpowiedniego materyału z tych czasów do niektórych tylko szczegółów ograniczyć się muszę. Miesiąc wrzesień 1591 stał się nadzwyczaj fatalnym dla całego Krakowa. Grasowała w nim morowa zaraza. Wobec widma śmierci musiały umilknąć nawet wszelkie czynności w sądach grodzkich, ziemskich i miejskich; kto tylko mógł, uciekał z miasta, zwłaszcza w lesiste i górzyste strony. Król Zygmunt III z dworem swoim zamieszkał w niepołomskim zamku. Jezuici od św. Barbary wraz z swym superyorem O. Wujkiem, schronili się do Lanckorony, gdzie jużto w samym zamku, jużto w pobliskim folwarku w Brodach Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewody lubelskiego a starosty krakowskiego i jego małżonki Doroty z Herburtów, znaleźli dla siebie gościnny przytułek; część ich pozostała w Krakowie na posłudze zapowietrzonym, a z nimi O. Skarga. Pod tchnieniem epidemii 11 września padł pierwszy u św. Barbary O. Szymon Nikowski, spowiednik niegdyś Katarzyny Jagiellonki, królowej szwedzkiej, aż do jej śmierci († 16 wrześ. 1583) w Sztokholmie. Za nim poszli dwaj bracia: Stanisław Świrski i Mikołaj Wojtkiewicz. Pochowano ich w grobach kościoła św. Barbary, jak świadczy O. Jan Wielewicki.[3])

Do Lanckorony zaniósł z sobą chorobę scholastyk Stanisław[4]) Prion, sam umarł 15 września, a po nim poszli do grobu 6 października O. Łukasz Zieláski, który niedawno powrócił z Rzymu, gdzie piastował urząd spowiednika polskiego; wreszcie dwaj bracia: Piotr Kamocki i Paweł Bolesta. U. św. Szczepana padł

---

[1]) Wielewicki: Script. rer. polon. T. X. p. 18, 234.

[2]) Wiemy jednak skądinąd, że w tym czasie przebywał w Krakowie u św. Barbary, gdzie pod dniem 15 marca 1590 podpisał dedykacyę do dzieła o „Bóstwie Syna Bożego"...; a pod dniem 20 kwietnia 1593 przedmowę do „Nowego Testamentu". Na kongregacyi w Pułtusku 15 lipca 1593 wybrano go prokuratorem do Rzymu, skąd w lutym 1594 do Krakowa powrócił.

[3]) Script. T. VII. 145.

[4]) Wujek pisze: Stanisław Prionius, tak samo czytamy in libro defunctorum. Natomiast Wielewicki podaje: Ioannes.

ofiarą na posłudze zapowietrzonym 3 października O. Stanisław Warszewicki.[1])

Tym wszystkim, co w Lanckoronie pomarli, usługiwał w chorobie O. Wujek; z bólem serca patrzał na ich zejście i grzebał umarłych. Byłby tam dłużej pozostał, ale na usilne naleganie troskliwego Mikołaja Zebrzydowskiego, odjechał 20 października do Makowa, wśród sarmackich gór „inter sarmaticos montes", jak sam pisze o sobie pod dniem 10 listopada 1591 do O. Campana w Rzymie: Przebywam tu w Makowie wśród gór i lasów,

[1]) Pochodził z senatorskiego rodu i był naprzód rejentem kancelaryi królewskiej Zygmunta Augusta oraz kanonikiem gnieźnieńskim. Do zakonu wstąpił w Rzymie 1567, gdzie był w nowicyacie razem z św. Stanisławem Kostką. Rektorem kollegium wileńskiego 1570–1578. Na dworze Katarzyny Jagiellonki, królowej szwedzkiej, przebywał 1578—1582. Rektorem kollegium lubelskiego 1582—1590. Na tem miejscu sprostować należy błędne i bałamutne twierdzenie ks. Augustyna Theinera. W swem obszernem dziele opisuje on ostatnie chwile i zgon Katarzyny Jagiellonki († w Sztokholmie 16 wrześ. 1583); przytacza nawet treść rozmowy, jaką prowadził z królową O. Stanisław Warszewicki, a co bardziej jeszcze zadziwia, jego pobyt w Szwecyi przedłuża aż do r. 1584! (Theiner: Schweden und seine Stellung zum heil. Stuhl. Augsburg 1839. II. Theil III. Buch II. Kapit. 14—19; Tenże: La Suède et le Saint-Siége, traduit de l'allemand par Jean Cohen. Paris 1842. T. III. 187—192). A jakiż na to wszystko podaje dowód? Zaznacza tylko w krótkiej nocie, że wiadomość o tem czerpał z szczegółowego sprawozdania, które O. Warszewicki przesłał pod dniem 8 stycznia 1584 ze Sztokholmu do Klaudyusza Akwawiwy w Rzymie. Czemuż jednak tej relacyi nie przytoczył dosłownie, przecież całą drugą część swej pracy wypełnił korespondencyą i innymi dokumentami. Niestety Theiner pomylił się grubo, a za nim ten sam błąd powtórzył też ks. Stanisław Załęski. (Jezuici w Polsce T. I., część I., str. 440—441). O. Warszewicki nie był wcale przy śmierci Katarzyny Jagiellonki, ani też o tem relacyi ze Sztokholmu nie pisał, a to z tej prostej przyczyny, bo w tym czasie już nie w Szwecyi, ale w Polsce, w Lublinie przebywał. Wprawdzie widzimy go tam jeszcze, od stycznia do końca maja 1582, bawiącego w Sztokholmie. (Acta Histor. T. XI. 363—378. Kraków 1887). Ale już w czerwcu, lub najpóźniej w lipcu tegoż roku, powrócił do Polski, skoro Hieronim Rozdrażewski, biskup kujawski, pisze do niego z Wolborza 11 sierpnia 1582, wyrażając swą radość z jego powrotu do kraju. Natomiast niezawodną jest rzeczą, że przy śmierci królowej był obecnym O. Szymon Nikowski, w r. 1585 odwołany ze Szwecyi do Polski. Na jego miejsce pojechał 18 maja 1585 z Krakowa do Szwecyi O. Bernard Gołyński i pozostał tam aż do roku 1587, kiedy wraz z królewiczem Zygmuntem, obranym właśnie królem polskim, 9 grudnia do Krakowa powrócił. (Wielewicki: Script. T. VII. p. 81, 112, 145). Pomijam inne błędy Theinera, jak n. p. to, że O. Warszewickiego (Warsevicius) nazywa zawsze Warszewicz, a O. Szymona Wysockiego (Visocius) mianuje: Andrzej Visowski (sic).

jakby wyłączony z pomiędzy społeczeństwa ludzkiego i na wygnanie skazany, bez towarzysza, bez książek; chroniąc się bacznie, bym snadź nie zaraził kogo, pilnując okadzania, przewietrzania i ochędóstwa. Jadło i napój podają mi na miseczkach i w osobnym dzbanku. Te naczynia sam sobie umywam, izbę zamiatam, łóżko ścielę, nakoniec wszystkich reguł zakonnych pilniej tu przestrzegam; jestem jakby na rekolekcyach zamknięty, gotując się do śmierci.[1]) Dopiero w grudniu, kiedy morowe powietrze przycichło w Krakowie, powrócił do św. Barbary wraz z tymi, co w Lanckoronie i poblizkich Brodach, z łaski Boga pozostali przy życiu.

W maju 1592 zwolniono O. Wujka od przełożeństwa u św. Barbary, w tym przeważnie celu, aby mógł z tem większą swobodą oddawać się tłumaczeniu Biblii na język polski. Jeździł nawet w kwietniu 1594 z Krakowa do Warszawy i Poznania, w sprawach drugiego wydania „Nowego Testamentu" oraz „Psałterza Dawidowego", a wiemy skądinąd, że bawił tam w Poznaniu aż do końca lipca.[2]) Cieszył się przytem w Krakowie powszechnie przyjaźnią i zaufaniem, nie tylko swych braci zakonnych, ale też szlachty i krakowskiego mieszczaństwa. Na kongregacyi prowincyonalnej, odbytej w Pułtusku 15 lipca 1593, obrano O. Wujka po raz trzeci prokuratorem do Rzymu. Korzystając z tej sposobności kupcy krakowscy, poruczali mu swoje ważne, pieniężne interesa we Włoszech. Pewien kupiec, zapisujący rachunki swoje po włosku i polsku, nieznany nam bliżej z nazwiska, pożyczył 19 sierpnia 1593 panu Doktorowi Antoniemu Schneebergerowi[3]) w Padwie dukatów 100; panu zaś Krzysztofowi Wysockiemu dukatów 200. Przesyłkę i doręczenie tych pieniędzy powierzył O. Wujkowi.[4]) W następnym roku 1594 Mikołaj

[1]) Koresp. nr. 76.

[2]) W Poznaniu, 3 maja 1594, podpisał przedmowę do II. wydania Nowego Testamentu; tam również 25 lipca 1594 dedykacyę do Psałterza Dawidowego.

[3]) Doktor filozofii i medycyny; syn jego, również Antoni, w latach 1579 do 1589 był uczniem akademii w Krakowie i Ingolsztadzie, cf. ks. Paweł Czaplewski: Polacy na studyach w Ingolsztadzie. Poznań 1914, str. 97.

[4]) An. 1593 die 19 Augusti. Poziczilem Panu Doctorowi Antoniemu Sneebergerowi ducatos 100, które poslalem mu do Padui przez X. Wuika Je-

Zebrzydowski zamówił sobie w Rzymie srebrny obraz Najśw. Maryi Panny za 700 florenów. Wykonanie tej misternej roboty powierzył O. Franciszkowi Mercati S. I., biegłemu w sztuce malarskiej. Sam papież Klemens VIII poświęcił i wielkimi odpustami obdarzył ten obraz Bogarodzicy, potem odstawiono go do domu jezuickiego w Wenecyi, skąd wreszcie dostał się do Krakowa przez kupców krakowskich. W całej tej sprawie rzymskiej pośredniczył Wujek, mając zaś wzgląd na zasługi Mikołaja Zebrzydowskiego, wyprosił dla niego u generała Akwawiwy nadzwyczajny przywilej, że go przypuścił do uczestnictwa w zasługach zakonu. Wiele zresztą powodów przemawiało za tem: Sam o to prosił przeze mnie Przewielebność Waszą, ażeby się stał uczestnikiem zasług Towarzystwa naszego, pisze Wujek do Akwawiwy pod dniem 25 marca 1594. Albowiem niedawno temu OO. Bernardyni[1]) zaszczycili go już podobnym przywilejem, więc bardzo pragnie, ażeby uzyskał to samo i u Przewielebności Waszej. Sądzę, że Przewielebność Wasza z łatwością zgodzi się na to, gdyż jest on współfundatorem lubelskiego kollegium, a do tego mężem całkiem pobożnym i godnym takiego przed innymi odszczególnienia.[2])

(Dok. nast.).

Ks. J. Sygański.

---

zuite. Item przez tegosz poslalem ducatos 200 P. Christophorowi Wisoczkiemu, zmienyane i zapieczentowane, jako je Pan Jakub Giza do ronk moich odeslal. (Księga notatek domowych i sprowadzanych win i towarów korzennych kupca krakowskiego z lat 1587—1595. Archiwum Miasta Krakowa). Zwrócił mi uwagę na ten zapisek dr. Kazim. Kaczmarczyk.

[1]) Wiadomo jest, że fundatorem OO. Bernardynów w Kalwaryi Zebrzydowskiej był Mikołaj Zebrzydowski. Plany tej budowli wykonał Jan Marya Bernardoni z Como w Lombardyi, brat zakonny S. I. † w Krakowie 1605. Był on również architektem kościołów jezuickich: w Kaliszu, Nieświeżu, Lublinie i w Krakowie u św. Piotra i Pawła, przy ulicy Grodzkiej.

[2]) Koresp. nr. 77.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe".

Nad Jordanem.

Sennie szemrzą opalowe fale Jordanu, chyli powiew ciepłego wiatru nadbrzeżne wierzbiny aż do gładkiego niemal zwierciadła wód. Wznoszą się nagie, czerwonawe wzgórza Judei jak ponurych, w wieczność zasłuchanych olbrzymów zjawy. Niegdyś widziały one, jak wkraczał tędy Izrael do ziemi obiecanej... psalmów radosnych echo błąka się tu może jeszcze w rozświty słoneczne, w noce księżycowe i puzonów zwycięzkich mocarny głos, od którego padły w proch mury Jerycha.

A teraz... zdają się dziwić wzgórza i nasłuchiwać... bo oto jakiś pokrewny słyszą ton...

Gromowy gniewu głos... pokutny żalu jęk... obietnicy nadziejny szept... Czyż raz jeszcze Izrael do ziemi obiecanej wkracza?...

Od szeregu miesięcy dziwy się dzieją w cichej, sennej od świata oddzielonej dolinie Jordanu. Zda się, że kwiatów barwnych, olbrzymich wyrosła nagle moc... Połyskują kolczugi żołnierzy, niewiast jaskrawe szaty, pasiate płaszcze mężczyzn, gdzieniegdzie nawet toga błyska biała, krwawo bramowana lub miękki jedwab bogatych szat sadyceusza.

A w nagich górach Judei echem rozlega się spiżowy, młodzieńczy głos Jana i opowiada temu ludowi zasłuchanemu: o królestwie, które nadejść ma, o ziemi obiecanej, którą wybranym zgotował Pan... o istnieniu do którego wiodą ponure bramy śmierci...

Dla czystych, prawych, dla tych, którzy iskrę Bożą, spoczywającą w duszy każdej, życiem rozdmuchać potrafili w płomień... to wyzwolenie... cudny, obiecany to kraj!

Nie umiera ten, kto na ziemi już życie ducha ukochał, wszechwładzę ciała zgniótł, pokusy przezwyciężył, śmierć cielesna dla niego to chwila odlotu jedynie, to przyjazna ręka, która więźnia z kajdan wyzwala... to Bóg, który wywodzi z niewoli!

Dla tych jednak, którzy ciało ukochali i jego rozkosze, śmierć to szamotania rozpaczliwego początek... każda cielesna żądza nasza sturamiennym staje się polipem, każda wina kajdanami do ziemi wiąże... I próżno świadomy już wówczas duch tęskni, szamocze się, rwie... wiążą go łańcuchy wspomnień, błędów, występków... polip wstrętnemi cewkami siły ssie... i po śmierci ciała... zbliża się dla tych, którzy ulegli, stokroć gorsza... śmierć ducha...

Silny głos Jana dźwięczał w dolinie, echem się odbijał od wzgórz, siłą przekonania, wiary głębokiej, porywał, do przezwyciężenia ciała mocą ducha zachęcał, do pokuty wzywał... ganił, gromił, błagał.

Czasem dźwięczały w jego głosie niewypłakane łzy, szamotał się krwawy ból, jęczał żal i jakieś olbrzymie pragnienie ofiary.

Zdawało się chwilami, że wymownym ustom brakuje słów, że Jan pragnąłby rzucić samego siebie pomiędzy ten lud i Boga jak pomost żywy... by po nim do wieczności przeszli.

Że krew by oddał i życie... za tych błądzących braci... byle zrozumieli, iż po nad ciałem włada duch, a po nad duchem... Bóg!

Płomienne jego oczy przesunęły się po tłumie... słuchali go... z podziwem, obawą, miłością; czuł jednak, że go nie rozumieją, że słowa jego ślizgają się po powierzchni tych dusz, jak słońca promień po falach Jordanu... nie dochodząc do głębi.

Zaczął więc do nich mówić łagodnie, jak starszy brat do młodszych, wglądać w ich życie rodzinne, wskazywać granice

winy i cnoty, dobra i zła. Tłumaczył owo istnienie drugie, ową podwójną istotę człowieka tak przystępnie, jak matka dzieciom nieletnim objaśnia różnicę nocy i dnia.

Mówił im wszystko to, co przemyślał w długich, samotnych latach, przebytych na puszczy, uczył ich tego, czego nauczyło go obcowanie z naturą i z Bogiem. Życie jest wszędzie... chylą się ku sobie kwiatów kielichy, uskrzydlone nasiona ku żyznej spływają glebie, wszystko ma porę kwiatu i owocu... i śmierci... bo po nad wszystkiem włada celowa, potężna prawica Tego, który świat stworzył i utrzymuje go... I po nad ciałem człowieka powinna władać ducha moc, bo dopiero wtedy istnienie jego zdobywa prawa nieśmiertelności... drugiego bytu prawa. Spać, jeść, mnożyć się i zwierzęta potrafią; człowiek, który je naśladuje i w ciasnem kole ziemskiego życia zadowolenia szuka, zwolna głuszy w sobie otrzymaną przy stworzeniu iskrę Bożego ducha, sam dobrowolnie wyrzeka się dla teraźniejszości... przyszłości i staje się tworem... nie stworzeniem...

I mówił do nich jak przewodnik, który drogę zna, przepaść widzi i ostrzega.

W głosie jego drgał nakaz, błaganie, trzepotał się śmiertelny lęk.

— Pokutę czyńcie! by nie były dusze wasze obrzydliwością przed Panem w dniu sądu, by nie odwrócił oczu od was, jak od nieczystości na zagubę skazanej... Pokutę czyńcie! Wiara, miłość, żal utwierdzają przymierze wasze z Panem... burzy je grzech! W waszych własnych rękach leży wasz przyszły los... wolę wam Bóg dał i prawo wyboru... Świat ofiary opłaca świat szczęścia... świat rozkoszy... zaguby świat.

Skończył...

Spojrzał płonącemi oczyma po tłumie ludu, po twarzach pobladłych, ustach rozchylonych, oczach pijących z jego warg potęgę słów.

Chwilę słychać było tylko cichy szept Jordanu, nadbrzeżnych wierzb szum i serc ludzkich przyspieszony łomot.

Było coś w tej rosłej, męskiej postaci, górującej nad tłumem, co każde słowo żywem czyniło i wielkiem.

I gdy tak stał, nieco na wzniesieniu, na tle potężnych, jakgdyby wieczną łuną zachodu oblanych wzgórz, wysoki, rosły, jedynie skórą wielbłądzią przepasany, z głową ascety na barkach siłacza, z dziewiczą linią ust i potężnych muskułów grą, z wiatrem poszarpaną czarnych włosów gęstwą i brody lśniącym bezładem, to szła od niego moc czystości wielkiej, dziecięcej prostoty, pokory i porywała na równi z potęgą słów.

Lud czuł, że te młodzieńcze, silne ramiona nigdy spazmem ziemskiej rozkoszy nie drgnęły... więc Jan ten silny, pustynny lew, co w sobie wszelką żądzę zmógł ducha potęgą, którego muskularne dłonie składały się z dziecięcą pokorą ku czci Stwórcy swego, jedynie mógł do poprawy wzywać, do pokuty wołać.

Dźwięk słów popierało życie.

Po za przykładem... stał czyn.

Cisza.

Ostatnich słów echo w przestrzeni drga i nagle rozlega się płacz cichy, spazm bólu wije się w nim, do stóp Jana przypadła postać kobieca, złoto-rudych włosów kaskada rozsypała się po jej obnażonych ramionach, dziecinnie drobne dłonie kurczowo toną w tej fali płynnego złota, a z piersi głos się urywany rwie.

— O Janie! Janie... zła byłam, występna byłam... każdy człowiek w Jeruzalemie powie ci, kim jest... Jezabel... I tu nawet przyszłam dlatego tylko, że rzymscy żołnierze powiedzieli mi, iż jesteś najpiękniejszym mężczyzną Judei... I z początku była we mnie tylko grzeszna chęć, byś i ty uległ powabom moim. Ale potem... potem Janie... pod wpływem twoich słów wstała we mnie myśl o duszy mojej... o jutrze... Wejrzałam w siebie i wstręt mną wstrząsnął, przerażenie, ból i lęk... taki lęk.... O Janie! Janie! spójrz na mój żal, na mękę moją... Janie...

Wiła mu się u nóg jak robak zmiażdżony w kurczach konania.

— Każde jutro moje okupieniem będzie za wczora zmarnowane, każdy pocałunek pokuta zmaże i wyrzeczenie... Janie... Janie! — podniosła ku niemu oczy pełne łez, krwawego, wstrząsającego żalu pełne i błagała. Janie... jak mi dojść do Boga? Jak ową iskrę w płomień rozdmuchać? Jak odzyskać łaskę utraconą?

Spojrzał ku niej, z jej twarzy poszarpanej lękiem, z jej oczu krwawych bił ku niemu żalu, pokuty błagalny głos.

— Jak dojść do Boga? drogą prostoty, wyrzeczenia, czystości... Porzucisz wszystko, co masz; oddasz ubogim wszystko, co grzechem zyskałaś... pracą rąk zdobędziesz przyszłe życie, myśli wzniesieniem, serca ofiarą...

Drgnęła... cichy, przejmujący jęk przestrzenią wionął — ukryła w dłoniach twarz...

Przed oczyma jej duszy snuła się wizja, wygodnej willi ogrodowej, cichych cyprysów, oleandrów wonnych gaj... czyż koniecznie poświęcić ją trzeba... i iść... w nędzę...

W nędzę?...

Coś w niej krzyczało, płakało... to przywiązanie do ziemskiej rozkoszy... miłość do życia.

W nędzę... brzydziła się nią całe życie.

Pracować... aż popęka skóra, białych wypielęgnowanych dłoni, zgrubieją członki... aż zegnie się prosta kolumna kręgosłupa, zgasną błyszczące oczy...

O nie... nie...

Taki lęk w niej drży, taki ból... podniosła oczy ku spokojnej, zadumanej twarzy Jana, litość w niej była i smutek...

Idź za nim... idź za nim... — wołało jej coś w duszy... Pracą zdobędziesz przyszłe życie... wezwaniem, nakazem, obietnicą... dzwoniło w jej sercu...

A w tłumie poszept płynie:

— Widziałeś?... Jezabel rozpustnica.

— Jezabel występna.

— Jezabel... dla której kamieni było szkoda w Jeruzalemie...

— Jezabel... u jego nóg!

— Zali i takie grzechy oczyszcza żal?

— Zali i z takich bezdroży, do Boga powrócić można?

Cisza... u stóp Jana szamoce się z ciałem tęskniący duch...

I nagle Jezabel podniosła swoją piękną twarz w ramię włosów złotych, rozburzonych... przestrzenią rwały się słowa urywane ale silne.

— Wszystko, co mam... oddam... boć szczerym jest mój żal... prawdziwą tęsknota moja i mój ból...

Cień radosnego uśmiechu przesunął się po ustach Jana, ujął za rękę drobną postać niewieścią i ku brzegowi Jordanu wiódł.

Patrzył tłum zdumiony na jej lica od wzruszenia blade, na motylowe drżenie długich rzęs, na dziecięcy wyraz lęku, żalu i szczęścia na twarzy rozpustnicy. Pochylił się Jan, w dłoń wody zaczerpnął i na dukatową, kornie schyloną głowę zlał... dusza jego jedną modlitwą była o moc, siłę, wytrwanie dla niej... Gdy modlić się skończył, rzekł:

— Pokuta oczyszcza, żal rozgrzesza... idź... Niech dusza twoja szuka Boga, a znajdzie Go...

Rozstąpiono się przed nią, szła cicha, widmowo blada, z kurczowo zacisniętemi dłońmi, z linią mocy w zarysie ust... oczy jej pełne były błysków promiennych, łez szczęsnych...

A lud cisnął się do Jana, rozognione twarze otoczyły go, drżące dłonie garnęły się do niego błagalnym ruchem, z tysiąca piersi głos się rwał:

— Janie... co dnia słyszymy słowa twoje, co dnia oczy nam otwierasz na życie...

— Janie... Janie... zaliś ty prorok?

— Zali ulitował się błądzącemu Izraelowi Pan i dał proroka?

Wstrząsnął czarnych loków rozwiewną grzywą, rzucając wyznanie szczere i otwarte:

— Nie prorokiem ja...

A w tłumie ktoś szepce cicho:

— Zapytajcie go... zali Eliaszem jest?...

I tysiące ust powtarza wśród łkań, z błyskiem nadziei gorącej, olbrzymiej:

— Janie... Janie... zali Elijahu zstąpił znowu na ziemię i lud wybrany do pokuty wzywa jak niegdyś?

— Jestżeś ty Elijahu Janie?

Ściągnęły się niechętnie skrzydła czarnych brwi nad pło-

mieniami oczu, ale zanim odpowiedzieć zdołał, znów ów głos chłodny a podstępny szalejącemu podszepnął ludowi:

— Może to Messyasz?... Spytajcie go...

I gdzieś, blizko, głos się rwie ekstazy pełny, od łez nabrzmiały a szczęsny.

— Zali ty może... Messyaszem jesteś Janie?

— Zaliś zstąpił, by lud zbawić Izraelski?...

— Messyasz... Messyasz... — rwą się głosy lękliwe z początku, urywane, potem pełne tęsknoty nagromadzonej wiekami nadziei, radości.

Tysiące ócz chłonie młodzieńczą postać... stworzonać ona do władzy, imponuje siłą, to ramię potężne w proch zetrzeć potrafi wroga, ten gromowy głos rozkazywać — i lud uwierzyć pragnie. Czeka tylko tego prostego „jam jest!" by szałem szczęścia wybuchnąć, na ramiona go porwać, za nim iść...

— Messyasz żeś ty?

— Messyasz?

Spojrzał po nich litośnie i przecząco głową wstrząsnął, pełnią siły młodzieńczej zadźwięczał głos i zagórował nad tłumem:

— Idzie za mną możniejszy niżeli ja... Jam nie godzien rzemyka rozwiązać u sandałów Jego... wcieleniem On słowa Przedwiecznego... jam proch rozkazem Jego do życia powołany i do czynu. Siekierą jestem ja, która ścieżkę rąbie dla Jego stóp, robotnikiem w winnicy Pańskiej... niczem więcej. Jać was jeno wodą pokuty chrzczę... On gdy nadejdzie, chrzcić was będzie duchem i ogniem!

Gorzki wyraz rozczarowania odbił się na twarzach ludu, szmer przeleciał niechęci pełen, żalu, zawodu... i nagle ów chłodny, spokojny głos, który przedtem pytania podsuwał ludowi, zapytał teraz głośno już, nie tając ironii.

— Czemuż tedy chrzcisz... jeżeliś ty nie jest Chrystus, ani Eliasz, ani prorok?

Tłum się rozstąpił nagle, na przeciw Jana stała grupa faryzeuszy, przewodnik jej wątły o mądrej głowie drapieżnego

ptaka spoglądał szaremi, bystremi oczyma w młodą, ciemną twarz przeciwnika uważnie i podstępnie... jak sęp.

Czarne, rozbłysłe oczy Jana spojrzały w te źrenice fałszywe, na pół ukryte za firankami rzęs, na lud milczący, na uczni skupionych gromadkę... ze wszystkich tych twarzy wołało teraz do niego to jedno pytanie:

— Czemuż tedy chrzcisz... jeżeliś ty nie jest Chrystus, ani Eliasz... ani prorok?...

Głęboki ból szarpnął duszą Jana...

Wczoraj jeszcze na wezwanie jego głosu rzucali się na ziemię, wyznawali grzechy, kornie chylili głowy. Jak dzieci, które zbłądziły, kupili się dokoła niego, jak jagniąt przerażonych gromada...

A teraz...

Żółte błyski drgają w źrenicach... jeszcze chwila, a pytanie wzrośnie do aktu oskarżenia... i dłonie gotowe pochwycić kamienie...

Jakiem prawem przemawia do ich dusz, mury grzechu burzy, do dobra woła... Jakgdyby tu pytań było potrzeba, jakgdyby sam czyn nie był wytłumaczeniem już!

Nawet u uczni niepokój widać w spojrzeniu, powątpiewanie i jakiś cień zawodu.

Więc dusze te jeden szyderczy szept obłąkać potrafi? Jedno wątpienie odrzucić... jak powiew wiatru wierzbiny gałęzie.

Więc... nawet na dnie tych serc, nad któremi pracował od roku, niewiara się przyczaiła i zwątpienie... fałszywych nadziei cień.

Och jak to boli!

Poczucie osamotnienia owładnęło nagle duszą Jana. Zbiegły się w ukośną bruzdę skrzydła brwi, głąb czarnych oczu płomień rozpalił, zawrzała w żyłach krew... Drgnęły młodzieńcze wargi, by owym uczonym w Piśmie, co tak daleko odbiegli od Boga, rzucić w twarz gorzkie a silne słowa prawdy... gdy nagle oczy Jana spojrzały po za lud i grom słów skonał na wargach rozchylonych...

Drogą szła jasna, smukła postać wędrowca, dokoła pochy-

lonej głowy złociste słońce tkało aureolę... Jan patrzył.... serce mu w piersi bić ustało na chwilę, skurcz gardło schwycił. Zniknęła mu z przed oczu grupa szyderczo uśmiechniętych, na odpowiedź jego czyhających faryzeuszy, uczni niespokojne, lęku pełne twarze, milczącego ludu zwarte szeregi... widział tylko tę jasną postać samotnego wędrowca, idącego prosto ku niemu, z uśmiechem łagodnym a tajemniczym dokoła młodych ust.

Wzburzenie Jana ułożyło się w ciszę pełną szczęścia, poczucie osamotnienia rozpłynęło w spokoju i sile. Jakieś rozradowanie olbrzymie, którego powodów nie pojmował, drżało mu w sercu.

A w koło nieruchoma fala ludu coraz ciaśniejszem otaczała go kołem, gdzieniegdzie szept się zrywał szyderczy, drwiący śmiech...

— Brakłoż ci słów Janie na obronę?...

— Mów Janie... mów...

Szept przechodził w nakaz... nakaz... w szyderstwo...

Jan drgnął, wyprostował się, do ludu zwrócił i wołał potężnym głosem, którego echo grało wśród wzgórz, jak zwycięzkich puzonów mocarny głos:

— Jać wodą chrzczę... ale w pośrodku was stoi Ten, którego nie znacie... a który przedemną był...

Łamały mu się z piersi słowa wielkie i silne, przekonywujące a potężne... nieświadomy hymn powitalny nadchodzącemu Panu śpiewała jego prosta, cudnie piękna dusza.

Uśmiechnęli się faryzeusze złośliwie i lekceważąco, odetchnęli uczniowie, drgnął tłum, było coś w słowach Jana co rozbudziło w ich duszach uśpioną na chwilę wiarę, ocknęło żal... Cisnąć się zaczęli ku niemu znowu, odpychając daleko przedstawicieli prawa.

— Po cóż wy tu?

— Wiary w was nie ma, ni żalu.

— Podstęp jeno i fałsz...

— Obłąkać nas przyśliście... od Jana odwieść.

— Precz!

Z żywością właściwą wschodnim narodom, z jednej osta-

teczności wpadali w drugą, wątpiący przed chwilą zdzierali teraz szaty z bark, rzucali się w proch, garnęli do Jana.

W powietrzu dźwięczały echa płaczu, szczerego żalu, wyznawczych win szept.

Cofnęli się faryzeusze, pogardliwie kiwając głowami, nie było tu już co robić... posiew swój rzucili, a lud ten znali zbyt dobrze... niebezpieczny był zarówno w miłości jak w niechęci... postanowili więc odejść.

Na ścieżce powrotnej spotkali jasną, samotną postać młodego wędrowca i przeszli obok, rozprawiając żywo, komentując odpowiedź Jana...

On przystanął... patrzył chwilę na ich chytre, przebiegłe twarze... z głębokim żalem... tak rolnik spogląda na kamienisty grunt, na którym wszelkie dobre marnieje ziarno.... A potem ku Jordanowi szedł...

Nad wodą stał Jan... miał jeszcze na ustach błysk uśmiechu, promień szczęścia w źrenicach, radosny hymn w duszy... pragnął raz jeszcze spojrzeć po za tłum, odnaleźć raz jeszcze spokojną siłę oczu błękitnych, które mu w duszy ocknęły moc.

Ale otaczano go zewsząd, a głosy żałosne, pokorne, błagalne żebrały.

— Chrztu Janie... chrztu.

Poczucie obowiązku zwalczyło dziwnej tęsknoty niepokój... serca spragnionego przeczucia... modlił się, nabierał wody w dłoń i wylewał ją na karki pochylone...

Nagle drgnął...

Potężna prawica opadła, dziecięce zdumienie spowiło ciemną twarz... przed nim u brzegu Jordanu rysowała się jasna, młodzieńcza postać nieznajomego wędrowca. Oczy ich spotkały się znowu, sprzęgły, zwarły... jak braterskie dłonie w uścisku.

I Jan przeczuł, że to „On“... Pan, któremu służył duszą całą, wiernie... którego ścieżki prostował... któremu glebę przygotowywał na siew.

„On“... lęk w nim wstali jakaś upojna, bezmierna radość... pragnął do nóg mu paść, usta do bieli jego szaty przytulić, śmiać się i płakać... dziękować Mu... a stał i patrzył tylko szeroko

rozwartemi, szczęsnemi źrenicami, w błękitne, głębokie, miłości pełne oczy i słyszał niewymówionych słów szept:

— Oto przyszedłem do ciebie wierny sługo mój... by pracę twoją uznać, nagrodzić trud. Ty pierwszy kapłanie mój, Ojcu mnie poświęcisz na ofiarę dobrowolną, za ludu mojego przewiny... Po chrzest przyszedłem twój!...

Każdy muskuł potężnego ciała Jana wzruszeniem drżał...

Jakto... Pan do niego... do niego?...

Senże to czy jawa?

Krwawa mgła przesłania mu wzrok, pulsują skronie, zażenowanie dziecięce w nim jest, pokora olbrzymia i głos się rwie urywanym szeptem, z ciężko pracującej piersi:

— Panie... Panie mój...

Zrozumiał uczucia szarpiące duszą Jana, Jezus z Nazaretu, jasny, młody głos dźwięczy w przestrzeni:

— Po chrzest przyszedłem do ciebie Janie.

A Jan na kolana się osunął i łkał:

— Panie... Panie... toć ja chrztu potrzebuję od Ciebie, a Ty... do mnie idziesz?

Zdziwiony patrzył tłum na obcego młodzieńca i płaczącego Jana... wszystkie serca zastygły w oczekiwaniu... w przeczuciowej, świętej trwodze. Smukła ręka Jezusa opadła miłości pełnym, błogosławiącym ruchem na ciemną, pochyloną głowę Jana.

— Zaniechaj Janie... tak przystoi dla nas... byśmy spełniali sprawiedliwość wszelką.

W tonie głosu dźwięczał nakaz... podniósł się Jan, do smagłej twarzy uderzyła łuna rumieńca... w duszy miał lęk, radość i jakiś przeczuciowy, olbrzymi ból.

Zatrzymały się w biegu fale Jordanu, jakgdyby lękiem świętym przejęte, wiatr przestał kołysać srebrem nadbrzeżnej wierzbiny, na ustach ludu wyznawczy zamarł szept.

Od błękitu wód odcina się smukła, jasna postać Jezusa z Nazaretu i potężna, jakgdyby ze spiżu odlana, Jana Zachariaszowego syna.

Cisza... nawet serca ustały bić... nawet krew w żyłach nie krąży.

Zlewająca wodę na pochyloną, złotą głowę prawica drży... Jan ma wrażenie, że śnieżno-runego baranka poświęca na ofiarę i serce ból mu szarpie nadludzki... i taka miłości pełń... i taki krwawy żal...

— Panie! Panie!...

Powódź blasku otoczyła nagle postać Chrystusa i Jana, przerażony, olśniony lud do ziemi przypadł i oczy skrył.

Ale szeroko rozwarte źrenice Jana śmiało patrzyły w blask... po nad głową Jezusa promienna gołębica biała, błogosławieństwem rozpoztarła skrzydła... Stał przed Janem wspaniały, potężny... postać Jego zda się świat wypełniła cały... rozwarte ramiona miłośnie ludzkość tulić pragnęły...

Bóg-człowiek...

A oto głos zwycięzki, potężny płynie przestrzenią.

„Ten jest on Syn mój miły, w którym mi się upodobało".

Zniknął światła słup... gołębicy zjaw... Chrystus wyszedł z srebrzystych wód Jordanu.

— Baranek ofiarny — drży szept w duszy Jana i radość walczy w nim z żalem bezmiernym.

— Baranek ofiarny...

Łzy zmąciły mu wzrok...

Gdy podniósł głowę przejęty nagłą, cudną myślą, by te masy ludu wierzącego, Panu rzucić do stóp... by zawołać tym w lęku przywartym do ziemi...

— Oto Messyasz!

To już tylko cicho szemrały fale Jordanu, a wśród nagich wzgórz Judei rysowała się oddalająca się wolno młodzieńcza postać Jezusa z Nazaretu... a w koło szept pytań drżał...

— Janie... co to był za blask?...

— Janie... huk słyszeliśmy... czy to grom uderzył.

A w duszy Jana olbrzymia litość wstała, po smagłych policzkach płynęły łzy. O biedni wy... biedni... Bóg był między wami, a wy nie przeczuliście go... nie poznali...

Podniósł głowę, po tłumie ludu spojrzał i głosem drżącym jeszcze od wewnętrznych łkań dał świadectwo prawdzie...

Marya Czeska.

Początek życia na ziemi.[1]

Rozdział I.

PROBLEM ŻYCIA.

Dwa światy. — Definicya życia, a najnowsi przyrodnicy. — Cechy życia. — Definicya życia u Arystotelesa. — Motor i zwierzę. — Trzy możliwości. — Powstanie życia na ziemi i dogmat katolicki. — Wolność naukowa katolików. — Nauka ostatecznym trybunałem.

Przyglądając się baczniej otaczającym nas zjawiskom, dostrzedz i uznać odrazu musimy, że świat cały materyalny rozpada się na dwie wielkie, łatwo odróżnić dające się grupy, mianowicie na istoty nieorganiczne, czyli, jak mówimy zwykle, martwe, i na istoty żywe.

Co to jest życie? Skąd ono się wzięło na ziemi? oto pytania, które ludzkość zadawała sobie od początku swego istnienia i które nurtują i snują się wzdłuż wszystkich naszych badań i dociekań nad światem materyalnym. Rozwiązanie ich stanowi jeden z celów pierwszorzędnych nietylko nauk biologicznych, życie i jego objawy za bezpośredni przedmiot mających, ale i nauk takich jak fizyka, chemia, mineralogia i geologia. Boć czujemy dobrze, że świat nieorganiczny i jego właściwości tylko o tyle nas właściwie zajmują, o ile jest on podłożem i narzędziem przejawów życiowych. Nauka, mająca za przedmiot badanie istot ży-

[1]) Rzecz niniejsza stanowi rozszerzoną nieco i przypiskami objaśnioną osnowę dwu publicznych odczytów illustrowanych obrazami świetlnymi, wygłoszonych w Krakowie d. 24 i 26 marca 1914 r. w sali krakowskiego Tow. Ubezp.

wych, czyli tak zwana biologia, była i będzie zawsze królową wszystkich nauk przyrodniczych tak, jak jej cel, rozwiązanie zagadki życia, był i będzie zawsze najbardziej niepokojącym problemem, zajmującym umysł ludzki.

Wykład obecny ma być poświęcony odpowiedzi na pytanie drugie, mianowicie mamy zająć się zbadaniem, ile możności wyczerpującem, kwestyi, co dziś zbiorowy umysł ludzkości, po tylu wiekach wysiłku i pracy, powiedzieć może o pochodzeniu życia na ziemi. By jednak w odpowiedzi na to pytanie na manowce nie zboczyć, nie możemy zupełnie pominąć pytania pierwszego: co to jest życie.

W sprawie tej żaraz u progu napotykamy na bardzo ciekawe zjawisko. Filozofowie dawni, począwszy od Arystotelesa aż do czasów nowszych, opierając się na codziennej obserwacyi żywych istot, nie napotykają na wielkie trudności w zdefiniowaniu życia. Tymczasem biolog ostatniej doby, otoczony stosami ksiąg przyrodniczych, traktujących o wszystkich dziedzinach przyrody z wyczerpującą dokładnością i drobiazgowością, uzbrojony w potężny mikroskop, a nawet ultramikroskop, pozwalający mu przy pomocy najnowszych środków technicznych wglądać w tajniki przyrody żywej tak głęboko i podpatrywać takie przejawy życiowe, jakich istnienia filozofowie dawni nawet nie przeczuwali, biolog taki, zagadnięty prostem pytaniem: co to jest życie, zamiast dać jasną, wyczerpującą i głęboką odpowiedź, ku naszemu zdumieniu staje zmieszany i po namyśle oswiadcza, że życie jest pojęciem tak skomplikowanem, albo może przeciwnie, tak prostem i pierwotnem, że my wogóle nie możemy go definiować, że nie możemy powiedzieć, co to jest życie, na czem polega istota, lecz tylko możemy opisać jego objawy.

Psychologicznie nie trudno sobie to zjawisko wytłumaczyć. W umyśle bowiem nowoczesnego przyrodnika wyraz „życie“ wiąże się z tyloma zawikłanemi pojęciami, przywołuje mu na pamięć tyle zjawisk fizycznych, chemicznych i fizyologicznych, począwszy od cieplnych i elektrycznych, od przemian materyi, osmozy i dyfuzyi, aż do działań owych tak tajemniczych enzymów, leukocytów i bakteryi, że spełnia się tu owo niemieckie

przysłowie: dla wielkiej ilości drzew, nie można dostrzedz lasu. Przyrodnicy najnowsi, od Klaudyusza Bernarda[1]) począwszy, aż do czasów ostatnich, nie chcą wprost definiować życia, lecz tylko podają pięć istotnych cech, jakiemi każda istota żywa jest obdarzona, a cechy te są: zdolność odżywiania się czyli przemiany materyi, którą istota żywa przyjmować może i musi z otoczenia, by ją przemienić w siebie i do celów swoistych używać, dalej rośnięcie, zdolność mnożenia się, oddziaływanie na bodźce zewnętrzne i wreszcie śmierć. Śmierć bowiem, będąc końcem życia, jest też tem samem jego cechą; istoty nieorganiczne, nieżywe, nie umierają.

Czy jednak stanowisko przyrodników, którzy twierdzą, że życia definiować nie można, jest słuszne? Z pewnością nie. Życie ani nie jest pojęciem tak pierwotnem, jak to utrzymują niektórzy, że go już przez żadne inne, prostsze, określić nie można, ani też nie jest takiem zbiorowiskiem zjawisk, by z nich nie można było wypośrodkować to, co stanowi wyłączną i zarazem całkowitą treść i istotę życia. Sprawy tej obszerniej rozstrząsać tu nie będziemy, odprowadziłoby to nas bowiem zadaleko od naszego tematu, powiemy tylko, że najlepsza definicya życia pochodzi od owego geniuszu greckiego, który przez cały ciąg rozwoju cywilizacyjnego przyświeca ludzkości, od Arystotelesa. Życie, wedle tej definicyi, to ruch wsobny, czyli w innych słowach, to zdolność wprawiania się w ruch, bez działania siły zewnętrznej. Przyczem pamiętać trzeba, że wyraz ruch, bierze się tu w pojęciu najogólniejszem, oznaczając przezeń jakąkolwiek zmianę.

Cechą więc istotną życia jest ruch wsobny, są zmiany, których celem jest przedewszystkiem sama istota żywa. Dla wyjaśnienia i zarazem krótkiego rozpatrzenia znanego przeciw tej definicyi zarzutu, że przecież i automobil i maszyna kolejowa także sama się porusza i stanowi cel ruchów wsobnych, zestawmy w myśli i porównajmy ze sobą zwierzę jakieś n. p. konia, z automobilem. Na pozór analogia między jednym i drugim bijąca w oczy — ale zdejmijmy automobilowi koła a koniowi za to

[1]) Claude Bernard: *„Leçons sur les phénomènes de la vie"*. Paris 1885. T. I. Str. 77 i nast.

odetnijmy nogi, a różnica zaraz się uwydatni. Automobil pozbawiony kół jest tem, czem był od początku — maszyną, motorem benzynowym, ustawionym na desce, a cały ruch jego nie był niczem innem, jak tylko mechanicznym ruchem tłoka, wyrzucanego siłą wybuchającej, z powietrzem zmięszanej benzyny, który to ruch przeniesiono na koła. I zarówno przedtem, gdy automobil był cały, jak i teraz, gdyśmy go rozebrali, koła i inne części składowe były czemś motorowi zupełnie obcem, od niego oddzielnem. Ruchów tłoka zdemontowanego motoru nie będzie też nikt uważał za objawy życia ciężko poranionego automobilu. Inaczej z koniem. Chociaż biedne zwierze straciło nogi a tem samem nie może zmieniać zewnętrznie swego położenia, to jednak mimo to żyje dalej i bicia jego serca, które mają za cel rozprowadzanie po organiźmie krwi, a z nią i materyałów odżywczych, są czemś zupełnie różnem od wybuchu benzyny w motorze; i jak przedtem, tak i nadal, w organiźmie konia odbywa się żywa przemiana chemiczna materyi i cały szereg zjawisk fizyologicznych i fizycznych, których celem jest ów koń na pozór nieruchomy. Przemiany te i ruchy wtedy dopiero ustaną, gdy organizm uszkodzimy tak, że już niemożliwem będzie to wsobne, ku dobru całego organizmu zwrócone kierowanie wszystkich organów i ich funkcyi — i powiemy wtedy, żeśmy konia zabili. Nastąpi koniec życia, śmierć, to jest takie zniszczenie organizacyi istoty żywej, że już do ruchu uporządkowanego, wsobnego, nie będzie ona zdolną.

Prócz definicyi życia, podanej przez Arystotelesa, istnieje wiele innych, ale żadna z nich nie może się z nią równać, a przeważnie są one albo błędne zupełnie, albo niedokładne. A chociaż powstała ona w czasie, gdy nauk przyrodniczych w dzisiejszem znaczeniu jeszcze nie było opiera się więc na doświadczeniu, dokonanem nieuzbrojonymi w najnowsze środki badania zmysłami, jednak to doświadczenie, chociaż bardzo ogólne, błędnem nie było. I dziś widzimy, że wyniki najnowszych nauk definicyi Arystotelesa w niczem nie obalają. Głębiej i dokładniej rozumiemy dzisiaj sprawy odżywiania się i wzrostu organizmu, a przynajmniej w badaniu ich doszliśmy do posiadania olbrzymiej liczby

faktów nieznanych, ale żaden z tych faktów zaprzeczyć nie zdoła, a wszystkie owszem stwierdzają, że czynności organów i komórek składowych organizmu mają za cel dobro całego organizmu, rządzi niemi jakby czarodziejską różczką, ona tajemnicza, a przecież widoczna entelechia, ukryta wewnątrz organizmu.

Definicyę życia, podaną przez Arystotelesa, uważamy tedy za słuszną i za najlepszą ze wszystkich, dotychczas istniejących. I mając ją na pamięci, stwierdzamy fakt, że wszystkie istoty świata materyalnego dają się objąć dwiema wielkiemi kategoryami. Te, które należą do pierwszej kategoryi, zdolne są wykonywać tylko ruchy, zgodne z owem zasadniczem prawem mechaniki, znanem pod nazwą pierwszego prawa ruchu Newtona, mianowicie, że mogą zmieniać prędkość i kierunek swego ruchu tylko pod wpływem siły zewnętrznej; należące natomiast do kategoryi drugiej, mogą nadto wprawiać się w ruch same. Kategoryę pierwszą nazywamy w języku potocznym światem martwym, materyą niezorganizowaną, zaś druga obejmuje wszystkie istoty żywe. Wobec tego faktu narzuca się nam pytanie, skąd to życie wzięło się na ziemi?

Oczywiście możliwość jest tu dwojaka: albo życie, na ziemi się znachodzące jest tak dawne, jak sama ziemia, albo też zjawiło się później, gdy już siły nieorganiczne przygotowały dlań odpowiednie podłoże. Pierwszemu przypuszczeniu przeczy wszystko, co nauka wie z zakresu biologii i kosmogonii. Nauki te bowiem twierdzą, że ziemia kiedyś była ciałem płynnem, o bardzo wysokiej temperaturze, która zabićby musiała koniecznie wszelkie zarodki życia. Pozostaje więc tylko możliwość, że życie zjawiło się na ziemi w chwili, gdy powierzchnia jej dostatecznie ostygła, by nie zabić istot żyjących, nie ściąć lub nie uszkodzić plazmy, owej materyi zorganizowanej, bez której życie, jak uczy nas biologia, istnieć niemoże.

Cały więc spór może się o to tylko toczyć, w jaki sposób tłómaczyć sobie owo zjawienie się życia na ziemi. Zanim jednak do jego rozstrzygnięcia przystąpimy, uczynić należy koniecznie jedną krótką, lecz niezmiernie ważną uwagę. Kwestya powstania życia, chociaż jest przedewszystkiem przyrodniczą,

jest zarazem tak ogólną, bo tak splątaną z innemi, ogólnoludzkiemi zagadnieniami, że zachodzi obawa, czy ona nie jest także w związku z wiarą, czy dogmaty katolickie nie uprzedzają i nie krępują tu przyrodnika w dążeniu do poznania prawdy? Otóż odpowiedzieć tu możemy zupełnie uspakajająco. Niema żadnego dogmatu, któryby mówił o sposobie powstania życia na ziemi,[1]) i Kościół też całą tę sprawę oddaje zupełnie w ręce przyrodników, oczywiście jednak tylko takich, którym w badaniach swoich chodzi wyłącznie o wykrycie prawdy, a nie o poparcie, — jakimkolwiek uda się sposobem, jeżeli nie faktem doświadczalnym, to hypotezą i tyle nadużywaną „analogią" — powziętych skądinąd zasad i uprzedzeń. Co więcej, jak zaraz zobaczymy, właśnie my katolicy w przeciwstawieniu do monistów, jak wszędzie w nauce prawdziwej, tak i tu, w sprawie powstania życia na ziemi zupełną cieszymy się wolnością.

Bo jeżeli przyjmiemy, a przyjąć to koniecznie musimy, zniewoleni siłą faktów, że był czas, w którym życia na ziemi nie było, to uznać musimy, że na wytłumaczenie pojawienia się życia następujące tylko można poczynić przypuszczania: albo że życie rozwinęło się samo z materyi nieorganicznej, albo że zarodki życia spadły na ziemię naszą z innych planet, albo wreszcie, że pierwsze istoty żywe powstały przez akt twórczy istoty nieskończenie potężnej, oddzielnie od świata bytującej. Poza temi trzema możliwościami żadnej już innej wymyślić się nie da.[2])

Tu jednak widzimy wyższość naszą nad monistami. Podczas gdy bowiem moniści przecząc istnieniu Boga osobistego, mają do rozporządzenia dwie tylko pierwsze hipotezy, my możemy przyjąć którąkolwiek z tych trzech, a za sprawdzian, kryteryum,

---

[1]) Mówimy wyraźnie: o sposobie powstania życia *na ziemi*. Jeżelibyśmy bowiem kwestyę chcieli postawić ogólnie, i zapytali, jak *wogóle* życie powstało, to wyłania się tu sprawa hypotezy, czy może życie nie jest wieczne. O niedopuszczalności takiej hypotezy wspomnimy później.

[2]) Moniści niektórzy dodają jeszcze czwartą możliwość, mianowicie, że niema wogóle istot martwych, a wszystkie cząstki, wchodzące w skład świata materyalnego, są żywe. Twierdzenie takie, z doświadczeniem zupełnie niezgodne, a filozoficznie nie wytrzymujące krytyki, naukowej wartości nie posiada. Stąd ani teoretyczna nauka, nawet w swych najsubtelniejszych dociekaniach, ani zdrowy rozsądek, żadnej nań uwagi zwracać nie może i tylko z żalem głębokim i zawstydzeniem skonstatować trzeba fakt, że wogóle ono się pojawiło.

bierzemy nie żadne jakieś uprzedzenia i zasady filozoficzne, lecz wyłącznie fakty i wyniki nauk przyrodniczych. I dopiero gdy rozważania i dociekania naukowe pokażą, że życie nie powstało wprost z materyi nieorganicznej, ani też, że nie mogło zjawić się na ziemi z innych planet, wtedy uznamy, że pozostaje tylko ostatnia możliwość, że mianowicie istoty żywe byt swój biorą wprost z ręki Tego, który, jak skądinąd wiemy, wywiódł z nicości swem przepotężnem fiat, niech się stanie i cały świat materyalny i jego energią. Podkreślamy jednak, że sędzią i ostatecznym trybunałem, mającym rozstrzygnąć, za którą z tych możliwości należy się oświadczyć, ma być tylko nauka. Zadaniem więc naszem obecnem będzie rozpatrzeć zupełnie bezstronnie, ku której stronie najnowsze wyniki naukowych badań przyrodniczych mają zdanie nasze przechylić.

Rozdział II.

OD ARYSTOTELESA DO PASTEURA.

Samorództwo i jego zwolennicy (Ross, Van Helmont). — Idealizm średniowiecza w naukach przyrodniczych. — Redi. Omne vivum e vivo. — Mikroskop i samorództwo. — Needham i Spallanzani. — Pouchet i Pasteur. — Zasługi i prace Pasteura. — Ostateczny wyrok nauki.

Gdy sięgniemy ku dziejom myśli ludzkiej, zadziwi nas może nieco zjawisko, że obok przekonania, iż istniejące na ziemi gatunki roślin i zwierzęta wyszły wprost z ręki Stwórcy w formie takiej, jakie przed nami się okazują, obok tego przekonania utrzymuje się od zamierzchłej starożytności, aż pod wiek dziewiętnasty, mniemanie, że istoty żywe mogą powstać i powstają ustawicznie z materyi nieżywej. Jestto owa sławna „*generatio aequivoca vel spontanea*“, owo samorództwo, które wyraźnie spotykamy u takiego genialnego podstrzegacza przyrody, jakim był Arystoteles, a który uważa za fakt, stwierdzony obserwacyą, że niektóre zwierzęta lęgną się ze zgniłej materyi, że mszyce powstają z rosy, spadającej na rośliny, że muchy rozwijają się z rozpadającej się zgnilizny i t. p. Przekonanie to utrzymuje się też przez całe wieki średnie, aż do czasów najnowszych, a treść tych poglądów uwidacznia się najlepiej w słowach, jakie

Aleksander Ross kieruje z oburzeniem przeciwko sławnemu lekarzowi, Tomaszowi Browne, żyjącemu w wieku 17-tym w Anglii (1605 — 1682), który ośmielił się wyrazić wątpliwość, czy myszy mogą lęgnąć się z gnijącej substancyi. „Niechże więc on sobie powątpiewa", woła oburzony Ross „czy w serze i drzewie budulcowem lęgną się robaki, albo czy chrząszcze i osy lęgną się w oborniku, albo czy motyle, szarańcza, świerszcze, ślimaki, węgorze i tym podobne tworzą się z gnijącej materyi, która zdolna jest przyjąć formę tego stworzenia, do którego przysposobiła ją siła twórcza (*formative power*). Podawać to w wątpliwość, znaczy to podawać w wątpliwość rozum, rozsądek i doświadczenie. Jeżeli o tem wątpi, niechże idzie do Egiptu, a znajdzie tam pola, rojące się od myszy, zrodzonych z mułu nilowego, ku wielkiej klęsce mieszkańców".[1]) Z tego przekonania o istnieniu samorództwa zrodziły się też owe znane recepty na wywoływanie zwierząt. I tak sławny lekarz i chemik belgijski, Jean Baptiste van Helmont, urodzony w r. 1577, a zmarły w r. 1664, którego prawdziwie genialna intuicya wyprzedziła w fizyce i chemii daleko swoją epokę, jest zdecydowanym wyznawcą samorództwa i podaje też szereg przepisów, jak powołać do życia zwierzęta. By wywołać samorództwo myszy, wystarczy według niego, umieścić w garnku kawałek brudnego płótna i dodać tam nieco ziarna i kawałek sera. Na samorództwo szkorpiona znajdujemy inny nieco przepis: „Wyżłób otwór w cegle", powiada wielki ów lekarz, „włóż tam trochę bazylii tłuczonej. Połóż drugą cegłę na pierwszej tak, by mogła całkowicie nakryć wyżłobienie. Wystaw obie cegły na słońce, a przy końcu niewielu dni zapach słodkiej bazylii, działając jako ferment, zamieni ziele na prawdziwego szkorpiona".[2]) A pamiętać trzeba, że przepisy te i inne, które nam wydają się tak zabawne, pochodzą przecież od niezmiernie wybitnego badacza przyrody, którego rzeczywiście zaliczyć trzeba w poczet założycieli nowoczesnych nauk przyrodniczych.[3])

[1]) Peter Chalmers Mitchell: *„Abiogenesis"* w *„Encyclopaedia Britanica"*. 11-te wyd. I. 64.

[2]) Benjamin Moore: *„The Origin and Nature of Life"*. London 1914. Str. 164.

[3]) Znakomity eksperymentator i badacz niezależny, on pierwszy na mocy

Jak mąż tej miary uledz mógł tak potwornym pomyłkom w kwestyi samorództwa, wyjaśnić sobie nie trudno. Gdy myszy wszędobylskie w zacisznym kącie znajdą garnek, wymoszczony płótnem i wyposażony w ser i pszenicę, wpadną oczywiście na prosty pomysł, by tam założyć swe gniazdo i wnet garnek zaroi się młodem mysiem pokoleniem. Dziś więc geneza powstania tam myszy jest nam jasną, lecz wówczas umysły tak były silnie opanowane przekonaniem o samorództwie, że widząc myszy w takim garnku, nikomu, nawet takiemu van Helmontowi nie przyszło na myśl, zjawisko to poddać dokładniejszej obserwacyi. Wystarczyło przecież umieścić garnek taki w klatce drucianej, a przekonanoby się łatwo, że myszy w nim się nie zjawią. Ale człowiek niechętnie pozbawia się złudnych nawet nadziei, a idea samorództwa, możność dowolnego produkowania zwierząt z materyi martwej, była przecież czemś niesłychanie ponętnem[1]).

---

swych doświadczeń odkrył, że prócz powietrza istnieją jeszcze inne gazy, on wynalazł wyraz „gaz“, i udowodnił, że dwutlenek węgla, czyli, jak on go nazwał „gas sylvestre“, gaz leśny, wydawany przez palące się węgle drewniane, jest tymsamym gazem, jaki powstaje przy fermentacyi wina młodego, a który sprawia, że powietrze w piwnicach, gdzie fermentacya taka się odbywa, jest do oddechania nieprzydatne. On wyprzedziwszy chemię z górą wiek cały, orzekł, że przynajmniej w niektórych doświadczeniach, materyi nie można ani stworzyć ani zniszczyć; on wreszcie, cały proces trawienia w organiźmie przypisuje fermentom, które martwy pokarm przeprowadzają i przemieniają w żywe ciało, a które dzisiaj w całej fizyologii i biochemii tak niezmiernie ważną odgrywają rolę.

[1]) Jest to tem dziwniejsze, że Van Helmont pokazał nieraz dowodnie samodzielność umysłu i znakomite zdolności eksperymentatorskie. Objawiło się to bardzo charakterystycznie w następującym epizodzie jego czynnego, naukowego żywota. Jak wiadomo panowało wówczas przekonanie, że cały świat materyalny składa się z czterech elementów: z wody, ziemi, powietrza i ognia. Otóż van Helmont przeczy, że ziemia i ogień są elementami, i jako twórczy materyał wszystkiego uważa tylko wodę i powietrze. Że rośliny utworzone są z wody, stara się udowodnić następującem dowcipnem a żmudnem doświadczeniem. Na bryle suchej ziemi, ważącej 200 funtów, sadzi on wierzbę młodą, wagi pięciu funtów. Po pięciu latach ścina drzewo i przekonywuje się, że waży ono 169 funtów. Ponieważ bryła ziemi nie straciła na ciężarze, a wierzba nie otrzymywała nic, prócz wody, więc wyciągnął ztąd wniosek oczywisty, że drzewo, kora i korzenie wierzby utworzone zostały wyłącznie z wody. Nie wiedział jeszcze wówczas Van Helmont, jak niezmiernie ważną rolę odgrywa tu odkryty przez niego *„gas sylvestre“*, dwutlenek węgla. *„Enc. Brit.“*, t. XIII. Str. 250.

Patrząc ze stanowiska ogólniejszego na dzieje rozwoju ludzkości, dostrzedz można z łatwością, że każdy większy jego okres ma swą wybitną cechę charakterystyczną. Otóż cechą wieków średnich jest idealizm. W polityce widać go wyraźnie w instytucyi rycerstwa, w marzeniach o obejmującem świat cały cesarstwie rzymskiem chrześcijańskiem, mającem strzedz wszędzie prawa Bożego i sprawiedliwości i wreszcie w wojnach krzyżowych; w sztuce idealizm ten krystalizuje się w owych niebotycznych łukach gotyku, porywających ducha od ziemi ku niebu; w filozofii zdradza się on w ustawicznej dążności, by w dociekaniach teoretycznych snuć raczej ze siebie, ze swej jaźni, z ogólnych pojęć ducha, aniżeli zniżać się do zadawania pytań wprost przyrodzie i przez żmudną pracę doświadczalną wydzierać jej tajemnice piędź po piędzi; wreszcie w kwestyach praktycznego życia idealizm średniowiecza znalazł swój wyraz w pewnych postulatach chimerycznych, które raz spełnione, miały na zawsze uszczęśliwić ludzkość i w sposób niezmiernie łatwy i prosty dozwolić człowiekowi zapanować nad siłami przyrody. I tak alchemicy uganiali za utworzeniem kamienia filozoficznego, mającego własność przemieniania niższych metali w złoto. Lekarze próbowali wszelkich sposobów, by wytworzyć elixir vitae, ekstrakt życia, któryby dawał ludziom wieczną młodość i świeżość. Mechanicy i fizycy przemyśliwali nad zbudowaniem *perpetuum mobile*, machiny dziwnej, która raz w ruch wprawiona, miała bez zużycia zewnętrznej energii nietylko siebie w ciągłym utrzymać ruchu, ale nadto poruszać motory i wydawać darmo pracę na zewnątrz. W biologii wreszcie dążność ta znalazła swój pożądany wyraz w zasadzie samorództwa, która dawała nadzieję wytwarzania, w miarę postępu nauki, sposobem łatwym, nietylko myszy, węgorzy i ślimaków, ale koni i bydła.

Spotkać można dzisiaj jeszcze ludzi, którzy szydzą z tych usiłowań ówczesnych, ale tacy podobni są do owych wychowawców, którzy śmieją się z pracy i usiłowań dziecka, męczącego się nad rozwiązaniem prostych zadań lub zadającego pytania o rzeczach zwykłych. I jak u dziecka nie należy wyśmiewać i przez to onieśmielać tych usiłowań i refleksyj, gdyż stanowią one podstawę

do zbudowania samodzielnego, wspaniałego gmachu wiedzy, tak tem mniej zasługują na szyderstwo wspomniane wyżej dążności minionych wieków. A to tem mniej, że na tych własnie usiłowaniach wzniósł się gmach nauk przyrodniczych, którym dzisiaj tak się chełpimy. Bo z owych prac nad wynalezieniem kamienia mądrości zrodziła się nowożytna chemia i fizyka, która nam dała prócz nieprzeliczonej liczby wynalazków i substancyi, także ów prawdziwy kamień mądrości, jak słusznie rad nazwać można; zakusy wytworzenia eliksyru życia stanowiły początek umiejętnej sztuki leczniczej; daremne próby i wysiłki największych geniuszów, mające za cel zbudowanie *perpetuum mobile*, dały podwalinę do tego najważniejszego z wszystkich praw przyrody, na którem spoczywa dziś cała fizyka, chemia i cała filozofia przyrody, to jest do prawa zachowania energii; a wreszcie prace i spory nad samorództwem wydały Pasteura, Listeura i nowoczesną aseptykę i hygienę, które otworzywszy nam oczy na cały nowy, dotychczas nieznany świat drobnoustrojowych istot, ocaliły już życie i zdrowie nieprzeliczonym milionom ludzi. Walki i zabiegi polityków i wodzów, chociaż niestety nieraz konieczne, przynoszą przeważnie śmierć i bezgraniczne cierpienie milionów, tak zwycięzcom, jak i zwyciężonym; walki i usiłowania mężów nauki dają życie, pociechę i ukojenie. Mówią, że ów geniusz wojny, Napoleon, pozbawił życia pięć milionów ludzi, a ile nieszczęść, łez i jęków spowodował Bismarck, tego nikt na świecie zliczyć nie zdoła. Wielki naród francuski hojne jednak ludzkości dał odszkodowanie: za jednego zabitego przez Napoleona, Pasteuer ocalił już życie i zdrowie setkom tysięcy.

Droga jednak, jaką nauka doszła od Van Helmonta do Pasteura, nie była łatwa i krótka. Wytyczyły ją ciągłe walki i wybrukowały kamienie mozolnych badań, z których niejeden kosztował życie całe znoju i trudu uczonego badacza. Już od początku renesansu budzi się żywszy prąd przeciw teoryi samorództwa, a pierwszym, który nad tą kwestyą czynił krytyczne doświadcze-

nia, był Francesco Redi (ur. r. 1626, um. 1698). Najświetniejszy poeta swego wieku, znany autor dytyrambicznego utworu poetycznego *Baccho in Toscana*, Redi był zarazem wybitnym lekarzem i jako nadworny medyk odgrywał nawet na dworze we Florencyi niemałą rolę polityczną. Znalazł on jednak czas i na badania naukowe, a jego klasyczne doświadczenie nad rzekomem powstaniem robaków i much z psującego się mięsa, stanowi punkt wyjścia energicznej kampanii przeciwko teoryi samorództwa. Zamknął on mianowicie mięso w szklannem naczyniu o szerokim otworze, który nakrył przeźroczystą gazą. Gdy mięso zaczęło się psuć, zlatywały się do ujścia flaszki muchy, lecz nie mogąc dostać się do wnętrza, składały jaja na gazie, w mięsie zaś nie było ani much ani tak zwanych robaków. Za pracami Redi'ego poszły niezliczone inne, i zdaniem Mitchella, począwszy od wieku siedmnastego, bierze górę coraz powszechniej przekonanie, że samorództwo zwierząt, przynajmniej wyższych i łatwo dostrzegalnych, jest niemożliwe i w końcu przyjęto zasadę, że *omne vivum e vivo*, że każda istota żyjąca początek swój bierze od innej żywej istoty.

Tymczasem wynaleziono mikroskop, a z przyrządem tym nastaje dla nauk przyrodniczych epoka złota wprost zawrotnego postępu. Właśnie jednak ten przyrząd, który dla nauk przyrodniczych jest tem, czem teleskop dla astronomii i więcej jeszcze, z początku stał się przyczyną, że w kwestyi samorództwa zboczono na czas dłuższy z prawdziwej drogi. Mikroskop odkrył mianowicie przed zdumionemi oczyma badaczy cały świat nowy istot niezmiernie drobnych, podobnych nieraz pod słabszem powiększeniem do pyłków, bądź poruszających się żywo w różne strony, bądź też tkwiących w podłożu nieruchomo. A gdy w r. 1683 A. van Leeuwenhoek odkrył bakterye, przekonano się, że niema w przyrodzie substancyi organicznej, psującej się, któraby nie roiła się od tych istot mikroskopicznych.

Wobec takich faktów, teorya samorództwa odżyła na nowo z wielką siłą. „Mogliśmy się łudzić", wołali zwolennicy tejże, „co do pochodzenia myszy i owadów, lecz czyż na widok tych nieprzeliczonych istot drobnych, jakie mikroskop pokazuje

w rozkładających się organicznych substancyach, można mieć jakąkolwiek wątpliwość, że powstały tam one przez samorództwo"? Jeden z gorliwych zwolenników tego poglądu, angielski duchowny katolicki, Needham, wykonał nawet szereg doświadczeń, które ponad wszelką wątpliwość wykazać miały powstanie drobnych zwierzątek mikroskopowych, (*animalculae* — jak je nazywano) przez samorództwo. Materyę organiczną umieścił on w zamkniętem szczelnie naczyniu na rozżarzonym popiele, by w ten sposób zabić istniejące już w niej może życie. A mimo to, gdy naczynie otwarł po pewnym czasie, znajdował tam istoty żyjące, których poprzednio mikroskop nie wykazywał.

Przeciw samorództwu, a zwłaszcza przeciwko doświadczeniom Needhama, wystąpił inny ksiądz katolicki, genialny Włoch, Lazaro Spallanzani. Urodzony w r. 1729 w Scandiano w Modenie, po ukończeniu nauk średnich w kolegium jezuickiem w Reggio di Modena, udał się na uniwersytet w Bolonii, gdzie ku wielkiemu pożytkowi swemu i nauki spotkał się z jednym z najwybitniejszych profesorów i uczonych owego wieku. Profesorem tym była kobieta, Laura Marya Bassi (ur. 1711, um. 1778), z którą Spallanzaniego łączyły związki pokrewieństwa. Bassi zajmowała wtedy na uniwersytecie Bolońskim katedrę fizyki czyli, jak wówczas nazywano, filozofii naturalnej, lecz odznaczała się ona również głęboką znajomością literatury klasycznej, a nadto francuskiej i włoskiej[1]).

Pod jej też kierownictwem studyował Spallanzani fizykę, matematykę i języki, poczem porzuciwszy uniwersytet, przyjął święcenia kapłańskie i w 25-ym roku życia zasiadł na katedrze uniwersyteckiej w Reggio. Dorobek naukowy, zgromadzony

[1]) Za swe zasługi naukowe i wiedzę otrzymała Bassi tytuł doktora i była członkiem wielu towarzystw naukowych, pozostając ustawicznie w korespondencyi żywej z najwybitniejszymi mężami nauki swego czasu, co nie przeszkadzało jej wcale spełniać obowiązków żony i matki licznej rodziny, jakie na nią nałożyły związki małżeńskie, zawarte w dwudziestym siódmym roku życia z lekarzem Józefem Verrati. Do licznych zasług tej wielkiej niewiasty przybywa i ta, że dostrzegła ona iskrę geniuszu w duszy młodego Spallanzaniego i zachęciła go do oddania się zupełnie i z całym zapałem nauce.

w ciągu długiego, bo siedmdziesiąt lat trwającego, a niezmiernie czynnego żywota (umarł w r. 1799), jest olbrzymi i wartości pierwszorzędnej. „Jego życie" pisze biograf angielski, „było ustawicznem a chciwem pytaniem przyrody na wszystkie strony, a jego liczne i różnorodne prace noszą wszystkie piętno świeżego i oryginalnego geniusza".[1]) Z tych prac obchodzi nas tu właśnie jedna, dotycząca zagadnienia, którem się w tej chwili zajmujemy i zaraz na wstępie zaznaczyć należy, że wyprzedzał tu Spallanzani swój wiek tak dalece, że jego wybitnych badań, równych, zdaniem fachowych, pracom Pasteura, współcześni nie zdołali nawet należycie ocenić i uznać.

Spallanzani dostrzegł, zupełnie podobnie, jak w sto lat później Pasteur, gdzie leży słaba strona doświadczeń Needhama, mianowicie w dosyć niedokładnej, jakbyśmy się dziś wyrazili, sterylizacyi i w zakażeniu kultury w czasie doświadczenia, Needham bowiem zatykał swe naczynie zwykłym korkiem. Otóż pisze Spallanzani: „Używałem naczyń zamkniętych hermetycznie. Trzymałem je przez godzinę we wrzącej wodzie i po otwarciu i zbadaniu ich zawartości po upływie racyonalnego okresu czasu, nie znalazłem najmniejszego śladu zwierzątek, chociaż zbadałem zapomocą mikroskopu nalewki z dziewiętnastu różnych naczyń"[2]). Na taki dowód oczywisty odpowiedział Needham w ten sposób, w jaki w sto lat później odpowiadać będą z innych powodów krytycy Pasteura, że mianowicie długotrwałe gotowanie nalewki tak zmieniło jej ustrój, iż nie była już zdolną zrodzić życia. Oczywiście rozumowanie takie zupełnie negatywne i gołosłowne, bo żadnem niepoparte doświadczeniem, zdolne chyba utwierdzić tylko w błędzie tych, którzy dla uratowania teoryi gotowi nawet i zdrowy rozsądek poświęcić — ale na ludzi, prosto i szczerze dążących do poznania prawdy, najmniejszego wpływu mieć nie może.

---

[1]) „*Encycl. Brit.*", t. XXV., str. 593. Czytamy tam jeszcze: „*His indefatigable exertions as a traveller, his skill and good fortune as a collector, his brilliance as a teacher and expositor, and his keenness as a controversialist no doubt aid largely in accounting for Sapllanazani's exceptional fame among his contemporaries*".

[2]) B. Moore: l. c. str. 168.

Uwagę tę pozwolę sobie jednym tylko oświecić przykładem. Starożytni mniemali, że kryształ górny powstał z lodu, który pod wpływem mrozów, panujących na górach, nigdy nie topniał, aż wreszcie w stały minerał się zamienił. Sądzę, że trudnoby było znaleść dzisiaj mineraloga, któryby taką genezę kryształu uznał za prawdziwą, a jednak na to, że tak nie było, że kryształ górny nie może z lodu powstać, dowodu doświadczalnego nie posiada. On tylko widzi, że każdy lód, jaki spotykamy w przyrodzie, da się stopić na wodę. Ale przeciwnik jego może na to odpowiedzieć, jak Needham Spallanzaniemu, że ten lód dlatego się stopił, że niedosyć jeszcze długo był w stanie stałym. Wartość, albo raczej bazwartościowość takiego rozumowania, widzi chyba każdy, kto dobrowolnie i gwałtem nie zamyka oczu na poznanie prawdy. Oddawajmy się badaniom i rozstrząsaniom naukowym, pogłębiajmy wiedzę, ale nie dajmy sobie wydzierać nigdy i pod żadnym pozorem zdrowego rozsądku.

Mimo rozstrzygających doświadczeń Spallanzaniego nadzieja możliwości wyprodukowania pierwotniaków i bakteryi z nieżywej materyi plącze się długo jeszcze i raz po raz głośnem wybucha echem po świecie uczonym, aż wreszcie skrystalizowała się w rozprawie naukowej, z jaką w r. 1858-ym wystąpił przed paryską *Académie des Sciences* przyrodnik francuski, Pouchet. By znaczenie tej niezmiernie ważnej w swych skutkach, nie w swej treści, pracy zrozumieć, trzeba cofnąć się nieco myślą wstecz o lat parę.

Gdy Pouchet ogłaszał swą pracę, w Paryżu rozpoczynał swą działalność świeżo do *l'Ecole normale* powołany dotychczasowy profesor chemii na uniwersytecie w Lille, Ludwik Pasteur (ur. w r. 1822). Jako chemik zyskał on już imię rozgłośne po całym świecie naukowym swojemi genialnemi pracami nad ciałami izomerycznemi, które następnie naprowadziły go na kwestyę fermentów organicznych. Kiedy w r. 1854 powołany na katedrę w Lille wygłaszał w swym wstępnym wykładzie pamiętne słowa: „na polu obserwacyi przypadek sprzyja tylko tym, którzy są przygotowani", nie przeczuwał, że na nikim one się nie spełnią tak wybitnie, jak właśnie na nim samym. Do badań bowiem nad fermentami Pasteur był

przygotowany świetnie przez wspomniane wyżej prace chemiczne, lecz szczęśliwemu przypadkowi, że użyjemy utartego wyrażenia, zawdzięczać trzeba, że młody a genialny ten badacz zabrał się do kwestyi, wówczas dla przemysłu i rolnictwa niezmiernie piekącej, mianowicie do zbadania chorób piwa i wina, kwestyi, o której rozwiązanie i wyjaśnienie przez wieki daremnie kusili się praktycy zarówno, jak i uczeni teoretycy. Pasteur zwiedził pewnego dnia browar, posiadający zdrowe i chore piwo. Poddając badaniu mikroskopowemu drożdże obu tych piw, zauważył, że cząsteczki drożdży piwa zdrowego miały kształt prawie kulisty, podczas gdy w drożdżach piwa skwaśniałego były one podłużne. Zjawisko to, które dla badacza nieprzygotowanego przeszłoby zapewne niepostrzeżenie, u Pasteura stało się niewyczerpanem źródłem odkryć i naukowych zdobyczy. „Dla badacza", powiedział kiedyś mąż ten wielki, „nic nie przedstawia większego uroku, nad czynienie odkryć; lecz jego szczęście się potęguje, gdy widzi, że znajdują one bezpośrednie zastosowanie w życiu praktycznem". I znowu śmiało tu twierdzić można, że pod tym względem żaden uczony nie może iść z Pasteurem w porównanie.

Spostrzeżenia nad drożdżami piwa naprowadziły Pasteura na odkrycia i teoretyczne poglądy nad fermentami, zupełnie przeciwne panującym wówczas teoryom sławnego chemika niemieckiego Liebiga, który fermenty uważał za materye organiczne. Według Pasteura taka przemiana organiczna, jak kwaśnienie mleka i piwa lub zamiana cukru na alkohol, odbywa się przy pomocy istot żywych, bakteryi. Lecz jakże sobie wytłumaczyć to zjawisko, że ile razy mleko wystawiamy na otwarte powietrze, ono zawsze kwaśnieje? Skądże w niem biorą się te bakterye, mające rzekomo sprawiać taką przemianę? Czyż przyjmując wreszcie za słuszne i prawdziwe twierdzenie Pasteura, że kwaśnienie jest działaniem bakteryi, nie wynika z niego właśnie wprost wniosek, że bakterye powstają w rozkładających się substancyach przez samorództwo? Pasteur twierdził stanowczo, że o samorództwie mowy tu być nie może, a bakterye w kwaśniejącem mleku pochodzą poprostu z żywych zarodków, których niezliczone mnóstwo zawiera powietrze.

Twierdzenie takie wydawało się zwolennikom samorództwa niemożliwe do przyjęcia, wszczęła się przeto zacięta walka między nimi a zwolennikami Pasteura, której punktem kulminacyjnym i zakończeniem miały być wspomniane wyżej prace Pouchet'a, przedstawione akademii w r. 1858. A doświadczenia te miały rzeczywiście wszelkie pozory ścisłości i mogły na chwilę przekonać wielu. Pouchet napełnił mianowicie flaszkę wodą wrzącą, zatkał ją hermetycznie i odwróciwszy szyjką na dół, zanurzył koniec szyjki w miskę, napełnioną rtęcią. Gdy woda całkowicie ostygła, otwarł pod rtęcią flaszkę i wprowadził do flaszki ostrożnie pół litra czystego chemicznie, wytworzonego sztucznie tlenu, a więc składnika powietrza, najbardziej dla życia potrzebnego. Dotychczas więc we flaszcze nie było absolutnie nic, prócz przegotowanej wody, stykającej się od dołu z rtęcią i chemicznie czystego tlenu. Teraz wprowadził Pouchet do flaszki kilka gramów siana, które uprzednio zamknięte we flaszce z szczelnie doszlifowanym korkiem ogrzewano dłuższy czas do 100 stopni, a nawet w niektórych doświadczeniach do 200 i 300 stopni. Pomimo takich środków ostrożności, po upływie dni ośmiu siano pokrywało się pleśnią. Skądże ta pleśń czyli te roślinki, wołał Pouchet z tryumfem? Przecież nie z tlenu, który chemicznie wytworzono, a nie zaczerpnięto z powietrza, nie z wody, poddanej długiemu gotowaniu i zakmiętej następnie rtęcią, nie z siana dobrze i długo bezpośrednio przed włożeniem do flaszki wyprażonego. Pojawienie się więc życia w hermetycznie zamkniętej flaszce można wytłómaczyć sobie tylko za pomocą samorództwa.

Sprawa kwaśnienia piwa i mleka przeszła tedy w zagadnienie biologiczne o pierwszorzędnej doniosłości. Pasteur podniósł rzuconą sobie rękawicę i z całem wytężeniem swego geniuszu i wytrwałości niezłomnej zabrał się do pracy.

Zachęty do niej nie znalazł jednak wiele nawet u swych najlepszych przyjaciół. Gdy jeden z nich, sławny chemik Biot, dowiedział się, że Pasteur badać zamierza kwestyę samorództwa, żywo mu odradzał: „Nie wybrniesz z niej“ mówił mu, „stracisz swój czas“. Gdy perswazye te nie pomogły, uniósł się gniewem i zamiary Pasteura nazwał awanturniczą pychą i głupim proje-

ktem. Inny z przyjaciół, także sławny chemik, Dumas, spokojniejszego temperamentu, mówił, że nie radziłby nikomu zatrzymywać się zanadto długo nad tego rodzaju przedmiotem. Tylko Senarmont wziął Pasteura w obronę i łagodził Biota: „Dajcie pokój Pasteurowi. Jeżeli nie znajdzie nic na drodze, w którą się zapuszcza, bądźcie spokojni, on tam się nie zatrzyma. Lecz byłbym zdziwiony, gdyby niczego nie znalazł".[1])

I rzeczywiście znalazł.

Po kilkuletnich usilnych i mozolnych doświadczeniach, czynionych z jak największą skrupulatnością, przekonał Pasteur wszystkich i dowiódł, że życie drobnoustrojowe nie powstaje z samorództwa, lecz z zarodków niezmiernie drobnych, nieraz i pod mikroskopem niedostrzegalnych, a rozsianych wszędzie, zwłaszcza zaś w powietrzu atmosferycznem. Wewnątrz grona winnego, we krwi żywej i zdrowej takich zarodków niema, to też winne grono, zarówno jak i ciało zdrowe, nie ulegają rozkładowi. Rozgniećmy grono, skaleczmy ciało i wystawmy je na działanie powietrza atmosferycznego, a natychmiast rozpocznie się fermentacya soku winnego, psucie i gnicie ciała. Umieśćmy natomiast zupełnie rozgniecione grono lub zranione zwierzę w warunkach, które czynią niemożliwym[2]) dostęp zarodków, a grono jak i ciało nie ulegną zepsuciu.

Sława tych badań Pasteura rozeszła się szybko po świecie całym. W r. 1864 zebrało się w Sorbonie na wykład publiczny wielkiego badacza[3]) wszystko, co Paryż posiadał najznakomitszego

[1]) „*M. Pasteur. Histoire d' un Savant par un Ignorant*". Paris VI Ed. Str. 120.

[2]) Roscoe: „*Pasteur*" w *Enc. Brit.*, t. XX., str. 893.

[3]) Ojciec Pasteura, skromny garbarz, mówiąc często do syna: Ach, gdybyś kiedyś mógł zostać profesorem, a profesorem w kolegium d'Arbois, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi!" — nie przeczuwał, że syn jego stanie w rzędzie największych profesorów świata, będzie gwiazdą i zaszczytem jednej z najsławniejszej uczelni i że w pół wieku prawie później do domku, w którym jego Ludwik się urodził, zbliży się wspaniały pochód i w obecności do głębi wzruszonego wielkiego uczonego odsłonią tablicę z napisem: „*Ici est né Louis Pasteur le 27 décembre 1822*". — Za młodu Pasteur, jak tylu innych wielkich ludzi, należał do średnich wcale uczniów, a jeszcze w dyplomie tego największego chemika, otrzymanym przy *Baccalauréat ès sciences*, odpowiadającemu naszemu egzaminowi dojrzałości, uwidoczniono, że w chemii był Pasteur mierny (*médiocre*). Ale tę iskrę geniuszu, którą dostrzegł już znakomity nauczy-

w nauce i literaturze, duchowni, damy, uczeni, pisarze, między którymi widziano i Aleksandra Dumasa, by uczcić i z ust jego bezpośrednio usłyszeć o rozstrzygnięciu walki, trwającej tak długie wieki, o końcu błędu, mamiącego ludzkość złudnemi nadziejami, a na gruzach którego wzniósł geniusz badacza całe gmachy nowych dziedzin nauki, których doniosłości teoretycznej i praktycznej i dziś jeszcze nie umiemy całkowicie ocenić. „Tak", mówił tam Pasteur głosem drżącym i poważnym, w którym czuć było całą uczciwość przekonanego uczonego, „doświadczenie (Poucheta) tak prowadzone, jest nienaganne, lecz nienaganne tylko w tych punktach, które zwróciły uwagę autora. Ja wykazałem, że istnieje przyczyna błędu, której p. Pouchet nie dostrzegł, której najzupełniej się nie domyślał, której nie domyślał się nikt przedtem, a ta przyczyna błędu czyni jego doświadczenie iluzorycznem, tak złem, jak owo doświadczenie z garnkiem i brudnem płótnem van Helmonta; pokazałem, którędy weszły myszy" i dalej „Pan Pouchet usunął zarodki z wody, z siana, lecz

---

ciel jego, dyrektor kollegium w Arbois, Pasteur umiał ustrzedz od zagłady i rozniecić w jasny i ożywczy dla całej ludzkości płomień, za pomocą pracy usilnej i całkowitego oddania się wyższym ideałom. „*Ces trois choses*" pisze on jeszcze jako młodzieniec do swej siostry, „*la volonté, le travail, le succes, se partagent toute l' existence humaine*". Toteż jego hasłem, które słowem i czynem powtarzał życie całe, były słowa: „*Travailler, travailler toujours*", a jeszcze na łożu śmierci w ostatnich godzinach życia, zrywa się i woła do czuwających nad nim uczniów: „*Où en êtes-vous? Que faites-vous? Il faut travailler*".

Niepodobna ogarnąć i wyliczyć korzyści, jakie geniusz Pasteura, pielęgnowany na podłożu przepięknego charakteru i niezmordowanej pracy, przyniósł dla ludzkości. Na jego odkryciach spoczęła cała antyseptyka, zastosowana najpierw przez sławnego lekarza angielskiego Listera, a więc Pasteurowi zawdzięczają życie i ulgę te miliony i miliony, jakie dziś chirurgia ratuje od chorób nieuleczalnych i śmierci. On wykazał istnienie bakteryj chorobotwórczych i zarazem wskazał, że można zapobiedz epidemiom przez dezynfekcyę i przez szczepienie. On też podał środek przeciw nieuleczalnej dotychczas a tak strasznej chorobie, jaką jest wścieklizna. Gdy po raz pierwszy otwarto w Paryżu w r. 1888 zakład szczepienia wścieklizny, znany pod nazwą instytutu Pasteura, napływać doń poczęły tysiące i tysiące z całego świata, a zaraz z początku śmiertelność z tej choroby zmalała tam do jeden procent. Dziś wszystkie większe miasta posiadają takie zakłady, a ile milionów ludu odzyskuje w nich zdrowie i życie, którzyby musieli zginąć niechybnie w okropnych męczarniach, tego nikt już zliczyć nie zdoła. A do tych dobrodziejstw, bezpośrednio człowieka tyczących, dodać trzeba inne, niezmiernej również wagi, bo związane z rolnictwem i prze-

czego nie usunął, to pyłu, który się znajdował na powierzchni rtęci. I oto, jaka była przyczyna błędu, oto, co zniszczyło cały system".[1])

Po stronie Pasteura stanęli uczeni całego świata, nauka wydała wyrok stanowczy, a oparta na nim medycyna, hygiena, przemysł i rolnictwo nigdy jeszcze dotąd najmniejszego nie doznały zawodu. Jak w fizyce prawo zachowania energii dostrzegło kilka umysłów genialnych, a stwierdza je każde nowe doświadczenie fizyczne, każdy motor i każde wogóle fizyczne zjawisko, tak w biologii to prawo o niemożliwości samorództwa, wykazane po raz pierwszy dowodnie przez Spallanzaniego i Pasteura, stwierdza odtąd każda operacya chirurgiczna, aseptycznie wykonana, każdy ładunek konserwowanej żywności, z zamorskich przywieziony krajów, każdy słój konserw, przez lata w nie zepsutym stanie przechowywanych. (C. d. n.)

Ks. Feliks Hortyński.

---

mysłem. Pasteur nauczył zwalczać zarazę, wyrządzającą straszne spustoszenia w hodowli jedwabników, od niego dopiero datuje się umiejętny, a nie ślepym trafem kierowany wyrób piwa i wina, on wreszcie oddał niespożyte zasługi rolnictwu, podając sposób zwalczania karbunkułu wśród bydła i cholery wśród kurcząt, na którą, aż do jego czasów, ginęło rocznie 10% drobiu we Francyi, podczas gdy po zastosowaniu wynalezionej przezeń metody prewencyjnej, śmiertelność ta spadła nagle poniżej 1%. Huxley ocenia, że odkrycia te zapobiegły w samej Francyi tak wielkim stratom, że wystarczyłoby to zupełnie na pokrycie kontrybucyi, nałożonej na Francyę przez Prusaków w r. 1870.

Czcią i miłością całej ludzkości otoczony, przeszedł Pasteur spokojnie d. 28 września 1895 r. po wyższą i trwalszą nagrodę, niż go tu na ziemi spotkać może, do Tego, którego zawsze wiernym i pełnym prostej a głębokiej wiary był sługą. — Sławna jest przecież i znana jego odpowiedź, którą dał raz jednemu ze swych uczniów, pytającemu się, jak taki uczony może być wierzącym po tylu rozmyślaniach i studyach: „Właśnie dlatego, że rozmyślałem i uczyłem się, pozostałem wierzącym jak Bretończyk. Gdybym był więcej rozmyślał i więcej się uczył, stałbym się tak wierzącym, jak Bretonka". A wiadomo, że Bretończycy wiarą swą prostą i głęboką, mogą iść w porównanie z naszym polskim ludem. (*„Revue des Questions-Scientifiques"*, t. 39, str. 385—387). Toteż umierając z krzyżykiem miedzianym w ręku, stygnącemi wargami szeptał jeszcze akty wiary i nadziei. (K. Kneller: *„Das Christentum und die Vertreter der neueren Naturwissenschaft"*. Freiburg 1903, str. 215—217).

[1]) *Pasteur Histoire itd.* l. c, str. 122—125.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Socyologia. Tom I. — Wstęp do socyologii część pierwsza. *Leopold Caro.* Lwów 1912.

Książka ta niewielka rozmiarem, a w treść bogata, nietylko nam jednak daje co obiecuje, — ale, co godne uwagi, w osnowie swej zawiera poważne rękojmie ziszczenia obietnic. Ten „*Wstęp do socyologii*“, ściśle mówiąc, wstępu część pierwsza, nie pozwala jeszcze sądzić o dziele, które w nim jest zapowiedziane, ale pozwala się spodziewać w owym dziele pracy naukowej na poważnych studyach opartej, z należytem przygotowaniem i gruntowną znajomością rzeczy podjętej.

Autor, wybitny prawnik i ekonomista od dawna znany jest w literaturze ze studyów w dziedzinie swej specyalności, nietylko na badaniach teoretycznych, lecz i na obserwacyi życia współczesnego opartych.

Pisał po polsku i po niemiecku dzieła obszerne i wyczerpujące o lichwie, o emigracyi, oraz liczny szereg broszur i artykułów o przedmiotach, bądź z obu tymi tematami związanych, bądź z innych różnorodnych dziedzin naszego życia społecznego i gospodarczego wysnutych.

Zajęcie się podobnymi przedmiotami dobrem jest niewątpliwie przygotowaniem do badań nad społeczeństwem, daje bowiem badaczowi obszerny materyał faktyczny, który oczywiście tem skuteczniej może zużytkować, im gruntowniejsze posiada wykształcenie zawodowe i rozleglejsze oczytanie w odnośnej literaturze naukowej.

Drowi Caro tego ani tamtego nie brak. Dowodem choćby zajmujący nas tu „*Wstęp do socyologii*". Erudycyi w nim dużo, ogarnięcie przedmiotu wielostronne i krytyczne, wykład systematyczny, choć może niedość wyczerpujący, zawsze jednak jasny, zwięzły i przystępny.

W przedmowie określa autor swą książkę, jako litylko ułomek do socyologii i zapowiedź poświęconego jej dzieła, którego plan i zarys najogólniejszy ma tu być czytelnikowi przedstawiony.

W rozdziale pierwszym mamy przedmiot nauki o społeczeństwie określony naprzód ogólnie, a następnie w bardziej szczegółowem rozwinięciu. Dalej mówi autor o prawach przez nią wykrytych, o metodach, jakiemi się posługuje, wreszcie o planie swych nad nią badań. Rozdział drugi to historya socyologii w bardzo zwięzłym zarysie, czy nie nazbyt zwięzłym, nazbyt dorywczo lakonicznym. Rzecz ujęta szeroko. Wszystkie główniejsze systematy socyologiczne i poglądy na społeczeństwo uwzględnione w treściwych określeniach i charakterystykach. Sądzę wszakże, że zyskałyby one na większem nieco rozwinięciu, jaśniej uprzytomniłyby się czytelnikom. Po przedstawieniu każdej grupy określonego kierunku, daje autor krótką jego ocenę krytyczną, bardzo bezstronnie zawsze sformułowaną.

W rozdziale trzecim mamy pokrótce podane własne poglądy autora na główne stosunki i czynniki życia społecznego — poglądy, mające służyć za przygotowawczą podstawę do dalszego rozwinięcia przedmiotu i treści socyologii w zapowiedzianem naukowem o niej studyum. Omawiane są kolejno: naprzód związek mężczyzny z kobietą, jako zaczątek wszelkich związków społecznych, następnie mowa ludzka, jako nieodzowny ich warunek wstępny; dalej wierzenia religijne, obyczaj, gospodarstwo, prawo, jako duchowe i materyalne przejawy wszechstronnego ich rozwoju, wreszcie w zakończeniu książki bierze autor pod uwagę naród i państwo, dwie główne, uzupełniające się nawzajem formy skupień społecznych w ich różnorodnych funkcyach i ustosunkowaniach tak wewnętrznych, jak zewnętrznych, oraz w ich zarządzeniu dla cywilizacyjnego rozwoju i postępu ludzkości.

W poglądach swych na różne zagadnienia życia społecznego, na możliwe ich rozwiązania i przypuszczalne z nich wnioski, nie tai wcale autor zasadniczych swych przekonań, duchem chrześcijańskim na wskroś przenikniętych, a więc stanowczo przeciwnych materyalistycznym tendencyom tak przemożnie grasującym dziś w nauce

o społeczeństwie i o różnych życia i rozwoju jego przejawach. Takie stanowisko uznawane bywa niekiedy za sprzeczne z zasadą objektywizmu naukowego.

Można na to odpowiedzieć, że objektywizm polegać tu winien nie na wyrzeczeniu się własnych, lecz na szanowaniu cudzych przekonań, na sumiennem w nie wniknięciu, bezstronnem ich przedstawieniu. Ideał nauki bezwzględnie objektywnej, bezosobistej, ponadżyciowej, czy pozażyciowej traci dziś coraz bardziej na znaczeniu w oczach nietylko filozofów, jak Bergson, Blondel, ale nawet zawodowych uczonych, jak zmarły niedawno matematyk francuski, Poincaré. Poczytują oni taką naukę za dowolną konstrukcyę pojęciową, bardzo daleką od realnej, żywej prawdy bytu, niekiedy zupełnie jej obcą. Daje się to szczególnie zastosować do nauki tak ściśle z życiem związanej jak socyologia. W rozwinięciu dotyczących jej poglądów, czyż możliwe jest zupełne zatracenie w martwej abstrakcyi żywej prawdy nowych przekonań? — A jeśli możliwe, czy prawdziwie korzystne dla normalnego jej rozwoju? — Wobec tego niesłuszną byłoby też rzeczą zarzucać autorowi „*Wstępu do socyologii*“ — choćby z punktu widzenia ścisłej przedmiotowości naukowej, że w zakończeniu swej pracy zajął wyraźne stanowisko chrześcijańskie w poglądzie na życie społeczne i najżywotniejsze jego zagadnienia chwili obecnej.

Pod koniec ostatniego rozdziału, mówiąc o zagadnieniu przyszłego postępu ludzkości, zaprzątającem każdy umysł, troską o jej dobro szczerze przejęty, zaznacza, że poza obrębem naczelnych prawd chrześcijaństwa, nigdy ono rozwiązane nie będzie i być nie może. Doktryny nowoczesne w materyalnem użyciu, wbrew chrześcijańskiemu idealizmowi poświęcenia i zaparcia się siebie, widzące jedyną drogę rozwoju i szczęścia ludzkości, aż nadto w czasach obecnych wykazały swą zawodność i bezpłodność zupełną.

Doktryna mieszczańskiego liberalizmu, deklamująca wciąż o „nieśmiertelnych zasadach roku 89“, jakie wyraźnie za dni naszych okazują się jedną wielką ułudą, czasem zgoła obłudą życia współczesnego, a wprost jej przeciwna doktryna socyalistyczna w tej antychrześcijańskiej swej postaci, w jakiej ją wyznaje obecna demokracya socyalna, jak widocznemu za dni naszych ulega rozkładowi! — Czy wobec tego bankructwa ideowego antychrześcijańsko-materyalistycznych poglądów na rozwój społeczny, nie należy uznać co najmniej za usprawiedliwione i uzasadnione w nauce oświetlenie go z ideali-

stycznie chrześcijańskiego stanowiska, oczywiście przy sumiennem i ścisłem przestrzeganiu lojalnej przedmiotowości naukowej?

Z niniejszego „*Wstępu do socyologii*“ wnoszę, że Dr. Caro dużo posiada warunków do takiego właśnie oświetlenia nauki, której wykład w niem zapowiada i z tego względu sądzę, że rychłe zjawienie się dzieła zapowiedzianego za pożądane bardzo dla naszej literatury naukowej uznać należy.

Oczywiście zdania co do dążności przewodniej autora mogą być różne. Pole do dyskusyi obszerne. Krytyka z odmiennych wychodząca założeń wiele by tu miała do powiedzenia. Ale trzeba, żeby prawdziwie mówiła i żeby postarała się o bezstronny sąd i sumienne wniknięcie w dzieło, o którem mówi. Owóż zdarza się, że krytyka u nas wobec poważnych prawd naukowych bądź milczy zawzięcie, bądź przemawia z uprzedzeniem i niechęcią, jakby miała za główne zadanie zniechęcać tych, co się im poświęcają.

Poruszam tu tę sprawę, bo na naszym gruncie naukowym ważniejsza ona niż gdziekolwiek. Wiadomo, że nasi badacze nie po różach na nim stąpają; — wiadomo w jak ciężkich warunkach, z jakiem nieraz zaparciem się siebie na niwie wiedzy pracować muszą. Czyż w dodatku znosić mają lekceważące sądy krytyków niepowołanych?

Typowy sądów takich przykład znaleźć można w sprawozdaniu o pracy p. Leopolda Caro pomieszczonem przez krakowskie „*Czasopismo prawnicze i ekonomiczne.*“ Krytyk z takiem lekceważeniem omawia tam pracę poważnego badacza, że nie uważał nawet za potrzebne uważnie jej przeczytać, jak o tem świadczy opaczne całkiem przedstawienie wielu myśi autora, a czasem nawet wprost przekręcanie słów jego w cytatach.

Takiej krytyki prawdziwie pisać się nie godzi, a jeszcze mniej przystoi poważnemu pismu naukowemu dawać jej gościnę, zaiste nie z pożytkiem dla nauki polskiej.

W. Gostomski.

Początki hierarchii kościelnej. Studyum historyczno-dogmatyczne. Napisał *ks. dr. K. Sieniatycki*, prof. Uniw. Jagiell. Lwów. Gubrynowicz i Syn. 1912. Str. VI+216.

Ze stanowiska historycznego chce dać odpowiedź na pytanie, czy hierarchia kościelna, przynajmniej w swych wyższych stopniach jest z ustanowienia Bożego, czy też powstanie swe ludziom zawdzięcza. Jak widać, kwestya ze względów apologetycznych nie-

zmiernie doniosła. Autor uwzględnia tylko trzy najwyższe stopnie hierarchii: episkopat, presbyterat i dyakonat, ponieważ „niższe stopnie hierarchii w pierwszych trzech wiekach (a tą epoką tylko się autor zajmuje) w dokumentach historycznych rzadko i sporadycznie występują" i według powszechnego zdania teologów, są ustanowienia ludzkiego. Także kwestyę prymatu biskupa rzymskiego autor pomija, gdyż „ślady tego prymatu w pierwszych trzech wiekach lubo niezaprzeczone, występują jeszcze dość skąpo" (?)

Studyum swoje podzielił Autor na trzy części. W pierwszej w krótkim zarysie podaje kilka głównych hypotez uczonych niekatolickich, odnoszących się do omawianego przedmiotu, w części drugiej gromadzi materyał źródłowy z pierwszych trzech wieków, a celem przejrzystości układa go według poszczególnych kościołów, które tworzą trzy wielkie grupy: kościoły w Azyi, w Europie i Afryce, wreszcie w części trzeciej na podstawie zebranego materyału wyprowadza wnioski, stwierdzające różnicę między tak częstymi w pierwszych wiekach chrześcijaństwa charyzmatykami, a normalną hierarchią, a nadto boski początek tejże.

Dziełko to, przeznaczone dla warstw inteligentnych, ma charakter popularno-naukowy, nie rzuca więc nowych poglądów, nie posuwa kwestyi naprzód, ale z naukowym krytycyzmem, przystępnie i jasno rzecz całą przedstawia.

Metoda pracy: najpierw gromadzenie materyału, potem jego zużytkowanie zasługuje na pochwałę, przyczynia się bowiem do przejrzystości, natomiast możeby dobrze było teorye omawiane w części pierwszej połączyć z poglądami zawartymi w części trzeciej, na czemby ani jasność, ani rzecz sama z pewnością nie ucierpiała.

Zadziwia tylko nieco podany na wstępie spis źródeł i literatury, trudno bowiem przypuścić, żeby autor uwzględnił tylko wymienione tam dzieła. I tak, brak zupełny nowszej literatury. Patrologia Bardenhawera podana w 2-iem wyd., a przecież już od r. 1910 istnieje trzecie jej wydanie, także dzieła Ojców cytuje autor według Migne'a, a przecież niektóre z nich mamy już w daleko lepszem wydaniu krytycznem berlińskiem, albo wiedeńskiem. Niemiłe też wrażenie robi podane w spisie protestanckie wydanie Pisma św., boć przecież mamy wydania katolickie bez wątpienia lepsze, niż to kieszonkowe wydanie Nestle'a.

Wszystko to jednak drobnostki, które nie umniejszają wartości całego dzieła i szczera wdzięczność należy się Autorowi, że naszą

ubogą polską literaturę kościelną wzbogacił tą prawdziwie ładną pracą.

Bodajby więcej prac podobnych pojawiło się w księgarniach naszych, a zdołamy zapewne, jak zrobili to już Rosyanie, zwrócić na siebie oko uczonego Zachodu, który powinien już przestać nas uważać za paryasów myśli. *K. Ranoszek.*

Dzieje Kościoła Polskiego. T. I. w. X, XI. XII. Nap. *Ks. Kamil Kantak* Gdańsk—Poznań. Nakł. „Pracy". R. 1912. Str. 292.

Nazwisko Sz. Autora, znane z prac piśmiennych na rozlicznych polach, nie zaśniedziałe w samej tylko historyi, mogłoby rokować nadzieję, że szerokim swym umysłem obejmie A. te wszystkie objawy życia Kościoła polskiego, jakie kreślić zamierza. Stąd nic dziwnego, że każdy czuł pewnego rodzaju satysfakcyę, iż wreszcie raz spotka się z historyą kościelną w oświetleniu nie niemieckiem, jakie niestety spotykaliśmy dotąd w naszych podręcznikach historyi tak kościelnej, jak i świeckiej.

Więcej jeszcze tuszyć można było, czytając przedmowę.

W niej głosi A., że będzie się starał „dzieje Kościoła polskiego odmalować na tle dziejów Kościoła powszechnego", uwzględniając „historyę polityczną i kulturalną". Tłumaczy się też tutaj A., dlaczego używa słowa „Kościół polski". Ale jeśli chodzi o ścisłość, jakiej broni („ściślej oddaje pojęcie prowincyi kościelnej w Polsce"), to czyż może nie należałoby tutaj wspomnieć, że używając wyrazu „Kościół polski" omija się tem samem tak zawiłą kwestyę o znaczenie słowa „Polonia". Wyjście, jakie znalazł tutaj A. jest bardzo trafne.

Tom I. opisuje początek metropolii polskiej albo właściwie w. X, XI, XII. Pominąwszy, czy ten tytuł pierwszego tomu i chronologiczne jego objaśnienie (w. X, XI, XII) dane przez A. są to współmierne przedmioty treścią i czasem, zejdźmy do kwestyi najważniejszej: formy i źródeł.

Gdy chodzi o książkę historyczną, przedewszystkiem i na pierwszem miejscu stawia sobie każdy pytanie: dla kogo ta historya pisana? Czy to podręcznik, czy studyum obszerne, czy książka popularna.

Nie widać, by A. starał się swoje „*Dzieje kośc.*" przedstawić we formie podręcznika poważniejszego w guście używanych zazwyczaj

przy wyższych studyach historyi kościelnej n. p. Krynickiego, Funka, Hergenröthera, a zwłaszcza samego Funka wyd. Biehlmeyera.

Każdy podręcznik powinien oprócz dziejów politycznych Kościoła, przedstawiać i jego rozwój wewnętrzny. Przeglądając zaś tych XIV. rozdz. w książce ks. Kantaka, sądziłby można, że tom ten zawiera same tylko dzieje polityczne Kościoła polskiego. Prawda, że Kościół polski żył życiem wewnętrznem Kościoła powszechnego, prawda, że tu i ówdzie napotykamy nawet odpowiednie wzmianki w książce ks. Kantaka, ale przecie ten Kościół polski miał swoje osobne tętno i swoje odrębności; należałoby je więcej uwzględnić i wypuklić, jak na podręcznik historyi kościelnej przystało.

Może być, że A. chciał być oryginalnym i w sposobie przedstawienia rzeczy — w każdym razie stwierdzić należy, że jego dzieje w niczem nie przypominają tego rodzaju klasycznych podręczników, o jakich przed chwilą wspominaliśmy.

Nie można też uważać „*Dziejów*“ za poważne studyum naukowe, nawet na pierwszy rzut oka, gdy się widzi brak aparatu krytycznego, tem bardziej po przeczytaniu kilku rozdziałów. Z postępowania swego tłumaczy się poniekąd sam A. w przedmowie: „Z pierwszych wieków Kościoła polskiego... niema źródeł nieogłoszonych“. Ale nam o to nie chodzi: lecz kiedy i na czem, na jakich źródłach i opracowaniach buduje A. swe wnioski? Czy wystarczy powiedzieć w przedmowie, że źródła znajdują się „prawie całkowicie w „*Monumenta Poloniae*?“ Przecież każdy z tych, co rozumie znaczenie słów „*Monumenta Poloniae*“, wie o tem i bez uwagi Autora, że źródła — ale nie wszystkie — do tej książki, jaką do ręki wziął, znajdzie najłatwiej, bo zebrane razem u Bielowskiego. Normą zaś, przyjętą u piszących, jest, by cytować autora, nie tylko „w razie cytacyi dosłownej lub w kwestyach spornych“, jak to czyni A. — chociaż zdaje się, że nie zawsze pamiętał i o tej obietnicy, uczynionej w przedmowie.

Mimo wszystko jednak przyznać trzeba, że zamiar A. był wspaniałym. Zdawał on sobie z tego sprawę, że niemożebnem jest, by jeden człowiek zbadał wszystkie źródła do dziejów Kościoła polskiego za czas od X—XX stulecia!

Mamy jednak obecnie już tyle opracowań szczegółowych, a stojących na wysokości naukowej, że czekało się tylko z niecierpliwością na człowieka, któryby te porozrzucane po wydawnictwach studya zechciał połączyć w ten sposób, by na ich podstawie ułożyć cało-

kształt. Wprawdzie i tutaj byłoby nieco trudności, ponieważ jedne okresy naszych dziejów są lepiej, inne gorzej opracowane, a niektóre nawet zupełnie nietknięte — ale to byłby najłatwiejszy i najkorzystniejszy sposób pracy, a możliwie najwięcej źródłowy i poważny i pewny.

Ale niestety i tutaj w korzystaniu z istniejącej literatury są pewne braki.

Nie mamy zamiaru pisać szczegółowych uwag i rzeczowych sprostowań, pozostawiając to raczej dla najkompetentniejszego u nas dla tych dziejów pióra,[1]) ale dotknę mimochodem dwóch tylko kwestyi: stosunku Polski z Rzymem i sprawy św. Stanisława; dzisiaj możeby już należało coś więcej o tem powiedzieć, niż nam podał A. W traktowaniu tych kwestyi, jak i całej książki znać wielki pośpiech i gorączkową pracę, która się tem objawia, że A. zbyt ulega nieraz tej literaturze, jaką świeżo przeglądał; czasem możeby można nawet próbować wskazać, iż w danej kwestyi więcej się A. informował w literatutrze n. p. niemieckiej lub naodwrót tylko w polskiej. Stąd znowu pochodzą zapatrywania niezupełnie zrównoważone — że dotknę znowu tylko kwestyi obrządku łacińskiego i słowiańskiego, lub sądu o stosunkach kościelnych w wiekach średnich albo, że A. jakby nie widział większego niebezpieczeństwa dla polskiego Kościoła, jak tylko ze strony niemieckiej.

Oto kilka uwag ogólniejszej natury. W dzieło swoje włożył A. dużo pracy i mimo jego braki może być ono pożytecznem w niejednej kwestyi, ale naprawdę stanie się poważnem, jeśli Sz. A. zechce przy wydaniu następnych tomów uwzględnić przynajmniej te życzenia, jakie podadzą fachowe pisma.

Ks. K. Konopka.

Jenerał Zamoyski 1803—1868. T. I. 1803—1830 Poznań. Nakładem biblioteki kórnickiej 1910, T. II. 1830—1832 tamże 1913.

Jenerał Zamoyski wprawdzie nie zostawił wykończonych pamiętników, ale zostawił wspomnienia, pisane już w r. 1832 po powstaniu listopadowem. Siedząc po rozbrojeniu korpusu II. jenerała Ramorino, w którym walczył, przez Austryaków w Lubieńcach w gościnie u p. Piotrowskiego w Galicyi, spisywał za świeżej pamięci materyał

[1]) W ciągu 1914 r. ma umieścić jedno fachowe pismo historyczne obszerną merytoryczną recenzyę książki ks. Kantaka.

do pamiętników, by wobec Europy wykazać przyczyny powstania listopadowego, „jak nas Moskwa sama do rozpaczliwego porwania za broń przez lat kilkanaście podżegała“ i „jak podczas wybuchu carewicz W. Ks. Konstanty zmusił najoględniejszych nawet Polaków do jednozgodnego stawienia mu czoła“. Władysław Zamoyski był adjutantem W. ks. Konstantego i jako taki jest świadkiem pierwszorzędnym wypadków listopadowych. Domagał się Władysław Z. takiego elementarza dla narodu, pouczającego o błędach powstania od swego wuja ks. Adama Czartoryskiego. Sienkiewicz Karol, bibliotekarz puławski, miał tę pracę przygotować, a Niemcewicz miał jej nadać oryginalną cechę (T. II. str. 471—3). Ponieważ życzeń tych nie wykonano, spisał sam W. Z. owe wspomnienie po francusku. Przekład tej pracy bezimiennej, niezupełnie z oryginałem zgodny, pojawił się poraz pierwszy w r. 1866 w Poznaniu, nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wydawcy życiorysu jenerała wyzyskali autentyczny tekst wspomnień w całości w niniejszem dziele (T. I. rozdz. XIII i XIV. i T. II. rozdz. I.).

Następnie w latach 1857—1867 jenerał spisał lub podyktował dorywczo wspomnienia. Posiadał nadto wiele zapisków współczesnych, własnych i bezimiennych (T. II str. 260) o ludziach i wypadkach. Wszystko to, a nadto obszerną korespondencyę, dalej dokumenta urzędowe wyzyskali autorowie niniejszej pracy. Sam jenerał Z. we wspomnieniach swych posługuje się współczesnymi dokumentami, np. memoryałem Chrzanowskiego, korespondencyą Prądzyńskiego z Chłopickim (T. II, 254),

Jeżeli dodamy, że autorzy uwzględnili w szerokiej mierze współczesne pamiętniki wybitnych mężów francuskich, angielskich i rosyjskich, najlepsze opracowania o kampanii 1831 r., jak jenerała Puzyrewskiego, tedy musimy stwierdzić, że pod względem źródłowym dzieło niniejsze nie wiele pozostawia do życzenia.

Kto uważniej dzieło niniejsze przeczytał, stwierdzić musi, że autor wspomnień mógł, ogółem biorąc, to, na co patrzał, zgodnie z prawdą przedstawić. Chodzi tylko o to, czy chciał.

Na powyższe jednak pytanie jenerał Z. daje nam jasną i niedwuznaczną odpowiedź w liście z Łubieniec w Galicyi do ks. Adama Czartoryskiego z 10 grudnia 1831 r. „Ja tu korzystam z samotności, aby pisać samą prawdę o wszystkiem, o czem pamiętam“.

Jenerał Zamoyski jest gorącym wielbicielem swego wuja, ks. Adama Czartoryskiego, mimo to w kilku miejscach przedstawia go

ujemnie, zarzucając mu brak inicyatywy (T. II, str. 88) i stanowczości (T. II, 484). Nie ukrywa uchybień swej babki, ks. Izabelli z Flemingów, jenerałowej ziem podolskich, w pierwszej części jej życia. „Kiedy porwana szałem XVIII w. żyła, niestety jak w całej Europie żyło wówczas wyższe towarzystwo (T. II, 502). Wobec tej prawdomówności autora wspomnień, wartość ich źródłowa nie ulega żadnej wątpliwości. Należąc do najbardziej wpływowego środowiska w naszem społeczeństwie i do głównych aktorów w powstaniu listopadowem, miał wszelkie dane do wyjaśnienia nam najważniejszych momentów dziejowych, do wydania cennych sądów o wypadkach i ludziach między 1795—1832.

Również zgodne z wynikami najnowszych badań jest to, co mówi W. Z. n. p. o ks. Poniatowskim. „Ks. Józef, lepiej, niż ktokolwiek, mógł ocenić, z jakiem lekceważeniem Napoleon szafował krwią Polaków". Sam oświadczył ojcu Zamoyskiego: „Ten człowiek nic dla nas nie zrobi, ani myśli o tem, by co dla nas zrobić. Jemu krwi naszej tylko potrzeba, niepodległości nikomu nie zgotuje".

To, co kongres wiedeński stworzył dla Polski, nazywa Zamoyski słusznie jej odrodzeniem i korzyścią. Wszystkie późniejsze zawody i klęski, jakie na nas spadły, nie zdołają zatrzeć tego, co na korzyść Polski w Wiedniu r. 1815 stanęło. Że jenerał Zamoyski z uznaniem mówi o arcyksięciu Karolu i jego sympatyi do Polaków, to łatwo zrozumiałe, ale dziwniejsza, że mówi ze sympatyą pewną o Metternichu, i że wraz z Talleyrandem bez porównania godniej i rozumniej w sprawach polskich występował, niż wszyscy inni różnych narodów pełnomocnicy. Najciekawsze jednak sądy wygłaszał Zamoyski o powstaniu listopadowem, przy którym ruchu wprost historyczną odegrał rolę, a w którem należał do najwybitniejszych działaczy. Mimo ogólnego rozgoryczenia w narodzie, był wraz z ojcem swym zdania, że, jak długo prawa konstytucyjne Królestwa, chociaż gwałcone, nie były jeszcze zaprzeczone, a przynajmniej nie wymazane z ustaw pisanych, należało ich bronić środkami, mogącymi te prawa ratować, nie zaś takimi, coby przemocy posłużyć mogło do wydarcia i tego, co jeszcze nam pozostawiono, a zarazem do twierdzenia, żeśmy je pierwsi zdeptali..

Prawo ratować, trwałość i świętość jego zabezpieczać może najsłabszy wobec najpotężniejszego słowami „*non licet*", spór wytaczać, na ostrzu miecza losy kraju stawiać i to kraju, nie władającego siłą, któraby zapewniła zwycięstwo, może ten tylko, kogo upaja ślepa

miłość Ojczyzny, nie może, nie powinien roztropny. A jednak, gdy nagle wybuchło, wszyscy bez wyjątku, jakby nadludzką siłą porwani, rzucili się w tę przepaść wraz z tymi, co pierwsi do tego popęd dali. Nikt nie chciał iść za przezornością, którąby nań ściągnęła pozory wystygłego dla Ojczyzny serca.

W r. 1830 stan rzeczy w Polsce zdaniem W. Z. był taki, że wybuch stawał się nieunikniony. Nie mógł on jednak zaradzić złemu, przeciwnie można go uważać za dalszy ciąg zła, spowodowanego długim uciskiem wroga.

Dowodem wielkiej niedojrzałości politycznej było, że Polacy powszechnie mniemali, jakoby w rozprawie z Moskalami staczanie wielkich bitew było naszem głównem zadaniem. To jedno wystarczało, by naszą sprawę zgubić. Trzeba było bitew unikać, a nieprzyjaciela zmuszać do rozdzielenia, a nie skupienia sił swoich.

Nie umieliśmy ani ocenić naszego stanowiska politycznego, ani stworzyć sobie władzy politycznej. Każdy, idąc tylko za samem uczuciem patryotycznem, całą uwagę zwracał na rozwinięcie siły wojskowej. Tym sposobem wytworzyła się potęga Chłopickiego i doszło do dyktatury człowieka, który był najzaciętszym wrogiem powstania. Mieliśmy — zdaniem W. Z. — człowieka uzdolnionego do kierowania powstaniem, ks. Adama Czartoryskiego, niestety zbyt mało ambitnego, aby stanął na jego czele. Zazdrość nędzna członków sejmu nie wysunęła go na czoło narodu. Wszyscy chcieli w nim mieć tylko narzędzie, zapominali, że on był nie narzędziem, ale robotnikiem. Nie umieliśmy wybierać wodzów powstania. Skrzynecki był dobrym jenerałem nie wodzem, zamiast prowadzić energiczną wojnę zaczepną, bawił się w dyplomacyę. Najlepszym jednak dowodem, jak niedojrzałym jest nasz naród w ocenie ludzi, był wybór Krukowieckiego na naczelnika rządu. Zachowanie jego nieudolne biło od początku powstania w oczy.

Myśmy przesadzali niejednokrotnie trudności naszego położenia. Nie rozumieliśmy korzyści, jakie nam dawało od początku rozprószenie wojska rosyjskiego i przerażenie Moskali. Później, kiedy błędy nieprzyjaciela i niesłychane rozbudzenie ducha w nas powinny nam były wskazać środki, jakiemi rozporządzaliśmy, i korzyści, jakie większą śmiałością mogliśmy byli zdobyć, straciliśmy najlepsze sposobności do zwycięstw przez zimne i przemądrzałe zwątpienie. Zarzut dotyka nie tyle całego narodu, ile jego wodzów, a w pierwszej linii Skrzyneckiego. Nie wyzyskali nasi wodzowie błędów Moskali,

którzy się odznaczają obroną i atakowaniem pozycyi, a nie umieją ze zwycięstw skorzystać. Po Grochowie mogli zająć Warszawę, nie uczynili tego. Pod Ostrołęką zdobyli most bagnetami, mogli szarżą kawaleryi zniszczyć rozbite wojsko polskie, po wzięciu Warszawy nie wzięli ani jednej armaty na Polakach, rozprószonych i zdemoralizowanych. Wszystkie przeszły przez granice. Skrzynecki popełnił błąd ogromny, że Paszkiewicza, maszerującego wzdłuż granicy pruskiej ku dolnej Wiśle, aby się z pomocą pruską na lewy brzeg przeprawić, nie atakował podczas tego marszu.

Wojsko nasze w ciągu miesięcznej kampanii oparło się wszystkim rozkładowym wpływom moralnym i materyalnym, które do rozprzężenia prowadziły. Znosiło wojsko dowódzców, pozbawionych czci w opinii publicznej.

Nie dało się ono następnie zdemoralizować, choć widziało ustawiczne postępy wroga wskutek naszej bezczynności, a kiedy nastąpiła kapitulacya Warszawy i nikczemne postępowanie Krukowieckiego doprowadziło do rozdziału korpusu i do wycofania się ku Modlinowi, wojsko poszło na dobrowolne wygnanie, ale się nie poddało.

Powstanie listopadowe wsparły ogromnie Wielkopolska i Galicya. Sama Wielkopolska dostarczyła 22.000 wojska, w tem 11.000 właścicieli, głównie szlachty. O zapale, jaki zapanował w narodzie, świadczą najlepiej słowa Zamoyskiego: „Widzieliśmy, jak starcy wyprawiali na wojnę synów do ostatniego, słyszeliśmy, jak kobieta jedna przysięgała, że kiedy polegną jej trzej synowie, walczący w wojsku, rozkaże czwartemu, którego w łonie jeszcze nosiła, ażeby pomścił śmierć braci i niedolę Ojczyzny".

Zamoyski z wielką niechęcią i uprzedzeniem bardzo często mówi o Jakobinach, t. j. o czerwonych demokratach, którzy w czasie powstania zdobyli sobie znaczenie, a podczas mordów z dnia 15 sierpnia 1831 smutny rozgłos, nietylko w całym kraju. Dzieli on w całej linii uprzedzenia arystokracyi do ruchu demokratycznego, zbyt jednak jest sprawiedliwym, by Jakobinom polskim imputować z ultra-arystokratami przyczynę naszej zguby.

Że oni byli głównymi sprawcami naszego wewnętrznego rozkładu, to nie ulega zdaniem jego wątpliwości, ale skąd przyszli do takiego wpływu? Stąd, że cała sprawa nasza pod względem tak politycznym, jak i wojskowym, była najgorzej pokierowana. Winą naszą, t. j. arystokracyi było, twierdzi W. Z., „żeśmy klubowi jakobińskiemu swobodę działania zostawili, żeśmy go nie okiełzali, brakło nam

człowieka, któryby ich umiał w karbach utrzymać, co więcej brakło stronnictwa, któreby przeciwne zasady w równie patryotycznych słowach głosiło". Niestety Z., wychowany przez emigrantów francuskich, we fanatycznym antagonizmie do wszelkiego ruchu demokratycznego, nie potrafił się wyzbyć szkodliwych uprzedzeń i n. p. w takim Lelewelu upatrywał tylko szkodnika polskiej sprawy. Kochał ci Lelewel i jego towarzysze sprawę ojczystą tak samo gorąco, jak Z. Od kanalii ducha i chamstwa nie jest wolny żaden stan, żadna warstwa, to jednak pewna, że społeczeństwa, w którem z jednej strony odsądzało się i odsądza od wszelkiej czci i wiary przywódców uświadamiających się narodowo warstw demokratycznych, a proklamowano stryczek dla warstw arystokratycznych, że takie społeczeństwo nie było zdolne i nie będzie nigdy zdolne do zbiorowego wielkiego czynu, jakim jest odrodzenie się narodu i wywalczenie sobie wolności politycznej.

Na uwagę zasługuje zdanie Z. o zarzucie zdrady, którym tak głośno szafowali demokratyczni zapaleńcy. „Proszę nie dawać wiary ani na chwilę", pisze do matki swej Z., „tym nieustannym pogłoskom i posądzeniom o zdradę, niema w tem słowa prawdy".

Broniąc Krukowieckiego od zdrady, W. Z. w dosadnych słowach piętnuje jego lichy charakter. Sąd jego o jenerałach i wodzach jest surowy, ale, ogółem biorąc, sprawiedliwy. Nie ukrywa dodatnich stron, ale wytyka ujemne, dzięki temu sąd jego o Skrzyneckim wypadł korzystniej, niż się to zwykle dzieje, natomiast Prądzyński mimo przyznania mu wielkich przymiotów i zdolności, nieco blednie w przedstawieniu Z., zwłaszcza przy opisie bitwy pod Ostrołęką. (T. II, 234). Jeszcze gorzej wychodzi Chrzanowski (T. II, 274). Kto wie, czy w przeciwieństwie do polskich wodzów sąd o jenerale Ramorino nie jest zbyt optymistyczny.

Z. posiadał w wysokim stopniu zmysł krytyczny i dlatego sądy jego, zwłaszcza o naszych wadach posiadają po dziś dzień jeszcze walor. „Na co się nam przydadzą nasze zwycięstwa", pisze p. ordynatowa do syna Władysława, „choćby nam ich Bóg udzielił, jeżeli we własnym łonie nosimy żądło, które nas o śmierć przyprawi?" Czy i dziś nie sprawdzają się, zwłaszcza w Galicyi, słowa W. ks. Konstantego o Polakach: „Trzeba ich zostawić samym sobie, najlepszy to przeciwko nim sposób. Oni nigdy nie potrafią sobą się rządzić". (T. II, 78—79).

Dzieło o jenerale Z. ma jeszcze jedną nieocenioną wartość, o ile przedstawia nam w czasach materyalizmu i upadku moralnego prześliczne rysy silnego charakteru i tężyzny moralnej zarówno u samego bohatera, jak i w jego otoczeniu. Na każdej karcie jego wspomnień można wyczytać chęć i gotowość poświęcenia życia za ojczyznę.

Książka o jenerale Zamoyskim, aczkolwiek jest apologią arystokratyczną przeciwko denuncyacyom czerwonych, wietrzących wszędzie zdradę, ma nietylko pierwszorzędną naukową wartość dla dziejów naszych porozbiorowych, a zwłaszcza powstania z 1831 r., co więcej nieocenioną wartość wychowawczą i powinna być czytana i przemyśliwana w każdym polskim inteligentnym domu. Zwłaszcza dla dorastającej naszej młodzieży w szkołach średnich i uniwersytetach będzie ona pokrzepiającym kordyałem, oraz zwierciadłem szlachetnego charakteru i poświęcenia dla ojczyzny.

Dr. K. Krotoski.

Czasopiśmiennictwo polskie wieku XIX w Królestwie, na Litwie i Rusi oraz na emigracyi; zarys bibliograficzno-historyczny. *Jan Kucharzewski.* (Odbitka z „Przeglądu narodowego"). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1911. (8-ka; kt. nlb. 2, str. 121, 2 nlb.).

Żaden bodaj dział literatury nie jest po dziś dzień tak zapomniany i pokrzywdzony przez historyków literatury, jak dziennikarstwo polskie, choć niczem nie zasłużyło sobie na lekceważące milczenie.

Co prawda, prób, zmierzających do rozświetlenia czy to pewnych okresów z życia prasy polskiej, czy też ogarnięcia całokształtu jego dziejów, mieliśmy dosyć. I tak: rzecz Sobieszczańskiego w „*Encyklopedyi Orgelbranda*" jest tylko suchym przeglądem czasopism do r. 1861, przyczem okres powstania listopadowego i emigracyjny nie został uwzględniony; książka St. J. Czarnowskiego „*Literatura peryodyczna i jej rozwój*" poświęca dziennikarstwu polskiemu skąpo miejsca, traktując je szkicowo; P. Chmielowskiego „*Dziennikarstwo polskie*" w „*Wielkiej encyklopedyi powszechnej ilustrowanej*" nie uwzględnia pism peryodycznych, ponadto przemilcza okresy rewolucyjne, o emigracyi zaś zaledwo potrąca; krótki szkic historyczny p. St. Górskiego, zamieszczony w „*Książkach dla wszystkich*", jest z natury rzeczy aż nadto popularny; pozatem reszta prac, traktujących o poszczególnych okresach dziennikarstwa polskiego, nie-

tylko nie ogarnia całości, ale — skutkiem swojej fragmentaryczności — daleka jest od pretensyi do nakreślenia obrazu rozwoju prasy na tle dziejów narodu, których prasa była odbiciem. Z monograficznych opracowań jedynie „*Stulecie Gazety Lwowskiej*" przedstawia trwałą wartość, ale też takiego nakładu pracy i pieniędzy, z jakim wystąpił p. Adam Krechowiecki, darmoby szukać gdzieindziej. Na poparcie ostatniego twierdzenia wystarczy chyba przypomnieć, że w r. ub. z okazyi dwustupięćdziesięciolecia istnienia prasy polskiej, podniesiono i omawiano szeroko myśl wydania siłami zbiorowemi historyi prasy naszej od jej zaczątków aż do chwili ostatniej, która to historya byłaby opracowaniem źródłowem i naukowem. Niestety! skończyło się na pięknych projektach, o których wykonaniu jakoś dotąd głucho.

Wśród wymienionych opracowań odbija nader korzystnie praca p. Kucharzewskiego, zarówno pod względem czasokresu, jaki objąć zdołała, jak i metody ściśle krytycznej, oraz wyczerpania przedmiotu w ramach, zakreślonych z góry w tytule książki.

I czyliż to nie zasługuje na baczniejszą uwagę, że pomimo najfatalniejszych warunków rozwoju ogólnonarodowego, w jakich żyliśmy w wieku XIX., u żadnego z narodów słowiańskich prasa peryodyczna nie stanęła na tak wysokim stopniu, jak właśnie u nas?!...

Do roku 1831 prasa polska, zarówno w Królestwie, jak i na Litwie, była słabiuchna i po większej części bezbarwna. Jedynie walka klasyków z romantykami była zdolna ożywić ją nieco, ale to nie w takim stopniu, jakiegoby należało spodziewać się. Dopiero rewolucya listopadowa wydźwignęła prasę na stanowisko jej należne. Prasa z okresu poprzedniego, jeszcze zaś w wyższym stopniu z epoki polistopadowej, nie odzwierciedla bynajmniej aspiracyi i uczuć społeczeństwa. Pisma musiały milczeć o sprawach, naród do głębi nurtujących, rozpisywały się natomiast o rzeczach drugorzędnego dla ogółu znaczenia, byle czemkolwiek zapełnić szpalty. Jarzmo cenzury wycisnęło swe piętno na pismach, pozbawiając je temperamentu, czyniąc je blademi i jałowemi. Czasopiśmiennictwo okresu listopadowego drga życiem, bije w niem tętno wielkiego ruchu narodowego. Pisarze, którzy dotychczas musieli tłumić swoje myśli, wyładowują z gwałtownością nagromadzony, zwłaszcza od wybuchu rewolucyi lipcowej paryskiej, zasób idei, uczuć, nadziei. Główną rolę oczywiście odgrywają tematy, związane z walką zbrojną narodu. Obok tego burzliwie na wierzch wypływają uczucia względem rządu nieprzy-

jacielskiego, czyni się rachunek z całego poprzedniego okresu, ujawnia się i przypomina nadużycia, bezprawia, szkodliwe ustawy. Pozatem prasa ówczesna odbija w sobie rys znamienny, właściwy wszystkim ówczesnym stronnictwom: żywe przejęcie się teoryami politycznemi. Szpalty pism programowych zupełniane są roztrząsaniami na temat formy rządu, praw człowieka i obywatela, tworząc pod tym względem wstęp niejako do piśmiennictwa emigracyi. Roztrząsania te obracają się prawie zawsze około spraw żywotnych i dają temat obfity do polemiki między stronnictwami. Główne punkty różnicy opinii stanowiły trzy sprawy: stosunku do nieprzyjaciela, włościańska i formy rządu. Czasopiśmiennictwo naukowe w tym burzliwym okresie oczywiście rozwijać się nie mogło. Wogóle, wśród wiru wypadków wyłączne znaczenie mają dzienniki.

Po roku 1831 czasopiśmiennictwo na Litwie i Rusi ucichło. Nastąpił zakaz drukowania w Wilnie pism peryodycznych polskich. Przez pewien czas literatura peryodyczna musiała ograniczyć się noworocznikami, almanachami. Pomimo spieszących na usługi piór, nawet znakomitych, i almanachy zakończyć musiały rychło swój żywot. Dziennik zaś petersburski „*Słowo*“ przestał wychodzić po 15-tu numerach — z rozkazu rządu...

Nie lepiej działo się w Królestwie. Upadek Warszawy zmienia odrazu do niepoznania czasopiśmiennictwo stolicy. Z dwudziestu blizko pism zostają tylko trzy dzienniki, treści bezbarwnej i jałowej. Wszystko, co niedawno w czasopiśmiennictwie drgało życiem, talentem, uczuciem, albo zamilkło, albo przeniosło się na emigracyę. Pisma, które wychodziły po katastrofie, okupywały zrazu możność istnienia nie już milczeniem o gasnącej walce narodowej, lecz wprost otwartem jej potępieniem. „*Gazeta Polska*“ na przykład drukowała w chwili, gdy jeszcze wojska polskie stały pod bronią w kraju, artykuł o gradzie i studyum o Chińczykach lub rzecz „*O malowaniu na szkle we Francyi*“. O jakiejkolwiek klasyfikacyi pism w pierwszem polistopadowem dziesięcioleciu według kierunków, stronnictw, czy choćby odcieni, nie może być mowy. O sprawach żywotnych nie wolno było pisać! Upadek oświaty w kraju, posuwający się szybkim krokiem od chwili zamknięcia wyższych uczelni i zatamowania wszelkiego narodowego i umysłowego życia, odbijał się na czasopiśmiennictwie. Jak informacye dzienników o zagranicy są tylko przedrukiem z gazet obcych, tak artykuły poważniejsze w pismach peryodycznych świadczą albo o powierzchowności życia umysłowego w kraju, albo o zupełnej

zależności jego od wiedzy niemieckiej, która słabymi promykami przenikała przez kordon rosyjski. O odbiciu prądów społecznych w ówczesnem czasopiśmiennictwie nie może być mowy.

Po roku 1849 ruch demokratyczny, zwłaszcza w zakresie sprawy włościańskiej, prąd postępu społecznego, zgoła wszystkie objawy, tak wyraźnie występujące w czasopiśmiennictwie drugiego dziesięciolecia polistopadowego, słabną. Na hasło, dane przez ogólną reakcyę europejską, w Rosyi wstrzymano pozwolenia na wydawanie nowych pism, zakazano wykładu prawa politycznego i wykładu świeckiego filozofii. Czasopiśmiennictwo polskie na Litwie i Rusi w okresie tym zupełnie upadło. Do Królestwa Polskiego fala reakcyi płynęła z dwu stron: z jednej strony rząd tamował wszelkie objawy myśli radykalniejszej, z drugiej zaś sama ta myśl, pod wpływem powiewów reakcyjnych z Zachodu, nakładała na siebie pęta. Ale w tym samym okresie odbywa się żywiołowy rozwój czasopiśmiennictwa warszawskiego pod względem liczebnym i technicznym. Rozwój życia ekonomicznego w kraju, wciąż rosnące uprzemysłowienie, rosnący w znaczenie żywioł mieszczański, wzrost Warszawy — wszystkie te przyczyny wpłynęły na wzmożenie czytelnictwa, na techniczne wzniesienie się dziennikarstwa do poziomu prawie zachodnio-europejskiego. Upadek czasopism na Litwie i Rusi sprawił, że tak poważne siły literackie, jak: Rzewuski i Kraszewski, przeniosły się do Warszawy; również na łamach pism tutejszych szukają przytułku dawni pisarze „*Gwiazdy*“ kijowskiej.

Zmiana panowania w Rosyi, nadzieje z nowem panowaniem związane, pewne zwolnienie reakcyi w całem państwie po wojnie krymskiej, osłabienie systemu represyi w Królestwie Polskiem za Gorczakowa, przygotowania do reform wewnętrznych w Rosyi, zwłaszcza do reformy włościańskiej, złamanie reakcyi europejskiej i wysunięcie zasady praw narodowości — wszystkie te wypadki, zdające się wróżyć lepszą przyszłość narodowi, powinny były natchnąć powagą chwili także prasę, myśl jej pogłębić i pobudzić do zrozumienia doniosłości przeżywanej doby. A przecież prasa warszawska owego okresu odznacza się bardzo małem zrozumieniem chwili dziejowej, ujawnia płytkość myśli i ciasnotę widnokręgu w stopniu takim, jakiego zgoła nie tłumaczą warunki cenzuralne, bądź co bądź lżejsze, niż w okresie paskiewiczowskim. Objaw ten można wytłumaczyć jedynie szkodliwym wpływem ubiegłych lat 25-ciu na ogólny stan umysłowy kraju.

W prasie codziennej znaczny krok naprzód uczynił „*Dziennik Warszawski*“, założony przez Henryka Rzewuskiego, z zamiarem postawienia pisma na stopie europejskiej. Istotnie „*Dziennik*“ dawał wcale dobre artykuły z dziedziny literatury i sztuki, postarał się o korespondencye z głównych miast europejskich, które zastąpiły dotychczasowy system robienia wyciągów z gazet zagranicznych. Rzewuski, dobrze widziany u rządu, miał nawet większą swobodę w roztrząsaniu spraw politycznych, oczywiście w duchu zupełnej lojalności, to też wytworzył groźne współzawodnictwo dla pism codziennych, zmuszając je do zaprowadzenia reform, zwłaszcza królującą dotychczas „*Gazetę Warszawską*“, która zaczęła wprowadzać na swoich łamach, wzorem „*Dziennika*“, dział popularno-naukowy, odcinek powieściowy i korespondencye. Niebawem atoli Rzewuski sam zaszkodził swemu pismu, występując w niem otwarcie, jako fanatyk wstecznictwa i czciciel przywilejów, to też publiczność odwróciła się od „*Dziennika*“, który zmarł śmiercią naturalną. Tymczasem „*Gazeta Warszawska*“, pozbywszy się groźnego współzawodnika i wkroczywszy jego wzorem na tory ulepszone, weszła w świetny okres swego rozwoju, zwłaszcza że drukowała utwory Kaczkowskiego, Korzeniowskiego i Kraszewskiego. Zyskała też niebywałą na owe czasy liczbę prenumeratorów — 7000. Zdystansowała ją w tej mierze „*Gazeta codzienna*“, która za redakcyi J. I. Kraszewskiego osiągnęła 7500 prenumeratorów. Z pomiędzy pism peryodycznych najbardziej utrwalił się „*Tygodnik ilustrowany*“, zyskując odrazu imponującą na owe czasy liczbę 3.300 prenumeratorów.

Od roku 1861 w czasopiśmiennictwie Warszawy zjawia się nowa, nieznana dotychczas forma — prasa tajna. Dalszy ciąg tej prasy tajnej trwa przez cały niemal czas powstania styczniowego. Pisma jawne w tym okresie nie dają bynajmniej obrazu rozgrywających się w kraju wypadków. Znajdując się pod surową cenzurą, zmuszone są w najdramatyczniejszej dla narodu epoce pisać o rzeczach obojętnych. Pisma tajne, wychodzące w najtrudniejszych warunkach, dają pewne dorywcze odbicie usposobienia osób, kierujących ruchem, jak i wiadomości o wypadkach powstania.

Upadek powstania 1863—1864 roku nie pociągnął za sobą bynajmniej tak długotrwałego letargu w czasopiśmiennictwie, jak upadek rewolucyi listopadowej. W Królestwie powstał cały szereg pism nowych, przeważnie długotrwałych. Tylko na Litwie i Rusi prasa polska

znikła na przeciąg całych lat czterdziestu. Rozwój liczebny czasopiśmiennictwa i czytelnictwa był procesem żywiołowym, którego nawet ogromna klęska narodowa zatamować nie mogła. Inna była sprawa z czasopiśmiennictwem. Przed rewolucyą listopadową wydawnictwo pism znajdowało się w ręku literatów, nie było ono interesem materyalnym, nie wytworzył się fach przedsiębiorców wydawniczych. Istnienie pism trzymało się bezinteresowną zupełnie lub bardzo nizko opłacaną pracą literatów.

W 30 lat potem, czytelnictwo wzmogło się dzięki wzrastającej ludności kraju i powiększeniu klasy średniej, warunki materyalne poczytniejszych dzienników i pism illustrowanych o tyle się poprawiły, że i wydawcy i współpracownicy czerpali z dziennikarstwa nie tylko rozgłos, lecz i dochody. Interes więc materyalny był tym czynnikiem, który w znacznym stopniu przyczynił się do postawienia prasy na nogi, pomimo wielkiego przygnębienia społeczeństwa. Około roku 1880 dopiero przystosowała się prasa jako tako do ciężkiego położenia i wytworzyła typ dziennikarstwa, z ożywieniem traktującego sprawy towarzyskie, artystyczne i różne inne, dozwolone przez cenzurę, typ prasy narodu ujarzmionego, pozostającego pod rządami policyjnymi. Odtąd odbywa się postęp techniki wydawniczej, drukarskiej, rytowniczej; ułatwienie komunikacyi, dzięki kolejom żelaznym, rozwój telegrafu sprzyjają reformie dziennikarstwa, współzawodnictwo zaś ekonomiczne między czasopismami zmusza je do ulepszeń. Rozmiar dziennika staje się większy: artykuł wstępny, feljeton, korespondencye z głównych miast Europy, artykuły ekonomiczne, literackie, a zwłaszcza sprawozdania z widowisk, stanowią nieodłączną część pisma. Telegraf daje możność szybkiego informowania o nowościach z całego świata. Pośpiech informowania staje się kardynalnem wymaganiem.

W parę już lat po powstaniu styczniowem w czasopiśmiennictwie Królestwa zawrzała walka między „młodymi“ i „starymi“. Wprawdzie okres pozytywizmu przypada na epokę surowej cenzury, ponieważ jednak namiętne tyrady „młodych“ nie godziły w powagę rządu, lecz uderzały na „przesądy“, tradycye i braki społeczeństwa polskiego, przeto cenzura nie kładła im tamy. W okresie tym bujnym rozrostem odznaczają się tygodniki.

Emigracya po powstaniu styczniowem nie była ani tak liczna, ani tak doborem osób świetna, ani tak entuzyastycznie w Europie witana, jak emigracya polistopadowa. Wojna francusko-pruska

zadaje cios nadziejom i planom wychodźctwa, wynik jej wywołuje oszołomienie, czasopiśmiennictwo emigracyjne na lat kilka milknie prawie zupełnie. Po roku 1879 ożywia się znów życie emigracyi, zasilone przez swieże potoki wychodźctwa, złożonego tym razem z uchodzących z kraju członków organizacyi rewolucyjnych, z początku w duchu niemal wyłącznie socyalistycznym. Nowe te żywioły zmieniają do gruntu charakter emigracyi, wnosząc do niej nowe prądy i walki i wytwarzają odmienny od dawnego, zarówno pod względem haseł, jak i pod względem stosunku do kraju, typ wychodźctwa. Pisma emigracyjne, które wychodziły jeszcze w czasie trwania walki orężnej, były echem wypadków, rozgrywających się w kraju, a także i wyrazem nastroju, jaki ogarnął społeczeństwo polskie w latach 1861—1864. Rozbrzmiewa w nich mianowicie hasło zbratania wszech stanów, narodowości i wyznań, zamieszkujących Polskę. Emigracya ostatniego dwudziestolecia wieku XIX. stanowi stałą, chroniczną emanacyę nurtującego w kraju ruchu rewolucyjnego. Składała się ona bądź z wychodźców przymusowych, bądź z emisaryuszów dobrowolnych, dążących do założenia poza kordonami ognisk literatury i prasy. To nowe pokolenie wychodźców utrzymuje stały związek z krajem, dzięki zaś rozwojowi dróg żelaznych rozpowszechnia prasę emigracyjną w kraju.

Dopiero pod sam schyłek XIX. stulecia — głównie w Warszawie — wysuwają się na pierwszy plan takie pisma, które do wysokiego stopnia doprowadzają rozwój techniki i strony zewnętrznej, dbają o dobór wybitnych współpracowników i pozyskują bardzo znaczną, nieznaną dawniej liczbę abonentów. Pismom tym atoli brak zwykle programu i wyraźnej barwy. W znacznym stopniu tłómaczy się to trudnościami cenzuralnemi, oprócz zaś tego poniekąd dążeniem pism do posiadania abonentów wśród wszystkich warstw i obozów.

Praca omówiona z natury swojej tylko regestruje w grubszych zarysach przeróżne objawy, nurtujące w naszem czasopiśmiennictwie. Stanowi ona w każdym razie trwały fundament, o który będzie musiał oprzeć się przyszły historyograf dziennikarstwa polskiego.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Opere Storiche del P. Matteo Ricci S. J. *P. Pietro Tacchi Venturi S. J.* 4°. Macerata. 1911. Vol. I. J Commentarj della Cina. (XXXVIII i 650).

O. Tacchi-Venturi, autor historyi Towarzystwa Jez. we Włoszech, dzieła (tom I.) nagrodzonego przez *Academia della Crusca*, podaje w powyższem dziele pierwsze krytyczne, staranne wydanie oryginalnej pracy O. Ricci'ego, jednej z najwybitniejszych postaci w historyi misyi wschodniej. O. Ricci pisał pracę swą w języku ojczystym, a mimo, że przeszło lat 30 bawił już po za Włochami, to jednak język w jego dziele jest taki, że czyta się je nietylko z pożytkiem, ale i z przyjemnością. Nowość i rozmaitość rzeczy nie pozwala nawet odczuć miejsc bladych i monotonnych.

O. M. Ricci, sławny misyonarz i założyciel nowożytnej misyi chińskiej, był pierwszym, który umiał korzyści misyi rozszerzyć na naukę, jaką krzewił w Chinach. Pierwszym był z pośród Europejczyków, który o Chinach pisał z głęboką znajomością rzeczy, z rzadką dokładnością, z prostotą i skrupulatną miłością prawdy. Dzieje swoje pisał O. Ricci nietylko jako apostoł, ale też jako człowiek nauki, na podstawie 30-letniego pobytu w Chinach. A znał nietylko kraj sam, którego pierwsze zdjęcia kartograficzne zrobił, ale i jego język, literaturę, historyę, filozofię jak rzadko kto po nim. Był rzeczywiście powołany do tego, by dał wierny i pewny obraz Chin oraz jej misyi, przez siebie założonej. Dzieło jego, wychodzące treścią daleko poza niepewne i geograficznie mgliste opisy podróży takiego M. Polo, średniowiecznych mnichów franciszkańskich i Augustyanina Gonzalez de Mendoza, przyniosło pierwsze dokładne i pewne wieści o państwie wschodniem i jego misyach; zachód zaznajomił się dobrze z cywilizacyą chińską.

Z dzieła O. Ricci'ego korzystali przedewszystkiem belgijski Jezuita O. M. Trigault i Włoch D. Bartoli. Pierwszy z nich przybył do Chin w r. 1610, więc w roku śmierci O. Ricci'ego (11. maja 1610 r.). Wracając do Europy w r. 1613, wiózł ze sobą manuskrypt jego, poprawił go, skrócił, uzupełnił i we wolnem łacińskiem tłumaczeniu wydał go z polecenia Pawła V., cztery lata po śmierci O. Ricci'ego. Książka ta p. t.: „*De Christiana expeditione apud Sinas suscepta a Soc. Jesu. Ex P. Matthaei Ricci eiusdem Soc. Commen-*

tariis, libri 5. August. Vind. 1615", rozeszła się szybko w po sobie następujących wydaniach i w tłumaczeniach na język niemiecki, francuski, hiszpański i włoski.

D. Bartoli w dziele swem o Chinach podaje w 2 księgach pracę O. Ricci'ego w streszczeniu, z dołączeniem wiadomości, zaczerpniętych z prac OO. A. Schalla, G. Aleni'ego, A. Palmeiro, M. Martini'ego T. J. i innych.

Dzieło O. M. Riccie'go, znane od lat 300 tylko w opracowaniu O. Trigaulta i w wyciągach D. Bartoli'ego, mamy teraz w krytycznem wydaniu; znaczenie jego przedewszystkiem dla historyi misyi jest niemałe. Drugi tom tej cennej publikacyi zawierać będzie listy O. Ricci'ego. Całe to dwutomowe dzieło, ten trwały owoc uroczystego obchodu, jaki odbył się przed trzema laty w Macerata, w rodzinnem mieście O. Ricci'ego, celem uczczenia pamięcią roku jego śmierci, wydane jest staraniem *Comitato per le onoranze nazionali.*

Ch.

Z literatury francuskiej.

(Dokończenie).

L'Immolé[1]) p. Emila Baumann jest szczerze powieścią, pomimo, iż główny *Leitmotiv* treści jest bardziej jeszcze poważny. Na tych 430 stronnicach zbitego druku jest jej więcej niż nieraz w dwóch lub trzech tomach lżejszej materyi. Autor bierze młodzieńca o naturze namiętnej a sercu gorącem w trudnych warunkach życia i przeprowadza go aż do najwyższych szczebli ascetyzmu. Daniel Rovère jest synem kasyera wielkiego banku lyońskiego, człowieka, który po długich latach nieposzlakowanej uczciwości i pracy ginie samobójczą śmiercią, zostawiając w kasie deficyt 25.000. Na syna i na wdowę spada ciężkie dziedzictwo ubóstwa, hańby i straszniejszej od nich rozpaczy nad prawdopodobną zgubą duszy samobójcy. Cudowną postacią jest matka Daniela, młoda jeszcze a złożona nieuleczalną chorobą, żyje dla Boga i w Bogu wśród moralnych i fizycznych męczarni. Pięknym też jest obraz bankiera ascety wśród zbytku; dzięki jego opiece Daniel znajduje w strasznej chwili oparcie

[1]) Wyraz *immolé* nie da się jednem słowem przełożyć na polskie, znaczy właściwie: zabity na ofiarę, poświęcony na śmierć i życie; stosuje się n. p. do śmierci krzyżowej P. Jezusa, do męczenników lub obrazowo do całkowitego zaparcia się Karmelitanek i t. p.

i pracę. Ale mniejsza o fabułę, która wogóle małą tu gra rolę. Autorowi chodzi nie o koleje życia, ale duszy Daniela. Charakter tegoż jest raczej gwałtowny niż silny — każda pokusa bowiem powoduje u niego upadek, a niestety autor nie szczędzi nam żadnego jej szczegółu, żadnego odruchu brudnej namiętności. Są to w pięknej książce plamy, któreby się wymazać lub też wydrzeć chciało; plamy wręcz niepotrzebne, nie licujące z tłem tak gorąco pobożnem. Z początku nawet przychodzi podejrzenie, że cała rzecz jest sztucznie ułożonym antyreligijnym paszkwilem... Wrażenie to wszakże mija w miarę przewracania dalszych kartek. Autor byłby mógł wprawdzie owe erotyczne ustępy skrócić i niektóre omijając zupełnie, resztę przyzwoicie nakreślić — coby każdy Anglik potrafił — widocznem jest wszakże, iż chciał upadków swego bohatera użyć na stopniowanie jego pokory i cnoty. Daniel bowiem uczynił z życia swego ofiarę dla okupienia win ojca: nasamprzód działa pracą, potem apostolstwem wśród warstw robotniczych, a w końcu cierpieniem. Gdy bowiem, widząc tłum anarchistów, rzucających się na kościół by go zbezcześcić i spalić, stanął sam jeden w obronie świątyni, wściekłość motłochu zwróciła się przeciw niemu i nawpół żywego, ociekającego krwią, ledwie uratowali żołnierze. Padł tedy jako męczennik, żyw jeszcze, ale już niezdolny do czynu. Ciosy morderców zabiły w nim wszystko, co jeszcze pozostawało ziemskiego... Różne koła, w jakich się obraca Daniel, dają autorowi sposobność odmalowania — zawsze na tle Lyonu i brzegów Rodanu, nietylko zewnętrznego otoczenia, ale obrazków z różnych kątów tamecznego świata: a więc finansowego i przemysłowego opartego na jedwabnictwie, robotniczego, lekarskiego i klerykalnego. Widzimy przeróżne typy — najbardziej pociągającym jednak pozostaje zawsze anielska pani Rovère, uleczona cudownie wodą z Lourdes, nadużywająca świeżo odzyskanych sił w dobroczynnej pracy, zapadająca na nowo w chorobę i znosząca ten druzgocący cios z nadludzko-pogodnem poddaniem. „A więc cud nie był prawdziwym cudem?“ pyta przerażony nieszczęściem syn, lecz ona odpowiada z uśmiechem: „Cud był prawdziwym — Marya nie oszukuje! Ale ja zbyt kochałam swoje ciało. Nie dość wierzyłam Bogu. Sądziłam, że więcej zdziałam czynem, niż cierpieniem i Bóg wykazuje mi, żem była w błędzie“...

Możnaby zarzucić, iż koniec Daniela jest — wśród odmiennych okoliczności — powtórzeniem końca matki. Autor snać tego nie spostrzegł i nie wyzyskał. Pomimo to i pomimo wskazanych poprzednio

brzydkich ustępów utwór tchnie miłością bożą i jasnem zrozumieniem religii. Styl obrazowy i jędrny, akcya szybka, ani kropli nudnego „soczku malinowego", w którym toną mnogie obecnie „uczciwe powieści", przywożone do nas z nad Sekwany. Znamiennym też objawem jest, iż dzieło tak wybitnie katolickie, zostało uwieńczone przez akademię francuską.

Czy warto wspomnieć o najświeższej powieści Jana de la Brette: „*Un Obstacle* ?" Teza jest na czasie, bo omawia feministyczne dążenia, pierwsze kroki niewieście w karyerze prawniczej. Rzecz jednak obrobiona jest słabo, autor widzi tytułową przeszkodę jedynie w miłości, na co nie jeden adwokat rodzaju męskiego mógłby mu odpowiedzieć, że się w życiu nie jeden raz zakochał, a potem i ożenił bez szkody dla swego zawodu... Co za porównanie tej powieści ze znakomitym utworem Coletty Yver: „*Princesses de science!*" Dziwną sprzecznością dzieło mężczyzny jest wiotkie, ocukrzone i blade a dzieło kobiety barwne i żywe, co tem bardziej jest znacznem, iż cel obojga jest jednaki. Ale nie łatwo jest stanąć talentem na wysokości Coletty Yver. Ma się wrażenie, iż u niej zdolność literacka stoi na usługi duszy, że myśl, nim się słowami na papier wyleje, jest jasno sformułowaną w głowie i w sercu, że piękna forma jest narzędziem Dobra a nie — jak dotąd często bywało — Dobro użyte jako jedna z form Piękna.[1]) Nigdy jednak autorka nie sięgnęła tak wysoko, jak w najświeższym swoim utworze „*Les Sables Mouvants*" (*Lotne Piaski*), a niespodzianka stąd jest tem większa, iż wychodzimy tu w sferę paryskich artystów, *la haute Boheme* — czego wyrażenie polskie „wyższa cyganerya" określić nie zdoła. Zrazu trudno trochę się oryentować wśród istnego roju malarzy i malarek; wkrótce jednak wyłaniają się dobitnie poszczególne postacie, mianowicie na pierwszym planie rodzina Fontoeuvre i wielki malarz Houchemagne. Pan Fontoeuvre maluje zwierzęta, pani Jenny Fontoeuvre maluje naturę martwą — na to, aby wyżywić rodzinę. Praca ta wszakże nie zostawia im czasu do zajmowania się dziećmi. Starszą córkę Helenę na szczęście wzięła na wychowanie babka, kobieta pobożna i na wskroś cnotliwa. Tego samego wprawdzie, czego uczyła Helenę, uczyła niegdyś jej matkę,

[1]) Zabawnem byłoby policzyć wiele razy w nowszej poezyi polskiej użyto bez najmniejszego sensu wyrazów: „Chryste! Chryste!" niby wykrzyknika tam, gdzie zachodziła potrzeba rymu do: czyste albo mgliste. Ma się często ochotę przypomnieć poetom przykazanie: „Nie będziesz brał Imienia Pana Boga twego nadaremno"...

ale Jenny Fontoeuvre, wszedłszy po ślubie w świat bezwyznaniowy, zapomniała o wierze i tylko nieposzlakowana czystość jej życia świadczyła, iż pierwotnie była chrześcijanką. Młodsza jej córka Marcelina i syn Franciszek nie zostali nawet ochrzczeni, a o tem, co złe i dobre, słyszała tylko przy ocenach dzieł sztuki. W domu uczciwych rodziców widywali kobiety niemoralne; sama ich poczciwa stara kucharka była dawną modelką. W domu na przemian walczono z nędzą lub spijano szampan: cały tryb życia moralny i materyalny tych wszystkich ludzi spoczywał na ruchomych piaskach. Był w nich przecież punkt jeden promienny a stały, a był nim geniusz młodego mistrza Houchemagne'a i jego szczęście. Syn włościanina, żyjącego dotąd obok swojej winnicy, wzniósł się wykształceniem i sztuką nietylko po nad poziom tuzinkowych malarzy, ale poczynał tworzyć szkołę wśród wyższych dusz artystycznych studentów. Wierzył w Boga, wierzył w nadziemski ideał i z niego pełnemi garściami czerpał natchnienia. Po przejściowych dziełach, przedstawiających Sfinksa i Centaura, ukazał się „Anioł" a po nim „Św. Agnieszka", „Tryptyk św. Franciszka" i wywołały w świecie sztuki zdumienie. Sława Mikołaja Houchemagne'a brzmiała po całym świecie; cokolwiek żyło, uznawało jego wielkość prócz — jego samego. Ideał, po który sięgał, był tak wzniosły, iż czuł, że ledwie iskierkę zeń zdoła z nieba ściągnąć na ziemię, więc mienił się małym i słabym, a sama jego pokora zdobywała mu serca. Wywyższony nad rówieśników jak dąb ponad krzewy — nie miał ani jednego wroga. Nie dziwiono się tedy, gdy piękna jak anioł córka starego rodu, Joanna de Clèdeu złożyła u stóp jego swoje bogactwa, swe wdzięki i co ważniejsze, niezgłębiony skarbiec swego serca. Stała się sługą jego geniuszu, słodyczą jego życia, gwiazdą przewodnią, prowadzącą do nieba. Stała się przedmiotem uwielbienia dla licznej gromady artystów, pociechą w ich smutkach, pomocą w biedzie. Jeden tylko przybytek strzegła przed oczami tłumu — a była nim pracownia męża. Przez ośm promiennych lat ich małżeństwa, żadne oko ludzkie nie zajrzało do wnętrza i podziwiając kolejno zeń wychodzące cuda, wszyscy czekali ciekawie nowego arcydzieła, które miało olśnić świat. Joanna jedna wiedziała, iż Mikołaj przysposabia wielką kompozycyę, scenę z Ewangelii, postać Chrystusa, pomnażającego chleby. Houchemagne narysował już główne kontury, zbierał typy, klęczał godzinami w kościele, nie spał po nocach, szukając typu Zbawiciela. Nie chciał zrywać z tra-

dycyą, ale czuł, że tę Postać Boską można malować tylko jak Fra Angelico — klęczący.

Tymczasem w domu Fontoeuvrów dorastała Marcelka. Dziwna to była dziewczynka, zamknięta w sobie, małomówna, na pozór zimna i odporna a na wewnątrz gwałtowna. W domu nie czuła wkoło siebie ciepła rodzinnego, nie czuła niczyjej przewagi moralnej — wyrosła jak chwast i to nie na pustyni. Jedynem pojęciem, które jej zakorzeniło się w duszy, był kult dla miłości; aby jednak mogły istnieć prawa, ograniczające tę miłość, nie przeszło jej nigdy przez głowę. W szesnastu latach poczęła się uczyć malarstwa, w siedmnastu pokochała Houchemagne'a...

Tu napotyka się jedyny błąd w powieści Coletty Yver -- zbyt nagły i niczem nie przygotowany zwrot w charakterze mistrza. Mikołaj, uwielbiany przez swą idealną żonę, starszy o dziewiętnaście lat od Marcelki, odpowiada od razu miłością na jej gwałtowne uczucie. I rozpoczyna się życie grzeszne, tajemne schadzki lub widywanie się jawne, upozorowane pokrewieństwem i artystycznem kierowaniem mistrza — utalentowaną pupilką. Równocześnie jednak rozpoczyna się męczeństwo biednej żony i samego Houchemagne'a. Jego na wskroś uczciwa natura buntuje się przeciw zdradzie, której namiętność nie dozwala mu się wyrzec. Wśród mąk, wstydu i zgryzoty grzech wżera się w jego duszę, zabija jego szczęście, jego spokój, zabija w nim geniusz. On, który dotąd miał pendzel Rubensa a duchowe skrzydła Rafaela, obecnie stoi godzinami bezsilny przed swoim obrazem, czuje, że to, co w nim śpiewało, obecnie umarło, że grzech zabił wszystko, zabrudził wszystko. Darmo próbuje namalować twarz Chrystusa — już nazajutrz z obrzydzeniem musi zetrzeć swe farby, a gdy nareszcie według nasłanego mu modelu, udaje mu się odrysować przepiękne oblicze, a w niem namalować oczy, widzi ze zgrozą, że widnieje z nich nie Zbawiciel, lecz Sędzia. Radby uciec przed tem spojrzeniem, więc wielkie płótno usuwa w głąb pracowni, a na sztaludze umieszcza drobne płócienko, które pod jego ręką zamieniają się w banalne obrazki, sprzedawane Amerykanom za tanie pieniądze. Mikołaj potrzebuje ich, bo ma długi, których nie godzi mu się płacić pieniądzmi Joanny. Ona zaś zraniona do głębi, czuwa nad nim jak anioł nad duszą ginącą, modli się o wyzwolenie jej, o ratunek nie swego szczęścia, ale geniusza, mającego ludzkość oderwać od ziemi ku niebu. Usiłuje przytem zasłaniać jego sławę — ale daremnie. Ci wszyscy, którzy milczeli, gdy słońce chwały Houchemagne'a stało wysoko, obecnie

podnoszą głowę, śmią winszować mu, iż opuścił mgliste marzenia teologiczne, aby zejść na bruk życiowy.

„To już przepadło mój drogi — czas sztuki kościelnej się skończył! Skądżeby się znalazła i kogóżby zadowolniła w naszych czasach racyonalistycznych? Sztuka jest odblaskiem swojej epoki, więc obecnie — wiesz, gdzie mamy szukać jej źródeł? W utylitaryzmie! Przyszłość wynajdzie estetyczne kształty dla fabryk, dla nieśmiertelnych dworców kolejowych, a malarstwo będzie służyło ku radości oczu, ku ozdobie architektury, ku dekoracyi. Jeźli chcesz prawdy — to ją masz!“

Ale wtedy nagle w sercu Houchemagne'a iskra z pod popiołu trysnęła, wspomniał na dawne ekstazy, na jasności, w które chciał porwać duszę ludzkości i z piersi jego wydobył się krzyk:

„Więc skądżem ja się znalazł, ja i moja twórczość? Niedokończona jest, nędzna, złamana, ale była piękną, gdym ją nosił w duszy! A skądże się wzięli ci, których wzruszyła, którzy przed memi płótnami płakali — nie z powodu mego rysunku, lub kolorytu, nie z powodu mego talentu, ale dlatego, żem ich odrywał od brzydoty, od miernoty, od powszedniości? Byliż to ludzie chorzy czy zacofani? Nie byłaż to przeciwnie ludzkość prawdziwa, pojmująca, że sfera sztuki wychodzi po za sferę życia materyalnego, kochająca stare dzwonnice, katedry, światło miesiąca, poezyę, legendy, chcąca widzieć, gdzie idą jej zmarli, wiedzieć, dokąd sama idzie, wierząca, iż nieskończoność nie da się ująć w cyfry algebryczne. Tacy ludzie zawsze są i będą. Twórczość moja była dla nich, a jeźli dziś jest rozbita, to wina moja, bo byłem słaby i zdradziłem ją. Ale przysięgam wam, że ją inne ręce pochwycą i zrobią to, czegom ja nie zrobił, bo tylko twórczość taka jest sztuką!“

W głosie jego drżało łkanie, a trzej słuchający go ludzie nie rozumieli, nie wiedząc o jego duchowej tragedyi...

Tragedya ta nie miała już trwać długo. Pewnego wieczora Mikołaj poczuł dreszcze, a gdy po długich walkach z chorobą odzyskał zupełną przytomność, poczuł jasno, że życie jego skończone. Wtedy poczęły się w nim nowe walki — wpierw z grzeszną miłością, która zdała mu się teraz gdzieś ginąć w oddali, zostawiając tylko ogromną litość dla biednej Marcelki. Więc z miłości tej uczynił ofiarę. Następnie uczynił ofiarę ze Sztuki, świecącej dlań teraz dawną pięknością i dawnym ogromem. A w końcu ofiarę z młodego życia i uznał, że przerywająca je Siła działa mądrze, działa najmiłosierniej, rozcinając dlań węzeł, którego sam nie byłby w stanie rozwiązać. Nie umiał

powstać z grzechu, więc śmierć ratowała go przed grzechem. I czuł, że tak było dobrze, ale czuł równocześnie, że nie może przejść progu wieczności, nie wykonawszy wyznania, więc kazał przywołać kapłana, a gdy ten wyszedł wzruszony, nakreśliwszy nad konającym znak Krzyża, Mikołaj podniósł się rozpromieniony, rozwarł ramiona i w ostatnim uścisku przytulił żonę do serca.

W domu rodziców w kącie płakała Marcelka, ale w duszy jej robiło się jasno. Modlitwy siostry, świętość Joanny i męczarnie Mikołaja, odchyliły jej rąbek zasłony: obecnie wiedziała, iż prócz Piękna istnieje Dobro a prócz brzydoty Zło. I kto wie? może z jej serca, oczyszczonego żalem, wypłynie kiedyś w górę ku Ideałom Houchemagne'a promień sztuki prawdziwej — może sztuka ta żyć będzie dalej wśród skromnej młodzieży, tłoczącej się u trumny mistrza, a dla której z głębi swego bólu Joanna wydobyła uśmiech niebiański, bo czuła, że to jego synowie, spadkobiercy jego duchowej spuścizny...

Książkę Coletty Yver zamyka się z głębokiem wzruszeniem, z ochotą wołania jej: Toż i ty należysz do szkoły Houchemagne'a i ty odrywasz myśl od ziemi i niesiesz ku Bogu!

W sprawozdaniu brakło miejsca na mnóstwo szczegółów, na mnóstwo odcieni, dla wymienienia różnych drugo-planowych postaci, na których różnorodnem tle uwydatniają się rysy głównych osób dramatu: Marcelki, stworzonej do rzeczy wyższych, a złem wychowaniem wtrąconej w grzech, którego nie rozumie, potężnego artysty, strąconego tym grzechem — dla niego świadomym — w bezdno bezsilności, w nieszczęście i śmierć i jasnej, niewinnej, słodką boleścią promieniejącej Joanny. I znów nasuwa się myśl, że przecież w umysłach ludzkich odbywa się zwrot, skoro w belletrystyce czyto francuskiej, czy angielskiej, czy niemieckiej zaczyna górować żywioł nadziemski, skoro wszędzie czuć co najmniej głód duszy nie zaspokojony doczesnością, usiłujący dociec, „gdzie idą jej zmarli i dokąd ona sama podąża". *T. Wodzicka.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Prądy słowianofilskie wśród Emigracyi wielkiej (1830—1863). *Edmund Kołodziejczyk.* Wydawnictwo „Tow. Słowiańskiego" w Krakowie. 1914.

Jest to jedno z celniejszych dziełek popularno-naukowych „Biblioteki słowiańskiej", nowy płód studyów nad słowiańszczyzną. W tem krótkim, ale treściwem studyum charakteryzuje autor w sposób pełen wdzięku, a zarazem prostoty, prądy słowianofilskie wśród naszych emigrantów po r. 1830, oraz ich genezę i znaczenie dla literatury, polityki i całego życia narodo-

wego Emigracyi. Przedstawia się nam tutaj słowianofilstwo, jako jasna karta naszej historyi porozbiorowej, jako wspaniały wzlot duszy narodu na wyżyny wzniosłego ideału wszechmiłości braterskiej i samozaparcia się Chrystusowego. Jest to — mówiąc słowami autora — „piękna w polityce naszej poezya, która umiała jednoczyć rzeczywistość z ideałem, anielskiem pięknem, wzniosła dusze polskie w błękity i zespala z zastępem prometeuszów całej ludzkości, a potęgą niezwykłą wypalała w nich zimny egoizm i wszystko, co nizkie i ziemskie".

Była to chwila, w której, zdawało się, że ideał urzeczywistnienia się wzniosłej nauki Chrystusa o wszechbraterskiej miłości w życiu międzynarodowem zrealizuje się najpierw wśród ludów słowiańskich.

H. K.

Lirnik Najśw. Panienki. Obrazek sceniczny. Nakł. Wydawnictwa T. J. Kraków 1914. Cena 80 hal.

„Lirnik" jest legendą, przedstawioną scenicznie, z muzyką i śpiewem. Treść prosta: lirnik, zaskoczony mroźną śnieżycą, chroni się pod figurę Najśw. Panny, i śpiewając swą pieśń ostatnią do Matki Bożej, zasypia snem wiecznym. Chór Aniołów zstępuje, by wziąć duszę pieniarza ze sobą przed tron Matki Boskiej — która wieńczy jego skronie.

Rzecz ta nadaje się bardzo do stowarzyszeń i szkół: pojedyncza dekoracya, mała liczba grających — właściwie tylko jeden lirnik i chór, skromna muzyka — skrzypce i fortepian, ułatwiają bardzo wykonanie, myśl zaś podniosła bardzo i nastrojowa, wzniesie umysły słuchaczów przed tron naszej królowej, i musi wywrzeć bardzo głębokie wrażenie.

Joseph Graf zu Stolberg-Westheim 1804—1859. Ein Lebensbild. Von *Otto Pfülf S. J.* — gr. 8o (VIII. u. 194 S.). Freiburg und Wien 1913, Herdersche Verlagshandlung.

Hrabia Józef Stolberg, założyciel stowarzyszenia św. Bonifacego, znalazł wreszcie dobrego biografa w *O. Pfülfie T. J.* Z materyału, skrzętnie zbieranego od szeregu lat, autor, rutynowany zresztą biograf, skorzystał doskonale. Nie pominął w swem treściwem dziełku żadnego momentu, mającego jakieś znaczenie dla właściwej oceny tej osobistości tak wybitnej w historyi kościelnej Niemiec 19-go wieku. Wielka to dusza, godna naśladowania.

R. M.

Rybałt. *Piotr Maszyński.* Chóry męskie bez wtóru. Tom I. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1913.

Nowy to zbiór utworów na chór męski, którego pierwszy tomik zawiera 41 pieśni już to polskich, już to obcych autorów. Pieśni o charakterze najrozmaitszym następują po sobie według alfabetycznego spisu kompozytorów. „Rybałt", o ile o tem sądzić można na podstawie pierwszego tomu, wcale nie ustępuje innym zbiorom pieśni, dotychczas wydanym.

R. M.

Unsere Lebensideale und die Kultur der Gegenwart — von *P. Joh. Chrysostomus Schulte O. M. C.* 8° (XIV u. 256 S.), Freiburg 1914, Herdersche Verlagshandlung.

Dziełko to zawiera siedm odczytów następującej treści: 1) znaczenie religii; 2) znaczenie autorytetu Kościoła dla religii, kultury i życia; 3) katolicyzm i życie intelektualne (duchowe); 4) religia, wykształcenie i wychowanie; 5) literatura i lektura; 6) katolik w życiu ekonomicznem doby obecnej; 7) katolik w życiu społecznem. Autor chce w krótkiej, precyzyjnej formie pouczać o możliwie największej ilości kwestyi piekących, wchodzących w zakres obranego tematu. Nikt chyba tej książki nie przeczyta bez wielkiej korzyści. Niejeden lepiej pozna i utwierdzi się w tem przekonaniu, że Chrystus dziś bardziej niż kiedyindziej jest światłem, potrzebnem światu, goręcej ukocha stare, tradycyjne ideały religijne i słowem i czynem bronić ich będzie.

R. M.

1. **Skarga, chwała narodu polskiego.** — W 300-tną rocznicę śmierci. Napisał i wydał *Felix Gątkiewicz.* 1912. Czcionkami drukarni „Prawdy". Str. 48.
2. **Piotr Skarga.** Na trzechsetną rocznicę zgonu ku uczczeniu pamięci wielkiego męża — napisała *H. Rzepecka.* Poznań 1912 str. 80.
3. **Ksiądz Piotr Skarga.** Skreśliła *Ludwika Życka.* Wilno 1912, str. 63.

4. **Piotr Skarga Pawęski,** najznakomitszy mówca kościelny i pisarz polski złotego wieku literatury, napisał *Julian Baczyński.* Kraków 1912. Nakładem autora.

Z broszur ulotnych, opisujących mniej lub więcej barwnie i wyczerpująco życie oraz działalność ks. P. Skargi, zasługuje „na wzmiankę zaszczytną" książeczka p. *F. Gątkiewicza* i p. *H. Rzepeckiej.* Autor „Skargi" z właściwą sobie werwą, po mistrzowsku podkreślił znaczenie rocznicy skargowskiej, opowiedział pokrótce „drogę Skargi do apostolskiej misyi" — starał się rozwiązać pytanie, czy S. „mocą wyższego natchnienia głosił proroctwo" i odpowiada twierdząco, (str. 17—35); wreszcie przypomniał jego działalność pisarską i socyalną, a w końcowym rozdziale (Skarga w aureoli chwały) przebiega dzieje kultu Skargi i wysnuwa wnioski dla doby dzisiejszej. Smutnie brzmi zakończenie: „Bójmy się „wżdy", że trzeci dzień jest albo — bardzo daleko, albo — nie przyjdzie wcale". (Str. 48).

Jasność i przejrzystość, właściwa Wielkopolanom, cechuje także pracę p. *Rzepeckiej.* Autorka nie podaje wprawdzie nieznanych dokumentów, nie otwiera niewidzianych dotąd horyzontów, ale umie za to przelać w pierś czytelnika ogień miłości szczytnych ideałów Skargi, jakimi sama się szczerze przejęła. — „Z Bogiem i Narodem" wypisała jako motto swej rozprawki p. *L. Życka* i dowiodła, że Skardze te dwie gwiazdy przyświecały na ciernistych bądź cobądź drogach życiowych, te dwie idee pozostawił także potomnym, rozwiązawszy i uzasadniwszy je wszechstronnie. — Nie egzaltuje się, nie dorzuca żadnych klejnotów do skarbca piśmiennictwa polskiego p. *J. Baczyński,* choć pisze o „najznakomitszym mowcy kościelnym i pisarzu polskim złotego wieku literatury", ale zato z jego zdań jędrnych i pewnych siebie wieje jakieś szczególniejsze uwielbienie i cześć dla skromnego zakonnika. Tu i ówdzie (str. 7, 12, 13) zdradza autor swoje uprzedzenie do zakonu, w którym żył uwielbiany przezeń Skarga.

Skarga, ewangelista polski. *X. dr. Andrzej Macko.* Tarnów 1913. in 6-o, str. 19.

Mowca, stosując do Skargi wstępny tekst „A którzy ku sprawiedliwości wprawują wielu, świecić będą jako gwiazdy na wieki wieczne" (Dan. XII. 3), udowadnia w osnowie, pięknie opowiadając i zręcznie wplatając potrzebne fakty z życia kaznodziei królewskiego, że praojcom naszym S. świecił niby gwiazda jako ewangelista sprawiedliwości, — ewangelista polski, — jako chrzciciel polski; temsamem na dni dzisiejsze jako nieśmiertelny prorok narodu. Kończąc, zapewnia nas mowca, że jeśli teraz przynajmniej nawoływania Skargi nie będą „głosem wołającego na puszczy", wtedy zaświta nam dzień trzeci, dzień zmartwychwstania.

1. **Piotr Skarga,** dramat w 3 aktach. Napisał *Jan Bełcikowski.* Kraków 1912 in 6⁰, str. 48.
2. **Duch Skargi.** Obraz dramatyczny w 4 odsłonach. *Roman Borelowski.* Kraków 1912, in 6⁰, str. 24.

Rok skargowski potrącił o niejedną lutnię, wyśpiewał niejedną zwrotkę ku czci „proroka" po polsku i po łacinie (ks. Nowowiejski). Co więcej, radził niektórym pokusić się o stworzenie dramatu, którego bohaterem zostałby naturalnie Skarga. Jeżeli sam Skarga, patrząc na owoce swej pracy, żali się, iż „na zły czas trafił", to my, rozpatrując dzisiaj daremne jego wysiłki nad zawróceniem narodu z drogi ku przepaści, musimy powiedzieć, że S. choć bez tragicznej winy ze swej strony, jest bohaterem olbrzymiej tragedyi. Podobne myśli głównie nasuwają się nam przy historyi 1606 r., pamiętnego rokoszem Zebrzydowskiego. Właśnie ów „moment przełomowy dla dziejów Polski" wybiera J. Bełcikowski i na jego tle ukazuje nam Skargę, lub mówiąc poprawniej, chce nam go pokazać „jako ludu obrońcę i króla władzy silnej".

Akt pierwszy, składający się z szeregu poselstw, przysyłanych do rokoszan, rozgrywa się w kole rokoszowem między Sandomierzem a Pokrzywnicą. Skarga, przychodząc w poselstwie do Zebrzydowskiego, wyjaśnia przyczyny swego pobytu na dworze, wyświetla swoje stanowisko w walce z różnowiercami, oraz domaga się praw dla kmieci. Specyalnych, odpowiednich do swej misyi postulatów nie stawia wcale.

W akcie II. widzimy Skargę w obozie pod Wiślicą, gdzie król długo namyśla się, radzi, czy ma zwieść bratobójczą walkę. Skarga doradza uderzyć na rokoszan, aby poznali, iż Zygmunt „jest monarchą nie malowanym, ale rzeczywistym". Długo król nie może się zdecydować na rozlew

krwi. Ostatecznie napad oddziału rokoszan na obóz królewski, oraz procesya tłumu włościan pokrwawionych i odartych, błagających Skargę o opiekę przed magnatami, skłania króla do wydania rozkazów hetmanom. A więc i w tym akcie decydującej i naczelnej roli nie odegrał Skarga. Na zroszonych krwią polach Guzowa słyszymy w akcie III. (odsłonie I.), jak Żółkiewski uspokaja Skargę, że stał się przyczyną bratobójczej walki. W odsłonie 2. mamy trochę niesmaczną scenę opatrywania rannych i przeproszenie króla i Skargi przez dowódców rokoszan. Cały dramat kończy się dziękczynną modlitwą kaznodziei królewskiego i hymnem *Te Deum laudamus*. — Z tego zbyt pobieżnego naszkicowania treści widzimy, że w omawianym dramacie niema nic z tego, co zowiemy rozwiązaniem akcyi, jej natężeniem, szczytem i t. d. — winą, — bohaterem głównym, — ale że jest szereg wypadków, wyjętych z kroniki i jako tako uscenizowanych. Wobec tego prócz uczucia wdzięczności za szlachetne zamiary autora musimy utwór uważać za płód poroniony.

P. R. Borelowski nie wdziera się na wyżyny dramatu w ścisłem tego słowa znaczeniu, pragnie tylko „obraz dramatyczny" złożyć, usiłuje tylko słowami Skargi, i w myśl jego historyozofii wniknąć w przyczyny upadku Polski; opłakuje skutki jego zgubne i wskazuje tajemniczy lęk, mogący życie powrócić złożonej do grobu. Tak pojmujemy 3 pierwsze odsłony. Epilog (odsł. IV) zdaniem naszem jest zbyteczną, choć dosyć, co prawda, efektowną przybudówką. O jakiejś akcyi ani mowy niema w tym „obrazie" — a przecież powinna być, bo ten obraz w myśl autora jest „dramatycznym". Zdaje nam się, że symboliczne mowy symbolicznych postaci (Mądrość, Zgoda, 6 córek i 6 synów, Polska, Prorok, Sumienie) jest tylko symbolem tego, co miało być, a w gruncie rzeczy dano nam zgrabnie ułożone szkice do obrazu, któreby można zatytułować: „Złote myśli ks. Piotra Skargi". Dotychczas więc dramatu o Skardze, godnego tej nazwy nie mamy. *J. K.*

Moje wspomnienia. *Ks. Adolf Bakanowski.* Objaśnieniami zaopatrzył ks. T. Olejniczak. 8-ka duża, str. 226. Nakładem XX. Zmartwychwstańców. Lwów 1913.

W dziele tem maluje autor w barwnych obrazach dzieje swego pobytu w Rzymie, Ameryce, Francyi i Anglii. Zapoznajemy się tutaj z życiem w pn. Ameryce (Texas), gdzie pracując jako krzewiciel wiary świętej, mógł i rzeczywiście zbadał dokładnie tamtejsze stosunki. Bardzo piękne są te miejsca, gdzie autor maluje obrazy natury. Nie brak tutaj także i różnych opisów i przygód, na które był autor narażony czy to z powodu tego, że znalazł się w obcym sobie środowisku, czy też dlatego, że był kapłanem. „Moje wspomnienia", to dzieje nietylko samego autora, ale to księga przygód każdego kapłana, który z zaparciem się siebie samego pracuje nad ugruntowaniem zasad wiary świętej w sercach swych bliźnich. Wydanie samo jest bardzo gustownem, tekst ozdobiony 10-ciu ilustracyami. Dla każdego stanowić mogą te wspomnienia miłą i pożyteczną lekturę. *H. K.*

Wiązanka Majowa na cześć Matki Bożej. *Zofia Hartingh.* Warszawa 1912, Szczepkowski, str. 167 in 16-o.

W Przeglądzie Powszechnym w miesiącu grudniu 1913 r. w Zapiskach Bibliograficznych znajdujemy ocenę książeczki „Wiązanka Maryi" Zofii Hartingh. Pozostając z wszelkim szacunkiem dla krytyka, pozwalamy sobie przecież załączyć kilka o niej uwag.

Rzeczywiście książka ta nadaje się więcej dla osób wykształconych niż dla ludu i tytuł może nie jest dobrze zastosowany; są to rozważania i modlitwy ku czci Matki Boskiej bez przykładów, które choć rozgrzewają serca, trafiają przedewszystkiem do przekonania prostaczków, a dla czytelników, dla których jest przeznaczona, mniej są potrzebne. Myśl przewodnia, której X. Bt. daremnie szuka w tej książeczce, wydaje nam się bardzo jasno wyrażoną. Nie zdarzyło nam się bowiem prawie spotkać książki, w której cnoty dobroci, miłosierdzia, wyrozumiałości i litości tak silnie i ślicznie były zaznaczone. Poznaje się tam rękę kobiecą i serce, które dużo przecierpiało. Zrozumienie życia wewnętrznego objawia się też w wzniosłych myślach, z których kilka pozwolimy sobie przytoczyć:

„W drobnych przeciwnościach codziennych usiłuj bodaj przez dzień jeden pohamować na ustach poryw żalu, zniecierpliwienia, goryczy — a przekonasz się, jak nazajutrz wszystkie twe drogi i obowiązki wydadzą ci się prostszymi i jaśniej-

szymi. Kiedy bowiem usta milczą, dusze zaczynają czynniej pracować".

„Istnieją dwa rodzaje grzechów: „grzechy ciała i grzechy usposobienia". Marnotrawny syn z Ewangelii jest typem pierwszych, a brat jego drugich. Sądy ludzkie piętnują głównie marnotrawcę, ale pytanie, czy to jest słuszne? Nie mamy szali dla zważenia win cudzych, a ocena gorsza lub lepsza określa tylko względne ludzkie pojęcia. Błędy wyższych natur cięższymi są od win natur podrzędnych, a kto wie, czy w oczach Bożych grzech przeciwko miłości nie jest najcięższym z występków. Nic zaś tak bardzo nie przyczynia się do zatrucia życia drugim i rozprzężania stosunków rodzinnych, jak zacięty imponujący charakter. Starszy brat ewangeliczny był pracowity, moralny, przykładny, a zostawił u drzwi ojcowskiego domu młodszego, który nie śmiał lub też może nie chciał wejść zrażony jego surowością. Ileż to marnotrawnych synów waha się zastukać do bram ojcowskiego przybytku i woli trwać na mrozie, niżeli narazić się na szorstkość i pogardę tych, którzy są wewnątrz"...

„Wszyscy jesteśmy potrzebującymi — i Bóg nas posyła, nędzarzy do drugich nędzarzy, abyśmy dopomagali sobie wzajemnie i na tem przykazaniu miłości opiera porządek wszechświata".

Sądzimy, że ktokolwiek się spotka z tą książeczką, zwłaszcza ten, co przeszedł przez drogę krzyżową, dojdzie do przekonania, że najlepszem ukojeniem swych własnych cierpień, jest zwrócenie myśli i serca ku cierpieniom bliźnich,.

K. Chłapowski.

Lehrbuch der Fundamentaltheologie oder Apologetik. *Dr. Franz Hettinger.* Dritte, neu bearbeitete Auflage von Dr. Simon Weber, Herder (1913) str. XVI+859.

Podręcznik teologii fundamentalnej Hettingera zawiera tyle dobrych i trwałych rzeczy, że okazała się potrzeba nowego jego wydania. I oto mamy je przed sobą. Nie jestto jednak przedruk dawnego wydania, ale wprost nowe jego opracowanie. Wydawca zadał sobie wiele pracy, by je dociągnąć do wymagań dzisiejszych. Uwzględniając najnowszą literaturę, zmienił korzystnie układ książki, przerobił na nowo dowody i sposób przedstawienia rzeczy. Cytaty i teksty zostały skolacyonowane, prócz tego usunięto wiele błędów i niedokładności. Objętość książki znacznie zmalała, bez uszczerbku atoli dla wartości. Zarówno teolog jak i nieteolog, pragnący się zaznajomić z podstawami naszej religii, wiele z dzieła skorzysta. *R.*

Unsere Liebe Frau. *Moritz Meschler.* Wien I., II. Aufl. 8-o. (XII u. 184 S.) Freiburg 1913, Herdersche Verlagshandlung. M. 2.20, K. 2·64; opr. M. 3.20, K. 3.84.

Już sam tytuł i ta okoliczność, że dziełko to jest ostatniem znanego i powszechnie ukochanego autora, napełnić musi czytelnika rzewnem uczuciem. A uczucie to wzmaga się z każdą przeczytaną stroną i łączy się z wdzięcznością dla wielkiego pisarza a zarazem z głębokim żalem, że już uleciał do stóp tej Królowej i Pani, której życie opisał z taką prostotą lecz zarazem z ścisłością głębokiego teologa. Dziełko to, nawiasem mówiąc, bardzo pięknie wydane i ozdobione rycinami sławnego Schrandolpha, objętością nie jest wielkie, bo liczba stron dwóch setek nie dosięga. Mimo to w jasnych a pięknych ustępach zawarł tam uczony autor wszystko, co o życiu Matki Najśw. naucza Pismo św., tradycya, i co z tych źródeł wysnuła sztuka chrześcijańska. „Owo marzące i igrające w domu Kościoła dziecię, owa wdzięczna władczyni w królestwie pięknych możliwości." (str. 9). Przyswojenie dzieł O. Meschlera językowi naszemu przedstawia wogóle bardzo poważne trudności z powodu jego języka, barwnego, silnego, lecz przetykanego jemu tylko właściwymi zwrotami i obrazami. To jednak dziełko będzie do tłómaczenia najtrudniejsze, bo autor często wplata opowiadanie w strofy staroniemieckich, naiwnych a głębokich pieśni. Kto więc na tyle zna język niemiecki, a pragnie miłość swą ku Matce Najśw. podtrzymać i rozgrzać na nowo, ten chętnie weźmie książkę O. Meschlera do ręki, a chwile nad nią spędzone zaliczy niechybnie do przyjemniejszych. *H.*

Saint Casimir prince royal de Pologne, patron de la jeunesse par *J. Leliwa de Józefowicz.* Librairie Zienkowicz-Chęciński. Lemberg 1914., str. 92 in 8-o.

W książce tej, przeznaczonej dla młodzieży, podaje autor krótki rys życia i cnót św. Kazimierza, niektóre cuda, za jego przyczyną zdziałane, przebieg procesu kanoniz. i zarys rozwoju nabożeństwa ku

temu świętemu, dołączając modlitwy do świętego, jeden obraz sceniczny z życia Kazimierza i kronikę przytuliska św. królewicza w Paryżu. Po skreśleniu życia św. młodziana na zamku krakowskim, gdzie pobożna matka zasiała w serce dziecka ziarna przyszłej świętości, przechodzi autor do nauczycieli Kazimierza (Jan Wels, Jan Długosz i J. Bounacorsi) i zaznacza wielki wpływ mistrza Długosza na życie wewnętrzne świętego, który, bawiąc zdala od stolicy, najczęściej w N. Sączu, nietylko poświęca się nauce, ale wzrasta w cnocie. Opowiedziawszy nieudałą wyprawę na Węgry w r. 1471, maluje wewnętrzne życie duszy świętego, który odtąd stale przebywa we Wilnie, nie zajmując się żadnemi sprawami państwa aż do chwili śmierci 4. marca 1484. Tu jednak zapomina autor, że królewicz Kazimierz, jak to wykazał A. Prohaska,[1]) po śmierci podkanclerzego Oporowskiego, przyjął jego zastępstwo na życzenie swego ojca, a więc nieprawdą jest, „że nie brał żadnego udziału w rządach" (p. 34.), zwłaszcza, że i sam autor na str. 38 temu zdaje się zaprzeczać.

Wspanialej przedstawiałaby się postać św. Kazimierza, gdyby autor nie odłączał życia wewnętrznego od zewnętrznych zajęć królewicza, choć nie należy zapominać, że zadanie wtedy byłoby znacznie trudniejszem.

Wytknąć też należy pewne omyłki, zapewne drukarskie, w datach np. pg. 42 zam. 1637 jest 1737, a pg. 56 zam. 1683 mamy 1663. Zresztą, chociaż w biografii tej nie znajdujemy rozwiniętej psychologii świętego, to jednak wskutek dobrego wyzyskania źródeł i barwy opowiadania, książka ta zdziała to, czego sobie autor życzy, t. j. stanie się „silną podporą moralną" (Préface) dla młodych i chwiejnych dusz.

Mehr Liebe. Lebensbild des Dom Pius de Hemptinne O. S. B. Deutsche Bearbeitung von *D. Benedicta von Spiegel O. S. B.* mit drei Bildern. Freiburg im Breisgau 1913. 8-o. Str. XIV+272.

Książka ta, tłómaczona z francuskiego oryginału p. t. „Une âme bénédictine", zawiera wewnętrzne dzieje duszy młodego Benedyktyna Piusa de Hemptinne, zmarłego w Bockryck, w Belgii w 27 wiośnie życia w 1907 r. Część pierwsza, zawierająca krótki rys życia ś. p. Piusa, jest jakby tłem, na którem oglądamy wspaniały obraz jego duszy. Część druga, to jego własny dzienniczek, jako „Anmutungen und Gedanken", wprowadza nas w przybytek rozległych myśli i płomiennych uczuć. Natomiast część trzecia t. j. jego „Büchlein für den lieben Gott" otwiera nam samą duszę jego duszy, samo serce rozgorzałe miłością Boga. W części czwartej, obejmującej „Wybrane listy", poznajemy stosunek młodego mnicha do współbraci zakonnych, poznajemy jego zasady ascetyczne, które stara się przeszczepić w serca drugich. Wszystkie zaś razem części dają nam dość wyraźny obraz jego duszy.

O. Pius pochodził ze znakomitej, hrabiowskiej rodziny belgijskiej. Ur. 1880, wyrastał w atmosferze niezwykle religijnej.

W czasie lat szkolnych, pod wpływem nowych myśli, jakie zrodziła kongreg. Mar. w jego sercu, zaczyna coraz więcej pragnąć najczystszej bezinteresownej miłości. Zwolna jednak przekonywa się, iż pragnienia jego nie dadzą się urzeczywistnić, jeżeli pozostanie wśród świata. Więc wszystkie jego myśli płyną teraz poza klasztorne mury, aż nareszcie dn. 8 gr. 1897 myśli te przyoblekły się w szatę rzeczywistości. Był to dzień jego wstąpienia do zakonu. Do jak wysokiego stopnia świętości tutaj doszedł, świadczy najlepiej jego własny dzienniczek. *S. M.*

Handbuch der katholischen Liturgik. *Thalhofer-Eisenhofer.* Zweite Aufl. 2 Bde. Freiburg, Herder (1912). Tom I. str. XII+716; tom II. IX+676.

Dopiero w lat 22 po ukazaniu się podręcznika do liturgiki, napisanego przez X. Dra Thalhofera, doczekaliśmy się drugiego wydania tego cennego dzieła. Śmierć, która swego czasu autorowi wytrąciła pióro z ręki jeszcze przed ostatecznem wykończeniem pierwszego wydania, była i przy nowem opracowywaniu tego dzieła przyczyną tak znacznego opóźnienia. Obecne wydanie to owoc długoletniej, prawdziwie mozolnej zbiorowej pracy, zostało gruntownie przez X. Dra Eisenhofera przerobione, miejscami zaś na nowo samodzielnie opracowane z należytem uwzględnieniem nowszych prac i monografii z zakresu liturgiki. Tom pierwszy tego podręcznika zawiera liturgikę ogólną, a więc pojęcie, dzieje i formy liturgiki; budynki, przybory i szaty liturgiczne; rok kościelny, jego znaczenie i podział; — drugi tom poświęcony jest liturgice szczegółowej,

omawia więc przedewszystkiem liturgię najśw. Ofiary, następnie innych sakramentów, jako też sakramentaliów.

Dzieło to, dające w szczupłych stosunkowo ramach pogląd na całokształt liturgiki, a zarazem znakomicie informujące o wszystkich niemal szczegółach z tej dziedziny, godne jest istotnie polecenia jako cenne uzupełnienie podręcznej biblioteki kapłańskiej. *Z.*

Bibliotheca Apocrypha. Introductio historico - critica in Libros Apocryphos utriusque testamenti cum explicatione argumenti et doctrinae. Scripsit *Dr. Stephanus Szekeley*. Friburgi, Herder. Vol. I: Introductio generalis, Sibyllae et Apocrypha Vet. Test. antiqua. (str. VIII+512). 1913. Cena: 11 marek. Kor. 13.20.

Księgi apokryficzne Starego i Nowego Testamentu od kilku dziesiątków lat zaczęły mieć inne, niż przez wieki całe znaczenie. Dawniej spoglądano na nie, jako na płody wybujałej wyobraźni o niedorzecznej i niesmacznej treści i dlatego nie zajmowano się niemi; — dziś widzimy w nich odbicie pewnych prądów i zapatrywań epoki, w których powstały, służą przeto na równi z innymi dokumentami historycznymi do lepszego jej poznania. Dla porównawczej historyi religii, która dzisiaj coraz bardziej się rozwija, mają one wartość niezmierną.

Niestety chaotyczność ich i wybujała forma dla niespecyalistów czyni je prawie niedostępnemi. Szczęśliwą więc myśl powziął Dr. Szekely, profesor egzegezy na uniw. w Budapeszcie, by wydać introdukcyę do ksiąg tych, któraby ułatwiła oryentacyę w dziewiczym lesie apokryfów. Całość ma obejmować 2 tomy, z których wyszedł już tom I-y. Zawiera on ogólny wstęp do apokryfów St. i N. Test., oraz systematyczne zestawienie nauki tych pism, dalej wstęp szczegółowy do ksiąg Sybill i do starszych ksiąg apokryficznych St. Test.

Autor podaje historyę powstania tych ksiąg, ich treść; tłumaczy i objaśnia trudniejsze miejsca oraz systematycznie zestawia ich naukę.

W ten sposób dzieło to nietylko jest introdukcyą do fachowych studyów nad literaturą apokryficzną, ale i dla niespecyalistów znakomitem źródłem poznania tych tak wielce ciekawych utworów ducha ludzkiego. W niejednym wypadku może ono zastąpić wprost same apokryfy.

K. R.

In illo tempore... *Michał Rolle*. Szkice historyczno-literackie, z przedmową Dr. J. Kallenbacha. Nakładem księgarni Feliksa Westa. Brody, Lwów 1914.

Jest to zbiór bardzo ładnych szkiców, wydających się na pozór jako nie wiążące się między sobą, a przecież w rzeczy samej stanowiące jednolitą całość. Przesuwają się przed oczyma postaci wybitniejsze XIX w. Dr. J. Kallenbach we wstępie do tych szkiców pisze: „Kto umie czytać, ten się tu doczyta nieraz bardzo wiele między wierszami. Dla prawdziwych smakoszów-estetów niejedno znajdzie się tu ziarnko, które rozgryźć trzeba, nie połknąć..." Rzeczywiście książka ta zadowoli każdego — a przedewszystkiem zostawi miły smak wspomnień z dawnych czasów z Wołyńskiej i Podlaskiej ziemi.

H. K.

W płonącej Moskwie. Obrazek historyczny w 1-ej odsłonie. *J. Majcher*. Nakład i własność księgarni Zygmunta Jelenia. 1913.

Z okazyi setnej rocznicy śmierci Ks. J. Poniatowskiego, ukazuje się w tym roku cały szereg czy to biografii lub rozpraw naukowych, czy też opowiadań lub obrazków dramatycznych, które uświetniają pamięć bohatera polskiego. Są to rzeczy więcej lub mniej udatne. Do tych ostatnich zalicza się obrazek dramatyczny „W płonącej Moskwie". Są tutaj pewne sceny nienaturalne, niczem nieumotywowane, osoby pewne nazbyt poważnie rozprawiają, jakoby się można spodziewać po nich ze względu na ich wykształcenie (Uarkowski — stary weteran), a brak tylko scen, któreby rzeczywiście w całej pełni przedstawiały charakter i znaczenie Ks. J. Poniatowskiego. Zamiar więc autora, spopularyzowania sławy Ks. J. Poniatowskiego wśród warstw niższych naszego społeczeństwa przez swój obrazek dramatyczny — bo zdaje się tylko z tą myślą mógł autor w ten sposób pisać — nie zupełnie się powiódł.

H. K.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Skandaliczne zajście w kościele w Berlinie.

Zdarzył się wypadek, który bolesnem echem rozszedł się po całej Polsce i do głębi zranić musiał uczucia nietylko jako Polaków, ale też jako katolików i nasuwa poważne refleksye.

W Berlinie wypędziła policya z kościoła dzieci i osoby za to, że nie chciały zeń wyjść, nie otrzymawszy Komunii św.

Przebieg berlińskich wypadków jest dziś szczegółowo znany ze sprawozdań dzienników. Polacy, w liczbie do dziesięciu tysięcy zamieszkujący dzielnicę Moabit, a uczęszczający do kościoła OO. Dominikanów chcieli, aby ich dzieci przystępowały do I-ej Komunii św. oddzielnie od dzieci niemieckich. Pragnęli oni, aby ich dzieci, na które rząd się zawziął i ze wszystkichs tron osaczył swym bezlitosnym, aż do najdrobniejszych szczegółów przemyślanym systemem wynaradawiania, — żeby te biedne dzieci choć w kościele przed Bogiem znaleźć mogły schronienie przed tyranią rządu, mogły odetchnąć swobodniejszą atmosferą, żeby się mogły poczuć tem, czem są, a nie tem, czem je być przymusza państwo. Postępowali legalnie. Udali się do rządcy kościoła O. Jakóba w celu pertraktowania z nim o tej sprawie. Ufali, że sumienie kapłańskie i poczucie prymitywnej sprawiedliwości weźmie górę nad niechęcią narodową. Nie zrazili się bardzo niegrzecznem przyjęciem i ostatecznie doszli do jakiegoś

porozumienia. Rządca kościoła zgodził się na osobne wykomunikowanie dzieci polskich pod warunkiem, że uniknie się przy tem demonstracyi i nie wystąpi się ze sztandarami polskimi, a po wtóre, że razem z dziećmi przystąpią także do Stołu Pańskiego ich rodzice i inne osoby z rodziny. Po nabożeństwie polskiem miał wyjść ksiądz w komży i bez żadnej przemowy rozdać tylko oczekującym Komunię świętą. Delegaci polscy zgodzili się na te zresztą przykre dla ich uczuć ojcowskich i narodowych warunki, szczęśliwi, że przynajmniej uwolnią swe dzieci od uroczystości niemieckiej, złączonej z pierwszą Komunią św. Wiadomość o uzyskanem od rządcy pozwoleniu, zrobiła dobre wrażenie — gotowano się więc do Komunii św. Dzieci zaprowadzono do spowiedzi do OO. Franciszkanów, — spowiadali się też rodzice i starsi, żeby razem z dziećmi módz przyjąć P. Jezusa. Matki posprawiały dzieciom białe ubrańka i świece z bukietem. Nie spodziewały się biedne matczyska, co ich będą kosztować te zbytki, na które się zdobyły dla swych małych, ani nie przypuszczały, że te białe ubrańka i świece w oczach ojców berlińskich, będą wzięte za tak skandaliczną demonstracyę, że przeciw niej trzeba będzie wzywać kilkudziesięciu policyantów !

O wyznaczonej godzinie w niedzielę zebrały się rodziny w kościele. Przyprowadzono także dzieci, ale tak, jak sobie zastrzegł rządca kościoła: bez sztandarów, bez przyjęć uroczystych, bez mowy powitalnej, której nikt nie wygłaszał. Ustawiono tylko dziatwę dla porządku razem przed rodzicami i pozapalano jej świece. Wprawdzie chorąży stowarzyszenia św. Kazimierza wyniósł swą chorągiew ze zakrystyi i stanął z nią na środku, jak to czynił zresztą podczas nabożeństw polskich, ale kiedy kościelny zażądał, aby na ten raz chorągiew zwinąć, uczynił to zaraz i nabożeństwo odbywało się zupełnie bez żadnej okazałości. Wyszedł ksiądz ze Mszą św. i ta była cicha; odpadło polskie kazanie, które zwykle bywało w tym czasie; podczas Mszy nie rozdawano Komunii św. Po skończonej Mszy św. bez słowa ksiądz odszedł od ołtarza — a lud i dzieci modląc się oczekiwały na obiecaną Komunię św.

Tymczasem już chwila upływa a księdza jak nie widać, tak nie widać. Co takiego? poczynają się dziwić, pytać — ktoś poszedł do zakrystyi dowiedzieć się, co zaszło. Aż zamiast przy ołtarzu zjawia się ksiądz na ambonie i zaczyna robić ludowi jakieś wyrzuty i wyprasza z kościoła. — Lud zrozumiał, odczuł, że odegrano z nim komedyę. Obiecywano dać Komunię, on uwierzył, przygotował się należycie, przysposobił godnie dzieci, wyspowiadał się, czekał na czczo z dziećmi od rana, żądane przez Ojców warunki spełnił — a oto teraz, gdy to wszystko wypełnił, odmawia się mu Komunii św. i księża wyrzucają go z kościoła. Trzebaby być chyba jakąś bryłą kamienną, żeby nie odczuć głęboko tego kopnięcia i to od księży, w kościele, w obliczu Boga, na którego przyjęcie lud oczekiwał.

Wymówki rządcy kościoła i wyproszenie za drzwi z ambony podziałało jak uderzenie biczem. Powstał popłoch, zamieszanie; słabsi wybuchli płaczem, inni reagowali na nie odruchem oburzenia i protestu. Nie pomogło i gromkie odezwanie się drugiego księdza, który wyszedł na ambonę z ciętą komendą— nie pomogły nawet perswazye ks. Szwedy, Polaka, który radził ze względu na ewentualne następstwa porozchodzić się do domów. — Należy nam się Komunia św. Obiecano nam ją i bez niej nie odejdziemy — wołano — i lud się zaciął przy swojem.

Sprawa za daleko zaszła, aby do głębi oburzony lud można było uspokoić paru słowami. Ktoś wpadł na szczęśliwy pomysł i aby uśmierzyć wrzawę, zanucił „Kto się w opiekę". Epizod ten dał powód do opisów, że zbuntowani Polacy śpiewali narodowe hymny. Pieśń możeby była i przyprowadziła równowagę w umysłach, ale w Prusiech widocznie już i w kościele znają skuteczniejsze i bardziej wypraktykowane środki: *tüchtig dreinhauen*. Receptę tę bez wahania zastosowano w kościele OO. Dominikanów. Zawezwano kilkudziesięciu uzbrojonych policyantów i ci już mogli porządek przywrócić. Wyniesiono z kościoła Najśw. Sakrament, a dom boży oddano pod komendę oddziałowi policyi i z miejsca, z którego lud słucha rzewnych słów: Pan z wami, Pokój wam — odezwała się cięta komenda oficera policyjnego — *Im Namen des Gesetzes*, — w imię pruskiego

prawa. Rzeczywiście porządek przywrócono. Kilkudziesięciu policyantów dało rady tym dziwnym rewolucyonistom, co od sług bożych domagali się, aby im dano Jezusa. Że nie przyszło do rozlewu krwi w kościele, że nie trzeba było kościoła potem na nowo konsekrować, to zawdzięczać należy rozważnej postawie ludu, który nie dał się płocho porwać na policyantów. Gdy w kościele została już tylko policya wówczas zamknięto drzwi kościelne. Pozostały one tak zamknięte aż do popołudnia pod strażą policyi.

Taki w głównych liniach był przebieg zajścia, które prasa napiętnowała nazwą skandalu.

I zaprzeczyć nie można, że było ono skandaliczne, że wywołało i wywołać musiało niesmak i zgorszenie nietylko w świecie katolickim ale i w kołach protestanckich. Tylko pytanie zachodzi, kto zawinił, na kogo ma spaść hańba tego zgorszenia.

Gdy pojawiły się w dziennikach pierwsze wieści o wypadkach, przez krzyk bolu i oburzenia na niesłychaną zniewagę świątyni, poprzez bezgraniczny żal do tych, którzy proszeni o chleb eucharystyczny, podali skorpiona policyjnego — nie można było sobie zdać sprawy z całego przebiegu. Można było podejrzywać, że w całym wypadku mogło coś zajść ze strony polskiej, o czem gazety nie wiedziały, albo sprawozdania dyskretnie milczały, a co mogło na całe zajście całkiem odmienne rzucić światło. Można było sąd wstrzymać o tej sprawie. Dziś jednak czynić tego nie można. Już rzecz jest na tyle wyjaśniona, że można w ogólnych zarysach zrobić sobie sąd całkiem przedmiotowy i ten nie wypadnie na niekorzyść naszych rodaków w Berlinie.

Już dziwnie podejrzanie wyglądało oświadczenie, jakie berlińscy księża umieścili pospiesznie w prasie, że nie będą pociągali winnych do odpowiedzialności. Oświadczenie to robiło wrażenie sprytnego gestu, który jednym zamachem wskazując na winowajców i z siebie nietylko wszelką odpowiedzialność zwalał, ale jeszcze występował w gloryi najszlachetniejszego z czynów, przebaczenia krzywd doznanych. I powstawało odrazu podejrzenie, że ci, którzy z całem zaufaniem odnoszą się

do policyi, oddając bez sądu lud w jej opiekę, nie mają jednak tego zaufania do sądu, z którym sprawa dłuższa, roztrząsanie sprawy tak, że można się znaleźć w kłopotliwem położeniu.

Następnie nie przemawia na niekorzyść Polaków i to, że osoby ze strony polskiej, które najwięcej wydawały się skompromitowane, a które policya aresztowała, po paru dniach wypuszczone zostały na wolność. Widocznie nawet argusowe oko śledztw berlińskich nie mogło wynaleźć jakiejś winy z ich strony.

Gazety niemieckie, które prawie wszystkie stanęły przeciw Polakom, prócz oklepanych ogólników wytaczanych przeciw nim ustawicznie o ich bezgranicznej bezczelności, zuchwalstwie, warcholstwie i t. p., właściwie nie stawiają zarzutów konkretnych. W naszym wypadku tą bezczelnością jest, że rodzice polscy pragnęliby przynajmniej uchronić swe dzieci przed wynaradawianiem w kościele, który przecież wszystkim narodom przyznaje równe prawa przed Bogiem. Dla ludzi takich zapatrywań nawet pacierz w języku polskim, odmówiony wspólnie, jest bezczelnością i zbrodnią. Z tego rodzaju poglądami walczyć nie można. Jest tylko nad wyraz bolesne, że prasa katolicka niemiecka, niestety swojem zachowaniem się wobec wypadków berlińskich, zdaje się być tego przekonania. Nie tylko znana ze swych źle ukrywanych aspiracyi germanizatorskich „*Germania*“, ale nawet sprawiedliwiej oceniająca stanowisko Polaków „*Kölnische Volkszeitung*“ w obecnym wypadku nie umiała się zdobyć na bezstronne słowa i daje admonicye Polakom, aby pamiętali, że „nie są w Krakowie albo w Warszawie“, ich żądania „nie powinny przekraczać skromnej miary“. Więc żądanie polskich rodziców o oddzielną Komunię dla swych dzieci, rodzicielska troska, aby przynajmniej przy pierwszej Komunii wolne były od ciążącego nad nimi i w kościele celowego systemu germanizacyjnego, jest nadmiarem żądań ze strony polskiej! Więc to rodzice polscy powinni do tego stopnia być skromni, żeby nawet w kościele zgadzać się nie z wolą bożą, ale z wolą celowo tępiącego ich rządu i pozwalać, żeby w kościele, w tem miejscu prawdy

i świętości, nawet przy pierwszej Komunii, paczyły się dusze ich dzieci i traciły to, czego strzedz jest ich przyrodzonym obowiązkiem! Chyba bardzo płytko myśli, kto nazywa nadmiarem żądań to, co jest ich obowiązkiem rodzicielskim i narodowym. Chyba ten nie rozumie całego tragizmu duszy dziecinnej, jak ona się paczy, łamie, kurczy nawet przy tym najświętszym akcie komunii z Bogiem, gdy wychowana przez rodziców po polsku i w uczuciach polskich, musi być na uroczystości niemieckiej, słuchać tych, zrozumiałych i dobrych dla Niemca zachęt do modlitw *für unser liebes deutsches Vaterland*, które dla Polaka brzmią jak najboleśniejsza ironia; gdy musi słuchać owych nieodstępnych od przemów niemieckich a objektywnie tak wstrętnie insynujących nieprawdę i wytwarzających atmosferę obłudy „*Wir Deutschen*". Taka atmosfera nie nadaje się dla Komunii dla dziecka rodziców polskich. I każdy, komu pogański, nieludzki szowinizm narodowy nie zamącił elementarnych pojęc o sprawiedliwości, zrozumieć to musi i ten nie może nazwać stanowiska polskiego wygórowanemi pretensyami, ale poprostu spełnieniem obowiązku rodzicielskiego, który nakazuje dzieci bronić przed znieprawianiem ich dusz niedoświadczonych — bronić tem bardziej, że to znieprawianie ma dziać się w kościele, przy najświętszym akcie ich dziecinnego życia.

Jeżeli gazety niemieckie, nawet katolickie, stojąc na stanowisku zachłannej germanizacyi i rozdzierając szaty nad radykalizmem Polaków, że nie idą dość spokojnie na pożarcie molochowi pangermańskiemu, przedstawiały wypadki berlińskie w jak najfałszywszem oświetleniu, to za zasługę poczytać należy gazetom polskim zaboru pruskiego, że wielostronnemi i szczegółowemi informacyami i zasadniczą dyskusyą pozwoliły wyrobić sobie sąd bezstronny. One to zmusiły berlińskich księży do robienia rozmaitych oświadczeń, charakterystycznych bardzo tem, że od głównego zagadnienia chciały uwagę odwrócić, sprowadzając ją na rzeczy i okoliczności drugorzędne. Trzeba było robić nowe oświadczenia, w których znowu brak wejścia w *meritum* sprawy i insynuacye na Polaków, a koniec końcem stanowcze i decydujące zapewnienie, że ich postępowanie było

lojalne i poprawne nie względem życzeń Polaków (tym insynuuje się bezpodstawność), ale względem rozporządzeń regencyi i będących z nią w porozumieniu kościelnych władz miejscowych.

I to jest właśnie główny i decydujący moment w całej kwestyi. W kościele w Niemczech nie rządzi sama władza kościelna — nie rządzi kapłan — ale obok kapłana i ponad nim kościołem rządzi regencya i policya. To jest to jarzmo kaudyjskie, przez które przechodzi Kościół katolicki w Niemczech — jak nad tem ubolewał w swej mowie na kongresie ks. bp. Faulhaber — przechodzi nietylko z wielką ujmą dla swej godności, ale co gorsza z utratą charakteru swego katolickiego i apostolskiego a niekiedy nawet wprost z wyparciem się swego posłannictwa. Tylko zdaje się, nigdzie w Niemczech nie dzieje się to tak jaskrawie, jak w prowincyach z ludnością polską. Rząd, który Polakom zaprzysiągł zgubę i mowę polską wypędził już zewsząd, skąd tylko mógł, spostrzegł, że jest jeszcze jeden budynek, który mógłby i powinien ją chować t. j. świątynia katolicka. Wygnana mowa polska, tam przed Bogiem znalazła ostatni przytułek, tam przed Bogiem można się czuć Polakiem, można słowo boże usłyszeć w tej mowie i pieśń po polsku zanucić na chwałę Bogu. I tego znieść nie mógł. Nie chciał zezwolić nawet, żeby przynajmniej przed Bogiem ofiara jego zawziętości czuła się bezpieczną i postanowił wedrzeć się do kościoła. Że Kościoła prawa przez to podepta, że wypaczy jego ducha odstręczy od niego mnóstwo dusz słabych — z tem się rząd nie liczył, owszem tem lepiej. Wszak państwo pruskie w katolicyzmie musi siłą swego bytu upatrywać wroga. Za jednym zamachem postanowił i Kościół ujarzmić i dostać się do ostatnich okopów polskości. I swego dokazał. Jego rzeczą było znaleźć drogę i znalazł. Faktem jest, że obecnie w kościele katolickim w Prusiech rządzi regencya i policya. Ona daje rządcom kościołów rozporządzenie i oni słuchają. Zdziwiony nad jakimś postępkiem proboszcza zapytasz, jak może tak sobie postępować — a on wzruszy ramionami i powie: Inaczej nie mogę. Regencya kazała — ja za to nie odpowiadam. Czynniki rządowe czuwają nad kazaniami w kościele w jakim języku się od-

bywają; one oznaczają z góry, ile razy może być kazanie polskie, one dozorują misye i misyonarzy; one oznaczają, w jakim języku proboszcz ma dzieci przygotowywać do Sakramentów świętych; one czuwają nad tem, aby dzieci polskie, przyjmując po raz pierwszy Jezusa do serca, nie przywitały go śpiewem polskim.

Jak wyglądają te rządy w kościele, to wykazały przed całym światem ostatnie zajścia w Berlinie.

I jest nad wyraz przygnębiające, że duża część duchowieństwa niemieckiego z tem położeniem się zgodziła; że, chyba nie zdając sobie sprawy, dokąd to wszystko wiedzie, idzie rządowi na rękę i, zamiast wyrozumieć i z jakiemś ludzkiem współczuciem traktować swych udręczonych i mordowanych narodowo parafian, nawet nie chce im dać tego, co słuszne, co im się sprawiedliwie według prawa bożego i kościelnego należy — odnosi się do nich z uprzedzeniem, osądza jak można najsurowiej, a nawet przeciw nim występuje. Wszak znane są na Śląsku publiczne występy niektórych księży przeciw Polakom. Ich publikacye nie różnią się wcale duchem od publikacyi pogańskiej hakaty. Chętnie przyznajemy, że stanowisko księdza katolickiego, mającego do czynienia z Polakami, jest bardzo trudne i może się dać bardzo we znaki kapłanom. Najprymitywniejszy akt sprawiedliwości względem Polaków z ich strony może sprowadzić na nich gwałtowne napaści ze strony wojującego germanizmu — może narazić na szykany policyi pruskiej, która lepiej zna każdy krok kapłana w odległej parafii, aniżeli nawet handel żywym towarem uprawiany w jej oczach. Wzgląd na święty spokój, chęć unikania zatruwającej życie walki, pragnienie pożycia z ludźmi zajmującymi stanowiska urzędowe, mogą dużo tłómaczyć w postępowaniu duchowieństwa, jego ustępliwość względem władzy. Ależ, na Boga! — ta ustępliwość musi mieć jakieś granice, nie może zdradzać charakteru apostolskiego i interesów kościelnych, nie może się łączyć z mocniejszym przeciw słabszym. I dlatego w postępowaniu duchowieństwa niemieckiego usprawiedliwić wszystkiego nie można. Nie można przedewszystkiem tej niechęci, podejrzliwości, skarg

na Polaków, pomawianie o radykalizm, obwinianie ich o różne rzeczy, które istnieją tylko w nieprzychylnie ku Polakom usposobionej wyobraźni. Rzeczywiście księża niemieccy zdają się traktować swych parafian polskich jak wyrodna matka swe nieprawe dziecko, które jej bardzo niewygodne, a którego się pozbyć nie może. Dokucza się mu, odmawia wszystkiego, wymyśla, słowa dobrego nie powie, a potem sumienie się uspokaja żalem wytaczanym publicznie, że takie niegrzeczne, złe, uprzykrzone, nie do wytrzymania i t. p. W ten sposób robi się wszystko, żeby Polaków do siebie zniechęcić, a potem wyrzeka się na nich i szuka przeciw nim sojuszników nawet w policyi, która korzystając z takich zaproszeń, jeszcze bardziej utrwala swoje panowanie w Kościele.

I wobec tego mimowoli ciśnie się do głowy pytanie, czy Kościół pruski, w którym z poza sukni kapłańskiej wychyla się pikelhauba wydającego rozkazy policyanta, czy ten kościół ma jeszcze charakter katolicki? Czy on, przyjmując z rezygnacyą rolę milczącego pomocnika w niemoralnej polityce rządu, nie zdradza sprawy, którą bronić powinien, czy zamiast zyskiwać Chrystusowi zwolenników, nie odstręcza, nie odpędza od Chrystusa nawet tych, którzy przy Nim byli?

Naprawdę ludzie małej wiary mogą zwątpić i zachwiać się. Nieumiejący odróżnić Kościoła katolickiego od pewnego odłamu jego sług i duchowieństwa, mogą łatwo dać wiarę podszeptom wrogów Kościoła, którzy z różnych stron podsuwają myśl i wyrażają nadzieję, że „zrodzi się bunt przeciw polityce Kościoła“, że ludzie powiedzą sobie: „niema dla Polaka miejsca w Kościele katolickim“.

Dobrze świadczy i otuchą napełnia jednak postawa Polaków w Moabicie. Wobec zrozumiałego oburzenia na fatalną rolę, jaką odegrało duchowieństwo niemieckie w sprawie moabickiej, można się było obawiać kroków jakichś nieodpowiednich. Tymczasem stało się, dzięki Bogu, wprost przeciwnie. Komitet parafialny wezwał zaraz wszystkich do zachowania równowagi i spokoju i — spokój utrzymano. Odbyły się wiece, ale na wiecach, jak na wiecu w Charlottenburgu, choć ostro wystąpiono przeciw

postępowaniu duchowieństwa niemieckiego, które wnosząc politykę do kościoła, wypędza z niego Polaków, jednak oświadczono uroczyście, że mimo wszystko „zostaną wiernymi Kościołowi katolickiemu". Na innem wiecu w Moabicie, zgromadzeni wyrażają swój ból z powodu krzywd, które ich dotknęły i apelując do najwyższej władzy w Kościele, oświadczają: „nawet wśród prześladowań w Kościele, gdzie władza pruska nie powinna mieć przystępu i komendy, stać będziemy niezłomnie i wiernie przy swej świętej wierze katolickiej i naszej narodowości i ślubujemy, że dzieci nasze wychowywać będziemy po katolicku i po polsku. Tak nam Boże dopomóż!"

Za te stanowcze oświadczenia należy się rodakom naszym szczere uznanie. I z całej Polski pewnie popłyną modły za nich: tak im Boże dopomóż!"

Przedewszystkiem katolicy.

Zbliżają się wybory do parlamentu francuskiego. Mają one dać Francyi, jej polityce zewnętrznej a jeszcze bardziej wewnętrznej nowy wyraz, czy też ma iść drogą dotychczasową, czy też zwrócić się na nowe tory. Dotychczasowy jej kierunek wewnątrz t. j. walka z Kościołem, która jeszcze istnieje, przyniosła jej tylko fatalną ruinę. Zanikł blask *prestige'u* francuskiego w świecie; w kraju zagnieździła się korupcya; ruina moralna w społeczeństwie i dochodząc aż do fizycznego upadku rasy; od góry do dołu rozkład, — rozkład z którego korzysta tylko pasożytnicza banda kierowników państwa, a cieszą się i zacierają ręce mroczne loże masońskie, że światła na niebie zgaszone, a urzeczywistniają się ich piekielne aspiracye.

Z głębokości tego upadku i rozkładu wystają jeszcze jednakowoż jakieś zdrowe części, których rozkład nie zdołał uśmiercić, tak, że nawet rość mogą i wśród powszechnego gnicia przyciągać oczy swą świeżością i zdrowiem. Są to katolicy, ich instytucye i ich działalność. Od nich społeczeństwo francuskie oczekuje ratunku, na nich zwracają się oczy wszystkich, którzy boleją nad upadkiem Francyi. „Nasi biskupi, — pisał niedawno założyciel i główny redaktor organu katolickich profesorów uni-

wersyteckich — w czasach współczesnej anarchii wyrastają wysoko i znów stają się nam kierownikami państwa, jak byli w pierwszych wiekach. Jak tylko barbarzyńscy władcy współcześni ujrzą nas zgrupowanych koło nich, odrazu ujrzą się w konieczności, tak jak to robili barbarzyńcy dawniejsi, paktować z nimi". To też w tej chwili przed wyborami, od których zależy przyszłość Francyi przez najbliższe lata, katolicy czują się jakby zelektryzowani. Czują oczy zewsząd na siebie zwrócone. Przechodzi po nich jakby jakiś dreszcz wielkiego czynu, który dokonać mają i dokonać powinni. Budzi się świadomość wielkiej odpowiedzialności, żeby nie zmarnować chwili, żeby wszystką swą rozprószoną dotąd i nieskoordynowaną energię skupić do wspólnego wysiłku, do jednego czynu, aby podnieść upadłą i ginącą wielkość swej ojczyzny. Przed wyborami rozpoczął się ruch, który nie wiadomo jeszcze, jakie przyniesie owoce bezpośrednio, ale który prędzej czy później musi przynieść zwycięstwo sprawie katolickiej i nieodłącznie związanemu z nią odrodzeniu narodu francuskiego.

Dnia 28 lutego zawiązała się obszerna organizacya pod nazwą „*Zjednoczenie katolickie*". Dnia tego zebrało się w Paryżu do 80 działaczy katolickich z rozmaitych okolic Francyi. Wszyscy oni pracowali już w zjednoczeniach dyecezyalnych i związkach departamentalnych, oraz i w innych organizacyach katolickich. Zjechali się na naradę, jakie zająć stanowisko w zbliżającej się kampanii wyborczej, a wynikiem ich obrad było utworzenie ogólnego zjednoczenia wszystkich katolików francuskich w celach obrony ich praw.

Na jakich podstawach doszło do tego zjednoczenia, jaki jest jego charakter i jakie cele?

Wielkie dzienniki francuskie „*Temps*", „*Journal des Débats*", „*Figaro*" a nawet niektóre katolickie, puściły w świat wiadomość z gruntu fałszywą, że wśród katolików francuskich obok istniejących dotąd, tworzy się nowa organizacya. Dzienniki niemieckie, a także niektóre polskie, powtórzyły ją, nie bez przekąsu wyrażając się o nowej partyi, która miała się już spierać o to, jakby się nazwać, czy nie *parti de Dieu*. Domyśli-

wano się, że jest ona tworem tych przesadnych katolików, którzy za najważniejszą rzecz uważają ustawiczne wykazywanie się ze swą legitymacyą katolicką, a stając w opozycyi do dzieł i organizacyi podejrzywanych przez nich o liberalizm, sieją zamęt i rozbicie w szeregach katolickich. Domysły okazały się na szczęście fałszywe. Organizacya, o której mowa, jest dziełem katolików poważnych, zrównoważonych, którym chodziło nie o deklamacye i pompatyczny gest katolicki, ale o dzieło wielkie, pozytywne i w przyszłości swej niezmiernie doniosłe. Imiona pułkownika Kellera, p. de Bellomayre'a, p. Pawła Nourrison'a i p. Souchon'a i p. Jana Guiraud, profesorów szkół wyższych, stanowią u katolików francuskich autorytet, zdobyty nie frazesem, ale pracą w organizacyach i na polu obrony Kościoła. One są też rękojmią, że dzieło przez nich stworzone a przyjęte nietylko przez obecnych na zebraniu konstytuującem, ale też przez pisemne deklaracye, nadesłane ze wszystkich stron od przyjaciół wtajemniczonych w zamiary twórców, naprawdę zapowiada nową erę w stosunkach katolickich we Francyi.

Organizacya, o którą chodzi, ma ciekawy charakter. Nie powstaje ona obok innych partyi katolickich, istniejących już, aby rywalizować z niemi i z ich szkodą zwiększać swoje wpływy; nie tworzy ona koalicyi z nich dla jednego wspólnego celu, ale powstaje po to, aby ponad wszystkie partye, nie dotykając wcale sfery ich działania politycznego, ani idei politycznych, wynieść sprawę, wszystkim im wspólną a obecnie najbardziej piekącą, — sprawę kościelną.

Wśród katolików francuskich zbyt głębokie przedziały wykopały rozmaite ich programy polityczne, aby je można było w krótkim czasie wyrównać i wszystkie partye zjednoczyć pod jednym programem politycznym. Rojaliści zawsze pozostaną rojalistami bonapartyści dalej marzyć będą o swych ideałach cesarstwa, a znów partye konstytucyjne nie myślą się wyrzekać swych ideałów republikańskich. Potrzeba było obmyśleć taki program, któryby nie tykając przekonań politycznych, zdołał jednak wszystkich połączyć w sprawie religijnej, wszystkim wspólnej. Właśnie tego rodzaju program wywiesza Zjedno-

czenie katolickie: „*Catholiques avant tout*". Przedewszystkiem bądźmy katolikami, powiedziano sobie i jako katolicy zajmiemy osobną grupę w państwie, grupę dla obrony własnych interesów katolickich przeciw zakusom wrogiego katolicyzmowi rządu. Grupa ta będzie miała na celu tylko obronę katolicyzmu z wykluczeniem wszelkich innych kwestyi politycznych, dlatego każdy katolik, poczuwający się do obowiązków względem Kościoła, może i powinien do Zjednoczenia należeć. W stosunku do innych partyi politycznych Zjednoczenie będzie z jednemi prowadziło walkę, z innemi wejdzie w porozumienie, — będzie się starać przyciągnąć ku sobie, albo je wesprzeć, gdzie potrzeba. Zależeć to będzie od stanowiska, jakie zajmują wobec kwestyi kościelnej — czy są jej wrogie, obojętne, czy też przychylne. W ten sposób żadnej z partyi katolickich Zjednoczenie nie zwalcza, owszem, gdzie one pomocy potrzebują, tam im chce dopomódz, ale ma sferę działania oddzielną, od tamtych partyi niezależną. Nie łączy w sobie jako koalicya organizacyi czysto politycznych, ale przyjmuje i łączy i centralizuje do wspólnego działania wszystkie już istniejące Zjednoczenia dyecezyalne i tworzyć będzie nowe grupy o tym samym charakterze tam, gdzie ich jeszcze niema.

Przy najbliższych wyborach Zjednoczenie katolickie postawiło sobie za zadanie przynajmniej spowodować upadek jak najwięcej kandydatów wrogich Kościołowi. W tym celu na razie ustaliło formułę, na którą się podpisują wszyscy należący do Zjednoczenia. Zawiera ona trzy postulaty: 1) pokoju religijnego, 2) rewizyi ustaw ograniczających swobodę ruchów katolikom i 3) podjęcia na nowo stosunków dyplomatycznych i porozumienia z głową Kościoła katolickiego. Formuła ta jest na razie formułą jedności między katolikami i zawiera minimum żądań, które mają być przedkładane kandydatom, ubiegającym się o głosy katolickie. Zjednoczenie całym swoim wpływem poprze kandydata, który tę formułę włączy w swe wyznanie wiary poselskie. Kandydat, który ją będzie odrzucał i obstawał przy nietykalności uchwalonych już praw, absolutnie nie może liczyć na głosy katolickie; a ten, któryby wzbraniał się przyjąć żądań katolików,

ale nie obstawał przy nietykalności uchwalonych już praw, ten jako wątpliwy, na wsparcie nie zasługuje i tylko roztropność w poszczególnych wypadkach zadecyduje, czy i o ile będzie go można wesprzeć przy wyborach.

Znamieniem Zjednoczenia jest to, że w tej organizacyi nie biorą udziału biskupi. Na zebraniu konstytucyjnem znajdował się tylko jeden ksiądz — zresztą kler stoi zupełnie na boku, nie chce się mieszać, katolicy świeccy organizują się na własną odpowiedzialność. Nie znaczy to, żeby duchowieństwo i wogóle władza kościelna odnosiła się do organizacyi nieprzychylnie. Na samem zebraniu mógł przecież pułkownik Keller ogólnie odwołać się do wskazówek władzy kościelnej, która już dawno wskazywała na potrzebę takiej organizacyi: „Na zebranie nasze nie przyszedł Kościół naradzać się, co robić. On już swe słowo wyrzekł. Biskupi nasi i sam Ojciec święty wielokrotnie i publicznie wskazywali nam na zgubę, do której zdąża Francya, na błędy i niesprawiedliwości uświęcone przez prześladowcze ustawodawstwo, wskazywali nakoniec na nasze obowiązki. Wy słyszeliście te wskazania i obowiązki znacie. Teraz do was, jako do obywateli Francyi należy, żebyście swą polityczną działalność unormowali według wskazówek, które oświeciły wasze sumienia... Kościół nam je dał — i jego rola skończona; on nie chce się wdawać dalej w wasze interesa doczesne i pozwala wam samym decydować o nich w zgodzie z prawem bożem". — To stanowisko Zjednoczenia ma tę zaletę, że nie będąc partyą kościelną, ale zupełnie organizacyą świecką, odpowiedzialności za swe postępowanie nie zwala na Kościół. Władza kościelna w ten sposób pozostaje na boku, Kościół jako organizacya religijna nie występuje na arenę polityczną, ale występują tylko katoliccy obywatele francuscy w obronie praw swoich religijnych.

Władze kościelne dyecezyalne z całą przychylnością odnoszą się do ruchu, który powstał pod wpływem Zjednoczenia. Kardynałowie i biskupi w listach pasterskich polecają ten ruch, wskazują na obowiązek głosowania tylko na kandydata, który przyjmie żądania Zjednoczenia do swego programu posel-

skiego. Kardynał Andrieu, arcbp. z Bordeaux, w swym liście oświadcza: „Ci, którzy nie chcą wam zrobić tego przyrzeczenia, powinni być wykluczeni od waszych głosów — a jeśliby kto z was z bojaźni, albo ze względu na interes własny głosował za nimi, niech wie, że zaciąga ciężką odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi za klęski, które na naszą wiarę i nasz kraj może sprowadzić ich sekciarstwo". — Biskupi z prowincyi Bourges we wspólnym liście jeszcze silniej akcentuje ten obowiązek. „Głosowanie nie jest aktem moralnie obojętnym dlatego, że jest aktem politycznym i politycy nie mogą się usunąć z pod moralności chrześcijańskiej, ani powoływać się na swą niezależność, gdyż sumienie obowiązuje taksamo w życiu publicznem jak i prywatnem". Dotychczas wyborcy dość często przy wyborach tracili z oczu wzgląd na interesy moralne i religijne, które są gwarancyą interesów osobistych i narodowych. Ale też dlatego biskupi czują się obowiązani je przypomnieć. Katolicy głosowali na własną rękę, rozbici i bez programu. Teraz muszą się złączyć w celach obrony podeptanych praw Kościoła: złączyć *sub vexillo Christi*. Niechże sobie będą rojalistami, imperyalistami czy republikanami, ale koniecznem jest, aby mieli wspólny program katolicki przy wyborach. Biskupi kreślą ten program, który zgadza się zresztą z formułą Zjednoczenia, tylko ją tłómaczy szczegółowiej. Wreszcie dają wskazówki postępowania przy wyborach zupełnie identyczne z uchwalonemi przez Zjednoczenie.

Kardynał Dubillard zaś o całym ruchu jeszcze wyraźniej się wypowiedział.

„Wiemy, że obecnie na czoło katolików francuskich wystąpili ludzie zasłużeni i z talentem, a przedewszystkiem szczerze religijni i podjęli zadanie skupienia głosów dla kandydatów oddanych sprawom Kościoła i Francyi i zdecydowanych na ich obronę: „Katolicy i Francuzi przed wszystkiem. Panowie ci, wyznaczeni przez komitet wyłącznie świecki w Paryżu, usiłują szacunek, miłość i oddanie się świętej sprawie religijnej postawić za zasadę i fundament naszemu społeczeństwu, usuwając na bok intrygi i waśnie polityczne, któremi inaczej zająć się nie możeny. Dlatego najusilniej domagamy się od was, abyście się

przejęli ich ideami i pomogli tym ludziom wybranym do tryumfu waszej sprawy, która jest sprawą waszych dzieci, waszych rodzin, całej Francyi i Kościoła. Precz wahania, groźby, obietnice: Katolicy i Francuzi przedewszystkiem i bez zastrzeżeń.

Podobne oświadczenia pojawiają się ze wszystkich stron od episkopatu francuskiego. Znak to, że organizacya obecna jest tym długo pożądanym, ale nie mogącym doczekać się urzeczywistnienia postulatem, który ostatecznie wchodzi w życie. Pułkownik Keller jeszcze nie łudzi się co do obecnych wyborów — jeszcze wstrzymuje się z robieniem wielkich obietnic... oblicza dzieło na daleką metę. Jednak oceniając przyszłość według gorliwości, z jaką organizacya zabiera się do działania, można już i przy obecnych wyborach spodziewać się sukcesu. Sprawa zamordowania p. Calmetta i rewelacye późniejsze, skandale ujawnione wśród ministrów, proces p. Caillaux i Monisa, zdarły ponownie maskę obłudy z rządzącej kliki i zapewne dopomogą Zjednoczeniu w przeprowadzaniu odpowiednich kandydatów.

Ks. L. Rudnicki.

Listy z Warszawy.

Bankructwo Maryawitów. — Antysemityzm Niemojowskiego.

Naszym maryawitom zaczyna się niepowodzić. Ich własna broń zwraca się przeciw nim.

Wiadomo, że głównym atutem w ręku maryawitów w walce z duchowieństwem katolickiem był ich początkowy ascetyzm. Księża żyją zanadto dostatnio, nie tak skromnie jak powinni i t. p. zarzuty sypały się na nasz kler. Ksiądz powinien żyć tylko w kościele i dla kościoła, zdala od życia i jego potrzeb, ascetyczny, oddany Bogu, obowiązkom kapłańskim i dobrym uczynkom.

Znalazło się rzeczywiście między pierwszymi maryawitami kilku młodych księży, którzy chcieli naśladować w dobrej wierze i woli, cnoty pierwszych chrześcijan. Ograniczyli oni swoje potrzeby ziemskie do najkonieczniejszych, najskromniejszych, żyli ascetycznie, bogobojnie, oddani całem sercem swoim obowiązkom kapłańskim i ubogim. Ale mogli to robić bez sekciarstwa, bez oderwania się od Kościoła

i kleru. Nikt nie byłby im bronił iść śladami pierwszych wyznawców-pustelników, świętych, ani władza kościelna, ani parafianie. Mogli byli pozostać kapłanami katolickimi ku zbudowaniu innych.

I byłoby się niewątpliwie tak stało, gdyby się w ich nieliczną gromadkę nie był wśliznął wąż ambicyi, sprytu i karyerowiczowstwa.

Jak wszędzie, gdzie się dzieje coś „nowego", uczepiło się gromadki pierwszych maryawitów kilku sprytniejszych, którzy postanowili wyzyskać dla swoich celów ambitnych „nowy ruch". Dygnitarzami kościelnymi, biskupami im się być zachciało.

I jak wszędzie w każdym „nowym ruchu" wysuwają się sprytni, ambitni na czoło tego ruchu, tak zapanowali i w maryawityzmie sprytniejsi nad jego naiwnymi twórcami.

By zostać biskupem, trzeba mieć jakąś większą gromadę wyznawców, jakąś dyecezyę. Tę dyecezyę przygotowali naiwni dla karyerowiczów, zgarnąwszy dokoła siebie życiem ascetycznem, skromnemi potrzebami osobistemi, bezpłatnymi ślubami, pogrzebami i t. d. kilkadziesiąt tysięcy wielbicieli i wielbicielek.

Ale dyecezya nie może istnieć bez kaplic, kościołów, probostw, utensyliów kościelnych i bez środków do utrzymania duchowieństwa, czyli poprostu bez pieniędzy. Nikt nie da bułki, chleba zadarmo, a cóż dopiero kaplic, kościołów, domów i t. d. Za wszystko trzeba na tej ziemi płacić gotówką. Nawet asceta nie może się obyć bez bielizny, jakiej takiej sukmany, bez trzewika i jakiegoś, choćby najuboższego pokarmu. I dopóki maryawici byli jeszcze proboszczami rzym. katolickimi, starczyło na pierwsze potrzeby. Odmawiając sobie osobiście wszystkiego, oddawali prawie cały swój dochód na cele „nowego ruchu". Opowiadał mi jeden z byłych maryawitów, później nawrócony, że posłał do Płocka na ręce „mateczki" Kozłowskiej w przeciągu kilku lat 12.000 rubli. A takich młodych proboszczów było kilkudziesięciu. Z chwilą jednak, gdy się już jawnie od Kościoła odczepili a „ojcowie" znaleźli się na własnem, jeszcze niezagospodarowanem gospodarstwie, zmieniło się położenie. Trzeba było szukać pieniędzy, dużo pieniędzy, bo potrzeby rosły. Skąd brać te duże pieniądze na: kaplice, kościoły, utensylia kościelne, na utrzymanie duchownych, ich służby, na domy ludowe, szkoły, czasopisma maryawickie i t. d. Magnatów nie było w gminie maryawickiej. Szary tłum: chłop, robotnik, drobny rzemieślnik, służąca i t. p. magnaci. Tu i ówdzie tylko znalazła się jakaś zamożniejsza fanatyczka.

Otworzyły się szeroko ręce „ojców" ascetów, gardzących podłą

mamoną: dawajcie! I dawali biedacy, co tylko mieli. Uciułaną krwawicę swoich ciężko pracujących rąk, oszczędności „na szarą godzinę", na wypadek choroby, śmierci kogoś w rodzinie, znosili i składali w szeroko otwarte ręce ojców ascetów, nie żądając nawet pokwitowania. Oddamy, jak zażądacie zwrotu, jak wam pieniądze będą potrzebne — zapewniali „ojcowie". Miałaż im nie wierzyć ta sfanatyzowana „owczarnia", nazywając „mateczkę" Kozłowską „oblubienicą Pana Jezusa", a ich duchownych świętymi, więcej niż świętymi, bo wprost Chrystusami? Wierzyła we wszystko, co mówili, jak wierzą owce w baranów, co je prowadzą.

W ten sposób zebrały się znaczne sumy, które wsiąkły w potrzeby sekty. Bo i ojcowie, ochłonąwszy z pierwszego zapału reformatorskiego, zaczęli wracać powoli do dawnego „grzesznego" trybu życia. „Biskupi" urządzili się bardzo wygodnie, dostatnio, jeździli nawet samochodami dla „szyku".

Wyszlamowawszy wszystko, co tylko mogli wyszlamować z kieszeni ubogich, znaleźli się duchowni maryawiccy w ciężkiem położeniu. Potrzeby ich rosły, a gotówki zabrakło. Więc stukali do banków petersburskich, a nawet do kieszeni hakatystów w Prusach — wszędzie, gdzie się tylko dało. Stukali podaremnie. Na domiar biedy spadła tej i owej owieczce łuska z oczu. Ten i ów maryawita, przejrzawszy po pewnym czasie, postanowił się odczepić od owczarni „mateczki" Kozłowskiej i Kowalskiego i zażądał oczywiście zwrotu swojego kapitału. A owego kapitaliku nie było.

Więc powstał lament. Dziwić się nie można biedakowi, co powierzył krwawy owoc swojej krwawej pracy ludziom, którym ufał, że upomina się o swoje ciężko zarobione grosze, zwłaszcza, gdy ich bardzo potrzebuje. Zdarzyło się, że robotnik, rozchorowawszy się, umierał z głodu ze swoją rodziną, a swoich oszczędności nie mógł wydobyć z rąk „ojców" na lekarstwo dla siebie i chleb dla swoich dzieci.

Gaśnie powoli w ludzie urok „ojców" maryawickich. Tak pomstowali na swoich byłych konfratrów za to, że starają się o środki utrzymania, o co starać się musi każdy człowiek żyjący, bo umarłby z głodu; tak niby gardzili podłą mamoną, a okazało się, że sami bez tej mamony istnieć nie mogą, że szukają jej wszędzie, nawet u wrogów swojego narodu. Przejrzał lud maryawicki, przekonał się, że stał się narzędziem do celów ambitnych. Lud nie znosi krzywdy materyalnej, nie może jej znieść, bo mu grosz ciężko, bardzo ciężko

przychodzi; jest on bardzo wrażliwym na każdą stratę materyalną. Strata pieniędzy oddziaływa na niego silniej od najsilniejszego argumentu.

Rzekomą pogardą pieniędzy wojowali maryawici z naszym klerem i zjednywali sobie tą bronią oszczędność i chciwość ludu. Mocniejszy od nich pieniądz, bez którego obyć się nie mogą, zepchnie ich z wyżyn reformatorów i sztucznych ascetów. Ich własna broń zwróci się przeciw nim samym. Reakcya już się zaczyna.

Mieli też za co pomstować na naszych księży. Wiedzą przecież z osobistego doświadczenia, że uposażenie naszego kleru w Królestwie jest tak skromne, iż starczy zaledwie na jakie takie utrzymanie.

* * *

Andrzej Niemojewski, autor „*Legend*“ i redaktor „*Myśli Niepodległej*“, stał się zaciętym antysemitą, czyli t. zw. wstecznikiem, obskurantem, bo to, wedle pojęć postępowców, na jedno wychodzi. Nikt się po nim, zajadłym wolnomyślicielu, nie spodziewał tego zwrotu. Zdziwili się głównie oświeceni Żydzi warszawscy, którzy wzięli w Warszawie w dzierżawę: humanitaryzm, liberalizm, wszelaką postępowość, polegającą głównie na szkalowaniu chrześcijaństwa i kleru chrześcijańskiego.

Zdziwili się warszawscy Żydzi oświeceni i wrzasnęli: „zdrajco, odstępco, opuściłeś nasz sztandar!“ A on odpowiedział na to: „szedłem razem z wami dopóty, dopóki was nie znałem; poznawszy jednak, kim jesteście i czem jest wasz postęp, odwróciłem się od was“.

Jest rzeczą szczególną, że my Polacy, znamy tak mało historyę i psychologię Żydów. Jeśli kto, to my powinniśmy się wpatrywać bardzo uważnie w „osobliwe“ oblicze tego „osobliwego“ plemienia, bo nas, naszą dobroduszność i nieopatrzność najwięcej umiłował. Prawie cały ortodoksyjny tłum żydowski siedzi na naszych ziemiach i ssie naszą pracę.

Dopiero w czasach ostatnich zabrało się kilku pisarzów warszawskich do „rewizyi kwestyi żydowskiej“. Zabrał się także do tej żmudnej roboty Andrzej Niemojewski, a zabrał się gruntownie. Talmud przestudyował, z literaturą antysemicką się zapoznał, duszę żydowską zgłębił, zbadał. A zbadawszy tę „osobliwą duszę“, odwrócił się od niej ze wstrętem.

Niemojewski posiada temperament bojowy, gwałtowny. Gdy się do kogo, do czegoś zabierze, sypią się drzazgi i wióry. Dyplomaty-

cznie uprzejmą nie umie być jego natura. Nikt z polskich antysemitów nie dokuczył tak Żydom, jak on. W swojej „*Myśli Niepodległej*" zmięszał ich z błotem, zdarł z nich bez litości łatany płaszcz obłudy postępowej. Z wielką brawurą szampiona atakuje ich bezustannie. Obecnie wydał książkę p. t. „*Dusza żydowska w zwierciedle talmudu*".

Wszystko, co Niemojewski mówi i pisze o Żydach, wiedzieli już, mówili i pisali przed nim różni „antysemici". Nowość polega na tem, że mówi to i pisze nie katolik, nie zachowawca, nie t. zw. wstecznik, lecz zagorzały postępowiec i żarliwy *librepenseur*. A mówi i pisze rzeczy, z któremi zgodzi się każdy „wstecznik".

W rozdziale p. t. „Spór świata ewangelicznego z talmudycznym" („*Dusza żydowska*", str. 29—35) dowodzi bardzo słusznie, opierając się na źródłach, że etyka ewangeliczna przewyższa pod każdym względem etykę talmudyczną, czemu Żydzi, nawet bardzo oświeceni i uczeni, zaprzeczają. Jest tak w istocie, ale któż o tem nie wie, co zna Żyda, choćby tylko ze stosunków osobistych? Niema człowieka, któryby nie mógł opowiedzieć o jakiemś szachrajstwie żydowskiem, o jakiemś oszustwie, fałszywem bankructwie i t. p. sztukach „etycznych" narodu, zwącego się wybranym. Wszyscy znają Żyda, ale nie wszyscy wiedzą, że ta osobliwa „moralność" żydowska jest cuchnącem zielskiem jego duszy, wychowanej na talmudzie. Książka Niemojewskiego ułatwia nieuświadomionym dotąd „gojom" poznanie źródła odrębnej etyki żydowskiej.

Z ogromnej masy: nakazów, przepisów, rad, wskazówek wyłowił Niemojewski z talmudu przedewszystkiem te, które odnoszą się do innowierców, do t. zw. obcych, do „gojów". Powtórzył on mniej więcej to samo, co wykryli: ks. Pranajtis, ks. A. Rohling, Justus, Brafman („*Żydzi i kahały*"). Każdy nakaz, każdą wskazówkę, radę talmudu zaopatrzył nagłówkiem. Same nagłówki wystarczyły do charakterystyki jego książki. Więc: Żyd może „goja" zabić bezkarnie — Żyd może zabić bezkarnie „goja", ale goj żyda nie może — sąd nad zabójcą goja zostawia się niebu — goj, badający zakon, winien śmierci — donosiciela żydowskiego wolno zamordować — zdrajcę można sprzątnąć podstępnie — topienie ludzi dla Żydów niebezpiecznych — sprzątanie niedowiarków żydowskich — zajadłość rabinów, uczących tępienie — mordowanie zwierząt ludzkich — majętności gojów są rzeczą niczyją — dwór goja dworem żyda — nie wolno dla chwały bożej płacić gojowi należności, o której zapomniał — goja wolno okraść, byle nie zmiarkował — podmawianie

do kradzieży nie jest przestępstwem — złodziej żydowski jest czysty, gojski nieczysty — zguby gojskiej bezwarunkowo nie wolno oddawać, chyba że chodzi o poprawę opinii żydów — można spadkobiercom nieżyda długu, o którym nie wiedzą, nie oddawać — nieżyda wolno podejść — żyd zadłużony może uciekać — goja można oszukiwać — przysięganie wargami z unieważnieniem w sercu — wykręty formalistyczne przy przysięganiu — zrywanie przysiąg i ślubów przyszłych — handel żywym towarem — fałszowanie pieniędzy — przekupstwo — malwersacye celne — za zwrócenie się do sądu gojskiego grozi klątwa — żyd nie może świadczyć przeciw żydowi na rzecz goja — sędzia żydowski ma brać stronę żyda przeciw gojowi — zdrada dozwolona.

Śliczna kolekcya „etycznych" nakazów i wskazówek. Nic dziwnego, że żyd opancerzony taką „etyką" w stosunkach z innowiercami, musi ich zawsze w walce o byt pokonać! Sumienia nie ma to nieszczęsne plemię i dziwi się, że go innowiercy omijają, jak wroga.

Każdy z tych nagłówków objaśnił Niemojewski komentarzem i wzmocnił odnośną cytatą z talmudu.

Bardzo trafnie zwrócił na to uwagę, że żydzi ortodoksyjni nazywają się niesłusznie wyznawcami mojżeszowymi. Wiadomo, że Torę (Zakon) usunął talmud na drugie miejsce, że miejsce pierwsze w wierzeniach prawowiernego żyda zajęły Miszna i Gemara, napisane przez tanaimów (wykładaczów tradycyi) i amoraimów (komentatorów tego wykładu). Tanaimowie i amoraimowie (następcy faryzeuszów) byli rabinami. Religię żydowską od r. 500 po Chr. należy nazywać nie mojżeszową, lecz rabiniczną.

I słusznie dowodzi Niemojewski, że nie żydzi są twórcami uniwersalnego monoteizmu, jak się przechwalają, nazywając wszystkich innowierców bałwochwalcami. Ich Jahwe był zawsze i jest dotąd Bogiem tylko żydów, Bogiem jednego plemienia, jednego narodu, wrogiem wszystkich nieżydów. Kościół powszechny stworzyło chrześcijaństwo.

Po nici do kłębka! Idąc dalej w tym kierunku, dojdzie Niemojewski niewątpliwie do uczuć i pojęć chrześcijańskich, raczej wróci do nich. Chrześcijaninem przecież jest, aryjczykiem i Polakiem, w ideologii chrześcijańskiej i aryjskiej się urodził i wychował. Zrozumiał już przecież, że etyka chrześcijańska stoi o całe niebo wyżej od talmudycznej, że jest „postępem" w porównaniu z żydowską, zrozumiał, że t. zw. postęp nowoczesny, służący głównie kapitali-

znowi, wykoleił narody aryjskie, zepchnął je z prostej linii naturalnego rozwoju, zaszkodził jej duszy. Zrozumiał, że w nowoczesnym postępie odgrywali i odgrywają żydzi rolę pierwszorzędną, posługując się jego doktrynami do swoich celów — do opanowania gojów. A od takiego uświadomienia do powrotu do tradycyi swojego narodu, swojej rasy, wiedzie droga niedaleka.

Andrzej Niemojewski jest Polakiem, jest patryotą. Polak, patryota ocknął się, przebudził, gdy go zuchwalstwo żydowskie uderzyło obuchem w głowę. To samo stało się z Aleksandrem Świętochowskim ku wielkiej rozpaczy żydów „postępowych", oświeconych. Dwa ich główne filary zawaliły się pod nimi. Nie mają się już na kim oprzeć — zostali sami. Ich zdemaskowany postęp, ich kłamany humanitaryzm stracił kredyt, przestał działać w Warszawie.

Zaznaczam to z przyjemnością. Lat dwadzieścia kilka brałem się za bary z „postępem" żydowskim, materyalistycznym, przeciwchrześcijańskim — bez skutku. Szyld wstecznika, obskuranta, ciemnego głupca, mamuta, przyczepili mi na plecach ci sami, którzy wchodzą dziś w tory mojego „wstecznictwa". Przyjemnie pomyśleć, że się przecież nie pracowało podaremnie. Mnie „wstecznikowi", nie wierzyli oczywiście postępowcy, wierzyć nie mogli. Woleli pozwolić się obałamucać perfidyi żydowskiej. Swoim uwierzą, pójdą za nimi, wrócą do wierzeń i tradycyi polskich, aryjskich, chrześcijańskich.

Zwrot w psychologii takich Świętochowskich i Niemojewskich, świeczników postępu, ma w naszem życiu niezwykłe znaczenie, pomoże niewątpliwie do uświadomienia naszej inteligencyi.

Teodor Jeske-Choiński.

Towarzystwa naukowe i literackie w r. ub.

(Dokończenie).

Najwymowniejszym dowodem beznadziejności krańcowej prądów asymilatorskich wśród Żydów jest smutny koniec „*Kultury polskiej*", której organ oficyalnie głosił judofilstwo bez osłonek i zastrzeżeń, sama zaś ona kochała żydostwo zapamiętale, skłaniała swoich członków do pracy oświatowej wśród zaślepionych fanatyzmem wyznaniowym mas pospólstwa żydowskiego, ulegała wszystkim zachciankom filosemickim, aż wreszcie Żydzi postawili jasno kwestyę: jakiem jest właściwie stowarzyszenie? polskiem, czy żydowskiem? Stało

się to pod koniec na jednem z walnych zgromadzeń i tak niespodzianie zaskoczyło nawet tyle zacietrzewionych na punkcie sprawy żydowskiej w Polsce filosemitów, jak sędziwy M. Świętochowski, że wprost zapomnieli języka. Wobec otrzeźwienia, jakie objawiło się jednomyślnie wśród polskiej części zgromadzenia, żydzi, widząc, iż nie zdołają zawładnąć sterem tow., postanowili je zniszczyć, dokumentując, nie wiedzieć po raz już który, swoją działalność destrukcyjno-rozkładczą na ziemi polskiej, w zamian za udzieloną im gościnę tylusetletnią! W rezultacie udali się krętemi ścieżkami do władz policyjnych rosyjskich, które z radością poszły na rękę separatystom żydowskim i zarządziły rozwiązanie „*Kultury polskiej*". Żyd bowiem i Rosyanin nigdy jeszcze dotąd nie zbudował niczego dla pożytku ogółu nie-żydowskiego i nie-rosyjskiego! Nic w tem dziwnego!... bratnie bo to dusze, obie wschodniego pochodzenia: jedna mongolska, druga semicka...

* * *

Krocząc naprzód w kierunku wytkniętym przez lata ubiegłe, „*Towarzystwo krajoznawcze*" ujawniło w r. 1912 niesłabnące napięcie w swojej działalności. Wystarczy zauważyć, iż członków czynnych przybyło na liście centrali 396, w oddziałach zaś 490, razem więc liczebność Tow. wzrosła o 886 członków, tak że liczy ich ogółem 4000 z górą. Do istniejących dawniej 20 oddziałów prowincyonalnych przybyły dwa nowe: Ostrołęcki i Wieluński. Natomiast oddział Kutnowski, zalegalizowany w r. 1911, dotychczas działalności swej nie ujawnił. W Tow. prace postępowały raźno we wszystkich kierunkach.

Urządzono 10 zebrań miesięcznych, w których wzięło udział około 5000 osób. Główny ciężar pracy spoczywał w rozlicznych komisyach. I tak: komisya fotograficzna urządziła szereg wycieczek: na Kujawy i do Połągi, na Szlak Napoleoński, Inflanty polskie, Suwalszczyznę, wreszcie na Kurpie. Stąd też zbiory komisyi zwiększyły się w roku ub. w dwójnasób.

Urządzona staraniem Tow. wystawa „*Krajobraz polski*" składała się z systematycznie ułożonych zbiorów naukowych fotograficznych w liczbie tysiąca okazów z górą, oraz najcelniejszych obrazów pierwszorzędnych naszych artystów. Wystawę zwiedziło 19.981 osób.

Komisya wycieczkowa urządziła 25 wycieczek, w których wzięło udział 1039 osób. Ponadto urządzono 12 wycieczek naukowych

w samej Warszawie z 708 uczestnikami. Oddziały prowincyonalne zaś urządziły 117 wycieczek, w których uczestniczyło 2996 osób.

Biblioteka rozwijała się pomyślnie, powiększając się o 325 jednostek, tak że katalog doszedł do liczby 1872 dzieł. W r. ub. korzystało z biblioteki 115 osób, na których użytek wydano 454 tomów. Jakkolwiek ruch wzmógł się w stosunku do lat poprzednich, jednakże liczba korzystających z biblioteki jest jeszcze bardzo nizka, co przypisać należy ciasnocie lokalu, która nie pozwala na korzystanie ze zbiorów na miejscu.

Sekcya miłośników Warszawy, poza zbieraniem materyałów do wydania „*Albumu zabytków Warszawy*", objawiła żywy ruch odczytowy.

Ażeby skłonić oddziały prowincyonalne do współpracownictwa w pracach Komisyi, postanowiono organizować w nich konferencye z zakresu metodyki prac fizyograficznych. W tym również celu podjęto pracę nad uporządkowaniem i zużytkowaniem naukowem materyałów, znajdujących się w zbiorach oddziałów prowincyonalnych. Budżet komisyi wynosił w r. ub. 2000 rb., z czego wydatkowano 1908 rb. Na badania naukowe napłynęły ofiary w kwocie 425 rb.

Komisya muzealna zmagała się bezskutecznie z szczupłością lokalu. Wzrastający brak miejsca odbił się najdotkliwiej na zbiorach Tow., których większość, szczególnie w dziale etnograficznym, musiała być przechowana w pakach, co nie tylko uczyniło je niedostępnem dla zwiedzających muzeum, ale bardzo utrudniło usystematyzowanie i skatalogowanie okazów. W r. ub. wzbogaciły się znacznie zbiory przyrodnicze przez włączenie zbiorów ornitologicznych i entomologicznych z Zamoyszczyzny. W dziale ludoznawczym przybyło 176 okazów. Wypożyczalnia przeźroczy przekroczyła 8000 numerów.

Sekcya miłośników gór odbyła szereg posiedzeń z odczytami.

Komisya popularyzacyi krajoznawstwa urządziła 14 pogadanek dla najszerszych warstw społeczeństwa.

Organ Tow. „*Ziemia*" rozwijał się znakomicie zarówno w dziale literackim, jak niemniej ilustracyjnym.

Na konkursie Tow. nagrodę rb. 100 przyznano p. H. Wiercieńskiemu za *Opis powiatu piławskiego*.

Ogół dochodów wynosił 24.116 rb. (w tem wkładki członków 6.190 rb., wystawa 2242 rb., sprzedaż wydawnictw własnych 2618

rb.), wydatkowano zaś 22.858 rb. Suma to poważna, ale bynajmniej nie odpowiadająca zamierzeniom Tow

Również dobrze miały się oddziały: Miechowski, Kielecki, Jędrzejowski, Olkuski, przedewszystkiem Zagłębia.

Co się tyczy badań naukowych: zorganizowano poszukiwania archeologiczne w Siemoni pow. Będzińskiego, oraz inwentaryzowano zabytki budownictwa drzewnego. Do biblioteki przybyło 75 dzieł; do muzeum 982 n-ry; wycieczek urządzono 22. Jest to najsilniejszy ze wszystkich oddziałów *Tow. krajoznawczego*, którego rozwój postępowałby zupełnie innymi krokami, gdyby Tow. miało zapewnione bodaj wygodne pomieszczenie.

* * *

Rozwój *Towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości* przeszedł najśmielsze marzenia tych, którzy w r. 1906 zakrzątnęli się około jego organizacyi. Tow. bowiem nie tylko liczy dzisiaj przeszło 3000 członków, ale przyszło do posiadania własnego starożytnego domu na rynku staromiejskim. Rok zaś ubiegły był dla Tow. przełomowym pod kilku względami.

Przedewszystkiem Tow. przeniosło się pod własny dach, do kamienicy, kupionej za 53.000 rb. i odnowionej kosztem 30.000 rb. Skutkiem tego zostało ułatwione niepomiernie urządzenie wystaw, oraz uporządkowanie i udostępnienie dla członków zbiorów muzealnych.

Wzorem lat poprzednich Tow. udzieliło rad i pomocy przy odnawianiu i przeróbce godnych opieki domów, poczyniło kroki o zachowanie resztek obronnych murów miejskich i wystąpiło energicznie przeciwko zamachowi na piękną bramę wjazdową pałacu Brühlowskiego.

Poza Warszawą Tow. opiekowało się w dalszym ciągu powierzonemi mu przez rząd wspaniałemi ruinami zamku Czerskiego, nabyło za 223 rb. szczątki zamku w Raciążku, konserwowało znajdujące się w jego posiadaniu: wieżę aryańską w Wojciechowie i zwaliska zamku w Iłży, kierowało odnowieniem zamku w Ojcowie i zabiegały, aby nie zmarniał b. pałac biskupów krakowskich w Wolborzu. Najżywszą, z natury rzeczy samej, była działalność Tow. w zakresie konserwacyi zabytków budownictwa kościelnego, jako naliczniejszych i najcenniejszych zabytków architektury polskiej. W ciągu roku ub. otoczono opieką ogółem 46 świątyń, kierowano ich restauracyą lub

przebudową, oceniano plany przeróbek, zapobiegano niszczeniu lub oszpaceniu dzieł sztuki. Zważyć przytem należy, iż Tow. nie stoi na gruncie nieprzejednanym i zgadza się na wywołane potrzebami czasu i życia przeróbki i dobudowy, byleby tylko to, co posiada wartość artystyczną lub historyczną, pozostało nienaruszone. Cc do kościołów, Tow. doznawało pomocy władz dyecezyalnych i komitetu archeologiczno-budowlanego we Włocławku.

Po pierwszej, urządzonej w salach ratusza, wystawie pamiątek dawnej Warszawy, następną wystawę miniatur i tkanin otwarto już w domu własnym. Wystawa trwała od czerwca do października, cieszyła się dużem powodzeniem, przyniosła 5.273 rb. czystego dochodu i pozostawiła cenną pamiątkę w postaci naukowo i artystycznie opracowanego katalogu.

Ruchu odczytowego nie było, niestety! Zapoczątkowano go rzeczą p. A. Kraushara p. t. „*Życie domowe mieszczan warszawskich w ubiegłych wiekach*". A przecież tematów nie brak. Czyżby nie nęciły one młodych historyków warszawskich?!..

Zbiory Tow. powiększyły się drogą kupna sześciu dzieł sztuki czystej i stosowanej. Najcenniejszym nabytkiem, za który zapłacono 800 rb., jest ogromny widok panoramiczny Warszawy, wykonany w r. 1839 przez słynnego dekoratora Sachettego. Nadto 50 osób ofiarowało do zbiorów Tow. liczne przedmioty o wartości artystycznej lub pamiątkowej.

Zeszłoroczny bilans Tow. wykazał w dochodach i wydatkach 26.250 rb. Nieruchomości Tow. zostały oszacowane na 88.138 rb. majątek ruchomy na 9.793 rb. Długi, wywołane kupnem i odnową własnego domu, wynoszą 54.415 rb., a po przeszacowaniu nieruchomości, pokryte zostaną pożyczką Towarzystwa kredytowego m. Warszawy. Ofiary w gotówce na rzecz Tow. uczyniły w r. z. 1.659 rb. Ponadto prezes Tow. Edward hr. Krasiński ofiarował 5.000 rb. na wydawanie materyałów do historyi sztuki w Polsce, a p. J. Perłowski rb. 200 na ten sam cel. Tak więc i działalność wydawnicza rozwinie się należycie.

* * *

W *Stowarzyszeniu nauczycielstwa polskiego* trzeba przedewszystkiem stwierdzić taką samą, jak w latach poprzednich zmienność żywiołu korporacyjnego, fakt, który niewątpliwie w znacznym stopniu odbija się w każdej dziedzinie działalności Stow. Liczba bowiem człon-

ków wzrosła tylko z 413 na 434 osoby, a to skutkiem licznych wystąpień i wykreśleń za nieuiszczone wkładki.

Pomimo to, działalność naukowa odznaczała się życiem we wszystkich kierunkach. I tak: biblioteka miała dzieł 2694, t. j. powiększyła się w r. ub. o dzieł 177 i 450 tomów; czasopism otrzymywała 117. Ilość osób, korzystających z niej, wynosiła zaledwie 164, t. j. o 39 mniej, niż w r. 1911.

Rozwój poszczególnych sekcyi był prawidłowy.

Organ Stow. „*Wychowanie w domu i szkole*" uwidacznia na każdym zeszycie, ile to trudów i energii wyłożyła redakcya na stworzenie żywego organu pedagogicznego, w którym krystalizowałaby się polska myśl wychowawcza, odbijał postęp w szkolnictwie i wytwarzała placówka samokształcenia pedagogicznego, gdyż to jedno w warunkach, w jakich musi żyć Królestwo, jest dla nauczycielstwa dostępne. Trudno jeszcze obecnie myśleć o wypełnieniu pewnego planu w wydawnictwie, o zadośćuczynieniu wszystkim różnorodnym potrzebom wychowawczym. Trzeba jednakowoż zważyć, iż pismo nie może rozszerzyć ram swoich bez obawy deficytu, że musi liczyć się z wielkością prac i jednocześnie z różnorodnością treści, musząc zadośćczynić potrzebom wychowania szkolnego i domowego. Ta niewspółmierność środków i potrzeb stanowi szkopuł bardzo ważny przy prowadzeniu pisma, które już dziś, w szóstym roku swego istnienia, stało się organem wielce poważnym i użytecznym. To też jedyną troską redakcyi na przyszłość jest zapewnienie pismu szerszej podstawy materyalnej, gdyż tylko w tych warunkach będzie możliwe, nie licząc się w takiej mierze, jak obecnie, z miejscem, pomieszczać prace większe i gruntowniejsze, a tem samem podnieść wartość wydawnictwa. Jeżeli uprzytomnimy sobie ciągłe borykanie się z losem „*Przeglądu pedagogicznego*", który był poprzednikiem „*Wychowania*", jeżeli zwrócimy uwagę na trudną pracę w „Szkole polskiej" po rozbiciu w dobie zawieruchy pseudorewolucyjnej, gdy większość współpracowników odeszła od pisma, dostrzeżemy pomimo wszystko duży postęp i rozwój. Skoro zaś osiągnięto w pewnej mierze najważniejszy cel — *Stowarzyszenie N. P.* może o sobie powiedzieć śmiało, że praca jego była uczciwa i zasłużyła na najzupełniejsze uznanie, tem większe, im cięższe były warunki miejscowo-politycznej natury.

* * *

W r. ub. zainteresowanie sprawą badań naukowych nad rozwojem dziecka sprawiło, że tematy z tej dziedziny poruszane były nie tylko w *Polskiem towarzystwie badań nad dziećmi*, lecz niekiedy także w innych stowarzyszeniach naukowych warszawskich. Dość nadmienić, że *Towarzystwo wychowania przedszkolnego* urządziło cały szereg posiedzeń., poświęconych rozpatrzeniu różnych stron umysłowości dziecka. Pomimo to plan działalności *Polsk. Tow. badań nad dziećmi* wypadł bardzo obficie, — szkoda tylko, że nie uwzględniano należycie momentu religijnego w wychowaniu.

Środki finansowe stały w odwrotnym stosunku do rzeczywistego zapotrzebowania, dochody bowiem wynosiły zaledwie 529 rb., wydatki zaś 356 rb. — Biblioteka znajdowała się dopiero w zawiązku, licząc 62 dzieł.

Tow. liczyło w r. ub. 100 członków rzeczywistych i 31 wspierających w Warszawie; oddział łódzki zaś 89 członków. Można tedy stwierdzić ogólny wzrost Tow., choć zasługuje ono w zupełności na znaczniejsze zwiększenie się grona członków w samej Warszawie, owej klasycznej wylęgarni „dzieci ulicy"...

* * *

Rozwój warszawskiego *Towarzystwa prawniczego* postępuje od czasu uspokojenia się w Królestwie olbrzymimi krokami naprzód pod każdym względem. Dość powiedzieć, że zrzeszyło się w niem 475 członków ogółem, z których na samą Warszawę przypada 379.

Gros czynności, a przedewszystkiem pracy naukowej, leżało w sekcyach. Z ważniejszych czynności rady zawiadowczej wymienić należy: przyjęcie na koszt Tow., jako jego wydawnictwo, oraz uzupełnienie „*Jurysprudencyi francuskiej sądu kasacyjnego*" w opracowaniu pp. St. Frankensteina i Z. Nagórskiego przy współudziale redakcyjnym K. Lutostańskiego; utworzenie oddziałów prowincyonalnych; subwencyonowanie kwotą rb. 500 rocznie kwartalnika „*Themis polska*", oraz zapewnienie mu stałego poparcia naukowego; współdziałanie z *Tow. prawniczem* lwowskiem w sprawie ułożenia terminologii prawniczej polskiej; zorganizowanie komisyi bibliograficznej; wreszcie urządzenie publicznego posiedzenia uroczystego, poświęconego 50-leciu otwarcia wydziału prawa i administracyi w Szkole Głównej Warszawskiej.

Biblioteka liczyła 1821 dzieł, czyli powiększyła się w r. ub. o 384 dzieł w 520 tomach. Ruch czytelników wzmógł się tak, że do domu

wypożyczono 210 czasopism i 106 książek. Czasopism fachowych prenumerowano 44.

Dochody wynosiły 8399 rb., z czego wydatkowano 4027 rb.

* * *

Warszawskie stowarzyszenie lekarzy, skupiające 416 członków, spotrzebowało poważną część prac swoich na urządzenie 23 posiedzeń naukowych, — większość prelekcyi była przystępna dla szerszego ogółu inteligencyi.

Biblioteka wzrosła o 61 numerów, t. j. liczy obecnie 167 dzieł. Na bibliotekę wydatkowano 298 rb. Czytelnia otrzymywała 33 czasopism. Dochodów miało stow. 9608 rb., z których wydano 9188 rb.

Warszawskie towarzystwo hygieniczne umiejscowiło pracę naukową ściśle w poszczególnych wydziałach *hygieny miast i mieszkań*; wydział *klimatologiczno-balneologiczny, wychowawczy, szpitali i przytułków*: *przeciwalkoholiczny*.

Komitet do badania i zwalczania raka zajmował się urządzeniem pracowni do badań nad rakiem, na który to cel *Tow. naukowe warszawskie* przeznaczyło dwie sale. Ponadto ogłoszono konkurs z nagrodą 300 rb. na pracę „*O wczesnem rozpoznawaniu raka*". Wreszcie przygotowano do druku schematy do badania raka, wypełnione przez lekarzy szpitali i zakładów leczniczych w Warszawie w r. 1909. Na podstawie tych danych ogłosił dr. J. Jaworski pracę p. n. *Materyały do statystyki i etyologii raka*„ (Warszawa 1912). Miesięcznik „*Zdrowie*", redagowany przez dra Jaworskiego, zamieścił w XXVIII. roczniku na 916 stronach: 27 prac oryginalnych. Ponadto w każdym zeszycie były inne rubryki, jak n. p. spraw bieżących, ruchu i potrzeb hygieny krajowej, recenzyi i wiadomości bieżących. Osobnych tablic i rysunków w tekście nie poskąpiono czasopismu.

I jakkolwiek Tow. liczyło w r. ub. 312 członków rzeczywistych i 97 zwyczajnych, przecież zamknęło rachunki stosunkowo małą pozycyą strat 222 rb. wobec 20235 rb., wykazanych w wydatkach. Dość powiedzieć, że do miesięcznika „*Zdrowie*" dołożono 516 rb., chociaż pismo to redagowane jest znakomicie i powinno stanowić lekturę każdego dbałego o hygienę życiową inteligenta.

Oddziały prowincyonalne Tow. nie tylko działają sprawnie, lecz rozwijają się stale, a w swoich poczynaniach znamionują postęp w różnych dziedzinach hygieny. We wszystkich widnieje ruch i życie, nie zbywa na inicyatywie, a co ważniejsza na gotowości do pracy,

do ofiar, nawet materyalnych. W wielu oddziałach odbywają się częste odczyty, konferencye, wystawy, zjazdy hygieniczne. Około oddziałów skupiają się najdzielniejsze jednostki z inteligencyi miejscowej, zdolne innych do pracy pociągnąć i społem ją organizować. Jednym z przykładów takiej celowo przeprowadzonej akcyi zbiorowej jest pobudowanie i otwarcie kąpieli ludowych w Kaliszu i Łowiczu.

Polskie Towarzystwo okulistyczne wykazuje stały rozwój, dzięki energii prezesa dra Ziemińskiego. Pomimo skromnej ilości członków, których miało 43, odbyło w ciągu r. ub. szereg posiedzeń z 11 odczytami i 31 pokazami dyskusyjnymi. Biblioteka liczyła 130 tomów i otrzymywała 12 czasopism fachowych. Wpływy kasowe wynosiły 300 rb., z których wydatkowano 183 rb.

Najstarsze z pomiędzy wszystkich zrzeszeń medycznych *Towarzystwo lekarskie warszawskie* liczyło 407 członków. I pomimo majątku, wynoszącego 553.000 rb., gospodarzyło skromnie, w dochodach bowiem i wydatkach nie przekroczyło sumy stosunkowo drobnej, bo tylko 8361 rb. Dobrobyt materyalny pozwolił na hojne popieranie badań samodzielnych w zakresie wszech nauk lekarskich, z któremi u nas, w dziale naukowym niezbyt musi być tęgo, skoro na konkurs im. W. Koczorowskiego, ogłoszony przez *T. L. W.*, nie nadesłano ani jednej pracy! Nagrodę konkursową im. Pląskowskiego przyznano drowi T. Simchowiczowi p. n. „*Badania nad anatomią patalogiczną stępienia starczego*“ w kwocie 185 rubi; nagrodę za najlepszy odczyt, wygłoszony w r. 1911 w *T. L. W.* przyznano dr. Z. Dmochowskiemu za „*Nową teoryę powstawania nowotworów*“; nagrodę zaś z zapisu dra Sokołowskiego przyznano dr. T. Borzęckiemu za odczyt „*O zastosowaniu odmy piersiowej w leczeniu gruźlicy płuc*“; wreszcie z zapisu J. Chwiećkowskiego udzielono ogółem 2500 rb. zapomóg na wydawnictwa dziełek popularnych.

Biblioteka liczyła 30528 dzieł. Mimo to ruch czytelniany był w niej słaby, skoro wypożyczono tylko 356 tomów. Na miejscu natomiast korzystało z czytelni 1192 osób.

„*Pamiętnik*“ Tow. pomieścił w r. ub. dwie prace oryginalne oraz przegląd piśmiennictwa w objętości blizko 30 arkuszy druku. Wydawnictwo to musi uciekać się rok rocznie do pomocy Kasy im. Mianowskiego, nie posiadając ani grosza funduszu stałego. Stąd też wyłonił się racyonalny projekt pobierania od członków Tow. skromnej opłaty w wysokości pół rubla od zeszytu.

Pracownia Tow. posiada 1222 przedmiotów. Na podstawie badań

w niej przedsięwziętych, ogłoszono drukiem dwie rozprawy, przygotowano zaś do ogłoszenia cztery. Ponadto przeprowadzono w niej cały szereg badań dorywczych.

Najsilniejszem liczebnie było *Stowarzyszenie techników*, które skupiło w sobie 1649 członków, t. j. o 25 więcej, niż w r. 1911., w dochodach zaś wykazało 64411 rb., z których wydatkowało rb. 61718., rozporządzało wreszcie majątkiem 64285 rb.

Ogólna suma subwencyi, wypłaconych w r. ub. przez *Stowarzyszenie*, dosięgła 2649 rb., z czego udzielono: rb. 200 Komitetowi wystawy architektury i wnętrz w otoczeniu ogrodowem, rb. 330 na wydawnictwa zjazdu techników, rb. 100 na druk dzieła p. t. „*Hygiena miast*", rb. 300 na wydawnictwo „*Przeglądu technicznego*, a rb. 1500 szkole im. Staszica.

Ciężar działalności naukowej spoczywał na poszczególnych wydziałach. *Komitet wydawniczy* przystąpił do druku części 2-giej „*Mechaniki teoretycznej*" p. H. Czopowskiego, oraz doprowadził do skutku powstanie *Technicznego tow. wydawniczego.*

Komitet funduszu im. prof. H. Jewniewicza wydał „*Zasady termodynamiki* p. St. Patschkego kosztem 508 rubli. Biblioteka powiększyła się o 176 dzieł tak, że liczy obecnie 2619 dzieł. Czytelnia rozporządzała 81 czasopismami bieżącemi. Do domu wypożyczono 171 osobom 459 książek. — Wreszcie wydawnictwo „*Przemysł i handel Królestwa Polskiego*" wyszło znacznie rozszerzone i opatrzone wykazami porównawczymi w układzie p. Z. Pietkiewicza. Wydanie rosyjskie p. n. „*Przemysł wzorowy K. P.*" w liczbie 5000 egzemplarzy zostało rozesłane bezpłatnie firmom handlowym i instytucyom rządowym w Rosyi.

Istniejące przy *Stowarzyszeniu — Koło byłych wychowańców politechniki warszawskiej*, liczyło 94 członków. Z prac jego zanotować należy utworzenie komitetu do zbierania materyałów w celu wydania monografii historycznej Politechniki warszawskiej.

Koło wychowańców politechniki lwowskiej, założone w r. ub., zorganizowało dwie wycieczki i odczyty p. J. Augustowskiego „*O rozwoju politechniki lwowskiej w ostatniem dziesięcioleciu*", St. Jaxa Kwiatkowskiego „*O zasadach chłodzenia w nowoczesnej technice*".

Wszyscy wreszcie członkowie *Stow. techników* otrzymywali bezpłatnie subwencyonowany przez stow. „*Przegląd techniczny*".

* * *

Rozwój **prowincyonalnych** zrzeszeń lekarskich w Królestwie Polskiem[1]) jest obecnie pod każdym względem bardzo widoczny. Po chwilowej stagnacyi, będącej wypływem wrzenia anarchicznego tłumów nawpół uświadomionych, nastąpiła reakcya do rozjarzenia przygasłych ognisk naukowych, wśród których medycyna zajmuje pierwsze miejsce z powodów, nie potrzebujących bliższego wyjaśnienia.

Litwa i Ruś.

Wilno. Z chwilą objęcia sekretaryatu przez znanego badacza rzeczy litewskich p. Jana Obsta, byt *Towarzystwa przyjaciół nauk* wileńskiego, polepszył się widocznie pod każdym względem. Dzięki usilnym jego zabiegom społeczeństwo polskie na Litwie zrozumiało, jak niezbędną instytucyą dla całego kraju jest stowarzyszenie naukowe. To też przedewszystkiem zasilało licznemi ofiarami kapitał budowy domu *T. P. N.*, skutkiem czego zostało umożliwione dalsze prowadzenie robót około budowy gmachu, przeznaczonego na siedzibę Tow. Wkładki członkowskie w r. ub. napływały również obficiej. Jedynie działalność wydawnicza Tow. wskutek zaabsorbowania zarządu sprawami, związanemi z budową domu, uległa przerwie i nawet zapowiedziany na r. ub. „*Inwentarz archeologiczny gubernii kowieńskiej*“ nie ukazał się jeszcze w druku. „*Rocznik*“ Tow. również nie wyszedł w czasie właściwym i ma ukazać się w drugiej połowie b. r. w objętości zwiększonej. — Na posiedzeniach miesięcznych przedstawiono szereg komunikatów z zakresu prac naukowych poszczególnych członków.

Ogółem liczyło Tow. 446 członków, z których 190 zamieszkiwało w Wilnie. Cyfra to wiele mówiąca — wobec braku na Litwie polskiego ogniska pracy naukowej uniwersyteckiej !

Inwentaryzacya zbiorów postępowała — niestety! — bardzo wolno, z przybytku bowiem dzieł w 25148 tomach, pozostało do skatalogowania aż 13246 dzieł w 21644 tomach. Na rzecz tworzącego się archiwum T-wa złożyło w r. ub. 22 ofiarodawców 42 fascykuły i dokumenty osobne, z pośród których wyróżniają się dwa tomy kopii dokumentów z XIV, XV i XVI wieku, pochodzące z archiwum królewieckiego (własność niegdyś Teodora Narbutta).

Ogół dochodów zamknięto cyfrą 13238 rb., z których wydatkowano 8651 rb. Gospodarowano tedy nie tylko ostrożnie, ale wprost

[1]) Za łaskawą informacyę w sprawie stowarzyszeń lekarskich raczy prof. Dr. St. Ciechanowski przyjąć serdeczne dzięki.

wzorowo. Okoliczność ta raczy przypuścić, że z chwilą przeniesienia się Tow. pod dach własny, działalność jego naukowa rozwinie się samorzutnie i, da Bóg, przypomni czasy chlubne Śniadeckich. Gmach własny T-wa zaświadczy po raz, nie wiem który, że podczas gdy „bracia" niszczyć tylko umieli wszystko, co wzniosłe i piękne, my, Polacy, z popiołów i zgliszcz, ich ręką dokonanych, odradzaliśmy się ku pracy twórczej, jak legendarny Feniks...

Towarzystwo lekarskie wileńskie rozwijało się, wziąwszy pod uwagę trudne warunki miasta, pozbawionego wyższej uczelni, wcale pomyślnie. W r. ub. odbyło 9 posiedzeń zwyczajnych. Odczytów wygłoszono 10; pokazów było 4. Na początku 1912 r. Tow. liczyło ogółem 231 członków.

* * *

Kijów. Charakterystycznym jest objawem, że wszędzie, gdzie żywioł polski znajdował się w mniejszości znikomej, jedynie lekarze wykazali zdolność zrzeszenia się w jedno ciało. Fakt ten widzimy nie tylko w Kijowie, ale też w Petersburgu lub Ameryce północnej. To też *Polskie towarzystwo lekarskie*[1]) było jedynem polskiem zrzeszeniem naukowem na Rusi, *Ogniwa* bowiem niema co brać w rachubę, jako że było ono od początku swego istnienia klubem wyłącznie towarzyskim.

Otóż w r. ub. miało *P. T. L.* członków 74 zwyczajnych, posiedzeń zaś naukowych odbyło ośm.

Dr. Stanisław Zdziarski.

W sprawie artykułu o edykcie medyolańskim.

Przewielebny Księże Redaktorze!

X. Arkadyusz Lisiecki w pracy swej p. t.: „*Konstantyn Wielki*" Poznań 1913, uznał za stosowne w przypisku na str. 82 zarzucić mi, że w mym artykule, ogłoszonym w zeszycie lipcowym 1913 „*Przeglądu powszechnego*" p. t.: „*Edykt medyolański*", użyłem niewłaściwie tego tytułu zamiast tytułu: „*Reskrypt medyolański*", tudzież, że praca moja nie uwzględnia wcale nowszej literatury przedmiotu. Tak ze względu na moje stanowisko naukowe, jak i ze względu na

[1]) Za łaskawe udzielenie mi powyższych dat raczy przyjąć podziękowanie Dr St Trzebiński w Kijowie.

znaczenie ,pisma, w którem ów artykuł ogłosiłem, nie mogę pozostawić zarzutów tych bez odpowiedzi.

Tytułu „*Edykt medyolański*“ użyłem nietylko dlatego, że jestto nazwa na oznaczenie tego aktu powszechnie przyjęta, że jej literatura naukowa aż do połowy r. 1913 stale używa, lecz również z tego powodu, że ona mojem zdaniem odpowiada rzeczywistości. W artykule moim zresztą odróżniłem dokładnie reskrypt od edyktu i pisałem o reskrypcie Liciniusza, nie wykluczając edyktu w Medyolanie. Te zaś nowsze badania, na które X. Lisiecki się powołuje, nie mogą zmienić mego przekonania. Wychodzą one z założenia, że tekst podany przez Euzebiusza jest właśnie tekstem aktu medyolańskiego, a więc, że on we formie reskryptu był ogłoszonym; tymczasem to główne założenie tego wniosku nie jest w nauce wcale dowiedzionem. Z podobną hypotezą, czego X. Lisiecki także w swej pracy nie zaznaczył, wystąpił badacz prawosławny Sesan w pracy: „*Kirche und Staat im römisch-byzantinischen Reiche seit Konstantin dem Grossen und bis zum Falle Konstantinopels*“, T. I, Czerniowce 1911, lecz ten właśnie rozdział jego pracy spotkał się w krytyce naukowej albo z ujemną oceną, albo został zupełnie przemilczany, czego również X. Lisiecki nie uwzględnił. I mnie nasunął on poważne wątpliwości, ponieważ jednak w moim artykule na polemikę miejsca nie było, przeto pozostawiłem sprawę tę na uboczu, zająwszy stanowisko nauki dotychczasowej, które i owa bardzo poważna krytyka podzielała. Swoją drogą zaznaczyłem ogólnie rozbieżność zdań, wraz z mojem zapatrywaniem, wyrażając się: „Jeżeli o formę i chwilę ogłoszenia postanowień medyolańskich możnaby się spierać, to treść ich natomiast nie ulega żadnej wątpliwości“. O tę treść zaś w mym artykule tylko chodziło, stanowiska zaś w nim zajętego nie mogę i dziś zmienić pomimo, iż następnie hypoteza wspomniana wraz z dodatkiem pomysłu o „*Reskrypcie medyolańskim*“ została powtórzoną w pracy Wittiga: „*Das Toleranzreskript von Mailand* 313“, która była źródłem oryentacyi X. Lisieckiego w tej sprawie. Nikt mi bowiem dotąd nie dał odpowiedzi na pytanie, dlaczegoby właśnie Konstantyn i Liciniusz, wydając w Medyolanie owe niesłychanie doniosłe postanowienia, porzucić mieli formę cesarskiego edyktu, która w podobnych postanowieniach tolerancyjnych Galeryusza 311 i później Maksymina z r. 313 była zachowaną, nikt też mię dotąd nie przekonał, aby tekst łaciński Laktancyusza był bardziej oddalonym od oryginalnego łacińskiego tekstu aktu medyolańskiego, aniżeli tłu-

maczenie greckie Euzebiusza. W każdym razie jednak o tej pracy Wittiga ze względu na ów pomysł „*reskryptu*“ byłbym w artykule mym wspomniał, nie mogłem jednak tego uczynić dla bardzo prostej przyczyny. Praca ta została ogłoszoną w zbiorowej publikacyi Dölgera p. t.: „*Konstantin der Grosse und seine Zeit, Festgabe zum Konstantins Jubiläum* 1913 etc.“, Freiburg in Br. 1913, lecz ukazanie się tej książki zanotowały pisma bibliograficzne dopiero w drugiej połowie czerwca lub w początku lipca 1913, mogłem więc o niej powziąć wiadomość co najwcześniej wtedy, kiedy artykuł mój dla lipcowego zeszytu „*Przeglądu*“ był już wydrukowany. Każdy, piszący w roku jubileuszowym o Konstantynie W., mógł być już z góry przygotowanym, że równocześnie z jego pracą piszą się lub drukują inne podobne prace, więc oglądać się na nie było niemożliwem, tem mniej wstrzymywać się z publikacyą własnej pracy. A co do owej publikacyi Dölgera stwierdzić z pewnem zadośćuczynieniem muszę, że z wyjątkiem pracy Wittiga, z której nie mógłbym był skorzystać, inne prace tam ogłoszone nietylko nie zmieniłyby mego sądu o edykcie i Konstantynie, lecz byłyby go owszem poparły. Myślę, że X. Lisiecki, występując z zarzutami przeciwko komuś, nie od dziś naukowo pracującemu, powinien był na to wszystko zwrócić uwagę. Że w mym artykule zresztą, który miał na celu jedynie skreślenie ogólnego poglądu na znaczenie owej wielkiej chwili dziejowej w r. 313 nie powoływałem wcale obszernej bibliografii przedmiotu, lecz ograniczyłem się tylko na kilka najkonieczniejszych cytatów, jest chyba rzeczą zupełnie zrozumiałą. W cytatach tych powołałem w ogóle tylko siedm prac, lecz wśród nich jedną z r. 1900 i trzy inne z lat 1910, 1912 i 1913, między niemi zaś także pracę Schwartza: „*Kaiser Constantin und die christliche Kirche* 1913“, która była nietylko najnowszą o tym przedmiocie, lecz także bezsprzecznie o najnowszy stan nauki opartą. Jak więc wobec tego mógł X. Lisiecki z całą świadomością sformułować zarzut, że wcale nowszej literatury przedmiotu nie uwzględniłem, pozostanie dla mnie zagadką.

Prof. Dr. Władysław Abraham.

Druk ukończono dnia 9-go kwietnia 1914.

W sprawie nauki historyi
w naszych szkołach średnich.

Od wydania nowych planów naukowych w r. 1909 w naszych szkołach średnich minęło lat kilka. Zdobyliśmy więc pewną perspektywę doświadczenia, aby zbadać i ocenić nowe plany, o ile okazały się korzystnymi, względnie szkodliwymi dla rozwoju naszego szkolnictwa średniego i młodzieży, naszej pieczy poruczonej.

W niniejszym artykule zamierzam poddać analizie krytycznej plany naukowe i podręczniki szkolne dla nauki historyi z ostatnich 5 lat, zwłaszcza w niższych klasach szkół średnich. Mając za sobą 27-letnią praktykę dydaktyczną, jako nauczyciel, a 11 lat, jako autor szkolnych podręczników historycznych, wreszcie 10 lat, jako dyrektor gimnazyum, kontrolujący z urzędu naukę w całym zakładzie, a z predylekcyą naukę własnego fachu, mniemam mieć dostateczne uprawnienie do zabrania głosu w tej sprawie, zwłaszcza gdy przyszedłem do przekonania, że nauka historyi zarówno co do planów, jak i podręczników na wielu punktach szwankuje i domaga się w interesie naszego szkolnictwa i naszej polskiej młodzieży zmian pod niejednym względem zasadniczych.

Zmiany, jakich nasze nowe plany dokonały, są następujące: W I kl. przybyły dwie godziny historyi ojczystej. W III kl. zamiast półtorej godziny zaprowadzono 2 godziny tygodniowo historyi nie powszechnej, lecz austryackiej w średnich wiekach

i nowożytnych. W IV kl. w 2 godzinach zaprowadzono wyższy, bo pragmatyczny stopień nauki, a mianowicie historyę starożytną do wojen punickich. W III i IV kl. usunięto historyę kraju rodzinnego jako przedmiot nadobowiązkowy. W wyższych klasach zresztą plany naukowe nie uległy większym zmianom z wyjątkiem obowiązkowej obecnie nauki historyi kraju ojczystego w VII kl.

Jeżeli się teraz zapytamy, o ile te zmiany w planie naukowym okazały się korzystne lub niekorzystne, tedy na to odpowiedzieć należy, że korzystnem było przedewszystkiem pomnożenie nauki historyi w I i III kl., korzystnem było wprowadzenie nauki historyi do I kl., dla naszych uczuć narodowych satysfakcyą jest wyniesienie wreszcie t. z. dotąd historyi kraju rodzinnego do godności przedmiotu obowiązkowego.

Niejednemu mogło się wydawać, że rozpoczęcie nauki historyi pragmatycznej wyższego stopnia już w kl. IV jest pogłębieniem nauki historyi i wyraźnym zyskiem na konto nowych planów.

Niestety ten rzekomy zysk w kołach fachowych historyków od początku reformy budził poważne wątpliwości, a dziś po kilkoletniem doświadczeniu na całej linii jako poważne manko nowych planów się okazuje. Zaprowadzenie bowiem nauki pragmatycznej już w niższem gimnazyum nadwątliło w naszej szkole średniej zasadę dwustopniowości, która dotąd dzieliła nasze gimnazya na wyższy i niższy stopień, każdy ze zaokrąglonym dla siebie materyałem naukowym. Ponieważ znaczna część uczniów po ukończeniu IV kl. opuszcza szkołę średnią, wynosiła więc przed reformą całokształt dziejów powszechnych wprawdzie o niższym stopniu nauki, ale bądźcobądź zaokrągloną całość. Dzisiaj niestety wynosi tylko fragmenta, bo historyę powszechną, ograniczoną jakościowo do dziejów austryackich, a czasowo do 2 lat, skoro stopień niższy nauki obejmuje dzieje starożytne w II kl. i zredukowane do dziejów austryackich dzieje średniowieczne i nowożytne w III kl. Zyskuje wprawdzie uczeń fragment historyi starożytnej do wojen punickich, ale ten fragment dziejów starożytnych opuszczającym

gimnazyum nie na wiele się przyda. Tym czteroklasistom, poświęcającym się z reguły praktycznym zawodom, nie starożytna, lecz nowożytna historya jest potrzebna do życia obywatelskiego. O tyle więc nowe plany oddaliły się od potrzeb praktycznego życia.

Nie na tem koniec jednak. Nasuwa się bowiem pytanie, czy zniesienie dwustopniowości w nauce historyi powszechnej jest uzasadnione? Stwierdzić muszę, że w żadnym ucywilizowanym kraju w Europie zasady dwustopniowości nie naruszono, że się ją uważa za psychicznie i fizyologicznie uzasadnioną, podyktowaną rozwojem ucznia, przechodzącego około 14 roku z chłopięcych do młodzieńczych lat. Wszędzie stopień niższy nauki uważa się za nieodzowny fundament dla stopnia wyższego. „Pełne zakłady średnie", twierdzi O. Jäger,[1]) najgłośniejszy dydaktyk historyi w Niemczech, reformator podręczników historycznych nietylko w Niemczech, ale i w Austryi, „mają wędrówkę przez całą dziedzinę dziejową dwukrotnie do zrobienia, raz z chłopcami, drugi raz zmodyfikowaną odpowiednio z młodzieńcami. Wypływa to, jakeśmy widzieli, bezpośrednio z istoty tych zakładów, które swych wychowanków od lat dziecięcych aż do lat młodzieńczych po kresy niemal wieku męskiego zatrzymują. W tem są zgodne, o ile wiemy, plany naukowe rozmaitych państw. Zasada podwójnego lub potrójnego czytania jest wszędzie dobra: w prawodawstwie i w życiu parlamentarnem zarówno, jak przy prywatnej lekturze dobrych książek. Rozumny człowiek zachowuje ją przez całe życie". Jeżeli bowiem zadaniem nauki stopnia niższego jest podanie zrębu najważniejszych faktów i stosunków dziejowych w barwnem przedstawieniu, tedy stopnia wyższego zadaniem znowu jest uzasadnienie pragmatyczne tych faktów, naturalnie rozszerzonych i w całokształt ujętych. Dziś dzięki reformie u nas fundament niższego stopnia jest ograniczony do dziejów austryackich. Szereg najważniejszych momentów dziejowych, niemających styczności z historyą austryacką, dla uczni niższego gimnazyum pozostaje obcym i w wyższem gimnazyum staje się balastem pamięcio-

[1]) O. Jäger: *Didaktik und Methodik des Geschichtsunterichts* 15/16.

wym w tej chwili, gdy uwaga uczniów skierowana ma być na pragmatyczne kojarzenie wypadków i uogólnianie masy szczegółów w abstrakcyjne poglądy. Czy tedy oktrojowanie wypadków powszechno-dziejowych do ram austryackich jest zyskiem dla nauki historyi, wątpić należy.

Dalej trudno jest dydaktycznie uzasadnić innowacyę, że uczniowie nasi w ciągu trzech lat od II do IV klasy dwa razy zajmować się muszą historyą starożytną, raz w sposób elementarny, drugi raz w sposób pragmatyczny. Zdegradowanie historyi starożytnej wyłącznie do gimnazyum niższego, jest równoznaczne z jej deklasyfikacyą.

Czy taka deklasyfikacya atoli zwłaszcza w humanistycznych zakładach jest pożądana, tem bardziej wątpić należy, o ile właśnie lektura klasycznych autorów historycznych w 4-ej i 5-ej klasie najbardziej się przyczynia do pogłębienia zmysłu historycznego, jeżeli równolegle z nią odbywa się nauka historyi starożytnej i umiejętnie wyzyskuje lekturę Cezara, Liwiusza i Ksenofonta. Dlatego też słusznie domagały się dawniej instrukcye, by, o ile możności, naukę historyi starożytnej w V-ej klasie łączono z nauką łaciny zwłaszcza w jednem ręku.

Że filologia jest matką umiejętności historycznej, o tem zakłady humanistyczne nigdy nie powinny zapominać. Ich wartość polega właśnie na tem, że przez poznawanie przeszłości u samych źródeł i przez wszechstronne wyzyskanie źródeł wyrabiają, jak żadna inna szkoła, zmysł historyczny. To jest właśnie i było przez całe wieki główną zaletą i przywilejem humanistycznych zakładów, to stanowi właśnie ich wyższość dydaktyczno-wychowawczą nad innemi szkołami. Nad tem niestety przechodzą nasi galicyjscy reformatorzy bez skrupułu do porządku dziennego.

W żadnym innym ucywilizowanym kraju, zwłaszcza najbardziej posuniętych w kulturze umysłowej krajach germańsko-protestanckich, nie pozwolono sobie na podobny eksperyment, aczkolwiek tam historya ojczysta również na pierwszy plan jest wysunięta, aczkolwiek kraje te obfitują w liczne doświa-

dczalnie pedagogiczne, w znakomite pedagogia i seminarya, tysiące średnich zakładów naukowych, olbrzymi warsztat dydaktyczno-naukowy i rozległą niesłychanie literaturę naukową. Na eksperyment ten zdobyła się jedynie Galicya, jedyna ze wszystkich krajów austryackich, aczkolwiek ani pedagogiów ani seminaryów dydaktycznych, ani wielkiego warsztatu doświadczalnego nie posiada, bez jakiejkolwiek ankiety rzeczoznawców, bez zapytania się kogokolwiek z historyków-pedagogów.

Za to jednak zyskaliśmy obowiązkową historyę ojczystą w naszej szkole średniej zarówno w I, jak i w VII kl. Z pewnością wielki to zysk i za ten zysk autorom zreformowanych planów szczera wdzięczność się należy, gdyby nie pewne „ale" i to bardzo poważne „ale" w niższem gimnazyum. Zyskaliśmy historyę ojczystą w I kl. Jest to dydaktycznie bardzo uzasadniona, a wreszcie Europy przyjęta maksyma, że naukę historyi rozpoczynać się winno od dziejów ojczystych. Nie należy wszakże zapominać, że w I klasie mamy do czynienia tylko z dziećmi 10-letniemi, które dopiero wprowadzać i zachęcać do nauki historyi można, że zatem o poważnej wyczerpującej nauce historyi tutaj mowy być nie może. W I kl. można co najwyżej podawać uczniom podania, historyjki z dziejów ojczystych w sposób opowiastkowy, nie zaś systematyczny, a taki sposób nauczania, chociaż obowiązkowy, absolutnie zastąpić nie może nawet nadobowiązkowej historyi kraju rodzinnego w III i IV kl., jak to dawniej bywało. Dzięki nowej reformie dziś uczeń do wyższego gimnazyum przychodzi właściwie bez znajomości historyi polskiej, bez tego przygotowania historycznego musi rozpoczynać naukę literatury polskiej polonista. Czy to na korzyść naszej młodzieży wychodzi, najlepiej stwierdzą liczne i uzasadnione skargi nauczycieli języka polskiego, którzy poprostu są w rozpaczy, gdy przy nauce literatury polskiej napotykają u uczniów na każdym niemal kroku na przeraźliwe braki wiadomości z historyi ojczystej. Z I kl. nie mogło wiele przechować się w głowach uczniów, a w III kl. historyę naszej Monarchii niektórzy autorowie podręczników, dla tej klasy

przeznaczonych, tak po austryacku pojęli, że dla historyi polskiej z wyjątkiem czasów najnowszych miejsca po prostu nie stało. Nowa zatem reforma planów spowodowała obniżenie pierwiastku narodowego w nauce historyi i to jako najdotkliwszy i najfatalniejszy błąd tej reformy z całym naciskiem wytknąć należy.

Za to uzyskaliśmy zamiast dziejów powszechnych dzieje Monarchii austryacko-węgierskiej, jedyny kraj w całej Monarchii. Nawet Dolna i Górna Austrya nie jest tak lojalnie austryacką w nauce historyi niższego gimnazyum, jak nasza Galicya dzięki nowym planom. *Cui bono*, zapytaćby się należało? Czy aby przywiązanie do Monarchii spotęgować w naszych uczniach? Ależ to samo można daleko lepiej osiągnąć i w historyi powszechnej w myśl postulatów najnowszej dydaktyki, wysuwając na pierwszy plan wypadki z dziejów państwa, do którego należymy. Jeżeli zaś te wypadki z dziejów naszej Monarchii z naciskiem w ciągu 2 lat w średniowiecznej i nowożytnej historyi uwzględnimy, tedy na tle powszechno-dziejowem historya naszej Monarchii dydaktycznie daleko więcej będzie uzasadniona i lepiej zrozumiana przez uczniów niż w tej do ram ściśle austryackich ograniczonej formie z krzykliwą etykietą austryacką, budzącą bez potrzeby niechęć wśród naszych patryotycznie na wskróś usposobionych uczniów. Ani więc dydaktycznie wskazana, ani też politycznie mądra nie była ta zamiana historyi powszechnej na historyę Monarchii austryacko-węgierskiej. Nie pod dyktandem też dydaktycznych względów przyszła ona do skutku, dowodem tego otwarte i publiczne oświadczenie prof. W. Zakrzewskiego na ankiecie historyków, zwołanej przed 2 laty, że zmiany planów naukowych dokonano bez wiedzy i zgody fachowych historyków. Ponieważ ze strony urzędowej nie zaprzeczono temu oświadczeniu, faktem stwierdzonym jest, że nowa reforma historyi nie jest dziecięciem prawowitem dydaktyki lub pedagogii, lecz nieprawym potomkiem tej samej polityki,[1]) która nas poprzednio takiemi

[1]) Reformę zawdzięczamy głównie arbitralności Eks. Bobrzyńskiego, który nad takiemi drobnostkami, jak opinia fachowa, jak doświadczenie pedagogiczne, nieraz przechodził do porządku dziennego.

cudactwami obdarzała, jak nadobowiązkową nauką t. z. historyi kraju rodzinnego. Wobec tego uważam w dobrze zrozumiałym interesie naszego szkolnictwa i młodzieży za nieodzowne następujące postulata:

1. Należy wrócić do dawnej dwustopniowości w nauce historyi.
2. W III kl. należy przy zachowaniu ilości godzin 2. przerobić średniowieczne czasy historyi powszechnej do pokoju westfalskiego, w IV kl. historyę nowożytną do ostatnich czasów.
3. Historya powszechna w III i IV kl. winna być przerabiana ze szczególniejszem uwzględnieniem historyi polskiej i naturalnie naszej Monarchii.

Wadliwości planów naukowych spotęgowały braki i usterki w nowych podręcznikach szkolnych. Braki te i usterki najlepiej się i najwyraźniej uwydatnią na tle porównawczem planów, zasad dydaktycznych i podręczników europejskich. — W pierwszym rzędzie uwzględniam w niniejszym referacie kraje niemiecko-skandynawskie, gdyż tam poziom nauki stoi bezprzecznie najwyżej.

W krajach niemiecko-skandynawskich mamy wobec 9 lat nauki w gimnazyach 3 stopnie nauki historyi, dla dzieci dla chłopców i młodzieńców. I stopień przygotowawczy dla uczniów 2 klas pierwszych w wieku 9—10 lat. II stopień niższy dla uczniów klas III—VI w wieku od 11—15, i wreszcie stopień wyższy dla uczniów VII—IX kl. w wieku 16—18 lat.

Na stopniu przygotowawczym wobec dzieci 9 i 10 letnich nauka historyi musi mieć specyalny charakter. Wszak chłopcy w tym wieku dziwny czują pociąg do opowiadań o czynach bohaterskich, o nadzwyczajnych wypadkach; ich wyobraźnia jest taka żywa, pamięć tak świeża, iż pozbawienie ich nauki historyi czy biblijnej czy świeckiej poczytać poprostu należy za krzywdę wieku temu wyrządzoną. Z drugiej strony jednak malcy ci z reguły nie posiadają żadnego pojęcia o terminologii historycznej, n. p. władza, potęga, państwo i t. d., nieprzy-

stępni są do zrozumienia wewnętrznego związku wydarzeń, a nawet chronologiczne następstwo faktów tylko w ogólnych ramach może być w tym wieku zastosowane. Na tym stopniu nie może być mowy o historyi, tylko o powiastkach historycznych. Nie tyle tam chodzi o to, by przyswoić historyczne wiadomości uczniom, ile raczej zaspokoić ich ciekawość do wiedzy historycznej, odpowiednią karmią duchową. Przedewszystkiem należy chłopców powoli przygotować do pojmowania historycznych osobistości jako całości. Na pierwszy plan na tym stopniu występuje rozwój wypadków, który dziecięcy umysł najbardziej interesuje; nie należy jednak pominąć zupełnie tła tych wypadków t. j. opisu stosunków każdorazowych. Natura chłopięca lgnie do bohaterskich porywów, lubuje się w odważnych szlachetnych czynach. Do zaspokojenia tego upodobania nadają się najbardziej podania bohaterskie. Ponieważ jednak podania wyłącznie nie nadawają się, jak to słusznie podnosi wspomniany Oskar Jäger, jako przedmiot nauki historyi, dlatego, że to sprzeciwia się nauce historyi, należy je przeplatać obrazkami z dziejów ojczystych. Wobec tego plany naukowe niemiecko-skandynawskie polecają do pierwszej klasy życiorysy z dziejów ojczystych, a dla drugiej opowiadania z podań świata starożytnego i najdawniejszych dziejów grecko-rzymskich do Solona i Pyrrusa włącznie. Ponieważ odpowiednie ustępy historyczne umieszczone są w wypisach z języka ojczystego odnośnych klas, przeto w gimnazyach pruskich nie używa się z reguły żadnych podręczników, a główny nacisk kładzie się na żywe opowiadanie nauczyciela i natychmiastowe wypytanie uczniów.[1]) Mimo to podręczników do tego stopnia nauki jest tam spora ilość.[2]) Znakomity i idealny jest wprost podręcznik Löwa, nauczyciela kungsholmeńskiej szkoły średniej w Sztockholmie, zawierający sagi skandynawskie dla pierwszej klasy

[1]) O. Jäger: *Didaktik u. Methodik.* 9.

[2]) Polack: *Das erste Geschichtsbuch*; Greve: *Leitfaden für den Geschichtsunterricht in den unteren Klassen*; Max Hübner: *Hilfsbuch für den U. in der vaterländischen Geschichte, Ausgabe A.*; Andrä: *G. Erzählungen für Sexta und Quinta höherer Lehranstalten*; Schillmann: *Vorschule der G.*

i opowiadania grecko-rzymskie dla II kl. w ekscerptach źródłowych n. p. z Liwiusza, Diodora, Herodota i t. d., i t. d.[1])

U nas pierwsze opowiadania z dziejów ojczystych mimo wielu niezaprzeczonych zalet nie liczyły się z przygotowawczym charakterem nauki historycznej, za wiele podawały materyału opisowego i to pod wieloma względami podejrzanej wartości; jeśli chodzi n. p. o stosunki religijne u Słowian. Usiłowały dalej podać całą historyę ojczystą zewnętrzną i wewnętrzną, nie licząc się z tem, że podręcznik przeznaczony jest dla uczniów I, a nie III lub IV kl., a co najważniejsza przedstawiały historyę ojczystą na podstawie stanu naukowego z przed 30 lat, bez uwzględnienia najnowszych badań naukowych. Pierwszym zaś postulatem nauki historyi nawet na najniższym stopniu nauki pozostanie zawsze, by podawać prawdę i uwzględniać pewne zdobycze naukowe. Nawet uczniom I kl. nie wolno powtarzać dziś bez zastrzeżeń bajek o wyszczerbieniu miecza przez Chrobrego o nieistniejącą za jego czasów złotą bramę w Kijowie, o pokucie Śmiałego w Ossyaku, o jakiejś bitwie pod Wrocławiem na Psiem polu, o niegodziwej królowej Ryksie, o żydach, sprowadzonych za Kazimierza W., o zaślubinach wnuczki Kazimierza w Krakowie, o braku niewolnictwa w Polsce, o uległości Batorego wobec Rzymu i t. d., i t. d.

Natomiast właściwy ton podręcznika na I-szą klasę zgodnie ze stopniem umysłowym dziecka 10-letniego znajdujemy w szeregu obrazków (zastrzegam się nie we wszystkich) w najnowszym podręczniku dla klasy I-szej. Szereg ustępów n. p. O żałobnych uroczystościach po zgonie Kazimierza W., wziętych żywcem ze współczesnych źródeł średniowiecznych czy nowożytnych, są jakby stworzone dla uczniów kl. I i przynoszą chlubę naszej literaturze podręcznikowej.

Po stopniu przygotowawczym dla uczniów 9—10-letnich w krajach niemiecko-skandynawskich następuje stopień średni

[1]) *Sagor och Berättelser om Sveriges andra Nordiska Länders, Österlandets, Greklands och Roms Forntid* av Gustav Löw. Mniejszą wartość posiada podręcznik. A. Rydfors: *Historisk Läsebok. för allmänna Läroverkens första och andra Klass.* Fempte Upplagan Stockholm.

dla uczniów od 11—15 roku życia. Odróżnia się on od poprzedniego tem, iż już nie chodzi tylko o pobudzenie fantazyi ucznia i zdolności myślenia, lecz o wpojenie pewnej ilości wiadomości, które mają się stać trwałą własnością ucznia. Do tych wiadomości ma nauczyciel w wyższych klasach, gdy mu przyjdzie ten sam materyał w nową ująć formę, nawiązywać. Dla tego na tym średnim stopniu już nie podania, historyjki i opowiastki się podaje, ale prawdziwą historyę. Zatem pogłębia się znajomość osobistosci, zaczyna się odsłanianie przyczynowego związku między wypadkami, budzenie zrozumienia stosunków i urządzeń w danym okresie. W końcu już tutaj należy uczniom wyjaśnić związek i podział całej historyi na okresy naturalnie wedle najprostszych kątów widzenia.[1])

Dopiero jednak na wyższym pragmatycznym stopniu nauki zrozumieją uczniowie znaczenie dziejowe wielkich osobistości, rozszerzają i pogłębiają znajomość politycznych, kulturalnych i społecznych stosunków, odszukują idee przewodnie pewnych okresów dziejowych, a kładąc główny nacisk na przyczynowy węzeł wypadków, odnajdują związki przyczynowe zjawisk, czasem i przestrzenią nieraz bardzo odległych. W ten sposób dochodzi się do rozumowanego poglądu na dzieje. Takie są mniej więcej zasady, przyjęte obecnie w dydaktyce niemieckiej, a za nią i w innych krajach ucywilizowanych, oraz zastosowane w przeróżnych podręcznikach dla klas niższych czy wyższych szkół średnich.

U nas przed laty coś 20 zaprowadzono w myśl dawnej instrukcyi podręcznik napisany metodą biograficzną. Pomnę, jaki w pewnych kołach wyższych panował zachwyt z powodu tej rzekomo oryginalnej metody. Słyszałem na własne uszy, jak ze strony autorytatywnej powołano się na powagę jednego z b. ministrów oświaty, który rzekomo miał oświadczyć, a może i rzeczywiście oświadczył, iż wielceby się radował, gdyby podobnie napisany podręcznik, jak w Galicyi, znalazł się w szkołach średnich wiedeńskich. Upłynęło od tego czasu lat przeszło 20, nie znalazł się atoli ani jeden dydaktyk niemiecki, któryby miał

[1]) O. Jäger: *Didaktik* etc. 38.

odwagę życzeniom ministeryalnym zadość uczynić. Tak zwana bowiem biograficzna metoda ani nie była oryginalna, ani dydaktycznie uzasadniona. Przecież już w połowie XIX w. szereg dydaktyków niemieckich, jak Roth i inni, popierali ją, polecając grupować materyał historyczny około wybitnych osobistości. Na zasadach tej metody pojawiły się w Niemczech popularne dziełka historyczne, Stackego: *Erzählungen aus der Geschichte in biographischer Form* i Stolla: *Erzählungen aus der G. für Schule u. Haus.* Nigdzie jednak tych książek nie użyto jako podręczników szkolnych, tylko jako książek do czytania dla uczniów niższych klas. Metoda biograficzna wprawdzie ma to za sobą, iż naukę historyi ułatwia bardzo, o ile właśnie osobiste momenta są dla dzieci w 10 i 11 roku życia najprzystępniejsze, a nadto te momenta wywierają dodatni wpływ wychowawczy, o ile w pierwszej linii oddziałują uszlachetniająco na młodzież i z tych powodów biograficzna metoda powinna być zastosowana nietylko na niższych stopniach nauki, ale na wszystkich, jednak tam tylko, gdzie się da zastosować, t. j. tam, gdzie rzeczywiście wybitna postać tak przeważający wpływ wywiera na polityczny, społeczny i kulturalny rozwój wypadków, że wydarzenia naturalnie bez naciągania około niej się grupują[1]) n. p. przy Peryklesie, Aleksandrze W., Karolu W., Bolesławie Chr., Napoleonie. Ale czyż zgodnie z prawdą można n. p. dzieje powstania listopadowego skreślić pod tytułem Chłopickiego lub wypadki 46 r. i 48 r. pod etykietą Franciszka Smolki, lub czasy Legionów i Księstwa Warszawskiego choćby pod nazwą ks. Józefa Poniatowskiego. Biograficzne przedstawienie takich wieków — a są one bardzo częste — którym brak wybitnej osobistości, prowadzi do rozbicia związku dziejowego, do utrudnienia w pojmowaniu, a czasami do niehistorycznego traktowania historyi, co nawet na najniższym stopniu nie jest dopuszczalne.

Biograficzną metodą napisany podręcznik zacieśnia się do księgi królów, do księgi o dawnych wojnach i mordach, prze-

[1]) Neubauer: *Rein Encyklopädisches Handbuch, Geschichtsunterricht Der Unterricht in der Geschichte. Halle 1904,* str. 12.

staje być obrazem wiernym życia danego społeczeństwa, a staje się kalejdoskopem przypadkowo zestawionych osobistości i faktów.[1])

Całkiem słusznie też twierdził reformator podręczników szkolnych na niższe gimnazya, wspomniany Oskar Jäger, że błędne jest posługiwanie się wyłącznie biograficzną metodą w kwarcie t. j. w naszej II kl. choćby dlatego, że wprawdzie biografia jest historyą, ale historya nie jest biografią.[2]) Zamiast biografii zatem podręcznik na niższe klasy szkół średnich powinien zawierać zaokrąglone opowiadania lub obrazy historyczne, tworzące pewną całość. Ton ich powinien być zdaniem Jägera wyłącznie nauczającym, nie zaś opowiadającym, ponieważ nauczycielowi winno się zachować przywilej, że jego wykład, nie podręcznik nadaje piętno nauce szkolnej.

Podręcznik dobry winien wedle dydaktyka niemieckiego Kreuzera[3]) zdarzenia w genetycznem związku przedstawić, szczegółowiej na niższym stopniu, w ogólniejszym zarysie na wyższym, musi w każdym razie przedstawić rzecz krócej, niż to ustnie czyni nauczyciel w czasie wykładu, w czasie przeszłym z opuszczeniem drobiazgów, nie należących do istoty rzeczy, ze silnem zamarkowaniem najważniejszych wypadków — winien je przedstawiać zwięźle, prosto i jasno, bez szumnych frazesów i martwej abstrakcyi z takim podziałem, by uczeń nigdzie nie stracił z oczu całości.

Podręcznik na średnie klasy, t. zn. od 2-giej do 4-tej, winien zdaniem O. Jägera zawierać rozumny podział materyału, winien być ani za gruby, ani za cienki, powinien zdawać sprawę, przedstawiać, pouczać — nie opowiadać — to jest rzeczą nauczyciela — nie powinien nic sprzecznego z prawdą zawierać, t. zn. przedstawiać podanie jako podanie, przy niepewnych wypadkach dodawać sumiennie „jak mówią“, „jak opowiadają“: „Niejednokrotnie spotykać można w recenzyach“, pisze na innem miejscu ten najwytrawniejszy dydaktyk historyi, długo-

[1]) Zillig: *Biographien im Unterricht Rein* etc.
[2]) *Bemerkungen über den Gesch.-Unterricht*, 17/8.
[3]) *Geschichtliche Lehrbücher Rein Handbuch der Pädagogik*, III., l. 461.

letni jej nauczyciel i znakomity dyrektor, autor najbardziej rozpowszechnionego podręcznika historyi starożytnej na niższe gimnazyum w Niemczech, „to głupie wprost żądanie, by podręcznik to dawał, co tylko żywy wykład lub odpowiednie wypisy dać mogą".

„Spotykać się można z krytyką, że podręcznik jest wcale poważnem dziełem, ale uczniów nie zapala. To jest niedorzeczność. Mimo to podręcznik nie powinien być nudnym. Podręcznik nie powinien być zajmującym w znaczeniu pospolitem, ale uczniowie powinni się chętnie z niego uczyć. Podręcznik powinien zawierać streszczenie wykładu, charakter bowiem nauce historyi nadaje nauczyciel i jego wykład, a nie podręcznik. Nie znaczy to, że podręcznik jest zbyteczny lub drugorzędnym czynnikiem. Nie — podręcznik ma swoje specyalne zadanie".[1]) W swej dydaktyce podaje O. Jäger dosłowny wykład nauczyciela dla uczniów t. zw. kwarty, odpowiadającej naszej klasie drugiej, wykład o bitwie pod Kannami i jej następstwach. Wykład zajmuje 3 stronice bitego druku wielkiej oktawki (str. 97 do 100), odnośny ustęp w podręczniku O. Jägera obejmuje zaledwie pół stronicy małej oktawki.[2])

W taki mniej więcej sposób ułożone są wszystkie podręczniki na niższe klasy, szkół średnich nie tylko w krajach germańskich, ale i romańskich, z tą tylko różnicą, że w romańskich podręczniki są znacznie obszerniejsze i poczytniejsze, w germańskich więcej zwięzłe i suche.

Jäger: *Hilfsbuch für den ersten Unterricht der alten Geschichte*, używany w 224 zakładach.

Eckerts: *H. f. d. ersten Unterricht in der deutschen Geschichte* w 199 zakładach.

Müller: *Alte G. f. d. Anfagsstufe* w 70 zakładach.

Andrä: *Grundriss der Weltgeschichte;* dalej podręczniki: Pützа, Jaennickego, Brettschneidera, Schenka, Steina, Vogla, Mertensa, Neubauer: *Lehrbuch der G.* 1913 w 200 zakładach.

---

[1]) *Didaktik und Methodik*, str. 20, 21 i 38.

[2]) *Hilfsbuch für den ersten Unterricht in alter Geschichte*: str. 74.

G. Koch: *L. d. G. hg. v. Groebe* 1913, Meiners: *L. d. G.*

Austryackie. Gindely-Würfl: *L. d. G. für die unteren Klassen*; Weingartnera, Hanacka-Rebhanna, Losertha, Mayera.

Angielskie. Grandta: *Utlines of europen History.*

Francuskie. Blanchet i Toutain: *Histoire de France et histoire generale. Premier cycle* 1909; Hubault et Marguerin: *Enseignement primaire. Histoire generale*; Duruy: *Petite cours d' histoire universelle*; E. Nouvel, J. Bouniol: *Nouveau cours d' histoire à l' usage du premiere cycle.*

Szwajcarskie. Dr. Luginbühl: *G. der Schweiz für Mittelschulen*; Oechsli: *Bilder aus der Weltg.* 3 Teile 1911.

Belgijskie. Moeller: *Cours complet d' histoire universelle à l' usage des collèges et des Maisons d' éducation.*

Norwegskie. Schjoth og Lange: *Laerebok i Verdenshistorien.*

Szwedzkie. Gustaw Löw: *Allmän. Historia*; Pallin-Boethius: *Larebok i Allmän Historia for Realskolan* 1911.

Duńskie. Bloch: *Mindre Laerebog i Historien til Brug for Skolernes Unterklasser*; Munch: *Laerebog i Verdenshistorie* 1907.

Włoskie. Giovanni Rossi: *Breve Corso di Storia Patria per il gimnasio inferiore Torino*, 3 t.

W Królestwie Polskiem używany jest W. Osterloff i J. Szuster: *Dzieje powszechne* 1908 i Wipper: *Historya starożytna.* (Dok. nast.).

Dr. K. Krotoski.

O człowieku na ziemiach polskich.

Od dawna choć stopniowo rozszerzają się wiadomości o kraju naszym, przedstawiającym pewną różnorodność krajobrazów i ludzi. W jednej miejscowości okolica niska, płaska, o gruncie glinkowatym, w innej górzysta i piaszczysta, tu zroszona rzeką, tampokryta lasem, lub stepem, pozbawiona wody. Względnie do warunków geograficznych wytwarza się klimat, wpływający na świat przyrody jak nieorganiczny, tak też organiczny z odmienną w różnych miejscowościach florą i fauną. Wśród tej ostatniej przodujące miejsce zajmuje człowiek i on najbardziej uduchowia przyrodę, chociaż właściwie najmniej o nim wiemy. Długi czas nie chciano uznać w gatunku człowieka „*homo*" żadnych odmian, ograniczając rozpoznawanie rodzaju ludzkiego według trzech, lub czterech barw skóry. Wiedzieliśmy bez porównania więcej o odmianach psów, koni, różnych rodzin ptaków, niż o człowieku. Co prawda wykazanie odmian w gatunku człowieka po za głównemi rasami, jest o wiele trudniejsze i wymaga większej wprawy i spostrzegawczości badacza, niż rozpoznanie odmian u zwierząt lub ptaków. Człowiek, zdawałoby się, najbardziej nas zająć powinien, ponieważ jest najbliższym nam, a powtóre że życie jego i wszelkie zdobycze ducha są rezultatem fizycznej budowy. Niedostateczny rozwój fizyczny, lub jego zwyrodnienie prowadzi razem z zanikiem ducha do śmierci, udoskonalona budowa wytwarza najczęściej i wyższe przejawy sił intelektualnych u różnych ras i narodów. Nauka o człowieku, o której dziś mówić zamierzam, obejmuje rozległe dziedziny wiedzy, czy to rozpatrując go jako mieszkańca

współczesnego ziemi, czy to nawiązując nić z pokoleniami dawno wymarłemi, opierając się na szczątkach pozostałych w mogiłach, cmentarzyskach lub w jaskiniach, tych początkowych schroniskach pierwotnego człowieka. Do pomocy ścisłej antropologii przychodzą inne wiedze, etnografia, dotycząca materyalnej współczesnej kultury człowieka — archeologia — kultury dawno wymarłej, — a wszystkie te trzy dyscypliny stanowią w obszerniejszem słowa znaczeniu naukę o człowieku. Inne też gałęzie wiedzy pośrednio traktujące o człowieku, dają nieraz badaczowi wskazówki do rozwiązania nie jednej zagadki, ułatwiając poznanie prawdy. Do takowych odnoszą się nauki przyrodnicze wykazujące, jak na prz. geologia, pokłady w których znajdowane są kości ludzkie; towarzyszący człowiekowi świat zwierzęcy, lub roślinny bada znów zoologia i botanika, budowę człowieka — anatomia, medycyna traktuje o człowieku chorym, wytwarzając fizyologię i patologię ras, wreszcie nauki, badające życie duchowe narodów i ich dzieje — historya i socyologia rozpatrują człowieka jako istotę społeczną. Jednem słowem wszystkie te działy nauk pośrednio lub bezpośrednio wpływają na poznanie człowieka i stwierdzenie dawności jego istnienia, stanowiąc jakby jedno wielkie ogniwo, obejmujące człowieka i jego działalność na ziemi.

Zadanie nasze będzie dziś bardziej ograniczone, bo mamy rozpatrzeć tylko człowieka na ziemi naszej. Pierwszą, a najciekawszą kwestyą jest ta, od jak dawna tu człowiek żyje i w jakim czasie się pojawił. Otóż dotychczasowe badania wykazują, że najstarsze ślady istnienia człowieka występują w 4 rzędowej epoce geologicznej, choć nie odnajdujemy tam pewnych jego szczątków[1]). I nic dziwnego, że u nas rzadziej spotyka się czło-

[1]) Dla wyjaśnienia muszę wspomnieć tutaj o oddzielnych epokach, a razem z tem o budowie kory ziemnej. Na dnie znanych dotąd pokładów zalegają warstwy spornego pochodzenia, pierwotne krystaliczne gatunki (granity, porfiry gnejsy, dioryty, diabazy i t. d.), w których nie znaleziono dotąd śladów organicznego życia. Dlatego czas utworzenia tych warstw nosi nazwę epoki azojskiej, t. j. pozbawionej życia. Na tej pierwotnej formacyi układały się warstwy, zawierające ślady organicznego życia i tworzące cztery wielkie, jedna po drugiej następujące epoki: I. pierwszorzędu (paleozojska), charakteryzująca się rozwojem mięczaków i kręgowych, głównie trilobitów i ryb. 2) Drugo-

wiek tego okresu, podobnie jak i w całym pasie Europy środkowej. Podczas epoki lodowcowej, kiedy cała północ i wschód Europy pokryły się lodowcami, zwierzęta dyluwialne, a za nimi pierwotny człowiek uchodził z reniferami na zachód, gdzie też częściej jak n. p. we Francyi, lub Hiszpanii spotykają się szczątki zwierząt i człowieka tego okresu. U nas najstarszem schroniskiem pierwotnego człowieka były ziemianki i jaskinie. Te ostatnie liczne są w Krakowskiem i pod Ojcowem, następnie nad Dnieprem i Dniestrem. Jaskinie te, zależnie od formacyi geologicznych różnią się swą petrograficzną budową. Grupa jaskiń zach.-galic. przechodzi w granice Król. Polskiego i zajmuje przestrzeń 150 km., całą powierzchnię, sięgającą na południe Krakowa, a na północy Częstochowy. Jaskinie te leżą w formacyach kredowych białego

---

rzędu (mezozojska) rozwojem gadów; 3) Trzeciorzędu (neozojska), w której pojawiają się ssące i 4) Czwartorzędu (dyluwialna), koniec której obejmuje niewielką część historycznej epoki ludzkości. Podział epoki na peryody lub systemy jest następny:

Epoka	Peryody lub systemy	Kręgowi	Bezkręgowi
azojska			
I. rzędu paleozojska	kembryjska		trylobity
	syluryjska		
	dewońska	ryby	
	permska kamien.-węglowa	labirytodonty	amonity belemnity rękonogie
II. rzędu mezozojska	tryjasowa		
	jurajska	jaszczurki	głowonogie
	kredowa	dynozaury i ptako-jaszczur.	
III. rzędu neozojska	eoceńska	ssące zajd. narz. czł. (eolity, szczęt. małp człekokształtnych	gasteropody i bezgłowe
	oligoceńska		
	mioceńska		
	plioceńska		
IV. rzędu dyluwialna	(lodowcowe i międzylodowcowe okresy)	człowiek	
aluwium	okres współczesny		

jura i tworzą się w ten sposób, że woda opadowa przesiąka przez szczeliny skał i wydrąża je. Następnie masy warstw skalnych ulegają naturalnemu zwietrzeniu, a w miarę przypływu wody atmosferycznej odbywa się proces tworzenia jaskiniowych próżni, łączących się z sobą korytarzami. Jaskinie te, jako największe, były schroniskiem zwierząt przedpotopowych gruboskórnych: mamuta, nosorożca, niedźwiedzia jaskiniowego, hyeny i t. d. a następnie zamieszkiwał w nich człowiek przedhistoryczny. Do rzędu takich jaskiń należą: Mnikowska, Ojcowska, Wierzchowska, Maszycka i t. d. Najliczniejsza grupa takich jaskiń występuje w półn.-zach. okolicach Krakowa, pomiędzy Krzeszowicami i Zielonkami.

Na wschód od opisanych jaskiń zachod., w kierunku Przemyśla i Lwowa na całej równinie, ciągnącej się kilkaset km. i dotykającej przedgórza Karpat, niema nietylko jaskiń, lecz i formacyi górskich, w którychby się jaskinie mogły tworzyć. Dopiero w Tarnopolskiem i Brzeżańskiem zaczynają się pojawiać na południowy wschód od granic Bukowiny do Dniepru i od rzeki Zbrucza przechodzą na terytoryum Rosyi i ciągną się na południ. i zachodn. granicy Podola. Jaskinie te leżą w formacyach gipsów eocenicznych trzeciorzędowych, gdzie próżnie jaskiniowe powstały w odmienny nieco sposób, niż w pierwszego rodzaju jaskiniach, łatwiej rozpuszczając się w wodzie słodkiej. W jaskiniach wsch.-galicyjskich znaczne pokłady w rodzaju gniazd obszernych, ciągnących się po kilka kilometrów, tworzą próżnie często się zapadające i połączone chodnikami, wiodącymi do różno-kształtnych hal i komór. Zagłębienia, powstałe nad próżniami, mają na powierzchni ziemi charakterystyczny kształt jam okrągłych, lub owalnych o przekroju lejkowatym. Do rzędu najbardziej interesujących i szeroko rozgałęziających się należy Werteba, leżąca w samem środowisku obwodu jaskiniowego koło miasteczka Bilcze Złote w pow. borszczowskim. W jaskiniach tych, mniej nadających się na schroniska, rzadziej przebywał człowiek i zwierzęta kopalne.

Do trzeciego rzędu jaskiń należą eoceniczne karpackie, wytworzone w piaskowcach zwykle pękających i przez szczeliny któ-

rych przesiąka woda, wywierając na nie swój wpływ niszczący. Jaskinie takie nie tworzą większych próżni, dlatego nie mogły być nigdy siedzibą człowieka pierwotnego, i z tego względu nie mają dla nas większego znaczenia.

W jaskiniach pierwszych dwóch typów są t. zw. warstwy kulturalne, spoczywające w spodnich częściach materyału jaskiniowego, składającego się z namuliska naniesionego wodą, z pokładów gliny i gruzowiska z opadłych zwietrzałych ścian wewnętrznych skalnych i nacieków wapniowych, wytworzonych przy działaniu wody, a formujących t. z. „stalaktyty", zwieszające się w różnych kierunkach na ścianach jaskiń, a tworzące malownicze i fantastyczne groty, arkady, bramy, figury z podobizną ludzi i zwierząt wszystkim tak dobrze znane jeżeli nie ze zwiedzania jaskiń, to z rysunków. Dolne więc warstwy jaskiniowe są głównym zabiegiem badacza i w nich spotykać się mogą szkielety zwierząt kopalnych, wyroby rąk ludzkich, pierwotne z kamienia i kości, a niekiedy i kości ludzkie. Badacz powinien tu jednak ściśle wyróżniać znaleziska warstw starszych, od późniejszych, lub takich, które przypadkowo mogły się dostać do jaskiń. Do starych siedlisk lecz już nieco późniejszych odnoszących się do epoki neolitu, należą budynki na palach (palafity), ślady których znajdują się niekiedy w Wielkopolsce, na Żmudzi i Polesiu. W kraju naszym pokrytym w czasach przedhistorycznych trudnemi do przejścia błotami i lasami, osiedlił się człowiek w epoce późniejszej kamiennej (paleolitu). Zwykle zamieszkiwał ponad rzekami na południowych pochyłościach w ziemiankach lub szałasach z drzewa, pokrytych korą drzewną i przysypanych ziemią, tam zaś, gdzie warunki geologiczne na to pozwalały, korzystał z jaskiń, które potworzyły wody: początkowo chroniły się w nich zwierzęta, następnie człowiek pierwotny, a w czasach historycznych w pierwszych wiekach chrześcijaństwa były to kryjówki pierwszych prozelitów i zakonników, jak to wiadomo o jaskiniach naddnieprzańskich pod Kijowem. Pierwszem pożywieniem pierwotnego człowieka były korzenie drzew, dzikie jagody i zioła, wreszcie mięso dzikich zwierząt, użycie domowych nie było jeszcze w czasach paleolitu znane. Za narzędzia pierwo-

tne służyły kamienie i krzemienie z gruba obrabiane, które nieraz z daleka przywożono.

Człowiekowi w wieku paleolitu towarzyszyły zwierzęta gruboskórne, w neolicie ren, w końcu zaś neolitu zwierzęta domowe: pies, koń, wół, koza, baran, i t. d.

Kwestyi, zdaje się nie podlegać, sądząc po wyrobach pierwotnych kamiennych i kościanych, że człowiek z epoki paleolitu żył w kraju naszym, lecz dotąd nie uzyskaliśmy jego niezawodnych szczątków, kości wprawdzie były znajdywane z pewnemi cechami człowieka pierwotnego, lecz zachodzi wątpliwość czy one należą do tej epoki, lub są późniejsze. Cechami pierwotnego człowieka nazywamy takie, które stawiają go na najniższym stopniu rozwoju i zbliżają do zwierząt, a są wytworem warunków, w których człowiek żyje. Cechami temi zwykle są: znaczna i niesymetryczna budowa czaszki, przyczem pudło mózgowe ochraniające organ duchowy mózg, jest mniej rozwinięte przy stosunkowo znaczniejszym rozwoju organu żwaczego twarzy, następstwem czego jest słaby rozwój przednich wielkich półkul mózgu, czoło nizkie, spłaszczone, w tył uciekające, a bródka w tył cofnięta, z występującą naprzód twarzą, z silnie wydatnymi na przód łukami brwiowymi, łączącymi się z guzem nosowym, często wytwarzającym gruby wał nad oczodołami, silne wogóle na czaszce guzowatości i chropowatości, jak wydatna linia skroniowa i potyliczna od przyczepów mięsnych, jak również mocna z takiemi chropowatościami żuchwa, z silnie rozwiniętymi mięśniami żwaczymi; na to ostatnie wpływa pożywienie człowieka pierwotnego, używającego grubych pokarmów, gryzącego kości i orzechy, a co niewątpliwie wymaga pewnej siły. Co do kształtu to starsze czaszki w kraju naszym są bardziej długogłowe, lecz zbliżając się do czasów obecnych, stają się krótkogłowemi. Oprócz tego i kości szkieletu mogą nosić na sobie cechy pierwotne, jak kolumnowy kształt i wygięcie na przód uda, spłaszczenie goleni, przedziurawienie jamek łokciowych, kości ramieniowych, wyrostki i chropowatość jako następstwo silnie rozwiniętego układu mięśniowego i t. d.

Cechy wyżej opisane, chociaż są właściwością człowieka

pierwotnego w głębokiej starożytnosci, mogą jednak częściowo spotykać się i w czasach późniejszych w neolicie, a nawet u historycznych, lub współczesnych narodów pierwotnych, a w oddzielnych wypadkach i u ludzi cywilizowanych. Mam tu na myśli cechy rozwojowe ludzi normalnych, a nie wypadki patologiczne, gdzie czaszka może przedstawiać zboczenia, jak n. p. przy idyotyzmie, zwyrodnieniu, lub u ludzi obarczonych dziedzicznością.

W wyrobach kamiennych, jak już wspomniałem, wyróżniają dwie epoki, wcześniejszą kamienną z grubo obtłukiwanemi narzędziami kamiennemi do różnego użytku, jak młotki, siekiery, świdry, skrobacze, noże i t. d. zowiącą się u nas epoką paleolitu o wiele rzadszą, a odpowiadającą człowiekowi pierwotnemu, żyjącemu jednocześnie ze zwierzętami gruboskórnemi: mamutem, nosorożcem, niedźwiedziem jaskiniowym i t. d. i drugą epokę kamienia, zwaną neolityczną czyli nowego kamienia, pospolicie u nas spotykaną i dłużej trwającą. W okolicach bardziej gęsto osiedlonych, jak n. p. w Galicyi zachodniej, narzędzia tego okresu z krzemienia jak nożyki, skrobaczki, strzałki, perforatory, krążki i t. d. stały się o wiele rzadszemi, niszczone przez pług rolnika, natomiast w innych miejscowościach jak w Królestwie, Poznańskiem, a szczególnie we wschodniej Galicyi i na Litwie, przedmioty te znajdują się jeszcze w ziemi w wielkiej obfitości. Szczególnie kilka powiatów na Litwie jak Słonimski, Wołkowski, i Lidzki, słyną z tych znalezisk, znajdują je nietylko w wydmach piaszczystych po ulewach, wiatrach jesiennych, lecz i na dnie małych rzeczek. Wskazuje to na gęstość osad w czasach przedhistorycznych, a kształty od najprostszych aż do misternie wyrobionych siekierek, piłek, strzałek i nożyków dowodzą, że człowiek u nas przeżywał epokę neolitu od pierwszych jej początków aż do najdoskonalszych wyrobów narzędzi krzemiennych, których używano zapewnie długo aż do pojawienia się metali. Prawdopodobnie kiedy klasy zamożniejsze używały już metali, pospólstwo być może w wielu zapadłych zakątkach w kraju naszym nawet w XII — XIII w. ery naszej, żyło w epoce kamiennej. Nie wyda się to dziwnem, jeżeli powiemy, że wiek kamienny jeszcze przed stu laty istniał pomiędzy niektórymi tuziemcami

Syberyi i wschod. Rosyi. Nieprzebyte bagna, na rozległych pustkowiach leśnych, z klimatem wilgotnym utrudniały zrzadka zamieszkałej tam ludzkości wszelką pracę kulturalną, a wszystko to razem przy trudnej komunikacyi na długie wieki powstrzymywało ich rozwój. W dobie jeszcze przedchrystusowej na południu kwitła wysoka cywilizacya Rzymu i Grecyi idąca od osad gallskich z zachodu i z kwitnących kolonii greckich z nad morza Czarnego ze wschodu. Umiejętność użycia bronzu, a następnie żelaza szła bardzo powolnie przez południowo-zachodnią Ruś, ze Styryi, z półwyspu bałkańskiego i z nad Dunaju. Na wschodnio-południowych stepach Rosyi współczesnej rozsiadły się osady Sarmatów i Scytów, którzy, chociaż jeszcze barbarzyńcy, stali się jednak roznosicielami zapożyczonej kultury z kolonii greckich czarnomorskich; w kurhanach scytyjskich, ciągnących się z Kaukazu przez południe Rosyi, Ukrainę, a dosięgających wschodn. Galicyi, spotykamy wyroby ze srebra, złota, bronzu, misternie wyrobione naczynia gliniane, a nieraz i monety greckich kolonii, wskazujące na czas powstania kurhanów mniej więcej od IV do V w. do Nar. Chr. Ornamentacya na wyrobach w mogiłach scytyjskich przypomina nam wielce dzisiejszą kaukaską szczególnie jednego z plemion Orsetinów, a w nazwach miejscowości na południu Rosyi szczególnie rzek, odnajdujemy dźwięki pokrewne temu plemieniowi, podobnie jak w nazwie rzek Galicyjskich widzą filologowie pochodzenie gallskie czyli celtyckie. Pomimo trudnych, jak wyżej wspomniałem, dróg komunikacyi, jednak środkiem naszej dzielnicy zachodniej z południa przez Węgry niedaleko Krakowa szedł ku północy do Bałtyku odwieczny szlak kupiecki, który łączył Bałtyk z Dunajem i dalej z południem. Drogą tą, kiedy kraj nasz pokrywał mrok cywilizacyi, kupcy, prawdopodobnie w części żydzi, wozili z południa towary, kruszce i inne przedmioty zbytku, a w zamian otrzymywali z północy skóry zwierząt, bursztyn, niewolników i niewolnice Słowian, owych „*sclavi*“, „*slavi*“, których zbyt był zawsze zapewniony na rynkach południa.

Ponieważ na ziemiach naszych epoka t. z. nowego kamienia „neolitu“ trwała, jak można sądzić, bardzo długo i wyroby te

wciąż się udoskonalały, ciekawem byłoby wiedzieć, jakiej to były narodowości ludy, które tak liczne u nas zabytki swej kultury zostawiły. Są dane, pozwalające przypuszczać, że jeszcze w przedzmierzchu dziejów osiedlili kraj nasz Słowianie, przeżywając tu epokę neolitu i pozostawiając swe szczątki w grobach ciałopalnych, w urnach, ciągnących się w północnych, nadbałtyckich ziemiach w t. zw. cmentarzyskach popielnicowych. Od czasu przyjęcia chrześcijaństwa Słowianie zaczynają grzebać swych zmarłych w ziemi, a co przypada na czas wprowadzenia w użycie bronzu i żelaza. Kto w ostatniej dobie przedhistorycznej zajął pierwszy placówki w środkowej Europie, dziś zamieszkałe przez Słowian, Słowianie czy Germanie, spór trwa dotąd. Kiedy w pierwszej połowie XIX. stulecia zaczęto się przedhistoryą zajmować, to bezstronni badacze niemieccy przyjmowali, że jeszcze na kilka wieków do nar. Chr. przybyli Germanie ze swej indyjskiej kolebki i osiedliwszy się na ziemiach europejskich we Fryzyi i na północnych brzegach morza Niemieckiego, stąd przeszli na półwysęp Skandynawski, a kiedy już po nar. Chr. wrócili na swe dawne osady i osiedlili się w środkowej Europie, znaleźli tu plemię słowiańskie, rozpadające się na liczne rody i rozpoczęli z nimi walkę, wyciskając ich z zajętych placówek, a gdzie pokojowo tego nie mogli dokonać, lub narzucić im obcą kulturę i język, walczyli z nimi na śmierć i życie, ujarzmiwszy w niewolę tych, których ogniem i mieczem nie wytrzebiono. W drugiej połowie zeszłego wieku rozrastające się w potężne polityczne państwo Prusy, oszołomione swą zaborczą polityką zaczęły i prądy naukowe podporządkowywać swym teoryom germanizacyjnym, wylęgłym na gruncie politycznym. Znalazł się cały szereg prahistoryków na usługach idei państwowych, tłumaczących zaborczą politykę Prus i rugi Wielkopolskie tem, że wracają jakoby na swe odwieczne osady germańskie, najechane przez Słowian.

Mówiąc o czaszkach, musimy wyjaśnić, co rozumiemy pod nazwą typu czaszki. Przy badaniu ludzi żywych, lub kości, oprócz pomiarów bezwzględnych, przyjmują stosunki pomiędzy niemi, zwane wskaźnikami. Najważniejszym jest stosunek, zachodzący pomiędzy szerokością i długością czaszki. Czaszka bo-

wiem nie jest kulistą, lecz nierówną bryłą z chropowatą powierzchnią, często asymetryczną, mającą dwie średnice przednio-tylną dłuższą i poprzeczną krótszą. Stosunek pomiędzy największą szerokością a długością czaszki nazywają wskaźnikiem czaszkowym. Określa się on według pewnej formuły, a mianowicie, że większa liczba przyjmuje się = 100, a mniejszą wyraża się w jej %: Długość : szerokość = 100 : X; $X = \frac{100 \times \text{szer.}}{\text{dług.}}$ Zastępując dla przykładu liczbami długości i szerokości czaszki, otrzymamy:

$$170 : 145 = 100 : X; \text{ czyli } X = \frac{100 \times 145}{170} = 85, 29,$$

ostatnia liczba będzie wskaźnikiem czaszkowym, odpowiadającym czaszce krótkogłowej. Wskaźnik 80,00 przyjęto uważać za pośredniogłowy, wyższy od tej liczby za krótko, a niższy za długogłowy.

Przez czas długi za prototyp grobów germańskich były uważane groby rzędowe t. z. z powodu ich budowy, a pochowani w nich mieli czaszki wydłużone, o twarzach długich, blondyni, wysokiego wzrostu i typ ten uważano za staro-germański, natomiast Polaków, jak i Słowian dzisiejszych przedstawiano sobie o wzroście nieco niższym, typie krótkogłowym, ciemniejszym, twarzy krótszej, oczach jasnych i myślano, że takim musiał być typ Słowian w starożytności. Lecz niebawem nastąpiło rozczarowanie, kiedy się okazało, że w czasach dosyć późnych IX. i X. w. niezawodnie słowiańskich, czaszki były długogłowe, różniące się nieraz od współczesnych słowiańskich, jak również że i obrządek pogrzebowy, a mianowicie groby rzędowe spotykają się nietylko u Niemców, lecz i u Słowian, a znany duński archeolog Sophus Müller nauczył odróżniać groby słowiańskie od niemieckich, na zasadzie przedmiotów kultury, a mianowicie naczyń glinianych z falującą, lub liniową nacinaną ornamentacyą, kubełków drewnianych z żelaznemi obręczami i palączkami, pierścionków i kolczyków z kręconego bronzowego drutu i wreszcie charakterystycznych dla grobów kobiecych często spotykanych zausznic czyli tak zwanych kółek kabłączkowych (Hacke-

ringe), zawieszanych na rzemieniach na głowie, które nosiły jeszcze nasze prababki w XII — XIII w. Dzięki więc Müllerowi powiększyło się terytorium, zajmowane przez dawnych Słowian i nauczono się rozpoznawać groby germańskie od słowiańskich. Jednocześnie z tem zachwiała się dawna teorya krótkogłowości Słowian, gdyż, jak wspomniałem, groby niezawodnie z IX—X w. według kultu słowiańskie były o czaszkach długogłowych. Słowiańskość tych mogił potwierdzały nadto monety polskie z tych wieków. Dalsze badania nietylko w Polsce dokonane, lecz i w innych słowiańskich ziemiach, w Czechach, oraz w Moskwie dowiodły, że im starsze są mogiły, tem czaszki są bardziej długogłowe jak naprz. w VIII.—X., następnie zbliżają się do pośredniogłowych w XIII.—XIV. i bardziej do krótkogłowości w XVI.—XVII., obecnie zaś są krótkogłowe. W wiekach dawnych, obok czaszek długogłowych spotykały się i krótkogłowe. Co do Piastów po większej części z sobą się łączących związkami małżeńskimi, Władysław Łokietek prawdopodobnie, sądząc z głowy na sarkofagu na Wawelu był krótkogłowcem, jak i Henryk IV. (*Probus*), Ks. Krakowski i Wrocławski na sarkofagu w kościele św. Krzyża w Wrocławiu, królowa Jadwiga, żona Wład. Jagiełły była wyraźnie krótkogłową z wymiarów czaszki Kopernickiego, a Kazimierz Wielki pośredniogłowym według Majera.

Jeżeli przypuścimy, że najstarszym pogrzebowym obrządkiem u Słowian był ciałopalny, to wytłumaczonem będzie, dlaczego typ ich pierwotny jest nam mało znany. Tylko od czasów chrześcijaństwa zaczęto chować w ziemi, a ponieważ najstarsze czaszki nasze były długogłowe, a dziś są krótkogłowe, przeto rozmaicie tłumaczą sobie tę ewolucyę typów. Jedni przypisują przeistoczenie się kształtów pewnym zmianom klimatycznym i środowisku, a według nas jest to wpływ dziedziczności, nieprawdopodobnem również się wydaje, jak to mniemają niektórzy, żeby pod działaniem wilgoci i naporu ziemi, zmieniały się kształty czaszek i dlaczegoby miały zmienić się długogłowe w krótkogłowe a nie odwrotnie i wreszcie jeżeli taka metamorfoza była możebną, to trudno przypuścić, ażeby nacisk ziemi był równomierny, raczej wywoływałby deformacyę czaszki, jak to spotykamy często

wśród różnych czaszek kopalnych. Pozostało jeszcze tylko zmianę typu wytłumaczyć mieszaństwem, które typ długogłowy kurhanowy słowiański przeistoczyło w krótkogłowy dzisiejszy. Lecz masowych najść i kataklizmów dziejowych, o ile wiemy, wówczas nie było.

Wobec tych wszystkich niezadawalniających teoryi ewolucyi typów, przyjmujemy, że pierwotny typ Słowian był podobnie krótkogłowy jak i obecny. Otóż wiadomo, że ziemie zajęte przez Słowian musiały być pierwotnie zamieszkałe przez inne plemiona nie słowiańskie, na północy przez Finów, na południu przez różne ludy grupy Uralo-ałtajskiej. Słowianie krótkogłowcy w mniejszej ilości mogli osiedlić się pośród obcych plemion długogłowych i narzucić im swój język i kulturę. Być oni mogli co do kultury w pierwszych wiekach Słowianami, lecz nie byli nimi antropologicznie. Typ słabszy długogłowy przeżywał się i wymierał, przeciwnie bardziej silny fizycznie rozradzał się. Przykłady takie narzucania przez mniejszość kultury swej większym masom wespół z typem widzimy i w naszych czasach w Azyi, na wymierających narodach północnych i wschodnich, przyjmujących kulturę rosyjską, wreszcie wśród Węgrów, którzy stopniowo przyjmą obcy typ antropologiczny Żydów, lub Słowaków. Do tej kwestyi wrócimy jeszcze mówiąc o typach współczesnych naszej ludności, a teraz przechodzimy do antropologicznej charakterystyki różnych jej grup etnicznych.

Polska przedrozbiorowa, położona na pograniczu ścierających się wpływów dwóch kultur zachodniej ze wschodnią, była zarazem ostatniem państwem o cywilizacyi zachodniej, i jako takie podbijało nietylko swą kulturą sąsiednie plemiona, lecz wcielało to przez mieszaństwo, to przez asymilacyę inne pokrewne ludy, jak południowych Rusinów, Białorusinów i Litwinów.

Ludność przed przeszło wiekiem na terytoryum Polski zamieszkała, dochodziła do $8\frac{1}{2}$ miliona, dziś na tej przestrzeni przeszło 45 mil., a więc powiększyła się prawie o 6 razy, nie bacząc na wojny, epidemie, znaczną emigracyę do Ameryki, Danii i Niemiec w ciągu ostatniego ćwierć wieku. Przyrost tak znaczny dowodzi wielkiej rozrodczości naszej ludności, i zastrasza nie-

mało zapobiegliwych Niemców dbałych o zachowanie w przyszłości swego panowania, a przewidujących, że w odwiecznej walce mogą w końcu uledz i ustąpić żywiołowej sile Słowian. Pomimo wiekowego mieszaństwa grup ludzkich w kraju naszym nie można nie dostrzedz, że w każdej z nich wytworzyły się pewne zasadnicze fizyczne typy, a to wskutek dziedziczności i środowisk odmiennych w jakich ta ludność przebywała, czy to w miejscowościach górzystych, w lasach lub stepach, czy też w nizinach pokrytych błotami i bagnami. Ludność, która siedziała w mniej dostępnych zakątkach daleko od rzek i głównych traktów, lepiej swój typ zachowała, niż zamieszkała ponad drogami komunikacyjnemi, łatwiej podlegająca tam mieszaństwu jak w łonie swego plemienia, tak również z ościennymi, lub wędrującymi przybyszami. W mieszaństwie występują zwykle liczne wzajemne stosunki i zależność jednych połączeń od drugich t. z. korelacya i w nich to badacz odnajduje stopnie bliższego lub dalszego pokrewieństwa łączącego jedne grupy z drugiemi. Tak na prz. wiemy, że wzrost wysoki łączy się częściej z dłuższą czaszką i twarzą i typem jasnym, niższy zaś z czaszką szeroką, twarzą krótką i typem ciemniejszym, chociaż te połączenia przy mieszaństwie ulegają pewnym modyfikacyom i zmianom. Mówiliśmy już, że czystość typów bywa tylko względną. Antropolog, badający fizyczną budowę, odrzuca właściwości językowe i kulturalne, te ostatnie mogą być tylko pomocniczemi wskazówkami przy odszukiwaniu pochodzenia narodu, wykazania jego wędrówek i pokrewieństwa, lecz na charakterystykę fizyczną wpływu nie mają. Pewien naród n. p. może przyjąć kulturę jednego, język drugiego, a pod względem krwi i pochodzenia być im obcym. Po takim wstępie przechodzimy do charakterystyki fizycznej różnych grup naszych krajowych. Ażeby nasze twierdzenia antropologiczne były zrozumialsze, muszę powiedzieć słów kilka o badaniach człowieka.

Ponieważ plemie polskie jest liczniejsze od innych, a dzięki temu dosięgło pewnej cywilizacyi i wytworzyło przed wiekami własną państwowość rozpoczniemy od niego. Zajmuje ono przestrzeń środkowej Europy z południa od Karpat i źródeł Wisły aż do jej

dolnych brzegów na północy, a na zachodzie od Odry aż do Narwi i Bugu na Wschodzie. Pomimo wielu odmian u Polaków dają się rozpoznać geograficznie dwa główne typy: 1) północny, do którego należy ludność Wielkopolski i Królestwa Polskiego, wyjąwszy południowe jego części, która ma wzrost nieco wyższy, typ jaśniejszy (skóry, oczu i włosów), budowę bardziej wiotką, czaszkę bardziej wydłużoną, mniej szeroką, według wskaźnika pośredniogłową, czoło i potylicę węższą, twarz dłuższą i węższą, 2) południowy typ, obejmujący południową część Królestwa, Galicyę zachodnią i w części Śląsk, ma wzrost niższy, bardziej krępy, typ ciemniejszy (skóry, oczu i włosów), czaszki znacznie rozwinięte w szerokość, wyraźnie krótkogłowe, o czole i potylicy szerszej, twarzy krótszej i szerszej, o jarzmach bardziej wydatnych, 3) Trzeci typ zbiorowy przedstawiają polscy górale, mający wiele cech typu północnego, jak wzrost wyższy nieco, wiotką postawę, wązkie czoło i potylicę, twarz dłuższą i węższą, natomiast od południowego zapożyczyli typ ciemniejszy i znaczną krótkogłowość, przy cechach samodzielnych im właściwych, jakimi są: szczególna budowa i wyniosłość czoła z pięknie zarysowanymi łukami brwiowymi i nadnosiem, przy ostrych konturach twarzy i nosach często o wydatnym grzbiecie.

W dwóch odmiennych typach Polaków na północy i południu nie można nie dopatrzeć się pewnego związku z autochtonami kraju, którzy niegdyś zamieszkiwali na tych ziemiach. Na północy, począwszy od brzegów Morza bałtyckiego cały pas środkowy Europy aż dalej na wschód, gubernie środkowej i wschodniej Rosyi zamieszkiwały plemiona fińskie. Na wschodzie żyją jeszcze tam Wotiacy, Permiaki, Czeremisy, Mordwa, Meszczeria i t. p. Łączyły się one niegdyś na zachodzie z plemionami, których szczątki pozostały jeszcze na brzegach Morza Bałtyckiego (Esty, Liwy, Kury, Tawasty i Korely w Finlandyi), jako też z innymi wymarłymi, których imiona żyją w podaniach Wielkorosyjskich jak Uhry, Wieś, lub białohłaza-Czud'! [1]) Że

[1]) Na odmienny dziś nieco typ u Finnów nadbałtyckich, od nadwołżańskich wpłynęła znaczna przymieszka u tych ostatnich krwi mongoło-tatarskiej.

przed nar. Chr. a może później jeszcze osady fińskie sięgały i dalej na zachód i południe, na ziemie dziś zajęte przez plemiona litewskie, białoruskie i polskie (w półn. częściach Królestwa Polskiego i Poznania) wskazują badania archeologiczne, wykazujące wszędzie zabytki fińskie oraz dane lingwistyczne w nazwach miejscowości i rzek i przedmiotów, używanych w mowie potocznej. Nie można nie dopatrzeć się i antropologicznego podobieństwa w północnych Polakach, Wielkorosyanach, Białorusinach i Litwinach do Finów nadbałtyckich, we wzroście, w typie jaśniejszym, w kształcie czaszki zbliżonym do pośredniogłowości, węższem czole i potylicy i twarzy węższej i wydłużonej. Wiele odmian typów wyraźnie fińskich można też spotkać u nas w Królestwie Polskiem, a szczególnie na Litwie, o wzroście nie wysokim, pośredniogłowych o nieregularnych rysach twarzy, nizkiem, wązkiem czole, twarzy wydłużonej, nosie szerokim lub zadartym. Typ taki powtarza się pośród szlachty polskiej na Litwie, odmiany tego typu przedstawiają: Kościuszko, Mickiewicz i Syrokomla. Ludność południowych gubernii Królestwa, jak Radomskiej, Kieleckiej i Galicyi zachodniej wyróżnia się od północnej, a zbliża do sąsiedniej ludności ukraińsko-ruskiej Galicyi wschodniej i południowej Rusi. Wynik to dziejów przeszłości, które wylewały nieustannie na stepy południowej Rosyi różne hordy Uralo-ałtajskich ludów, Mongołów i Tatarów, których krew musiała się wcielić do miejscowej ludności i przejawiać w typie południowym, mongoloidnym, ciemniejszym, bardziej krótkogłowym, szerszem czole, wydatniejszych jarzmach, twarzy krótszej przypłaszczonej, oczach węższych, niekiedy stojących skośnie. Typy takie spotykają się często wśród ludu i szlachty na Ukrainie, a na znakomitych obrazach Riepina z historyi Ukrainy żywo odtworzone w postaciach hetmanów i pisarzy wojska zaporoskiego. W związku z tymi typami wytworzył się pogląd nasz na pochodzenie Słowian i ich pierwotną kolebkę.

Na kilka wieków przed nar. Chr. siedzieli pierwotnie Słowianie, według jednych na Dunaju, według drugich między Odrą, Dnieprem, Bałtykiem i Dunajem, a według innych jeszcze po środkowym biegu Niemna, a to ostatnie przypuszczenie posia-

dać zdaje się więcej prawdopodobieństwa, sądząc po starożytności osad dzisiejszej ludności białoruskiej, danych filologicznych, i kronikarskich. Dzisiejsze badania antropologiczne zdają się potwierdzać, że już w dobie nar. Chr., lub wkrótce po niej kolebką Słowian była kraina przykarpacka i stąd jako z ośrodka, Słowianie musieli się rozejść na wsze strony, osiedlając półwysep bałkański, po Wiśle przeszli na północ po nad Bałtyk i wreszcie pociągnęli przez dzisiejszą Białoruś aż na brzegi Wołchwy pod Wielki Nowogród. Ziemie, na które ciągnęli Słowianie przykarpaccy, były już zasiedlone na północy przez różne plemiona autochtonów fińskich, na południu przez ludy krwi tatarsko-mongolskiej. Mniejszość Słowian narzuciła swą kulturę masom fińskim i koczownikom południowym i z niemi się zmieszała. Żywioł słowiański krótkogłowy, jako bardziej rozrodczy pochłaniał i metyzował masy obce, których typ jednakże przechował się dotąd na północy w zbliżonej do długogłowości czaszce (Finowie zachodni byli długogłowi) i w bardziej krótkiej czaszce na południu (cecha ludów tamtejszych). Słowianie pierwszych wieków ery naszej byli nimi, jak już wspomniałem, tylko kulturalnie, lecz nie antropologicznie. Górale wykazują i dziś jeszcze wielką rozrodczość, schodzą z gór i wyciskają ludność równin, a typ ich jest pośredni mieszkańca północy i południa; krótkogłowość podnosi się ku krainie przykarpackiej, zmniejszając coraz bardziej przy typie jaśniejszym ku Bałtykowi i nakoniec zaznaczamy, że szlachta jako żywioł rycerski idąc na równiny z podkarpacia i podbijając masy obcego krwią ludu i dziś ma pewne cechy wyróżniające we wszystkich dzielnicach Polski, jest wyższego wzrostu, bardziej krótkogłową i ciemniejszego typu, niż lud, a przez to zbliża się do Górali. (Dok. nast.).

J. Talko-Hryncewicz.

Pogłosy Młodej Polski w dramacie, powieści i krytyce literackiej.

(Dokończenie).

IV.

Dramat historyczny.

„Jestem przekonany — pisał do Odyńca Mickiewicz w 1827 r. — że oprócz historycznego dramatu w naszej epoce nie można nic dramatycznego, prawdziwie interesującego utworzyć; *Faust* i *Manfred* są to wyjątki innego zupełnie rodzaju". I w rok potem znowu: „w naszej epoce jedyne drama, odpowiadające potrzebom wieku, jest historyczne". We dwa lata potem uzupełnia, że „dramata te nie będą tylko do zabawy możnych próżniaków, ale raczej dla nauki ogółu obywateli, który z nich będzie się uczył historyi przeszłości, jak Grecy uczyli się poetyckich tradycyi swoich".

Ten pogląd na dramat narodowy przewija się jak barwna nić przez literaturę wieku XIX., popierany przez teoryę krytyczną i twórczość: Słowackiego, Krasińskiego, Magnuszewskiego, Romanowskiego, Szujskiego, Wyspiańskiego. Ma on dziś swoją żywotność taką, jak za Mickiewicza. Duch nasz, przykuty do przeszłości, szuka w niej i tego, co koi obecne niedole i tego, co wskazać może drogę w przeszłość. Umiłowanie więc przeszłości własnego narodu dyktuje artystom nakaz zajęcia się nią.

Stąd w historycznej liryce Ar. Oppmana, Kaz. Glińskiego,

Wiktora Gomulickiego, Adama Krasińskiego, Maryi Konopnickiej (Jana Sawy) takie piękne, elegią nawiane, obrazy; stąd w historycznej powieści największych współczesnych epików tyle siły i malowniczości, stąd nareszcie i dramat historyczny ujawnia większą żywotność, niźli ideowy lub obyczajowy. A chociaż w rzędzie historycznych dramatów także sporo mierności, to jednak dobrych nie trzeba tu poszukiwać z beznadziejnym płomykiem Dyogenesa. Nasi autorowie nie mają trudności z wynalezieniem dramatycznych konfliktów; nie umieją natomiast stwarzać dramatycznych ludzi. Jest to, jak łatwo zrozumieć, sprawa najtrudniejsza a nieoddzielna od pojęcia nowożytnego dramatu. Wszakże dramat wynika z powstrzymania czynu duszy w jego prawidłowym rozwoju; wskutek tego nadweręża się równowaga psychiczna wyższej jednostki, ale równocześnie rośnie jej wewnętrzna wartość, bo duch się piętrzy, na kształt wody, spływającej spokojnie w nizinę, gdy napotka tamę, bieg hamującą. Tylko że jednostka dramatyczna zazwyczaj duchowo przerasta szarzyznę środowiska — i to warunek konfliktu nieodzowny. Z tego załamania psychicznego rodzi się ból. Im człowiek wyższy, tem głębiej cierpi; im głębiej cierpi, tem silniej nas porywa. Jednak dla naszego współczucia nie jest rzeczą obojętną, jakie są wewnętrzne pobudki bólu: miłość własna, poczucie sprawiedliwości, dobro ogółu, żądza sławy, wiara religijna? I nie jest rzeczą dla dramatu obojętną, jak człowiek cierpi? Jak się zmaga z bólem, jak mu ulega lub zwycięża? Zawsze atoli w dramacie jednostka wybrana skupia na sobie promienie zatargu, a równocześnie niepowstrzymanie przyciąga ku sobie naszą uwagę i nasze współczucie lub oburzenie.[1])

Że na ukształtowanie ludzkiej duszy, na wyraz jej różnorodnych aktów, na wysokość jej zamysłów, na sposoby walki z przeciwnościami wpływa czas i środowisko, stąd rzecz jasna, zadaniem dramatyka historycznego — nie tylko odgadnąć ruchy duszy jednostki, ale dać im tło właściwe. Dramat tedy historyczny wymaga w równej mierze talentu twórczego, jak psychologicznej

[1]) Dokładnie o tem: Theodor Lipps: *Grundlegung der Aesthetik*, Hamburg 1903, t. I., str. 560—570.

przenikliwości i dokładnej wiedzy w zakresie dziejów danego momentu. Niestety — trzeba znowu powiedzieć — nasi autorowie przeważnie z warunków tych nie zdają sobie lub też nie chcą zdawać sprawy. Oto *Bolesław Chrobry* Marceliny Kulikowskiej. Trzy chwile z życia bohatera: powrót zwycięski z Rusi, św. Wojciech i śmierć. W grę wchodzą zatarg z Bezbraimem, Rycheza i Dubrawka. Pomysł wynaleziony zręcznie. Ale poza tem nic. Król jedną tylko czułą strunę ma w swej duszy: własną wielkość — i ją ogrywa na wszystkie tony. Jest zatem płytki. Inne postacie — bez lica. Brak jednolitej akcyi utrudnia rozwój psychologicznych zawikłań. Niema tedy dramatu duszy. Zależność od Wyspiańskiego odjęła dziełu oryginalność w wynalezieniu szczegółów. Tembardziej w stylu, obrazowaniu, nawet słownictwie. Wiersz toczy się łatwo, ale rymy nieudolne i ułomne.

Komornik służbie każe nieść ławy i stołki na uczty:

Tu ustawcie królewski — tu księży...
Dla rycerzy, dla gości,
Stoły długie przynoście,
Do biesiady zasiądą one męże.

Któż dziś tak rymuje?

Z pierwotnych, legendowych dziejów wysnuła Marcinowska Jadwiga swoją *Bajkę*.

Lechowicz i ród jego w niewoli. Kniaziowie ziemie im biorą, żony hańbią, ohydnie upakarzają. Ci zaś nic, tylko jęczą, bo im brak sił ducha do oporu, tak dawno dławi niewolnicza obroża. Żyje jakaś wątła nadzieja wyzwolenia, lecz ani Jasiek ani Lechowicz nie mogą się oprzeć choćby wzrokowi poskromiciela — czy Borysa czy Piotra.

Rozumie się: to allegorya. Może nawet materyał na dramat. Ale jakże marzyć o walce tam, gdzie z jednej strony godzi wciąż w samo serce brutalny gwałt, z drugiej do szczętu starła się i zniweczyła moc odporu? Nie mówię już o akcyi, której brak; pomijam rozwój napięcia duszy pod nacieraniem krzywdy; gdyby choć trochę więcej siły wlała autorka *Wyśnionego dramatu* w Lechowiczów i Jaśka! Sentymentalnem kwileniem nikt nie

zmoże ucisku. Styl zaś *Bajki* razi mię mnóstwem zbędnych powtórzeń słów i zdań.

— To pokaż, no, to pokaż! bardzom ciekawy! Radbym ją widzieć!

— Nie drażnij! nie drażnij! Powiadam ci nie drażnij!

— E! pachnie kwiat i cudnie pachnie słodki owoc, bardzo słodki...

I tak za często.

Z prastarych dziejów Litwy wydobył Ks. Drucki-Lubecki pięcioaktowy dramat: *Tak umierali Litwini*. Tok akcyi prawie bez zboczenia podąża za *Margierem* Kondratowicza. Znany przeto powszechnie i niewątpliwie dramatyczny. I Ransdorf, i Margier, i Gerta, i Marti, i Lukunas kryją w sobie skarby dramatycznych zawikłań duszy. Kondratowicz niby jedwabnik osnuł rdzeń dramatyczny włóknem szczegółów epicznych; Drucki-Lubecki wyłuskał go z powijaków — ale pozostawił martwym. Aby tchnąć weń życie — trzeba było talentu.

Słabiuchny promyk tego boskiego daru błyska w pięcioaktowem dziele Anny Karwat p. t. *Kwiat Jagiellonów*. Znowu nie da się nic zarzucić wynalezieniu pomysłu. Losy Katarzyny Jagiellonki, siostry Zygmunta Augusta, ściganej przez Eryka XIV Wazę dają sporo dramatycznego materyału i historycznie są już dość wyjaśnione. Niestety autorka ze źródeł i opracowań polskich zna tylko Bielskiego i Górnickiego; nie zna zaś ani spółczesnej biografii nieszczęśliwej królewny z r. 1571. ani — co gorsza — pomnikowego dzieła Przeździeckiego i wcale szczegółowego szkicu Szujskiego. Stąd zaś nie tylko epizodyczność scen; stąd płytka psychologia Katarzyny, ujęta w jeden rys zaledwie: czułości rodzinnej. Jeśli dodamy zdawkowy liryzm i bardzo niewybredny język i wiersz sztuki, wypada zrezygnować z chęci przyznania autorce dramatycznego talentu, pomimo poczciwej rodzimej tendencyi dzieła. Dużo pretensyi wyziera z tragedyi w 10 obrazach Ignacego Grabowskiego p. t. *Król Stanisław August*... Tragedya czyja: Króla czy narodu? Jeżeli króla — to jakże można tragedyę tej postaci wysnuć z historycznej kroniki lat 1764 — 1768, za nawias wyrzuciwszy prawie trzydzieści lat następnych? Jeżeli na-

rodu — to jakże można skupiać wszystkie nici tragedyi w kółku najbliższego otoczenia dworu, za nawias wyrzuciwszy milion szlacheckiej hasy i resztę sił narodu? Boć przecie obraz początkowy, w którym pierwsze skrzypce dano ku pogardzie dla Polaków w ręce słowackiego awanturnika Beniowskiego, nie może uchodzić za obraz Polski, choć w nim i chłop, i Kuba, i dziewka, i Żyd, i Żydówka wtrącają swe mądre trzygroszówki.

Biorę jednak rzecz, jak jest. Domyślam się tragedyi króla. Zgadzam się nawet, że konfederacya radomska była już tragedyą i króla i narodu. Wszakże Kalinka, roztrząsając zatarg mściwej Katarzyny ze Stanisławem Augustem o dyssydentów, wyraźnie pisze: „Ten pierwszy wybuch obrażonej dumy imperatorowej wywołał w Polsce straszliwe zawichrzenie, później wywiezienie senatorów, gwarancyę z r. 1768, strącenie rzeczypospolitej do rzędu państw na pół zależnych“[1]).

Ale mojem zdaniem niełatwo w dziejach znaleźć postać, mniej nadającą się na tragicznego bohatera. W tragedyi czyn jest wszystkiem; Stanisław August nie dokonał żadnego czynu, bo chwiał się wciąż, jak chorągiewka na wietrze, pomiędzy wolą innych. W tragedyi walka z losem i walka ze sobą stanowią konieczne czynniki katastrofy; Stanisław August z losem nie brał się za bary, sam wobec przeciwności obierał linię najmniejszego oporu. W tragedyi duchowe przejścia jednostki gromadzą promienie akcyi, w dziele Grabowskiego, jak zresztą i w historyi, wykształceniem dorównywało Stanisławowi Augustowi — wielu, mocą ducha przewyższało go też wielu współczesnych. I oto stoimy wobec tragedyi, w której właściwie niema bohatera. Ludzi za to tłum; ale są to sylwetki tak niewyraźnie i niejasno szkicowane, że czynią wrażenie: jedni myśli, drudzy zamiarów, inni kaprysów, jeszcze inni zmysłowych słabostek. Człowieka natomiast — brak: — takiego człowieka, coby myślą polityczną, lub przeczuciem wybiegł w dal poza szranki własnego nosa. A byli tacy ludzie w czasie tragedyi naszego narodu? Oczywiście byli. I w tem najsłabsza strona rzekomej tragedyi Grabowskiego, że ich poszu-

[1]) Ks. Wal. Kalinka: „*Ostatnie lata panowania St. Augusta*“. Wydanie II., t. I., str. 109—110.

kiwał i nie znalazł wyłącznie w kółku królewskich dworzan. Ta tragedya — to istne wesele, istna maskarada, zapustna swawola. Aleć podobno tragedya budzi uczucia grozy i litości — po staremu. Tu żart, tu dowcip, tu śmiech, tu banalność. Jeżeli co się budzi w duszy pod wpływem tej tragedyi — to wstręt i odraza, nie groza; politowanie — nie litość.

A język twardy, a wiersz rytmicznie nieudolny, a rymy jakże mozolnie nieraz dociągane! Nawet czasem błąd gramatyczny zdradziecko zakradnie się i razi jak dziwoląg; nie mowi się po polsku: widzę lwów, bo męskie zwierzece zachowały w bierniku końcówkę mianownika; nie mówi się po polsku w wołaczu: rzeczpospolito, bo złożony ten rzeczownik odmienia się w pierwszej swej części podług odmiany rzeczownikowej, w drugiej podług przymiotnikowej.

Słowem — tragedya bezduszna i w szacie mocno zaszarganej.

Nad próbami dramatycznemi Teofila Lenarda p. t. *Podhalanka* i Jana Rozmorskiego p. t. *Przez krzyż i mękę* przechodzę do porządku dziennego; nie dla tego, żebym uważał czyto powstanie chochołowskie z 1846 r. czy martyrologię sybirską po 1863 r. za momenty źle obrane dla treści dramatycznej, lecz dla tego, że w obu dziełach wiersz urąga najmniej wybrednemu pojęciu i poczuciu poezyi. Są to zresztą zapewne pierwociny literackie i z oceną można spokojnie zaczekać do dalszego ciągu. Inaczej rzecz się ma z utworami dramatycznymi Ludwika Hieronima Morstina. Autor, wiekiem młody, drukuje dzieła swe od lat siedmiu, a plon jego twórczej pracy wcale już pokaźny.

Przeproszę łaskawego czytelnika za to, że powtórzę tu słowa, wyrzeczone w *Przeglądzie powszechnym* w 1907 r. z powodu pierwszego utworu Morstina p. t. *Na racławickiem błoniu*, pieśń udramatyzowana. „P. Morstin — pisałem — umie czuć gorąco, umie uczucia swe ująć w kształty obrazów po rzeźbiarsku plastycznych i silnych; umie tworzyć postacie i jest w nim tyleż liryka, co dramaturga. Stąd wnoszę, że rozległa dziedzina dramatycznej poezyi odsłoni mu swe tajemnicze a czarodziejskie przybytki“..[1])

[1]) „*Przegl. Powsz.*“ r. 1907: *Z niwy poetyckiej*, str. 203.

Od tego czasu poeta wydał: *Pieśni* (w 1907), *Chwasty kwitnące na rodzajnem polu* (1909), *Psalm ziemi* (1909), *Błogosławione próżniactwo* (1909), *Przed farą* (1910), *Lilie* (1912), *Szlakiem legionów* (1913), *Daniło z Ostrowa* (1913). Są w tym bogatym plonie zbiory poezyi lirycznej, jest nawet poemat epiczno-liryczny ostatni, są też i sceny dramatyczne: *Błogosławione próżniactwo*, *Lilie*, *Szlakiem legionów*. W przedśpiewie pierwszego z utworów dramatycznych usprawiedliwia poeta własne „błogosławione próżniactwo". Nie może siąść na progu domostwa i patrzeć w zachód słoneczny. Musi wypraszać z nieba „daninę nieśmiertelności". Jego myśl, niczem nie hamowana, „rozpowietrza się w miraże dziwnych słów". Gdy wyobraża swój pomnik — to niewiasta, „naszych zagród wiejska córa", tuląca do łona lutnię. Sam dramat na ograną nutę. Trzeźwy ziemianin, potrosze narodowy-demokrata, zaprosił malarza z Krakowa dla portretu żony. Malarz-poeta pięknemi słowy budzi w Pani Anieli myśli i uczucia, na dnie jej duszy uśpione. Chce opuścić męża. Ale jawią się przestrogi. Ostrzega ksiądz, ostrzega i sam artysta Karol, ostrzegają dziady, widome słupy złudnej i błędnej przyszłej drogi. Co się dzieje z Anielą? Zapewne cofa się przed hazardownym czynem. I wątek dramatyczny jeszcze słaby, i szczegóły ledwie szkicowane, i forma owiana tchnieniem Wyspiańskiego, i dziady mogłyby na Przybyszewskiego wskazać, jako na chrzestnego ojca; ale proces duchowy Anieli jest dramatyczny niezawodnie, a poezya mowy odsłania cudne światy. Każdy po przeczytaniu scen dramatycznych przyzna, że biesiadował z utalentowanym poetą.

W parę lat potem — *Lilie*. Odwagi dowodzi podjęcie motywu już wyzyskanego przez Mickiewicza, Chodźkę, Słowackiego, Kasprowicza. Pewności siebie dowodzi wysnucie dramatu z wątku balladowego, podczas gdy istota dramatu opiera się na rzeczywistości i prawdzie, jak to stwierdził już W. Hugo w przedmowie do *Kromwela*. Akcya rozwija się w młodych wiekach plemienia słowiańskiego, kiedy bujna wyobraźnia niezwyczajne tworzyła dziwy. Świat roił się od widm, rusałek, dziwożon. Natura żyła. Głębie puszcz i tonie wód pełne bóstw i boginek. Rzeczywistość i twory pierwotnej wyobraźni trudno złączyć. Udało się to Morsti-

nowi w *Liliach*. Tego cudu dokazała szczera poezya i talent dramatyzowania przeżyć wyobraźni i uczucia.

Ponad całą tak znaną nam akcyą unosi się lekka przesłona ułudy. Ani miejsce znane, ani ludzie dzisiejsi. Każda z postaci w skrócie; każdej odjęto znamiona szarzyzny. Pan, Pani, Panów Brat, Ksiądz, Gospodarz, nawet ciżba sług: — wszystkim włożone w usta słowa mocne a ważkie, słowa, kryjące treść uczuciową lub widmową grozę.

Pan ciosem w plecy z tyłu przez Panią zabity nie bez winy: ze zbrodniarzem w koronie kalał się grzechami w Kijowie. Ale nie odmówił mu poeta nimbu wielkości. „Gdy się wśród dolin chmurnolistny ptak wylęże — musi paść"; „Bóg chce, bym odkupił wielkość — wielką nędzą"; „na mnie — orła wróble z strzechy pędzą": są słowa Pana. Pani najsubtelniej wyobraźni poety się udała. Jest w niej i moc duszy, i energia zbrodniczego czynu, i żądza zmysłowa, i poczucie swej wyższości, i strach przed karą, i wiara w sprawiedliwość wyroków, i widma wyobraźni, i współżycie z naturą, i jakieś przesądne przeczucia, i pierwotna grubość w wyrazie zewnętrznym tych pierwiastków duszy. A trzeba dodać: cały ten niezwykle zawiły mechanizm duchowy rozwija się w dramacie przed okiem widza stopniowo, w miarę postępu akcyi i pod jej naciskiem.

Nad wzburzonym groźnie potokiem zdarzeń zawisa coraz posępniej cień katastrofy, jako końcowego rezultatu już to losu, już to czynów ludzkich, już to woli Opatrzności.

Pomimo tych skomplikowań świat uczuć ten sam, co u nas, tylko lęków i przerażeń pełen, tylko żarnej krwi niesyty, tylko łuną żądzy pałający, tylko do pomsty łasy i w uniesieniach bez hamulca.

I zbrodnie te same. I opór prawom Boskim jednaki. Owóż właśnie niezmieniona psychologia ludzka stanowi łącznik między odległymi wiekami a chwilą dzisiejszą: ona zasypuje otchłań wieków i sprawia, że dramat wstrząsa naszemi sercami, każe im drżeć lub litować się.

Tem mocniej, że poeta przeżył swój dramat, zespolił się ze

swemi postaciami, cierpiał z niemi, tchnął w nie czerwonej krwi strumieniem bijące życie.

Pozwolę sobie uczynić tu jedną ogólną uwagę.

Dramat nasz narodowy był, jest i będzie liryczny bez względu na zależność od dziejów. Wynika to z charakteru narodowego, jak go określają Mickiewicz i Krasiński. Zdawali sobie z tego sprawę nasi twórcy dramatyczni. Uwielbiali oni Szyllera czy Szekspira, lecz chwilowo. I Mickiewicz odwrócił się od Szyllera czy Szekspira, i Słowacki to samo. Mickiewicz, równie wielki teoretyk jak twórca sztuki, szukał własnych dróg, Słowacki oddał się w objęcia Kalderonowi, bo w nim czuł pokrewieństwo liryzmu. Z tego powodu nie budziły w nas uwielbienia epiczne dramaty Korzeniowskiego i Szujskiego. Z tego powodu Wyspiański wstępnym bojem zjednał sobie wielbicieli. Czuł to wybornie, gdy dla sceny przerabiał *Cyda* Kornelowego. Kipi w nim liryzm nakształt waru górskiego potoku w momencie wezbrania. Niema co dowodzić, że historyczny dramat może być lirycznym. Chodzi raczej o to, żeby uczucie było nie martwe, lecz żywe, żeby uzyskało oddźwięk w sercach dzisiejszych. O ile zaś cała akcya ma niem przesiąknąć, o ile ono ma stać się motorem głównym czy podrzędnym, to zależy od siły twórczego talentu.

Morstin jest dramatykiem lirycznym.

Jego twórcze spojrzenie zaziera dość głęboko w tajnie dusz, szarpanych żądzami; wyraz, jaki on daje porywom niewstrzemięźliwej żądzy, bywa o tyle śmiały, o ile malowniczy. Nie rachuje się bardzo nawet z przestrogą konwenansu. Rozcina śmiałym rzutem lancetu nabrzmiały i wzdęty wrzód ludzkiej namiętności i nie lęka się nawet obryzgania ropą zwyrodnień. Każdy atoli poeta, operujący potężną i bogatą skalą uczuć, wie, jak misternej one dopraszają się formy: słownictwa, rytmiki, rymów, obrazów, prostoty w rozmaitości skojarzonej. Morstin i tu nie czuje ubóstwa. To poeta z bożej łaski. Rym służy mu niewolniczo; rytmikę wzoruje na muzycznych motywach średniowiecznej ludowej poezyi; słownictwo czerpał w *Liliach* głównie z narzecza ludu: gędzić, weselność, gęślić, kazuje, niech siedną, święte graje, kole wsi, umrzyk, warza, rzucić zbiór kłośnej spodziewy i t. p.

Zmienia się to oczywiście, gdy akcyę przenosi w bliższe ku nam epoki, jak to uczynił w *Szlakiem legionów*, we dworze wiejskim Podkomorzego w 1797 i 1806 r.

Motywy dramatyczne: przeistoczenie się fircyka Andrzeja i arystokraty Szczęsnego na wieść o legionach w bohaterskich patryotów; posiew radykalizmu Damazego i ujemny skutek, jaki on czyni w ustroju umysłowości Heleny. Miłość ku kobiecie porywa do szlachetnych czynów polską duszę Szczęsnego tak samo, jak miłość ojczyzny przetworzyła charaktery prawe, choć obłędnymi ujęte szlakami. Na ogół dramat mniej silny, niż *Lilie*. Dwa wstępne akty dają mało akcyi, dużo słów. Służy to wprawdzie do zarysowania charakterów; jednakże wrażenie rozwlekłości narzuca się przez to, że rozmowy są nieraz bez znaczenia, zdawkowe, czasem zimne: proszę porównać miłosne tyrady Szczęsnego (w ak. I. sc. 7) lub mówki o winie (w akcie II). Nie przeczę: akcenty dramatyczne zaczynają mnożyć się i potężnieć od połowy drugiego aktu, to jednak całości nie ocala. A postać Heleny nie podoba mi się. Nawet mi nie chodzi o historyczną możliwość takiego typu, tylko o niekonsekwencyę uczucia ku Szczęsnemu. W r. 1797 Helena na naleganie ojca, aby przyjęła afekt Szczęsnego, wyraźnie mówi:

Ależ, ojcze, ja nie mogę
iść bez miłości za mąż!
Ja go nie kocham.

Wyszła zatem za innego za mąż — zapewne z miłości. Aż oto w 1806, gdy Szczęsny wrócił, ona mająca męża, dzieci, prawi o „snach złocistych przeszłości", o „duszy przed laty zgubionej", o „wielkim strumieniu potężnej miłości", gotowa dom rodzinny rzucić, na kraj świata iść za Szczęsnym; gdy zaś Szczęsny radosną czyni wzmiankę o swem powróceniu ojczyźnie", ona bluzga:

To są próżne hasła!
Nic duszy, gdy o szczęście woła, nie ukoi.

Mógłbym jej łatwiej przebaczyć dekadenckie słowa:

Przy wielkiem kochania święcie
grzać się przy ognisku serca,
ślubnego nie trza kobierca,

tego całego obrzędu,
co jest pogrzebem kochania;

ale takich psychologicznych łamigłówek darować nie mogę i dla tego: nie podoba mi się.

P. Morstin, odpisując na ankietę *Świata*, rozumnie zaznaczył: „za najlepszą uważam tę sztukę, której jeszcze nie napisałem, i sądzę, że to jest konieczny warunek rozwoju". Życzę z całego serca i literaturze ojczystej i p. Morstinowi, aby jego niepospolity talent dramatyczny rozwijał się przy współudziale sumiennej naukowej i artystycznej kultury w słońcu rosnącego uznania i sławy.

Skoro już mowa o talentach dramatycznych ostatniej chwili, to pierwsze miejsce należy się p. Lucyanowi Rydlowi. Rozumie się, p. Rydel jest poetą nie od dziś ogółowi polskiemu znany. Nie mam zamiaru analizować ani początkowych jego prób dramatycznych, ani *Zaczarowanego Koła*, ani *Bodenhainu*, ani *Na Zawsze*, choć wolno nie podzielać zdania, jakoby ten właśnie dramat był „najwięcej skoncentrowany i psychologicznie pogłębiony". Najlepszym dramatem pana Rydla obok *Zaczarowanego Koła* jest trylogia p. t. *Zygmunt August*. P. Rydel należy do szczupłej garstki naszych poetów dzisiejszych na miarę Fidyasza. Posiada on wielki dar pięknego słowa, wyobraźnię plastyczną w obrębie odtwarzania uczuć szczerych, szlachetnych; umie do łez wzruszyć, blaskiem szczęścia napełnić duszę; umie wzbudzić rozradowanie estetyczne lub cichym smutkiem i zadumą rozniecić tęsknotę za niepowrotnie minionem. Gruntowne wykształcenie i wprost niezwykła sumienność dozwoliły mu w czas tworzenia dramatu o losach ostatniego Jagiellona zaznajomić się z bogatym materyałem do epoki złotego wieku. Ale poeta nie zgubił się w historyi, jak to się stało z Szujskim. Umiejętnie i z niepospolitym rozmysłem artystycznym, nie lekceważąc szczegółów zdobniczych, zgromadził światła i cienie na wybitnych momentach dziejowego toku. Uzyskał przez to kompozycyę jasną i prostą na kształt klasycznych wzorów. Na przepysznie barwnem tle wieków odrodzenia, wzorzyście przystrojonego odblaskiem włoskiej sztuki i kultury, odsłania trylogia zabiegliwe krzątanie się wawelskiego

grona wielmożów około spraw krajowych i osobistych. Ale na czoło wybija się we wszystkich trzech częściach Zygmunt August — syn, kochanek i król, ukazany jako człowiek, ponad otoczenie głową wyniosły. Nie ideał, nie bohater bez skazy, nie wcielenie jednej pożerającej wszystkie duszy władze namiętności, lecz po ludzku rozłamany na pragnienie osobistego szczęścia i pragnienie dobra ogółu. Ta druga rola w miarę rozwoju zdarzeń i pogłębienia wewnętrznej walki ogarnia pod koniec króla niepodzielnie. *Zygmunt August* jest najpiękniejszym historycznym dramatem ostatniej doby. A jest nim zwłaszcza dzięki wielkiej ilości uczuciem bijących scen, dzięki niezrównanej rytmice i wytworności wiersza i dzięki mistrzowskiej stylizacyi mowy XVI wieku. Mamy bowiem wbród piszących dziś znakomitych stylistów, ale tak jak p. Rydel stylizować dawnej mowy polskiej — nie potrafi nikt. Ostatnie chwile naszego dramatu pozwalają wróżyć powodzenie w tej dziedzinie poezyi dwom talentom: Józefowi Wiśniowskiemu i Feliksowi Płażkowi.

Pierwszy już w dwóch częściach *Doliny łez* umiał bolesnym przeżyciom r. 1905 nadać nieraz wstrząsający do głębi wyraz; umiał w wyższej jeszcze mierze w *Leci liście z drzewa* przejąć widzów bólem na wspomnienie narodowej niedoli i podnieść czarownem słowem wieko trumny, w której ukazało się oblicze nigdy niezgładzone w sercach i pamięci.

Te strofy krwawej pieśni, wysnute z elegii W. Pola, z przecudnych obrazów martyrologii naszej Grottgera, owiane tchnieniem mogił ofiar w bitwie pod Miechowem ze styczniowego powstania, dowodzą, że lutnia dramatyczna p. Wiśniowskiego bogata w głębokie i porywające brzmienia bólu. Talent ten całą swą istotą tkwi w plemiennej duszy, tak rodzimy, jak rzadko który z dzisiejszych, pokrewny talentowi Rydla, w treści i formie swych pomysłów szlachetny. W pięciu strofach „*Leci liście z drzewa*“... w swej wyobraźni znalazł Krzesza i Martę, Tadeusza i Kazimierza a nawet Mieszka, Rafała, Tracza i Stefana Tokarskiego, Szymona i Zosię, to znaczy trzy pokolenia bohaterów ze szlachty, bohaterów ze służby i bohaterów z ludu, wspólnem uniesieniem miłości ojczyzny zbratanych, two-

rom wyobraźni dał tyle mocy i tak przejmującem ożywił je uczuciem, że do łez wzruszają. Ale p. Wiśniowski na swej bogatej palecie ma i słoneczne farby. *Sen dnia letniego* — wszak to cudowna, uszczęśliwieniem polskie serce napawająca, wizya wiejskiego białego dworu, tak nam znanego i ukochanego dzięki *Tadeuszowi* i *Ślubom panieńskim*. Czy to przekomarzania się zacnych staruszków Radwana i Anny, czy cytaty „antologii poetów" Krasuskiego, czy brawura dwojga dzielnych Racławickich, czy zastrzeżenie, skrupuły i uległa odporność Stefana i Oleńki: jakież to wszystko już, niestety, minione i takie dalekie, zda się, od zgrzytliwych przeżyć dzisiejszego świata, a takie drogie, serdeczne i kochane. Prawdziwy *Sen dnia letniego*. Komu dokuczy mętny potok życia, kogo zmrozi nie już szarzyzna, ale nikczemność miałkiego i złego świata, ten w dziełach p. Wiśniowskiego znajdzie nie tylko piękno i pietyzm dla formy, lecz — pociechę i ukojenie dla serca, bo ten poeta nie „odgrodził się od miłości przepaścią słowa", jakby powiedział Krasiński.

P. Płażek zaś i w *Eirene* i w *Trzech strunach* dotąd wsłuchany w jęki duszy naszemu plemieniu obcej, jak gdyby stroił własny bardon do pełnego tonu, jakgdyby szukał godnych talentu swego motywów. Ale w obu książkach, a zwłaszcza w *Legendzie o Królowej Alkestis* i w *Zwiastowaniu* znajdą się dramatyczne akcenty takiej siły, wyrażone w obrazach wierszem i językiem tak niezwykle pięknym, że tylko chwila czasu dzieli nas od dramatycznego utworu w większych ramach, w których skojarzą się dodatnie znamiona pomysłu, kompozycyi, treści i formy.

V.

Taki przegląd kilkudziesięciu dramatów z lat ostatnich usposabia do rozmyślań nad losem tego rodzaju poezyi.

W świecie odbywa się wciąż jeszcze potężna przemiana. Rodzi się namiętna żądza wyższego życia duchowego. Na wszystkich krańcach spółczesnej kultury dostrzegamy przejście do uduchowienia po długiej nocy materyalizmu. Czuje się ogromny wiew ducha. Mistycy, teozofowie, sekciarze różnych nazwań, pątnicy

z ludu i pątnicy z inteligencyi, — wszyscy łakną przeobrażonego życia — duchowego. Coraz częściej słyszymy o pustelnikach i ascetach, zrzekających się dosytu ziemskiego na rzecz wieczności. Chrystus zstąpił na świat i działa w świecie Jego moc. Wzniosłe to zadanie i olbrzymia potrzeba, iżby owa przemiana odbyła się pod znakiem chrześcijanizmu. Ludzie talentu i ludzie dobrej woli powołani nie do gaszenia zbożnego pożaru serc, lecz do rozświetlania mrocznych dróg. Przy blaskach olśniewających pochodni ich podążą rzesze ku słońcu wiekuistego ideału. Żaden kształt poetyczny nie zbliża się tak bezpośrednio do ludzkiej duszy, jak dramat. A dusza ludzka, każdy to wie, ma sezamy, tajemnych skarbów pełne. W. Hugo powiedział: *Il ya un spectacle plus grand que la mer — c'est le ciel; il y a un spectacle plus grand que le ciel, c'est l'intime d'une âme*".

Cóż mówić o zbiorowej duszy plemienia! O zbiorowej duszy ludzkości!

Ale nie każdemu poecie wypisano na czole: wielkość. I kuszenie się o sfinksowe zagadki sprawia, że oto słychać dziecinne szczebioty i kwilenia, udające dramaty idei wiekuistych zamiast gromowych wołań z góry Synai.

Dramat zaś współczesny ma węższy zakres. Ale dla czegóż treść jego ograniczać do jednej krynicy instynktów? Dla czego w ruch sceniczny wprawiać „miałkie dusze, raczej bezduszne szkielety, czerpiące moralność całą z etykiety?" W nich tętno wyższych niesobkowskich uczuć zamarło. Możeby odpowiedniej było przejść drogę doświadczeń i współżycia z ogółem swoim, udoskonalić się najpierw samemu przez bystrą wnikliwość w swojskie sprawy, przez głębokie uczucie, przez opanowanie się i ukojenie, ażeby przez artystę nietylko przepływał strumień piękności, lecz żeby on sam stał się pięknością — jak mówi Krasiński.

I w tej dziedzinie dramatu Młoda Polska poza Wyspiańskim nie wydała znacznego dzieła. Pozostaje dramat historyczny.

My, więcej niż inne szczęśliwsze narody, skazani jesteśmy na wydobywanie z przeszłości takiej treści, którąby nam była dźwignią w trudnem życiu. To też i dramat historyczny najwięcej ma warunków zespolenia się duszy zbiorowej ogółu z duszą artysty.

Ale trzeba przeszłość znać, umieć ją obrazować, czuć się z nią plemiennie złączonym, ożywić ją pietyzmem i mieć trochę zmysłu filozoficznego, aby w oceanie szczegółów nie utopić ducha całości.

I z dziejowym dramatem u nas zaledwie nieliczne talenty umieją sobie radzić.

Oczywiście każde dzieło twórcze w toku powstawania piętrzy trudności niezliczone. Byłoby sprawą nazbyt dogmatyczną i bezcelową regestrować tu owe trudności. Dla przykładu jednak dotknę bodaj dwóch zagadnień: jedno odnosi się do istoty historycznego dramatu, drugie do jego formy.

— Pierwsze — jaki stosunek poety — dramatyka do historycznej treści?

Poecie wolno w historyczną treść wplatać własne zamyślenia. Wolno mu wprowadzać własne postacie, wolno otaczać je własną dekoracyą, wolno nawet poddawać niebyłe pobudki. Rzecz znana. Historyk opisuje zdarzenie, jak się rzeczywiście stało, a poeta — jak stać się mogło. Jednakże wszystko pod jednym warunkiem. Różnica między dziełem historycznem a dziełem sztuki jest ta, że drugie musi wywołać w duszy czytelnika wrażenie piękna. Stąd nieodzowna potrzeba idealizowania. Idealizować — to znaczy postacie i sprawy podnieść na wyższy poziom zwykłego biegu rzeczy, to znaczy otrząsnąć z postaci i rzeczy wszelki miał i pył codzienności, to znaczy wszystko zmyślenie zlać z historyczną prawdą w monolit spiżowy, bez skazy, to wreszcie znaczy ożywić go i ogrzać gorącem uczuć wyższych i oświetlić promieniami idei.

Drugie zagadnienie: czy i jak archaizować styl i język? Gdyby rozpisać ankietę na pytanie czy, to większość poetów dałaby odpowiedź twierdzącą, bo większość za Wyspiańskim archaizuje. Lecz jakże nieudolnie! Mowa nasza w przeszłości miała odmienną składnię, odmienny tok, odmienne słownictwo, odmienne sposoby obrazowania, różne przysłowia, odrębne wersye potoczne, w różnych czasach rozmaite przeżytki morfologiczne; ale mowa nasza w przeszłości miała też w różnych dzielnicach własne złe czy dobre właściwości, odmianki, naloty z żargonu i gwary, odcienie i przegłosy wymowy. Wszakże nie dość jest wy-

łuskać z pierwszych lepszych językowych zabytków bez braku i krytycznego zmysłu setkę dziwolągów, jak zająca słoniną naszpikować nimi dzisiejszy kiepski styl i przypiąć temu bigosowi hultajskiemu ponętną etykietę: marcepan z XVI wieku. Za pozwoleniem! Języka przeszłości uczyć się trzeba na najlepszych wzorach, a przenosić do dzieł dzisiejszych nie najjaskrawsze, lecz w umiejętnym i doborowym układzie najbardziej znamienne dla danego wieku i najwłaściwsze dla danej postaci zwroty. Sprawa zgoła niełatwa, jeśli się zechce pilnować i tego wskazania naszych znakomitych poetów i powieściopisarzy, aby każda postać mówiła własnym językiem. Ekonomia i dyskrecya obok gruntownej wiedzy, pietyzm dla przeszłości i artystycznego uczucia naszeptywały swe wskazania takim naszym stylizatorom dawnego języka, jak Mickiewicz, Rzewuski, Sienkiewicz i Rydel.

Przed laty dziesięciu kończyłem uwagi swe o dramacie Młodej Polski wyrazem nadziei, że poezya nasza XX. wieku rozbłyśnie dzięki wielkiemu jaśnieniu dramatu. Namiętny i zaściankowy upór Młodej Polski przy własnej dogmatycznej formułce niemal że unicestwił rozwój dramatu ideowego i społecznego. Jednakże wrota do dramatu przeszłości rozwarły się przez dzieła kilku wybitnych talentów szerzej. I dziś wolno mi z naciskiem podkreślić pamiętne słowa Mickiewicza: dramat nasz narodowy — to dramat historyczny.

Antoni Mazanowski.

Metody w pracy społecznej.

Referat wygłoszony na kursie społecznym w Krakowie.

(Dokończenie).

III. CAŁOKSZTAŁT ŻYCIA NARODOWEGO, ŻYCIA KATOLICKIEGO, ŻYCIA SPOŁECZNEGO.

Następnie praca społeczna nie może być połowiczna lub zadowolnić się jednem dziełem pracy w danej miejscowości, ale musi być całkowita. Bo inaczej tak pojęta praca będzie podobna do uszkodzonego okrętu, w którym choć jedna lub dwie szpary się zatka, to jednak pójdzie na dno, bo nie potrafiono zatkać wszystkich.

Stąd praca społeczna musi objąć wszystkie niedomagania, potrzeby i zagadnienia tak spraw ogólno-ludzkich, jakoteż całokształt życia narodowego, życia katolickiego, życia społecznego.

§. 1. Praca społeczna na wsi.

Pokażę to na przykładzie. W parafii N. N. niedomagania są liczne, potrzeby jeszcze większe. A więc nie wystarczy założyć czytelnię lub kółko rolnicze, kasę Raiffeisena, szkołę gospodarczą, jedno i drugie bractwo, ale trzeba się obejrzeć, co się dzieje z młodzieżą, zwłaszcza pozaszkolną od lat 14 aż do poboru wojskowego. Kto tę młodzież wychowuje, co robi, jak pracuje, jak przepędza wolne chwile, i t. d. A przecież o tym dziale pracy społecznej nad młodzieżą poza szkołą

i rodziną, już dawnymi czasy kardynał Vaughan głęboką prawdę powiedział:[1]) „Trudno wypowiedzieć, jak ważną jest rzeczą rozciągnąć pieczę nad młodzieżą po ukończeniu szkoły. Cała przyszłość, może zbawienie tych dzieci, zawisło od wrażeń, jakie w tym czasie odbiorą".

A jak zaniedbane jest uświadomienie patryotyczne. Historyi polskiej przeważnie nie wiele znają. Na zapytanie, czy są Polakami, częstokroć młodzieńcy, dziewczęta, a nawet starsi nie umieją odpowiedzieć. A już wprost niemal nikt nie odpowie, na czem polega prawdziwa miłość Ojczyzny, a jaka jest miłość Ojczyzny fałszywa lub zdawkowa. Czy tego ugoru społecznego na gwałt nie trzeba uprawiać?

A jaka wielka luka w pracy społecznej po naszych wsiach, to zaniedbanie kobiety wiejskiej. Kto ją dziś wychowuje do życia gospodarczego, narodowego, politycznego? Nikt. Rośnie jak to skarłowaciałe drzewo w lesie! Wszak to praca nie cierpiąca zwłoki.

Trzeba nadto i to koniecznie zwrócić uwagę na pijaństwo ludu. Czy bractwo wstrzemięźliwości wystarcza, czy nie trzeba koniecznie może zaprowadzić katolickie związki abstynenckie osobno dla starszych, osobno dla młodzieży, osobno dla dzieci? Może to jedyny środek przeciw opilstwu naszego ludu.

Dalej około naszych domów wiejskich jeszcze brudno, góry gnoju i błota. Drzew owocowych niema, kwiatów nie znają. Oto znowu osobny dział pracy społecznej.

Obok tego znowu emigracya dziesiątkuje parafię. Rodzice niewiedzą, co z dziećmi zrobić, jak im zapewnić byt, jak im dać stanowisko. Nikt nie wskaże drogi, nikt nie pouczy. Ot znowu pole osobnej pracy społecznej.

Po naszych wioskach kradzieże tak są dziś rozpowszechnione, że w wielu miejscach przychodzi do tego, że nikt nie je własnych owoców ze swego sadu, lecz tylko kradzione. Ten temu ukradnie, a drugi mu odkradnie. Takiego społeczeństwa złodziejskiego

---

[1]) O. Gutbert: *„Ideały katolickie społeczne"*. Str. 140. I. część.

jak nasze, w cywilizowanych krajach chrześcijańskich chyba niema drugiego. Oto znowu pole do pracy społecznej.

§. 2. Praca społeczna po miastach.

Mutatis mutandis, to samo można powiedzieć o pracy społecznej po miastach i miasteczkach, lub miejscowościach przemysłowych. Tu znowu stają przed naszemi oczyma i wyciągają błagalne ręce sprawy robotnicze i rękodzielnicze, drobny przemysł polski, a zwłaszcza rozbite małomieszczaństwo i spoganiała inteligencya, która na ogół dzisiaj odwróciła się u nas w Polsce od Kościoła i religii, lub dlań całkiem zobojętniała. Odzyskanie więc sfer wykształconych i wychowanie inteligencyi gorąco wierzącej i szczerze Kościołowi oddanej, toć to pole, dziś leżące odłogiem i potrzebujące na gwałt pracy i uprawy społecznej.

A nasze małomieszczaństwo rozbite, wynędzniałe, ledwo zarabiające na kawałek chleba, w niewoli ekonomicznej, zależne od ludzi nie mających z nami ni wiarą, ni narodowością styczności, to istny helotyzm polski, bez energii, bez wyższej kultury, bez rozumu gospodarczego, wieszający się klamek pańskich, lub wysługujący się rozmaitym partyom, toć to dział pracy społecznej jeden z najważniejszych i najkonieczniejszych.

Jak więc widać: Kościół i Ojczyzna, wieś i miasto dziś zewsząd są wystawione na rabunek, pełne niedomagań i potrzeb. A przecież to są skarby nasze najdroższe. Bo gdybyśmy je stracili, to cóż nam pozostanie?! Więc trzeba stanąć na straży tych skarbów i nie pozwolić żadnemu z nich zginąć i zmarnieć. Polak i Polka nie byliby dobrym synem ani dobrą córką Kościoła katolickiego, ani dobremi dziećmi ojczyzny, gdyby obojętnem okiem patrzyli, jak przez szczeliny nawy okrętu Kościoła i Ojczyzny woda się wdziera i je zatapia. A więc do pracy społecznej, ale pracy ogarniającej całokształt życia gospodarczego, narodowego, katolickiego i społecznego.

IV. PIERWIASTEK RELIGIJNY W PRACY SPOŁECZNEJ.

Przystąpmy teraz do metody pracy społecznej, można powiedzieć w całej pełni i prawdzie, najważniejszej, nietylko z natury swego stanowiska, ale i owocodajnych, prawdziwie trwałych a pożytecznych rezultatów. Tą metodą pracy społecznej jest pierwiastek religijny.

Prawda, że religia nie jest wszystkiem w pracy społecznej, ale wszędzie powinna ją nawskróś przenikać.

Prawda, że nie wszystkie działy pracy społecznej jednako potrzebują pierwiastka religijnego, zależy to od celowości pracy. Kasa lub jakaś instytucya współdzielcza, i t. p. ma za istotny cel dostarczenie swoim członkom jak najwięcej zysku i korzyści materyalnych, nie można ich zamieniać na instytucyę propagandy religijnej. Jest to zabójcze nawet dla samej religii, jeżeli na szyldzie mówi się tylko o taniości towarów, a w sklepie — tylko o religii i polityce.

Jakkolwiek w pracy społecznej trzeba na pierwszem miejscu kłaść pierwiastek religijny i moralny, to jednak zajęcie się duchową stroną społeczeństwa nie odbywa się kosztem jego dobrobytu materyalnego, przeciwnie wzmaga ten dobrobyt, utrwala ład społeczny. To staranie jednocześnie o potrzeby duszy i ciała przywraca nadwerężoną harmonię życia społecznego, prowadząc duchowy rozwój człowieka w parze z materyalnym.

Jest ono głębokiem zrozumieniem dzisiejszej pracy społecznej, której nie można „sprowadzić jedynie do zapewnienia każdemu pełnej misy i wygodnego mieszkania".

Musimy stwierdzić, że pierwiastek religijny jest nieodzownie potrzebnym, gdyż rzuca prawdziwe światło na całą akcyę społeczną, jasno określając jej cele, środki i drogi. Bez tych promieni nadprzyrodzonych akcya społeczna będzie błądzić, wykolei się, wejdzie na manowce, a może nawet się rozbić, wśród fałszu i namiętnosci i po latach, latach wielu żmudnej pracy, będą musieli sobie powiedzieć „*in vanum laboravimus*", — napróżno pracowaliśmy, — a to jest straszne słowo i tyle razy już w Polsce jęk ten złowrogi słyszeliśmy. Brak tego pierwiastka

w naszej akcyi społecznej jest największem źródłem chaosu i zamieszania, bo jak słusznie Schöffle powiedział: „kwestye społeczne chwili bieżącej mogą wprawdzie wyłącznie być traktowane przez ekonomistów z ekonomicznego stanowiska, ale rozwiązać je można całkowicie tylko przy współdziałaniu wszystkich moralnych potęg".

Stąd i do akcyi społecznej są zwrócone słowa Chrystusa Pana: „*Szukajcie najprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydano*". (Mat. VI. 32).

Praca społeczna bez pierwiastka religijnego nie odróżniałaby się od pracy społecznej nowoczesnych pogan, i słusznie by ją spotkał zarzut Chrystusa „*Tego wszystkiego poganie pilnie szukają*". (Mat. XVI. 26).

Dlatego to Leon XIII. w Encyklice „*Rerum Novarum*" powiedział: „Jasnem i oczywistem jest, że za najważniejszą sprawę trzeba uważać wzrost pobożności i dobrych obyczajów, ten wzgląd przed wszystkimi innymi przejawiać się powinien w całem urządzeniu stowarzyszeń". To, co powiedział Leon XIII o stowarzyszeniach, tosamo można powiedzieć o całej pracy społecznej.

§. 1. Przemateryalizowanie pracy społecznej.

Ale najbardziej potrzebnym jest pierwiastek religijny dlatego, by praca społeczna, która z natury rzeczy najwięcej około spraw materyalnych się krząta, w gonitwie za chlebem, pieniądzmi i polepszeniem bytu, nie straciła z oka i życia — dobra najwyższego i ostatecznego, jakimi są: Bóg, dusza, życie nadprzyrodzone i wieczność, czyli by praca społeczna nie przemateryalizowała się.

Z historyi dotychczasowej pracy społecznej aż nadto przekonać się możemy, jak usunięcie pierwiastka religijnego, lub traktowanie go ubocznie, pobieżnie, drugorzędnie, stało się źródłem fatalnych błędów i opóźnienia w rozwiązaniu wielu kwestyj społecznych, a nawet wprost nieobliczone szkody przyniosło samej akcyi społecznej. Stwierdza to praca społeczna

naszych wrogów, którzy tyle w nią włożyli talentów, czasu, pieniędzy, pracy, a rezultaty są „*in vanum laboraverunt*" — napróżno pracowali. Stwierdza tę prawdę i wiele prac społecznych, podjętych przez chrześcijańskich socyologów i działaczy współczesnych, czyto w Belgii, czy Francyi, czy w Ameryce, że ilekroć akcyę społeczną przemateryalizowali wyzbyciem i zepchnięciem na szary koniec pierwiastka religijnego, to musieli sobie powiedzieć na końcu „*in vanum laboravimus*" — napróżno pracowaliśmy.

A nasza praca społeczna w Polsce pod wszystkimi trzema zaborami czyby nam nie dostarczyła dowodów? Wszak wiele prac społecznych podjętych nie rozwinęło się, lub zwyrodniało, lub w ruinę się rozsypało, li tylko dlatego, że siedziby ich stały się albo domami zabaw, albo prostymi kramami jarmarcznymi i targowiskami.

Stąd to w świetle pierwiastka religijnego w całej pełni dopiero zrozumiemy, dlaczego to Chrystus Pan tak żąda od wszystkich, a więc od wszystkich działów akcyi społecznej, byśmy się nie dali przemateryalizować. Żądanie to nie jest żądaniem idealisty lub marzyciela, ale Chrystusa, Boga-człowieka, który najgłębiej i najwszechstronniej znał naturę ludzką i niedomagania i potrzeby człowieka, który naucza i żąda tego wyrzeczenia i wyzwolenia od zbytniego materyalizmu, właśnie dlatego, że przejrzał aż do dna otchłań niebezpieczeństwa przemateryalizowania i zdeprawowania przez zbytnie przywiązanie i troszczenie się o mamonę tego świata.

Dlatego Chrystus Pan powiedział: „*Szukajcie tedy naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydano*". Przez te słowa Chrystus Pan nie chciał w pracy społecznej osłabić działalności zarobkowej lub troski i energicznego starania się o polepszenie bytu materyalnego i powiększenie dóbr doczesnych, ale chce przez nie nas zwrócić do ogniska, jakiem jest Bóg, wieczność, życie nadprzyrodzone, dążenie do celu ostatecznego, w którem to ognisku pierwiastka religijnego dopiero życie doczesne nabiera prawdziwego oświetlenia, nie przeceniając jego wartości, a zostawiając mu jego wpływ

i znaczenie, chce zwrócić przez nie do tego ogniska, gdzie praca zarobkowa i wszelki postęp potęgi ekonomicznej i kulturalnej się hartuje i nabiera trwałości, gdzie oczyszczając się z przymieszek złych i wyzbywując się wszelkich szkodliwych przypadłości, nabiera siły życiowej, pożytku, prawdy i dobra. Dlatego głęboką prawdę wypowiada Perin[1]) że *„najpotężniejsze będzie to społeczeństwo, w którem warstwy najliczniejsze będą posiadały cnoty, stanowiące siłę i wielkość duszy, a przez duszę i siłę i wielkość wszystkiego innego"*.

Stąd, by pracy społecznej nie przemateryalizować, jest rzeczą konieczną, by członkowie stowarzyszeń czysto gospodarczych, zawodowych i oświatowych należeli równocześnie do stowarzyszeń czysto religijnych, jak do Kongregacyj Maryańskich, Towarzystw Eucharystycznych, i t. p.

§. 2. Ręce czyste w pracy społecznej.

Wskazując na powyższą metodę pracy społecznej, trzeba koniecznie zwrócić uwagę jeszcze na dwie własności tej ostatniej metody.

Pierwsza to, że praca społeczna, to ziemia święta. Każdy, kto do niej przychodzi i na niej chce pracować, przedewszystkiem powinien serce oczyścić z wszelkiej pychy, zmysłowości i samolubstwa i oglądania się na pożytek swój własny, lub względy li tylko partyjne. Każdy, uprawiając tę ziemię akcyi społecznej, powinien sam być oczyszczonym z brudów myśli i serca, a ręce czyste i nieskazitelne do pługa przy pracy społecznej przykładać.

Dla tego słusznie mówi socyolog angielski Gutbert[2]) „kto się chce poświęcić pracy społecznej, powinien zrozumieć, że praca skuteczna, owocna ma źródło w głębi duszy, wymaga dojrzałej cnoty. Kapłan, który chce należycie spełnić swe posłannictwo, winien w sobie rozwijać kapłańskie powołanie i kapłańskiego ducha, jeżeli tego zaniecha, niczego nie dokona. Ta sama zasada odnosi się i do świeckich pracowników."

[1]) Bogactwa w społeczeństwie chrześcijańskiem.
[2]) O. Gutbert: *„Ideały katolickie społeczne"*. Str. 84.

„A jakiż duchowy wpływ może wywierać człowiek, który o swój własny rozwój duchowy się nie troszczy?" lub jak w innem miejscu mówi tenże sycyolog[1]) „Na co się zda zakładać dobroczynne związki, starać się i życie ubogich mas ludowych czynić lżejszem, jeśli w prywatnem życiu kierujemy się samolubstwem i niesprawiedliwą zasadą?... inaczej, co jedna ręka zbuduje, to druga burzy. Działacz społeczny zatem musi być człowiekiem religijnym w ścisłem znaczeniu słowa."

To też do tych wszystkich, którzy są powołani do kierowania pracy społecznej, woła papież Pius X., że mają być „ludźmi prawdziwej pobożności, męskich cnót, czystych obyczajów, życia tak nieskazitelnego, aby służyli wszystkim jako przykład skuteczny".

§. 3. Otwarty sztandar katolicki w pracy społecznej.

Do tej medody pierwiastku religijnego, siłą konsekwencyi jest rzeczą konieczną, by wszelka praca społeczna miała nietylko kontakt z miejscowym biskupem i jego „placet" jako swej głowy najwyższej, ale by przez biskupa każdy dział pracy społecznej wszczepiony był w Kościół św. katolicki, jak jest każda winna latorośl wszczepioną w macicę winną. Inaczej odcięta od pnia żywotnego powoli więdnieje i zamiera.

Z tem łączy się siłą logiki, że wszelka praca społeczna u katolików musi jasno i otwarcie rozwinąć sztandar katolicki. Minęły już te czasy, gdy sądzono, że w pracy społecznej katolików, można niekiedy w zanadrze schować sztandar katolicki.

Taka doktryna już się nie ostoi wobec jasnych poleceń papieskich i smutnych wyników takiej metody pracy społecznej.

Stąd nietylko działy pracy i stowarzyszenia z natury religijne jak Kongregacye maryańskie, Towarzystwa Eucharystyczne, lub założone w obronie wiary katolickiej i kultury katolickiej, ale wszelka akcya społeczna powinna jasno i otwarcie przyznawać się do katolicyzmu.

---

[1]) O. Gutbert: Str. 83

Czy to jest uniwersytet, szkoła i oświata, czy to wstrzemięźliwość i abstynencya od alkoholu lub nikotyny, czy to jest sport i gimnastyka: wszystko powinno i musi być katolickiem, jeśli chcemy, by Boże błogosławieństwo spoczęło na tej pracy.

Metoda „swój do swego" przeprowadzana być powinna nietylko w sprawach czysto gospodarczo-polsko-narodowych, ale i katolickich.

Niech sobie abstynencyę czy sport, ćwiczenia gimnastyczne, skautowe czy strzeleckie uprawiają żydzi i masoni, ateusze i renegaci.

Nie możemy im tego bronić, ale cieszyć się nawet trzeba, i nawet miłościwie z nimi zachować formy towarzyskie i sąsiedzkie. Jednak swą pracę społeczną Katolicy-Polacy muszą obrabiać i prowadzić przedewszystkiem sami wśród siebie i na pierwszem miejscu dla siebie. Talenty swe, siły swe, zdrowie swoje, pieniądze, wpływy swoje, przedewszystkiem oddawać na sprawy i na dzieła polsko-katolickie. Nie wynika z tego, by Polacy-Katolicy względem innych narodów i wyznań lub stronnictw musieli być bezwzględnie nieuczynnymi.

Miłość i miłosierdzie jest cechą religii katolickiej, a więc i w akcyi społecznej miłość i miłosierdzie powinno i musi być stosowane nawet do największych wrogów, przeciwników partyjnych, ale pod warunkiem — bez szkody własnej akcyi społecznej.

Stąd słusznie mówi Gutbert: „Nie trzeba też ograniczać swych starań wyłącznie do katolików, chociaż im się należy pierwszeństwo. Miłosierdzie nasze musi sięgać poza granice Kościoła i ogarniać tych, którzy żyją bez wiary, a może nawet bez żadnych religijnych pojęć".[1])

A więc powinniśmy tę metodę w ten sposób zachować. Uderzać na wroga falangą np. na alkohol, nikotynę i t. p., a pracować i chodzić każden z osobna. Tak czyni dobrze uporządkowane wojsko. Pojedyncze wojsko idzie obok siebie, a razem wspólnie, jeśli potrzeba, uderzają na wroga.

---

[1]) *„Ideały katolicko społeczne"* Str. 138.

Tak n. p. pobratymcy Czesi, Morawianie, Słoweńcy i Chorwaci odłączyli się od akatolickich sokołów i utworzyli katolickich orłów, wychodząc z tej prostej zasady, że katolik czy jako krzewiciel oświaty i abstynent, czy jako gimnastyk i sportowiec, czy jako śpiewak, tancerz i aktor powinien i musi być otwarcie katolickim, gdyż niema miejsca na ziemi i chwili w życiu ludzkiem, by człowiek nie potrzebował się oglądać na prawo Boże, zasady i wskazówki Kościoła katolickiego, który na to przez Chrystusa jest ustanowion, byśmy zawsze i wszędzie odbywali pielgrzymkę do wieczności, oparci o niewzruszoną skałę i prawdę Kościoła katolickiego.

§. 4. Prasa katolicka w akcyi społecznej.

Pokazując konieczność metody pierwiastka religijnego w pracy społecznej, zostawilibyśmy wielką lukę i te metody chromały by, gdybyśmy choć słówkiem nie wspomnieli i to z naciskiem o potrzebie katolickiej prasy.

Niemcy katoliccy w swej pracy społecznej tę metodę streścili w formule „trzech *ieren*“ — *abonnieren*, *inserieren* i *correspondieren* — t. j. 1) *abonnieren* — przedpłata dzienników katolickich jest ścisłym obowiązkiem każdego katolika, 2) *inserieren* — zamieszczenie ogłoszeń jest to obowiązek społeczno-katolicki przedsiębiorców, handlowców i przemysłowców katolików, 3) *correspondieren* — przesyłanie wiadomości najświeższych dla dziennika należy do tych wszystkich, którzy mogą posiadać pewne wiadomości o wypadkach i nowinach pożytecznych.

Praktyka „trzech *ieren*“ potężnie wpłynęła na wysoki rozwój katolickiego dziennikarstwa niemieckiego, a przez dziennikarstwo na całą pracę społeczną. Tosamo można powiedzieć o katolickich Słoweńcach. Niespełna naród dwumilionowy ma kilkadziesiąt katolickich pism i milionowej wartości dom prasowy w Lublanie. Pod pewnym względem my Polacy możemy się pochlubić prasą katolicką pod zaborem pruskim.

Trzeba oddać słuszność duchowieństwu tak niemieckiemu jak słoweńskiemu, jakoteż polskiemu z pod zaboru pruskiego,

że popiera ono usilnie prasę katolicką, czyto przez jej rozszerzanie, czy zasilanie artykułami piór wyrobionych.

Co nas dalej szczególnie uderza przy rozpatrywaniu prasy codziennej w Niemczech, czy wśród Słoweńców, to ta prawdziwa jedność w prowadzeniu walki z wrogiem. Uwydatnia się ona szczególnie w trudnych chwilach dla Kościoła, lub w okresie wyborów. Gdy chodzi o przeprowadzenie jakiego prawa dla obrony Wiary, wszystkie czasopisma, gdyby na komendę żądają go, omawiają wszechstronnie, dowodzą ogólnego pożytku. Jeżeli idzie o przeprowadzenie jakiego kandydata, któryby najlepiej bronił ludności katolickiej, wszystkie dzienniki podtrzymują go niezachwianie, gdyby nawet nie był on po myśli niektórych kół miejscowych.

Ta mądra jedność i konsolidacya między ogółem czytających i prasą katolicką, także wśród siebie dziennikarzy katolickich, wytwarza potęgę niezwykłą w pracy społecznej. Ktoś trafnie przyrównał tę prasę do zestrojonej orkiestry, dzielnie grającej marsza bojowego, za którą odważnie postępują korne i potężne szeregi, śmiałym, miarowym krokiem do walk i zwycięstw.

§. 5. Kursa i zjazdy katolicko-społeczne.

Ważną też pomocą w pracy społecznej są: biblioteki dzieł społecznych i kursa społeczne. Jedno i drugie wychowuje przedewszystkiem kierowników i działaczy prac społecznych, a przedewszystkiem kursa społeczne. Uświadomienie książkowe społeczne, nigdy nie dorówna żywemu ustnemu wykładowi spraw i urządzeń życia społecznego. Tym kursom społecznym narody katolickie wiele dziś zawdzięczają zrzeszeń, zakładów dobroczynnych, instytucyj społecznych, wznoszonych po wsiach i miastach, słowem wszędzie, gdzie tylko znalazła się nędza i potrzeba ludzka.

Prócz wielu, jeszcze jest jedna pomocnicza metoda pracy społecznej, mianowicie prowincyonalne i krajowe wiece katolicko-społeczne. Praca społeczna katolicka nie może się zamknąć

w domach i prywatnych stowarzyszeniach, ale w stosownych chwilach wyjść musi na publiczną widownię, aby zrobić przegląd sił, pokazać światu swą żywotność, poruszyć i pociągnąć masy. Windhorst nazywał zjazdy katolickie przeglądem wojsk, a doroczny wiec katolicki, manewrami tych wojsk. I słusznie. Kto się zapoznał z pracą społeczną za granicą, znajdzie tam realne skutki zgromadzeń publicznych. Na wiece katolickie zjeżdżają się wodzowie, niby na narady wojenne, dla obrachunku i przeglądu swych sił. Przygotowanie gruntu do jednomyślnej akcyi społecznej katolickiej na wszystkich polach, skreślenie planu strategicznego do dalszej energiczniejszej walki, dodanie zapału wodzom i żołnierzom. Nadto przeciwnicy widzą siłę zrzeszenia i z tem się rachują, na samych zaś zbierających się suggestywnie działa wiec, że to taka siła i jedność. A jeśli komu, to katolikom nieco suggestyi nie zaszkodzi. Widzimy to i u przeciwników. Od nich dużo się uczymy. W ten sposób więc pojęte zadania wieców posuwają pracę społeczną naprzód i czynią ją zawsze aktualną, zawsze żywą, zawsze dostosowaną do potrzeb i warunków danej chwili.

Wiele mi jeszcze nasuwa się metod, wprawdzie już może drugorzędnych, ale jednak zasadniczych, których się trzymać należy w pracy społecznej, jeśli się chce, by ona wydała rezultaty, ale w zakresie krótkiego referatu nie można już tych drugorzędnych uwag pomieścić. Wskazaliśmy na najkonieczniejsze tylko.

V. ODPOWIEDZI NA NIEKTÓRE BŁĘDNE ZASADY.

Rzućmy pobieżnie okiem na dzisiejszą niwę pracy społecznej katolików w Belgii, Francyi, Szwajcaryi, Anglii, Austryi, we Włoszech i Hiszpanii, a nawet wśród naszych pobratymczych narodów w Czechach, na Morawach, w Krainie i Chorwacyi. Wszędzie, gdzie tylko swoboda religijna i polityczna przyznaną zostanie ludności katolickiej, niebawem zakwita posiew dzieł, zrzeszeń, instytucyj, związków. Lud i robotnik i drobny rękodzielnik, drobny kupiec gromadzi się razem z duchowieństwem

i inteligencyą wierzącą w celu obrony wspólnych ideałów i celem wspólnej pracy społecznej!

Dziesiątki i setki działaczy i działaczek społecznych, wszczepionych w winną macicę Chrystusową i umocnionych wiarą w Boskie posłannictwo Kościoła katolickiego, idą do szerokich warstw społecznych ze światłem wiary, wiedzy i czynu, uświadamiając je i organizując.

I u nas w Polsce rozpoczęła się na dobre praca. A uświadomiwszy się i wcieliwszy w naszą pracę społeczną zdrowe i wypróbowane z dobroci i pożytku metody, wydobędziemy się z chaosu i zamieszania, a wejdziemy na drogę prostą, jasną, i pewną rzeczywistej pracy społecznej.

Trzeba nam jeszcze odpowiedzieć na niektóre błędne zasady, które pokutują dotąd w naszej pracy społecznej i przez to ją częstokroć bałamucą i opóźniają.

§. 1. Opatrznościowy człowiek.

Są ludzie u nas w kraju, którzy pocieszają się, że z obecnego chaosu i zamieszania wybawi nas jakiś opatrznościowy człowiek. Bez wątpienia, aby nas podźwignąć, mógłby Pan Bóg obejść się bez nas, lecz w rzeczywistości, znając ekonomię Bożą, wiemy, że wymaga, byśmy sami chcieli. Bóg nie chce, aby nam wiara służyła za pretekst do lenistwa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zeszle On nam innego Zbawcy, jak nas samych. Będzie nim nie jednostka, ale ogół Polaków-Katolików. W dzień, w którym Pan ożywi ich duchem prawdziwej pracy społecznej i skłoni do działania umiejętnego, będziemy mieli pewne oznaki, że odradzamy się, i na ziemiach naszych przyjdzie pokój, a życie powszechne pocznie bić równem i potężnem tętnem.

§. 2. Niech się pożrą wrogowie.

Inni mówią sobie: na co się zda działanie? Nasze wysiłki tylko rozgniewają wrogów i opóźnią wyswobodzenie. Dozwólmy

im iść do końca, gdy im nic nie pozostanie do pożarcia, wtedy pożrą samych siebie. Jakie to słabe rozumowanie? Co myśleć o doktorze, który zamiast operować raka, rzekłby choremu poważnie: Mój przyjacielu, pozwól rakowi rozwijać się do woli, prędzej czy później zginie rak z braku pokarmu — bezwątpienia, ale wpierw uśmierci chorego.

§. 3. Nie umiem i nie znam się na pracy społecznej.

Inni mówią, że nie umiem i nie znam się na pracy społecznej. Smutne to, że w naszych czasach, kiedy ta praca należy do istoty życia katolickiego i narodowego i jest wolą Bożą, jej dziś się nie zna. Uchylać się od pracy społecznej dlatego, że nie umiem, to jest stwarzać „błędne koło". Gdybyśmy wszyscy tak rozumowali, to jeszcze z dwieście lat, a może i dłużej na rozwój pracy społecznej w kraju musielibyśmy czekać. Ale na to prosta rada, zabrać się do nauki i pracy. Święty Ignacy Lojola miał przeszło lat 30, jak zaczął się uczyć początków gramatyki, przecież nietylko się jej nauczył, ale nawet skończył uniwersytet w Paryżu. A ksiądz Kolping, twórca katolickiej organizacyi rękodzielniczej, w dojrzałym wieku, jako czeladnik szewski, zaczął się przygotowywać do pierwszej klasy gimnazyalnej, i nauczył się.

Są wypadki, że ludzie nawet w podeszłym wieku, mając lat 60 lub 70, uczą się języka, by sobie dać rady z cudzoziemcami. Wszystko się da, byle chcieć.

Nie mam czasu i nie podołam temu wszystkiemu — wymawiają się drudzy. Zajęć domowych i zawodowych tyle, szkoły przez tydzień wiele, a w niedzielę taki nawał pracy, że już nie mam sił na pracę społeczną.

Prawda, że pracy nieraz za wiele, zwłaszcza w obecnych czasach, ale też i to prawda, że człowiek kiedy prawdziwie chce, to umie się podwoić i potroić i na wszystko czas znajdzie, zwłaszcza kiedy nabierze wprawy i pewnej rutyny w pracy. Jasna rzecz, jak się nie ma wprawy, to i kilka godzin potrzeba czasu, a z wprawą i doświadczeniem to i kwadrans wystarczy.

Ale się trzeba jąć pracy i nabrać wprawy. Narzekaniem na brak czasu i na zbytnie zajęcia, nie nabierzemy wprawy w pracy społecznej.

§. 4. Czy może kapłani mają mydło sprzedawać?

Inni znowu na wezwanie, by w kraju naszym duchowieństwo katolickie nie uchyliło się od żadnej pracy społecznej, zwłaszcza na początek, kiedy brak ludzi świeckich do tejże pracy, mówią: „Czy może kapłani mają mydło sprzedawać?“ Na to prosta odpowiedź, że tego nie potrzebują robić, bo to od kapłanów lepiej robią świeccy.

Jednak Kościół katolicki przez swe sługi, kiedy było potrzeba, a nikogo nie było do pracy, karczował lasy, uprawiał rolę, budował mosty, przecinał góry, zakładał szkoły, i t. d. Cudnie i prawdziwie mówi o tem Perin w swem wiekopomnem dziele:[1]) „Gdy nie było żadnego porządku i żadnej jedności politycznej, inicyatywa jednostek ożywionych przez Kościół duchem miłości, dawała społeczeństwu to, co za dni naszych zapewnia mu regularna organizacya administracyi“.

A Cibarrio[2]) jak wymownie przedstawia usługi oddane pod tym względem przez różne zrzeszenia religijne i zakony, pisząc: „przez budowanie dróg i schronisk w niebezpiecznych przejściach przez Apeniny i Pireneje, w dzikich i lodowatych wąwozach alpejskich i przez czuwanie nad podróżnikiem, jak ze straszliwych wyżyn góry św. Bernarda i Cenis miłość chrześcijańska wyciągała ramiona ku światu“.

Kościół nigdy nie wstydził się pracy dla chwały Bożej i dobra ludzkości. A jeśliby było potrzeba dla chwały Bożej i dobra ludzkości sprzedawać mydło, sądzę, że Kościół przez swych najlepszych kapłanów, i przez swych najlepszych synów i najlepsze córki nie usuwałby się od tego.

Ale jak się nie odsunął od schronisk trędowatych i jak poświęca pola i łąki, taksamo poświęciłby mydło, i sprzedawał aż do chwili, kiedy w tych rzeczach czysto materyalnych wyręczą go świeccy.

[1]) *„Bogactwo w społeczeństwie chrześcijańskiem“*. Str. 210.
[1]) *Della Icon. pocit. del medio evo.* I. II. III.

§. 5. Wystarczy prowadzenie dusz powierzonych pieczy Kościołowi.

Jeszcze z pośród wielu, chcę odpowiedzieć na jedną błędną zasadę i na tem zakończyć wykład.

Mówią, że obowiązkiem księży i także pod pewnym względem świeckich katolików, jest prowadzenie dusz, powierzonych ich pieczy. Utrzymują, że całym obowiązkiem jest dobry zarząd parafią, a więc pilnowanie akuratnego odprawiania nabożeństw i udzielanie Sakramentów św. tym, co żądają, dawanie ślubów i pogrzebów, prowadzenie szkoły i kancelaryi parafialnej.

Twierdzą, że to spełniwszy, wystarczy.

Sądzę, że jest to pod pewnym względem mylnem, gdyż w ten sposób pojmując, to naprzykład kapłan na parafii stałby się tylko administratorem, buchalterem, urzędnikiem i nauczycielem. A przecież rola kapłana pierwszorzędnie, to rozkrzewianie wiary w danym kraju, według słów Chrystusa Pana „*Euntes docete*“[1]) — „*Idąc tedy, nauczajcie*“, a iść to nie znaczy czekać, aż ktoś do mnie przyjdzie i będzie słuchał, lecz znaczy to, udać się do nieświadomych, do niedowiarków, do obojętnych, do będących w potrzebie i zdobyć ich dla królestwa Chrystusowego.

Z woli Chrystusa Kościół jest społeczeństwem zdobywającem. Kiedy na ziemi nie będzie już ani jednego poganina, ani jednego heretyka, ani jednego grzesznika zatwardziałego, ani jednego z imienia katolika, a wewnątrz poganina, ani jednego potrzebującego dla swej duszy i ciała, wtedy Kościół będzie mógł spocząć. Inaczej niema spoczynku, tylko wciąż trzeba iść.

Stąd kościół parafialny jest tak wielki jak parafia i nie może spocząć, dopóki jest choćby jedna dusza na najdalszych krańcach parafii, nie należąca do jego społeczności. Jego ostateczne mury, to słupy graniczne parafialne.

Stąd to najpotężniejsza, najwznioślejsza, najfundamentalniejsza, najwięcej boska, bo polecona nam przez samego

[1]) Mat. XVIII.

Boga-Człowieka metoda wszelkiej działalności, a więc i pracy społecznej, zawierająca w sobie jakby w ognisku wszystkie inne zdrowe, mądre, celowe, prawdziwe metody pracy społecznej, to jest metoda „*Euntes docete*" „idąc tedy, nauczajcie"! A więc, najpierw trzeba spełniać pierwszą część metody Chrystusowej: „Idźcie!" a potem dopiero — „nauczajcie"!

Metoda ta oparta jest o najgłębszą psychologię ludzką, jak słusznie mówi Paweł Bourget: „Prawdziwym środkiem propagandy nie jest ani doktryna ani rozumowanie, lecz styczność jednej duszy z drugą". Dlatego Chrystus taki położył nacisk: „Idąc tedy". I sam to spełnił doskonale. Choć Chrystus nauczał w Kościele, nie czekał, aż ludzie sami do niego przyjdą, lecz sam szedł do ludzi i mięszał się w tłumy, wszędzie Go było można spotkać na rynkach, ulicach, drogach publicznych, na lądzie i morzu, w ogrodach i pałacach, u możnych i u biednych — a lud całymi dniami tłoczył się wokoło Niego. Każdy do Niego miał łatwy dostęp. Nauczał tysiące ludzi, zawstydzał mądrością swą biegłych w zakonie, a nie wzdrygał się poufnie rozmawiać z samarytańską grzesznicą, objaśnić ją i otwierać jej tajemnice królestwa Bożego. Oddawał się cały na usługi ludziom, bo i na modlitwie nimi był zajęty. Ludzi więc nie unikał, owszem do tego stopnia się zbliżał i z nimi obcował, że faryzeusze tem się gorszyli, zowiąc go opilcem i przyjacielem grzeszników. — Ze wszystkich więc rysów działalności Chrystusowej widać jasno, jak Chrystus czynem i osobistem zetknięciem się z ludźmi objął wszystkie dziedziny prac społecznych.

Chrystus nie tyle zdobył świat i zawsze zdobywa dusze ludzkie, tą drugą incyzą „nauczajcie", ale pierwszą „idźcie".

A cóż to jest praca społeczna? Nic innego, tylko spełnienie najmędrszej i najskuteczniejszej Chrystusa metody wszelkiej pracy twórczej: „*Euntes docete*"! — „Idąc tedy nauczajcie".

To też metodę Chrystusową podchwycili nasi wrogowie i zdobyli zaniedbane przez katolików posterunki.

A więc idźmy osobiście, tak kapłani jak i świeccy do wszystkich stanów Polski, a zwłaszcza do ludu, do robotnika, do drobnego rękodzielnika i kupca, do upośledzonej kobiety, do młodzieży, zwłaszcza poza szkołą, uniwersytetem i pracownią, i do dzieci. Idźmy i pracujmy wśród nich i wraz z nimi, nauczając i organizując według nauki i zasad prawdy Chrystusowej. Wtedy praca społeczna w Polsce odrodzi naród cały i wówczas znajdziemy dla siebie miejsce i chleb w kraju, wówczas nie będziemy rozsypywali się po wszystkich drogach świata, ale tu u siebie i wśród siebie wybudujemy niewzruszony w podstawach gmach stanu ekonomicznego, narodowego, religijnego, społecznego — zakwitnie Polska ładem, kulturą i dobrobytem.

Pracy więc społecznej ale według metod rozumnych, prawdziwych i twórczych żąda od nas wola Boża, Kościół katolicki i Ojczyzna Polska.

Ks. M. Kuznowicz.

Wujek w świetle nowo odkrytej korespondencyi.

(Dokończenie).

VI. Wiceprowincyałem powtórnie w Siedmiogrodzie i jego ostatnie w Krakowie chwile 1595—1597.

Kiedy O. Wujek, zajęty tłumaczeniem Biblii, przebywał w Krakowie, nadeszła z Siedmiogrodu do Polski pomyślna nowina. Na sejmie walnym, odbytym w Białogrodzie 16 maja 1595, książę Zygmunt Batory, za jednomyślną zgodą wszystkich sejmujących stanów przywrócił Jezuitów do Siedmiogrodu. Tej pamiętnej uchwały akt zatwierdził osobnym dyplomem, wydanym w Białogrodzie 7 czerwca 1595, zaopatrzonym własnoręcznym podpisem oraz swego kanclerza, Stefana Josiki.[1]) Domy siedmiogrodzkie: w Koloszwarze Białogrodzie i Waradynie wydzielono w tym roku z prowincyi polskiej, a przyłączono je do prowincyi austryackiej. Oglądano się teraz za odpowiednim mężem, który mógłby kierować tą na nowo wskrzeszoną prowincyą zakonną. Los padł znowu na O. Wujka. Zapomniano snadź o tem, czy też nie zwracano uwagi na to, co on pod dniem 11 paździer. 1587 z Białogrodu Akwawiwie napisał: „Ad tantum onus Viceprovincialis vires in me sufficientes minime sentio, maxime, si Transsilvania esset a Polonia separanda"[2]). Dnia 7 września 1595 wystawił w Krakowie cyrograf, czyli rewers

[1]) Wielewicki: Script. T. VII. 202.
[2]) Korespon. nr. 72.

z tem poświadczeniem, że według orzeczenia prowincyała Ludwika Masellego, ani dom profesów u św. Barbary, ani dom nowicyacki u św. Szczepana, nie są sobie już nawzajem dłużnymi [1]). Dnia 19 września 1595 odjechał z Krakowa do Siedmiogrodu, w towarzystwie scholastyka Michała Alarda, który też niebawem swoją ojcowiznę w Koloszwarze, wartości 500 złorenów, przekazał na bursę ubogich studentów, [2]) istniejącą tamże przy seminaryum papieskiem, sam zaś w rok potem wyjechał do Włoch, w celu ukończenia swych studyów. Godnym jest tego, powiada Wujek, bo jest dobrym i utalentowanym młodzieńcem, a przytem zachował się wzorowo, jak świadczą o nim katalogi kaliskiego i poznańskiego kollegium.[3])

Za przybyciem O. Wujka do Siedmiogrodu napływali też inni członkowie zakonu, przysłani z Pragi i Ingolsztadu, później znów z Hiszpanii, Włoch i Polski. Urządzenie jednak a radice domów i szkół, dobór dla nich odpowiednich przełożonych i profesorów, wymagało niemało mozołu i zabiegów ze strony gorliwego i obrotnego Wujka, który jako wiceprowincyał siedmiogrodzki lwią część tych ciężarów dźwigać musiał na barkach swoich. Z początku szło wszystko ciężko i tępo, jakby z kamienia. Uczniów w szkole koloszwarskiej było z początku zaledwie pięciu do sześciu, bo pieniędzy na utrzymanie seminaryum nie wypłacano wcale. I nie dziw, był to bowien wojenny czas. Książę Zygmunt Batory staczał 1595 i 1596 ustawicznie z Turkami walki,[4]) wprawdzie dotąd pomyślnie, ale mimo to dalszy ich wynik był jeszcze na razie niepewny, bo trzeba było oglądać się nie tylko na postronnych, ale i na wewnętrznych nieprzyjaciół i zdrajców w kraju. Towarzystwo nasze i katolicka religia całą nadzieję pokłada w księciu. Gdyby mu jednak nie dopisało wojenne szczęście, nie daj tego Boże, nie moglibyśmy tutaj pozo-

[1]) Korespon. nr. 79.

[2]) Eadem in urbe ad seminarium pontificium regiumque adolescentium pauperum contubernium adiicitur. Socher p. 291.

[3]) Korespon. nr. 80, 82, 83.

[4]) Jako kapelan obozowy, towarzyszył księciu w tych wyprawach O. Walenty Ladó, Siedmiogrodzianin, chlubnie wspominany w liście O. Wujka, z Białogrodu 28 grud. 1595: ubique optime se gessit et magnum ubique fructum fecit.

stać bezpiecznie, owszem mianoby nas za sprawców tego nieszczęścia. Turcy zaś, gdyby orężem przemogli, pastwiliby się najbardziej nad nami, wiedząc dobrze o tem, że za naszą radą książę porzucił ich stronę, a zawarł sojusz z cesarzem rzymskim, królem węgierskim, Rudolfem II. — donosi Wujek Akwawiwie z Koloszwaru 8 listop. 1595. Dopiero w grudniu 1595, kiedy książę zdobył na Turkach miasto Lippę nad spławną rzeką Maroszem wraz z innymi 11 zamkami, polepszyła się niedola kollegium, kazał bowiem wypłacić na seminaryum 700 florenów, obiecując odtąd według fundacyi dawać na ten zakład corocznie po 1000 złotych, prócz tego na koszta podróży Ojców, sprowadzonych do Siedmiogrodu z innych prowincyi, przeznaczył 500 do 600 florenów. Marzył nawet na seryo o założeniu kollegium w świeżo odzyskanej Lippie, ale O. Wujek odwodził go od tego zamiaru, bo to miasto, prawie całe w czasie wojny spaloñe, z wyjątkiem wielkiego kościoła, poklasztornego sprofanowanego przez Turków, z wyjątkiem zamku i trzech meczetów, nie zdawało się być dość bezpiecznem, dopókiby nie zdobyto na Turkach dwóch innych miast: Temeszwaru i Gyuli.[1])

Dzięki tym sprzyjającym okolicznościom, urządzenie domów siedmiogrodzkich znacznie postąpiło naprzód. Rektorem w Koloszwarze został O. Piotr Major, superyorem w Białogrodzie O. Marcel Pollard; był on zarazem kapelanem i kierownikiem duchownym księżnej Maryi Chrystyerny,[2]) małżonki Zygmunta Batorego, podobnie jak przedtem O. Alfons Carillo. W seminaryum koloszwarskiem wykładano teologię moralną; w szkole zaś retorykę, humaniora, syntaksę, i gramatykę. Wychowankowie szkolni, poznając i rozróżniając prawdę od fałszu, nawracali się powoli do katolickiej wiary. W marcu 1596 siedmiu pastorów kalwińskich porzuciło swą sektę[3].) W grudniu tegoż roku na-

[1]) Korespon. nr. 80, 81.

[2]) Córka Karola II., arcyksięcia Styryi, Karyntyi i Krainy; i Maryi, córki Alberta V., księcia bawarskiego. Jak skądinąd wiadomo, dwie córki tegoż Karola II., Anna i Konstancya, były poślubione kolejno Zygmuntowi III., królowi polskiemu. Wizerunki ich, podług miedziorytów Khevenhillera 1721, podaje O Bernard Duhr: Geschichte der Jesuiten. I Band. Freiburg 1907 p. 706—711.

[3]) Korespon. nr. 82.

stały w Siedmiogrodzie spokojniejsze czasy, Polacy bowiem w tym roku zabezpieczyli się przed Tatarami, Turcy zaś, straciwszy około Jagru[1]) na Węgrzech bardzo wiele swoich, ustąpili stąd i posunęli się ku Budzie nad Dunajem. Korzystając z tego książę Zygmunt Batory, załatwił sprawę fundacyi i wyposażenia kollegium w Białogrodzie, oraz wyznaczył na ten cel cztery wsi: jedną madiarską, a trzy inne wołoskie, oraz i pewne stałe dochody na budowę kollegium i szkół. Założył prócz tego biskupstwo w Białogrodzie,[2]) powołując na tę godność Dymitra Naprágego, dotychczasowego prepozyta w Jagrze, nominata biskupa srijemskiego.[3]) Na utrzymanie zaś jego przeznaczył zamek Gyalu, o dwie mile przeszło od Koloszwaru odległy z przyległemi wioskami, należący przedtem do kardynała Andrzeja Batorego,[4]) biskupa warmińskiego. Biskup Naprágy był wychowankiem jezuickich szkół, to też po swem wyniesieniu na stolicę biskupią, odwdzięczając się Jezuitom zato, powołał ich na kaznodziei w swoim katedralnym kościele.[5]) O. Piotr Pázmány, późniejszy arcybiskup ostrzyhomski,[6]) kardynał i prymas węgierski 1616—1637, był naprzód wzywany na to kaznodziejstwo w katedrze, dzięki starannym zabiegom O. Wujka. W tym jeszcze roku otwarto w Białogrodzie 2 klasy; w Waradynie był aż dotąd misyjny dom. Wśród tylu mozolnych zajęć w urządzaniu i ciągłem wizytowaniu siedmiogrodzkich domów, wykończył O. Wujek z początkiem lipca 1596 tłumaczenie Biblii na język polski,[7]) poczem przesłał tę pracę do ocenienia, umyślnie

[1]) Agria, Eger, Erlau, Jager.

[2]) A właściwie mówiąc, wskrzesił i przywrócił na nowo dawne biskupstwo białogrodzkie, osierocone i nieobsadzone wskutek reformacyjnych zamieszek od r. 1556. Cf. Gams: Series Episcoporum. Ratisbonae 1873 p. 382.

[3]) Sirmium, Syrmien, kroac. Srijem, węgier. Szerém, wschodni komitat Kroacyi i Slawonii między Dunajem a Sawą.

[4]) Bratanek króla Stef. Batorego, kardynał od r. 1583, biskup warmiński 1589—1598, † 3 listop. 1598 w Siedmiogrodzie.

[5]) Korespon. nr. 83, 84, 85.

[6]) Strigonium, Gran, Esztergom.

[7]) Twierdzenie O. Załęskiego (Jezuici T. I., cz. II., 715), że Wujek trzy ostatnie lata przebywał to w Pawłosiowie, willi jarosławskiego kollegium, to w Krakowie, zajęty przekładem reszty ksiąg Starego Testamentu, nie może się oczywiście utrzymać, gdyż od września 1595 aż do 1597 stale w Siedmiogrodzie przebywał.

do tego wyznaczonym teologom lingwistom: w Poznaniu, Lublinie i we Lwowie. Listem do Akwawiwy, pisanym w Białogrodzie 30 grudnia 1596, zamknął swoją klasyczną korespondencyę o siedmiogrodzkich sprawach.

Nie doczekał się jednak za życia wydawnictwa tego. W domu św. Barbary w Krakowie 27 lipca 1597 dokonał pracowitego żywota swego. Był mężem wielkiej uprzejmości, przyjacielski i miły w obejściu, a temi zaletami umysłu i serca jednał sobie nawet nieprzyjaciół zakonu i różnowierców. Jako przełożony, był wielkiej roztropności i wyrozumiałości dla poddanych swoich. Całe siły i życie na to poświęcił, wszystkie prace, pisma i kazania jego do tego celu zmierzały, aby odszczepionych i oderwanych od kościoła rzymskiego, napowrót Kościołowi pozyskać. Pomimo prac naukowych, niezmordowanym był w konfesyonale i na ambonie, a tak ubogim, że po śmierci jego, oprócz koronki i relikwiarza, nic nie znaleziono po nim, bo księgi wszystkie własnością były biblioteki domowej. Aż do końca życia nie wypuszczał z rąk pióra. W dzień św. Anny, 26 lipca 1597, wykończył dedykacyę do swego dzieła: „Żywot i nauka Pana Naszego Jezusa Chrystusa"... a dnia następnego już nie żył.

W ostatniej chorobie prosił, jak drugi Augustyn św., aby mu czytano powoli Dawidowe Psalmy, które on rozpamiętywał i zalewał się łzami. Dzień przed śmiercią przyjął z wielkiem nabożeństwem ostatnie Sakramenta święte, noc ostatnią prawie całą, spoglądając ustawicznie na wizerunek Ukrzyżowanego, na modlitwie strawił. Nad ranem, kiedy domowi odprawiali zwykłą godzinę medytacyi, począł konać. Według zwyczaju zakonnego dano znak we dzwonek, zeszli się Ojcowie i Bracia, otoczyli łoże chorego i klęcząc, odmawiali modlitwy za konających; wśród tych modłów oddał Bogu ducha. Na pogrzeb zbiegł się Kraków cały; był obecnym i Mikołaj Firlej, wojewoda lubelski, o którym ks. Skarga na jednem miejscu powiedział, że pomiędzy swoimi braćmi sam jeden bardzo pobożnym katolikiem pozostał.[1]) Gęste łzy, spływające z oczu przytomnych, oraz msze

[1]) Listy Skargi nr. 83.

święte, licznie skądinąd przybyłych kapłanów, świadczyły wymownie, jak był cenionym od wszystkich. O. Ambroży z Mogilna,[1]) Kustosz Stradomskich OO. Bernardynów, sławiąc w mowie pogrzebowej cnoty i czyny zmarłego, wołał z żalem: „upadł jeden filar Kościoła Bożego".[2]) Zwłoki złożono w grobach kościoła św. Barbary pod wielkim ołtarzem. Naoczny świadek te pamiętne napisał słowa: „Nie znałem ja wprawdzie ani nie widziałem żyjącego O. Jakóba, to jednak powiedzieć mogę, że kiedy w r. 1608 podniesiono u św. Barbary kości zmarłego z ziemi, widziałem zwłoki w proch rozsypane, ocalała jedynie nienaruszona jego prawa ręka,[3]) którą kazania pisał. Ponieważ jednak tak znakomitej ręce nie oddano przynależnego uszanowania, przeto znikła zupełnie tak, że jej potem żadnym sposobem odszukać nie można było".[4])

Ubolewać potrzeba, że dotychczas nie ma żadnego, choćby skromnego, epitaphium w Krakowie, na które przecie dobrze sobie zasłużył. Szymon Starowolski,[5]) wymieniwszy Wujkowe dzieła, tym dystychem Michała Grodzickiego zamknął zmarłego pochwały:

Quod septena decas[6]) Regi perfecerat olim,
Biblia queis dederat vertere sacra, virûm:
Sarmatica vertit Vuiecus Biblia lingua,
Quod tantum Aegypto fecerat agmen, agit.

---

[1]) Był on na dwa zawody przełożonym krakowskiego klasztoru: po raz pierwszy wybrany na kapitule w Warszawie 8 września 1585, piastował ten urząd do r. 1588; po raz drugi wybrany na kapitule w Samborze 25 maja 1597, był kustoszem do września 1599. (Notatkę o tem zawdzięczam O. Czesławowi Bogdalskiemu w Alwerni).

[2]) Wielewicki: Scriptores T. VII., 239.

[3]) Pisze o tem także ks. Kazimierz Wieruszewski S. I.: „P. Iacobus Wuiecus Polonus, dextram, qua contra haereses multa praeclare scripsit, aliquot a morte annis integram repertus est habere".

Haeresin innumeris proscribens dextera libris
Est in corruptis viva reperta fibris.
Tartaream certe proscripsit dextera mortem,
Nil igitur mortis debuit ipsa pati.

Laurea Poetica, heroibus e Soc. Iesu sago et toga inclytis. Tom II., p. 289. Typis Collegii Calissiensis Soc. Iesu 1726.

[4]) Zob. Rękop. Bibl. Czartoryskich, nr. 1266, p. 47.

[5]) Script. Polon. Hekatontas. Venetiis 1627 p. 164.

[6]) Mowa tu o 70 tłumaczach „septuaginta", którzy przełożyli Pismo św. z hebrajskiego na język grecki.

VII. Znaczenie O. Wujka w literaturze polskiej.

Biegłym był Jakób Wujek w starożytnych językach: greckim, hebrajskim i łacińskim, z tego powodu nazywano go chlubnie: „Semicicero Polonus".[1]) Znał nadto dobrze język niemiecki i włoski. Ale przedewszystkiem język ojczysty zawdzięcza mu wiele. Wujek ukształcił i podniósł znakomicie kaznodziejstwo polskie, wprowadziwszy do niego naukę gruntowną, układ więcej foremny i nadobniejsze wysłowienie. Wskazał wzór umiejętnego kształcenia się i podsycania kaznodziejstwa wymową Ojców Kościoła. Wtajemniczony głęboko w naukę Pisma świętego, wydobył z niej właściwego ducha i przyswoił polskiemu wykładowi odpowiednie kształty i wyrażenia. Mowę ojczystą, nie dość jeszcze uprawioną, przeczyścił i ogładził, nadając jej na podobieństwo łacińskiej rządniejszy tok i harmonię. Kiedy w pismach pierwszej połowy XVI wieku rażą nas jeszcze obce lub naśladowcze mówienia kształty, składnia niestała i niewłaściwa, natłok niepotrzebnych w polszczyźnie części mowy, odmiany wyrazów niezgodne z naturą języka, w dziełach Wujka nikną już prawie te wszystkie wady; rzadziej w nim niżeli w Marcinie Bielskim i Mikołaju Reju natrafisz na zastarzałe i wychodzące z zwyczaju formy. Styl jego naturalny i łatwy, przytem żywy i obrazowy, ma niekiedy poetycką barwę. Okresy niezbyt długie, a zawsze pięknie zaokrąglone; części ich w zgodnych przecięciach jedne drugim odpowiadające, tworzą nader miłą harmonię. Podobnie jak Skarga, rad zdobi Wujek mowę swoją podobieństwami i przenośniami z życia pospolitego i od przedmiotów zwyczajnych pożyczonemi, które trafnem użyciem podnieść i uszlachetnić umie.[2]) Tak scharakteryzował zalety literackie Wujka Karol Mecherzyński, profesor wszechnicy krakowskiej.

W podobnym sensie wyraża się ks. dr. Julian Gołąb: „Największą zaletą Wujkowego przekładu jest powszechnie znana

[1]) List Marcina Laterny, z Sandomierza 29 września 1583, do Klaud. Akwawiwy w Rzymie, cf. Rossija i Italia. Izdańje Impieratorskoj Akademii Nauk. T. I. wyp. 2. Petersburg 1911, p. 124.

[2]) K. Mecherzyński: Historya wymowy w Polsce. T. II., 136—137. Kraków 1858.

i ceniona piękność i czystość polszczyzny, nie ustępująca miejsca językowi Skargi. Skarga przewyższa Wujka dziwną dźwięcznością stylu, ale co do piękności i czystości języka pewnie wyżej nie stoi. Jest to zaleta, którą tem wyżej cenić trzeba, że Wujek, łamiąc pierwsze trudności, prawie stwarzać musiał język polski teologiczny".[1])

Natomiast Wacław Aleksander Maciejowski, o przychylność wcale nie podejrzany, lekko z nim się uporał. Pomijając już inne jego bałamutne daty o Wujku, n. p. że wstąpił do zakonu 1560, że przybył do Polski 1571, zaznaczyć potrzeba, że wogóle bardzo stronniczo i powierzchownie jego dzieła ocenił: „Uczonym był mężem Wujek, lecz dla literatury mało zrobił". Tyle mu jednak przyznał: „Znajomość języków starożytnych większą posiadał Wujek od Skargi: zresztą podobnym mu był w nauce; w wymowie kaznodziejskiej nie sprostał mu bynajmniej".[2]) Inny sąd o Wujku wydali biskupi i synody polskie, skoro duchowieństwu polecali jego Postyllę, jako wzór kaznodziejstwa, podobnie jak kazania Skargi. Do tego przedmiotu powrócimy jeszcze.

Wujek wziął sobie za zadanie bronić wiary i wpływać na poprawę obyczajów, natomiast kwestyi politycznych wcale nie poruszał. Mecherzyński, przyznawszy Wujkowi liczne przymioty i zasługi około kaznodziejstwa, jeden mu przecież niedostatek wytyka: Brak w nim zastosowania do obyczajów krajowych i miejscowych. Jest to kaznodzieja powszechny, a tem samem mniej narodowy. Rzadko natrafiamy w nim na zwroty, dotykające społeczność krajową, uwagi zmierzające do poprawy rządu i karności w stanach pojedynczo uważanych, jakiemi zaleca się Skarga i inni kaznodzieje polscy, więcej przez to wpływowi i użyteczni.[3]) Zarzut to jednak nie zupełnie usprawiedliwiony. Nie zapominajmy o tem, że odmienne były warunki pracy publicznej obu tych kaznodziei. Skarga ośmnaście walnych a bu-

---

[1]) O Tłómaczeniu Nowego Testamentu przez ks. Jakóba Wujka. Warszawa 1906, str. 39.

[2]) W. Maciejowski: Piśmiennictwo Polskie. T. III., 424, 437. Warszawa 1852.

[3]) Mecherzyński. T. II., 138.

rzliwych sejmów oświecał swemi kazaniami, miał tedy dość sposobności i potrzeby nawet prawienia o wadach i sprawach narodowych; w zwykłych kazaniach niedzielnych i on nawet nie wyczerpuje zawsze i wszędzie tego pierwiastka rodzimego. Wujek tymczasem pisał podręcznik przedewszystkiem dla ambony parafialnej, dla domowej lektury katolickiej, więc sam teren obrany, sam zakres czytelników, samo przeznaczenie jego Postyl nie otwierało mu obszerniejszego pola do podobnych tematów i zwrotów wyłącznie ojczystych.[1])

Zresztą sam Mecherzyński, podnosząc zarzut, że „rzadko natrafiamy w Wujku na zwroty dotykające społeczność krajową", przyznaje pośrednio, że przecież i takie zwroty tu i ówdzie u niego się spotyka; owszem on sam przytacza wyimki z kazania na I. niedzielę po Świętej Trójcy, gdzie autor, objaśniając naukę ewangeliczną o bogaczu i Łazarzu, prawi przeciw zbytkom krajowym i niemiłosierdziu: „Jako Polska jest Polską, nigdy więtszych nakładów na wymyślne potrawy, na rozliczne półmiski, na wina i drogie picia nie są ani widziane, ani słyszane: nadto, nigdy więtsze niemiłosierdzie przeciw ubogim, więtsze okrucieństwo przeciw poddanym nie było"... I znowu dalej, porównując dawne obyczaje Rzymian z polskimi, tak narzeka: „Rzymianie, będąc pany wszystkiego świata, mało co wiedzieli o złocie, a prawie je za nic sobie mieli: i owszem statut uczynili, aby żony ich więcej nad pół łuta złota do szat i do strojów swych nie używały. A dziś u nas lada szlachcianka i owszem lada mieszczka, złotem i srebrem tak się obłoży, żeby miał co jeden osieł nosić"...

Przy innych także nadarzonych sposobnościach nie omijał Wujek tła rodzimego, ale owszem pełną garścią rzucał ziarno szczerze ojczyste, dotykał najżywotniejszych spraw patryotycznych, więc nie uronił wcale obowiązków kaznodziei narodowego, a przeciwnie wywiązał się z niego należycie. Wystarczy przypomnieć, choćby tylko kazanie na dzień nowego lata, gdzie kaznodzieja, opierając się na zwyczajach zachowywanych w domowem życiu, wprowadził po raz pierwszy na mownicę kościelną powinszowania noworoczne i rozdanie kolędy.

[1]) Ks. Dr. Alojzy Jougan: Homilie Polskie. Lwów 1902, str. 104.

Rozliczne dzieła Jakóba Wujka na 5 głównych kategoryi podzielić można: I. homiletyczne; II. teologiczne; III. polemiczno-apologetyczne; IV. dogmatyczno-ascetyczne; V. korespondencye. Wspomnę tu tylko o pierwodrukach dzieł Wujka, pomijając natomiast inne, późniejsze wydania.

Do I. kategoryi zaliczamy Postylle. Chcąc z rąk czytelników polskich wytrącić postylle heretyckie, jako to: Jana Seklucyana 1556,[1]) a zwłaszcza Mikołaja Reja 1557,[2]) która dla dworności i gładkości języka bardzo się podobała, idąc za namową Jana Leopolity, jak również za radą braci zakonnych i własnem przeświadczeniem, które nakazywało podać lekarstwo na chorobę wieku i postawić tamę zgubnemu wpływowi heretyckich postyl, napisał Postyllę Katoliczną t. j. kazania na niedziele i każde święto. Kraków 1573—1575, trzy części w dwóch tomach in folio. Pierwotnie Benedykt Herbest, przedtem profesor wszechnicy krakowskiej, potem kanonik poznański, miał zamiar wydania Postylli, wielce od wszystkich pożądanej, do czego zachęcał go także kardynał Stan. Hozyusz, biskup warmiński, żądał jednakże, aby wprzód od teologów krakowskich była przejrzaną, nimby ją drukiem ogłosił.[3]) Ale w r. 1571, wstępując do zakonu Jezuitów w Rzymie, zaniechał zamiaru swego, a napisanie Postylli przekazał Wujkowi.[4]) Zabrał się do tej pracy w Pułtusku 1570; w marcu 1571 przygotował już homilie od I. niedzieli adwentowej do III. niedzieli postnej, a niebawem odesłał je do cenzury Stan. Warszewickiemu w Wilnie;[5]) całość dopiero w listopadzie 1573 w Poznaniu wykończył. Klasyczne to dzieło zawiera homilie, bądź analityczne, bądź zbliżone do syntetycznych i do kazań, osnute na tle perykop ewangelicznych i natka-

[1]) O Biblii Now. Testamentu (1551—1552), oraz o Postylli (1556) Jana Seklucyana, zob. Ks. Dr. Warmiński: Andrzej Samuel i Jan Seklucyan. Poznań 1906, str. 293, 306, 326, 420.

[2]) Teod. Wierzbowski: Bibliogr. Polon. T. II.—III. podaje również wydania z r. 1560 i 1571. Wydanie z r. 1557 posiada biblioteka Czartoryskich w Krakowie. — Studyum krytyczne o Mikołaju Reju, wydał Dr. Brückner. Kraków 1905.

[3]) Mecherzyński. T. II., 67.

[4]) List Stan. Warszewickiego, z Wilna 27 lutego 1571, do Wujka w Pułtusku.

[5]) List Wujka, z Pułtuska 18 marca 1571, do Wawrz. Magiusza w Wiedniu.

ne gęsto tekstami z Ojców Kościoła, łacińskich i greckich, jak również z innych współczesnych teologów włoskich i niemieckich. Tendencya tychże jest przeważnie dogmatyczno-polemiczna; stąd nie dziw, że mieszczą się w nich wycieczki przeciw różnowiercom, ułożone tak obszernie, że je raczej za rozprawę teologiczną, niż za właściwe kazanie uważać można, a tu i ówdzie słowa cierpkie, zbyt dosadne i gwałtowne; co zapewne dało początek następującej, znanej już dawno ocenie: „Birkowski[1]) baje, Wujek łaje, Skarga każe". Poza tym jednak tonem polemicznym, wszystkie nauki odznaczają się wykładem jasnym, językiem wcale już wyrobionym, starannością stylu i uczonością głęboką. Zaledwie w r. 1573 wyszły z pod prasy drukarskiej dwie pierwsze części Postylli, pochwalił je bardzo prymas Jakób Uchański, dziękując zato Wujkowi osobnym listem, pisanym w Krakowie 6 maja 1574, oraz zachęcając go usilnie do wydania następnej części.[2]) Było to na owe czasy iście świetne wydanie, przyozdobione wcale udatnymi drzeworytami, stosownie do przedmiotu w perykopie ewangelijnej; część I. dedykowana Henrykowi Walezemu, królowi polskiemu, część II. Adamowi Konarskiemu, biskupowi poznańskiemu, część III. królowej Annie Jagiellonce.

Postylla ta wydawała się bardzo obszerną i zbyt kosztowną, dlatego Wujek, na naleganie prymasa Uchańskiego, oraz Piotra Myszkowskiego, biskupa naprzód płockiego potem krakowskiego, postanowił ją skrócić; tymczasem zamiast skrócenia, napisał nowe w swoim rodzaju doskonałe dzieło: Postylla mniejsza t. j. krótkie kazania albo wykłady Ewangelii na każdą niedzielę i każde święto... dwie części in 4⁰ z drzeworytami, Poznań 1579 do 1580; część I. dedykowana Łukaszowi Kościeleckiemu, biskupowi poznańskiemu, część II. burmistrzowi z radą miasta Poznania. Mniej w tej postylli polemiki z różnowiercami, a gdy zbija ich błędy, czyni to już nierównie oględniej i w tonie bardziej umiarkowanym, a zato więcej tu zastosowań praktycznych, pełnych prostoty i wdzięku, stąd i dzisiaj mogą z niej kaznodzieje wiele korzystać.

[1]) Fabian Birkowski (1566—1636), głośny kaznodzieja z zakonu OO. Dominikanów.

[2]) List ten w zbiorze rękopiśmiennym podany w całości, nr. 19.

Jak dalece ta Postylla mniejsza odpowiadała potrzebom czasu i ludzi, dowodem to, że na język czeski[1]) przetłumaczył ją ks. Andrzej Modestyn w Litomyślu 1592; a na język litewski[2]) ks. Mikołaj Dauksza w Wilnie 1599. Profesor Aleksander Brückner wspomina także o przekładzie na język niemiecki,[3]) ale tego niemieckiego wydania nigdzie odszukać nie mogłem. Natomiast zamiar tłumaczenia Postylli na język łaciński nie przyszedł do skutku, bo oparła się temu kongregacya prowincyonalna.[4])

Wnet po ukazaniu się na światło dzienne Postyl Wujka, zalecili je duchowieństwu swemu prymasi i biskupi tej miary, co Jakób Uchański, Stanisław Karnkowski, Piotr Myszkowski, Bernard Maciejowski, Hieronim Rozdrażewski, Benedykt Wojna, a następnie tylu innych. To też już w r. 1599 czytamy w przedmowie do wydania Biblii Wujkowej: „Ledwo który pleban albo kaznodzieja był, któryby jego Postylli nie miał, a katolikom wszystkim postylle heretyckie, których się byli bardzo jęli, z ręku wytrącił". Zalecały też Postylle gorąco, jako wzory ka-

[1]) Postylla, aneb Kázanij Ewangelitská, na neděle a swátky celého roku, wedle obyčege cýrkwe swaté, wsseobecné křestianské. Wydaná skrze Jakuba Wugka z Wagrowce. W Lithomyssli 1592.

[2]) Postilla Catholicka, tai est: Izguldimas Ewangeliu kiekwienos nedelos ir szwentes per wissus metus. Per Kuniga Mikaloiu Dauksza kanonika Medniku, ir lekiszko perguldita. Su wala ir dałaidimu wireusiuiu, w Wilniui Drukarnioi Akademios Soc. Iesu A. D. 1599.

[3]) Zob. Brückner: Mikołaj Rej, studyum krytyczne. Kraków 1905, str. 411.— Akademia w Petersburgu wydała w r. 1904 i 1909 przedruk Postylli Wujkowej, podług wydania wileńskiego z r. 1599 w języku litewskim, ale tylko II. fascykuły in 4° o 368 stronicach, bo egzemplarza zupełnego nie posiadała. W I. fascykule znajdujemy „przedmowę do czytelnika łaskawego", gdzie między innemi czytamy: „Zdała mi się rzecz, nie tylko ozdobna i uciechy pełna, ale i wielce pożyteczna, gdybych kazanie dawno już od księdza Wuyka Societatis Iesu Teologa napisane i zebrane, i u wszystkich Katolików nie małą cenę i wagę mające, na czeski i niemiecki język przetłumaczone, w własny język nasz litewski przełożył"...

[4]) Ad postulatum 4 Congregationis Provincialis Poloniae 1576: An expediat, ut Postilla P. Iacobi Wagrovicii Rectoris Posnaniensis in linguam latinam ab ipso auctore vertatur, ut ex ea rursus in alias linguas propter haereticos traduci posset, et licet duae tertiae partes fuerint contrariae sententiae, tamen id per Procuratorem expositis utrinque rationibus ad R. P. Generalem deferendum censuerunt. Responsum: Ne transferatur Postilla propter rationes allatas. Rękop. Bibl. Cesar. w Wiedniu, nr. 11977 p. 43.

znodziejstwa, liczne synody, n. p. włocławski[1]) 1579 i 1586, piotrkowski[2]) 1607 i 1628, warmiński[3]) 1610, wileński 1613, powołując się przytem na dwa poprzednie z r. 1604 i 1607[4]).

To samo rozumieli współcześni uczeni, a między nimi ks. Andrzej Wargocki w swej Apologii na str. 344 wyraźnie zaznaczył: „R. P. Iacobus Wuiek ex Societate Iesu Doctor Theologus et nostri temporis concionator praestantissimus".[5])

Ponieważ różnowiercy, mianowicie Grzegorz z Żarnowca Koszarski,[6]) przedtem kanonik krakowski potem minister ewangelicki, Postylli większej przeciwstawili swoją,[7]) przepełnioną zarzutami przeciw wierze katolickiej, dla reagowania przeciw Postylli Wujkowej i wytrącenia jej z rąk czytelników, przeto Wujek wydał drugie i daleko obszerniejsze, o 1602 stronicach wydanie Postylli Katolicznej... Kraków 1584, trzy części in folio, z dedykacyą do Stefana Batorego i z wizerunkiem tegoż króla na odwrotnej stronie karty tytułowej, poprzedzone obszernem poleceniem Stan. Karnkowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, oraz przyozdobione mnóstwem drzeworytów na czele pojedynczych kazań. A jako dodatek i uzupełnienie do swego dzieła, dołączył od str. 515—702: Apologię t. j. Obronę Postylli Katolicznej przeciw sprosnym wykrętom i potwarzom postylli heretyckiej, w Krakowie wydanej w r. 1582. Jest to pismo polemiczne, odznaczające się ciętą dyalektyką, tylko tu i ówdzie za ostrą.

Do II. kategoryi należą dzieła teologiczne. W drugiej połowie XVI wieku zasłynął w Niemczech Piotr Kanizyusz († 1597)

---

[1]) Zeno Chodyński: Statuta Synodalia. Varsaviae 1890, p. 83, 107.

[2]) Cardinalis Bernardi Maciejowski: Epistola pastoralis ex synodo provinciali Petricoviae Idibus Octobris 1607. List ten powtórzony jest w statutach synodu piotrkowskiego 1628 r.

[3]) Constitutiones Synodales Varmienses. Brunsbergae 1612, p. 152.

[4]) Ks. Jan Kurczewski: Kościół Zamkowy. Wilno 1908, str. 99—100.

[5]) Apologia przeciwko Luteranom, Zwinglianom, Kalwinistom, Nowokrzczeńcom. Kraków 1605, druk gocki in 8° z dedyk. do Piotra Tylickiego, biskupa kujawskiego, nominata krakowskiego.

[6]) Postylla albo wykłady Ewangelii niedzielnych i na święta przez cały rok... Kraków 1580—1582, III części in folio. Znajduje się w bibl. Czartoryskich.

[7]) List Wujka z Siedmiogrodu 1582, do Jana Pawła Campana.

z gruntownych wykładów nauki chrześcijańskiej. Jego Catechismus,[1]) w latach 1552—1560 drukowany w Wiedniu, Kolonii i Monachium, przełożono później na rozmaite języki. Przyswoił go również Wujek językowi polskiemu i wydał: Maluczki katechizm kościoła powszechnego, albo nauka chrześcijańskiej pobożności przez Dra Piotra Kanizyusza Teologa Zebrania Pana Jezusa napisany, a teraz nowo na polskie przełożony. Kraków 1570, z dedykacyą do Anny Jagiellonki. Prócz tego wydał: Ewangelie na niedziele i wszystkie święta kościoła katolickiego. Wilno 1579.

Największą atoli pracą, zasługą i chwałą Wujka, która imię jego nieśmiertelnem uczyniła w Polsce, to przekład Pisma świętego. Inicyatywę do tego dał mu prymas arcybiskup gnieźnieński, Stanisław Karnkowski, który i nakład druku ofiarował i u papieża Grzegorza XIII z góry pozwolenie na taki przekład uzyskał. Głównym motywem było to, że jedyny prawie przekład Pisma św. polski i katolicki: Biblia Jana Leopolity, uczonego mistrza i kaznodziei a przyjaciela Wujka, w latach 1561 i 1575[2]) w Krakowie wydany, nie był dość wierny i dokładny i pod względem języka poprawny, że heretykom, jak Szymonowi Budnemu „śmiechu czy żalu“ godnym się wydawał. Zato kalwińska „Biblia Radziwiłłowska“ w Brześciu Litewskiem 1563 wydawana,[3]) była w ręku wielu katolików, posługiwali się nią i kaznodzieje, że już nie wspomnę o luterskim przekładzie Pisma św. Nowego Testamentu Jana Seklucyana 1551, tudzież o przekładach socyniańskich: Szymona Budnego 1572 i 1574, nakoniec Marcina Czechowicza 1577. Odczuwano przeto nieodzowną konieczność wydania dokładnej i poprawnej katolickiej Biblii. Kiedy właściwie Wujek rozpoczął tę mozolną pracę, t. j. tłumaczenie z Wulgaty na język polski, ściśle oznaczyć nie podobna. To pewna, że generał Akwawiwa pozwolił już

[1]) Braunsberger: Petri Canisii Epistulae Vol. I—II. Tegoż: Entstehung und erste Entwicklung der Katechismen des seligen Petrus Canisius S. I. Freiburg 1893.

[2]) Przechowuje się w Muzeum Czapskich w Krakowie.

[3]) Znajduje się w Muzeum Czapskich.

1585 na polski przekład Pisma św., jak o to prosiła kongregacya prowincyonalna,[1]) odbyta w Kaliszu 10 maja 1584. Wielewicki jednak nadmienia, że dopiero w maju 1592 uprosił sobie nieco więcej swobodnego od przełożeństwa i prac innych czasu w Krakowie[2]) i tam w domu św. Barbary swój przekład Biblii posunął znacznie naprzód. Pierwsza część, obejmująca Nowy Testament, wyszła za jego życia w Krakowie 1593.[3]) Dłuższego nierównie czasu wymagał przekład Starego Testamentu. Dnia 19 kwietnia 1594 pojechał Wujek z Krakowa do Warszawy, chcąc się porozumieć w pewnej sprawie z bawiącym tamże prymasem Karnkowskim. Stąd udał się wprost do Poznania, w zamiarze dalszego tłumaczenia Biblii.[4]) Wykończył ją jednak zupełnie dopiero w czasie swego wiceprowincyalstwa siedmiogrodzkiego: w Białogrodzie i Koloszwarze. Do marca 1596 przełożył już Proroków większych, z przekładem mniejszych oraz ksiąg Machabejskich miał się uporać na Wielkanoc 14 kwietnia; jednakowoż ta mozolna i niełatwa robota przedłużyła się znacznie, dopiero z początkiem lipca 1596 dokonał ostatecznie rozpoczętego dzieła.[5]) Cała Biblia, t. j. Nowy i Stary Testament, cenzorowana przez dwa lata przez 5 tęgich[6]) teologów lingwistów: Stanisława Grodzickiego, Adryana Radzimińskiego,[7])

[1]) Ad quaesitum 10 Congregationis Provincialis Poloniae 1584: Ut Sua Paternitas det Provinciali facultatem designandi et deputandi certos ex nostris theologos, qui Biblia in linguam polonicam convertant et a Novi Testamenti versione primum incipiant, nam in veteri translatione multa desiderantur... multique ex viris primariis petierunt, ut eam denuo transferendi operam Societas nostra suscipiat, cum nemo alius id facturus videatur. Responsum mense Februario 1585: Supplicavimus Pontificem, concessit hac tamen conditione, ut idonei deputentur et deinde versio diligenter examinetur, quare id P. Provinciali diligenter commendamus. Rękop. Bibl. Cesar. w Wiedniu, nr. 11977, p. 54.

[2]) Wielewicki: Script. rer. pol. T. VII. 151.

[3]) O Tłómaczeniu Nowego Testamentu przez ks. Jakóba Wujka, wydał dobrą rozprawę ks. Julian Gołąb. Warszawa 1906. Rzecz swoją przedstawia autor ze stanowiska introdukcyjnego.

[4]) List Wujka, z Krakowa 19 kwietnia 1594, do Klaudiusza Akwawiwy w Rzymie.

[5]) Listy Wujka, z Białogrodu 6 marca i z Koloszwaru 19 września 1596, do Kl. Akwawiwy.

[6]) Wielewicki: Script. T. VII. 238.

[7]) Siostrzeniec O. Stanisława Warszewickiego, jak świadczy list tegoż Warszewickiego, z Lublina 5 września 1584 do Kl. Akwawiwy.

z gruntownych wykładów nauki chrześcijańskiej. Jego Catechismus,[1]) w latach 1552—1560 drukowany w Wiedniu, Kolonii i Monachium, przełożono później na rozmaite języki. Przyswoił go również Wujek językowi polskiemu i wydał: Maluczki katechizm kościoła powszechnego, albo nauka chrześcijańskiej pobożności przez Dra Piotra Kanizyusza Teologa Zebrania Pana Jezusa napisany, a teraz nowo na polskie przełożony. Kraków 1570, z dedykacyą do Anny Jagiellonki. Prócz tego wydał: Ewangelie na niedziele i wszystkie święta kościoła katolickiego. Wilno 1579.

Największą atoli pracą, zasługą i chwałą Wujka, która imię jego nieśmiertelnem uczyniła w Polsce, to przekład Pisma świętego. Inicyatywę do tego dał mu prymas arcybiskup gnieźnieński, Stanisław Karnkowski, który i nakład druku ofiarował i u papieża Grzegorza XIII z góry pozwolenie na taki przekład uzyskał. Głównym motywem było to, że jedyny prawie przekład Pisma św. polski i katolicki: Biblia Jana Leopolity, uczonego mistrza i kaznodziei a przyjaciela Wujka, w latach 1561 i 1575[2]) w Krakowie wydany, nie był dość wierny i dokładny i pod względem języka poprawny, że heretykom, jak Szymonowi Budnemu „śmiechu czy żalu“ godnym się wydawał. Zato kalwińska „Biblia Radziwiłłowska“ w Brześciu Litewskiem 1563 wydawana,[3]) była w ręku wielu katolików, posługiwali się nią i kaznodzieje, że już nie wspomnę o luterskim przekładzie Pisma św. Nowego Testamentu Jana Seklucyana 1551, tudzież o przekładach socyniańskich: Szymona Budnego 1572 i 1574, nakoniec Marcina Czechowicza 1577. Odczuwano przeto nieodzowną konieczność wydania dokładnej i poprawnej katolickiej Biblii. Kiedy właściwie Wujek rozpoczął tę mozolną pracę, t. j. tłumaczenie z Wulgaty na język polski, ściśle oznaczyć nie podobna. To pewna, że generał Akwawiwa pozwolił już

[1]) Braunsberger: Petri Canisii Epistulae Vol. I—II. Tegoż: Entstehung und erste Entwicklung der Katechismen des seligen Petrus Canisius S. I. Freiburg 1893.

[2]) Przechowuje się w Muzeum Czapskich w Krakowie.

[3]) Znajduje się w Muzeum Czapskich.

1585 na polski przekład Pisma św., jak o to prosiła kongregacya prowincyonalna,[1]) odbyta w Kaliszu 10 maja 1584. Wielewicki jednak nadmienia, że dopiero w maju 1592 uprosił sobie nieco więcej swobodnego od przełożeństwa i prac innych czasu w Krakowie[2]) i tam w domu św. Barbary swój przekład Biblii posunął znacznie naprzód. Pierwsza część, obejmująca Nowy Testament, wyszła za jego życia w Krakowie 1593.[3]) Dłuższego nierównie czasu wymagał przekład Starego Testamentu. Dnia 19 kwietnia 1594 pojechał Wujek z Krakowa do Warszawy, chcąc się porozumieć w pewnej sprawie z bawiącym tamże prymasem Karnkowskim. Stąd udał się wprost do Poznania, w zamiarze dalszego tłumaczenia Biblii.[4]) Wykończył ją jednak zupełnie dopiero w czasie swego wiceprowincyalstwa siedmiogrodzkiego: w Białogrodzie i Koloszwarze. Do marca 1596 przełożył już Proroków większych, z przekładem mniejszych oraz ksiąg Machabejskich miał się uporać na Wielkanoc 14 kwietnia; jednakowoż ta mozolna i niełatwa robota przedłużyła się znacznie, dopiero z początkiem lipca 1596 dokonał ostatecznie rozpoczętego dzieła.[5]) Cała Biblia, t. j. Nowy i Stary Testament, cenzorowana przez dwa lata przez 5 tęgich[6]) teologów lingwistów: Stanisława Grodzickiego, Adryana Radzimińskiego,[7])

[1]) Ad quaesitum 10 Congregationis Provincialis Poloniae 1584: Ut Sua Paternitas det Provinciali facultatem designandi et deputandi certos ex nostris theologos, qui Biblia in linguam polonicam convertant et a Novi Testamenti versione primum incipiant, nam in veteri translatione multa desiderantur... multique ex viris primariis petierunt, ut eam denuo transferendi operam Societas nostra suscipiat, cum nemo alius id facturus videatur. Responsum mense Februario 1585: Supplicavimus Pontificem, concessit hac tamen conditione, ut idonei deputentur et deinde versio diligenter examinetur, quare id P. Provinciali diligenter commendamus. Rękop. Bibl. Cesar. w Wiedniu, nr. 11977, p. 54.

[2]) Wielewicki: Script. rer. pol. T. VII. 151.

[3]) O Tłómaczeniu Nowego Testamentu przez ks. Jakóba Wujka, wydał dobrą rozprawę ks. Julian Gołąb. Warszawa 1906. Rzecz swoją przedstawia autor ze stanowiska introdukcyjnego.

[4]) List Wujka, z Krakowa 19 kwietnia 1594, do Klaudiusza Akwawiwy w Rzymie.

[5]) Listy Wujka, z Białogrodu 6 marca i z Koloszwaru 19 września 1596, do Kl. Akwawiwy.

[6]) Wielewicki: Script. T. VII. 238.

[7]) Siostrzeniec O. Stanisława Warszewickiego, jak świadczy list tegoż Warszewickiego, z Lublina 5 września 1584 do Kl. Akwawiwy.

Justa Raba, Jana Branta i Marcina Łaszcza, ukazała się w swej wspaniałej postaci w Krakowie 1599, poprzedzona dedykacyą do króla Zygmunta III., oraz listem polecającym i zatwierdzającym prymasa Karnkowskiego. Pojawienie się przekładu Wujka było epokowem wydarzeniem w prowincyi kościelnej w Polsce. Im więcej odczuwano jego potrzebę, im więcej go oczekiwano, z tem większym przyjęto go zapałem. Stąd Jan Januszowski, wydając w r. 1600 „Statuta Koronne", w dedykacyi do Mikołaja Firleja, wojewody krakowskiego, starosty nowomiejskiego i pilźnieńskiego, zaznaczył między innemi: Jest się z czego cieszyć, Jaśnie Wielmożny Miłościwy Panie, jest za co Panu Bogu dziękować, że teraz w rękach swych piastujemy Biblią świętą, przez X. Jakuba Wuyka Teologa Societatis Iesu, dostatecznie, wiernie, prawdziwie i wedle potrzeby na polskie przełożoną. Pragnęły tego wieki przeszłe, pragnęli ojcowie i przodkowie nasi, pragnęli i my sami; teraześmy tego doczekali, niech Pan Bóg będzie pochwalony. Prymas zaś Karnkowski nazywa ten przekład jednym z dziesięciu szczególnych znaków szczodrobliwości Bożej, jakie za jego pamięci dostały się Polsce.

Pracą tą, do której dodał jasny i budujący komentarz na całe prawie Pismo św., postawił sobie Wujek niespożyty pomnik, świadczący zarówno o jego znajomości nauk biblijnych i języków starożytnych, jak o mistrzostwie pod względem języka, który według wyrażenia Stan. Witwickiego, biskupa poznańskiego († 1698), ustroił się tu w szatę świąteczną. Czem był Orygenes dla Greków (Hexapla), czem św. Hieronim dla Łacinników (Vulgata), tem dla Polaków katolików jest ks. Jakób Wujek, ten Orygenes i Hieronim polski. Prawda, że w Biblii Wujkowej napotykamy tu i ówdzie hebraizmy i greczyzmy, które w XX wieku mogą razić nasze zbyt wypieszczone uszy. Nie umniejsza to jednak bynajmniej zasługi naszego tłumacza, gdyż hebraizmy i greczyzmy nadają w Biblii mowie polskiej odrębne zabarwienie, a przepełnione archaizmami polskimi, tchną odwieczną powagą i namaszczeniem niewy-

słowionem, wytwarzają odrębny język, który nazywamy biblijnym[1]).

Równocześnie prawie z wydaniem Nowego Testamentu gotował Wujek do druku i wydał w Krakowie 1594: Psałterz Dawidów, z dedykacyą do Stan. Karnkowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Do III kategoryi należą dzieła polemiczno-apologetyczne. Wiadomo jest, że Lutrzy, Kalwini i Bracia Czescy, z wykluczeniem Aryanów, ułożyli pod naciskiem heretyckich panów wspólne wyznanie wiary w Sandomierzu (9—11 kwiet. 1570), mizerną mieszaninę wszystkich trzech wyznań, które oni nazwali „zgodą sandomierską" i przedłożyli Zygmuntowi Augustowi do zatwierdzenia, jako drugiej, obok katolickiej, religii panującej; oraz domagali się równouprawnienia wyznań, lecz król zatwierdzenia odmówił. Wystąpił pierwszy raz przeciwko nim Wujek w obszernej rozprawie pod tytułem: Iudicium albo rozsądek niektórych katolików o konfessyi sandomierskiej r. 1570 wydanej, w którym się fałsz i błędy tej konfessyi po prostu ukazują, a prawda jednego powszechnego Kościoła sama się broni. Kraków 1570, z dedykacyą do Zygmunta Augusta, króla polskiego.

Franciszek Stankar,[2]) zuchwały Socynianin, z powodu szerzenia heretyckich zasad wykluczony niegdyś z grona profesorów wszechnicy krakowskiej, uwięziony i osadzony na zamku Lipowcu 1550, jeden z pomiędzy 16 tłumaczów na polskie Biblii, drukowanej 1563 w Brześciu Litewskiem nakładem Mikołaja Radziwiłła,[3]) napisał był bezecną rozprawę[4]) przeciw ofierze Mszy św. Naprzód nuncyusz papieski Wincenty Porticus,[5])

[1]) Ks. Dr. Ant. Szlagowski o „Tłumaczeniu Wujka" w Bibliotece Dzieł Chrześcijańskich Tom 85 Warszawa 1908 str. 256, 250.

[2]) Medyk z Mantuy, zmarły w Stobnicy w Polsce 1574. Dużo o nim szczegółów podaje Szczęsny Morawski: Aryanie Polscy. Lwów 1906, zob. tamże spis osób str. 540.

[3]) Wojewody wileńskiego i kanclerza litewskiego († 1565).

[4]) Tria papistarum fundamenta. Cracoviae 1571.

[5]) Die 17 Martii 1572 allatum est ad P. Iacobum scriptum blasphemum Francisci Stancari Mantuani, contra sacrosanctum Missae Sacrificium, missum a R. D. Portico nuntio apostolico, ut illi responderet: quod et factum est intra paucos dies. Później znów czytam: Die 3 Maii 1572 absolutum est a P. Iacobo scriptum in Stancarum, pro sanctissimo Missae Sacrificio, et missum est Varsaviam ad D. Porticum, ubi tunc erat Dr. Toledus noster, qui illud legit et probavit. (Annal. Colleg. Posnanien. fascic. IV.).

potem prymas Jakób Uchański, uprosili Wujka,[1]) że temu sekciarzowi dał należytą odprawę: Brevis augustissimi ac summe venerandi sacrosanctae missae sacrificii ex sanctis patribus, contra impium Francisci Stancari Mantuani scriptum assertio. Coloniae Agrippinae 1577.[2]) Wydał to Wujek bezimiennie „suppresso interim meo nomine", bo tak sobie życzyli przełożeni zakonu, jak sam pisze do biskupa Kromera, pod dniem 25 listopada 1577. Na to wydawnictwo ofiarował prymas 50 florenów.

Jakób Niemojewski, naprzód wyznania helweckiego, potem brat czeski, wyzwał sławnego teologa Franciszka Toleta, a wnet potem Jezuitów poznańskich na dysputę i, jak on twierdził, przegadał ich, a potem treść i przebieg dysputy ogłosił drukiem: Diatribe albo kolacya przyjacielska z księżmi Jezuitami Poznańskimi o przedniejsze różnice wiary chrześcijańskiej czasu tego. Grodzisk 1579. Odpowiedział mu w imieniu profesorów poznańskich 1580 trzema dziełami Wujek. Pierwsze: Prawdziwa sprawa o rozmowie albo dysputacyi, którą miał pan Jakób Niemojewski w Warszawie na sejmie przy zacnych sędziach

[1]) Listy Wujka, z Poznania 25 maja 1577, do Ewerarda Merkuryana, tudzież z 25 listop. 1577 do biskupa Marcina Kromera w Heilsberdze.

[2]) Egzemplarz in 8° o 65 kartach w pergamin oprawny, przechowuje się w bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Napisał na nim własnoręcznie O. Wujek: „Illmo D. D. Stanislao Hosio Cardinali S. R. E. Autor observ. ergo". Później był własnością „Domus Professae S. I. Cracoviae ad S. Barbaram". Dzieło to wydał swym nakładem prymas Jakób Uchański, jak sam wspomina w prologu, datowanym Lovicii 3 Junii A. D. 1577. W tekscie łacińskim cytuje Wujek tu i ówdzie nierzadko tekst hebrajski i grecki. Znajduje się prócz tego to dzieło w bibl. uniwer. w Warszawie, (Wierzbowski: Bibliogr. T. I., p. 78), lecz ani w Krakowie, ani w Warszawie nie umiano oznaczyć dotąd, kto jest autorem tegoż. Ponieważ ta książka do rzadkości należy i nie każdemu dostępna, przeto podaję sumarycznie nagłówki rozdziałów tejże: In hoc libello tres illi loci ex certissimo universae Ecclesiae Catholicae sensu et consensu explicantur. Primus, de oblatione munda, Malachiae 1. Secundus, de sacrificio Melchisedech, Genes. 14 et Psal. 109. Tertius, de iugi sacrificio, Daniel 12 et 9. Accessit et quartus de verbis: Hoc facite in meam commemorationem, Math. 26. Et quintus, de transsubstantiatione, hoc est conversione panis et vini in corpus et sanguinem Domini nostri Iesu Christi. Et sexto, assertiones catholicae de sacrificio missae. W ciągu swej pracy powołuje się Wujek na zdania 38 Ojców i Doktorów Kościoła; prócz tego na siedmioraką liturgię, jako to św. Jakóba Apostoła, św. Bazylego, św. Chryzostoma, św. Klemensa, Mszę Rzymską, Mszę św. Ambrożego i Mszę Etyopską; wreszcie na zdania 11 uczonych Rabinów.

z Franciszkiem Toletem, Teologiem T. J. 1572. Poznań 1580; drugie: Dialysis t. j. rozwiązanie albo rozebranie asercyi[1]) pana Jakóba Niemojewskiego, z dowodami jego naprzeciw Jezuitom Poznańskim wydanych. Poznań 1580, z dedykacyą do Łukasza Kościeleckiego, biskupa poznańskiego; trzecie: O Kościele Pana Chrystusowym prawdziwym, rozprawa stateczna a dowodna, z odpowiedzią na dowody przeciwne Pana Jakóba Niemojewskiego. Poznań 1580, z dedykacyą do Andrzeja Opalińskiego, marszałka wielkiego koronnego.

Aryanie, zwani także Nowochrzczeńcami albo Nurkami, pozyskawszy dla swej sekty wielu zwolenników z pomiędzy szlachty, zwłaszcza w krakowskiej, lubelskiej i sandeckiej ziemi, oraz na Litwie i gdzieindziej w Polsce, urągali otwarcie bóstwu Syna Bożego i zwalczali dogmat Trójcy św. Z tego powodu prymas Uchański pisał na dwa zawody do Wujka,[2]) zachęcając go do wydania przeciwko Aryanom dzieła. Nie mógł temu życzeniu na razie zadość uczynić, obarczony różnemi troskami i obowiązkami rektora kollegium poznańskiego. Dopiero w marcu 1590, kiedy był przełożonym domu u św. Barbary, wydał swe dzieło: O Bóstwie Syna Bożego i Ducha św... przeciwko Żydom, Machometanom, Aryanom, Samosatenom, Serwecyanom, Gentilistom, Nowochrzczeńcom, którzy bluźnią Trójcę Przenajśw. i prawdziwe bóstwo i przedwieczność Synowi Bożemu i Duchowi św. odejmują. Kraków 1590, z dedykacyą do Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewody lubelskiego, starosty krakowskiego. Dzieło to, jak łatwo można było przewidzieć, wywołało niezadowolenie i oburzenie w obozie Aryanów i Socynianów. Posypały się więc z ich strony repliki i refutacye przeciwko niemu.[3]) Naprzód w Lublinie 1590 wystąpił z „krótkim odpisem“ Marcin Czechowicz,[4])

[1]) „A potym napisał dziesięć assertiones albo artykułów przeciwko nam i nauce, nie tak naszej, jako wszystkiego kościoła powszechnego, o których się chce z nami piórem dysputować, albo, jako on mówi, uczynić kollacyą przyjacielską“, Wujek w dedykacyi do Dialysis.

[2]) Listy Wujka, z Poznania 2 listopada 1574 i 25 maja 1577, do Ewer. Merkuryana w Rzymie.

[3]) Wierzbowski: Bibliogr. T. III., 194, 207.

[4]) Nie przypadło też do smaku Czechowiczowi katolickie wydanie Nowego Testamentu Wujka, dlatego wystąpił niebawem przeciwko niemu z następującą rozprawą: Plastr na wydanie N. Testamentu X. Jakuba Wuyka. Raków 1594.

z proboszcza katolickiego w Kórniku zwolennik zasad Kalwina i Zwinglego, później aryański minister zboru; potem znowu w Rakowie 1593 odezwał się z „refutacyą" Faust Socyn,[1]) założyciel Antytrynitarzy, czyli Socynianów.

Zwalczał także Wujek „na żądanie niektórego szlachcica polskiego" Sakramentarzy czyli Kalwinów dziełem: De Transsubstantiatione t. j. o przemienieniu istności w Najśw. Sakramencie eucharystycznym katolickie rozbieranie. Poznań 1589. Ów szlachcic, nieznany nam bliżej z nazwiska, był powinowatym ks. Wojciecha Zajączkowskiego, opata OO. Cystersów w Wągrowcu. Nakładem też wymienionego opata i poprzedzone jego przedmową wyszło to dzieło.

Jakób Wujek był nie tylko uczonym teologiem, ale i szczerze pobożnym kapłanem-zakonnikiem. A jak pomnikiem jego uczoności Biblia, tak jego pobożności dogmatyczno-ascetyczne dzieła. Do tej IV kategoryi zaliczamy naprzód podręcznik do rozmyślań wielkopostnych i kazań pasyjnych: Passya t. j. Historya Męki Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Kraków 1575. Powtóre podręcznik do rozmyślań i mów pogrzebowych: Czyściec t. j. zdrowa a gruntowna nauka o modlitwach, mszach i jałmużnach za umarłe wierne i o mękach czyścowych po śmierci. Poznań 1579, z dedykacyą do Jędrzeja Opalińskiego, marszałka wielkiego koronnego. Trzecim podręcznikiem do czytania i rozmyślania był: Żywot i nauka Pana Naszego Jezusa Chrystusa, albo Ewangelia z czterech jedna, na 150 rozdziałów z modlitwami porządnie rozdzielona. Kraków 1597, z dedykacyą do wojewodziny Doroty Barzyny.[2]) Czwartym nakoniec podręcznikiem, do śpiewu kościelnego wyłącznie służącym, jest owo prześliczne: Officium albo Godziny Błogosławionej Panny Maryi. Przełożył je z łacińskiego[3]) i wydał w Krakowie 1596; wyszły znów po-

[1]) Od r. 1598 przebywał stale w Lusławicach, przy Zakliczynie nad Dunajcem, gdzie też w r. 1604 życie zakończył.

[2]) Wdowa po Stanisławie Barzym, wojewodzie krakowskim († 1571).

[3]) Ant. Possevinus in „Apparatu Sacro" haec scripsit: Iacobus Wuiecus Vangrovecensis Polonus, preces horarias B. Virginis Mariae in linguam polonicam vertit, urgentibus piis Polonis, idque exigente necessitate, quae ex cantillatione haereticorum hymnorum in animos simplicium imminebat, quod

nownie tamże 1598, jako pokaźne, o 694 in 8^0 stronicach dzieło.[1])

Przekład ten dobrze oddany w wierszach, śpiew piękny i poważny, całe nabożeństwo wiecznej trwałości godne. Hymny godzinkowe,[2]) obok mnóstwa innych pieśni ku czci Bogarodzicy, są trwałym pomnikiem „monumentum aere perennius“ Maryologii w Polsce. To też te Godzinki śpiewa lud polski już przez trzy wieki z wielką przyjemnością, po kościołach, domach i dworach i śpiewać nie przestanie, póki mowa polska po Bożym świecie rozbrzmiewać będzie. Faxit Deus Optimus Maximus.

Ks. J. Sygański.

---

quidem etiam concessu S. Sedis Apostolicae est factum. Vetus deinde ac novum Testamentum e vulgata latina, editione polonica fecit, mandante, Gregorio XIII Pont. Max. et approbante Clemente VIII Pont. Max, quae Cracoviae fuerunt axcusa... Apparatus Sacer. Venetiis 1606 T. II. p. 87 in fol.

[1]) Wierzbowski: Bibliogr. T. III. 240.

[2]) Genezę i wykład hymnów godzinkowych, podał ks. Jan Krupiński: Godzinki o Niepokalanem Poczęciu N. M. Panny. Warszawa 1851.

Początek życia na ziemi.

Rozdział III.

ŚLADY SAMORÓDZTWA W PRZYRODZIE.

Samorództwo i najnowsi przyrodnicy. — Samorództwo w przeszłości. — Od materyi żywej do martwej. — Badania drobnoustrojowe organizmów. — Kwestya jądra komórkowego. — Głębinowiec (Bathybius) Haeckla. — Monery. — Jądro w bakteryach. — Komórka ostatnim elementem życiowym. — Wzmagająca się przepaść między życiem i światem martwym. — Zwykły sofizmat niektórych przyrodników.

A więc sprawa samorództwa rozstrzygnięta i dziś już żaden człowiek, nietylko uczony, ale jako tako przyrodniczo wykształcony, przypuszczać możliwości samorództwa nie powinien, bez narażenia się na szyderstwo lub współczucie? Sądzę, że byłoby tak, gdyby nie związek sprawy samorództwa z ową kwestyą, której tak nieraz ludzie się wstydzą, ale mimo wszelkich wysiłków nie mogą wyciąć ni wypalić z dna duszy, gdzie się niezatartym wpiła śladem — z kwestyą Stwórcy. Monizm, coraz szersze wśród przyrodników nowszych zataczający kręgi, nie mógł dozwolić na zaprzeczenie całkowite możliwości samorództwa. I stajemy zdumieni wobec zjawiska, że ci sami, którzy z przekąsem wyrażają się o teoryach samorództwa w wiekach minionych, oświadczają głośno, iż wcale nie myślą możliwości samorództwa przeczyć. Teorya samorództwa pomiędzy przyrodnikami monistycznymi panuje przeto dzisiaj wszechwładnie, o wiele silniej, niż w czasach przed Pasteurem. Silniej dlatego, że tam toczył się spór o istnienie faktu, a tu chodzi o zasady filozoficzno-teozoficzne, o uprzedzenia,

których wielu pozbyć się nie chce, przerażeni konsekwencyami, jakie stąd dla nich wyniknąćby musiały.

Zastępy te nowoczesnych wyznawców samorództwa, dzielą się na rozmaite grupy. Jedni uginając się pod nagromadzonym materyałem dowodowym, uznają, iż samorództwo obecnie już nie jest możliwe, lecz odbywało się ono w początkowych epokach geologicznych, gdzie warunki fizyczne i chemiczne mogły być zupełnie różne od obecnych. Odpowiedzią na to niech będą słowa jednego z najgorliwszych apostołów nowożytnego samorództwa, profesora Schäfera, jakie tenże wypowiedział w swej mowie prezesowskiej niespełna dwa lata temu na zjeździe British Association, owego, jak słusznie go nazwano, parlamentu naukowego Anglii, w którym bierze udział cały świat naukowy angielski, i którego prezesura jest uważana w Anglii za zaszczyt największy, ofiarowany corocznie najwybitniejszemu mężowi nauki. „Czyż jest jakiś silny powód — mówi Schäfer — do czynienia wniosków, że w jakimś poprzednim okresie swych dziejów ziemia nasza była w korzystniejszych warunkach, by wyprodukować życie, niż jest obecnie? Daremnie szukałem za takim powodem, a jeżeli żaden się nie zjawia, nasuwa się nam wniosek całą siłą, że ewolucya substancyi nieżywej w żywą wydarzyła się więcej niż raz jeden, — i nie możemy być w żaden sposób pewnymi, że jeszcze się nie wydarzy".[1]) Podobnie wyraża się inny wybitny przyrodnik Mitchell: „Podsuwano od czasu do czasu przypuszczenie, że warunki całkiem niepodobne do tych, które istnieją obecnie, były konieczne do pierwszego zjawienia się życia i muszą się powtórzyć, jeżeli żywą materyę ma się zbudować sztucznie. Żadnego poparcia takiego poglądu nie można wysnuć z obserwacyi istniejących warunków życia".[2])

Wogóle większość przyrodników boi się przypuszczenia takiej możliwości zupełnie odmiennych warunków, panujących w minionych epokach. I słusznie, bo gdyby warunki były wówczas zupełnie różne, to wogóle niby o nich powiedzieć i wnioskować nie można, upaśćby też musiała i cała teorya ewolucyi, która

[1]) *Nature*, t. 90 str. 11.
[2]) *Encykl. Brit.* t. 16, str. 601.

przecież opiera się właśnie na przypuszczeniu, że zawsze w przyrodzie istniały i działały te same, co obecnie, warunki i czynniki.

Wobec tego porzucono marzenia o zamierzchłej przeszłości, a zabrano się z całą energią i ufnością w słuszność sprawy, do badania tego, co jest. Więc przedewszystkiem trzeba było poznać, jaka jest budowa drobnoustrojowa istot żyjących, żeby wiedzieć, jak daleko od najprostrzych elementów jednostkowych życia, do zawiłych związków nieorganicznych i czy nie napotka się w przyrodzie na coś takiego, coby stanowiło pomost pomiędzy jednym i drugim światem, między życiem a martwą materyą.

Pierwsza część zadania, stanowiąca treść dwóch gałęzi nauk przyrodniczych, histologii i cytologii, wydała dla biologii rezultaty świetne, ale wprost niestety odwrotne od tych, których oczekiwali zwolennicy samorództwa. Od chwili, gdy Hooke po raz pierwszy skierował nowowynaleziony prymitywny mikroskop na tkankę korka i zoczył tam budowę podobną do plastru miodu, to znaczy drobne przestrzenie, oddzielone od siebie ściankami, które to przestrzenie nazwał komórkami, aż do badań dzisiejszych, przy pomocy apochromatycznych objektów, obliczonych przed laty przeszło trzydziestu przez Abbego, poglądy nasze na budowę drobnoustrojową istot żywych zasadniczym uległy zmianom. Hooke i jego następcy komórkę uważają jakby za coś drugorzędnego w organiźmie, określają ją jako przestrzeń, ograniczoną ścianami. A chociaż Corti w r. 1772 dostrzega wewnątrz komórki roślinnej ruch cieczy ciągliwej, a Brown w r. 1831, przed nim zaś Leewenhoek i inni opisują jądro komórkowe, to przecież aż do roku prawie 1840, to jest od czasu Schleidena i Schwanna na zawartość komórki małą stosunkowo zwraca się uwagę. Dopiero ci dwaj uczeni pojmują komórkę jako pęcherzyk, wypełniony sokiem komórkowym, w którym zawieszone jest jądro komórkowe. A i Schwann jeszcze o powstawaniu komórki ma zapatrywania zupełnie błędne, sądzi bowiem, że wykrystalizowuje się ona z twórczej materyi cytoblastemu, podobnie jak kryształ minerału powstaje z roztworu, czyli tak zwanego ługu macierzystego. Następni dopiero badacze przekonali się, że ścianka w komórce jest rzeczą zupełnie

drugorzędną i że w przeważnej liczbie komórek zwierzęcych jej niema, i w latach sześćdziesiątych minionego stulecia rozszerzać się zaczyna pogląd, ugruntowany przez Leydiga i Maxa Schulzego, że komórka jestto bryłka żywej protoplazmy, opatrzona jądrem. Pokazało się nadto, że komórka powstać może tylko z komórki, a adagium Harveya z r. 1651, że *omne vivum e vivo*, otrzymało uzupełnienie w innem, znanem powszechnie a postawionem w r. 1858 przez Rudolfa Virchowa: *Omnis cellula ex cellula*, więc każda komórka powstać może tylko z innej komórki, każdy zaś organizm wielokomórkowy składa się z tkanek, genetycznie i morfologicznie utworzonych z komórek.[1])

Badania, prowadzone teraz gorączkowo po tysiącach laboratoryów świata całego, odkrywały coraz to dalsze horyzonty, coraz to nowe zjawiska w komórce. Studya nad dzieleniem się komórki i rozmnażaniem się organizmów wykazały dalej, że jądro w komórce jest jakgdyby specyalnym organem komórki i może powstawać tylko z innego jądra, *omnis nucleus e nucleo*, a również że i owe najważniejsze, dotychczas taką tajemniczością osłonione organa komórki, chromosomy, także roszczą sobie prawo do odrębności rodowej, do samodzielnego powstawania i że o nich również trzeba powiedzieć: *omne chromosoma e chromosomate*. Gdy komórka znajduje się w stanie kinetycznym, to znaczy, gdy się ma dzielić, zjawia się w niej organ zwany centrosomem, istniejący zresztą, według zdania niektórych autorów, stale w każdej komórce, chociaż go często dostrzedz nie można. Otóż ten centrosom przy podziale komórki także się dzieli niezależnie i znowu *omne centrosoma e centrosomate*. W ostatnich wreszcie czasach, przy udoskonalonych metodach badania, rozróżnia się w komórce dalsze organa, mytochondria i organa siateczkowate, których znaczenie fizyologiczne zupełnie jeszcze niezbadane i o nich znowu się mówi, że mogą tylko od innych podobnych sobie organów pochodzić, *omne mytochondrium e mytochondrio*, *omne organum reticulare ex organo reticulari*.

Prócz istot wielokomórkowych znamy jeszcze tak w bo-

[1]) Dzieje rozwoju nauki o komórce przedstawiłem obszerniej w Przegl. Powszech. t. 111.

tanice jak i w zoologii całe mnóstwo istot jednokomórkowych, owych tak zwanych dawniej infuzoryów. Podczas gdy u zwierząt i roślin wielokomórkowych dostrzegamy ogromne zróżniczkowane funkcyi komórek, to u istot jednokomórkowych, gdzie każda komórka musi być niejako panem i sługą i wszystkie spełniać funkcye, uderza za to niesłychana rozmaitość kształtów tych komórek. Dość powiedzieć, że dziś znamy przeszło cztery tysiące pierwotniaków, i również tyle jednokomórkowych roślinek zwanych okrzemkami. A poza tem cała falanga owych grzybków, zwanych bakteryami, niektóre większe nieco, inne tak drobne, że nawet pod najsilniejszemi powiększeniami pojedynczo rozróżnić ich nie można. Każda taka bakterya jest znowu komórką, każda stanowi mikrokosmos, mały świat dla siebie, obdarzony wszystkiemi cechami istoty żywej, a nadto jakgdyby osobistą nieśmiertelnością. Często bowiem się zdarza, że pierwotniak czy bakterya, zestarzawszy się, zamiast umierać śmiercią zwykłą, odmładza się, bo dzieli się na dwie nowe, ochotą i świeżemi siłami do życia obdarzone istoty.

A doświadczenie codzienne uczy, że podział ten następuje nieraz z gwałtowną szybkością. U bakteryi co kwadrans i częściej i nieraz się już zdarzyło, że gdy w organizm lekarza przy sekcyi wszczepiły się bakterye, mnożyły się już tam tak szybko, że najspieszniejszy nawet ratunek nie zdołał zatrutego uchronić od śmierci. Niezmiernie również szybko mnożą się i pierwotniaki. Wallace podaje fakt zabawny, na ściśle matematycznem oparty rachunku, że gdyby nie walka o byt, i niemożliwość warunków zewnętrznych, to z jednego pierwotniaka, zwanego paramecium, a tak drobnego, że przedstawia się jako zaledwie dostrzegalny pyłek, po dwu latach przez podział rozmnożyłoby się ich tyle, że razem zespolone utworzyłyby one kulę większą znanego wszechświata! [1])

Z uwag powyższych widzimy, że już nawet najdrobniejszy element świata żywego, czyto jako część składowa organizmu, czy jako samodzielna istota, obdarzony jest przymiotami i wła-

[1]) Alfred Russel Wallace: *The World of Life* London 1911 str. 372.

snościami, które go odcinają ostro i istotnie od świata martwego i stawiają nieprzebytą dla fizyki i chemii przepaść między najbardziej skomplikowanymi nawet związkami chemii organicznej a najprostszą komórką.

Widzą i uznają to wszyscy przyrodnicy, dlatego też oglądali się i oglądają, czy gdzie w przyrodzie niema takiego pomostu między komórką a światem martwym, lub czy go wytworzyć nie można sztucznie z pomocą chemii i fizyki, które już tyle dziwnych dokazały rzeczy. Owocem pierwszego rodzaju usiłowań, mianowicie odnalezienia w przyrodzie istot niżej od komórki uorganizowanych, jest przedewszystkiem sławny Bathybius, głębinowiec, który przez lat jedenaście podniecał nadzieje wyznawców samorództwa. Historya Bathybiusa dosyć krótka, jak i jego cały żywot. Jeszcze w r. 1805 przedstawił głośny przyrodnik niemiecki Wawrzyniec Oken (1779—1851) w dziele swem, zatytułowanem *Die Zeugung*, teoryę, że wszystkie organizmy żywe są zbiorem, nagromadzeniem pęcherzyków, czyli komórek, utworzonych z materyi pierwotnej, którą nazwał Urschleim. O teoryi tej wkrótce zapomniano, a dopiero przypomniał ją światu Haeckel, gdy w r. 1868 dwaj przyrodnicy angielscy Thomson i Carpenter wydobyli z dna morskiego zatoki biskajskiej, z głębokości 4425 metrów, szlam, który tem się odznaczał, że gdy do wody go zawierającej dodano absolutnego alkoholu, ścinał się w drobne płatki i opadał na dno naczynia. Nieuszło to zjawisko uwagi czujnego oka apostoła monizmu Haeckla, który zaraz też podsunął ideę, że jest to może właśnie ów Urschleim Okena, owa najpierwotniejsza forma życiowa, z której utworzyć się mają infuzorya i wyższe organizmy. Wywody Haeckla uznał za słuszne przyrodnik angielski Huxley i na cześć mistrza nazwał tę rzekomą pierwocinę życiową Bathybius Haeckelii, głębinowiec Haeckla.

Bardzo pięknie opisuje głębinowca sam Haeckel w dziele, wydanem w r. 1870 p. t. *Przyrodzone dzieje stworzenia* (*Natürliche Schöpfungsgeschichte*): „Dziwny ten organizm — czytamy tam — żyje w niezmiernych przepaściach morza... Pomiędzy licznemi polytalamiami i radyolariami, które zaludniają delikatny kredowy muł tych przepaści, masami znajduje się także i głębino-

wiec, częścią w postaci kulistych lub bezkształtnych bryłek szlamu, częścią jako oka sieci szlamowych, powlekających gruzy kamieni i inne przedmioty. Często w tych szlamistych, galaretowatych masach, zawarte są małe ciałka wapienne, będące prawdopodobnie ich wydzielinami. Całe ciało godnego uwagi głębinowca jest utworzone, jedynie i wyłącznie z bezpostaciowej plazmy czyli protoplazmy, to jest z tego samego białkowego związku węglowego, które w nieskończenie wielu odmianach znachodzi się we wszystkich organizmach jako najistotniejsze i nigdy nie brakujące podłoże życiowe".[1])

Przytaczam ten ustęp, bo prócz związku ze sprawą głębinowca, stanowi on nadto klasyczny przykład, jak nieraz nieuczciwie pisze się popularne książki przyrodnicze. Popularyzowanie wiedzy bezsprzecznie dozwala i wymaga, by suche fakta i teorye naukowe grupować i ubierać w estetyczne piękne formy, któreby plastycznością i kolorytem treść samą czyniły dostępniejszą i jaśniejszą. Ale nie wolno nigdy i pod żadnym warunkiem wprowadzać w błąd innych — bo ci, co w szlachetnej żądzy wiedzy, wolne od pracy zawodowej chwile poświęcają na przeglądnięcie przepięknej i pełnej wielkich tajemnic księgi przyrody, chcą poznać prawdę. Toteż krzywdą i obelgą jest dla nich, gdy się im rzeczy wątpliwe lub zgoła zmyślone przedstawia jako pewne zdobycze nauki.

Głębinowiec Haeckla, skoro tylko wypłynął z głębi teoryi na światło doświadczenia, wkrótce utracił swe przepaściste właściwości. Prof. (później Sir) Charles Wyville Thomson, dyrektor sławnej wyprawy angielskiej, która przez trzy i pół roku (1872—1876) na okręcie Challenger badała głębiny morskie, bardzo usilnie się starał, by z dna morskiego wydobyć ową bezpostaciową protoplazmę, ale wszystkie usiłowania spełzły na niczem. Chemik Buchanan wreszcie pokazał, że ten Bathybius jest poprostu zwykłym gipsem, strąconym z wody morskiej przez domięszanie do niej alkoholu. Przyznał to otwarcie i sam Huxley, twórca głębinowca, przyznał i Haeckel, który z prostotą

[1]) Dr. Ernst Haeckel: *Natürliche Schöpfungsgeschichte*, Berlin 1873, str. 165, 166.

oświadcza: „błąd, który popełniliśmy polegał na tem, iż zanadto szybko uogólnialiśmy". Dodać tu można, że błędu zbyt pospiesznego uogólnienia, w żadnej może nauce ścisłej nie popełnia się tak lekkomyślnie i nałogowo, jak w naukach biologicznych, zwłaszcza, gdy to uogólnianie posłużyć może do poparcia powziętej uprzednio teoryi.

Po zgonie głębinowca, dla przyrodnika, pragnącego wykazać ciągłość między światem żywym i martwym, pozostała cała nadzieja tylko jeszcze w monerach Haeckla. Jak widzieliśmy, komórkę definiuje się dzisiaj, jako bryłkę protoplazmy, opatrzonej jądrem, a więc do istoty komórki należy obecność jądra. Są jednak żyjątka jednokomórkowe, tak między roślinami, jak i wśród zwierząt, w których istnienia jądra wykryć nie można. Oparty na tym fakcie Haeckel utworzył przed kilkudziesięciu laty osobny dział istot żywych bezjądrowych, który stanowiłby przejście w rozwoju od materyi nieorganicznej, do wyżej zorganizowanych jądrowych komórek i utworzonych z nich organizmów. Grupę tę nazwał Haeckel monerami. Znakomity znawca pierwotniaków, angielski zoolog, Edward Minchin, tak pisze świeżo o tem przedmiocie: „Przypuszczano dawniej, że najniższe pierwotniaki są całkowicie bez jądra i na tem przypuszczeniu usiłował E. Haeckel założyć dział, zwany przezeń Monera, określony jako pierwotniaki, składające się wyłącznie z protoplazmy, w której jądro nie zostało zróżniczkowane. Do tej klasy zaliczono rozmaite organizmy, których archaiczną naturę wyrażono w takich nazwach, jak Protogenes Primordialis, organizm, który, jak tyle innych pierwotnych form zwierzęcego życia, opisanych przez Haeckla, aż do czasu obecnego, widział wyłącznie tylko ów przyrodnik. U wszystkich pierwotniaków, które zbadano przy pomocy nowszych metod, wykazano istnienie jądra w jakiejś postaci i trzeba przypuszczać, dopokąd nie zjawi się dowód przeciwny, że w przypadku tak zwanej monery albo przeoczono jądro z powodu wadliwej techniki, albo rozprószyło się ono czasowo na chromidia"[1]). Podobnego zdania są wszyscy

[1]) *Enc. Brit.* XXII, 483.

mosomy, centrosomy, ziarenka zwane mytochondriami, organ siateczkowaty i kto wie jeszcze jakie, dotychczas nam nieznane, gdy uprzytomnimy sobie, ilorakie i jak skomplikowane funkcye najprostsza nawet komórka ma do spełnienia, to trudno uwierzyć, by komórka była pojedynczą, ostatnią jednostką życiową. Nasunąć się musi przypuszczenie, a nawet twierdzenie, że komórka jest już zespołem innych wielu i wielorakich, drobniejszych od niej i prostszych bez porównania istot, które powstawszy przez samorództwo, siłami chemicznemi i fizycznemi, z cząstek i związków nieorganicznych, tem są dla komórki, czem komórka dla organizmu.

I różni różnie pojmowali i nazywali owe najprostsze elementy życiowe. Spencer zwie je fizyologicznemi jednostkami, Darwin daje im nazwę gemmule, Haeckel plastidule, Hugo de Vries pangeny, Verworn biogeny, Weismann biofory, Oskar Hertwig bioblasty i t. d. Oto co o takiej jednostce mówi na przykład Weismann: „O budowie tych jednostek życiowych albo bioforów, jak ja je nazywam, nie możemy narazie nic dokładniejszego powiedzieć, jak tylko to, że w ich składzie główną rolę grają molekuły białka, woda, sole i niektóre inne materyały... zadawalamy się tem, by bioforom przyznać własność życia i by więc przedtawić sobie, że wszelka żywa substancya, substancye komórkowe i jądrowe, substancya mięśniowa, nerwowa i gruczołowa we wszystkich swych odmianach, składa się z bioforów, oczywiście o najrozmaitszym składzie. Muszą istnieć niezliczone rodzaje bioforów we wszystkich rozmaitych częściach milionów form życiowych... wszystkie posiadają zasadnicze własności życia, wydalają i przyswajają, rosną, rozmnażają się przez podział. Także ruch i czucie musimy im w jakimś stopniu i znaczeniu przypisać". [1])

Trafnie krytykuje te teorye wspomniany już profesor londyński Minchin w następujących słowach: „Wogóle można powiedzieć o wszystkich tych spekulacyach, albo że można je rozciągnąć do wszystkich zjawisk życiowych z pomocą tak wielu hypotez

[1]) Weismann: *Vorträge über Deszendenztheorie* II Aufl. t. I. str. 301.

i przypuszczeń, że stają się do zastosowania niezdolne i niezrozumiałe, albo że odsuwają one tylko trudności krok wstecz, a w rzeczywistości niczego nie tłómaczą. Tak żąda się, by one posiadały zdolność asymilacyi, wzrostu i rozmnażania się przez podział: innymi słowy, żeby one były wyposażone właśnie tymi przymiotami, które stanowią niewyjaśnioną tajemnicę materyi żywej [1])".

I dziwna rzecz, że ludzie, obdarzeni skądinąd tak wybitną zdolnością subtelnego rozumowania, nie dostrzegli, iż kryjąc tajemnicę życia wewnątrz ledwo dostrzegalnych lub wcale niewidzialnych ziarenek, nietylko nie budują pomostu pomiędzy światem żywym i martwym, ale owszem jeszcze silniej zaznaczają dzielącą je przepaść, bo wskazują, że najmniejsza nawet drobina życiowa obdarzona jest własnościami, których ani śladu nie spotykamy nigdzie w materyach martwych, — własnościami odżywiania się, wzrostu i rozmnażania się. Choćby więc owe gemule, pangeny, biofory i jak je jeszcze nazwać, były rzeczywiście najmniejszemi jednostkami życiowemi, to przez to, że są tysiące lub miliony razy od komórki mniejsze, jeszcze nas wcale do świata nieorganicznego nie zbliżają i niczem nie ułatwiają samorództwa. Ale i temu trzeba się narazie przynajmniej, w obecnym stanie nauk biologicznych, sprzeciwić stanowczo, by to były elementarne jednostki życiowe. Słusznie bowiem zauważył Wasmann: „Jako najniższe jednostki życiowe można wedle praw logiki oznaczać tę tylko część morfologicznie złożonej istoty żywej, która, przynajmniej w pewnych warunkach, zdolną jest rzeczywiście do samodzielnego istnienia w stanie żywym (*zu einem selbständigen Lebensdasein fähig ist*). Inaczej nie jest już ona wcale biologiczną jednostką elementarną, lecz tylko częścią biologicznej jednostki elementarnej [2])". Tymczasem ani w przyrodzie, ani wśród sztucznie wytworzonych warunków w pracowniach przyrodniczych nie stwierdzono, by taka gemula mogła samoistnie poza komórką bytować dłużej i mnożyć się przez podział.

---

[1]) *Enc. Brit.* XXII, 478 Protoplasm.
[2]) „*Die moderne Biologie*" etc. str. 190.

Kwestya ta zresztą potrąca o inną, niezmiernie w biologii ważną, mianowicie o pytanie, co to jest organizm. Niektórzy biologowie, zatopieni w szczegółach budowy organizmu, wystąpili z poglądem, że organizm jakikolwiek, ludzki, zwierzęcy, czy roślinny, jest tylko zbiorowiskiem komórek, jest jakgdyby społeczeństwem i zespołem luźnych komórkowych jednostek, związanych tylko wspólnym interesem bytowania. Pogląd ten, zgadzający się znakomicie z powziętemi poprzednio teoryami mechanistycznemi o życiu i jego istocie, popierali oni tym faktem, że niektóre pierwotniaki, to znaczy istoty jednokomórkowe, łączą się w kolonie i że komórki najniższych zwierząt wielomomórkowych czyli tak zwanych metazoów, pozornie dosyć samodzielny prowadzą żywot, a przynajmniej mało się między sobą różnią swym kształtem i funkcyami. Jednak analogia, jak często, tak i w tym wypadku jest wrogiem prawdy. Przeciwko takiemu pojmowaniu organizmu wystąpili stanowczo najgłębsi biologowie, jak Oskar Hertwig, Heidenhain i inni. Wskazują oni na to, że już histologicznie da się udowodnić, iż plazma jednej komórki w organizmie, nie jest ściśle oddzielona od plazmy komórek innych, lecz plazmy te bądź za pomocą tak zwanych mostków międzykomórkowych, jak to widać w komórkach najprostszych, bo na błonkowych, bądź za pomocą wypustek, jak u komórek nerwowych, łączą się i komunikują między sobą. A dalej fizyologowie zwracają uwagę, że niesłychanie skomplikowanego, a zawsze do wspólnego celu i pożytku całego organizmu skierowane działania tych miliardów komórek, jakie w organiźmie wyższym dostrzegamy — liczbę komórek w ciele człowieka oceniają na 5000 miliardów — nie da się wogóle pojąć bez przyjęcia poglądu, że organizm jest całością, że jest poprostu jednostką życiową i stanowi indywidualną jedność, a nie zbiorowisko ślepą jakąś konstytucyą związanych komórkowych indywiduów.

Otóż jedni i drudzy biologowie pogląd swój o organiźmie przenieśli także i na komórkę. Pierwsi uważają komórkę ze zlepek pangenów czy bioblastów, a Altman przyrównuje [1]) każdy in-

[1]) *E. B.* XXII, 478.

dywidualny bioblast do żyjącej wolno bakteryi i w ten sposób patrzy na komórkę, jako na kolonię drobnych organizmów, zanurzonych we wspólnej żywiącej je substancyi. My tymczasem wraz z Hertwigiem, Heidenhainem i wszystkimi głębiej na zjawiska przyrody patrzącymi badaczami, w komórce widzieć musimy indywiduum, jednostkę niepodzielną, najniższy element organicznego życia. Do takiego zaś poglądu dochodzimy wyłącznie na podstawie faktów, jakie nam podają nauki przyrodnicze, niezależnie od wszelkich poglądów filozoficznych.

Fakta te mówią nam dalej, że podczas, gdy w miarę udoskonalenia środków i metod badania, coraz trudniej oznaczyć granicę, gdzie się kończy świat zwierzęcy, a gdzie zaczyna roślinny i są całe grupy istot żywych, które jedni przyrodnicy zaliczają do zwierząt, inni do roślin, to w miarę pogłębienia tajników przyrody żywej przez biologów z jednej strony, przez fizyków z drugiej, coraz jaśniej i wybitniej zarysowuje się granica między światem żywym i martwym, owszem coraz widoczniejszą się staje przepaść, której nie zapełniły nigdy i zapełnić nie zdołają żadne dotychczas znane siły fizyczne ani chemiczne.

To jest fakt bijący w oczy, na który zgodzić się musi każdy, bez uprzedzenia na przyrodę i jej zjawiska patrzący. Nie godzą się nań oczywiście i zgodzić nie mogą monistyczni przyrodnicy i dlatego wołają głośno, tem głośniej, im fakta jaskrawiej im przeczą, że w miarę postępu nauk różnica między żywym i martwym światem się zaciera. Chociaż z powyższych uwag wiemy już, że tak nie jest, nie zaszkodzi jednak zapytać przeciwników, jakie argumenty mają na poparcie swego twierdzenia. I gdy się bezstronnie a spokojnie po pismach za tymi dowodami szuka, naprawdę zdumienie ogarnia, jak ludzie nauki wobec czytelników i słuchaczy swoich odważają się występować z takimi sofizmatami, które albo uważaćby należało za szyderstwo ze słuchaczów, albo za zniewagę rozumu ludziego. I tak n. p. Mitchell [1]) za taki argument uważa między innymi odkryte jeszcze w r. 1719 przez Leeuwenhoeka zjawisko, potwierdzone następnie późniejszemi

[1]) *Enc. Br.* XVI, 601.

obserwacyami, że wiele zwierząt, nawet dosyć wysoko zorganizowanych, jak n. p. wrotki, których ciało jest tak wiotkie, że żyć mogą tylko w wodzie, w razie braku tejże wysychają i popadają w stan pozornej martwoty, nie zdradzając niczem na zewnątrz objawów życiowych. Gdy jednak choćby po kilku tygodniach, dostaną się do wody, wnet odżyją na nowo i dawne przybierają kształty. Podobnie zachowują się i inne twory żywe, zwłaszcza bakterye, niektóre wyższe rośliny, a nasiona zbóż zdolność kiełkowania, a więc życie, zachować w sobie mogą przez lat kilkadziesiąt. Dodaje Mitchell, że badania Kochsa wykazały, iż podczas takiego stanu zawieszenia życiowości przemiana materyi ustaje zupełnie, o ile doświadczenia nasze mogą to skonstatować.

Oczywiście przyznajemy, że drobnego wrotka lub zarodku bakteryi, znalezionego w takim stanie zasuszenia, nie da się odróżnić od materyi martwej, ale nie dlatego, żeby nie istniała różnica między życiem a martwotą, lecz tylko dla braku i niedoskonałości naszych środków badania. Żaden człowiek o zdrowym i nieuprzedzonym rozsądku, słysząc o zjawisku takiem i patrząc, jak ten pyłek pozornie martwy, dostawszy się do wody, zamienia się nagle w żywe, zwinnie i wesoło po wodzie uganiające zwierzątko, niepowie, że niema różnicy między życiem a martwotą, lecz każdy owszem nabierze tem głębszego przekonania, że życie jest tajemnicą, której zrozumienie, narazie przynajmniej, siły rozumu ludzkiego zupełnie przechodzi.

Mitchell idzie tak daleko, że na wykazanie trudności rozróżnienia życia od martwoty, przytacza sztuczne zatrzymanie objawów życiowych, nawet bicia serca, jakie posiadają niektórzy ludzie n. p. fakirzy indyjscy, lub nierzadko u ludzi trafiająca się śmierć pozorna czyli letarg. Chociaż jednak w wielu wypadkach medycyna nie posiada jeszcze sposobu rozróżnienia letargu od zgonu, to przecież nie przyjdzie chyba nikomu na myśl wątpić, czy człowiek w letargu pogrążony żyje. Co się zaś tyczy zawieszania dowolnego niektórych funkcyi życiowych, to zaznaczyć należy, ze zdolność udawania objawów śmierci, celem uchronienia się od grożącego niebezpieczeństwa, posiada wiele zwierząt, zwłaszcza owady, a nawet niektóre ptaki. Stoimy tu

wobec zagadki, ale nie tej, czy życie różni się od martwoty, lecz w jaki sposób fakir, lub zwierzę może samowolnie objawy życiowe wstrzymywać lub na nowo, kiedy chce, okazać.

Z więcej uczonym aparatem występuje Schäfer. Przytoczywszy najpierw porównanie organizmu żywego z kryształem, o czem będziemy wkrótce później mówili, dodaje: „Nawet tak skomplikowany proces, jak podział jądra komórkowego za pomocą karyokinezy, jako przedwstępne przygotowanie do rozmnażania komórki przez podział—zjawisko, które *prima facie* wydawało się i było ogólnie uważane za objaw charakterystyczny życia komórki — można naśladować za pomocą roztworów prostej nieorganicznej soli, takiej, jak chlorek sodu, zawierających zawiesiny cząstek węgla; które ustawiają się i rozstawiają pod wpływem ruchów elektrolitów w sposób, nie dający się odróżnić od tego, w jaki to czynią cząstki chromatyny w dzielącem się jądrze [1])".

Temu zarzutowi należy przyjrzeć się nieco bliżej, nie z powodu jego siły dowodowej, lecz dlatego, że jest on typową formą dowodzenia, powtarzającego się częściej w dziełach i nawet w pracach doświadczalnych niektórych biologów. Jestto poprostu sofizmat, który, gdy zeń zdejmiemy uczoną przykrywkę, tak w swej rzeczywistości się przedstawi: Dwa zjawiska podobne, pochodzić muszą od przyczyn takich samych. Sofizmat tkwi w tem, że nie dodaje się wyraźnie: od takich samych przyczyn ludzki nie musi być niczem innem, jak takiem mechanicznem bezpośrednieh. Wyraz „przyczyna" w jednym wypadku bierze się jako przyczyna bezpośrednia, a w drugim jako przyczyna pośrednia — i wtedy oczywiście dochodzi się do błędnego wniosku. Zaraz to objaśnię przykładem.

Ktoś słyszy głos śpiewającego człowieka, a następnie ten sam głos, równie dźwięczny, piękny i silny słyszy w gramofonie. Badając to zjawisko, dowiaduje się, że głos w gramofonie powstaje przez drganie blaszki metalowej, spowodowane ruchami sztyfcika, który biegnąc wzdłuż mikroskopicznie drobnego rowku, uderza o faliste nierówności dna jego, a uderzania te przenoszą się na

[1]) *Nature* t. 90, str. 9.

blaszkę. Nasuwa się tedy badającemu przypuszczenie, że i głos drganiem jakiejś blaszki metalowej, umieszczonej może w gardle. Ale wątpi jeszcze, bo obecność takiej blaszki nie bardzo mu się podoba. Pokazują mu jednak telefon, i ku swemu zdumieniu słyszy w nim doskonale znany mu głos swego przyjaciela. Bada sposób powstania głosu w telefonie i przekonywuje się, że tu znowu przyczyną głosu jest drganie metalowej blaszki. A więc już nie powinno być już dlań wątpliwości, że człowiek to prosta maszyna, w której głos powstaje przez drganie blaszki? Według sposobu dowodzenia Schäfera i jemu podobnych, takby sądzić należało. Tymczasem każdy obeznany z anatomią i fizyologią organu głosowego wie, jak błędny byłby to wniosek. Prawda, że w gramofonie i człowieku przyczyna głosu jest ta sama, ale tylko przyczyna bezpośrednia, najbliższa. I gdy w gramofonie poza drganiem i ruchem mechanicznym nic już niema, to w człowieku na powstanie głosu składa się cały szereg przyczyn, jak napięcie lub rozluźnienie strun głosowych, ruch mięśni gardła i płuc, a ponad wszystko działanie owej najwyższej części składowej organizmu, systemu nerwowego, który temi tak wielorakiemi i skomplikowanemi czynnościami mięśni ma kierować, oznaczać czas i sposób ich działania.

Jedne mięśnie muszą bowiem wypychać z jamy piersiowej prąd powietrza, inne równocześnie zmieniać odpowiednio, szybko i rytmicznie, napięcie strun głosowych, inne wreszcie układać coraz to inaczej jamę ustną i język, by bezkształtne dźwięki, wychodzące z krtani, ułożyły się w zrozumiałe samogłoski i spółgłoski. A jak to wszystko jest trudne i skomplikowane, to przekonać się o tem łatwo obserwując dzieci, z trudem uczące się wyrazów, z których najprostszem i najłatwiejszem oznacza to, co mu najdroższego, najpotrzebniejszego i najbliższego: mama. Przekonać się o tem dalej można z obserwacyi własnej, gdy w wieku późniejszym chcemy nauczyć się obcego języka — jak tam wsłuchujemy się i usiłujemy i powtarzamy i raz po raz wydobywamy ze siebie fałszywe dźwięki. A cóż dopiero mówić o tych subtelnych modulacyach głosu, gdzie pod tym samym wyrazem dusza wyjawia raz sympatyę, to znów gniew, szyder-

stwo, a tak dobitnie, że żadna wątpliwość u słuchacza pozostać nie może. Między mówiącym gramofonem a mówiącym człowiekiem jest więc tylko jedno jedyne podobieństwo, mianowicie, że tu i tam głos powstaje jako bezpośredni skutek drgań ciała materyalnego. Jest jeszcze chyba drugie, które miałoby się ochotę zastosować do ludzi, wygłaszających takie, jak Schäfer, argumenty: że gramofon mówi, a nie myśli.

(Dok. nast.).

X. Feliks Hortyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Mowy żałobne z dodatkiem kilku innych mów kościelnych i dwóch okólników. Arcybiskupa Floryana Okszy Stablewskiego. Zebrał i wydał *X. Józef Kłos.* Poznań, ks. św. Wojciecha 1912.

Kulturkampf pruski w szczególniejszem odniesieniu do wielkiego Księstwa Poznańskiego nie znalazł dotychczas swojego historyka, lecz śmiało powiedzieć można, że wiadomości jakie zgromadził czcigodny wydawca mów żałobnych we wstępie charakteryzującym czasy działalności ś. p. ks. arcybiskupa Stablewskiego będą wielkiem ułatwieniem dla przyszłego badacza tej smutnej epoki w dziejach naszych porozbiorowych. Chęć protestantyzowania wszystkich poddanych i uczynienia Niemiec cesarstwem ewangelickiem na podstawie Heglowskiej teoryi o wszechwładztwie państwa wywołała tę straszną walkę — jak się dowiadujemy, ze wstępu — i przyczyniła się do spustoszenia, którego śladów po dziś dzień zatrzeć nie podobna. W tej chwili strasznej występuje postać proboszcza wrzesińskiego, X. Stablewskiego, który przez 18 lat zabierał głos w obronie uciśnionego narodu, broniąc jego spraw szkolnych, kościelnych a nie pomijając też kwestyj politycznych międzynarodowego znaczenia. Nauka, wymowa płomienna, silna argumentacya w obronie interesów religijnych ludności polskiej sprawiły, że go już w 1879 r. mianowano tajnym podkomorzym J. Św., a nadto skrzętnie korzystano z informacyj, jakie szły nieraz wprost z pola walki do Watykanu. Czem był Windhorst dla Leona XIII. co do spraw kościelnych niemieckich, tem Ks. Stablewski co do spraw archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej — jak to uwidocznia korespondencya z ks. Kardynałem Ledóchowskim — pełna ze strony

ostatniego gorących uczuć wdzięczności i uwielbienia za wydatną pracę dla dobra Kościoła, podziwu dla trafności i umiejętności wspaniałych przemówień. Zasługą też niepomierną jest ś. p. Ks. Stablewskiego, że zaznaczył najwyraźniej stanowisko katolickie całego narodu i jego silną ufność i miłość dla Namiestnika Chrystusowego, kiedy rząd pruski po zamianowaniu Ks. Dindera na arcybiskupa starał się wywołać przekonanie — jakoby Stolica Apostolska poświęciła Polaków dla Niemców. Walka o prawa kościelne, zakończona w r. 1886 zniesieniem prawa rządowego *veto* w obsadzaniu definitywnem probostw, popieranem przez fuldajskiego biskupa wbrew życzeniom wszystkich innych biskupów, przewidujących, że rząd kapłanów idących drogą obowiązku i występujących śmiało w obronie interesów kościelnych nie posunie na wyższy stopień a uczyni to jedynie z tymi, którzy będą uważali za właściwe nie korzystać z praw obywatelskich.

W walce o szkołę toczącej się od 1. 10. 1887, odkąd szkoły dwujęzykowe zamieniono na czysto niemieckie — zabiera głos Ks. Stablewski a głosząc prawdy gorzkie wznosi się do niezwykłej oratorskiej potęgi. Na szczególniejszą uwagę zasługuje jego wniosek o przywrócenie prawa językowi polskiemu, gdzie przytoczył wszystko, co na poparcie tego wniosku przytoczyć było można i wykazał pedagogiczną potworność nauczania dzieci w niezrozumiałym języku. Pomimo deprymującego wrażenia tej mowy — system przewrotny pozostał nietknięty. Z końcem maja 1890 umiera nagle Ks. arcyb. Dinder. Za cenę uchwalenia projektów wojskowych — obiecywał kanclerz Caprivi Kołu polskiemu ziomka na opróżnioną stolicę arcybiskupią. Ks. Stablewski jako przywódca opozycyi rządowi, nie miał szans — nie ubiegał się też ani pragnął urzędu arcypasterskiego, a mimo to na konsystorzu z 14. grudnia 1891 otrzymał prekonizacyę na biskupstwo. Biskupem był dzielnym, w listach pasterskich i wizytacyach piętnował karciarstwo i pijaństwo, podnosił bractwa szczególnie różańcowe i matek chrześcijańskich — nadewszystko jednak pchnął potężnie naprzód ruch społeczny zainicyowany już przedtem przez ks. Biskupa Likowskiego, czem zjednał sobie przydomek biskupa socyologa.

Rok 1894 przyniósł zmianę w politycę niemieckiej względem Polaków. Z ugodowej staje się ona hakatystyczną. Cios za ciosem odtąd pada w postaci takich praw, jak zakazu parcelacyi, prawo o stowarzyszeniach, a nadewszystko prawo o wywłaszczeniu. Arcybiskup starał się wszystkiemi siłami o zabezpieczenie języka ojczystego dziatwie polskiej — ale rząd nie ustąpił. Pomimo to jednak biskup nie zrywa

z rządem — bo widzi w tem większe szkody. Broni jednak języka polskiego i nawet w ostatnim okólniku zaznacza — że bronić go będzie do śmierci, choćby miał się doczekać losu swego poprzednika ks. Ledóchowskiego. Nie doczekał się jednak — 24. listopada 1906 zakończył żywot pełen walk i cierpień.

Na tle tego wstępu łatwiej ocenić szereg mów żałobnych a jest ich 37.

Są i będą arcydziełami naszej literatury kaznodziejskiej nie tylko jako perły stylu ale i treścią pełną skarbów myśli. Że był mowcą z Bożej łaski — o tem zaświadczyć mogą słowa, któremi określa swoje zadanie. „Błądzi, kto mniema, że takie jest zadanie pogrzebowego słowa, by rzucać wieńce kwiatów na trumnę i roztaczać wonie ziemskiej pochwały. Nie wielbić ale pocieszać, nie schlebiać ale uczyć potrzeba, gdy śmierci i sądu wyroki wśród nas rozgrzmiewają". „Sługa Boży, któremu zadanie przypada, aby na tle życia zmarłych snuć pociechę dla pozostałych — wie, że i świętość miejsca i powaga chwili broni mu przesady i nieprawdy. Nie w blaskach sztucznego ognia ale w świetle prawdy kierowanej miłością podnieść należy postacie zmarłych a zbierać z ich życia kłosy, z których ziarno pożytku wytrząść się może dla pozostałych". (str. 311).

Nie mamy wprawdzie żadnych danych historycznych co do pojedynczych mów, nie wiemy skąd czerpał mowca szczegóły — choć często zdaje się być sam znawcą osobistym żywota zmarłego — zawsze jednak ma się wrażenie, że słuchacze odchodzili nietylko głęboko uspokojeni i pocieszeni ale i podniesieni na duchu. Czytając chronologicznie ułożone mowy, bez trudu poznać można, że siła jego wymowy rosła z latami, a w ostatnich latach dwudziestu pozostawił prawdziwe arcydzieła. Przy zwłokach osobistości znakomitszych zasługami koło dobra Ojczyzny — wyzyskuje mowca sposobność aby stawiając przykład zmarłego — zachęcić żyjących do pracy społecznej — do zachowania tradycyi ofiarności i dobrego przykładu. „Zasługa rodu, szlachectwo, żałobni bracia — to nie imienia tylko i chwały po przodkach ale i służby i obowiązków święta spuścizna".

Słychać w tych mowach i odźwięk tej boleści, jaka napełniła serca obecnych z powodu ucisku rządu pruskiego. „A w trwodze tej nocy podnosi się coraz wyżej i huczy czarna fala zalewu, do stóp naszych dociera, podmywa wioski i miasta. I bronią się jeszcze jedni, sypią groble i tamy mężni do końca nocy, po której czekają dnia i pogody — drudzy osłabli lub w zwątpieniu opuścili ręce grzesznie".

„A morze zalewa ich pole i dom się ich zapada a na brzegu samotnym płacze blada rzesza tych, bo bez domu i ziemi. I słychać głos zgryźliwy urągania i szyderstwa z upadku, z tego co drogie, praw świętych słychać przedrzeźnianie! A do ciężkich westchnień, jakie szumią boleścią we wichrach przeciągłych tej ziemi, miesza się niewinnych dziatek jakoby łamanym językiem wypowiadana skarga... A gdy wyżej się podniesiesz lotem orlim, poznasz, że ta ziemia cała to jeden grób wielki, w którym żywcem pochowana matka narodu a gdy ucho przyłożysz, posłyszysz jak się targa w swym grobie i słowami Pisma woła do ludów: Gdzież jest boleść — jak boleść moja. (str. 162)".

Nie szczędząc pociechy strapionym pozostałym, nie szczędzi nauki. Znikomość wszystkiego, co przemija tak różnorodnemi barwami przedstawiona — groza śmierci tak często przeplatana nadzieją zmartwychwstania, że zbiór tych mów służyć może do budującego czytania duchownego, szczególnie dla ludzi inteligentnych świeckich, których sam wyraz nieraz książki pobożnej odstrasza. Język robi wrażenie jakoby przypominał Skargę — choć mu nie dorówna a obok najwybitniejszych XIX. w. śmiało stanąć może, bo sumienny jest w rzemiośle kaznodziejskim a ta sumienność to wielki i rzadki przymiot. Może forma retoryczna a szczególniej brak podziału nieraz uderza, nie zapominajmy jednak, że mowy te, skierowane przeważnie do sfery inteligentnej mają tyle innych dodatnich stron, że te braki zupełnie pokryją. *B. Macewicz.*

Prawne środki w procesie Kanonicznym. *X. Dr. Ignacy Grabowski.* Studyum histor. prawne. Lwów. Skład gł. w księg. Zienkowicza i Chęcińskiego 1913, str. XXII+309. K. 6·50.

Skromnej literaturze polskiej prawa kanonicznego przybyła nowa publikacya z zakresu prawa procesowego. Zamiarem autora było dać treściwy obraz prawa apelacyjnego w ustawodawstwie ogólnokościelnem oraz podać środki prawne, które w jakikolwiek sposób mogą wpłynąć na zmianę orzeczenia w instancyi niższej czy wyższej.

Pracę swą oparł autor przedewszystkiem na znanych zbiorach pr. kanonicznego, głównie na dekretach Grzegorza IX. a posiłkowo na prawie rzymskiem (Digesta, Kodex); dla praktyki zaś pomocnymi autorowi były ASS. i AAS. od r. 1905; literaturę pomocną dość obfitą, lecz przeważnie łacińsko-niemiecką, przytacza autor na początku

książki na pięciu niemal kartkach; brak jednak tutaj literatury innej, jak włoskiej, francuskiej itp. Całą pracę poprzedza wstęp dość obszerny o sądownictwie Kościoła katol. (1—24 str.), lecz zbyteczny chyba, dla grona czytelników, dla których książka jest przedewszystkiem przeznaczona. Udawadnia więc autor, że Kościołowi, zarówno z ustanowienia Bożego, jak i z istoty jego, jako społeczności doskonałej, przysługuje władza sądowa wobec wiernych; że za podmioty tej władzy należy uważać papieża i rozmaitych jego delegatów, biskupów i archidyakonów, którzy jednak od Sob. Tryd. utracili swą władzę; że sądy kościelne pod względem swej organizacyi wewnętrznej urządzone są na zasadzie kollegialności; wreszcie następuje wyjaśnienie wzajemnego stosunku sądów kościelnych i krótka wzmianka o pomocy świeckiej (*brachium saeculare*).

Stosownie do znanych w prawie kanonicznem środków prawnych, podzielił autor pracę swą na dwie części; w pierwszej traktuje o środkach zwyczajnych t. j. o apelacyi i zaskarżeniu nieważności, dodając krótkie wzmianki o uchyleniu sędziego i relacyach. W części drugiej jest mowa o środkach nadzwyczajnych, do których należy: przywrócenie do pierwotnego stanu, supplika, rewizya i t. zw. *aperitio oris*.

Apelacya zależnie czy apelant prosi o zmianę wyroku sądowego czyteż zarządzenia pozasądowego jest albo sądowa, albo pozasądowa, czyli rekurs albo prowokacya. Celem apelacyi, jak wogóle wszystkich środków prawnych jest usunięcie doznanej lub zagrażającej krzywdy w drodze uchylenia lub zmiany wyroku niesprawiedliwego, nieważnego (*czy do zmiany wyroku nieważnego wystarcza apelacya?*), albo zbyt surowego czyto z powodu ułomności naturalnej sędziego, jego złej woli lub nieświadomości prawa, czy też z powodów, pochodzących od stron procesowych albo osób trzecich.

Rozbiór dogmatyczny samej instytucyi apelacyi poprzedza obszerne i udatne przedstawienie historyczne ustawodawstwa i praktyki co do apelacyi, począwszy od pierwszych czasów chrześcijańskich aż po czasy ostatnie. Następnie rozpatruje autor po kolei kwestyę, kto może apelować, wyliczając szczegółowo tych, których prawo wyklucza od wnoszenia apelacyi i wypadki, w których apelacya jest niedozwolona; by wskazać właściwego sędziego apelacyjnego, do którego w każdej instancyi należy wnosić apelacyę, przechodzi autor po kolei trybunały papieża, patryarchów, prymasów, metropolitów i osobnych delegatów papieskich. Co do formalności apelacyjnych przedstawione

są oddzielnie: kwestya zapowiedzi apelacyi, czasokresy apelacyjne, pisma apelacyjne tzw. *apostoli* i postępowanie w instancyi apelacyjnej.

Apelacye dzielą się przedewszystkiem na zawieszające i dewolutywne. Po wyjaśnieniu sprawy tzw. attentatów, t. j. aktów, dokonanych już po apelacyi i wskutek tego nieważnych, przychodzi obszerny ustęp o pseudoapelacyach, mianowicie o apelacyach od papieża do soboru i o apelacyi do władz świeckich. Argumenty na niedopuszczalność i niemożność apelacyi do soboru, czerpie autor przedewszystkiem z dogmatu katol., z istoty władzy papieskiej, opierającej się na prawie Bożem, i z niższości biskupów, pojedynczo wziętych i wszystkich zebranych razem na soborze i z Ojców Kościoła. Wymieniwszy następnie apelacye od papieża do soboru, jakie miały miejsce w ciągu wieków, wylicza następnie autor konstytucye papieskie i uchwały soborowe, które takie apelacye potępiły i stanowczo ich zabroniły. Szkoda tylko, że autor w tej tak interesującej kwestyi nie przytoczył choć w skróceniu argumentów przeciwników. Również obszernie, a miejscami nawet wprost polemicznie, traktuje autor apelacye do władzy świeckiej, „*tamquam ab abusu*", które jako prawny środek biorą swój początek ze sankcyi pragmatycznej 1438 króla franc. Karola VII. Rzecz naturalna, że apelacya ta znajdowała zawsze wybitne poparcie u przeciwników władzy kościelnej — i że zarówno duchowieństwo prawowierne jak i Stolica apostolska występowały zawsze przeciwko temu nadużyciu, już to za pomocą całego szeregu protestów, już to konstytucyi i uchwał.

W rozdziale o zaskarżeniu nieważności wyjaśnia autor (znowu bez koniecznej potrzeby) najpierw pojęcie nieważności aktów prawnych w ogólności, a następnie wymienia powody nieważności wyroku, wreszcie podaje historyczny rozwój skargi o nieważność tudzież warunki i sposób posługiwania się tym środkiem obrony, jakoteż i skutki stąd wynikające. Jako uzupełnienie i dodatek do tej części znajdują się krótkie wywody o uchyleniu sędziego i o t. zw. relacyach i konzultacyach sądów niższych do wyższych instancyi, i akademii i uczonych w razie wątpliwości co do właściwego znaczenia prawa.

W części drugiej traktuje autor przeważnie o przywróceniu do pierwotnego stanu, wyjaśniając pochodzenie restytucyi i jej pojęcie, jako przywileju nadzwyczajnego — dalej kwestyę, komu przysługuje ten środek, a komu nie i w jakich sprawach; wreszcie warunki i czasokresy, w jakich prosić należy o restytucyę, kto jej udziela i jakie jej skutki.

Jako inne jeszcze środki prawne, znane w pr. kanonicznem, wyszczególnia autor supplikę, *beneficium novae audientiae* rewizyę aktów i tzw. „*aperitio oris*“ t. j. zezwolenie papieża na prośbę strony, aby sędzia niższej instancyi mógł działać wbrew poprzednim zarządzeniom konkretnym papieskim, jeżeli zostały one wydane z pokrzywdzeniem strony a na podstawie fałszywych lub zatajonych rzeczywistych powodów.

Na końcu pomieścił autor odnoszący się do spraw apelacyjn. dekret Klemensa VIII z r. 1600; konstyt. *Ad militantis ecclesiae* Benedykta XIV z 1742 i 2 dekrety Kongreg. dla spraw biskupów i zakonników z 1835 i 1880. Nie zapomniał też autor o indeksie osób i rzeczy, wprawdzie nie zanadto dokładnym, ale ostatecznie wystarczającym.

Już z tego pobieżnego sprawozdania widać, że zadanie autora było dosyć wielkie a przytem niebardzo łatwe, zwłaszcza jeśli się uwzględni trudności, jakie już same przez się nastręczają się przy systematycznem opracowaniu formalnego prawa Kościoła katol., powtóre trzeba i na to zwrócić uwagę, że brak było autorowi odpowiednich wzorów w rodzaju monografii, odnośnie do omawianej materyi, któreby mu mogły jego zadanie ułatwić. Co prawda w książce X. Dra. Grabowskiego nie znajdujemy nowych i oryginalnych rzeczy, bo wszystkie one były już mniej lub więcej znane. Zasługą jednak autora jest, że szczegóły skądinąd znane pozbierał, ugrupował w jedną całość i przedstawił systematycznie, dając tym sposobem obraz prawa apelacyjnego i reszty środków prawnych w procesie kanonicznym. Inną zaletą książki szanownego autora jest przejrzysty i logiczny rozkład zgromadzonego materyału tak, że można z książki korzystać bez zbyt wielkiego natężenia. Jednak praca ta zyskałaby o wiele więcej, gdyby autor pisał stylem więcej prawniczym i posługiwał się należycie utartymi już terminami prawniczymi (np. razi na str. 57: prokurator w sprawie *swojego pana* = *dominus negotii*). Również miejscami zanadto przeważa styl krasomówczy, którym się autor nierzadko posługuje i to zazwyczaj kosztem ścisłości i zwięzłości prawniczej tak, że książka przynajmniej w tych miejscach zdaje się tracić charakter ścisłego studyum prawniczego (n. p. str. 25 o wyroku, 37 i 38 o apelacyi i kilka innych miejsc podobnych). Wogóle pod względem stylu możnaby zarzucić X. Doktorowi, że miejscami pisze zanadto rozwlekle, zwłaszcza gdy wpadnie w ton kaznodziejski, wtrącając rzeczy, które ściśle

do tematu nie należą (n. p. str. 210, że Kościołowi nie przysługuje przywilej małoletnich, t. j. że przeciwko im niema przedawnienia).

Co do samych teoretycznych wywodów autora powątpiewać można, czy wszyscy, zwłaszcza fachowi czytelnicy, zgodzą się na niektóre jego zapatrywania albo niedokładne tylko może lub niejasne wyrażenia, n. p.:

„Że władza sądownicza stanowi integralną część władzy prawodawczej" (str. 3) — że „na mocy tej władzy Kościół prawnie orzeka o treści i prawdziwem znaczeniu ustawy" (str. 3) — że „faktycznie biskupi nie mają większej władzy w dyecezyi, niż kapituły katedralne lub wikaryusze kapitulni w czasie wakansu stolicy biskupiej. Nie inny jest też ich stosunek do papieża, jak tych ostatnich (str. 140) — że „...gdyby nawet *per impossibile* papież zechciał swą władzę przelać na biskupów, (str. 144) to i wtedy zgromadzeni (n. p. na soborze) biskupi stanowiliby niższy trybunał, gdyż papież nie może podzielić się darem nieomylności w ten sposób, by cały episkopat był nieomylny w nauczaniu z wykluczeniem papieża" (*lecz tu sprawa nie o władzę nauczycielską, ale sądowniczą*), — że „największy sędzia w Kościele opierając się na słowach Chrystusa Pana, wyrzeczonych do św. Piotra... może stawiać nieomylne zasady postępowania sądowego we wszystkich trybunałach" (str. 161) — że i „dlatego przysługuje zakładom naukowym przywrócenie do pierwotnego stanu, gdyż w nich jest wielu takich, którzy nie osiągnęli jeszcze 25 lat" (str. 213). Miejscami występuje ponadto brak rozróżnienia wyraźnego między sądownictwem cywilnem (spornem) a karnem (n. p. str. 31, 36). — wyliczając zaś szczegółowo formalności zewnętrzne wymagane przy wyroku (str. 177) nie rozróżnił autor czy, wszystkie z nich, względnie które są wymagane pod nieważnością.

Z innych drobniejszych usterek i omyłek należałoby zwrócić uwagę autora na nieliczne uchybienia w języku, dość zresztą poprawnym (n. p. zbyteczny makaronizm: str. VI i 5; normy przy odwołaniu się: str. VIII; bezpodstawowa apelacya: str. 35; — poczwórne (zam. czworakie) str. 89; szyk zdań: na str. 75: „Bezpośrednio prawnie" i na str. 78: „Biskupi ci, jako legaci..."). Z ważniejszych błędów drukarskich należałoby poprawić datę soboru wiedeńskiego (str. 11) przestawiony wiersz (str. 6), pomyłki na str. 102, w. 17 r dołu (zmienia sens rzeczy) i str. 194; wreszcie nota 3 wraz z cytowanym ustępem ze źródeł (na str. 174) odnosi się właściwie do poprzedniego ustępu na tej samej stronie. Są więc w pracy Szanownego Autora

rzeczy, które trzeba było wytknąć z obowiązku, lecz mimo to książce X. Dra Grabowskiego nie można odmówić ani zasłużonego uznania za pracę ani też odpowiedniego poparcia. *Dr. Ch.*

Konstantyn Wielki. Napisał *X. Arkadyusz Lisiecki.* 122 illustracye, str. VI+200. Poznań 1913, św. Wojciech.

Monografia ta jest jedną z trwałych a bezsprzecznie najpiękniejszych pamiątek zeszłorocznego jubileuszu Kościoła. Z wytworną i staranną we wszystkich szczegółach zewnętrzną formą książki łączy się treść znakomita. Opierając się na bezpośrednich źródłach historycznych i uwzględniając należycie najnowszą, obszerną literaturę o epoce Konstantyna Wielkiego, kreśli Autor na tle czasów i stosunków wyrazisty obraz pierwszego chrześcijańskiego władcy rzymskiego imperium. Daleki od apoteozowania Konstantyna, nie pomija ciemnych stron jego charakteru, ale przedstawia go w świetle sumiennej krytyki historycznej i stwierdza, że „imię jego wypisać należy na najpiękniejszych kartach historyi".

Czytelnik poznaje tę niezwykłą postać wielkiego cesarza we wszystkich fazach jego życia: w latach dziecięcych pod okiem prawego ojca i gorąco ukochanej matki, w młodości spędzonej naprzemian tona lśniącym dworze nikomedyjskim przy boku niestrudzonego w pracy Dyoklecyana, to znów w twardej szkole życia obozowego. Widzi się następnie, jak dzielny młodzian pomimo wszelkich intryg i trudności zdobywa należąc mu się purpurę cesarską, jak silną dłonią sprawuje władzę w ojcowskiem dziedzictwie, jak w krytycznem położeniu pokrzepiony zostaje cudownem widzeniem, które mu wskazuje drogę do opanowania Rzymu, a z czasem całego niemal ówczesnego świata. Równocześnie jednak odsłania autor charakter Konstantyna. Z niepospolitemi zaletami ciała i umysłu idzie w parze szlachetność i dobroć serca. Przejąwszy od ojca głęboko zakorzenione zasady życia uczciwego, odznacza się prawością myśli, sprawiedliwością, łagodnością i szczerą życzliwością względem poddanych. Z tej uczciwości Konstantyna pochodziła, zdaje się, jego zbytnia łatwowierność, która niestety wobec porywczego jego temperamentu stawała się niekiedy fatalną. Nie umiejąc przeniknąć sieci intryg dworskich, polegając często na jednostronnych informacyach, wydawał nieraz rozporządzenia lub wymierzał surowe kary. Ofiarą jego gwałtowności padł między innymi własny syn, rokujący tak wielkie nadzieje, Kryspus, oraz żona Konstantyna Fausta; dekrety banicyjne

przeciwko prawowiernym biskupom były także skutkiem nierozważnego działania.

Względem wiary chrześcijańskiej okazywał się Konstantyn zrazu przychylnym, — po zwycięstwie zaś nad Maksencyuszem stał się gorącym jej zwolennikiem i popleczníkiem. Jedną z najpierwszych trosk całego jego długiego panowania było zapewnienie religii Chrystusowej stanowczej przewagi w państwie.

W żywo przez historyków roztrząsanej kwestyi słynnej wizyi krzyża, zajmuje Autor stanowisko pośrednie, stwierdzając, że jako pewne fakty przyjąć należy co najmniej: „1. sen Konstantyna, w którym mu Chrystus rozkazał swe imię wypisać na tarczach żołnierzy; 2. *labarum* oraz umieszczenie monogramu Chrystusa na tarczach; 3. wizyę jakąś, którą oglądał Konstantyn i wojsko jego". — Omawiając doniosły akt równouprawnienia chrześcijaństwa w r. 313, podziela Autor nie przez wszystkich uczonych przyjęte zdanie Wittiga,[1]) że dotychczasowe, utarte wyrażenie „edykt medyolański" nie jest właściwe, ponieważ rozporządzenie cesarskie było wydane w formie reskryptu, rozesłanego do prefektów, którzy mieli go podać do publicznej wiadomości, przez co dopiero reskrypt cesarski stawał się edyktem prefekta. Rozporządzenie zatem tolerancyjne, wydane przez Konstantyna, należy nazywać „reskryptem medyolańskim".

Wartość tej cennej książki podnosi piękny język i styl wogóle poprawny, opowiadanie jasne, żywe i barwne oraz wielka ścisłość w wyrażaniu się. Wobec tych zalet nikną zupełnie znachodzące się tu i ówdzie drobne usterki językowe lub błędy drukarskie. Pozwalamy sobie tylko zwrócić uwagę na stale powtarzającą się pomyłkę w cytowaniu Bardenhewera „*Geschichte d. altchristlichen Literatur*" zamiast „*Gesch. d. altkirchlichen Literatur*".

Z piśmiennictw obcych.

La grande pitié des Eglises de France — par *Maurice Barrès*, de l' Académie française.

Ustawa francuska odzielająca Kościół od państwa, mówi między innemi, że gminy posiadające kościół, mogą go utrzymywać, ale nie są do tego obowiązane. Jeżeli budynek kościelny jest w złym stanie,

[1]) *Konstantin d. Gr. u. seine Zeit.* Gesammelte Studien herausgegeb. v. Dr. F. Dölger. Herder-Freiburg im Br. 1913.

mogą go zamknąć, jeżeli grozi zawaleniem się — wolno go rozwalić. Kościoły francuskie patrzyły w ciągu stuleci na rozmaite burze, zbrodnie i nieszczęścia — ale nie widziały nigdy tego, co się dzieje obecnie: prawo samo postawiło je całkiem po za prawem. Grozę ich położenia odczuli katolicy francuscy — a p. Maurycy Barrès postanowił stanąć w ich obronie; rozpoczął kampanię w parlamencie, i agitacyę w prasie, donosząc swym rodakom o doli tych kościołów wyjętych z pod prawa.

Oto opowieść prawdziwa.

Kościół we wsi Grizy, zniszczony, wymagał naprawy; budowniczy oszacował koszta na 48.000 fr. Proboszcz zdołał zebrać tylko 25.000 fr. Po upływie pół roku wyszło rozporządzenie, że kościół ma być zniesiony, a przedmioty, służące dla kultu, sprzedane na licytacyi. Dziennikarz Henryk Carbonelle opisuje, na co patrzył. W kościele, kilkadziesiąt osób tłoczy się koło mera i woźnego. Ten wywołuje: „Konfesyonał — 15 fr." Sprzedany za 19. Posąg Matki Boskiej, bez rąk, ale pochodzący z XV w. znajduje nabywcę za 400 fr. — fisharmonium: 115 fr.; dzwon ważący 500 kg. — 800 fr. Gdy noc zapadła, zaświecono kościelne świece, przy których kupujący zapalają papierosy. Licytacya toczy się dalej — sprzedaje się dywany, obrazy, przybory i ubrania. Kilku podpitych chłopaków kupuje czerwone sutanny ministrantów, a odziawszy się w nie, idą ku karczmie, śpiewając wstrętne pieśni... Godzina późna — mer ogłasza, że dalszy ciąg licytacyi nastąpi w najbliższą sobotę, w dzień Bożego Narodzenia.

Gdy sprzedano wszystko, przybyli murarze, mający rozwalić i rozebrać mury świątyni.

Inny dziennikarz, p. Clair Guyol, opisuje rzecz. Gdy przybył na miejsce, mury kościoła były już rozebrane — zabierano się do fundamentów. Jeden z robotników począł w nich grzebach, szukając domniemanych skarbów. Pod uderzeniami motyki, pękło sklepienie i ukazały się groby, a w nich kości ludzkie. Robotnicy wydobyli jakąś czaszkę, potem piszczele — poczęto świstać, wykonując kośćmi taniec. Trudno było patrzeć dłużej — uciekłem, mówi naoczny świadek...

Po tym opisie z duszą do głębi wzburzoną, Barrès wystosował list otwarty do prezydenta ministrów, p. Briand. W liście tym przedstawia wypadki, zaszłe w Grisey i pewność, że po tych nastąpią inne. Podkreśla znaczenie kościołów, jako źródeł życia duchowego, jako spadku, odziedziczonego po ojcach. Zastrzega się, że niedosyć, aby zape-

wniono trwanie tylko pewnej liczbie kościołów, uznanych za piękne i historycznie ważne. Najskromniejszy kościółek jest świątynią.

Napływające ze wszystkich stron Francyi listy dowiodły, że poruszoną została sprawa ważna i droga wielu sercom, przyniosły też opisy wypadków podobnych temu, którego widownią było Grisey. Najjaskrawszem jest wysadzenie dynamitem dzwonnicy, pochodzącej z XV w. Czego nie tknęły wojny wewnętrzne, rewolucya — na to odważyło się prawo XX w.

Odpowiedź p. Briand nie mogła być zadawalającą. Nie zrozumiał czy nie mógł. Po wymianie listów, nastąpiła rozmowa pomiędzy ministrem a p. Barrès.

Minister oburza się, że duchowieństwo francuskie wydaje tyle na różne organizacye katolickie — czemu nie użyje tych funduszów na naprawę kościołów? Nie pojmuje, że pierwszą troską kapłana — to dusza. Ale przyznaje, że w życiu wieśniaków kościół odgrywa pewną rolę — spotykają się tam raz na tydzień, omawiają... kupna i sprzedaże!!!

O porozumieniu się niema mowy, jeżeli kierownik rządu uważa kościół za rodzaj giełdy!

P. Briand nie znał z pewnością słów hymnu, śpiewanego przy poświęceniu Kościoła.

Kościół, to Jeruzalem niebieska, otwarta dla wszystkich, którzy cierpią w imię Chrystusa. Robotnik uderzeniami młota obrabia kamienie na budowę kościoła widzialnego. Chrystus udręką cierpień kształtuje dusze, by wejść mogły w budowę żywej, mistycznej świątyni Jeruzalem niebieskiego; kamieniem węgielnym jest On sam.

* * *

Podczas dyskusyi budżetowej w parlamencie przedstawił Maurycy Barrès położenie, grożące kościołom zagładą. Izba zrazu w dwóch trzecich wrogo dla tej sprawy usposobiona w ciągu dyskusyi uprzedzenie powoli traciła, porwana mimowoli jej wielkością. Barrès rozpoczął swoją mowę zaznaczeniem, że występuje w obronie moralnego, fizycznego i architektonicznego oblicza ziemi francuskiej.

Kościoły się powoli rozpadają; gdy prawo nie weźmie ich w opiekę, zostaną z nich zwaliska. Gminy przeważnie za ubogie, by sprostać zadaniu ich renowacyi — z drugiej strony sekciarskie, wrogie wpływy robią swoje. Bywają wypadki, gdzie katolicy zbiorą odpowiedni

fundusz, a rada municypalna nie pozwala przystąpić do renowacyi i zamyka kościoły. Barrès przytacza liczne przykłady złej woli sfer rządzących, posuwających się do otwartego cynizmu, jak n. p. w pewnej wsi departamentu Oise, gdzie mer kazał rozsadzić dynamitem starą dzwonnicę, a obżałowującym ten wandalizm katolikom kazał się cieszyć posiadaniem malowniczych ruin, które cudzoziemcy przyjdą oglądać za opłatą!

Czy wolno dopuścić, aby jednodniowe, sekciarskie kaprysy niszczyły pracę stuleci i wyraz ich głębokich umiłowań? Nie chodzi tu tylko o wybitnie piękne, stylowe świątynie — chodzi o każdą z nich, bo każda jest ogniskiem życia duchowego. Pod sklepieniem kościelnem zrzuca każdy chrześcijanin tłoczące go jarzmo życia — wznosi się do dziedziny myśli i najczystszych uczuć. Największa boleść zamienia się tam w nadzieję.

Życie wewnętrzne, duchowe, jest faktem i potęga nie zdoła go zniszczyć. To życie domaga się istnienia kościoła, który zaspokaja najwewnętrzniejsze, mistyczne aspiracye duszy ludzkiej, płynące z tej dziedziny, gdzie jak powiedział Goethe, rozum nie sięga, a nierozumowi osiąść nie wolno. A doświadczenie uczy, że na gruncie, straconym przez wiarę, rozsiada się nie racyonalistyczna kultura rozumu, lecz poganizm w najniższych swoich formach, jak magia, szarlatanizm i wszelkie zabobony.

Wiejski kościół jest źródłem zdrowia dla gruntu, z którego wyrasta. Ludzkość, skupiona koło niego, oddycha powietrzem prawdziwej cywilizacyi. Gdy kościół opadnie, podnoszą się tłumione przezeń nizkie instynkta, czego dowodem przytoczone powyżej wstrętne sceny przy rozbieraniu kościoła w Grisey.

Uczucia religijne istnieją. Kościół jest ich wcieleniem. „Bronię kościoła wiejskiego na tej samej zasadzie, na jakiej broniłbym Kollegium francuskiego — powiedział Barrès — chodzi mi o życie duszy narodu".

Następne posiedzenie rozpoczął jeden z przeciwników słowami, że jeżeli Bóg jest wszechmocny, może zdziałać, by się jego kościoły nie waliły — skoro nie czyni tego cudu, widocznie taką jest jego wola, przed którą skłonić się należy.

Wysoka Izba przyjęła te słowa śmiechem i oklaskiem. Wiele głosów oświadczyło się jednak za sprawą, poruszaną przez Barrèsa. Nie spodziewał się on sankcyi prawnej dla niej — ale poruszył opinię. Ze wszystkich stron Francyi napłynęły listy, świadczące, że wystą-

pienie posła Barrès'a obudziło wiele tajonych boleści i nadziei. Posypały się wzruszające opisy niedoli opuszczonych kościołów, gdzie ptaki wiją gniazdka na ołtarzu, a biedne kaleki płaczą przed zawartemi „urzędownie" drzwiami, nie mogąc dojść do odleglejszego, otwartego kościoła.

Inny list mówi: „Odkąd zamknięto nasz kościółek, żyjemy jak dzicy — nie wiemy nawet, kiedy niedziela — nie schodzimy się, jak dawniej — dzwony nas już nie zwołują". W tych prostych listach bije serce wsi francuskiej.

Napływają także pieniądze, jako fundusz na naprawę zagrożonych kościołów. Ale Barrès chce wywalczyć dla nich nie prywatną inicyatywę, ale prawo i opiekę rządu.

Kościoły należą do katolicyzmu i do Francyi — cały naród ma dla nich obowiązki — cały naród winien ich bronić.

Do głosu Barrès'a dołączyli się chórem artyści francuscy, malarze, rzeźbiarze, architekci, archeologowie — wiele między nimi imion znakomitych. Za jednostkami poszły Towarzystwa, oświadczając się za istnieniem kościołów, jako świadków przeszłości, jako źródeł życia wyższego — domagające się od rządu opieki dla nich tej samej, jaką daje pomnikom historycznym i muzeom. Kościół jest duszą, wychowującą dusze.

Wystąpienie wybitnego pisarza i członka parlamentu francuskiego, w którym od lat paru przemawiał w obronie kościołów — drukowane najpierw w „*Revue des deux mondes*" — wyszły niedawno jako osobna książka. W tym kształcie poniesie dalej i szerzej obraz i głosy walki o duszę, „wychowującą dusze". Temi słowy określa Barrès kościół katolicki.

W marcu 1913 r. wniósł do parlamentu następujący projekt, celem obrony i zachowania kościołów: „Izba, uważając, że całokształt naszych pomników religijnych architektonicznych stanowi skarb narodowy, który powinnością jest utrzymać, — wzywa Wysoki Rząd, aby zapewnił na mocy legalnej ustawy, zachowanie tychże pomników i budowli". Projekt ten uzyskał bardzo wiele podpisów. Aby go uznać, nie potrzeba być katolikiem — wystarcza mieć zdrowy, uczciwy sposób myślenia.

Punktem wyjścia dla tego podania było uczucie czci i miłości dla kościołów francuskich, jak głośno wyrzekł Barrès w parlamencie, dodając pragnienie by to uczucie szerzyło się dalej: „wyszło z serca, niechaj do serc znajdzie drogę". Te mnogie kościoły, wyrastające

w ciągu wieków na ziemi francuskiej, są głosem tej ziemi, na której powstały — epoki, która je zbudowała — narodu, który je powołał do istnienia. Muszą i powinny być zachowane. Rząd, w r. 1789, przywłaszczył sobie dobra kościelne — ten czyn nałożył nań wielkie obowiązki.

W dawnem prawie kościoły były rzeczą publiczną, świętą, — własnością tych, którzy umarli i tych, którzy narodzić się mają — dziedziną duchową, Bożą. W imię tej zasady, ratujmy je.

Barrès spisał 1200 kościołów, grożących zawaleniem i zagładą. Dołączył ich fotografie, ich historyę dawną i obecną. „Czy to obraz ścisły? Tak. Czy zupełny? Nie. To głos tych jedynie, których wołanie do niego doszło. Chcą żyć — gdy nikt nie pospieszy z pomocą — zginą". Ale są inne równie zagrożone, których skargi nie dosłyszano — inne, które przeszły ten okres, kiedy walczy się jeszcze o życie, kiedy posiada się jeszcze tyle siły, by wołać o ratunek. Opuszczone, zamknięte z rozkazu władzy — rozpadają się w gruzy. Skąd przyjdzie ratunek? Z koalicyi podniosłych umysłów i dusz czujących, czem jest życie religijne dla jednostek i narodów. Rzecznik tego życia w parlamencie francuskim pozdrawia po bratersku wszystkich, którzy stanęli przy nim, aby rzucić światło na grożące niebezpieczeństwo i walczyć o jego zażegnanie. Pozdrowienie to kończy Barrès pięknemi słowami, któremi Szekspir przemawia z głębi grobu swojego w Strafford:

„Błogosławiony człowiek, który ten głaz uszanuje!"

Helena Skolimowska.

Luthers Lehre von der Ehe. *Dr. Theol. Siegmund Baranowski.* Münster 1913, str. 210.

Monografia niniejsza, wzbogacająca rzeczowo literaturę o Lutrze, jest pożądana ze względu na nader praktyczne znaczenie kwestyi małżeństwa. Książka ta pouczy, czy i o ile Luter jest pionierem nowoczesnego pojmowania małżeństwa.

Nauka Lutra o małżeństwie — doskonały wyraz jego myśli — musi być zajmującą z tego względu, że w niej odzwierciedla się wyraźnie cały kierunek reformatorski. Jeżeli uwzględnimy całokształt nauki Lutra w małżeństwie, do pewnego stopnia powiedzieć musimy, że objektywnego, naukowego i wszechstronnego opracowania stanowiska Lutra względem małżeństwa dotychczas nie posiadaliśmy.

W ostatnich latach przybyła wprawdzie znakomita monografia O. Grizara o Lutrze — ale chodziło w niej nie tyle o wyczerpującą systematykę jego poglądów, jak o pogłębienie jego przychylności i o historyczną dokładność w omawianiu pojedynczych kwestyi. Stąd też pobieżnie tylko rozprawił się z nauką Lutra o małżeństwie, o przeszkodach do niego, o wpływie małżeństwa na wiarę i moralność i t. d., słowem, cała nauka Lutra o małżeństwie czekała jeszcze dokładniejszego opracowania.

Otóż książka niniejsza właśnie zestawia pojedyncze kwestye w nauce Lutra o małżeństwie w jedną całość, z pominięciem ile możności historycznych przypadłości i etycznej oceny osoby Lutra.

Po ogólnym rzucie oka na działalność Lutra w sprawach małżeństwa omawia autor w osobnym rozdziale początki nauki jego o małżeństwie w stosunku do teologii średniowiecznej. W dalszych rozdziałach (3—5) omawia rozwój pojęcia małżeństwa we walce przeciw celibatowi i ślubom zakonnym; dalej usunięcia małżeństwa z pod władzy Kościoła, w końcu stanowisko Lutra w kwestyi poligamii t. j. elementy, wchodzące w zakres kwestyi małżeństwa, a pojawiające się stopniowo i chronologicznie w pismach Lutra. W ostatnich trzech rozdziałach zajmuje się autor religijno-moralnem znaczeniem małżeństwa, małżeństwem jako „weltlich Ding“ i jako „Gottesdienst“, szacunkiem kobiety, przykładem Lutra samego.

Autor starał się przedstawić w monografii swej całą naukę Lutra o małżeństwie, zestawić wszystkie jej momenta, dodatnie i ujemne, innemi słowy starał się przedstawić objektywną naukę Lutra w małżeństwie, co prawda, w ogólnym tylko obrazie. Pominął więc autor polemikę Lutra, jego ataki, zarzuty, oszczerstwa rzucane na Kościół katolicki, jego sposób mówienia i prowadzenie życia.

Autor doszedł do następującego mniej więcej wniosku. Charakterystyczną cechą nauki Lutra o małżeństwie jest brak silnej podstawy i pewnej normy. Luter zburzył był podstawę prawa kanonicznego i tradycyi katolickiej, ale sam nie stworzył żadnej pozytywnej nazwy zastępczej. Chwiejnie waha się Luter między prawem Mojżeszowem, Nowym Testamentem, często bardzo śmiało interpretowanym a prawem świeckiem, przyczem często subjektywna samowola zajmuje miejsce praw objektywnych. I nic dziwnego, że w końcu sprawami małżeństwa zajmuje się za przyzwoleniem Lutra autorytet świecki jako zastępca Kościoła.

Wprowadzając rozróżnienie między chrześcijaninem a niechrze-

ścijaninem, między *forum* prawa a *forum* sumienności, czem Luter usiłuje zachować postulaty ewangelii wobec prawa świeckiego, — podkopał ostatecznie pozostałe objektywne formy małżeństwa i wniósł w nie zamieszanie. Ten subjektywizm Lutra utorował drogę dalszemu, jeszcze bardziej radykalnemu rozwojowi nauki o małżeństwie. Pojawiające się dzisiaj w różnych państwach projekty nowego uregulowania spraw małżeńskich są po większej części tylko wynikiem bałamuctwa Lutra.

Nauka jego o małżeństwie, jako wykwit walki przeciw stanowi dziewictwa i przeciw autorytetowi Kościoła, nosi na sobie owo zmysłowe zabarwienie, które wprost wywoływać musi niesmak u czytelnika. Na naukę o przeszkodach małżeńskich i o rozwodzie wpływa bardzo przekonanie autora o niemożliwości życia powściągliwego i o popędzie płciowym, który jako nieubłagane prawo natury, ma zmuszać wszystkich do małżeństwa. Walka Lutra przeciw Kościołowi tłumaczy to bezwzględne odrzucenie wszystkich tych przeszkód, jakie doświadczenie i tradycya Kościoła ustanowiła dla małżeństwa.

Dalszem następstwem zerwania łączności z tradycyą Kościoła, są błędy, w jakie Luter popadł w nauce swej o poligamii, i ta zwyrodniała potem swoboda wolności chrześcijańskiej.

Obok tego wszystkiego wychwala Luter często małżeństwo jako stan wysoki i chrześcijański, jako instytucyę Boga w przeciwieństwie do stanu zakonnego. A chociaż jako najważniejszy motyw do małżeństwa podaje Luter niepowściągliwość, jednak celem właściwym małżeństwa jest według Lutra dziecko, jego wychowanie dla nieba, dla dobra państwa i Kościoła. Dla małżonków zaś samych małżeństwo jest szkołą wiary, sposobnością do wykonywania cnót, źródłem dobrych uczynków. Atoli w podporządkowaniu żony pod autorytet męża i w uległość dzieci względem rodziców idzie Luter za daleko.

Wreszcie nauka Lutra o małżeństwie pozbawiona jest harmonii między momentem chrześcijańsko-religijnym a podstawą naturalną. Raz uznaje Luter małżeństwo zawarte między osobą chrześcijańską a pogańską za ważne kiedyindziej wychwala je jako stan chrześcijański i duchowy a przytem piętnuje je jako grzeszną żądzę, uważa za rzecz zewnętrzną, cielesną, podporządkowaną władzy świeckiej.

Wielka ilość dosłownych cytatów z pism Lutra świadczy o tem, że autor chciał jak najwierniej przedstawić myśli Lutra.

Książka ta, wolna od jednostronnego przedstawienia rzeczy odda wielkie usługi zajmującym się kwestyą małżeństwa w pojęciu Lutra.

Ch.

1. **Biografia della serva di Dio Gemma Galgani vergine lucchese,** VI. edizione. *P. Germano di S. Stanislao Passionista.* Roma. Tipografia Pontificia nell' instituto Pio IX. 1910. 8⁰. Str. 535.
2. **Lettere ed Estasi della serva di Dio Gemma Galgani.** III. edizione arrichita di alcune altre lettere scritte dal medesimo P. Germano alla serva di Dio. Roma 1912. 8⁰. Str. XXII+263.

Książka, której 6 wydanie mamy przed sobą (ostatnie 8-me już wyczerpane), ukazała się pierwszy raz w Rzymie, w r. 1907. Przyjęto ją nie tylko z ogólnem uznaniem, ale wprost z entuzyazmem. Po dwóch już miesiącach zniknęło dzieło z księgarskich półek, poważne katolickie pisma, choćby tylko wspomnieć o *Civiltà Cattolica*, zapełniały swe karty wrażeniami odniesionemi pod wpływem lektury tej książki, a do autora, uczonego i świątobliwego Passionisty, płynęły pełne uznania listy, od wybitnych osób świeckich, od kardynałów, biskupów a nawet od samego Ojca św. Piusa X. A przecież książka ta nie zawiera nic osobliwego. Jest to prosta biografia 25-letniej panny, Gemny Galgani, zmarłej *in odore sanctitatis* w Lucce, 1903 r. Co więcej, zdawałoby się, iż dzieło to, pełne cudów, raczej odstręczy od siebie dzisiejszego czytelnika. Tego też i autor obawiał się i dlatego przeciw możliwym pociskom krytyki nawet ze strony katolickiej, obwarował się naukową rozprawą, w której dowodzi, iż Gemma nie ma nic wspólnego ani z histeryą, ani z hypnotyzmem, ani ze spirytyzmem.

Tymczasem stało się coś przeciwnego. Autora nie czepiano, a dzieło zrodziło w sercach czytelników uwielbienie i cześć dla zmarłej dziewicy. Domagano się ze wszystkich stron, by autor ogłosił drukiem także i pisma zmarłej. Zadosyćuczynił po części tym prośbom, wydając w r. 1909 niektóre jej listy.

W trzeciem wydaniu, z r. 1912 umieszczono nadto jedenaście listów O. Germano (zmarłego w 1909). do Gemmy. „*Listy i Ekstazy*" są jakby potwierdzeniem tego, co autor opowiedział w „*Biografii*"; są najbardziej widocznym dowodem, iż autor nie przesadził w niczem, iż przedstawił nam zupełną prawdę.

Po przeczytaniu „*Biografii*" i „*Listów*" staje nam przed oczyma ta jasna i piękna dusza dziewicy, ozdobiona tysiącem cnót, obdarowana niezliczoną liczbą łask i przywilejów. Przesuwa się przed nami życie tej prostej, jak gołębica, panny lukkańskiej.

Widzimy, iż od kolebki aż do grobu najbardziej znamiennym jej rysem to dziecięca, ewangeliczna prostota. Ona jaśnieje w jej dzieciństwie, ona okazuje się w latach szkolnych, ona woła na nas z jej łoża cierpień, ona drga jeszcze na śmiertelnej pościeli...

A prócz tej prostoty dziecka widzimy w jej duszy energię i siłę woli męża, połączoną z nieubłaganą konsekwencyą, świętym właściwą.

Zadanie życia pojmuje, jako uświęcenie siebie, „*di farmi santa a tutti i costi*". Cel ten mając przed oczyma, zdąża najprostszą ku niemu drogą. I z drogi tej nic jej zawrócić nie zdoła. Tu właśnie okazuje się jej energia i konsekwencya. W locie tym ku wytkniętemu celowi podobna jest do orła, który wzbił się śmiało w niebiosa i leci coraz wyżej, mimo burzy i wichury. A podtrzymują ją dwa skrzydła: jedno pokory, drugie ufności w Boga.

Nie brak w niej i uczuć naturalnych, ale te tak oplątane są tkanką nadziemskich pierwiastków, iż tego, co naturalne, dostrzedz prawie nie można[1]).

Zdawałoby się pozornie, iż dusza jej, w nadobłocznych siedzibach mistycyzmu przebywająca, sobą tylko się zajmie i swem uświęceniem, albo najwyżej wpływem swym ogarnia tylko te dusze, którym nie obce są mistyczne wzloty. Tymczasem dusza jej otwartą była na przyjęcie każdej nędzy tak materyalnej jak — i to przedewszystkiem — moralnej.

Wrażliwe jej serce prowadziło ją do mieszkań chorych, którym wlewała słowa pociechy, pchała ją ku zgłodniałym ubogim, którym rozdawała jałmużnę. Znało to serce wielkość obrazy Bożej przez grzech, rozumiało nędzę grzesznika i dlatego pobudzało ją do ustawicznego wyszukiwania dusz oddanych na łup grzechu. Pod wpływem jej słów i gorącej modlitwy niewolnicy grzechu kruszyli swe pęta i jednali się z Bogiem.

Nic tedy dziwnego, że śmierć jej przedwczesna przepełniła żalem tych wszystkich, którzy ją znali i pod jej wpływem zbawczym nabrali siły i potęgi w walce, jaką niesie z sobą życie na ziemi.

Nic także dziwnego, że duszę jej po śmierci otoczyli szczególną czcią i uwielbieniem. *St M.*

---

[1]) *cf. Lettere ed Estasi*, str. 125—137.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Konferencye *O. Lacordaire*, wypowiedziane w Nôtre Dame de Paris. 1) O Kościele katolickim. 2) O Jezusie Chrystusie. 3) O grzechu pierworodnym. Wolne tłómaczenie z francuskiego przez *Hart*. Warszawa 1914. Szczepkowski, in 8-o, str. 226.

Nie były zupełnie obce językowi polskiemu znakomite konferencye słynnego apologety francuskiego O. Lacordaire'a Z. K. W 1860 r. (Żytomierz) i 1870 r. (Naumburg in 8-o, str. 227) ukazują się konferencye „O Jezusie Chrystusie" w przekładzie A. Nowosielskiego; tenże wydaje w Kijowie 1860 r. (in 8-o, str. 319) „O społeczności katolickiej", ale o pracach tych wkrótce zapomniano, nakład się wyczerpał i wiele, zwłaszcza młodych umysłów, szukających odpowiedzi na trapiące je pytania w zakresie wiary, dla ubóstwa naszej literatury apologetycznej błąkało się po manowcach. Zaspokoić swe pragnienie, ułatwić oryentacyę na drogach poszukiwania Prawdy — oto powody, skłaniające tłumacza do wydania niniejszych Konferencyi. Trzeba przyznać, że szczęśliwie dokonano wyboru. Wprawdzie po Lakorderze wiele nowszych rzeczy napisano, ale nie wolno zapominać, że wielki mówca z Nôtre Dame przeszedł okres niedowiarstwa „zna więc, — jak mówi tłumacz we wstępie — wszelkie wybiegi, którymi wątpliwość oplątuje umysły. Znalazłszy sam na nie odpowiedzi, mógł lepiej do słuchaczów trafić, niż ci, którzy zawsze, niezachwianie trwali we wierze". — „Dosyć mu było — słowa tłumacza z „krótkiego rysu (!) życia O. Lacordaire'a" przypomnieć sobie własne dzieje, by mówić o rzeczach boskich językiem, który prosto szedł do serca". Od siebie dodajmy, że wykształcony na Platonie i św. Augustynie, spotęgował wrodzoną sobie lotność myśli, ciepło uczucia, — dwie potęgi, którym rzadko usiłuje się opierać umysł młodzieńca, jeśli ma on dobrą wolę. Niech nikt jednak nie spodziewa się z tych „Konferencyi" „poznać" O. Lacordaire'a. Zamiarem tłumacza było ułatwić odpowiedź na zarzuty, czynione Kościołowi (Konfr. z 1835 r.), pomówić o jego wpływie na umysł człowieka (1842) i jego serce (1844) tak jednostek jak i społeczeństwa (1835), a dowiódłszy boskości nauki Kościoła, pokazać Twórcę jego, Chrystusa. Na zakończenie podaje tłómacz według konferencyi O. Lacordaire'a cztery nauki o grzechu pierworodnym, tak często zupełnie fałszywie pojmowanym. Aby młodych czytelników nie zniechęcać wielką objętością książki, nieraz tłumacz opuszcza całą konferencyę w danym cyklu, a prawie zawsze znacznie ją skraca. — Tłumaczenie, jak zwykle, nie jest wolne od wszelkiego rodzaju „błędów drukarskich" (interpunkcya!) i mniejszych „lapsus calami" tłumacza. Ogółem jednak odznacza się poprawnością.

Słowo o królu Warneńczyku. *Ignacy Kozielewski*. Lwów 1913. Wydawnictwo „Promethidionu". 8-o, str. 92.

„A no, błądzić po tych polach stracenia lepiej, Niż głosu usłuchać: Królów, co zmarli, nie piej!".. (str. 9) powiada poeta w I. rapsodzie (śpiewak) swego poematu. Szkoda, że „Śpiewak" nie usłuchał tym razem dobrej rady, bo wprawdzie piśmiennictwo polskie uboższemby było o jeden tom wierszy, a literatura o jedno „słowo", ale za to mniej mielibyśmy chwastów i przykładów, jak nie trzeba pisać. Treść poematu nie odznacza się w szczegółach żadnym szczęśliwym pomysłem, a w kilku miejscach kpi sobie z historyi, oraz z tak sumiennych badań, jak prof. Prochaski.[1]) Pan Kozielewski każe więc łamać przysięgę Władysławowi, a względnie uwolnić go od niej przez „Włoszka"-kardynała — wywołuje kłótnię między legatem papieskim a Grzegorzem z Sanoka, podówczas (!?) arcybiskupem lwowskim, a pod Jerzym Brankowiczem, władcą Rosyi, prowadzi na pomoc Władysławowi niezliczone hufy, gdy tymczasem historya uczy, że tylko Huniady za namową Brankowicza zawarł z posłami tureckimi rozejm, na który król stanowczo się nie zgodził, owszem wydał orędzie (4. VIII.), zapowiadające wyprawę, a Jerzy zbuntował się i nie przysłał żadnych posiłków. Możnaby to jeszcze darować autorowi, gdyż z wierszy i wierszydeł nie uczymy

[1]) Rpr. Ak. U. w hist. fil. s. II. t. XIV. str 1—60.

się historyi, gdyby „pomyłki“ historyczne i „dowolności“ poetyczne przenikała myśl wielka, zdobiła piękna forma. Poemat składa się z sześciu pieśni, czy rapsodów, pisanych wierszem bohaterskim, nieprzekładanym; wyrażenia, składnia kuszą się o archaiczność już to przez zaciągnięcie pożyczek u Reja, już też na własną rękę, ale wtedy z mniej szczęśliwym skutkiem, albo wreszcie przez wplatanie częstych w ustach ludu: „Hej, Hajże, Hale“. Nie wiele to jednak pomaga poecie; wciąż rwie się raz po raz, dla braku rymu krzywią się porównania, zaciemniają myśli, mnożą się kropki z wykrzyknikami: czytelnika ogarnia politowanie i nuda. Wzniosła idea przyświecała poecie przy tworzeniu niniejszego poematu. Chciał on przypomnieć owych ludzi, co:

„Szli widzącem czuciem przez noc, co się nam szaży,
Odkąd wytknął wysokoście nam palec boży.
A wysoka, a gorąca myśl im świeciła,
Że mogiła, a nie hańba, wprzód ma być miła“...

Ale czy ta idea logicznie wysnuta z dziejowego wątku i czy wielkiej myśli odpowiada godna szata — o tem może czytelnik śmiało powątpiewać. *J. K.*

Passionsbüchlein. Von *Alban Stolz.* Mit einigen Zusätzen h. von Friedrich Reetz. Mit Titelbild von A. Dürer und 27 Textbildern von I. v. Führich. 24-o. Str. X + 280. Cena 1.44 K. Wien. Herdersche Verlagshandlung.

Książeczka ta składa się z czterech części. Część pierwsza zawiera, pełne prostoty i głębi zarazem, rozmyślania o męce Chrystusa. W części drugiej znajdujemy smutną i bolesną drogę krzyżową, złożoną z rozmyślań i rzewnych modlitw. Część trzecia, obejmująca „Nabożeństwa“, daje nam cały szereg pięknych rozważań w czasie Mszy, modlitwy do spowiedzi i Komunii św. i podaje wielkotygodniowe nabożeństwo, wraz z bolesnym różańcem, modlitwami odpustowemi i litanią o męce Chrystusa. Na część czwartą złożyły się pieśni o bolesnej męce Jezusowej. Wartość książeczki podnoszą piękne ryciny I. v. Führicha i właściwa wydawcy staranność wydania, ale zastosowania praktycznego dla Polaków niema — chyba dla Duchowieństwa — jako pomocnicza dla kazań postnych. *St. M.*

Polska — ludzie i czyny — przyjaciele i wrogowie. Zebrał i w porządku abecadłowym ułożył *X.* Zeszyt I (A-D). Kraków 1914.

Bezimienny autor podjął się żmudnej pracy zebrania wiadomości o ludziach obcej narodowości (a więc właściwie tylko „przyjaciele i wrogowie“), „którzy odegrali wybitną rolę w dziejach Polski, aż do czasów ostatnich“. Mimo kilkunastu lat pracy, nie rości autor pretensyi do ogarnięcia materyału, ani do wyczerpania przedmiotu. Jestto zupełnie zrozumiałe tembardziej, że praca ma szerszy zakres, niż zapowiada przedmowa. Mamy tu więc nietylko osobistości w istocie ważne dla dziejów politycznych i kulturalnych Polski, ale i ludzi, którzy przypadkiem znaleźli się w obrębie wypadków, często zanadto pośrednio dotyczących Polski. Przez to dostało się do słownika wiele materyału anegdotycznego (np. Alferaki dyrektor, Ag. Telegr. dlatego, że wziął udział w obiedzie ku czci Puszkina, druha Mickiewicza, albo uczeni zagraniczni, którym Uniwersytet Jagiell. udzielił w r. 1900 doktoratu honorowego). Wymienimy parę nazwisk które zdaniem naszem niekonieczne są w leksykonie: Adem, Almus, Andronicus, Awacze, Bartolan, Baydar, Betsabuł, Botsak, Caezarini Gaetano, Cook, Cuber, Delfau, Dessus, Deorman F. Słownik chroni od zatraty wiele nazwisk, które na to nie zasługują, podczas gdy inne osobistości więcej ważne giną w tym zbiorowisku przez pobieżne traktowanie. Np. Ary-Scheffer nietylko portretował Chopina, ale był także przyjacielem Krasińskiego — Braun Dawid przysłużył się historyografii polskiej dziełem „De scriptoribus Poloniae et Prussiae... virtutibus et vitiis Coloniae 1723 (I. wydanie). W całości jednak uznania godna praca przyniesie publiczności naszej pożytek, gdyż poza ciekawostkami znajdzie ona tam wiele wiadomości, tyczących głównie historyi Polski porozbiorowej i stosunków naszych z obcymi. *F. B.*

Sprawy i rzeczy ukraińskie wyd. *Fr. Rawita-Gawroński.* Lwów 1914.

Zasłużony historyk Rusi dostarcza w tym tomie nowych materyałów do dziejów polskich i ruskich w latach 1648—1654 a także 1768. Na czele zbioru znajdujemy ciekawy dokument — kronikę wy-

padków z lat 1648—1651, napisaną przez naocznego świadka, Natana Hanowera, żyda i wydaną. w oryginale hebrajskim w Wenecyi w r. 1656 p. t. „Jawein mecula". Hanower językiem kształconym na Biblii i talmudzie opowiada głównie o rzeziach gmin żydowskich we wschodnich województwach, dokąd doszła nawała kozacka. Pamiętnik kończy się skreśleniem urządzeń szkolnych, religijnych i sądowych w gminach żydowskich ówczesnej Polski. Zasługą tłumacza Dra Bałabana jest uprzystępnienie nam tego ciekawego przyczynku do dziejów Żydów w Polsce podczas wojen kozackich. Dalej znajdujemy 6 listów Adama Kisiela i 7 listów B. Chmielnickiego, adresowanych do różnych osób. Ze zbiorów wydawcy i z rękop. bibl. Czartoryskich ogłoszono 14 listów z lat 1647—1654; razem z poprzednimi będą uzupełnieniem licznych dokumentów księgi Pamiętniczej Jak. Michałowskiego, odnoszących się do tego okresu. Wyjątek z pamiętnika jakiegoś Polaka w jęz. francuskim tyczy Koliszczyzny. Inwentarz zamku i miasta białocerkiewskiego z roku 1641 z archiwum Sanguszków poucza nas, jak były urządzone te gródki ukrainne i jakie ciężary ponosiła ludność w przededniu socyalnej zawieruchy. *F. B.*

Unsere Lebensideale und die Kultur der Gegenwart. Zeitschriftliche Erwägungen und grundsätzliche Erörterungen für Gebildete von *P. Joh. Chrysostomus Schulte O. M. C.* Lektor und Doktor der Theologie. Freiburg i. Breisgau. 1914. 255 + XIV.

Pisze się dziś dużo w kwestyi religii a kultury. I nic dziwnego, boć to najżywotniejsze problemy, które w ostatnich zwłaszcza czasach nader aktualne przybrały znaczenie. Zrozumiał je i odczuł głęboko a subtelnie nasz autor, kiedy zebrany z praktyki i literatury materyał na tle ruchu religijno-kulturalnego, w siedmiu prześlicznych zamknął rozprawach. Ze stanowiska kapłana, co stoi na straży i śmiało patrzy w oczy grożącemu zewsząd niebezpieczeństwu rzuca oględnie, trzeźwo a trafnie szereg praktycznych codziennych kwestyi. Dla lepszego zoryentowania się w całości, podajemy treść w szczegółach: „Co sądzi się o religii; Znaczenie kościelnego autorytetu dla religii, kultury i życia; Katolicyzm a życie duchowe; Religia, nauka i wychowanie; Literatura i lektura; Katolik w gospodarczem życiu teraźniejszości; Katolik w życiu społecznem". Każda z tych kwestyi opanowana jest znakomicie. Autor uwzględnił stosunki, prądy, teorye chwili obecnej, a w samym sposobie przedstawienia rzeczy zachował szczególny spokój, szczerość i otwartość. Sądzimy, że czytanie tej książki wyjaśni niejedno pojęcie, niejeden sąd sprostuje w wykształceńszych sferach, boć je przedewszystkiem ma się tutaj na względzie. Dzieło więc to spotka się z należnem uznaniem i odpowiedniem przyjęciem, a w pewnych okolicznościach stać się nawet codziennym podręcznikiem. Materyał w krótkości zebrany, zestawiony przy końcu w alfabetycznym spisie, a nadto, co jest bardzo ważnem, po każdym rozdziale podana jest odnośna literatura. Książka ta posłużyć może do rozpraw, odczytów i wszelkich religijno-kulturalnych dyskusyi, jakie dziś coraz więcej zajmują umysły. *J. Pł.*

Lourdes im Lichte der Warheit. Vortwäge von *Alois Schweykart S. I.* (XII, 222). Freiburg, Wien. Herdersche Verlagsbuchhandlung. 2·88 Kr. — oprawne 3·84 Kr.

Głośna jest dziś miejscowość Lourdes, a znaczenie jej we walce niewiary z wiarą jest niemałe. Kto nie ma przystępu do obszerniejszego dzieła o Lourdes, ten ma tu książkę, która odda mu wielkie usługi i poda pogląd na wypadki zaciekle zwalczane przez niedowiarków.

Autor uwzględnia dostatecznie w swej książce wypadki historyczne, przytacza dowody i zbija najważniejsze z zarzutów podnoszonych przeciw cudom w Lourdes, opisuje te cudowne uzdrowienia, ich badania, dokonane przez lekarzy i innych fachowych ludzi.

A co najważniejsza, całą rzecz przeplatają cenne a pouczające wskazówki, odnoszące się do życia nadprzyrodzonego, jak n. p. o wierze, o łasce, o mistyce, o wizyach, o złym duchu, o sakramentaliach, o życiu eucharystycznem i t. d. Te i inne wskazówki, podnoszące praktyczną wartość tej książki, zwracają same z siebie uwagę czytelnika na te wielkie idee i nadprzyrodzone czynniki, tak wyraźnie ujawniające się i występujące w wypadkach, jakie mają miejsce w Lourdes.

Książka ta nadaje się też wybornie do kazań majowych i odpowiednio ułożył ją autor. *Ch.*

„Aleksander I". *Dymitr Merežkowski.* przekład Konrada Rakowskiego. I. 408 str. II. 397 str. Kraków 1913. G. Gebethner i Sp.

Powieść jest osnuta na tle zdarzeń z ostatnich dwóch lat panowania Aleksandra I. W młodym Waleryanie Golicynie wcielił autor główną ideę, że dla wzniosłych ideałów trzeba poświęcić wszystko, bo one tylko uszlachetniają człowieka i nadają życiu wartość. A głęboko wierzący w ideały, może zbłądzić, być nieroztropnym, lekkomyślnym, może zginąć, ale nigdy nie może się stać podłym. Prawdę tej myśli udawadnia autor, rozbierając psychologicznie nieraz bardzo zawikłane nastroje uczuć i umysłu głównych osób w tej powieści przedstawionych. Przy tej analizie porusza cały szereg zawiłych zagadnień religijnych, społecznych i narodowych, ale prawie żadnego nie rozwiązuje i nawet nie usiłuje go rozwiązać, a wiele z przedstawionych zapatrywań, jest jednostronnych i zanadto objektywnych. Ciekawem też byłoby dowiedzieć się, na jakiej historycznej podstawie opiera się autor, opowiadając, że Jezuici starali się o połączenie z dekabrystami. Przekład czyta się bardzo gładko, tylko obfituje może zanadto w obce słowa i wyrazy. *G.*

„Die Mission auf der Kanzel und im Verein" Sammlung von Predigten, Vorträgen und Skizzen über die katholischen Mission, herausgegeben von A. *Huonder S. J.* Erstes und zweites Bändchen. 8-o (XIII+157; VII+160). Freiburg Herdersche Verlagshandlung 191 1913. Cena 2.20 M. und 3.00 M. geb.

Książka ta jest cennym nabytkiem literatury kaznodziejskiej. W tym rodzaju homiletyki odczuwało się wielki brak dotychczas wśród dzieł katolickich. Jak bardzo ten nowy zbiór kazań odpowiedział tej potrzebie, dowodzi choćby tak ogólne chętne przyjęcie, z jakiem się spotkał pierwszy tom (1912). Drugie jego wydanie już jest w druku. Znajdujemy w nim 24 starannie wypracowanych, oryginalnych kazań, prócz obszernych szkiców. Nadają się one łatwo z niewielką zmianą na odczyty lub przemowy w zebraniach Sodalicyi Maryańskich lub w Związkach. Nawet dla kazań niedzielnych bardzo mogą być pożyteczne, ze względu na liczne przykłady, obfitość myśli i materyał kaznodziejski.

Mało znajdziemy przedmiotów, któreby lud nasz chętnie słuchał i któreby go bardziej zagrzewały do miłości św. Wiary, jak one temata misyjne. Kaznodzieja tu zawsze znajdzie posłuch. A błogosławieństwo dla naszej pracy niezawodne.

Wzruszająca, zawstydzająca nieraz gorliwość świeżonawróconych gmin, staje się silną zachętą dla życia katolickiego w kraju. Oby więc to dziełko stało się równie miłym przyjacielem duchowieństwa polskiego, jak za granicą stało się skutecznym środkiem do rozszerzania owej miłości dla całego Kościoła katolickiego.

Z wielu tematów wymieniamy niektóre: Dzieło misyjne Kościoła katolickiego, Modlitwa za misye; Bohaterstwo katolickiego misyonarza, Dobry pasterz a pogaństwo, Związek „Dziecięctwa Jezus", Częsta Komunia św. na misyach, Eucharystya a Misye, Pasyflory z ogródka misyjnego, Katoliccy bohaterowie i bohaterki na misyach, Trudy i niebezpieczeństwa apostolskiego wędrowca, Katolickość kościoła i misyi pogańskich.

Ks. F. Schmidt T. J.

Dzieje i ustrój polityczny monarchii austryacko-węgierskiej, nap. *Dr. Jan Lenek,* wyd. II. uzupełnione, Tarnów, nakł. Z. Jelenia 1914, str. 157 in 8-o cena 2.20 Kor. opr.

Opisując dzieje powstania i rozwoju głównych części składowych monarchii austr.-węg. (Okres I), nie trzyma się Autor przyjętego zwykle sposobu synchronistycznego przedstawienia. Stąd n. p. opowiedziawszy dzieje krajów rdzennie austryackich do r. 1526, wraca do opowiadania dziejów Czeskich, od ich początku, potem krajów korony św. Szczepana i t. d. Skutkiem tego musi Autor powtarzać te same zdarzenia, a nigdy w całkowitem oświetleniu, co musi uczniowi mącić własny obraz historyczny. Tak n. p. o panowaniu Węgrów w Galicyi mówi przy opisie Węgier (str. 32), ale dla krótkości używa fałszywej stylizacyi, jakby Andrzej i Koloman bezpośrednio po sobie panowali: „rządy Andrzeja, jakoteż syna jego Kolomana... trwały na Rusi bardzo krótko" (str. 32), milczy o polityce polsko-ruskiej, by wspomnieć o niej dopiero na (str. 44) przy opisie Rusi — aczkolwiek i tu za krótko. Stąd niektóre postacie, jak Karol W. (str. 7), rewolucya francuska (str. 101), i i. spadają jak *deus ex machina.*

Chociaż ten system ma zalety swoje: przedstawia odrazu całość, nie mięsza dziejów jednego kraju z drugim. Zalety tego występują dobitnie w okresie II i III (od r. 1526 — 1740) i ostatnich lat. Kraje już złączone, więc niema tych powtarzań. Moglibyśmy jednak mieć pretensye do lepszego uwzględnienia Galicyi, która była częścią Polski — a jej dziejami zadowolił się właściwie Autor w 30 wierszach za czas od r. 1386 — 1773 i krótką wzmianką (str. 84).

Zaletą wielką książki jest znakomite wprost uwzględnienie rozwoju politycznego i wewnętrznego ustroju państwa; wprowadzenie mnóstwa nowych faktów (chociaż czasem nuży ich przeładowanie, n. p. zaraz w rozdz. I), i nieznanych dotąd żadnym podręcznikom naszym czynników prywatnych, wpływających na dzieje. Z tego względu zasługuje na uwagę jako podręcznik szkolny ale nie dla klas niższych, a nadto może oddać znakomite usługi dla tych, co chcą się obeznać z ustrojem Austryi, a dla których Balzer jest za obszernym, lub niedostępnym.

Szkoda tylko, że nakładca dał tak lichy papier — prędko się on niszczy, a w dotyku nieprzyjemny.

K.

Dzieje Polski ilustrowane. *Julian Baczyński.* Wyd. czwarte t. 2. Poznań 1913.

W książce tej mamy dzieje Polski opowiedziane bez pretensyi naukowych nowości, popularnie; nie bierzemy więc autorowi za złe, że dla ożywienia używa często bardzo pojedynczego dyalogu. Za wadę musimy jednak uważać przytaczanie nieprawdziwych anegdot (rady Kallimacha, przysięga Warneńczyka) i wogóle wielka skłonność do nich; co prawda, interesują one Czytelnika, ale rozrzucone, jako ciekawostki, wiedzy o dziejach nie dają. Radzibyśmy byli, gdyby autor mniej wyrokował do tego czasem w słowach mało ludowi znanych, jak n. p. o Auguście II „szarlatan bez sumienia, despotyczny i cyniczny samolub". (II. 609).

Trudno jest pisać dzieje Ojczyzny dla ludu, to wiemy; ale właśnie ze względu na lud polski, na tę ogromną misyę, jaką ma u nas popularna historya Polski, tak dobitnie zaznaczamy wady obecnego wydania, aby na przyszłość jasno sobie zdawać sprawę z celu książki i plan jej ułożyć może mniej interesująco, a więcej pouczająco. Trzeba wielkiej umiejętności, żeby wnikać w ducha dziejów, jeszcze większej, żeby je prawdziwie a przytem wychowawczo, ale bez cenzorskiej apodyktyczności, przedstawić.

Tylko z troski o zdrową strawę dla naszego chłopa czy robotnika płynęły powyższe słowa. I w dzisiejszej postaci książka ta będzie apostołem, czy w zaborze pruskim, czy w zagrożonej Polonii amerykańskiej tembardziej, że opowiadaniu towarzyszą dobre i liczne ryciny.

F. B.

Rok Chrystusowy w sonetach, osnuty na tle ewangelii św. na niedziele i święta w roku z dodatkiem 14 stacyi drogi krzyżowej. Przez S. M. A. Z. Jeleń. Tarnów 1914. stron 413.

Jest to zbiór prostych a serdecznych wynużeń pobożnej duszy. Poza tem niema tu ani twórczości jakiejś wyższej ani poezyi, a jeżeli tu i ówdzie wyrwie się coś subtelniejszego to chyba na to, by hałaśliwy zgrzyt kalwaryjskiej nuty przygłuszył je i odtrącił. Lepiej byłoby może ascezy i pobożności nie ubierać w podobne formy, a tem bardziej dawać im tytuł „sonet", gdyż to doniosłą i świętą sprawę tylko ośmiesza. Wydawnictwo natomiast pięknie i poprawnie rzecz wydrukowało. Przyznać jednak trzeba, że jeżeli ktoś szuka pobożnej a krótkiej lektury, to znaleźć ją może i z pociechą przeczytać a nawet zbudowaniem w powyższej książce.

J. Pł.

Kwintusa Horacego Flakkusa: Pieśni wybrane. Przełożył *Wincenty Stefan Ogrodziński.* N. Targ 1912.

Trudną jest niezmiernie rzeczą oddać w tłumaczeniu myśl, nastrój i artyzm oryginału, pogodzić to wszystko z duchem tak trudnego jak polski, języka i jego wersyfikacyą. A jednak nasz autor w przybliżeniu przynajmniej, bo trudno żądać więcej, wywiązał się z tego i przetłumaczył wybór Horacyuszowskich pieśni: księgi I-szej I. III. IV. VII. VIII. IX, X, XIV, XVIII, XXII, XXIV, XXVI, XXXI, i XXXVI; księgi 2-giej I, III, X, XIV, XVI — XVIII, księgi 3-ciej 1, III, IX, XIII, XVIII, XXI, XXVI i XXX, księgi 4-tej. III, VII i XII, a z księgi Epod. II, IV, VII i XVI. Co zasługuje na uwagę to śliczny klasycyzm w ojczystych

brzmieniach oddanie metrycznej budowy oryginału i połączenie jej z dość udatnym rymem. Sądzimy, że ocena i od „Kolegów filologów" pomyślną być powinna, a Tłumacz dopełni z korzyścią dla kół szerszych rozpoczęte dzieło.

J. Pl.

Listy Augusta Bielowskiego do Walentego Chłędowskiego (1840—1841) wydał *Bronisław Czarnik*. We Lwowie. Nakładem Zakładu Narod. im. Ossolińskich str. 27.

Owe 10 listów, które p. Czarnik wydaje z rękopisu Biblioteki Ossolińskich nr. 3457 i które zużytkował w swej rozprawie p. t. Bielowski i Chłędowski o „Stuleciu Gazety Lwowskiej" tom II. cz. IV., obok materyału przyczyniającego się do poznania obu pisarzy, więcej znacznie oświetlają warunki z jakimi musiało walczyć w swym czasie życie umysłowe w Galicyi, krępowane nieubłaganym, czerwonym ołówkiem cenzora, który też jest głównym bohaterem na kartkach wzmiankowanych listów.

L. K.

Stulecie Gazety Lwowskiej 1811 — 1911. Tom III. część I. i II. We Lwowie. Nakładem *Redakcyi Gazety Lwowskiej* 1913.

Tom III. wydawnictwa Gazety Lwowskiej w części pierwszej przynosi nam bibliografię „Rozmaitości", pisma dodatkowego do Gazety Lwowskiej z lat 1817 — 1848 i zlat 1854 — 1859, część zaś druga bibliografię „Dodatku do Gazety Lwowskiej" z lat 1850 — 1862 i z lat 1867—1869. w wielce starannym układzie Wład. Staniszewskiego, mogącym ułatwić badania nad wielu nietkniętemi dziedzinami literatury i życia umysłowego w dzielnicy austryackiej.

L. K.

Ziemia polska w pieśni. Antologia. Ułożył i wstępem zaopatrzył *Jan Lorentowicz*. Z 12 reprodukcyami obrazów artystów polskich.

W ośmiu cyklach: „Ziemio moja — rok polski — w górach — w szumie drzew — nad wodami — grody i ruiny — parki i ogrody — mogiły" zamknął autor najpiękniejsze perły literatury naszej poetycznej co tak nam prześlicznie wyśpiewała piękność ziemi naszej. Oto serdecznie a głębokie dowody miłości ojczystej ziemi i w tęsknocie i w zachwycie. Oto świadectwo, jak odczuwaliśmy i jak odczuwamy polską przyrodę, jak wytworzyliśmy i rozwinęli kult jej specyalny. Szkoda, że ze względów wydawniczych autor musiał wiele pięknych i znanych nam wierszy opuścić. To wielka szkoda! Lepiej byłoby już wszystko wydać, choćby w dwu tomach. To jednak, co jest, przedstawia harmonijną całość — obraz wykończony. Słyszy się tu wszelkie natury, oddechy, tony i akordy; widzi się grę kolorów, krasę i piękno; odczuwa się czar i urok tej polskiej skarbnicy przyszłości i przeszłości naszej arki żywego ducha narodu — umiłowanej naszej matki — ojczyzny.

J. Pl.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Maryawityzm i jego ostateczne oparcie.

Ruch maryawicki, potępiony przez Kościół i energicznem cięciem usunięty z organizmu katolickiego, na którym jak pasożyt zaczął się bujnie rozrastać, znalazł się w położeniu krytycznem. Zabrakło mu soków, z których czerpał i pęczniał; zabrakło podłoża, na którem mógł się krzewić. Nie tylko wzrost jego ustał, ale ujawnił wnętrzną swą czczość i niemoc. Podtrzymały go na razie z zewnątrz władze rządowe, które miały swój cel, użyczając mu opieki—wewnątrz zaś usiłował oprzeć się o starokatolików, którzy wyświęcili biskupów maryawickich. Ale na darmo. Los jego przesądzony. Raz wypadłszy ze społeczności Kościoła katolickiego, zesunąwszy się ze skały Piotrowej, Rzymskiego papiestwa, już nie znajdzie trwałego gruntu na fundamenty, tylko piaszczyste ławy, które nie zdołają budowli jego uchronić od rozpadnięcia się.

Zamieszki wewnętrzne: odpadnięcie Żebrowskiego i wytworzenie przez niego i jego zwolenników osobnej sekty, powracanie nietylko ludu prostego ale i księży do dawnej wiary i posłuszeństwa katolickiego, wreszcie opłakany stan finansowy, który zaczyna zagrażać bytowi domów modlitwy a z drugiej strony burzy zaufanie do przewódców ruchu—wszystko to sprawia, że maryawityzm poczyna się chwiać poważnie, a jego kierownicy gwałtownie zaczynają ręce wyciągać wszędzie, na prawo i lewo, byleby

się czegoś uchwycić i módz ratować byt zagrożony. Dokumenty p. Krysiaka odsłoniły pukanie maryawitów do drzwi protestanckiego hakatyzmu — gazety donosiły o umizganiu się do prawosławia, a to umizganie się tak już dalece utorowało drogę, że w ostatnim czasie maryawicki biskup Próchnicki odważył się na krok publiczny i na występ oficyalny wobec członków synodu. Przyjechał do Petersburga w asystencyi ojca Feliksa i dyakona Filipa i na zebraniu wobec prokuratora synodu Sablera, metropolitów petersburskiego Włodzimierza i moskiewskiego Makarego, licznego kleru prawosławnego i świeckich, profesorów, oficerów, członków Dumy, przedstawiał stan ruchu maryawickiego, jego początki i rozwój — oczywiście malując go w jak najjaśniejszych barwach. Szczególnie rozwodził się nad prześladowaniem, jakie go spotkało ze strony Kościoła katolickiego, którego wyższa hierarchia miała rozpalać najbardziej nietolerancyjny fanatyzm i błogosławić dzikie pogromy i pastwić się nad zwolennikami ruchu. Wysławiał też ogromną bezinteresowność maryawickiego duchowieństwa — tak dalece, że protojerej, dawniej poseł miński, Juraszkiewicz, nie mógł się wstrzymać i na głos zawołał: „to już niepodobne, to chyba przesada"... Wreszcie, a nie bez politycznych zamiarów podkreślił apolityczność maryawitów, którzy nie znają, nie zajmują się żadną polityką prócz Chrystusowej. Oczywiście że takie przedstawienie musiało wywołać wrażenie bardzo silne — jak donosiło *Nowoje Wremia*, musiało się spotkać z nader sympatycznem przyjęciem ze strony uczestników zebrania. Sympatya ta ze strony prawosławia musiała się jeszcze spotęgować na widok, gdy Próchnicki nie poprzestając na słowach, zaraz czynem wyraził swe uznanie dla cerkwi, kierując się z mownicy w stronę obecnych metropolitów i całując uniżenie ich ręce. To uznanie hierarchii prawosławnej oraz ostentacyjne odwiedzanie prawosławnych cerkwi, proszenie i odbieranie błogosławieństwa od prawosławnych biskupów, świadczą już o najlepszych stosunkach maryawityzmu z prawosławiem. Niema jeszcze wprawdzie formalnego aktu zlania się — ale to tylko formalność. Faktem jest, że ani jedna ani druga strona już nie ma zasadniczych przeszkód natury dogma-

tycznej do zjednoczenia się. Synod prawosławny traktuje maryawitów jako starokatolików, z którymi jest w przyjacielskiem porozumieniu, a maryawici sami nie tylko nie widzą przeszkód, ale owszem dobijają się o formalne złączenie z prawosławiem — albo przynajmniej o przyjęcie ich pod władzę Synodu.

Podczas gdy u góry hierarchia maryawicka w Petersburgu czyni kroki o formalne przyłączenie do prawosławia, to u dołu, wśród wiernych maryawickich usuwa się „wszelką politykę, prócz polityki Chrystusowej" — i miłością seraficzną przygotowuje się umysły, żeby bez przesądów i oporu mogły wejść do cerkwi prawosławnej i uczestniczyć w prawosławnem nabożeństwie. W Łodzi widziano w pierwszym dniu wielkanocnym procesyę maryawicką, jak ze swego domu modlitwy dążyła do zboru prawosławnego przy ul. Widzewskiej, witana przez popa Antoniusza, który też dla niej odprawił nabożeństwo. Można więc uważać zjednoczenie się maryawitów z prawosławiem za fakt dokonany, mimo że formalności wszystkich jeszcze nie załatwiono. W ten sposób kończy swą działalność ruch reformacyjny, który na własną rękę, mimo a potem i przeciw prawowitej władzy biskupiej chciał uzdrawiać stosunki kościelne.

Katolicy irlandcy i Home Rule.

W Anglii dokonywa się sprawa doniosłego znaczenia. Jedna z wielkich krzyczących krzywd dziejowych ma być usunięta — naród irlandzki, przeznaczony na zagładę, ma odzyskać swe prawa do bytu, do rozporządzania sobą, ma stanąć o własnych siłach i poczuć się znowu odrębnym narodem. Obecne przedłożenie o autonomii irlandzkiej nie odpowiada wprawdzie oczekiwaniom Irlandczyków, ale oni już na ułomną i okrojoną autonomię przystają — bo są przekonani, że nawet taka autonomia przyniesie im wielkie korzyści i usunie niejedno zło, które jeszcze pozostało po tyrańskich rządach protestanckich.

Gdy autonomia wejdzie w życie, rząd kraju przeszedłby w ręce większości, jaką tworzą katolicy. To im się bezwzględnie należy, żeby się mogli czuć panami w swym domu. Dotychczas mimo rozmaitych ulg liberalnych, wciąż jeszcze czuli się we własnym kraju obywatelami drugorzędnymi, upośledzonymi pod

niejednym względem. O ich sprawach decyduje parlament obcy, choćby liberalny, ale w większości anglikański; namiestnikiem dla Irlandyi nie może być katolik, choćby posiadał wszystkie po temu warunki; uniwersytet katolicki w Dublinie, nie ma swych przedstawicieli w Westminsterze, choć równorzędny uniwersytet protestancki *Trinity College* wysyła ich tam aż dwóch. To wszystko sprawiło, że Irlandczyk katolik w katolickim kraju uczuwał nad sobą wyższość protestancką; z wprowadzeniem autonomii uprzywilejowane stanowisko protestantów będzie musiało ustać, katolicy będą sami o sobie stanowić, niezależnie od najezdczego zwierzchnictwa protestanckiego. I oto dlaczego katolicy irlandcy, już nie tylko ze względów narodowych, ale i wyznaniowych, stoją po stronie *Home Rulu*.

Ale to właśnie wytworzyło największą zaporę dla jego przeprowadzenia. Protestanci w Irlandyi nie chcą zrezygnować z uprzywilejowanego stanowiska; nie chcą autonomii w Irlandyi. Z tego stanu rzeczy skorzystała konserwatywna opozycya angielskich unionistów i żeby nie dopuścić do *Home Rulu*, czule ujęła się za ulsterskimi Oranżystami, biadając już naprzód nad ich nieszczęśliwym losem pod rządami katolickiego parlamentu irlandzkiego. Ten moment religijny przebija w mowach parlamentarnych opozycyonistów a jeszcze więcej służy za hasło do agitacyi w Ulsterze, do rozbudzenia przygasającego powoli fanatyzmu protestanckiego, aby chwycił za broń i zbrojno wystąpił nawet przeciw rządowemu wojsku, w razie gdyby uchwalony przez parlament samorząd miał rzeczywiście wejść w życie. W ten sposób już stoi dzisiaj ze sto tysięcy ochotników, popieranych przez partyę konserwatywną, sfanatyzowanych i gotowych z bronią w ręku wystąpić przeciw zagrażającemu rzekomo im uciskowi religijnemu ze strony katolików irlandzkich.

Lecz na czemże oparte są te obawy przed niebezpieczeństwem wyzyskiwania przez katolików liczebnej przewagi na niekorzyść protestantów? W rzeczywistości podstaw niema żadnych. Wszystkie jeremiady na ten temat są tylko niesumiennem nadużywaniem momentu religijnego dla walki partyjnej — są nieuczciwem wywoływaniem nastroju na podstawie przewidywań bezpodsta-

wnych. Konserwatystom angielskim nie jest tajne rzeczywiste usposobienie Irlandczyków względem swych współobywateli protestanckich. Przedstawiono je w dowodach najuchwytniejszych — w cyfrach.

Taki Lord Macdonald podawał w swej mowie interesujące cyfry, jakie zdołał zebrać w czasie, gdy był związany z rządem w Irlandyi. Cyfry te odnoszą się do hrabstw, gdzie katolicy, będąc w większości, mieli już sposobność dać uczuć swą przewagę ludności protestanckiej. Otóż nietylko nie wyzyskali swej przewagi na jakieś bojkotowanie, usuwanie od urzędu osób wyznania anglikańskiego, — ale owszem wszędzie okazali im daleko posunięte zaufanie, dobrowolnie powołując ich na zaszczytne i odpowiedzialne stanowiska urzędowe. I tak w Galway procent anglikanów wynosił 6, a jednak procent stanowisk płatnych, zajmowanych przez nich a zależnych od katolickich władz miejscowych dochodził do 19; w Roscommon odnośny odsetek przedstawiał się w liczbach 3 i 16; w Mayo 2 i 11; w Munster 10 i 21; w Carlow 11 i 40; w Tippetary 6 i 29; w Kildare 15 i 23; w West Meath 9 i 32; w King's County 11 i 48. Cyfry te, które same w sobie są już wymowne, jeszcze bardziej uderzają, gdy się je zestawi z odpowiednimi odsetkami w hrabstwach, w których przeważa ludność protestancka. Tak w Antrim procent katolików wynosił 26, a procent zajmowanych przez nich stanowisk publicznych tylko 8; w Armagh odpowiednie odsetki były 45 i 6; w Tyrone 55 i 10 i t. d. Kiedy ludność protestancka będąc w większości, daje dokuczliwie odczuwać katolikom swą przewagę i nie dopuszcza ich do urzędów publicznych — to w okolicach katolickich nie widać najmniejszego odsuwania się od protestantów, owszem czują się tam dobrze, używają pełnego zaufania u katolików.

Dlatego też nie można się dziwić, że wobec nieuzasadnionych podejrzeń nietolerancyi katolików, sami protestanci czuli się w obowiązku wystąpić i publicznie zadać kłam nieuczciwym zarzutom oraz hasłom, którymi przewódcy opozycyi usiłują rozpalać fanatyzm protestancki.

Przytoczymy dla ilustracyi wystąpienie protestanckiego

radcy p, Moreney'a, który na półrocznem posiedzeniu Rady dystryktu New Ross wniósł projekt wysłania życzeń J. Redmondowi, przewódcy nacyonalistów irlandzkich z okazyi przejścia *Home Rulu* przy drugiem czytaniu. Występuje on z tym wnioskiem jako protestant, a czyni to z całą świadomością z dwóch przyczyn: „Po pierwsze korzystam ze sposobności zaznaczenia najlepszych stosunków, które zawsze za mej pamięci t. j. od lat 40 panowały wśród ludności różnych wyznań w tych dystryktach. Ponieważ sprawa stosunków między protestantami a katolikami jest teraz bardzo omawiana na innych miejscach, ja czuję się zniewolonym oświadczyć, że o ile chodzi o protestantów w tych stronach, to oni są najzupełniej zadowoleni ze stosunków, jakie ich łączą z katolikami i zapewniają, że nie można znaleźć lepszych ludzi do pożycia nad katolików. To oświadczenie odnosi się nie tylko do hrabstwa Weston ale i do Carlow i do Kilkenny, z któremi mię łączą osobiste znajomości".

Stanowisko katolickich Unionistów w sprawie *Home Rulu*.

Tak stoją rzeczy faktycznie. To też tem przykrzejsze wrażenie wywołał artykuł katolickiego konserwatysty angielskiego, lorda Denbigh, który z powątpiewaniem się wyraża o przyszłem zachowaniu się Irlandczyków wobec protestanckiej ludności. Lord Denbigh jest katolikiem, ale należy do Unionistów i w sprawie *Home Rulu* stoi na nieprzejednanem stanowisku swej partyi. Zaproszony do wzięcia udziału we wielkiej demonstracyi oranżystowsko-konserwatywnej przeciw *Home Rulowi* w Hyde-Parku w sobotę 4 kwietnia, odpowiada na zaproszenie artykułem, umieszczonym w *Times'ie*, — artykułem, który można wziąść za wyraz zapatrywań katolickich konserwatystów angielskich w tej sprawie.

Lord Denbigh wymawia się od wzięcia udziału w demonstracyi ze względu na jej charakter oranżystowski, ale przytem dobitnie oświadcza, że jest i zostaje przeciwnikiem autonomii. Czyni to głównie z pobudek politycznych, że autonomia Irlandyi osłabiłaby pozycyę brytyjskiego imperium w świecie. Uznaje, że protestancka Anglia zawiniła bardzo względem katolickiej Irlandyi i to mści się na niej obecnie, bo prześladowcze prawa

protestanckie pozostawiły tam najprzykrzejsze wspomnienia między katolikami. I obecna walka o *Home Rule* wyrodziła się w większej swej części w walkę religijną. Mimo to on nie zmienia swego stanowiska i pozostaje nadal stanowczo przeciwnym *Home Rulowi*, „bo my nie możemy sobie wiązać przyszłości dlatego, że w przeszłości Irlandya tak źle była traktowaną przez Anglię, a ja nie wierzę, żeby jej parlament w Dublinie mógł uchwalić lepsze prawa dla niej, niż to może uczynić parlament państwowy".

To są racye i przekonania polityczne, może niesłuszne, ale których nawet katolicy irlandzcy za złe lordowi nie biorą, zwłaszcza, że wyraźnie potępił dawne postępowanie Anglii i uznaje ciążący na niej obowiązek naprawienia złego. Ale co biorą mu za złe i co ich oburzyło, to to, że lord nie ograniczając się do racyi politycznych, usiłuje także swe stanowisko zasłonić momentem religijnym. „Jako katolik — powiada dalej w swym artykule — zarówno nie mam sympatyi do instytucyi Oranżystów, jak nie mogę jej mieć, jako lojalny Anglik, do organizacyi Zakonu starych Hibernów. Wszelkie gadanie o religijnem prześladowaniu przez Irlandzki parlament uważałem za nierozsądne i przesadne, jednakowoż, sądząc po tem, na co się zanosi, prawdopodobnie nie obeszłoby się bez znacznej nietolerancyi, gdyby jedna, którakolwiek z tych organizacyi, wzięła górę". W ten sposób w jednej linii zestawił hrabia organizacyę fanatycznych Oranżystów z pewnym, dawniej tajnym, dziś już zupełnie publicznym związkiem gorących patryotów katolickiej Irlandyi, by wskazać na równe niebezpieczeństwo prześladowań, grożące pokojowi religijnemu tak z jednej jak z drugiej strony.

Nie dość na tem. Lordowi nie wystarczyło katolicką instytucyę irlandzką podać w podejrzenie o nietolerancyę, on jeszcze osłania się w tem powagą irlandzkiego kleru; tak dalece, że do redakcyi *Tablet'u*, która streściła jego artykuł z *Times'a*, a opuściła powołanie się na kler irlandzki, wysłał sprostowanie: że bardzo mu na tem zależy, aby o usposobieniu kleru irlandzkiego dowiedzieli się katolicy angielscy, którzy są przekonani, że całe duchowieństwo irlandzkie życzy sobie autonomii. Tymczasem — twierdzi hrabia — „jak przemysłowcy, którzy dobili się majątku

jak dzierżawcy, którzy pokupili sobie grunta na południu i zachodzie, po większej części są obojętni dla *Home Rulu*, tak też zapewne wielu z kleru zmieniło swe zdanie i powzięło poważne wątpliwości co do tego, jak się będzie powodzić Irlandyi pod panowaniem tej najzgubniejszej organizacyi Dawnych Hibernów".

I w tem już konserwatywny hrabia przeholował. Spodziewał się uspokoić sumienie społeczeństwa angielskiego twierdzeniem, że kler irlandzki zaczyna wyrzekać się *Home Rulu*, a tymczasem spowodował, że właśnie społeczeństwo to upewniło się, że nie błądzi w swem przekonaniu, iż cały kler jest za autonomią. Powołanie się na kler wywołało cały szereg protestów i energicznych sprostowań. Z rozmaitych stron Irlandyi popłynęły listy do redakcyi wyświetlające prawdę. Jeden kapłan z Dublina pisze: „Jako irlandzki ksiądz poczuwam się do obowiązku wypowiedzieć swe przekonanie, że hrabia Denbigh jest w błędzie, przypuszczając, że „wielu z księży zmieniło swój pogląd na autonomię. Trudno zbijać tak ogólnikowe twierdzenie. Trzeba wymienić kogoś szczegółowo. Czy hrabia potrafi wskazać choćby na jednego biskupa, któryby zmienił swe zdanie w kwestyi *Home Rulu*? — Tak!... może przytoczyć dwa przykłady — ale właśnie ci dwaj zmienili je znacznie na korzyść *Home Rulu*".. Chcę tu odpowiedzieć za tych, między którymi żyję i których znam t. j. za świeckie duchowieństwo w Dublinie. Stanowi ono 10 procent całego kleru irlandzkiego. Przeglądając długi spis przeszło 330 kapłanów, znajduje między nimi nie więcej nad trzech, którzy nie są za *Home Rulem*. Inny kapłan znów: „Czterdzieści lat jestem kapłanem i to chyba mię upoważnia do zabrania głosu i stwierdzenia, żeśmy nigdy nie byli tak jednomyślni na korzyść *Home Rulu*, jak teraz w latach ostatnich. Dawniej było paru biskupów, a więcej jeszcze wśród kleru przeciwników tej idei. Ale i oni i ich reakcyjne pojęcia wyginęły śmiercią naturalną. Dziś każdy biskup jest autonomistą i nie umiem wskazać ani jednego księdza, któryby się nie przyznawał do zasad autonomii".

Nadesłane listy wyświetlają też, w jaki sposób mógł się lord Denbigh dać złapać do tego stopnia, że się odwołał na kler irlan-

dzki. Oto część duchowieństwa i to dość znaczna, jest przeciwna partyi nacyonalistycznej za to, że robi wielkie ustępstwa, byle dojść do jakiegokolwiek samorządu. Z tem postępowaniem nacyonalistów nie chcą się zgodzić. Jednym nie podoba się proponowany samorząd ze względu na zastrzeżenia finansowe; inni uważają go za drwiny z katolików, inni wreszcie upatrują w nim tylko lichą cenę, za jaką rząd chce kupić ich narodowość. I ci rzeczywiście w tem sympatyzują z konserwatywną partyą angielską, że chcą ubić obecne przedłożenie rządowe: „*Kill the Bill*". W duchu zaś śmieją się na samą myśl, żeby ich mógł ktoś nazwać przeciwnikami *Home Rulu*. Przyczyna, dla której takie stanowisko zajmują, w osłupienie wprawić może Unionistów: Nie chcą *Home Rulu* od liberalnego rządu, bo się spodziewają dostać lepszy od Unionistów... od Balfour'a i lorda Denbigh! Dlatego dodaje jeden z korespondentów: „Jak Lord Denbigh wystawia sobie dużą liczbę ukrytych przeciwników *Home Rulu* wśród kleru, tak znów nawzajem ci liczą całą kupę ukrytych zwolenników *Home Rulu* w szeregach nieprzejednanych Torysów!" — Wart Pac pałaca, a pałac Paca. Bądźcobądź ta gra ich niezrozumiała dla nieobeznanych dobrze ze stosunkami irlandzkimi mogła dać powód do fałszywego odezwania się lorda.

Organizacya *Ancient Order of Hibernians.*

Jak w odwołaniu się do kleru lord Denbigh nie był szczęśliwy, tak też zupełnie chybił jego napad na „nader zgubną organizacyę dawnych Hibernów". Lord oparł się na dawniejszem już wystąpieniu kardynała Logue przeciw tej organizacyi, która w pewnej miejscowości dopuszczała się rzeczywistych nadużyć, co tem bardziej było gorszącem, że ten zakon miał być wzorem i odbiciem świątobliwego życia swych przodków. To uprzedziło kardynała do organizacyi i rzeczywiście wyraził się o niej ostro. Ale jak mało lord Denbigh zoryentowany był o stanie obecnym zakonu Hibernów i o opinii, jaka ich otacza, pokazują znów najchlubniejsze świadectwa, jakie tej organizacyi zgodnie wystawiają inni biskupi, kler, a nawet sam kardynał Logue, który uprzedzenia się pozbył i obecnie bardzo życzliwie odnosi się do nich. Dziękował im już za ich gorliwość

w strzeżeniu wiary u dzieci irlandzkich, a po rekolekcyach, jakie urządzili dla swych członków, przesłał im bardzo serdeczne błogosławieństwo.

Organizacya Dawnych Hibernów (Ancient Order of Hibernians) jest stowarzyszeniem patryotycznem, ale przejętem na wskróś duchem katolickim. Należą do niej mężczyźni i kobiety wszystkich stanów, a jako członkowie honorowi figuruje w niej niemal cały kler irlandzki. Ze strony protestanckiej oczywiście spotyka się ten związek z niechęcią i najpotworniejsze brednie krążą o nim w ich kołach. Niedawno temu można było napotkać rozrzucane kartki z rzekomą przysięgą Organizacyi, w której wstępujący do niej członek miał najuroczyściej ślubować, że od kołyski do grobu będzie się starał, nie zważając ani na płacz dziecięcy, ani na jęk starców, broczyć po kolana we krwi Oranżystów; że nie będzie uznawał żadnego zwierzchnictwa jakiegokolwiek panującego protestanckiego — ani przysięgi, złożonej przed sędzią albo urzędnikiem protestanckim i t. p. Oczywiście są to tylko niezdarne wymysły, obliczone na głupotę i łatwowierność tłumów. Prawdziwą formułę przysięgi tego bractwa odczytał 23. stycznia zeszłego roku w Izbie niższej sam jego prezes p. Dewlin. Według jej tenoru członkowie zobowiązują się do pewnego sekretu względem obcych, ale nie wobec katolickiego kleru. Zresztą cele ich idealne: nie wszczynać kłótni, godzić powaśnionych, spieszyć z serdeczną pomocą potrzebującym braciom, nie dopuszczać do stowarzyszenia osób złych albo o podejrzanym charakterze, nie należeć do stowarzyszeń, potępionych przez stolicę Rzymską, chować wiernie szczegółowe przepisy stowarzyszenia. Działalność tego stowarzyszenia jest rzeczywiście błogosławieństwem dla kraju. Zwłaszcza w walce z alkoholizmem kroczą Dawni Hibernowie w pierwszych szeregach. To też taki biskup z Cashel nie waha się ich nazwać „najpoważniejszymi obrońcami wiary i najgorętszymi patryotami". „Działając zawsze zgodnie z zasadami Kościoła, do którego należeć poczytują sobie za zaszczyt, tworzą oni najtęższe źródło przywiązania do wiary i do kraju".

Twierdzenie lorda Denbigh zostaje w ten sposób zupełnie

obalone i zaprzeczone, a zaprzeczone ze strony, do której się odwołał. Stwierdzonem zostało, że cała katolicka Irlandya ze swymi biskupami i całym klerem na czele domaga się *Home Rulu*, a jeśli są jacyś rzekomi przeciwnicy jego, to tylko tacy, którzy obecnie proponowany samorząd uważają za nieodpowiedni, nie zapewniający dostatecznie narodowi rozwoju jego samodzielności. Ale wszyscy oni jedną mają myśl i jedno pragnienie, do którego mają prawo przed Bogiem i ludźmi, żeby się znów stać narodem pełnym. „*a nation once again*".

Ks. L. Rudnicki.

Regulacya rzek w Galicyi.

Szkody, spowodowane zeszłoroczną, kilkakrotnie powtarzającą się powodzią, obliczają na przeszło 300 milionów koron! a odczuwa je tem dotkliwiej kraj zrujnowany niemal doszczętnie przygotowaniami do mobilizacyi.

Pierwsze deszcze wystąpiły w czasie sianokosów i dojrzewania zboża, rozpoczynając okres opadów, który w Galicyi przetrwał z przerwami do jesieni, a równoczesny brak słońca i chłód zniszczyły zbiory tegoroczne niemal zupełnie. Ta ciągłość opadów spowodowała długotrwałe wysokie stany wód w rzekach i silne nasycenie gruntu wilgotnością tak, że już jednodniowy deszcz wywoływał silne wezbrania rzek, a woda deszczowa zalewała całe obszary nisko położone, nie znajdując należytego odpływu. Nasuwa się więc mimowoli pytanie, w jakim celu prowadzi się milionowe roboty regulacyjne, jeżeli pierwsza większa powódź wywołuje tak straszne szkody i w jaki sposób i wogóle czy można ochraniać zagrożone obszary od podobnej katastrofy w razie powtórzenia się podobnych niespodzianek meteorologicznych.

Liczna sieć naszych rzek i potoków o stosunkowo znacznych dorzeczach powinna być bezsprzecznie dobrodziejstwem kraju, tak dla rolnictwa jak i handlu, ułatwiając tanią komunikacyę. Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie, rzeki nasze stają się częstokroć wprost postrachem mieszkańców nadbrzeżnych, niszcząc w czasie powodzi plony rolne i zabierając najżyźniejsze grunta. A wylewy te powtarzają się coraz częściej — szczególniej w ostatnich 30 latach prawie każda większa powódź przybiera charakter katastrofalny. Przyczynia się do tego w znacznej mierze zdziczenie rzek, jako skutek

braku wszelkiej opieki i zainteresowania się rzekami do ostatnich prawie lat przez organa rządowe i autonomiczne, oraz obojętność nadbrzeżnych właścicieli, tłumaczona dawniej do pewnego stopnia niską ceną ziemi — głównie zaś fatalna gospodarka lasowa, szczególnie po karygodnej lekkomyślnej wyprzedaży ogromnych lasów koronnych w okresie powrotu reakcyi i przy sposobności regulowania katastru gruntowego. Dewastacya lasów postąpiła tak daleko, że obecnie w Galicyi zachodniej lasy zajmują zaledwie 15% powierzchni!

Skutki tej gospodarki odczuwamy dotkliwie. W kronikach klasztoru Zwierzynieckiego mają być zapiski o nadzwyczajnych powodziach w lipcu 1593 i w sierpniu 1697. Największa w ostatnich czasach powódź nawiedziła Galicyę w sierpniu 1813 r., *Gazeta Wiedeńska* z września 1813 r. wspomina, że od 7—12 września w całej Galicyi lało bez przerwy strumieniami, rzeki wylały też tak, że ludzie od 45 lat nie pamiętają tak wielkich powodzi. Wisła pod Krakowem wezbrała o 22 cale (50 cm) niżej niż w sierpniu 1697 r. Następne powodzie notowano w latach 1847 i 1867, ta ostatnia jest najwyższą dotychczas znaną powodzią na Dunajcu, Sanie i Dniestrze.

W drugiej połowie XIX wieku występują wielkie wody coraz częściej i tak w r. 1875, 1882, 1884, 1889, 1894, 1899, 1903, 1906 (Raba, Dunajec i San w czerwcu i lipcu) i w r. 1908 (lipiec i sierpień); wreszcie rok bieżący! Równocześnie pogorszają się stosunki odpływu do tego stopnia, że dziś już dwudniowy deszcz wywołuje groźne wezbranie, a kilka tygodni bez deszczu obniża stan wody w rzekach do tego stopnia, że n. p. na Dniestrze ustaje zupełnie ruch spławów.

Po każdej większej powodzi rząd pod naciskiem bądź to opinii publicznej, bądź też życzeń kraju i wpływowych czynników okazywał żywsze zainteresowanie i ochotę spieszenia z pomocą dotkniętej ludności, zwykle w sposób doraźny, uspakajając równocześnie, że zarządzone zostaną roboty, zabezpieczające przed zalewami i zrywaniem brzegów. Po powodzi w r. 1867 uspokojono nas, zakładając na kilku rzekach wodoskazy, lecz po pamiętnej powodzi Dniestru w r. 1882 i na Wiśle w r. 1884 padły w Sejmie galicyjskim dość ostre słowa pod adresem gospodarki rządowej i w jesieni 1884 r. uchwalono jednogłośnie pamiętną rezolucyę w sprawie regulacyi rzek. Rezolucyę tę podajemy w streszczeniu: „Wzywa się rząd do energiczniej-„szego i skuteczniejszego prowadzenia robót regulacyjnych na koszt „państwa na rzekach spławnych, na przestrzeniach, będących pod „zarządem państwa, na pozostałych zaś przestrzeniach należy pro-

„wadzić budowle regulacyjne i ochronne wraz z obudowaniem po-
„toków górskich na wspólny koszt państwa, kraju i interesentów,
„również należy przystąpić do odwodnienia, zalesienia i umocowania
„stoków górskich. W tym celu należy utworzyć osobny fundusz re-
„gulacyjny, do którego kraj, począwszy od r. 1885, wpłaci w 15 równych
„rocznych ratach 3,500.000 fl. pod warunkiem, że rząd zobowiąże
„się w tymsamym czasie wpłacić w równych ratach rocznych kwotę
„9,500.000 fl. Datki interesentów ureguluje osobna ustawa krajowa.
„Wzywa się również rząd, aby powołał do życia krajową komisyę
„regulacyi rzek. Prowadzenie odnośnych robót i natychmiastowe
„rozpoczęcie potrzebnych studyów pozostawia się porozumieniu
„Wydziału krajowego z rządem".

W myśl tych uchwał przystąpił rząd do wypracowania całego szeregu projektów, znacznym kosztem — niestety przyszedł rok 1886 i obawa wojny z Rosyą. Wobec szalonych wydatków mobilizacyjnych i ówczesnego trwonienia pieniędzy na potrzeby (?) wojskowe sprawa regulacyi rzek poszła w zapomnienie. Przypomniała ją jednak powódź w r. 1889 i wtedy dzięki energicznej interwencyi namiestnika i ówczesnego Koła polskiego sankcyonowano cały szereg ustaw o regulacyi rzek, a mianowicie: Biały (r. 1892), Górnego Dniestru (1893) od Żurawna do Mikołajowa, następnie Bugu, Soły i Łomnicy i przedłużenie regulacyi Dniestru aż do Kornalowic (1900). W ostatnim dziesiątku lat zeszłego wieku osiągnęliśmy bardzo wiele, dzięki energii i osobistym staraniom ś. p. Kazimierza Badeniego, widać przytem, że polskie rządy pokrzywdziły Galicyę zachodnią (Biała i Soła) na korzyść wschodniej (Bug, Łomnica i dwie sekcye Dniestru).

Żywsza akcya na tem polu datuje się od wprowadzenia w życie ustawy o drogach wodnych, kiedy przystąpiono do regulacyi wszystkich większych dopływów Wisły, Dniestru i Prutu i od tego czasu, przyznać należy, prace postępują w znacznem tempie. Pokrzywdzono nas jednak w porównaniu z Czechami, którzy na 1 okres budowy do r. 1912 otrzymali 63,000.000 k., zaś Galicya zaledwie 26,400.000 k. i dopiero po długich zabiegach uzyskano podniesienie funduszu budowy dla Galicyi do niecałych 34 milionów. I przyznać trzeba, że skutki robót regulacyjnych dają się już teraz odczuwać. Na uregulowanych przestrzeniach ułatwiony jest przedewszystkiem odpływ wielkiej wody i szkody powodziowe są znacznie mniejsze, gdyż grunta nadbrzeżne są do pewnego stopnia ubezpieczone przed zrywaniem, wreszcie ujednostajniony odpływ wód w czasie zejścia lodów usuwa

przyczyny powstawania groźnych zatorów, które jeszcze przed kilkunastu laty tworzyły się stale na Wiśle pod Jankowicami w t. zw. kole lipowieckim, pod Niepołomicami, poniżej ujścia Dunajca, pod Sandomierzem i przy ujściu Sanu. Mimo to panuje jednak pewne niezadowolenie tak z postępu jak i sposobu wykonywania robót, podnoszą się też liczne skargi, a głównym ich powodem, jak sądzić można, jest to, że ludność od szeregu lat domagająca się regulacyi rzek, spodziewała się, iż po wydaniu odnośnych ustaw uwolnioną będzie zupełnie od powodzi i wszelkich szkód, wyrządzanych przez wylewy.

Regulacya rzek jednak wezbrań nie usunie i usunąć nie może, nie jest to zresztą i celem budowli regulacyjnych. Usunięcie wezbrań dałoby się osiągnąć jedynie przez zatrzymanie całej wielkiej wody w górnych biegach, w dorzeczu źródłowym rzek, wymagałoby jednak całego szeregu urządzeń magazynujących wodę, z natury rzeczy bardzo kosztownych, a niestojących w żadnym stosunku do otrzymanych korzyści.

Katastrofa zeszłoroczna wskazuje jednak dobitnie, że regulacya rzek nie wystarcza dla ochrony, obecnie bardzo wysoko w cenie stojących gruntów i płodów rolnych i należy obmyśleć sposoby, jak unieszkodliwić wylewy, a byłby to drugi etap na polu gospodarstwa wodnego. Licznie powtarzające się w zeszłym roku powodzie dały niejednokrotnie sposobność zebrania pewnych i dokładnych dat co do powstawania lokalnych zalewów, koniecznych do obmyślenia należytego sposobu usuwania ponownych klęsk na wypadek powtórzenia się podobnych wybryków meteorologicznych. Spodziewamy się, że władze nasze rządowe i autonomiczne nie zmarnowały tej sposobności i techniczne organa bez specyalnej inicyatywy przygotowały należyty materyał obserwacyjny; a szkoda, że na ostatniem posiedzeniu komisyi regulacyi rzek, sprawie zeszłorocznej powodzi poświęcono tak mało uwagi, mimo, że z natury rzeczy było to bardzo wdzięczne pole do dyskusyi.

Obmyślenie należytych środków ochrony przed wylewami jest rzeczą niesłychanej wagi i nie dającą się załatwić ani dorywczo, ani opracowaćjako referat urzędowy, w którym decyduje jednostronne zapatrywanie szefa biura. Przykładem akcya około ubezpieczenia przed wylewami bardzo kosztownych gruntów nad średnią Loarą we Francyi. Po powodziach w r. 1846 i 1856 projektowała dyrekcya okręgowa robót publ. w St. Etienne szereg robót melioracyjnych celem obni-

żenia fali w rzece głównej przez zatrzymanie pewnej części wielkiej wody w górnych częściach dorzecza. Po powodzi w r. 1866 rząd nie ufając pierwotnemu projektowi, powołał do życia t. zw. komisyę r. 1867, która miała obmyśleć sposoby racyonalnego zabezpieczenia gruntów przed wielką wodą, komisya ta na podstawie nowszych doświadczeń i obserwacyj zarzuciła pierwotny projekt urzędowy, polecając wykonywanie miejscowych ubezpieczeń zapomocą specyalnego systemu wałów. Przykład ten wskazuje, jak konieczna jest ostrożność przy akcyi tego rodzaju i uzasadnia pewną nieufność, jaką mamy do jednostronnie badanych robót organów urzędowych, które nie uznając obcej krytyki, grzeszą same jednostronnością i szablonem.

Przypominamy sprawę budowy zbiorników na niektórych rzekach karpackich, które w myśl ustawy z r. 1907 budowane być mają z funduszów publicznych, jako roboty melioracyjne, aby magazynować znaczne ilości wody powodziowej, a komisya regulacyi rzek przyjęła wieść o budowie tych zbiorników z wielkim lecz bezkrytycznym zapałem. Otóż doświadczenie porobione tak w najbliższych nam Niemczech, jak i Ameryce wskazują, że zbiorniki mają racyę, o ile służą celom przemysłowym jako akumulatory siły wodnej, lub dla zaopatrzenia gmin w wodę — a to nie usprawiedliwia jeszcze angażowania funduszów melioracyjnych wzgl. przeznaczonych na regulacyę rzek dobudowy tego rodzaju objektów, które nie leżą zupełnie w interesie ogółu. Zapomina się przytem, że zbiorniki nie zawsze mogą zmniejszyć wezbranie i o ile zajdą warunki meteorologiczne, podobnie niekorzystne jak w roku ubiegłym, mogą wywołać nawet pogorszenie stosunków, powtórny bowiem deszcz natrafia napełnione zbiorniki i wysoki, opóźniony odpływ w rzece z pierwszego deszczu, zbiornik wywołuje więc przy powtórnych i w krótkich odstępach powtarzających się deszczach wyższą falę niż przy szybkim odpływie bez zbiornika; zaś w razie pęknięcia zbiornika — a wypadki tego rodzaju powtarzają się w ostatnich latach dość często — grozi okolicom poniżej zbiornika straszna katastrofa nagłej powodzi objętościami wody, które tysiąckrotnie przewyższają najwyższe wezbrania z deszczów katastrofalnych.

Wkrótce ma rząd przystąpić do budowy takiego zbiornika w Porąbce, zamykając przewałem całą Sołę (!) na podstawie planów, opracowanych przez jednego tylko — zresztą bardzo zdolnego

inżyniera, a i zbadanie i przestudyowanie całego projektu załatwia odnośny referent jak zwykły kawałek urzędowy.

Sprawiedliwość nakazuje jednak przyznać, że w ostatniem dziesięcioleciu postąpiły roboty regulacyjne w Galicyi do tego stopnia, iż mimo wszystko, w szeregu krajów koronnych pod względem gospodarstwa wodnego nie stoimy na szarym końcu, — mogłoby być wprawdzie lepiej, lecz i tak zdziałano wiele, a i postęp jest coraz większy.

Prócz regulacyi rzek i potoków, oraz stopniowo rozwijających się robót około zalesienia nagich stoków górskich, przynosi nam prawdziwą chlubę obwałowanie powiśla celem ochrony przed wylewami. Obwałowano już całą galicyjską Wisłę od Krakowa w dół, oraz dolne biegi wszystkich jej dopływów, wkrótce zaś przystąpi kraj do obustronnego obwałowania Wisły powyżej Krakowa.

Powyższe nie bardzo pochlebne uwagi pod adresem rządu podajemy dalecy od posądzenia referentów rodaków i naszych posłów o złą wolę, niechęć lub obojętność. Najlepsze chęci rozbijają się nieraz o opór czynników decydujących, nam obcych, którym też interes kraju zupełnie na sercu nie leży. Dlatego też przedewszystkiem starać się należy o odpowiednią ilość urzędników ministeryalnych z Galicyi, których w Wiedniu tak mało. Zrozumiał to minister robót publicznych pan Trnka, więc też w czasie swych 3-letnich rządów ruguje coraz więcej Niemców ze swego ministerstwa, obsadzając departamenta Czechami, których powołuje, postępując przytem z całą właściwą swemu narodowi bezwzględnością. A właśnie w najważniejszych dla nas ministerstwach handlu i robót publicznych jest nasz kraj bardzo słabo reprezentowany, bo najwyżej V rangą (2 w min. handlu i 2 tytul. V rangi w min. robót publ.) Swoją drogą potrzeby Galicyi traktuje pan Trnka z całą życzliwością, zato na postępowanie ministerstwa handlu z Galicyą niema wprost słów oburzenia.

* * *

Na zakończenie wypada kilka słów poświęcić robotom ochronnym pod Krakowem — postępują one wolno, prowadzone przez dwa osobne urzędy, namiestnictwo i dyrekcyę dróg wodnych. Najlepsze chęci i energię inżynierów hamuje wolny tok postępowania urzędowego i ciężkie funkcyonowanie machiny biurokratycznej, krępując inżyniera całym szeregiem przepisów i czczych formułek. Grunta zajęte i wywłaszczone w r. 1909 pod roboty kierownictwa

regulacyi Wisły (Namiestnictwa) zostały dopiero w bieżącym roku wykupione. Wadliwe postępowanie i odwoływanie niektórych ustępów, już prawomocnych orzeczeń przez Namiestnictwo[1]) naraża strony i fundusz budowy na wydatki i daje powód do niepochlebnych a niestety usprawiedliwionych uwag o naszej administracyi. Jak wszystko w Austryi tak też i roboty ochronne załatwia się połowicznie, po przełożeniu Rudawy w nowe koryto zasklepiono dolną część starej Rudawy od ulicy Żabiej do Wisły, górna zaś część wzdłuż Błoń i parku Jordana pozostaje jako otwarty rów bagnisty. Należy więc energicznie domagać się przyspieszenia robót i zasklepienia starej Rudawy od ul. Żabiej w górę, co wpłynie znacznie na sanacyę całego obszaru tej najpiękniejszej części Krakowa i usunie także roje komarów z parku i Błoń. *X. X.*

Towarzystwa naukowe i literackie w r. ub.

(Dokończenie).

Zabór pruski.

Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie doprowadziło przedewszystkiem do końca budowę gmachu własnego, czego dokonanie przedstawiało w stosunkach tamtejszych poważne trudności. Chodziło bowiem nie tylko o to, ażeby wystawić gmach, odpowiedni do przechowywania zbiorów naukowych, lecz także o wystawienie budynku, któryby przysporzył Tow. dochodów, a zarazem mógł stanowić stałą i silną podwalinę finansów Tow. Z tego podwójnego punktu widzenia wychodząc, rozwiązano sprawę pomyślnie. Koszta budowy wynosiły 351.615 marek, do której to sumy przyczyniło się społeczeństwo kwotą, przenoszącą 100.000 mk. tytułem pożyczki bezprocentowej. Wszelako pomimo uzyskania własnego domu nie dopięto jeszcze celu właściwego, skoro *T. P. N. P.* jest zmuszone odnajmować ubikacye piętrowe domu frontowego, skutkiem czego zbiory nie znalazły zupełnego i odpowiedniego pomieszczenia w nowych ubikacyach. Większa część pięknych zbiorów historycznych, dotąd należycie nieuporządkowana, ponieważ miejsca brak dla nich. Wszystkie zaś zbiory powiększają się, a stąd powstaje konieczność postarania się o nowe

[1]) Fakt autentyczny; chodziło o zajęcie pewnej części parku jednego z pałaców w Dębnikach.

pomieszczenie. Rezultat finansowy całego dzieła uwydatnia się w tem, iż po pokryciu wszystkich wydatków, spowodowanych budową, rozporządza jeszcze Tow. gotówką i efektami w sumie 101.879 marek, czyli, że równowaga finansowa Tow. nie została zachwiana.

A przecież!... Jakkolwiek rozmieszczenie zbiorów nie było takie, jakiego należało spodziewać się, przecież wydano nowy katalog galeryi obrazów w opracowaniu dra B. Erzepkiego, który też przygotował do druku katalog zbiorów numizmatycznych Tow. Co się tyczy zbiorów rękopisów, bardzo bogatego i cennego, jest on dotąd tylko częściowo skatalogowany. Walnym też zabytkiem było pozyskanie zbiorów *Tow. ludoznawczego*, mających wysoką wartość naukową, chociaż trzebaby koniecznie ułożyć jakoś stosunek prawny obydwu stowarzyszeń.

Działalność wydawnicza *T. P. N. P.* obracała się w ramach skromnych. Oprócz bowiem „*Rocznika*“ ogłoszono jedynie dzieło ks. Okoniewskiego, dotyczące tekstów Pisma św., tłumaczonych przez Skargę, ku upamiętnieniu 300-nej rocznicy zgonu polskiego Jeremiasza.

Posiedzeń naukowych ogólnych urządzono trzy z odczytami: ś. p. ks. dra Warmińskiego „O Fryczu Modrzewskim“, dra M. Sobeskiego „O estetyce tragedyi“ oraz „Krasiński i Cieszkowski“. Wskrzeszono wreszcie wydział prawniczo-ekonomiczny. Członków liczono 500 z górą.

Co się tyczy konserwacyi zbiorów — podnieść należy, iż uczyniono zadość potrzebom: zbioru archeologicznego, rękopisów, archiwaliów i galeryi obrazów oraz zabytków sztuki i rzeczy pamiątkowych, przenosząc je do nowych lokalności, urządzonych zgodnie z wymaganiem nowoczesnej muzeologii. Bogaty zbiór starożytności przeddziejowych hr. Z. Węsierskiego-Kwileckiego, umieszczony obecnie jako osobny depozyt w gabinecie archeologicznym Tow., obejmuje blizko 3.000 różnego rodzaju wykopalisk, pochodzących wyłącznie z terytoryum W. Ks. Poznańskiego, stanowi razem z depozytem ś. p. Wł. Jażdżewskiego osobne, a niezmiernie ważne i cenne źródło dla badacza stosunków przedhistorycznych dzielnicy wielkopolskiej. Rękopisy i archiwalia wzbogaciły się niepomiernie wcieleniem do tego działu archiwum familijnego XX. Sułkowskich z Rydzyny. Dość powiedzieć, że na przywiezienie jego do Poznania trzeba było użyć osobnego wagonu kolejowego. Nad uporządkowaniem i urządzeniem archiwaliów rydzyńskich pracowano nieprzerwanie z górą ośm miesięcy. W archi-

wum tem mieszczą się pierwszorzędnej wartości materyały do kultury i dziejów polskich z drugiej połowy XVIII wieku.

Z pomiędzy nowych nabytków wymieniamy: w dziale rękopiśmiennym: akta cechu kuśnierskiego w Kobylinie z lat 1555 i 1662, zbiór aktów, odnoszących się do miasta Pobiedziska. Ogólny przyrost zatem przedstawia się w cyfrach następujących: biblioteka 3472 numerów, rękopisy i archiwalia 32, obrazów 21, rzeźb 13, rycin 12, zabytków sztuki i pamiątkowych 27, numizmatów 783, pieczęci 2, przedmiotów archeologicznych 329, t. j. razem 4.691 numerów. Zbiory przyrodnicze wzbogaciły się glonami i grzybami wszystkich ziem polskich, ofiarowanymi przez prof. dra M. Racibowskiego i 3020 gatunkami chrząszczy polskich, ofiarowanymi przez Komisyę fizyograficzną Akademii Umiejętności krakowskiej.

Wydział historyczno-literacki: z pomiędzy odczytów wymieniamy: dra Stan. Karwowskiego „O biskupach poznańskich z XII-go i połowy XIII-go wieku", M. Rawity-Witanowskiego Wielkopolskie miasto „Koło;" jego przeszłość i pamiątki i K. Ruciński ego „O ratuszu w Poznaniu".

Wydział lekarski liczył 126 członków czynnych, 5 honorowych i 22 korespondentów. Ogółem odbyło się 16 posiedzeń, na których wygłoszono rozmaite odczyty, nadto prawie na każdem posiedzeniu przedstawiano chorych i pokazywano preparaty patologiczne. Wykładów wygłoszono 20, demonstracyi przeprowadzono 39, nie wliczając w to pojedynczych demonstracyi na wieczorach klinicznych.

Wydział przyrodników liczył członków 75.

Wydział prawniczo-ekonomiczny liczył 103 członków.

Plon pracy tego wydziału jak na niewesołe stosunki, panujące w Poznańskiem, wprost wspaniały. Tem większa zasługa tych niestrudzonych pracowników, którzy do jego uzyskania przyczynili się!

O sile żywotnej narodu naszego nic chyba tak wymownie zaświadczyć nie byłoby w stanie, jak odporność nasza pod zaborem pruskim. A jednak i tam, gdzie główną masę energii musimy zużywać na walkę codzienną, wytrwałą, a żmudną z tymi, których celem wymazanie nas z liczby narodów żyjących, duch polski tworzy w warunkach najcięższych, ale tworzy w mękach, na urągowisko wszelkich ustaw wyjątkowych.

A oto niechaj za podpisanego zaświadczy czcigodny ks. Kujot, którego przepraszam najmocniej za zużytkowanie na tem miejscu jego listu prywatnego, pisanego do mnie 31 marca b. r.:

„*Towarzystwa naukowego toruńskiego* byt materyalny staramy się oprzeć na szerokiej masie ludzi, już nie literacko wykształconych, lecz inteligencyi zachodnio-pruskiej, na pierwszem zaś miejscu na duchowieństwie naszem. Inaczej towarzystwo nie zdołałoby się utrzymać, gdyż subwencyi żadnej nie spodziewamy się. Może takie wciąganie wielu jest pożyteczne, gdyż zdaniem mojem, przybliża pracę Towarzystwa do wielu, którzy w innym razie, przy zatrudnieniach swoich, nie czuliby potrzeby zaznajomienia się z nią i brać w niej jaki taki udział — choćby złożeniem wykopaliska lub wyrobu przemysłu domowego w zbiorach.

„Mimo to ubóstwo nasze ujawnia się właśnie w zbiorach tych, nie tyle w drukach. Albowiem brak nam 1) kogoś, któryby spełniał obowiązki kustosza. Jest sekretarzem i bibliotekarzem lekarz-specyalista dr. Steinborn, bardzo chętny i czynny, lecz bądź co bądź zajęty w zawodzie swoim, wieczorem robiący badania bakteryologiczne, zatem mało mogący poświęcić czasu na porządkowanie tego, co jest, i na wyszukiwanie, wydobywanie nowych nabytków, 2) lokal nasz jest zbyt szczupły (dwa pokoje na piętrze), pod nim restauracya, sala wynajmowana na zebrania i t. d. Sumienie zakazuje mi starać się n. p. o archiwalia, gdyż lada nieporządek, nieuwaga służby może dom cały, z nim zbiory, z dymem puścić.

„Bez tej restauracyi zaś i sali, kamienica nie oprocentuje kapitału, choć i my płacimy 700 marek dzierżawy. Tyle, że nam nikt mieszkania nie wypowiada, gdyż kamienica jest własnością polskiej spółki akcyjnej. A jednak żyjemy i prosiłbym o kłopocie tym nie wspominać, przynajmniej nie zrażać się nim...“

A jednak!... Sumienie moje, jako publicysty, oparło się życzeniu ks. Kujota. Bo i jakżesz tu zamilczeć o tem, skoro rezultaty pracy zeszłorocznej stowarzyszenia, pracującego w tak wyjątkowych warunkach, są zadziwiająco dodatnie, o czem jednak niechaj zaświadczą suche cyfry.

Otóż członków liczyło Tow. 536, t. j. cyfrę grubo przewyższającą przeciętną ilość członków stowarzyszeń naukowych galicyjskich. Dochód z wkładek członków wynosił 3.220 mk., z kapitału członków dożywotnich 168, z procentu 549, co daje z pominięciem wpływów drobniejszych 3.984 marek. Z tego wydatkowano na druki, komorne, i inne drobne 2.604 mk., tak, że stan kasowy 1. I. 1914 r. przedstawia 1.380 mk. zapasu.

W r. ub. wydano: „*Rocznika*“ tom XIX. „*Zapisków*“ nr. 5—8,

„*Fontes*“ tom XVI, zawierający początek historyi kościelnej archidyakonatu pomorskiego czyli gdańskiego, napisanej przez przeora Schwengel z Kartuz pod Gdańskiem. Wydania tego dokonał ks. prof. dr. Czapla z Pelplina.

Moc pieniędzy wyrzuca się u nas na cele nieproduktywne zgoła. Kiedyś mieliśmy mecenasów nauki. Dzisiaj rzadko kiedy o nich można usłyszeć. Radbym, gdyby mój apel o przyjście z pomocą materyalną T o w. t o r u ń s k i e m u nie pozostał bez odgłosu. Miejcie patryotyzm ci, co was stać na pomoc materyalną w c z y n a c h!...

Obczyzna.

Związek polski lekarzy i przyrodników w Petersburgu dobiegł pięciu lat istnienia. Na kilka lat przed utworzeniem „Związku“ zgrupowali się już petersburscy lekarze-Polacy celem pracy naukowej w „Koło lekarzy Towarzystwa Dobroczynności przy kościele św. Katarzyny“. Dopiero jednak od maja 1907 roku powiodło się po długich staraniach i pokonaniu wielkich trudności uzyskać zezwolenie na zawiązanie zupełnie samoistnego stowarzyszenia przyrodniczo-lekarskiego o szerokim zakresie naukowym i społeczno-hygienicznym. Obecnie istnieje w „Związku“ 5 wydziałów: przyrodniczy, lekarski, techniczny, farmaceutyczny i odontologiczny. Dotychczas odbyło 62 posiedzeń, na których wygłoszono 110 wykładów. Liczba członków rzeczywistych doszła do 456, korespondentów 22, członków honorowych jest 6. Majątek „Związku“ wynosi 1760 rb., fundusz szpitalny 6.000 rb. Zasługa w tem niemała prof. dra Józefa Ziemackiego, którego energii zawdzięcza „Związek“ dotychczasowy swój rozwój wprost nadspodziewany. Osobnem uroczystem piedzeniem uczczono pamięć znakomitego matematyka prof. Jana Ptaszyckiego, na którem przemawiali: prof. Zaleski, prof. Merczyng, doc. L. Staniewicz, prof. Sochocki, prcf. W. Staniewicz, prof. Ziemacki oraz pp. Rostkowski i Charłowski.

* * *

Ba!... Nawet z Ameryki dochodzi nas wiadomość o dwu stowarzyszeniach lekarskich polskich!... A oto ustęp z korespondencyi, pomieszczonej w krakowskim „*Przeglądzie lekarskim*“:

„Wielu prawdopodobnie zadziwi, że w nieznanem, dalekiem Detroit istnieje *Towarzystwo lekarzy polskich*!

„Nim jednak rozpocznę o naszem Towarzystwie, skreślę kilka słów o samem Detroit, siedzibie naszej. Miasto to leży przy jeziorze Erie i St. Clair, na granicy Kanady w stanie Michigan; mieszkańców liczy blizko 600.000, w tej liczbie 90.000 Polaków. Lekarzy polskich mamy blizko 20. W Detroit jest kilka drobnych szpitali, których zarząd spoczywa w rękach lekarzy — amerykanów lecz już w marcu otwotrzy swe podwoję nowy szpital „Samaritan Hospital" — w którym będzie trzech dyrektorów Polaków, a mianowicie dr. E. Koneczny, dr. S. Lachajewski i dr. B. Pasternacki; jednym z lekarzy miejskich jest także Polak dr. Przybyłowski... *Tow. lekarzy polskich* w Detroit zostało założone prawie rok temu. Po uprzedniem porozumieniu się zebrało się na pierwsze posiedzenie zaledwie 6 lekarzy. Nie zrażeni, zawiązali oni Towarzystwo i obrali zarząd... przyjęto ustawę, opracowaną na wzór Tow. lekarzy polskich w Chicago oraz zasady etyki lekarskiej, obowiązujące w „*American Medical Association*".

Dorobek pierwszego roku działalności Tow. przedstawia się wcale nieźle: liczba członków wzrosła do 12, wygłoszono kilkanaście referatów naukowych. Również zawiązano ściślejsze stosunki z *Tow. lek. polskich* w Chicago. Na jednem z posiedzeń w Chicago, gdzie było obecnych dwóch delegatów Tow., utworzono Komitet dla zorganizowania *Tow. lek. polsk. w Ameryce*. Jest tedy nadzieja, że powołane do życia nowe stowarzyszenie przyczyni się wielce do zbliżenia się kolegów, rozrzuconych po wszystkich stanach Unii, a zarazem zakrzewi między lekarzami polskimi ducha przyjaźni, jedności i etyki zawodowej.

O innych stowarzyszeniach naukowych polskich w Ameryce niepodobna dzisiaj nawet marzyć z powodów aż nazbyt znanych dokładnie wszystkim. Kto wie jednakowoż, czy oba wspomniane nie dadzą bodźca w tej mierze?...

* * *

Rok ubiegły należy w życiu naszych towarzystw naukowych do lat natury bardzo wyjątkowej.

Społeczeństwo polskie skierowało całą swoją uwagę na szersze widnokręgi, dusza polska przechodziła istną Gehennę nadziei i rozpaczy. Wydarzenia bałkańskie dawały podstawę do nowych horoskopów i dążeń, mających na celu odzyskanie samodzielnego bytu narodowego w postaci niezawisłego państwa polskiego.

Każdy kto czuł się Polakiem, marzył o tem, że może za dzień, za dwa, nadejdzie chwila, w której dotychczasowy oręż pracy narodowej zamienić będzie trzeba na bardziej realny. Ktokolwiek śledził rozwój wszystkich stowarzyszeń naukowych w ostatnich miesiącach ub. r., zauważył niechybnie zmianę pewną charakterystyczną, jaka dotąd nigdy nie bywała. Niektóre z nich musiały niejako wstrzymać oddech, bo... wszyscy myśleli o jawnem... o pogotowiu orężnem.

Na nasze nieszczęście — oczekiwanie to spełzło na niczem, skoro nie było nam dane „uderzyć w czynów stal".

Dr. Stanisław Zdziarski.

Jeszcze w sprawie artykułu o edykcie medyolańskim.

Przewielebny Księże Redaktorze!

W książce mej „*Konstantyn Wielki*", Poznań 1913, w przypisku 1-szym, na str. 82 zająłem stanowisko wobec rozprawy p. prof. dr. Władysława Abrahama p. t. „*Edykt Medyolański*", drukowanej w zeszycie lipcowym 1913 r. „*Przeglądu Powszechnego*", tudzież wydanej w osobnej odbitce. Pisałem, co następuje: „Ogólnie dotąd przyjęta nazwa „Edykt Medyolański" nie jest właściwą. Pismo cesarskie było reskryptem i takie też przysługuje mu określenie. Dawnego określenia używa jeszcze prof. dr. Władysław Abraham, Edykt Medyolański, Kraków 1913. Praca ta zupełnie nie uwzględnia nowszej literatury przedmiotu".

W liście do redakcyi „Przeglądu Powszechnego" p. t. „*W sprawie artykułu o edykcie medyolańskim*", drukowanym w zeszycie kwietniowym b. r. broni p. prof. dr. Abraham wyrażenia „*edykt*" Medyolański i twierdzi, że w wyżej wspomnianej swej pracy dostatecznie uwzględnił nowszą literaturę.

Dla wyświetlenia i w naszej literaturze tak ciekawej i aktualnej kwestyi naukowej, proszę jak najuprzejmiej Szanowną Redakcyę o łaskawe umieszczenie niniejszej odpowiedzi na list p. prof. dr. Abrahama.

1. Określenie rozporządzenia medyolańskiego cesarza Konstantyna i Licyniusza z r. 313 mianem reskryptu nie należy już dzisiaj do rzędu mniej lub więcej zręcznie zbudowanych hipotez naukowych. Dowody są tak silne, że w literaturze historycznej z całą pewnością zaniknie dotychczasowe określenie „edykt Medyolański".

Dowody nie wychodzą bynajmniej z założenia, jak przypuszcza p. prof. dr. Abraham, że tekst Euzebiusza jest właśnie tekstem aktu medyolańskiego. Tych samych silnych dowodów dostarcza również *Lactancyusz*, zdaniem p. prof. dr. Abrahama więcej zbliżony do oryginalnego łacińskiego tekstu aktu medyolańskiego.

Dowodu, że określenie „*edykt* Medyolański' jest mylnem, nie dostarczył ani Sezan w swej książce „*Kirche und Staat im römisch-byzantynischen Reiche...*" Czerniowce 1911, ani Wittig w swej pracy „*Das Toleranzreskript von Mailand* 313," wydanej w zbiorowem dziele dr. Dölgera „*Konstantin der Grosse und seine Zeit...*" Fryburg 1913. Nie ta też rozprawa była w tej kwestyi źródłem mej oryentacyi, jak przypuszcza p. prof. dr. Abraham. Cytowałem ją w swej książce, pisząc o *reskrypcie* Medyolańskim, ponieważ jest najnowszą publikacyą i podaje zestawienie odnośnej literatury aż do ostatniej chwili. Nawiasem dodaję, że znałem

i uwzględniłem w swej książce również wyżej wspomnianą pracę Sezana. Cytowałem ją między innemi na tej samej str. 82, w przypisku 3-cim, czego widocznie p. prof. dr. Abraham nie zauważył.

Kwestyę o nomenklaturę rozporządzenia medyolańskiego podniósł pierwszy Otto Seeck już w r. 1891, a polemizował z nim w r. 1892 Görres, który już wówczas przyznać musiał, że akt medyolański nie jest edyktem cesarskim, chociaż dla zachowania tradycyi oświadczył się za dotychczasową nazwą. Stanowisko z pewnością nienaukowe. — Streszczenie tej polemiki podaje Wittig l. c. str. 46—48.

Akt medyolański Konstantyna i Licyniusza z r. 313 należy niewątpliwie do kategoryi ogólnie obowiązujących praw rzymskich: *leges, constitutiones generales*. Otóż historya prawa rzymskiego uznaje, że tego rodzaju prawa powszechne, zwłaszcza od czasów przełomowych reform Dyoklecyana, a więcej jeszcze Konstantyna, od czasów świadomego zrywania z wszelką formą dawnych czasów republikańskich i coraz wyraźniejszego kształtowania się monarchii absolutnej, wydawano coraz mniej w formie właściwych edyktów. Pojawiają się natomiast rozporządzenia powszechne, pozbawione wprawdzie zwykłej dotąd, tradycyonalnej formuły wstępnej, edyktom dawnym właściwej, ale tak jak edykty, zwracające się wprost do ogółu lub do znacznej jego części. Stąd i tym rozporządzeniom nadaćby można jeszcze nazwę edyktów.

Przecież *akt medyolański*, ani według tekstu greckiego Euzebiusza, ani według łacińskiego Laktancyusza, form tych nie posiada.

Constitutiones, leges generales wydawali cesarze coraz częściej w formie rozporządzeń, których edyktami nazwać już nie można i nie wolno. Otto Karlowa w swej „*Römische Rechtsgeschichte*", Lipsk 1885—1901, tak streszcza wyniki odnośnych badań naukowych: „*Daneben gibt er noch zahlreiche leges generales, welche an einen hohen Rechtsbeamten, in dessen Ressort der betreffende Gegenstand fällt, gerichtet sind, mit dem Auftrage, für den Vollzug und die Bekanntmachung zu sorgen. Ein edictum auch im dem späteren Sinne ist dies kaum, da die Kaiser sich nicht unmittelbahr an diejenigen, welche sich danach richten sollen wenden; aber es ist ebenfalls eine Verfügung, welche vim edicti hat. Die eigentlichen kaiserlichen edicta bedurften unzweifehlhaft keiner besonderen Publikation durch die hohen Beamten, sie wurden ohne weiteres öffentlich ausgehängt, zufolge des in der subscriptis enthältenen Befehles. Dagegen die Erlasse an die Beamten bedurften der Publikation durch ein Edikt der betreffenden Beamten*". (l. c. t. I. str. 939)

Otóż akt medyolański z r. 313 tę właśnie formę posiada.

a). Prawodawcy zwracają się nie do ogółu, lecz do swego urzędnika,

b). wydają rozporządzenie, ażeby urzędnik postarał się o publikacyę i o wykonanie ich woli.

Świadczy o tem akt grecki Euzebiusza tak samo jak łaciński Laktancyusza.

Przyznaję p. prof. dr. Abrahamowi, że wyrażenie „edykt Medyolański" jest nazwą, w literaturze naukowej aż do połowy 1913 r. prawie stale używaną, lecz przyznać nie mogę że nazwa ta odpowiada rzeczywistości.

A więc nie edykt lecz reskrypt Medyolański.

1. Nie krytykowałem w swej książce stanowiska p. prof. dr. Abrahama do kwestyi, który z tekstów, czy grecki Euzebiusza czy łaciński Laktancyusza oddaje rozporządzenie cesarskie z r. 313. W sprawie nomenklatury nie odgrywa to, jak zaznaczyłem, żadnej roli. Nie rozumiem przeto w liście p. prof. dr. Abrahama obszerniejszego traktowania tego właśnie przedmiotu.

Do rzeczy samej nadmieniam, że byłem i jestem zdania odmiennego, że w tym punkcie źródłem mej oryentacyi była znakomita praca W i t t i g a.

3. W uwadze swej o pracy p. prof. dr. A b r a h a m a zaznaczyłem, że nie uwzględnia zupełnie nowszej literatury przedmiotu. Uwagę tę podtrzymuję i dzisiaj z całą świadomością, boć przecież cytowane w artykule prace, a choćby i trzy z ostatnich lat nawet, nie są zupełnem uwzględnieniem nowszej literatury przedmiotu. W artykule p. prof.dr. A b r a h a m a śladu niema prac nowszych włoskich a przedewszystkiem francuskich, choćby tylko epokowego w tej dziedzinie dzieła J. M a u r i c e'a *Numismatique Constantinienne*, które stało się niezbędnem w niejasnej przedtem kwestyi chronologii oraz zrozumienia polityki Konstantyna. Niejedną kwestyę byłby p. prof. dr. A b r a h a m zgodnie z temi właśnie, niestety nieuwzględnionemi badaniami, w swym artykule w innem przedstawił świetle. — P. prof. dr. A b r a h a m przyznaje zresztą, że artykuł jego miał na celu jedynie skreślenie ogólnego poglądu owej wielkiej chwili dziejowej w r. 313 i że z tego powodu nie powoływał wcale obszernej biografii przedmiotu, lecz ograniczył się na kilku najskromniejszych cytatach.

Odpowiedzią niniejszą chciałem, jak zaznaczyłem, wyświetlić i w naszej literaturze ciekawą i aktualną kwestyę naukową, a niemniej stwierdzić, że wobec drobnej nawet i przygodnej pracy uczonego tej miary i zasług jak p. prof. dr. A b r a h a m nie ośmieliłem się podnieść zarzut lekkomyślnie i bez uzasadnienia.

Poznań, dnia 23 kwietnia 1914.

Ks. Arkadyusz Lisiecki.

Przewielebny Księże Redaktorze!

Nie podzielam wcale zapatrywania X. L i s i e c k i e g o o doniosłości zagadnienia „Edykt czy Reskrypt medyolański", sprawa ta bowiem, o ile się z nią nie łączy kwestya tekstu aktu, jest dość obojętną dla ocenienia polityki ustawodawczej Konstantyna W. wobec Chrześcian, gdyż edykt i reskrypt, jak wiadomo nawet i bez cytatów z K a r l o w y, jednakowo obowiązywały. Budzić ona może chyba pewien interes ze względu na ustalenie nazwy i formalną stronę postanowień cesarzy rzymskich, ponieważ jednak zostałem wyzwany i jestem w dalszym ciągu atakowanym, przeto przepraszając Szanowną Redakcyę za nadużywanie Jej pisma do nieproduktywnej polemiki raz jeszcze głos zabieram, starając się być jak najbardziej zwięzłym.

Nie chcę wprawdzie pomawiać X. L i s i e c k i e g o, którego cenię jako pełnego zapału naukowego a przytem wykształconego autora, o zbyt powierzchowne traktowanie rzeczy, lecz dziwię się niepomiernie, że w polemice swej powołuje się na Seecka. Argument to bardzo nieszczęśliwy, S e e c k przecież, jakkolwiek uznał oba akty odnoszące się do postanowień medyolańskich podane u Laktancyusza i Euzebiusza za reskrypt, poczytywał je jednak za reskrypt w Nikomedyi, przez Liciniusza wydany, a nigdy i nigdzie nie twierdził, jakoby kiedykolwiek istniał reskrypt „medyolański", bo przeczył wogóle istnieniu jakiegoś aktu medyolańskiego. (Jego słowa: *„so darf man es künftig nicht mehr das Edikt von Mailand, sondern nur den Erlass von N i k o m e d i a nennen" Zeitschr. f. Kirchengesch. XII.386).* Tak też powszechnie jego wystąpienie zrozumiała nauka i ja w mym krótkim artykule poświęciłem tej sprawie aż dwie stronice, kończąc je słowami uwydatniającemi moje przeciwne stanowisko: „Historya może więc w każdym razie mówić o edykcie medyolańskim, chociaż znanym jest tylko reskrypt z Nikomedyi". Kwestya edyktu i reskryptu byłaby bardzo prostą, gdyby był znany akt z datą medyolańską, ale takiego nie ma, trzeba tedy naprzód dowieść, że któryś ze znanych reskryptów jest właśnie tym aktem. Pomysł o reskrypcie „medyolańskim" jest więc niepodzielną

własnością Wittiga, który, podobnie jak Sesan, uznał akt podany u Euzebiusza za przetłumaczony akt medyolański i na tej podstawie dopiero, w której tkwi główne zagadnienie, wnioskując logicznie, sformułował swe zdanie o reskrypcie medyolańskim. Jak się wobec tego pomysłu, który poważne nasuwa wątpliwości, zachowa krytyka naukowa, zobaczymy w przyszłości; dowody Sesana niezbyt ją zachwyciły i ja też w poprzedniej odpowiedzi mojej, nie twierdząc wcale, jakoby X. Lisiecki pracy Sesana nie znał, podniosłem tylko, że tych głosów krytyki o pracy Sesana, kiedy występował z zarzutem przeciw mnie, nie uwzględnił. Ponieważ jednak o owem odkryciu Wittiga, jak już wykazałem, mogłem się dowiedzieć dopiero po wydrukowaniu mego artykułu, przeto mnie ono nieobowiązywało i dla tego też zarzut, że w artykule mym nie użyłem tytułu „Reskrypt medyolański", uważam, co mi X. Lisiecki wybaczyć zechce, jako zgoła bezpodstawny.

Zarzut drugi na temat nieuwzględnienia nowszej literatury, osłabił faktycznie sam X. Lisiecki, jakkolwiej go formalnie dalej podtrzymuje. Wyłączył już bowiem literaturę niemiecką, a gdy ja w mym artykule powołałem także ważną francuską pracę Cumonta, którego za to X. Lisiecki pominął, tak jak obaj znowu niczacytowaliśmy polskiej pracy Dra Pawłowskiego: „*Wpływ chrześcijaństwa na prawodawstwo Konstantyna W.*", Stanisławów 1907, przeto może i w tym względzie zarzut ów swe ostrze straci. Z przedstawienia tego zarzutu w powyższem piśmie X. Lisieckiego mógłby ktoś wnosić, że nowsza literatura włoska lub francuska, chociażby od r. 1900 jest tak bardzo bogatą w badania nad dziejami Konstantyna W. Tymczasem sam X. Lisiecki w swej książce powołał z nowszej literatury włoskiej tylko dwie prace, jedną o Konstantynie W., która nie wiele przynosi i drugą o córce Konstantyna W., pominął zaś zupełnie studya archeologiczne Maruchiego, a z francuskiej oprócz rzeczywiście cennych prac Maurice'a tylko jedną o św. Helenie, której sam odmawia wartości naukowej, inne zaś trzy nowsze francuskie prace w jego przypiskach powołane, odnoszące się n. p. do kultu celtyckiego lub do Kościoła w Afryce, nie pozostają w żadnym związku z zakresem mego artykułu. Z tego wszystkiego pozostaje więc tylko jeden Maurice, który dla mego poglądowego artykułu jedynie, uboczne mógł mieć znaczenie. Pisząc moją okolicznościową drobną pracę w której z zasady cytatów unikałem, starałem się jednak wszystko co ważniejsze z literatury przejrzeć; być może, że na jakieś szczegóły nieistotne nie zwróciłem dostatecznej uwagi, ale o ile o moje poglądy chodzi, wszystko co napisałem, posiadało swe uzasadnienie, chociaż się nawet z którąś z prac wybitniejszych nie zgadza. Chciałem bowiem w mój artykuł wnieść także nieco własnego sądu i kusiłem się tu i owdzie o oryginalne ujęcie rzeczy. I wobec żadnej z prac dotąd ogłoszonych, nie wyjmując Maurice'a, nie poczuwam się do obowiązku cofać czy zmieniać mojej charakterystyki Konstantyna W. albo ocenienia jego stanowiska i postępowania wobec chrześcijaństwa i dawnego urzędowego kultu, albo też zapatrywań na cele aktu medyolańskiego i jego znaczenie w dziejach Kościoła.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku

Prof. Dr. Władysław Abraham.

Na tem kończymy polemikę.

Redakcya.

Druk ukończono dnia 13-go maja 1914

Wyodrębnienie Galicyi.[1]

Monarchia austro-węgierska składa się z krajów i ludów o tak różnorodnej ewolucyi dziejowej, że nigdy nie zdołano utrzymać w niej centralizmu w rozciągłości, właściwej wielu państwom więcej jednolitym. Nie brakło bynajmniej prób w tym kierunku, bo prąd dośrodkowy pojawia się w Austryi już w pierwszej połowie XVII. wieku, a więc niemal równocześnie z polityką Richelieu'go we Francyi, trwa zaś w pewnym stopniu i dziś jeszcze. Lecz każdy okres większego wysiłku ujednostajnienia, kończy się odwrotem i klęską tej idei, natrafiającej na niezwyciężony opór. W Austryi bowiem główną przeszkodę dla centralizacyi nie stanowią przywileje feudalne, lecz różnice kulturalne i narodowe, stąd też centralizacya jest jednoznaczną z germanizacyą ludów nie niemieckich, gdyż dopiero na podwalinach jedności narodowej można było zbudować jednolity system państwowy. Do walki występuje poczucie narodowe i grupa zasad prawno-politycznych, nic przeto dziwnego, że próby Ferdynanda II. wywołują rewolucyę czeską i utratę znacznej części Węgier, że pod naciskiem Węgrów i Belgijczyków musiano cofnąć najdonioślejsze reformy Józefa II., że wreszcie zdecydowany centralizm ostatniej doby zakończył się dualizmem i konstytucyą, uznającą, przynajmniej w zasadzie, prawno-polityczną indywidualność poszczególnych krajów koronnych.

Zewnętrznie przejawiają się te stosunki może najlepiej w samej nazwie monarchii. Podczas gdy Austrya i Węgry są określeniami wyłącznie prowincyonalnemi, oficyalnie państwo naddunajskie składa się z „królestw, krajów zastąpionych w radzie państwa" jakoteż z „kra-

[1]) Pracę tę, znalezioną między rękopisami przedwcześnie zmarłego autora, publikujemy tak dla jej niezwykłych przymiotów, jak i dla aktualności kwestyi. *Redakcya.*

jów korony świętego Szczepana". Podobnie więc jak w Stanach Zjednoczonych mamy tu do czynienia z pojęciem częścią historycznem częścią terytoryalnem, bez uwzględnienia strony narodowej, występującej w nazwach prawie wszystkich państw innych. Jasną wobec tego jest rzeczą, że w tych stosunkach siły odśrodkowe musiały być bardzo znaczne tak, że nigdzie nie chciano poprzestać na tereotycznem tylko znaczeniu pewnej samodzielności różnych krajów koronnych a to tem więcej, że praktyka biurokratyczna i liczne ustawy specyalne zredukowały ją do nader nieznacznych rozmiarów. To też wszędzie można spostrzedz potężny ruch federalistyczno-autonomiczny; Węgrzy domagają się bezustannie coraz to nowych ustępstw, Kroaci mówią o królestwie Wielkiej Kroacyi, Czesi mają swoją prawo państwowe i artykuły fundamentalne, a nawet u Niemców, szczególniej alpejskich, dążenia federacyjne zyskują coraz więcej zwolenników.

Galicya nie mogła naturalnie tu pozostać w tyle, bo u nas różnice w porównaniu z innemi częściami państwa są wybitniejsze niż gdziekolwiek. Już więc w samych początkach życia konstytucyjnego, mieliśmy naszą rezolucyę, która domagała się usamowolnienia Galicyi, odpowiedzialności namiestnika przed Sejmem i przyznania Sejmowi Krajowemu kompetencyi ustawodawczej we wszystkich sprawach, które nie dotyczą zarazem innych krajów koronnych. Kampanię polityczną o ten program przegraliśmy stanowczo, a to głównie dlatego, że nie mogliśmy czy nie umieliśmy wskazać źródeł dochodu, wystarczającego na pokrycie wydatków niezbędnych instytucyi w kraju, jakoteż na przyczynienie się odpowiednie do zaspokojenia potrzeb wspólnych całemu państwu.

Od tego czasu nie wysuwano już z polskiej strony tej sprawy, natomiast w kilkanaście lat później pewna część Niemców rozpoczęła domagać się wyodrębnienia Galicyli, myśląc, że w ten sposób usunie z parlamentu nie wygodne dla niej głosy Koła polskiego. Jakkolwiek t. z. program Zielonych Świątek nadał temu żądaniu charakter postulatu ogólno-niemieckiego, wpływowe sfery polityczne naszego kraju pozostały i nadal w dotychczasowej rezerwie. Jedynie stronnictwo ludowe, liczące w Izbie zaledwie czterech posłów, oświadczyło się w swym programie za usamowolnieniem, zresztą nie poszła za tym przykładem żadna partya, istniejąca w naszym kraju. Opinia publiczna również mało się tem interesowała. Społeczeństwo nasze uważało może podobną reformę za pożądaną w zasadzie, lecz za szkodliwą w ówczesnej chwili, wiedziało bowiem, że pierwsza próba nie powiodła

się wskutek trudności finansowych, a nie miała przeświadczenia, ażeby stosunki polepszyły się do tego stopnia, iżby Galicya mogła własnemi siłami podołać wszystkim nieodzownym ciężarom.

Na to pojawia się niewielka broszura prof. Stanisława Głąbińskiego, która udowadnia, przynajmniej na pozór, że wszelkie obawy finansowe są płonne, że Galicya może nietylko sprostać wszystkim swym potrzebom, lecz ponadto przyczynić się w dość wydatnej mierze do pokrycia wydatków ogólno-państwowych. Jasną jest rzeczą, iż gdy człowiek fachowy zaprzecza, jakoby istniała jeżeli nie jedna, to w każdym razie najpoważniejsza trudność reformy, w zasadzie przez wszystkich żywo pożądanej, rzecz sama nabiera od razu donośnego charakteru, z dziedziny bowiem marzeń i pragnień schodzi na grunt rzeczywistości, z doktryny akademickiej, zmienia się w realne zagadnienie aktualnej polityki. Posypały się więc artykuły, dyskusye i wykłady *pro* i *contra*, rozpatrywano problemat z najróżnorodniejszego stanowiska, nie sądzę jednak ażeby oceniono go już należycie. Zwolennicy i przeciwnicy wyodrębnienia Galicyi stanęli — jak to u nas zwykle — mimowolnie może na stanowisku partyjnem; zwalczanie tej myśli przybrało charakter konserwatyzmu, jej obrona stała się niemal równoznaczną z zaliczeniem w szeregi demokracyi narodowej. Tymczasem cała ta sprawa nie jest kwestyą zasad lecz oportunizmem, niema bowiem poważnie myślącego i w dobrej wierze działającego człowieka, któryby nie pragnął usamowolnienia naszego kraju. Chodzi tylko o to, czy już dzisiaj powinien ten postulat wejść do naszego politycznego programu, a więc czy wyodrębnienie przyniosłoby obecnie więcej korzyści, aniżeli strat dla Galicyi i czy w dzisiejszych stosunkach można przypuszczać, że podobna reforma dałaby się przeprowadzić. Odpowiedź na to pytanie może polegać jedynie na zimnej, przedmiotowej ocenie wszystkich wchodzących tu w grę czynników, musi przeto posiadać charakter nie partyjny, lecz ściśle objektywny.

I.

W sprawie zmiany prawno-politycznego stanowiska Galicyi rozwinęła się dość ożywiona dyskusya, nie sądzę jednak, ażeby mogła się przyczynić w znaczniejszej mierze do właściwego rozświecenia sprawy tego problematu. Przyczyną tego jest — pomijając naturalny w takich wypadkach moment partyjny — wielka

różnorodność zapatrywań na samo pojęcie usamowolnienia, tem przykrzejsza, że żaden ze zwolenników lub przeciwników tej idei nie podaje ścisłej definicyi ustroju, który nazywa usamowolnieniem lub wyodrębnieniem. Jedynie z przytoczonych argumentów *pro* i *contra* można się domyślać mniej lub więcej dokładnie, w jaki sposób ich autor wyobraża sobie przyszłą organizacyę, i właśnie na tej podstawie można stwierdzić, że większa część wywodów nie może oddziałać na przeciwników; w polemice używa się wprawdzie tych samych nazw i terminów, lecz podsuwa się im nieraz treść zupełnie odmienną. W istocie jedni, idąc bardzo daleko, pojmują wyodrębnienie Galicyi jako unię co najmniej realną, na wzór austro-węgierskiej i wyobrażając sobie Galicyę, prawie jako niepodległe państwo, akcentują korzyści, które można osiągnąć jedynie przy zupełnej niemal samodzielności. Wtedy mówi się o armii, albo przynajmniej obronie krajowej, o polityce celnej, zastosowanej do potrzeb kraju, o zupełnie wolnej polityce taryfowej i t. d. Lecz inni wyodrębnienie traktują tylko jako znaczniejsze rozszerzenie władzy ustawodawczej i wykonawczej czynników krajowych; im przyświeca raczej stosunek Kroacyi do Węgier, dlatego też uważają poprzednio wymienione zdobycze za iluzyę i mrzonki, redukują spodziewane korzyści do znacznie skromniejszych rozmiarów i przeciwstawiają im ciężary i szkody, płynące z rozluźnienia węzłów z resztą Przedlitawii, tak polityczne jak i ekonomiczne. Porozumienie jest tu niemożliwe, bo punkty wyjścia obu stron są różne; obie grupy mogą mylić się i mieć słuszność, a jednak nie mogą na siebie oddziałać, bo obie mówią i myślą o zupełnie czem innem. Jeśli do tego dodamy, że nawet w gronie tak zwolenników, jak i przeciwników wyodrębnienia niema bynajmniej zgody co do jego pojęcia, że mówi się raczej na podstawie wrażenia, jakie wywołuje ten termin w umyśle jednostki, aniżeli na gruncie jasno występujących zarysów dobrze znanej rzeczy, że operuje się jakoby jakiemś pojęciem mglistem, pociągającem jednych, przerażającem drugich, to zrozumiemy, dlaczego dyskusya jest dotąd jeszcze dosyć jałowa i bezpłodna.

Pragnąc uniknąć tych błędów, wypada przedewszystkiem określić, jakie wyodrębnienie będzie przedmiotem dalszych rozpatrywań. Nie myślę tu bynajmniej zastanawiać się szczegółowo nad normami, któreby regulowały w przyszłości stosunek Galicyi do reszty monarchii. Przechodziłoby to ramy tego artykułu, a przytem musiałoby wkroczyć w tyle kwestyi i rozstrzygnąć tyle wątpliwości, że nie sądzę, ażeby dziś już było możliwem postawienie podobnego programu. Do tego

sprawa obecnie dojrzałą jeszcze nie jest, z tego jednak nie wynika bynajmniej, żeby wolno było ograniczyć się do samej nazwy i dopuścić, ażeby każdy włożył w nią treść subjektywną, u każdego może inną. Szczególniej dzisiaj, gdy formy ustroju prawno-publicznego są tak rozmaite, gdy właściwie niema w nas zgody co do pojęć, które niedawno jeszcze uchodziły za prawdy nieomylne, gdy tak odmiennie określają różni autorowie tak znane organizmy, jak Austro-Węgry, Szwecyę i Norwegię albo cesarstwo niemieckie, gdy jednem słowem znikają dawniejsze szablony — nie podobna ograniczyć się do samej nazwy, lecz musi się oznaczyć treść jej, choćby w zasadniczych rysach. Mniejsza o to, czy ktoś inny tego imienia nie nada innej istytucyi, bo wtedy widoczną jest rzeczą, że nasze wywody do niej się nie odnoszą. Ale właśnie z tego, że to jest możliwem iż dzisiejsza terminologia jest tak chwiejną, wypływa dla każdego obowiązek dokładnego sprecyzowania swej myśli, ażeby o ile możności uchylić niebezpieczeństwo dwuznaczności i złego tłumaczenia. A ku temu prowadzi jedna droga, nie poprzestając na nazwie, określić bliżej rzecz samą.

Otóż w dalszym ciągu zajmiemy się omówieniem tylko takiej formy wyodrębnienia, która mogłaby być przeprowadzoną na mocy ustaw, zależnych od kompetencyi organów ustawodawczych Przedlitawii. Wszelkie wyjście poza te granice, choćby w mniej ważnych szczegółach, pociągałoby za sobą zmianę norm dualistycznego ustroju monarchiii, wymagałoby przeto zgody węgierskiego Sejmu. Pomijając już trudności, jakieby się napotkało z tego tytułu, należy podnieść, że ani Galicya, ani nawet Przedlitawia nie mogą mieć żadnego wpływu na postanowienia Węgier, innemi słowy, że w takim wypadku wchodzimy w sferę prawa międzynarodowego, a więc w dziedzinę pełną imponderabiliów, w której dyskusya rozpływa się w przypuszczeniach i hipotezach, nie dających się niczem udowodnić. Zresztą w takim razie niema właściwie powodu stanąć u tej granicy. Z równem prawem i prawdopodobieństwem możnaby debatować o zupełnej niepodległości, secundogeniturze, lub czemś podobnem — ale taka dyskusya nie miałaby żadnego praktycznego celu, a nawet nie przedstawiałaby teoretycznie żadnego interesu, gdyż nie ulega chyba wątpliwości, że wobec zupełnej samodzielności znikają wszystkie inne względy.

Pozostając nadal w obrębie Przedlitawii, Galicya nie mogłaby uzyskać prawa do samoistnego regulowania wszystkich tych spraw, które są zastrzeżone roztrzygnięciu delegacyi, ani też nie mogłaby swobodnie decydować o kwestych, które nie należą wprawdzie do

spraw wspólnych, lecz mają być umocowane jednakowo w obu połowach monarchii. Węgrzy bowiem, z łatwo zrozumiałych powodów, nie zgodziliby się prawdopodobnie nigdy na to, ażeby obok parlamentu wiedeńskiego i sejmu węgierskiego, jako równouprawniony kontrahent występował sejm galicyjski, nie zgodziliby się już choćby dlatego, że wzmogłoby to ogromnie trudności, przy każdem odnawianiu ugody, już i tak bardzo wielkie. Wskutek tego ścieśnia się bardzo znacznie pole, na którem Galicya mogliby działać samodzielnie, gdyż nie obejmowałoby ono spraw wojskowych, zagranicznych, monetarnych, celnych traktatów międzynarodowych, wreszcie podatków spożywczych.

W innych dziedzinach Galicya w zasadzie mogłaby się rządzić sama w praktyce, jednak i tutaj należy się liczyć z dość daleko idącemi zastrzeżeniami. Jedna z najważniejszych spraw, mianowicie kwestya taryf kolejowych, nie jest bynajmniej tak prostą, jakby się to wydawało na pierwszy rzut oka. Nie można przecież zapominać, że nawet Węgry, pomimo że stanowią państwo samodzielne, nie mają na tem polu rąk zupełnie wolnych, lecz tak każdoczesna ugoda z Przedlitawią, jak i traktaty handlowe starają się im nałożyć pewne więzy. W swoim czasie Niemcy nie chciały ratyfikować traktatu, dopóki minister Barosz nie uchylił niektórych pozycyi różniczkowych, które neutralizowały doniosłość ustępstw celnych, obecnie w Austryi domagano się głośno, ażeby w ugodzie zastrzedz równomierne traktowanie towarów austryackich i węgierskich. A przecież Węgry mają w ręku broń bardzo silną, groźbę zerwania unii celnej; Galicya nie mogąc jej używać, tem słabszą byłaby w kwestyach taryfowych.

Jeżeli w tej sprawie istniałyby pewne ograniczenia, choć niezbyt może znaczne, ze względu na stosunki międzynarodowe, to w innych znowu musielibyśmy na nie się zgodzić na mocy kompromisu. Galicya stanowiąc wraz z resztą Przedlitawii jedną całość w stosunku do Węgier, miałaby pewną ilość spraw wspólnych z innymi krajami koronnymi. W każdym razie należałyby do nich wszystkie rzeczy, załatwiane w porozumieniu z Węgrami, prócz tego zaś co najmniej sprawa listy cywilnej, długu państwa, obrony krajowej i ustawodawstwa handlowego i obligatoryjnego, ze względu na wymogi obrotu, pomijając już sprawy drobniejsze. We wszystkich tych kwestyach reprezentacya galicyjska musiałaby mieć i nadal głos w parlamencie niemieckim, tak, jak musieliby zasiadać Polacy w delegacyach wspólnych. Lecz nie moglibyśmy poprzestać na tem we własnym naszym interesie. Nie tylko Galicyę zamieszkują Polacy, nie tylko o naszym kraju mu-

simy myśleć. Nie podobna przecież wydać na łup innych narodowości Polaków na Śląsku, w Bukowinie i węglowym okręgu Morawskiej Ostrawy, wydać prawie bezbronnych naporowi Czechów i Niemców. Musielibyśmy przeto zastrzedz sobie prawo głosu w sprawach dotyczących Polaków w tych krajach koronnych, a to uprawnienie pierwszorzędnej dla nas wagi, należałoby z pewnością okupić koncesyami na innem polu.

Trudno przesądzić, jakieby one były, dlatego też, nie wciągając ich do naszego rachunku, możemy na podstawie poprzednich wywodów określić w następujący sposób maksimum samodzielności Galicyi w obrębie ustroju dualistycznego.

1) Zupełna swoboda w dziedzinie: *a*) organizacyi wszystkich cywilnych władz i instytucyi rządowych; *b*) ustawodawczej i wykonawczej, o ile nie dotyczy spraw wspólnych i wspólnie normowanych, jakoteż prawa handlowego i obligatoryjnego;

2) Przeważny wpływ na urządzenie taryf kolejowych i na ustawodawstwo w sprawie podatków spożywczych, dzięki systemowi t. zw. opłat konsumcyjnych;

3) Nieznaczne tylko wzmocnienie ingerencyi, raczej faktyczne aniżeli ustawowe, w sprawach militarnych, handlowych, monetarnych, celnych i polityki zagranicznej.

W taki mniej więcej sposób można sobie wystawić najkorzystniejszy dla nas zakres wyodrębnienia Galicyi, który przyjmujemy za podstawę wszystkich dalszych wywodów. W zamian za to Galicya zrzekłaby się jakiegokolwiek wpływu na urządzenia innych krajów koronnych, a zarazem musiałaby się przyczyniać w pewnym z góry określonym stosunku do pokrywania wydatków wspólnych tak całej monarchii jaki Przedlitawii. Do pierwszej kategoryi należą, jak wiadomo wydatki na armię, flotę, sprawy zagraniczne i administracyę wspólnych finansów; do drugiej lista cywilna wraz z kancelaryą gabinetową koszta obrony krajowej, oprocentowanie i amortyzacya długów, wreszcie wydatki na instytucye centralne. Jasną jest rzeczą, że na to wszystko Galicya musiałaby opłacać pewną kwotę oznaczoną na mocy pewnych zasad, ustanowionych w składzie wprowadzonym wyodrębnienia. Pewne wątpliwości mogą nasunąć jedynie koszta utrzymania instytucyi centralnych, gdyż pewna ich liczba utraciłaby już ingerencyę w sprawach galicyjskich, albo też zakres ich działania w naszym kraju byłby tak nieznaczny, że należałoby przyjąć specyalne normy, dla oznaczenia udziału Galicyi w kosztach ich utrzymania. Tak n. p.

nie mielibyśmy już obowiązku przyczyniać się do kosztów ministerstwa oświaty lub spraw wewnętrznych, a moglibyśmy utworzyć dla kraju trybunał kasacyjny; wydatki ministerstwa finansów i handlu, o tyle tylko możnaby nam wliczyć częściowo, o ile odnosiłyby się do spraw wspólnych z innymi krajami koronnymi i t. p. Nie należy jednak zapomnieć, że te ulgi i oszczędności byłyby tylko pozorne, bo należy im przeciwstawić analogiczne instytucye ściśle krajowe, które wskutek wyodrębnienia należałoby utworzyć. Po prostu niektóre z dzisiejszych władz centralnych uległyby decentralizacyi, a wiadomo, że decentralizacya naczelnego kierownika pociąga za sobą zawsze znaczniejsze koszta, gdyż wysokość niektórych wydatków nie zależy od agend lecz od czynników działających samoistnie, bez względu na to, czy zakres działania jest większy czy mniejszy. To też śmiało można powiedzieć, że koszta centralnego zarządu Galicyi usamowolnionej byłyby większe, aniżeli kwota, którąby się uzyskało, wychodząc z założenia, że koszta na utrzymanie władz centralnych oznaczy się w taki sam sposób, jak udział w innych wydatkach wspólnych. Jest to na wszelki sposób przypuszczenie bardzo optymistyczne, a więc znowu dla nas najkorzystniejsze.

Nie potrzeba chyba nadmieniać, że w dzisiejszem położeniu kraju oznaczenie udziału Galicyi w wydatkach należy do spraw najdrażliwszych. Zwolennicy wyodrębnienia starali się przy pomocy najrozmaitszych argumentów ułatwić jak najbardziej Galicyi ten obowiązek, zmniejszając nadmiernie przyszły kontyngent, przeciwnicy znowu powołując się na zły stan finasowy przesadzali w używaniu czarnych kolorów, twierdząc, że kraj nasz nie zniósłby takich ciężarów. Sprawą tą zajmiemy się jeszcze dokładniej poniżej, tutaj wypada na razie oznaczyć, w jaki sposób możnaby ten udział obliczyć. Podnoszono, że Galicya powinna niewiele tylko płacić na armię, bo jako kraj nadgraniczny, przedmurze Przedlitawii i tak już daje wielkie korzyści reszcie państwa, zasłaniając, ją wrazie wojny; że nie mamy co myśleć o kosztach długu państwowego, gdyż nie korzystaliśmy w odpowiedniej mierze z sum wypożyczonych przez państwo, że nie będziemy nawet oprocentowywać długu naszych linii kolejowych, bo są one głównie strategiczne, a więc zbudowane w interesie całości, że nie mając wybrzeży morskich, nie mamy obowiązku płacić na flotę i t. p. Wszystkich tych zastrzeżeń nie można traktować na seryo. Tak ciężkich warunków kraj nasz nie może podyktować Austryi, bo nawet państwo pobite najzupełniej, trudno, aby przyjęło tego rodzaju traktat pokojowy, a interes

reszty Przedlitawii w wyodrębnieniu Galicyi nie jest przecież tak znaczny, ażeby za każdą cenę chciała je wprowadzić. Prawda, że skrajne partye niemieckie, pragnąc tem łatwiej zgnębić narody słowiańskie, wprowadziły do swego programu usamowolnienie Galicyi, lecz nie zapominajmy, że im jedynie chodzi o usunięcie z parlamentu głosów polskich, o wykluczenie ingerencyi Polaków w sprawach narodowych. W ich pojęciu wyodrębnienie Galicyi w żadnym razie nie odnosiłoby się do kwestyi ekonomicznej, t. z. gotowi są zgodzić się na usamowolnienie polityczne z utrzymaniem zależności gospodarczej naszego kraju od przemysłu i handlu prowincyi zachodnich. Dosyć ciężką ofiarę ponieśliby już wrazie, gdyby nowy ustrój zapewnił Galicyi możność wydobycia się z pod ich hegemonii materyalnej, gdyby można było zamknąć nasze targi dla ich towarów; przypuszczać, że poszliby jeszcze dalej i zgodziliby się na bądź co bądź znaczne przywileje skarbowe, jest mrzonką, której nie podobna brać w rachubę.

W każdym przeto razie musielibyśmy płacić na wszystkie wydatki wspólne; chodzi tylko o to: ile? Otóż Galicya stanowi ludnością 27.97% obszarem 26.16% Przedlitawii; wydatki państwa w naszym kraju wynoszą według preliminarza na rok 1903 18.79% wszystkich kosztów, dochody z Galicyi 13.83% wszystkich wpływów, rozdzielonych według krajów koronnych. Cyfry te odpowiadają również przeciętnym wynikom zamknięć rachunkowych ostatnich lat kilku tak, że mogą uchodzić za stałe. W zasadzie należałoby sprawdzić różne kryterya dla oznaczenia udziału Galicyi w pokrywaniu wydatków wspólnych, gdyż np. koszta urzędów centralnych wypadałoby rozłożyć w stosunku do ilości agend, dotyczących Galicyi, a wydatki na obronę krajową w stosunku do ludności, jednakże tego rodzaju normy byłyby zbyt skomplikowane i budżetowo niepraktyczne. Dlatego też wydatki Galicyi na te cele wypadałoby obliczyć albo procentowo — i to w najkorzystniejszym dla niej wypadku w wysokości, odpowiadającej dzisiejszemu jej udziałowi t. zn. 13.83% — albo też ryczałtowo, przyjmując jakąś kwotę stałą. Uwzględniając trudności finasowe Galicyi i wzrost wydatków krajowych w razie wyodrębnienia, spowodowany koniecznością kreowania licznych nowych instytucyi, można oznaczyć wysokość udziału Galicyi na 12% wszystkich wydatków wspólnych. Ponieważ obecnie wynoszą one netto 523.449.271 a dochody nadzwyczajne 45.806.728, przeto Galicya musiałaby się przyczyniać z kwotą 57.317.105 koron. Jest to suma znacznie wyższa od tej, która dziś płynie na cele te z naszego kraju, nie można jednak zapominać, że

państwo odstąpiłoby krajowi w razie wyodrębnienia całą swą własność położoną w Galicyi, że zrzekłoby się wszelkich ewentualnych korzyści z podniesienia u nas dochodów publicznych, że wreszcie obecnie pewna część dochodów z Galicyi figuruje w budżecie innych krajów koronnych, którą, jak przekonamy się dalej, Galicya usamowolniona mogłaby odebrać dla siebie. Wobec tego dwunastoprocentowy udział Galicyi w wydatkach wspólnych wydaje się układem nader korzystnym.

II.

Wyodrębnienie Galicyi w takich rozmiarach wydaje się niewątpliwie rzeczą bardzo pożądaną. Pomijając już względy czysto uczuciowe, w których narodowa miłość własna odgrywa zawsze poważną rolę, ograniczenie prawie od minimum wpływu Wiednia w naszym kraju zdaje się usuwać jednym zamachem wszystkie przyczyny, które tamowały dotąd rozwój ekonomiczny i kulturalny i redukowały do skromych rozmiarów rezultaty naszej pracy około podniesienia kraju. Wszędzie, gdzie tylko postawionoby podobny program, takie same przywiązywanoby do niego nadzieje, w Galicyi jest to jeszcze więcej zrozumiałem wskutek specyalnego ukształtowania jej stosunku politycznego do reszty państwa. Od chwili zajęcia kraju rząd austryacki traktował Galicyę jako kolonię, nie znał wprawdzie terminu „Hinterland", ale odczuł doskonale jego znaczenie i utworzył go z Galicyi dla innych swych dzielnic. Galicya miała zapewnić korzyści krajom zachodnim, miała dostarczyć państwu podatków i wojska przemysłowi austryackiemu surowców, miała być targiem zbytu na towary w głębi Austryi wytwarzane, ale sama nie powinna była się rozwijać, bo rozwój jej przeszkadzałby tylko osiągnięciu tych celów. Do tego systemu ekonomicznego wyzysku przyłączyła się jeszcze polityka germanizacyjna, wprowadzona od pierwszej chwili przez Józefa II, przyszło później propagowanie dezorganizacyi społecznej, uwieńczone rokiem 1846, w myśl zasady *divide et impera*. Nic przeto dziwnego, że we wszystkich klasach społecznych zakorzeniła się głęboko nieufność do wszystkiego, co pochodziło z Wiednia, że wiedząc z doświadczenia, iż tam nie myślą popierać naszych interesów, uważano rząd centralny za głównego sprawcę wszystkiego złego.

Po r. 1867, a jeszcze bardziej od czasu gabinetu Taaffe-Dunajewski stosunki zmieniły się znacznie. Lecz era dzisiejszego ustroju zastała Ga-

licyę zaniedbaną na każdym kroku, ostatnią pomiędzy krajami koronnymi we wszystkich niemal dziedzinach. Rozpoczęły się przeto walki o częściową przynajmniej poprawę krzywd lat ubiegłych, a ponieważ winę ponosił rząd, przeto do niego zwracano się z odpowiedniemi żądaniami. Jasną jest rzeczą, że zdobywanie ustępstw nie szło wcale łatwo, że w Wiedniu natrafiano na opór bardzo silny, więc samą siłą rzeczy cała polityka krajowa zaczęła krążyć około jednego punktu, około targów z rządem o postulaty, których uwzględnienie zależało od władz centralnych. Musiało to tem bardziej wzmocnić przeświadczenie, już i tak powszechne, że decydującym rzecznikiem we wszystkich najżywotniejszych kwestyach jest państwo, musiało stworzyć przesadne pojęcie o wszechpotędze państwowej, a zarazem odebrać wszelką wiarę w doniosłość samopomocy. A ponieważ Wiedeń nie zawsze mógł, a jeszcze rzadziej chciał spełniać nasze życzenia, więc wyrobiła się doktryna, wygodna a powszechna: Rząd pragnie tylko naszej szkody, a wszystko od niego zależy, sami nie jesteśmy w stanie nic zrobić.

Tem się tłumaczy, dlaczego w Galicyi każda prawie akcya rozpoczyna się od żądania subwencyi lub pomocy ze strony organów publicznych, dlaczego bezmyślnie prawie skarżymy się na upośledzenie, tam nawet, gdzie o niem nie może być mowy; klasycznego przykładu dostarcza właśnie dyskusya w sprawie wyodrębnienia. W jednym z artykułów, ogłoszonych przez p. Studnickiego w „Słowie Polskiem“ powiedziano wyraźnie, że nastąpił w kraju zupełny zastój w budowie dróg żelaznych. Miało to być dowodem, jak nawet gabinet prawicy starał się krzywdzić kraj nasz na każdym kroku. Tymczasem właśnie na okres 1884—1893 przypada u nas najsilniejszy ruch na tem polu podczas gdy między rokiem 1876 a 1883 żadnej w Galicyi nie wybudowano kolei. Cyfrowo przedstawia się rzecz ta w taki sposób, że w r. 1883 było w Galicyi 1553 w r. 1893, 2703 klm. kolei żelaznych, obecnie jest ich 3700 klm.

W takich stosunkach uwolnienie się od tej tak fatalnej dla nas opieki wiedeńskiej wydaje się czemś nadzwyczajnie szczęśliwem i dlatego mniej spokojnie i zimno patrzy się na skutki wyodrębnienia, uczucie bierze górę nad rozumem. A przecież jest to sprawa bardzo realna, którą należy rozpatrywać wyłącznie ze stanowiska szkód i korzyści, przyjąć lub odrzucić li tylko w miarę tego, czy przeważają dobre, czy złe strony takiej zmiany rzeczy. Do tego właśnie pytania zwracamy

się obecnie, rozpoczynając od korzyści politycznych, a pozostawiając na razie na boku finansową.

Dadzą się one sprowadzić do trzech głównych punktów, do kwestyi ustawodawstwa, sprawy urzędniczej i sporu polsko-rusińskiego.

Przechodząc do kwestyi ustawodawstwa, zaznaczamy przedewszystkiem, że moglibyśmy wówczas ustawodawstwo przystosować do naszych warunków krajowych, kulturalnych, społecznych iekonomicznych. W prawdzie i teraz Sejm krajowy posiada pewną władzę ustawodawczą, jednakże rzeczowo jest ona nader ograniczona, praktycznie zaś może ją każdoczesny gabinet sprowadzić do zera, czy przez nadmierne skracanie sesyi sejmowych, jak to praktykuje się obecnie, czy nie przedkładając do sankcyi uchwalonych projektów ustaw, jak zrobiono z ustawą o włościach rentowych, czy wreszcie zwlekając z wydaniem niezbędnych rozporządzeń wykonawczych, jak się to praktykowało przez całe lata w sprawie ustaw komasacyjnych. Nie należy bowiem zapominać, że w austryackiej organizacyi autonomicznej, raczej Sejm jest zależny od gabinetu, aniżeli gabinet od Sejmu; nic dziwnego przeto że, we wszystkich krajach koronnych dorobek ustawodawczy sejmowy jest bardzo skromny. Akcya legislacyjna koncentruje się w istocie rzeczy w parlamencie centralnym, a tam — jak zresztą we wszystkich państwach — obraca się prawie wyłącznie około wniosków rządowych, projekty bowiem wychodzące z inicyatywy posłów, bardzo rzadko tylko nabierają mocy ustawy. Wskutek tego każdoczesny rząd zakreśla właściwe granice całej pracy ustawodawczej; jego przedłożenia odrzuca się, zmienia lub przyjmuje, nie występuje się jednak prawie nigdy poza ich zakres. Otóż nie wiele jest państw w Europie, w których różnice, pomiędzy poszczególnemi częściami byłyby tak znaczne, jak w Przedlitawii; za granicą bowiem również widzimy różnice kulturalne, narodowe, społeczne, historyczne bądź ekonomiczne, lecz niema prawie wypadku, ażeby występowały wszystkie razem równocześnie; w Austryi natomiast każda grupa krajów koronnych zachowała swą wybitną indywidualność we wszystkich tych kierunkach. Szczególniej Galicya wraz z Bukowiną stanowią typ zupełnie odrębny, już choćby dlatego, że przez cały szereg stuleci rozwój ich opierał się o zupełnie inne warunki, a zarazem niema w nich wcale żywiołu niemieckiego, który w t. zw. dziedzicznych krajach austryackich panował wszechwładnie aż do początku ery konstytucyjnej. Wskutek

tego przy każdej sposobności można spostrzedz, że ustawodawstwo państwowe, dogodne i właściwe dla innych krajów, nie odpowiada naszym warunkom czy poglądom. Tymczasem rząd centralny, z natury rzeczy i powodów zaznaczonych już poprzednio, uwzględnia przedewszystkiem potrzeby i postulaty krajów zachodnich. Szczególniej w sprawach ekonomicznych odczuwamy to bardzo boleśnie, gdyż podobnie jak wszędzie, tak i w Austryi, najwpływowsze są obecnie sfery przemysłowo-handlowe, których interesy są już wprost sprzeczne z potrzebami Galicyi. Podczas, gdy podstawą naszego gospodarstwa narodowego jest rolnictwo, a celem naszych wysiłków wytworzenie przemysłu, rząd i parlament, pod naciskiem interesów niemiecko-czeskich, liczy się przedewszystkiem z przemysłem już rozwiniętym i poświęcając dla niego potrzeby rolników, stara się utrzymać Galicyę na stanowisku kraju, konsumującego nadwyżkę wytworów, wyprodukowanych w innych prowincyach. Klasycznym tego przykładem prócz pierwszego rządowego projektu w sprawie cukrowej, który był wprost zabójczy dla młodego naszego cukrowarstwa, jest spoczywający w komisyi projekt poparcia austryackiego przemysłu. Zapewnia on między innymi, bardzo daleko idące ulgi podatkowe wszystkim nowym przedsiębiorstwom, które powstałyby w gałęziach przemysłu, dotąd w Przedlitawii nie istniejących. Jasną jest rzeczą, że takie ulgi byłyby dla Galicyi zupełnie iluzoryczne, gdyż nasz przemysł, mógłby powstać tylko w dziedzinach rozwiniętych już w innych krajach, podczas gdy projektowana ustawa wyszłaby na korzyść jedynie pewnym fabrykom specyalnym, które mogą się utrzymać tylko tam, gdzie przemysł stoi już na wyższym stopniu rozwoju. Gdy jednak posłowie polscy chcieli przeprowadzić zmianę w tym duchu, ażeby z tych ulg mogły korzystać fabryki nowopowstające w gałęziach datychczas nie zaszczepionych w danym kraju koronnym, spotkali się z najgorętszą opozycyą innych stronnictw, które wolały wyrzec się zupełnie wszelkich korzyści, płynących z ustawy i pogrzebać ją w komisyi, aniżeli dopuścić Galicyę do udziału w jej przywilejach.

Lecz nawet tam, gdzie ten antagonizm interesów nie występuje w tak drastycznej formie, ustawodawstwo austryackie jest najczęściej niedogodne, lub co najmniej nieprzydatne dla naszego kraju. Dzieje się to z dwóch przyczyn, działających trwale, mianowicie wskutek nieznajomości stosunków galicyjskich w biurach ministeryalnych, przygotowujących projekty ustaw, i wskutek wzorowania się na akcyi ustawodawczej cesarstwa niemieckiego. Przy najlepszych nawet chę-

ciach, przy całej dobrej woli, urzędnik wiedeński nie może uwzględnić potrzeb galicyjskich, bo ich zupełnie nie zna, a stosunki państw niemieckich są niejednokrotnie tak odmienne, że zapożyczane stamtąd przepisy w Galicyi działają nieraz zupełnie inaczej, aniżeli ustawodawca myślał i pragnął.

Skutkiem tego wszystkiego jest ten przykry dla nas rezultat, że często dzięki sprawności interesów, czy też dzięki nieświadomości organów rządowych, dostajemy najczęściej normy niewłaściwe lub bezużyteczne. A dobrze jeszcze, jeżeli nie są dla nas wprost szkodliwe, gdyż w dzisiejszych czasach, gdy państwo tak olbrzymio rozszerzyło, szczególniej w sferze gospodarczej, swój zakres działania, taki stan rzeczy może być wprost zabójczy.

Przez pół przynajmniej skutecznym środkiem przeciwdziałania takim objawom w obecnym ustroju, byłoby wprowadzenie do biur centralnych większej liczby sił krajowych, urzędników Polaków kótrzyby znali, rozumieli i bronili potrzeb swego ojczystego kraju. Wiadomo jednak, że znacznie łatwiej Polakowi uzyskać tekę, wysoką godność parlamentarną, nawet przewodnictwo w radzie Korony, aniżeli wyższą posadę w któremkolwiek ministerstwie. Austryacka biurokracya uważa stanowiska tego rodzaju za swą wyłączną domenę, oddanie jednego z nich Polakowi za bezprawne uszczuplenie swych praw nabytych, za naruszenie swego stanu posiadania. Przeglądając nazwiska szefów sekcyi i rządów ministeryalnych lat ostatnich i porównywując je z szematyzmem kancelaryi nadwornej z czasów Józefa II czy Franciszka I., przekonamy się z pewnem zdziwieniem, że to właściwie te same rodziny kierują od przeszło lat stu departamentami ministeryalnymi, t. zw. maszyną państwa. Mimowolnie ma się wrażenie, że tutaj istnieje faktyczne prawo dziedziczenia, że urząd przechodzi, pomijając nieliczne wyjątki, z przodków na potomków. Nic więc dziwnego, że bronią się tutaj wszelkiemi siłami przeciw wprowadzeniu ludzi nowych, jakimi byliby Polacy, że długoletni postulat kraju, sprawiedliwszego zastąpienia interesów Galicyi w wiedeńskich biurach, ciągle jeszcze znajduje się w stadyum niespełnionych i w daleką przyszłość odsuniętych życzeń. Minister w ustroju parlamentarnym jest właściwie postacią efemeryczną, krótko tylko utrzymuje się na swem stanowisku, a bardzo rzadko naprawdę kieruje swym departamentem. On zastępuje raczej swoje biura wobec parlamentu, posłów, interesantów i opinii publicznej ; właściwa władza natomiast spoczywa w ręku urzędników. Rzadko więc kiedy jest on niebezpieczny dla biu-

rokracyi tem bardziej, że nie zawsze, a raczej można powiedzieć wyjątkowo tylko, jest fachowo obznajomiony z agendami swojej teki. Tam więc prędzej można dopuścić obcych, aniżeli do właściwego warsztatu — i dla tego właściwie mieliśmy stosunkowo znacznie więcej ministrów polskiej narodowości, aniżeli wysokich urzędników.

Tak więc w kwestyach ustawodawczych Galicya musi się z tem liczyć że jej właściwości będzie się lekceważyć w mniejszym lub większym stopniu, a mało tylko znajdzie takich, którzyby mogli ich bronić, jeszcze mniej—jak się przekonamy zaraz—takich, którzyby się bronić umieli. Projekty ustawowe przeto, przedkładane przez rząd, muszą być bardzo często dla nas niekorzystne. Pozostawałoby jeszcze jedno wyjście, mianowicie zmiana ich lub odrzucenie w parlamencie przez większość, zszeregowaną przez Koło polskie. W tem stadyum jednak sprawa komplikuje się bardzo silnie. Wszyscy posłowie z Galicyi wraz z deputowanym polskim ze Śląska i reprezentantami Rusinów bukowińskich stanowią niespełna piątą część Izby. Chcąc przeprowadzić swe postulaty, muszą się postarać o pomoc u innych stronnictw, za którą oczywiście trzeba płacić koncesyami na innem polu, a w razie odrzucenia projektów rządowych wypada się liczyć z możliwością ustąpienia czy dotkniętego tem wotum ministra, czy nawet całego gabinetu. Stąd też z chwilą, gdy dana sprawa dostaje się już do parlamentu, na stanowisko, które wobec niej się zajmuje, wpływa przedewszystkiem rozstrzygnięcie dwóch pytań, mianowicie czy cena poparcia akcyi koła polskiego nie jest za wysoka i czy warto narazić się na niebezpieczeństwo obalenia gabinetu, może w innych sprawach nam dogodnego i życzliwego. Rezultat tych rozpatrywań jest jasny. Gdzie rozchodzi się o żywotne interesy kraju tam naturalnie delegacya polska wystąpić nie może, gdzie jednak kwestya jest mniejszej wagi albo na pozór niema znaczniejszej doniosłości, tam niejednokrotnie wypadnie się zgodzić na złe mniejsze, ażeby uniknąć większego. Otóż właśnie ustawodawstwo austryackie przynosi Galicyi takie drobniejsze, ale bardzo liczne szkody; żadna z nich nie ma dość znaczenia, ażeby warto było wywołać przesilenie, lub ponieść wielkie koszta dla jej usunięcia; wszystkie razem wzięte przyprawiają nas o straty bardzo poważne. Dlatego to akcya parlamentarzy, choćby największa i najenergiczniejsza, wystarczyć tu nie może.

Naturalnie zmieniłoby się to na dobre, gdyby Galicya mogła o sobie decydować samoistnie. Bez wątpienia sama zmiana ustroju nie dałaby nam ustaw doskonałych i dokładnie przystosowanych do

naszych stosunków, lecz przyczyną ich braków byłyby tylko przypadkowe błędy a nie zwycięstwo i przewaga interesów pozakrajowych. Skoro tylko doświadczenie okazałoby, gdzie się pomylono, możnaby natychmiast wprowadzić właściwą reformę tak, że szkoda i strata byłaby w każdym razie tylko krótkotrwałą, podczas gdy dzisiaj zmiana ustawy li tylko dlatego, że szkodzi ona Galicyi, jest bardzo trudną, a jeżeli wychodzi na korzyść innych krajów koronnych, prawie niemożliwą.

Drugą nie mniej ważną zdobyczą, którą powinnoby nam przynieść usamowolnienie Galicyi, byłoby udoskonalenie naszego personalu urzędniczego. Obecnie, jak już nadmieniłem poprzednio, skarżymy się ciągle na brak urzędników polskich w ministerstwach, a skoro tylko znajdzie się tam jeden lub drugi na wybitniejszem stanowisku, okazuje się nazbyt często, że jego działalność przynosi krajowi bardzo mierne tylko korzyści. Równocześnie w kraju podnoszą się zewsząd ostre, a najczęściej zupełnie słuszne zarzuty przeciw całej administracyi, we wszystkich prawie działach. Czemu to przypisać? Czyżbyśmy na prawdę nie mieli ludzi uzdolnionych, chętnych do pracy i owianych duchem obywatelskim?

Tego przypuścić nie podobna, bo przeciw takiemu twierdzeniu przemawia tysiące faktów, zaczerpniętych z codziennego doświadczenia. Nawet Niemcy przyznają, że nasza młodzież nietylko nie ustępuje zdolnościami obcym, lecz często nawet ich przewyższa; za granicą poszukuje się polskich robotników i pracowników, właśnie dla ich sumienności i pracowitości; cała umysłowość słowiańska jest, że tak powiem, uspołeczniona, nie można jej przeto odmawiać obywatelskiego ducha. A przecież i krytyka naszej publicznej pracy jest trafna i słuszna, lecz powodów złego należy szukać gdzieindziej. Na nasz stan urzędniczy, krajowy i wiedeński, wpływa demoralizująco austryacka centralizacya biurokratyczna, która wyzyskuje nasze najzwyczajniejsze wady, miłość własną, brak cywilnej odwagi i wytrwałość, wreszcie nadmierną, w sprawach publicznych nieraz bardzo szkodliwą towarzyską uprzejmość.

Jeżeli po długoletnich staraniach i zabiegach biurokracya wreszcie zgodzi się na odstąpienie nam nowego posterunku w ministerstwie, gdy wreszcie Polak dostanie się na stanowisko, na którem skutecznie mógłby dla kraju działać, wtedy właśnie zaczynają występować wady jego charakteru. Jest on i utalentowany i pracowity i najlepszemi ożywiony chęciami, zdawałoby się przeto, że jak najlepiej spełni swoje

zadanie. Tymczasem, z wyjątkiem stosunkowo bardzonie licznych wypadków, dzieje się wręcz przeciwnie. Znalazłszy się na wiedeńskim bruku, otoczony zewsząd nieżyczliwymi żywiołami, widząc i czując niechęć do siebie i do wszystkiego, co polskie, a nie przyzwyczajony wystarczać sobie samemu, obywać się bez przyjaciół, iść w wytkniętym kierunku, nie widząc za sobą czy przed sobą innych, postępujących tą samą drogą — nie posiada on zazwyczaj tyle siły charakteru, ażeby śmiało i otwarcie płynąć przeciw prądowi. Rozumie on nieraz doskonale, że Galicyę krzywdzi się w tym lub owym wypadku, że zaniedbywa się prawie systematycznie jej potrzeby, że nie uwzględnia się jej interesów, gorąco z pewnością pragnie, ażeby było inaczej, nawet gdzie może bez narażenia się, bez walki we własnym zakresie działania coś zrobić, pragnie chętnie i wytrwale — nie umie jednak walczyć o nasze prawa, nie umie wystąpić stanowczo przeciw otoczeniu, nie ma dość odwagi i energii, ażeby dążyć do odświeżenia tej tak dusznej dla niego atmosfery. Początkowo taktykę tego rodzaju uważa za prowizoryczną, za system, który na razie wydaje mu się najlepszym. Prowadzi on bowiem do tego, że powoli znika to osamotnienie, w jakiem znalazł się w początkach że zawiązują się bliższe stosunki z kolegami Niemcami, którzy najpierw przyjęli go jak intruza, później jednak, widząc że jest nieszkodliwy, darzą go zdawkową monetą koleżeńskiej życzliwości. Staje już przeto pewniej na nowym gruncie, lecz równocześnie zaczyna działać przyzwyczajenie i obawa zachwiania tych tak miłych stosunków. Owa rezerwa, która miała być tylko czasową, tylko środkiem do tem skuteczniejszego działania, przemienia się w system trwały stanowczy zawsze i wszędzie. Tak Polak - urzędnik boi się aż do ukończenia swej karyery Niemców, boi się niekiedy — gdy mu chodzi tylko o siebie — ze względu na awans, tytuł czy odznaczenie; najczęściej jednak dlatego, że jest więcej ich, że oni są brutalniejsi, że chodzi mu o spokój i towarzyskie stosunki. To też kończy się na tem, że wiedząc nawet, coby trzeba zrobić dla kraju, pozostaje bezczynny; że jego ochrona interesów kraju, jest tylko ściśle wewnętrzna, że ogranicza się do indywidualnego pragnienia, ażeby było inaczej, tej chęci jednak nie popiera żadnym śmielszym czynem. Jednem słowem obawa jak to raz już powiedziano otwarcie „obudzenia niemieckiego licha" przygniata najznaczniejszą część naszego personalu urzędniczego w wiedeńskich biurach centralnych.

Również deprymująco wpływa Wiedeń i na urzędników, działających w kraju, choć już nie w tak wysokim stopiu. Zależność wyż-

szych instytucyi krajowych od władz centralnych jest niewątpliwie mniejsza niż innych krajów Koronnych, ale tylko w kierunku negatywnym. Ministerstwu trudniej przychodzi narzucić coś Galicyi, więcej musi się liczyć z oporem czynników krajowych, lecz na tem kończy się właściwie faktyczna, choć nie ustawowa autonomia administracyjna galicyjskich władz rządowych. Mają one nieraz dość siły, ażeby pokrzyżować projekty wiedeńskie w sprawach krajowych, mogą niedopuścić do jakiegoś zarządzenia, które miałoby widoczne znamię niekorzystnego dla Galicyi kroku, trudno im jednak wpłynąć na postanowienia rządu w kierunku pozytywnym, gdy chodzi o polepszenie panujących stosunków. Po prostu możemy w najlepszym razie powstrzymać akcyę, któraby pogarszała stusunki, jesteśmy prawie bezsilni, gdy chodzi o rozpoczęcie działania uzdrawiającego, podnoszącego kraj w jakiejkolwiek dziedzinie.

Wobec wszystkich projektów i żądań, mających posłużyć krajowi, rząd centralny zachowuje się najczęściej odpornie. Korzystając z każdego powodu i pozoru odrzuca je lub przynajmniej odracza ich uwzględnienie tak, że nieraz dopiero po długich kołataniach można uzyskać jego zgodę na częściowe choćby zaspokojenie krajowych potrzeb. Przy takim systemie łatwo jest stracić wszelką chęć do pracy, o ile nie posiada się bardzo silnej dozy wytrwałości. Wiadomo że ten rys charakteru nie należy do naszych wybitnych zalet narodowych, to też nic dziwnego, że najczęściej po pierwszych porywach następuje zniechęcenie. Zawsze było i będzie u nas kilka jednostek, które nie zrażają się trudnościami, nie skąpiąc pracy i wysiłków, szturmują tak długo, aż ministerstwo uwzględni ich żądania. Tacy mają wielką wobec kraju zasługę, której nie wystarczy mierzyć osiągniętym rezultatem, lecz raczej należy oceniać według przeszkód, które najpierw należało usunąć lecz tacy ludzie należą do wyjątków. Inni, mniej od natury uposażeni z wielkim nieraz zapałem poczynają pracować, lecz spotkawszy się raz i drugi z trudnościami, biernym oporem lub odmową, tracą szybko wiarę w skuteczność swych usiłowań. Opadają im ręce, ogarnia zniechęcenie i nazbyt często przechodzą w drugą ostateczność, nie mogąc osiągnąć wszystkiego, nie robią nic, albo tak jak nic, wypuszczają z rąk cugle dają się unosić wypadkom, zamiast nimi kierować. Ta kategorya najliczniejsza, bo wytworzona dzięki przeciętnym właściwościom natury ludzkiej, podobna jest bardzo do ludzi, którzy, zanim uzyskali wpływ dostateczny, nosili się z całym programem daleko idących reform. Gdy przyszło do czynu, przekonali się, że nie wszystko można

przeprowadzić, i nie wszystko byłoby dobrem, więc tracą wiarę w swe siły i zdolności, idą utartą drogą wygodnej rutyny, nie naruszając nawet tego, coby zmienić wypadało koniecznie. A w sprawie urzędniczej prąd ten szerzy się tem więcej, że nieudałe projekty i nieosiągnięte postulaty szkodzą swym autorom, tak u centralnego rządu jak i u ludności. Urzędnik, który ministerstwo zarzuca żądaniami jest niewygodnym, „naraża się" przełożonym; społeczeństwo zaś nie widząc dodatnich rezultatów jego działalności, nie znając zupełnie dziejów jego pracy, tak zwykle u nas pochopne do ostrej krytyki, rzuca mu w oczy zarzuty zaniedbania interesów kraju, liczenie się tylko z poleceniami nieżyczliwych krajowi ministrów posądza go o karyerowiczostwo i brak obywatelskiego ducha. Z jednej strony bezsilność w rzeczy, połączona wraz z budzącą się u szefów niechęcią osobistą, z drugiej niesprawiedliwość, krzywdzące posądzenia, zła zapłata za pracę i trudy: podczas gdy prawdziwa obojętność byłaby tak wygodną i przynajmniej z góry co najmniej nieszkodliwą, czyż to nie dosyć, ażeby u ludzi przeciętnych powstrzymać wszelkie plany i zapędy ogólniejszej natury. Wreszcie i trzecia najgorsza kategorya ludzi, którzy wogóle nigdy nie mieli idealniejszych marzeń, wyrasta z łatwością w potęgę na tego rodzaju gruncie. W kraju panuje ogólne przeświadczenie, że Wiedeń nie chce nic robić dla Galicyi. Pomimo wszystkiego, co powiedziałem poprzednio, niejednokrotnie przesadza się w tym kierunku i nadużywa tej opinii, ażeby pokryć własną nieudolność czy niedołęstwo. Tak jak tych, którzy pracują cicho a bezskutecznie posądza się o egoistyczne cele, tak znowu krzykliwi a bezczynni, zdobywają sobie zwolenników zasłaniając Wiedniem swoje lenistwo.

Takie są u nas przyczyny nieszczególnego funkcyowania maszyny państwowej. Pojawiają się od czasu do czasu wyjątki, przewyższające innych głową i charakterem, które nawet w tych ciężkich warunkach umieją wieloma rezultami uwieńczyć swą pracę, ale z nimi liczyć się nie podobna, bo olbrzymia dzisiejsza administracya państwa musi się opierać o ludzi przeciętnych, a na tych działają nasze stosunki bardzo niekorzystnie. Tem bardziej, że i kontrola czy represya dostrzeżonych braków jest dziś bardzo trudna. Należałoby wystąpić przeciw miarodajnym czynnikom krajowym we Wiedniu, a więc wobec obcych, na co naturalnie nie pozwala poczucie narodowej solidarności i miłości własnej. Skarżymy się przeto w domu, krytykujemy ich u siebie bardzo ostro, lecz milczymy tam, gdzieby to mogło odnieść skutek — i naturalnie wszystko idzie po dawnemu.

Względy te i przyczyny odpadłyby prawie zupełnie, gdyby decyzya zapadała we Lwowie, a czynów i zdolności naszych urzędników nie sądziła biurokracya wiedeńska. Lecz i działalność najwyższych urzędników uległaby korzystnej zmianie. Brak cywilnej odwagi nie działałby już tak szkodliwie, bo nikt nie wymagałby zapominania o interesach krajowych. Posuwanie się po szczeblach urzędniczej hierarchii możnaby urządzić nie w miarę zasług wobec centralnego ministerstwa i oszczędności poczynionych kosztem kraju, lecz według istotnie oddanych społeczeństwu usług; ambicya osobista wreszcie byłaby potężnym bodźcem do czynu. Nie mając parawanu w twierdzeniu, że to Wiedeń przeszkadza szerszej akcyi, należałoby przyznać, że przyczyną bezczynności jest własna nieudolność, a groza czegoś podobnego popycha do działania nawet bardzo wygodnych.

Wreszcie sprawa ruska.

Stosunek nasz do Rusinów uległby w razie uzyskania prawa regulowania samoistnego naszych spraw wewnętrznych, zmianie z pewnością na lepsze. Jeżeli przejdziemy myślą okres konstytucyjny, zobaczymy natychmiast, że Rusini zdobyli w tym czasie bardzo znaczne korzyści. Dała im to jednak, prawie w całości autonomia krajowa, podczas gdy rząd centralny wraz z biurokarcyą i partyami niemieckiemi ograniczał się niemal wyłącznie do platonicznych zapewnień życzliwości i do tajemnego podtrzymywania i podsycania walki antypolskiej, w myśl zasady: *divide et impera*.

Nie dosyć tego. Politycy ruscy—nie chcę badać, dlaczego—przyjęli jako zasadniczą podstawę swego programu taktyki nienawiść do wszystkiego co polskie – zamiast wysunąć na pierwszy plan obronę i rozwój swego własnego narodu, idą, chcemy wierzyć, do tego celu pośrednio, zwalczając wszędzie nasze postulaty narodowe i kulturalne. Tem się tłumaczy grawitacya jednej grupy ku Wschodowi, drugiej ku Wiedniowi i kokietowanie z zapędami pruskiego hakatyzmu, bo przecież nie leży w interesie narodu ruskiego ani rozpłynięcie się jego w masach rosyjskich, ani zanik Słowian pod zaborem pruskim, ani wreszcie charakter Tyrolczyków wschodnich, ta w austryackich stosunkach co najmniej dziwna rola ultra-lojalizmu.

Wszystko to zmierza jedynie przeciwko nam, a wypływa z mylnej zupełnie rachuby, że Wiedeń czy to z obawy przed panslawizmem, czy też w nagrodę za wierne usługi dopomoże Rusinom do zgnębienia Polaków. Wyrachowanie to najzupełniej błędne wskazuje jedynie na brak politycznego wykształcenia i zmysłu, jasną bowiem jest

rzeczą, że Niemcy są równie nieżyczliwi wszystkim Słowianom. Gdyby kwestya obracała się około pytania: Polacy czy Niemcy, stanęliby niewątpliwie po stronie ruskiej, ponieważ zaś walka toczy się o wpływ polski lub ruski, starają się zyskać jak najwięcej dla germanizmu. Zysk zaś polega na wzajemnem osłabieniu się obu narodów, dlatego też rząd i Niemcy pokryjomu popierają wewnętrzne nasze spory, lecz w chwilach decydujących nie stają nigdy stanowczo po ruskiej stronie, bo lepiej dla nich nie zrażać sobie liczniejszych Polaków, aniżeli słabszych Rusinów.

Ten nietakt przywódców politycznych ruskich nie ostałby się wobec zdrowego rozsądku mas ludowych, gdyby sztucznie nie nadawano mu pozorów słuszności i korzystnej taktyki politycznej. Dlatego też każde dobrowolne ustępstwo nasze na rzecz Rusinów przedstawia się ludowi jako narzucone Polakom zarządzenie Wiednia i wyzyskuje się jako nową broń antypolską, bo, powiadają przywódcy, przy pomocy Niemców zdobędziemy nowe koncesye, zwalczając Polaków.

Jasną jest rzeczą, że taka polityka nie może wychodzić ani na korzyść polską ani ruską, Zmniejszają się po obu stronach żywioły ugodowe, gdyż Rusini u siebie wypierają je agitacyą, Polacy zaś widzą, że każdą ugodę przeciw nim wyzyskują, że po każdej walka jest zaciętsza, a przeciwnik silniejszy. coraz wyraźniej koncesye i ustępstwa przedstawiają się jako niebezpieczne dla własnego bytu, jako ciężkie straty, za które w zamian zyskuje się tylko większą nieprzyjaźń.

Rezultatem jest osłabienie sił obu narodowości, z którego oczywiście korzystają obcy. Lecz gdybyśmy doszli tylko do tego, że Wiedeń nie mógłby się mięszać w spór polsko-ruski, możnaby go załagodzić bez porównania łatwiej. Rusini nie mogliby przedstawiać naszej pracy nad ich potrzebami, jako przemocą wiedeńską wymuszonej na wrogich Polakach, bo ten Wiedeń byłby już bez wpływu; Polacy nie potrzebowaliby obawiać się ukucia z ich dobrej woli broni dla nich niebezpiecznej, bo Rusini nie mogliby już nam szkodzić u Niemców. Świadomość u jednych, że nieprzyjaźnią i nienawiścią nie dojdzie się do niczego; u drugich, że ustępstwa nie są już szkodliwe, mogłyby załagodzić tę bratobójczą walkę, która w naszym kraju toczy się od tak dawna. Wspólne prawie wszystkie mamy interesy, bez wzajemnego zwalczania się możemy żyć obok siebie i społem dla kraju pracować; zarzewie nienawiści rzuciła pomiędzy nas biurokracya niemiecka, wyzyskując temperamenty i egoizmy jednostek, gdy złamiemy jej potęgę, zni-

knie najsilniejsza podpora sporów. Z konieczności wypadnie wtedy nawet najbardziej nieprzejednanym stanąć z dobrą wiarą na arenie publicznej, bo zewnątrz nie nadpłynie już żadna pomoc i nie będzie nadziei żadnych zysków — tylko od Polaków będzie się można czegoś spodziewać, więc ich nie będzie już można traktować jako wrogów i gnębicieli. W takim zaś nastroju zgoda dwóch bratnich narodów nie byłaby wcale trudną.

W. Czerkawski.

W sprawie nauki historyi
w naszych szkołach średnich.

(Dokończenie).

U nas w Galicyi niestety pod wpływem hipertrofii literacko-powieściowej wyrobiła się opinia nie tylko w szerokich kołach społeczeństwa, ale w części i nauczycielskich, która potępia w czambuł wszystkie te zasady, które dydaktyka przyjęła przy nauce historyi na niższym stopniu. Potępia się zatem genetyczne przedstawienie wypadków, bo to pragmatyka. Potępia się wbrew ogólnie przyjętym zasadom [1]) podział na okresy, rozdziały i ustępy, bo „takie szatkowanie materyału równomiernie, a drobniutko, jak kapustę, wprowadza kompletny chaos i dezorganizacyę".

Potępia się ścisłe przedstawienie wypadków; wypadki powinny być przedstawione barwnie w formie nowelistycznej, uczeń nie powinien się uczyć wypadków, to jest przeciążeniem, jest suchem i nudnem, on powinien się bawić, zapalać. — Nie o istotny dobór najważniejszych wydarzeń powinno chodzić przy nauce historyi na niższym stopniu, lecz tylko o wypadki barwne, zajmujące, wzruszające, poetyczne, przemawiające do uczucia i wyobraźni. Umieścić kanon dat historycznych w podręczniku to niesłychane zacofanie. Jak można bowiem balastem martwych cyfr obciążać pamięć biednych uczniów! „Fabuła

[1]) Dörpfeld: *Denken und Gedächnis*, 2 Auflage, 1884, str. 121. Rusch: *Methodik des Unterrichts in der Geschichte*, str. 64—68.

podręcznika winna być pełna kolorytu i ciekawych a barwnych anegdot, podręcznik winien mieścić treść kipiącą werwą i skrzącą się wyobraźnią, pobudzającą fantazyę"!

Podanie przyczyn jakichś wielkich wypadków dziejowych jest również pragmatyką, jest przeciwne istocie opowiadania, aczkolwiek Herbartowska definicya opowiadania właśnie wnikanie w przyczynowy związek wypadków zalicza do charakterystycznych znamion opowiadania. Ba, co gorsza, krytyka w Galicyi nawet obrazki historyczne, przedstawiające społeczeństwo średniowieczne, odrodzenie lub humanizm, piętnuje jako pragmatykę i takie poglądy wypisują u nas czarne na białem nie pióra jakiegoś tam feiletonisty dziennikarskiego gwoli satysfakcyi oburzonych matek, ciotuń i babuń spalonych przy klasyfikacyi benjaminków — nie, takie sądy wygłasza u nas pióro urzędowego recenzenta podręczników. Nie dziw, że wobec tej opinii u nas pojawiają się podręczniki, które pod względem wartości naukowej, ilości i jakości, podziału materyału naukowego stoją niesłychanie niżej od poziomu wszystkich innych podręczników europejskich. Tak lekko, tak nowelistycznie napisanych podręczników historyi na niższe klasy, jak u nas, niema w całej ucywilizowanej Europie. Twierdzę to na podstawie dokładnego przeglądu literatury podręcznikowej w Europie.

Najważniejszym probierzem wartości podręcznika jest oczywiście dobór materyału, dobór najważniejszych wydarzeń dziejowych, na których ma się oprzeć pragmatyczny stopień nauki we wyższych klasach.[1]) Ten dobór materyału jeszcze więcej był podyktowany u nas, gdzie materyał historyi średniowiecznej i nowożytnej powszechnej ograniczono do historyi austryackiej. Czy jednak można szczęśliwym nazwać dobór podręcznika, jeżeli podaje się w nim bajeczne podania o Leopoldach I, V, o Adalbercie Zwycięzcy, kilka stron poświęca się turniejom Leopolda VI, Bernarda Karynckiego i głośnego, błędnego rycerza Ulricha Lichtensteina, aczkolwiek nawet wiedeńscy dydaktycy przestrzegają przed zbytniem zaj-

[1]) *Rusch. Zur Verbesserung des elementar Geschichtsunterr.* str. 40.

mowaniem się Babenbergami w szkołach dolno-austryackich? Czy dobór materyału jest trafny, jeżeli poświęca się więcej niż stronicę wynalezieniu zegarków przy końcu XV w., aczkolwiek one dawno przedtem wynalezione były i do epokowych wynalazków prochu druku i kompasu wcale nie należą, jeżeli opisuje się najszczegółowiej dwór Ludwika XVI, nie zapominając nawet o menuecie, poświęca się 26 wierszy karyerze urzędniczej Metternicha, a zapomina równocześnie o tak epokowych postaciach, jak Henryk IV i Grzegorz Wielki, chowa w historyi austryackiej w cień osobę Karola V? Takiego doboru chyba dydaktycznie szczęśliwym nazwać nie możemy.

Jeżeli zaś uwzględnimy, że w podręczniku historyi austryackiej poświęca się aż 5 stron Germanom, których życie, sadyby, wsi, bogów, religię opisuje się z pedantyczną dokładnością, a Słowian zaszczyca się zaledwie wzmianką, tedy nawet ze stanowiska ściśle austryackiego taki dobór jest błędny. W chwili, gdy w całym świecie naukowym przyjęty jest bez zastrzeżeń postulat, że moment narodowy w nauce historyi jakiejkolwiek na pierwszy plan powinien być wysunięty, w chwili, gdy dydaktycy wiedeńscy protestują, aby nie kurczyć w historyi austryackiej historyi niemieckiej na rzecz Czechów i Madziarów, u nas pisze się dla polskiej młodzieży *Opowiadania z dziejów Monarchii*, w której kilkanaście stronic poświęca się austryackim Babenbergom, pisze się szeroko o Madziarach, nie zapomina nawet o Kumanach, o czeskich Kroku i Libuszy, o złotej bułli Andrzeja II — o naszych Mieszkach, Chrobrych, Krzywoustych, Kazimierzach i Batorych prawie, że nic, krom takich bajecznych wiadomości, że duchowni polscy oszukali Czechów, podsuwając im inne ciało zamiast ciała św. Wojciecha, kiedy Brzetysław plądrował w r. 1038 Gniezno. Z całej historyi polskiej przedrozbiorowej prócz gołych nazw niema nic w podręczniku i tego braku ze stanowiska narodowego nie wyrówna nawet najgoręcej opisany ucisk narodu polskiego w połowie zeszłego wieku i sympatyczny, choć zbyt obszerny i szczegółowy ustęp o Franciszku Smolce. Uwzględnił za to historyę polską w szerszych rozmiarach autor drugiego podrę-

cznika na III kl.; uważał poprostu to za obowiązek narodowy, podyktowany równocześnie postulatami nowoczesnej dydaktyki, by dla polskich uczniów polskiego narodu dzieje nie chować pod korzec, zwłaszcza, o ile się łączą dzieje Monarchii z dziejami naszego narodu.

Pouczony długoletniem doświadczeniem, wszystkiego się mógł autor spodziewać od krytyki galicyjskiej, ale by go za to uwzględnienie polskich dziejów spotkało potępienie ze strony krytyka Polaka, tego się absolutnie nie spodziewał, a jednak zarzucono mu, że „zamiast opowiadań z dziejów Monarchii napisał historyę polską na tle powszechnej". Na tego rodzaju zarzut ze stanowiska polskiego jest tylko jedna odpowiedź, dantejskie *guarda e passa*. Zdaniem mojem niech uczniowie dolno- lub górno-austryackich szkół uczą się o Adalbertach Zwycięzcach, bajek o Leopoldzie I czy nawet V, niech czescy wiedzą o Libuszy i Kroku lub o Bolesławie Srogim, węgierscy o Kumanach i złotej bulli Andrzeja II — dla polskich uczniów w III kl. jest wskazanem powtórzyć sobie przy sposobności historyi Monarchii najważniejsze momenta z dziejów polskich w ustępach *ad hoc* skonstruowanych! Krytyka poważna podniosła to z uznaniem i nie wiem, czy znajdzie się jaki recenzent, któryby zarzut przeciwko uwzględnieniu historyi polskiej w podręczniku dla kl. III miał odwagę publicznie podnieść. Na dzieje austryackie polska młodzież i polska szkoła, tylko z polskiego, a nie z niemieckiego lub czeskiego i węgierskiego punktu widzenia winna patrzeć! To jest dogmat dydaktyczny, od którego w dzisiejszych czasach żadnemu poważnemu dydaktykowi-wychowawcy odstąpić nie wolno.

Historya jest nauką prawdy, podręczniki więc historyczne nie powinny zawierać nic sprzecznego z prawdą. Podręcznik elementarny zdaniem Lessinga [2]) może bezpiecznie ten lub ów nawet ważny moment w tej umiejętności, której jest poświę-

[1]) *Pattai, Das klassische Gymnasium und die Vorbereitung zu unseren Hochschulen.* Rusch Methodik des Geschichtsunterrichts str. 10.

[2]) *Erziehung des Menschengeschlechts,* § 26.

cony, opuścić, o ile jego autor pedagog przekonany jest, że przekracza pojętność uczniów, ale żadną miarą nie powinien nic zawierać, coby przeszkadzało zrozumieniu pozostałych w nim ważnych momentów, coby sprzeczne było z duchem prawdy historycznej, jak dodaje Jäger.

Zastrzedz atoli należy, że podania nie są sprzeczne z historyą. Podanie o wojnie trojańskiej, o przygodach bohaterów, jak Herkules, Tezeusz, o królach rzymskich są ważną częścią składową świata klasycznego, chociaż w przeważnej części są bajeczne. Między podaniami dalej należy robić różnicę: inną wartość mają podania o wojnie trojańskiej, o Heraklesie, Tezeuszu, o Popielu i Piaście, a inne podania o Cyrusie i Astyagesie, o Semiramidzie i Ninusie, o pierwszych królach rzymskich, o naszym Lechu i Leszkach, o Wandzie i Krakusie lub o Wilhelmie Tellu. Tamte są rzeczywistemi podaniami, zawierającemi jądro prawdy, te ostatnie fabrykatami wyłącznie fantazyi późniejszej. Przy pierwszych wystarcza zaznaczyć, że są podaniami, przy drugich należy stwierdzić, że są wymysłami niezgodnymi z prawdą dziejową. Ale nie o podania czy rzeczywiste, czy zmyślone nam przy omawianiu prawdy w podręcznikach historycznych chodzi. Podręczniki mogą je uwzględnić, byle podawały je za to, czem są. Wspomniany Oskar Jäger domaga się, by podręczniki dla niższych klas były poczytnie napisane, zastrzega się równocześnie najenergiczniej przeciwko niegodziwym podręcznikom, które w tonie nowelistycznym zmysł dla historyi, t. j. zmysł dla prawdy u samych korzeni niszczą.[1]) Elementarna nauka historyi niema służyć zabawie, ale nauce, ma wpoić pewne *quantum* wiedzy, a równocześnie w uczniach rozwinąć zdolność operowania tą wiedzą. Co jednak z tych zasad reformatora nauki elementarnej historyi zastosowano w naszych najnowszych podręcznikach? Zaledwie część ustępów z pewnemi zastrzeżeniami nadaje się do rzetelnej nauki, reszta zawiera albo błędne skróty, albo barwne szczegóły, albo z fantastycznych szkiców lub powieści historycznych wybrane opisy, nadające się do czytanki, nie zaś

[1]) *Bemerkungen über den geschichtlichen Unterricht.*

jako materyał podręcznikowy. Wobec szeregu opowiadań w naszych podręcznikach, napisanych w tonie nowelistyczno-biograficznym, wysuwa się na pierwszy plan pytanie, czy wolno w podręcznikach historycznych umieszczać ustępy wzięte żywcem z fantastycznych szkiców historycznych lub powieści historycznych? Zdaniem mojem najfatalniejszem uchybieniem dydaktycznem w podręczniku historycznem są właśnie obrazki, wzięte żywcem nie ze źródeł, lecz z literackich szkiców, nowel i powieści historycznych. To przecież nie jest prawda dziejowa — to *Dichtung und Wahrheit*. Taka *Dichtung und Wahrheit* z życia średniowiecznego miasta, klasztorów lub dworu rycerskiego nad falami Lewanty, choćby była najbarwniej napisana, nie może być karmą naukową dla naszej polskiej dziatwy, podstawą naukową dla uczniów 13 lub 14-letnich i przygotowaniem do pragmatycznego i trudnego podręcznika prof. Zakrzewskiego. Jeżeli autor podręcznika, chcąc przedstawić średniowieczne miasto, posługuje się genetycznym opisem zamiast schematycznym, postępuje całkiem słusznie.

Już Homer znał wysoką wartość genetycznych opisów, a nowoczesna metodyka historyi takie opisy gorąco zaleca.[1]) Jeżeli jednak ten genetyczny opis miasta we formie zwiedzania przez chłopów średniowiecznego miasta w czasie jarmarku zawiera takie kurioza, jak witanie jarmarku przez wszystkie dzwony kościelne na hejnał, dany z wieży ratuszowej, jak sprzedaż przez obcych kupców kanap, materacy i łóżek z baldachinami, jak uwolnienie środków żywności od opłat, jeżeli łączy w jednym dniu i jarmark i strzelanie do kura i posiedzenie Rady miejskiej i sądy ławnicze i t. d., jeżeli przy opisie zamku średniowiecznego ubiera średniowieczne rycerstwo w barokowe stroje z końca XVI. wieku i każe w XIII. wieku posługiwać się mu widelcami, które weszły w użycie dopiero w wieku XVII, tedy naprawdę mamy tutaj chaotyczny obraz pełen rysów nieprawdziwych i anachronizmów — to przecież nie miasto średnio-

[1]) Neubauer: *Unterricht der Geschichte*, str. 11. *O. Jäger. Didaktik* str. 51.

wieczne lub życie średniowieczne, to wykoszlawiona jego karykatura.

Nie można nic mieć przeciwko temu, jeżeli autor podręcznika, opisując turniej średniowieczny, posługuje się źródłem poetycznem z XIII. wieku, choćby Ulryka Lichtensteina fantastycznym opisem turnieju we Friesach z księgi VI. rycerskiej opowieści pod tytułem *Frauendienst.*[1]) Korzystając jednak z fantastycznego opisu poety, winien zbadać, co w tym opisie jest prawdą historyczną, a co wymysłem poety. Wszak krytyczna analiza już dawno wykazała,[2]) co poeta z rozmysłu skomponował, a co wiernie podał z osobistych wspomnień. Jeżeli autor podręcznika historycznego nie tylko te wymysły poety podaje jako autentyczne rysy średniowiecznego turnieju, ale, co gorsza, podaje ono nie ze źródła, lecz z nowelistycznie już przykrojonej przeróbki z drugiej lub trzeciej ręki, ubarwionej skomponowanemi odezwami i datami, tedy mamy do czynienia z niedozwoloną w podręczniku historyi nowelistyką, a nie obrazem rzeczywistego życia średniowiecznego. Tego rodzaju opisów nie może tolerować nauka historyi w szkole średniej, aczkolwiek pod względem formalnym znajdują one uznanie słuszne ze strony jednego z nielicznych znawców metodyki historyi u nas, dyrektora Sobińskiego. Coś podobnego w podręczniku szkolnym umieszczono pierwszy raz w Galicyi.

Przyznam się, że takie żywe, barwne opowiadania i genetyczne opisy ogromnie są interesujące i ożywiają młodzież. Nie znam piękniej przedstawionego zgromadzenia ludu ateńskiego na Pnyx, jak w opisie Hamerlinga w Aspazyi, sejmiku polskiego, jak w *Panu Tadeuszu*, albo uczty rzymskiej, jak w *Quo vadis* Sienkiewicza. Powieści te it. p. zalecają też dydaktycy zagraniczni uczniom bardzo a bardzo, dalej barwnie i w nowelistycznym tonie napisane opowiadania i szkice historyczne, ale nie jako materyał podręcznikowy, lecz jako środki

---

[1]) Ludwig: *Tieck Frauendienst*, str. 31.

[2]) Reinhold Becker: *Wahrheit und Dichtung in Ulrich von Lichtensteins Frauendienst*, str. 1 do 25.

pomocnicze do ożywienia nauki historyi po bibliotekach uczniów; tam ich miejsce właściwe, ale nie w podręczniku szkolnym. W podręczniku historycznym środkiem do ożywienia nauki może być nie dzieło fantazyi, lecz barwne źródło historyczne. Jak można źródła wyzyskać do nauki historyi nawet w I kl., pokazali znakomicie w całym szeregu ustępów autorzy najnowszego podręcznika dla kl. I. Po co więc podali fantastyczny obraz obrony Zbaraża z powieści Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*, kiedy mogli znaleźć prawdziwy obraz, nie tak może efektowny w pamiętnikach XVII?

Jak można wyzyskać nawet powieści historyczne w podręczniku umiejętnie, przykład tego daje nam jeden z podręczników włoskich, a mianowicie wspomnianego Rossi: *Breve Corso* i t. d.

Obok tekstu ściśle naukowego podaje autor po każdym okresie barwne wyimki ze źródeł, a po nich czytanki z utworów poetycznych i powieściowych, między niemi kilkakrotnie ustępy z Sienkiewicza *Quo vadis*. W ten sposób jest dokładnie materyał naukowy od źródłowego i fantastycznego oddzielony i odpowiednio do celów nauki wyzyskany. Czy wogóle jednak z powieści historycznych nauka historyi nawet na najniższym stopniu jakąś korzyść wynieść może, to wielka kwestya. „Tylko naiwny dyletantyzm twierdzi, zdaniem O. Jägera, że z powieści można się nauczyć historyi".

Dla barwnego przedstawienia przeszłości nie potrzeba uciekać się do powieści historycznej, wystarczy tylko głębiej sięgnąć do skarbnicy naszych źródeł dziejowych, takiego Galla, Janka z Czarnkowa, Długosza, Górnickiego, Paska, Kitowicza i t. d., a tyle znajdziemy tam barwnych obrazów, że nie potrzebujemy uciekać się w nauce ścisłej, jaką jest historya, do *Dichtung* do wymysłu choćby najgenialniejszych autorów. Wyzyskali barwność źródeł dziejowych do nauki historyi na niższym stopniu znakomicie Szwedzi, zwłaszcza wspomniany wyżej Löw w podręcznikach historyi dla szkół realnych, to znaczy naszych niższych klas szkoły średniej, dlaczego i my nie możemy ich wyzyskać? Pocóż lekcyę historyi zamieniać na lekcyę literatury fantastycznej? „Skrzy się" pisze do mnie jeden z wybitniejszych histo-

ryków nowszej generacyi, „Bujak w swem dziele „*Galicya*“, że szkolnictwo nasze zanadto krzewi literaturę — do podręczników nowych historycznych, napisanych biograficzno-nowelistyczną metodą, ten zarzut przedewszystkiem się stosuje. Że one do obniżenia poziomu nauki historyi w naszych szkołach średnich wobec zagranicy głównie się przyczyniają, to nie ulega wątpliwości tak samo, jak, że z nich wiele wiadomości nie wynoszą uczniowie, a zwłaszcza przygotowania należytego do wyższego stopnia nauki na podstawie znakomitego co do treści, co do formy jednak niedopasowanego dostatecznie do poziomu umysłowego naszych uczniów podręcznika Zakrzewskiego z tej prostej przyczyny, że autor nie miał sposobności sam go wypróbować na uczniach, dla których jest przeznaczony.

Jeżeli dalej nauka historyi jest nauką prawdy, tedy także szerokie uwzględnienie w niej obrazów historycznych choćby nawet Matejki, nie mówiąc o fantastycznych ilustracyach takiej koronacyi Karola W., chaty germańskiej, napadu Madziarów, wjazdu Leopolda V. do Wiednia po powrocie z wyprawy krzyżowej, wyboru Przemyśla na księcia czeskiego w podręczniku III kl. budzić musi poważne wątpliwości. Mam pod ręką podręcznik niemiecki Seyferta *Geschichtsbuch für Anfänger*, a więc podręcznik dla uczniów 9—10-letnich. I tu są piękne ilustracye, są ilustracye z fantazyi stworzone najnowszych malarzy, ale tylko do wypadków podaniowych, bajecznych się odnoszące. Są ilustracye do podania o Walterze i Hildegundzie, o Rabenschlacht, o Zygfrydzie i Krymhildzie, o Kudrunie lub Walhalli, ilustracyi do wypadków historycznych nie podał jednak historyk niemiecki, chociaż miał wspaniałe obrazy genialnego Kaulbacha, jak „*Hunnenschlacht*“ lub „*Zburzenie Jerozolimy*“ i tyle innych do dyspozycyi. Powściągnął go bowiem takt dydaktyczny, że w nauce prawdy, jaka jest historya, choćby najgenialniejszych wymysłów artysty lub poety podawać nie wolno. Są przecież pomniki dziejów, są współczesne dzieła architektury, tej skamieniałej historyi, są autentyczne wizerunki działaczy dziejowych, dlaczego ich nie wyzyskać zwłaszcza w III kl., gdzie się już traktuje

historyę na seryo. Zarzucano jednemu z autorów podręcznikowych, że ilustracye umieścił na końcu podręcznika. Uczynił on to zgodnie z przyjętą w ostatnich czasach zasadą, że ilustracye okazywać należy po przedstawieniu faktu lub opisu, gdyż inaczej uwaga uczniów przy wykładzie się rozprasza[1]). W ostatnich też czasach w Niemczech wydane podręczniki mają ilustracye nie w tekście, lecz w dodatkach na końcu, co także ze względów praktycznych i doborze papieru do ilustracyi się zaleca.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę na jeden moment niesłychanie charakterystyczny dla nas, a mianowicie zapytać się: „Kto pisze za granicą historyczne podręczniki dla szkół, a kto je pisze u nas? Mam kolekcye najważniejszych podręczników, używanych w krajach europejskich; wszystkie one prawie pisane są przez rutynowanych długoletnich szkolników, dyrektorow, lub profesorów szkół średnich. A jeżeli się znajdzie przypadkiem jaki profesor uniwersytecki, jak n. p. sztockholmski Boethius, to z pewnością ma on za sobą kilkoletnią praktykę w szkole średniej. Kto u nas od lat 20 pisze podręczniki historyczne? Fachowych historyków i szkolników, piszących dla uczniów, których sami uczą, zaledwie 4. Pisali u nas podręczniki głośni uczeni, profesorowie uniwersyteccy i bibliotekarze, pisali literaci i poloniści, pisze w ostatnich czasach podręczniki dla uczniów płci brzydkiej nawet płeć piękna, a jednak i to nie wystarcza modernistycznej galicyjskiej krytyce. Na każdym kroku słyszeć można, że podręcznika historycznego na niższe klasy nie powinien pisać historyk, lecz literat lub polonista. Niedawno słyszałem ze strony bardzo poważnej twierdzenie, że najbardziej ukwalifikowanym autorem podręcznika dla I-szej klasy byłby poeta Rydel. Osobiście cenię wysoko twórcę „*Zaczarowanego koła*“ i „*Trylogii*“ i życzę mu, by literaturze przysporzył dzieł podobnych jak najwięcej, nie życzę mu jednak, by się przedzierzgnął w autora podręcznika historycznego dla szkół średnich w myśl zasady „*sutor ne ultra crepidam*“, chyba, że zechce zdać egzamin na historyka, popracować rzetelnie co

[1]) Kreutze: *Geschichtliche Lehrbücher.* Rein: *Encyklopädisches Handbuch,* III, l. 465.

O człowieku na ziemiach polskich.

(Dokończenie).

Przechodzimy teraz do innych ludów dzielnic wschodnich, Litwinów, stanowiących wespół z Litwinami właściwymi (zamieszkującymi część zachodnią gub. Kowieńskiej i Wileńską), Żmudzinami (gub. Kowieńskiej) i Łotyszami (półn. części Kowieńskiej i zachodniej Witebskiej) jedną etnograficzną grupę, obejmującą około 2½ milion. ludności. Są oni wzrostu nie wysokiego, wyższym wyróżniają się Łotysze, a niższymi są przy krępszej budowie Żmudzini, typu jasnego, o płowej skórze, blond włosach, o oczach błękitnych. Czaszkę mają dosyć rozwiniętą w długość więcej niż Polacy, twarzy długiej i wązkiej, o nosie prostym i rysach mało regularnych. Druga grupa ludności bardziej posunięta na południe i wschód to Białorusini, których można podzielić na Wschodnich (osiadłych w gub. Witebskiej, Mohylowskiej, Smoleńskiej i w części Czernichowskiej), wyznania przeważnie prawosławnego i podpadłych w znacznej części kulturze wielkorosyjskiej i zachodnich, zasiedlających środkowy bieg Niemna aż po Prypeć i Dniepr (w części gub. Wileńską, Grodzieńską i Mińską) ku południowi przechodzą oni do północnej części Wołyńskiej i Kijowskiej, gdzie ludność ta zlewa się z południową rusko-ukraińską, z osiadłą w powiatach Równieńskim, Owruckim, Kowelskim, Radomyślskim, Mozyrskim i Pińskim) t. zw. ludność, poleską. Ludność zachodnio-białoruska w znacznej części katolicka, lub była Unicka, podpadła wpływowi języka i kulturze polskiej, wynosi prawie 4 miliony. Jest to jak chcą niektó-

rzy najstarsza ludność słowiańska osad Nadniemeńskich. Czaszki współczesnej ludności białoruskiej przypominają bardzo kurhanowe swem kształtem z IX—XIII w., co zdaje się wskazywać, że są ich potomkami. Nie wysokiego wzrostu, dosyć słabej budowy, o bladej, płowej, jakby obrzękłej twarzy, o typie jasnym, nieco jednak ciemniejszym od litewskiego, włosach jasnoszatyn, oczach błękitnych i często zielonawych, czaszce nieco szerszej niż litewska, też pośredniogłowej i twarzy wydłużonej. Typ taki w znacznej części przemieszał się z Litwinami i Polakami i wytworzył odrębny białorusko-litewsko-polski bardzo rozpowszechniony na Litwie i Białorusi, jak również pośród ludności Wilna i okolic. Słabej budowy głęboko osadzonych oczach, nieregularnych rysach; przy melancholijnym wyrazie twarzy pewnej łagodności i rezygnacyi nie ujętych cyrklem, ani opisem, na które zwracało uwagę wielu przygodnych spostrzegaczy. Może to rezultat wiekowych cierpień i walk staczonych wciąż z wrogiem, w imię wiary i ideałów!

Ku południowi idzie pas ludności poleskiej, wytworzonej mieszaństwem ludności białorusko-ukraińskiej, na Wołyńskiem i Ukraińskiem Polesiu przeważają typy Ukraińskie, w Mińskiem białoruskie.

Południe dzisiejszej Rosyi, wschodniej Galicyi i część wschodnich Węgier zajmuje ludność Południowo-ruska, przezwana dziś Ukraińską. Ośrodkiem jej najstarszym jest Wołyń i Galicya wschodnia, skąd się dalej na Dniepr i następnie mieszając się z osadami tatarskiemi, kolonizowała stepy naddnieprzańskie. W skutek tego mieszaństwa, Ukraińcy prawo-brzeżnej Ukrainy, czyli t. zw. zachodni, różnią się typem od ludności nowo osadniczej wschodniej lewego brzegu Dniepru. Ukrainiec o wiele silniejszej budowy niż Białorusin, wyższego wzrostu, mężniejszy, o lepszym układzie mięśniowym, typ ma ciemniejszy, skórę śniadą, włosy częściej brunet, lub ciemno-szatyn, oczu błękitnych, lecz nieraz i piwnych, wyraźnie krótkogłowy, o czaszce szerokiej, czole szerszem, twarzy krótszej.

Główne cechy fizyczne pozwalają podzielić nie etnograficznie, a terytoryalnie ludy nasze na dwie grupy. Północną, do której

zaliczamy: półn. Polaków, Białorusinów i Litwinów, a pod względem niektórych cech Wielkorosyan, do drugiej zaś południowej: Polaków południowych, Ukraińców, a po części górali ruskich i Czechów.

Względnie do fizycznego ustroju obu grup, różnią się one i charakterem duchowym. Polacy północni, Litwini i Białorusini zamieszkali na znaczniejszych płaszczyznach, wśród lasów, w klimacie surowszym, gdzie walka z żywiołami była większą, ziemia płaszczysta i gorsza, a więc uprawa jej trudniejsza, wytworzyła to w mieszkańcach uboższego Mazowsza, lub Litwy większą gospodarność i zdolność kolonizatorską, która ich zagnała do odległych kresowych stepów Rusi południowej. Północny Polak obok większej pracowitości jest zręczniejszy w ruchach, ma proporcyonalniejszą budowę ciała, co nadaje tak mężczyznom jak i kobietom pewne cechy arystokratyzmu w rodzinie ludów słowiańskich. Charakter północnej grupy bardziej flegmatyczny, posępny, nie lubuje się tak w muzyce, pieśni, zdobnych ubiorach o barwach jaskrawych, skarbnica ich wierzeń uboższą jest w fantastyczne opowiadania o bohaterach i duchach, a sztuka ludowa ogranicza się na ozdobach o prostych liniach, przy braku bogatej ornamentacyi, przypominającej wielce swym charakterem północno-fińską.

Inny charakter spotykamy w grupie południowej, a mianowicie u południowych Polaków i Ukraińców, klimat cieplejszy, góry i bogatsze w krajobrazy lub stepy pokryte latem bujnym kwieciem, wreszcie ziemia urodzajniejsza, pozwoliła tu ludziom bardziej oddawać się marzeniom, które przejawiły się czy to w bogatszej fantazyi ludowej, w podaniach i legendach, czy to w pieśniach lub w stylu i ornamentach bardziej skomplikowanych. Krakowianin południowiec jest charakteru żywszego, mniej gospodarny, pamiętający o jutrze, wesołość i lekkomyślność, a z niemi idące w parze pieśń, taniec, szczególne zamiłowanie do stroju, do błyskotek i barw jaskrawych. Bo też Krakowianie, lub Sądeczanie nie dali się pod względem piękności stroju męzkiego, lub kobiecego jak również tańca, nikomu ze Słowian wyprzedzić, tyle w tem piękna i harmonii. Wiele

legend i wierzeń zaciera stopniowo czas i wszystko podkopujący prąd kosmopolityczny, ginie też stopniowo bogata i słynna ornamentyka na chustkach i na sprzętach chaty krakowskiej.

Ukrainiec wyróżnia się od południowego Polaka temperamentem powolnym, podejrzliwym i zamkniętym, lecz poza nim kryje się dowcip nieraz cięty i niepozbawiony humoru, niema w nim jednak tej szczerości i otwartości Polaka, bogata skarbnica wierzeń, legend i podań jak również pieśń ludowa owiane pewnym smutkiem i tęsknotą. Smętną nuci dumkę czumak ukraiński, ciągnący przez stepy przy akompaniamencie skrzypiącego wozu na drewnianych osiach, zaprzężonego siwymi wołami, a tak przypominającą pierwotną rzewną pieśń dzisiejszego Mongoła. Ukrainiec rozweselony, w taniec wkłada całą swą duszę. Nie jest to pląs lekki krakowiaka, ale cięższy, bardziej dziarski kozak, mający w sobie cechy mołojca walczącego na kresach. Ukrainiec nie kocha się w doborze barw i piękności stroju, pod brunatną świtą, całą ozpobę stanowi koszula jak u mężczyzn tak też u kobiet, wyszyta, charakterystyczna bardzo bogata ornamentacya, nie ustępująca innym południowo-słowiańskim ludom.

Szczególny animusz i temperament cechuje górali, przechowujących pierwotne formy słowiańskie w mowie, obyczajach, ornamentyce, ubiorach, sprzętach domowego użytku, a wreszcie we właściwym sobie stylu budowy, który rozpowszechnił się u nas szeroko jako styl polski. Jeszcze bogatsze są wierzenia, legendy, przesądy, pieśni, z których wiele zachowało swą pierwotną prostotę, pozwalając nam dotąd przenikać w świat wewnętrzny górala.

Przechodzimy teraz do omówienia innych przybyłych ludów kraj nasz zamieszkujących od wieków, których wpływ odnajdujemy tak w typie fizycznym, jako też i życiu duchowem tubylców. Ludy to przeważnie pochodzenia wschodniego, jedni wychodźcy z Azyi mniejszej, jak Ormianie, lub Żydzi, inni jak Muślimowie t. zw. u nas Tatarzy litewscy, są to w mniejszości Tatarzy krymscy przemieszani z krwią ludów pochodzenia mongolskiego z Azyi środkowej, które różnymi czasy, począwszy od

wędrówek narodów, przedostały się do Europy i pędziły życie koczownicze, to nad brzegami Donu i Morza Azowskiego, to w dzisiejszej Bezarabii jak: Nogaje, Budżaki, Czeremisy, Kałmucy i inne plemiona, które się zlały jako dawna klasa niewolnicza z mniejszością klasy uprzywilejowanej tatarskiej i otrzymały nazwę Tatarów.

Ormianie jako kupcy szeroko rozpowszechionego handlu ze Wschodem, przybyli w XVI. w. do wschodnich dzielnic Rzeczypospolitej i tu, wybrawszy za główne swe osady Lwów i Kamieniec, przyjąwszy unię religijną z Rzymem, organizowali się w osobne gminy. Z upadkiem dawnego handlu zajęli się rolnictwem i powoli zleli z miejscową ludnością, zachowując tylko nazwę, a utraciwszy odrębność etnograficzną. Ormianie do organizmu naszego wnieśli wiele cech dodatnich, skrzętność i pracowitość, których szlachcie na kresach wschodnich, zajętej przeważnie rycerskiem rzemiosłem, brakowało. Dziś typu ormiańskiego można dopatrzeć się w rysach twarzy niektórych rodzin wschodniej Galicyi lub Podola, w ciemnym typie, wydłużonej twarzy i charakterystycznym garbatym, wielkim nosie.

Liczniejsze były kolonie tatarskie, które utrzymały się dotąd w niektórych miejscach, szczególnie na Litwie. Pierwsze wiadomości o Muślimach, niewłaściwie Tatarami zwanych, pochodzą z r. 1397, kiedy to W. Ks. Witołd sprowadził ich jako niewolników i osadził nad rzeką Waką pod Wilnem i w innych miastach litewskich. Mówiłem już, że nie byli to właściwi Tatarzy, lecz koczujący Nogaje, Budżaki i inne plemiona, które nieustannie napadały, szczególnie na południowe prowincye jak Podole i Ukrainę, rabowali miasta i uprowadzali jeńców. Niektórzy z nich osiadali i zlewali się z miejscową ludnością. Mieszaństwo z nimi już późniejsze, niż na południu, spotyka się na Litwie szczególnie wśród szlachty, wiadomo bowiem, że niektórzy z Muślimów za czasów rzeczypospolitej korzystali z indygenatów szlachectwa i władali ziemią. Na Rusi i na Podhalu dawne osady mniejsze częściowo zlały się z miejscową ludnością i nie można niedopatrzeć wśród niej wyraźnych cech mongolizmu w wydatności jarzm, w fałdach ocznych, skośnie stojących oczach, lub w pła-

skiej potylicy. Dotąd utrzymały się jeszcze na Litwie osady t. z. Tatarów po wsiach, jak pod Wilnem Waka, Rejże Soroktatary i t. d. lub po miastach, w Wilnie, Kownie, Mińsku, Mirze i t. d., powstały one z czasów wojennych, gdy przesiedlano ich całemi usułami jako niewolników, lub dobrowolnych osadników z obowiązkiem bronienia kraju. Stanowili oni straż pograniczną i przyboczną W. Książęcia, tworząc pułki w rodzaju kozackich, lekkiej kawaleryi, bili się nieraz z hufcami polskimi, litewskimi i ruskimi, jak n. p. pod Grunwaldem i słynęli z waleczności i wierności swej dla Rzeczypospolitej. Był czas, że rządy miejscowe, ażeby osadników przywiązać bardziej do kraju, popierały związki małżeńskie z chrześcijankami, przyjmując nazwiska swych żon, pozostawali oni muzułmanami; klasa zaś obywatelska zachowywała nieraz obok nazwisk polskich przyjętych, dawne swe rodowe i tytuły tatarskie. Pomiędzy Muślimami wyróżniają 3 klasy. Pierwszą, najbardziej uprzywilejowaną, są to potomkowie dawnych naczelników, kniaziów, bejów i emirów pochodzenia właściwie tatarskiego, którzy korzystali z jednakich praw ze szlachtą rodową litewską, posiadali dobra nadane przez W. Książąt litewskich i królów polskich. Drugą klasę stanowili muzułmanie plemienia zawołżańskiego, a trzecią był lud pochodzenia nogajskiego, przeważnie jeńcy, lub zbiegi z hord kipczackiego i krymskiego Chaństwa. Wyróżniają się oni i inną fizyczną budową. Klasa dawna uprzywilejowana, właściwi Tatarzy są silnej budowy, średniego wzrostu, zręcznej postawy, ruchliwi i inteligentni, pośredniogłowi, o włosach ciemnych, twarzy owalnej i rysach regularnych. Niższa klasa pochodzenia mongolskiego, niższego wzrostu, krępi i pomimo mieszaństwa wiekowego z miejscową ludnością często zachowują cechy mongoloidne, w wydatnych jarzmach, skośnych oczach i t. d., o czem już mówiliśmy. Wyższa klasa Muślimów przyjęła język i kulturę polską, niższa język i kulturę białoruską. Rząd rosyjski po r. 1863 w celach politycznych wszystkim, wyznającym mahometanizm na Litwie, nadał szlachectwo, co w znacznej mierze przyczyniło się do ich rusyfikacyi, wielu urzędników wojskowych, a szczególnie znaczna część policyi rekrutuje się z tatarów, którzy pod wzglę-

dem kultury i sumienności mają pierwszeństwo przed Rosyanami, a na ich pochwałę należy dodać, że często poczuwają się do moralnego związku z krajem, są względniejsi w wykonywaniu wyjątkowych praw, jakie rząd zastosowuje w prześladowaniu miejscowej ludności. Wszystkich muzułmanów przeważnie na Litwie, jak również na Wołyniu i Podolu obliczają na przeszło 6½ tys. W tem do 720 obywateli ziemskich, szlachty okolicznej Muślimów, do 1310 i przeszło 4½ tys. zamieszkuje miasta, miasteczka i osady.

Przechodzimy teraz do Żydów. Zanim rozpatrzymy ich jako rasę, w kraju naszym osiadłą, chcemy krótko omówić sektę żydowską Karaimów, mającą dziś bardziej historyczne znaczenie[1]). Jednocześnie z osiedleniem się t. zw. Tatarów datuje się czas przybycia na Litwę Karaimów. Ks. Witołd w r. 1402 przesiedla 383 rodziny i osadza je w swej stolicy. Trokach, a następnie w Łucku i Haliczu, nadając im pewne przywileje, chociaż nie wyróżniając ich od reszty Żydów. Następuje to dopiero później. Karaimi toczą długą walkę z Rabinitami-Żydami już pod rządami Kosyjskimi w XIX. w. czas jakiś, szczęście zdaje się im sprzyjać, nie zastosowywano do nich praw wyjątkowych, a główna największa osada na Litwie Troki, od czasów Witoldowych miała ten przywilej, że ludność żydowska nie mogła tam osiadać, handel więc i przemysł w Trokach był w rękach Karaimów. Po r. 1863 w czasie wszechwładztwa praw Murawiowskich zniesiono tę wyłączność, napływają Żydzi do Trok, zagarniają w swe ręce cały handel, skutkiem tego następuje zubożenie i upadek gminy karaimskiej; Karaimi jako ludność mniej przedsiębiorcza, niezdolna stawić oporu Żydom, uległa w walce i rozprószyła się po całej Litwie. Obecnie w Trokach gmina karaimska dochodzi zaledwie do 500 osób.

Karaimi cieszą się u nas powszechną sympatyą i mają opinię ludzi nie bystrych, lecz pracowitych i uczciwych. Od dawna

[1]) Nazwa Karaimów v. Karaitów pochodzi od słowa „Kara“ oznaczające pismo św., t. j. prawo, którem się rządzą, odrzucające wszystkie naleciałości przechowywane w ustnem podaniu, z których wyrosła później wiedza talmudystyczna przyjęta przez ogół żydów-rabinitów.

trudnili się furmanką i ogrodnictwem i pomimo ubóstwa, kradzieże u nich są rzadkie, a Czacki jeszcze zaznacza, że pomiędzy nimi nie było szpiegów. Język turecki jest ich językiem liturgicznym i nim się wielu posługuje, wszyscy mówią po polsku, a młodsi i po rosyjsku. Wzrost mają podobny jak Żydzi-Rabinici, dosyć nizcy, typu ciemnego, skórę ciemną, włosy brunet, lub siemno-szatyn, a oczy piwne. Typ ciemny jest przeważającym i wybitniej występuje niż u Żydów. Czaszki mają pośredniogłowe, mniej krótkogłowe od ich współplemieńców na Krymie i Żydów. Twarz też mają dłuższą i szerszą od nich, nos węższy, często garbaty, jakby w końcu kruczkiem zagięty, przytem mocniejszej budowy i wykazują większą skłonność do otyłości.

Karaimi litewscy przedstawiają przy tem bardziej jednolitą antropologicznie budowę niż żydzi, zbliżają się oni typem do Tatarów krymskich, pośród których niegdyś zamieszkiwali, a z Żydami rabinitami takież podobieństwo jak z Persami, Ormianami, Gruzinami i innymi ludami Azyi mniejszej. Wszystkie te jednak ludy wespół z Karaimami pomimo podobieństwa z sobą i do Żydów nie posiadają tej nieuchwytnej cechy fizyognomii Żyda, która nie poddaje się dodąd żadnej metodzie badawczej, a jednak istnieje i wyróżnia Żyda nietylko pośród narodów słowiańskich i europejskich, ale i pokrewnych mu Azyi mniejszej. Jest to typ, który Jacob ochrzcił wyrazem „*Ghetto*“, a który przechodzi z pokolenia do pokolenia jako wytwór wiekowego prześladowania, praw wyjątkowych, i nieustannej walki o byt i życie. Karaima oprócz pewnych cech fizycznych, wyróżnia od Rabinita usposobienie bardziej wschodnie, apatyczne, ciche, charakter nieprzedsiębiorczy.

Żydzi należą do najbardziej licznego obcego krwią i pochodzeniem plemienia wśród nas osiadłego. Stanowią oni $5\frac{1}{2}$ mil. t. j. $\frac{2}{3}$ całej ludności na kuli ziemskiej. Żydzi są bardzo niejednostajnie wśród nas rozsiedleni, stanowią w Królestwie Polskiem, Galicyi, na Litwie i Rusi od 13 — 14%, w Wielkopolsce, Poznaniu i Śląsku nie przewyższa ich ludność $\frac{3}{4}$%.

Wielce różne są poglądy na jednolitość rasy Żydowskiej. Niektórzy autorowie, idąc za podaniem, wyprowadzają Żydów

z dwóch gałęzi stosownie do krajów, przez które wędrowali; a mianowicie: Sefardów, stanowiących mniejszość, a mających osiąść w krajach południowych w Hiszpanii i Portugalii, skąd większość ich t. z. Spagnoli powędrowała na północ do Anglii, Holandyi i na półwysep bałkański. Tak zwani Aszkenazi najliczniej zasiedli środkową i północną Europę, Niemcy, Polskę i Rosyę, przybywając tu częściowo przez Krym i Kaukaz. Ztąd wyprowadzono teoryę, że Żydzi sefardyjscy są potomkami Semitów a aszkenazyjscy pokrewni aryjczykom, ze źródeł Jonrdusu i że są mieszańcami z rozmaitymi ludami: Niemcami, Słowianami Tatarami, Finami. Pomiędzy Żydami wyróżniamy dwa typy, jeden liczniejszy niższego wzrostu, ciemniejszy, niekiedy o kręconych włosach, krępszy, któremu właściwy temperament żywszy i życiowa praktyczność, drugi typ jaśniejszy, wyższego wzrostu, wysmukły, o błękitnych oczach, przypominający typ środkowo-europejski, mniej zbliżony do semickiego. Przedstawiciele tego typu różnią się i charakterem bardziej flegmatycznym, mniej uzdolnieni do działalności praktycznej, a bardziej ideowej, wielu inpretatorów Talmudu są przedstawicielami tego typu. Zauważono, że w czasie ostatniej rewolucyi w Rosyi więcej Żydów blondynów brało w niej udział.

Teorya o przybyciu do Europy Żydów w ostatnich paru dziesiątkach lat wciąż się zmieniała. Różne były poglądy i sprzeczne zapatrywania co do mieszaństwa Żydów z innymi narodami. Gdy jedni starają się udowodnić, że Żydzi są produktem mieszaństwa, inni twierdzą, że są względnie rasą czystą, bo od czasu wyjścia z Palestyny mieszaństwo się przekróciło. Utrzymują, że czystość rasy żydowskiej trwa od $2\frac{1}{2}$ tysiąca lat. Motywuje się to tem, że naród choć rozprószony na ogromnej geograficznej przestrzeni, lecz ściśle związany tradycyą i solidarny, stanowiący mniejszość pośród obcych narodów, jeżeliby się z nimi mieszał, to przez okres czasu tak długi zatraciłby ducha wspólnego i cechy fizyczne i zlałby się w końcu z większością. Wśród Żydów tendencyi do asymilacyi nie widać, upatrują wielkie podobieństwo Żyda współczesnego do średniowiecznego lub do wizerunków Żydów starożytnych na mumiach egipskich.

Trudno się zgodzić, żeby mieszaństwo Żydów miało miejsce tylko w starożytności, nam się zdaje, że krew żydowska mieszała się w pewnej mierze z ludem miejscowym, a więcej jeszcze z klasami uprzywilejowanemi, choć niezawodnie więcej jej wpływało do społeczeństwa chrześcijańskiego, niż odwrotnie. Świadczą o tem fakta historyczne jeszcze do przybycia Żydów do Polski, jak prawo, wzbraniające w VI — VIII w. związków nieprawych i ślubów mieszanych z Żydami we Włoszech i Hiszpanii, dzieci zrodzone ze związków nieprawych z żydówkami zwykle pozostawały u matek. Na Węgrzech żydzi miewali żony chrześcijanki jeszcze w XIII. w., a dzieci z tych małżeństw zrodzone stawały się Żydami.

Przechodzimy do cech fizycznych Żydów. Są oni wzrostu wogóle nizkiego i wszędzie niżsi od miejscowego ludu, przytem zauważono, że tam, gdzie wzrost ludności jest niższym, i żydzi względnie są niżsi i odwrotnie, jak to widzimy w Królestwie Polskiem, w Galicyi, na Litwie i Ukrainie. To samo zresztą stwierdzono w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryi. Cechą Żydowską jest też mniejsza objętość piersi, niż u chrześcian i ogólnie słabszy rozwój fizyczny organizmu, co nie przeszkadza im bardzo się rozradzać i dożywać późnego wieku. Czaszkę mają dosyć długą i mniej szeroką przy wskaźniku czaszkowym t. j. stosunku szerokości do długości czaszki krótkogłowym. Są oni bardziej krótkogłowi niż Polacy z Król. Polskiego, Litwini i Białorusini, lecz mniej niż Ukraińcy i Polacy galicyjscy. Twarz mają częściej wązką i długą, o wązkim rzadziej szerokim prostym nosie. Zwracano nieraz uwagę na kontury nosa u Żydów tak charakterystycznego dla ich fizyognomii zagiętym na końcu i przypominającym liczbę 6. Włosy ciemne, skóra jasna i oczy piwne są połączeniami barw najczęściej spotykanemi. Niektórzy z badaczy twierdzą, że jakoby Żydzi w każdej z dzielnic w której zamieszkują są bardziej zbliżeni do miejscowego ludu słowiańskiego, niż do Żydów innych prowincyi. Twierdzenie jednak takie zdawałoby się przeczyć o czystości rasy żydowskiej i wybitnym typie żyda, który go zasadniczo wyróżnia od wszystkich narodów świata. Można się zgodzić raczej na to, że nie wszyscy Żydzi są

zbliżeni do Semitów t. j. do typu arabskiego o nizkim wzroście, krępej budowie, typie krótkogłowym ciemnym, czarnych, kręcących się włosach i piwnych oczach, niż znajdywać podobieństwo do Słowian. Na zasadzie jedynie wskaźnika czaszkowego nie można upatrywać podobieństwa, gdyż podobny wskaźnik mają różne narody, nie mające z sobą żadnego antropologicznego pokrewieństwa.

U Żydów w starożytności typ długogłowy spotykał się tylko wyjątkowo, w wiekach średnich są oni krótkogłowymi i takimi pozostają dzisiaj. Zwolennicy czystości rasy żydowskiej tłumaczą późniejszą większą krótkogłowość Żydów ewolucyą dowolną czaszek, skutkiem zmieniających się warunków środowiska, przeciwnicy zaś twierdzą, że Izraelici w drodze swych wędrówek ze wschodu zetknęli się z bardziej krótkogłowymi ludami Kaukazu, a następnie Alp, na zachodzie zaś wpłynąć mogli na mniejszą krótkogłowość Żydów długogłowcy, zaludniający brzegi Morza Śródziemnego. W ten sposób wytworzyła się grupa wschodnio-europejska i odmiana jej północno-afrykańska i hiszpańska Żydów.

Jeden z badaczy Żydów Franz Boas w Chicago, na zasadzie ogłoszonych rezultatów badań przydaje większe znaczenie środowisku, t. j. wpływowi klimatu, warunkom życia i otoczenia, usuwając na drugi plan stałość typu i dziedziczność. Twierdzi on bowiem na zasadzie pomiarów, że emigracya traci typ dawniejszy, przyniesiony z kraju macierzystego do Ameryki i w pierwszem pokoleniu Żydzi z Rosyi z nizkich ciemnych krótkogłowców przeistaczają się w wyższych, jaśniejszych, długogłowych, a Sycylijczycy ciemni, wyżsi długogłowcy przemieniają się w niższych jaśniejszych krótkogłowych. Według więc teoryi Boasa ludzie mogą zmieniać cechy tak fizyczne, jak i duchowe. Wiadomości jednak zbierane od lat wielu o emigrantach Europejczykach, przesiedlonych do różnych części świata tego nie potwierdzają, jak n. p. o Bawarczykach na Kaukazie, lub Niemcach we wschodniej Rosyi, Holendrach w Afryce, Kałmykach przesiedlonych z Azyi środkowej na stepy astrachańskie, i t. d. Pomimo tego, że emigracya ta wydała kilka pokoleń, nie różni się ona od ras ma-

cierzystych. Powiem, więcej w budowie szkieletów kostnych, jak również czaszek i twarzy oraz w innych cechach fizycznych znajdujemy wiele podobieństwa pomiędzy mieszkańcami Azyi środkowej, a Indyanami amerykańskimi, pomimo tego, że pierwsi jeszcze w czasach przedhistorycznych, jak mniemają, przeszli przez wschodnią Syberyę i Kamczatkę wyspy Aleuckie i Alaskę, wkraczając na grunt stały Ameryki, a jednak nie zatracili swych cech właściwych. To samo można twierdzić o Żydach, że pomimo ich licznych wędrówek po Azyi małej i Europie, rozprószenia i odmiennych warunków geograficznych łączą ich pewne cechy podobieństwa, jak ze starożytnymi, tak i ze średniowiecznymi Żydami, wykazując przynależność do jednej, wspólnej, etnicznej grupy.

Wynikiem ustroju fizycznego, wpływów fizyologicznych, dziedziczności i środkowiska t. j. historyi, klimatu i t. d. jest duch każdego narodu, przejawiający się w odmiennych zwyczajach, charakterach, obyczajach, pojęciach, wierzeniach i t. d., wreszcie w literaturze ludowej. Każdy naród oprócz swej własnej kultury zapożycza takową od sąsiednich narodów. Szczególnie bogatą jest kultura ludowa w Polsce, która leżąc na pograniczu dwóch światów słowiańskich: wschodniego i zachodniego, przerabiała ją na modłę swojską, zaszczepiając nawzajem swą własną cywilizacyę ludowi ruskiemu i litewskiemu. Z przyjęciem chrześcijaństwa mieszają z niem dawne wierzenia pogańskie, ściera się wpływ kultury kościelnej rzymskiej i byzantyjskiej, oprócz tego wkraczają tu nieraz szczątki przesądów i wierzeń jak przerzucane falą z dalekiego Wschodu aż z Indyi na przykład. Dawniej drogami takiemi były wędrówki narodów i wojny, dziś udogodniona komunikacya, koleje żelazne i stosunki handlowe. Nie mało wierzeń przenieśli do nas Żydzi ze swych wędrówek, jak również od wieków koczujący u nas Cyganie. Cały szerek roznoszonych przesądów zdradza ich indyjskie pochodzenie, jak baśnie o wężach, u nas nie istniejących, zamawiania i zaklęcia. Słowa używane w grach i t. d., w których dopatrzyć się można wpływu języka sanskryckiego. Ślady religijnych pojęć indyjskich co do przesiedlenia dusz spotykamy w wierzeniach ludowych, o pochodzeniu

zwierząt i roślin. Nie mały też wpływ od wieków wywierali na naszą kulturę Czesi, oraz niemieccy koloniści, wreszcie wędrowni Słowacy t. z. „Węgry", roznoszący obok towarów leki, zamawiania i tajemne czary. Nie mały też wpływ wywiera służba wojskowa. Żołnierz, spędzający kilka lat w Niemczech lub w głębi Rosyi, na krańcach obszernego rosyjskiego państwa, wraca do domu, przynosząc język upstrzony mnóstwem naleciałości obco plemiennych, a obok tego przesądy i wierzenia, nieznane dawniej, zaszczepia na gruncie ojczystym. W Galicyi i w Poznańskiem idzie ten prąd z zachodu i południa. W ten sposób wkraczają do nas zwyczaje, wierzenia i przesądy wielko-rosyjskie, kaukazkie, syberyjskie, czeskie, niemieckie i t. d., a my ich udzielamy drogą odwrotną sąsiadom. Wogóle, im dalej na wschód, tem skarbnica wierzeń ludowych obfitszą się staje w przesądy i zabobony, z którymi ściśle się łączą zaklęcia, zamawiania, wiara w siły nadprzyrodzone, w związki żyjących ze światem pozagrobowym w moc sił nieczystych i w uduchowienie żyjącej przyrody. Wierzenia, czerpiące swe początki z czasów pogańskich, utrzymały się silniej na Rusi i Litwie, niż w Polsce, na którą bardziej oddziaływały wierzenia średniowieczne i chrześcijańskie, wpływ dworu, duchowieństwa. Wszystkie te, tak różnorodne czynniki złożyły się u nas na wytworzenie kultury ludowej.

Samodzielna kultura ludów naszych rozwijała się bogato do XVI w., wespół z rozkwitem nauki i sztuki; z upadkiem ich, ujarzmieniem ludu w poddaństwo, następuje zubożenie, upadek sił fizycznych, a razem z tem zamarcie ducha. Po trzech wiekach niedoli wiek XIX. przynosi wprawdzie ludowi wyzwolenie, polepszenie bytu materyalnego i fizyczne odrodzenie (wyrażające się lepszem odżywianiem, zwiększającym się wzrostem, przyrostem objętości piersi, mocniejszą budową i t. p.) lecz duch jego samoistny już się nie odrodził, a poszedł innemi drogami, oddalając się coraz bardziej od tej prastarej kultury, na której wzrastały całe szeregi pokoleń. Nowe prądy kulturalne, zrównanie stanów, emigracya, zetknięcie z zachodnią Europą i nawet Ameryką przyczyniają się do zagłady samorodnej kultury, którą pochłania wszystko niewelujący, szablonowy prąd kosmopolityczny.

Badania, dotyczące człowieka pozostawały u nas przez czas długi w zupełnym zastoju. Od lat zaledwie kilku jest nadzieja, że wejdą na lepsze tory, przynosząc obfitsze rezultaty. Powstają bowiem w Krakowie aż trzy pracownie. Pierwszą z nich, w której badany jest ustrój fizyczny to zakład antropologiczny Uniw. Jagiell., zgromadzający szczątki ludzkie, jak kości, tak też miękkie części, preparaty małp, fotografie typów ludzkich, odlewy gipsowe, instrumenty do badań potrzebne it. d. Kultura przedhistorycznego człowieka będzie wkrótce reprezentowaną w nowourządzonem muzeum w gmachu Akad. Um., a znikająca współczesna kultura ludów ziem naszych, kultura, na której wzrosły całe szeregi pokoleń, znalazła schronisko w Muzeum etnograficznem w gmachu poseminaryjnym Św. Michała na Wawelu. Jeśli nasi pobratymcy w krótkim czasie zdołali stworzyć duże muzeum ziem czeskich w Pradze, obejmujące Czechy, Morawę i Ślązk, w krajach, w których dawna kultura zdawała się ginąć, to nie wątpimy w to, że przy pewnem staraniu zgromadzimy o wiele więcej materyałów z tej skarbnicy, jaką przedstawiają ziemie polskie, Litwa i Ruś. A teraz powiem, że rozwój tego muzeum powinien leżeć na sercu tych wszystkich, którzy się poczuwają za Polaków, by wedle możności i sił przyłożyli rękę do ogólnego dzieła, zgromadzając cenne przeżytki, ratując je od zagłady. Zwiększenie zbiorów, które w przyszłości staną się własnością publiczną, powinno interesować całe nasze społeczeństwo. Ucząc się i studyując te przedmioty sprawimy, że przestaną one być martwymi i nic nie mówiącymi gratami, duch ludzki je ożywi, każdy z przedmiotów do nas przemówi i wyjaśni nam nie jedno wierzenie, pojęcie, lub zwyczaj ludu i wykaże drogi, któremi szła i rozwijała się dusza narodu.

J. Talko-Hryncewicz.

Stefan II. biskup Lubuski

1316 — 1345.

(Szkic historyczny).

Postać biskupa Stefana Lubuskiego, zajmuje nas dlatego więcej, niż życiorysy innych biskupów tej dyecezyi, ponieważ jest ściśle związana z ówczesnemi dziejami Polski, zwłaszcza ze stosunkami, jakie łączyły i zbliżały Władysława Łokietka do papieża Jana XXII. oraz z walką tych dwu z cesarzem Ludwikem Bawarskim i jego synem Margrabią Brandenburskim. Od roku 1316, w którym pierwsze mamy wiadomości o Stefanie II., do 1345 r., w którym zakończył życie, widzimy go biorącego nieraz czynny udział w zdarzeniach historycznych pierwszej połowy XIV. w. Jest on bardzo charakterystyczną postacią swego czasu, a działalność jego rozgrywająca się na tle zajść, nieraz tak bardzo zawikłanych, przyczynić się może przy bliższem jej poznaniu do oświetlenia i zrozumienia ducha i zdarzeń tego wieku. Powód dla którego Stefan II. nieraz mimowoli, był wmieszany w ówczesne walki polityczne i stał się niejednokrotnie ich ofiarą, było przedewszystkiem położenie dyecezyi lubuskiej na pograniczu Brandenburgii, tak iż wszystkie, a wówczas prawie ciągłe walki między Polską a margrabiami odbijały się fatalnie na tych okolicach. Pomijając już ogólne zamieszki i wojny, które zresztą z natury rzeczy tylko ujemnie odbić się mogły na ówczesnych stosunkach tak społecznych, jak i kościelnych,

mamy jeszcze inne racye, dla których tak biskupi, jak dyecezya lubuska, szczególne mogą budzić zainteresowanie.

Dyecezya ta, której początek i powstanie dało powód do tylu hipotez historycznych, miała tę dziwną specyalność, trudną zresztą do wytłumaczenia, iż Polskę z obu stron obejmowała, gdyż jej biskupi z przyczyn nieznanych a przynajmniej nie wystarczająco uzasadnionych, posiadali jurysdykcyę na Rusi i rościli sobie jeszcze do niej pretensyę aż do końca XIV. w. Rozważywszy to, łatwo zrozumiemy, jak ściśle musiała się łączyć ich działalność ze stosunkami, bądź to przyjaznymi, bądź też wrogimi, w jakich Polska pozostawała z graniczącemi z nią państwami. Toteż postać tych biskupów wkracza w stosunki polityczne, kościelne i społeczne owych czasów i pod każdym względem odgrywa w nich ważną rolę.

Streszczając pokrótce najprawdopodobniejszą hypotezę powstania biskupstwa lubuskiego, możemy przypuścić z prof. Abrahamem (*„Organizacya kościoła w Polsce"*), iż ponieważ nie mamy danych, ani u Gąlla, ani u innych współczesnych co do wcześniejszego istnienia tego biskupstwa, wypada przenieść datę ufundowania na ostatnie lata rządów Bolesława Krzywoustego, mianowicie na czas pobytu w Polsce legata kard. Idziego, t. j. między kwietniem 1123 a marcem 1125. Celem założenia biskupstwa byłoby połączenie pod względem kościelnym z metropolią gnieźnieńską części ziemi Lutyków, odzyskanej na Niemcach. Biskupstwo lubuskie wraz z wrocławskiem, utworzonem w tym czasie, miały z różnych stron czuwać nad utwierdzeniem chrześcijaństwa na Pomorzu. Atoł biskupi lubuscy, zamiast rozwinięcia swej działalności w tym kierunku, dziwnym zbiegiem okoliczności i z trudnych do wytłómaczenia powodów, sięgają po ziemię leżącą na drugim krańcu Polski, by tam wykonywać jurysdykcyę i rościć sobie pretensye do zwierzchnictwa na Rusi, aż do samego końca XIV. w.

Najnaturalniejsze na owe czasy, a wskutek tego najprawdopodobniejsze jest przypuszczenie, iż za Romana w drugiej połowie XII. w. biskupi lubuscy faktyczną wykonywali tam ju-

rysdykcyę.[1] Bisk. lubuski Arnold z zakonu Benedyktynów został powołany przez pracujących tam księży tego samego zakonu za zgodą Romana. — Na podstawie tego faktycznego wykonywania jurysdykcyi zwrócił się później 1233 r. bisk. Wawrzyniec do Henryka Brodatego z pretensyami do Rusi, gdy biskup Gerard został mianowany i konsekrowany. Otrzymał tedy Opatów i Krosno wraz z dobrami na Rusi, chociaż bisk. Gerard zachował prawdopodobnie jurysdykcyę do końca życia. Potwierdzeniem ze strony kuryi był dopiero akt z 11. lutego 1257 r., a faktyczne wykonanie jej przeszło dopiero w życie za biskupa Stefana II., którego dzieje szczegółowo przejdziemy. Choć biskupi lubuscy od końca XIII. w. zupełnie już ulegli wpływom niemieckim, to jednak z jednej strony owa jurysdykcya na Rusi, z drugiej zaś dobra w Polsce, samo wreszcie sąsiedztwo sprawiały, iż wiele stosunków łączyło ich z Polską. Zobaczymy, jak za Łokietka, zbiegiem okoliczności, stosunek ten stał się bardzo blizki tak, że do chwili, w której interesy biskupa lubuskiego i króla polskiego stanęły w sprzeczności na Rusi, panował między nimi bardzo ścisły związek.

Do czasów, które uchodzą za najburzliwsze w historyi polskiej, należy bez wątpienia zaliczyć panowanie Władysława Łokietka, zwłaszcza w pierwszej jego części. Lata bliżej nas obchodzące, po uśmierzeniu buntu wójta krakowskiego Alberta, były epoką wzrastającego znaczenia Łokietka i skończyły się jego koronacyą w 1320. roku w styczniu. Głównymi przeciwnikami Polski były Brandenburgia i Zakon Krzyżacki; przeciw pierwszemu zawarł Łokietek przymierze z królami Danii, Szwecyi i Norwegii w r. 1315, oraz zapewnił sobie pomoc króla węgierskiego Karola Alberta, który się ożenił z córką Łokietka Elżbietą w 1320 r. Nie mało mu też pożyteczne było zbliżenie do Litwy, przeciwniczki Zakonu. Stronnikami Brandenburgii i Zakonu byli Czesi i książęta Czerwonej Rusi, Andrzej i Lew. Z tego przeciwieństwa wynikało, iż Łokietek był stronnikiem papieża Jana XXII. w jego sporze z cesarzem Ludwikiem Bawarskim, ojcem

[1]) Bulletin international de l'academie des sciences. juin 1902 Nr. 6. Prof. Abraham: „Sur la jurisdict. des evêques de Leubus dans la Petite-Russie".

Margrabiego Brandenburskiego. Tak kraj jednak, jak i kościół cierpiały pod tymi długoletnimi sporami panujących. Pobyt papieży w Awinionie, 2-letnia przerwa przed wyborem papieża Jana XXII r. 1316, bardzo ujemnie też wpływały na stosunki kościelne.[1])

W Polsce po śmierci arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakóba Świnki około początku 1314 r. wybrany został następcą jego kanonik Borzysław, który udał się do Awinionu, by otrzymać potwierdzenie Stolicy świętej. Tutaj bawił on do wyboru Jana XXII., który potwierdził jego wybór dnia 15. stycznia 1517. (Cod. dipl. Sil. p : 225 n. 17.) Wkrótce jednak przed powrotem do ojczyzny Borzysław umarł. Smutne stosunki panowały wtedy w kraju. Ciągłe zamieszki i wojny bardzo ujemnie wpływały na dobrobyt stanu tak świeckiego, jak duchownego. Wyraz temu daje Henryk, biskup wrocławski, pisząc do Borzysława; „*Nulla alia nisi mala nos perturbant: populus cum clero passim pereunt, terrae desolantur, pax et justitia omnisque fidelitas.. extra Poloniae terminos exularunt*". „*Postquam de curia fuimus reversi*, kończy, *numquam postmodum in nostra dioecesi propter guerras et turbaciones assiduas vidimus bonam diem*". (Cod. dipl. Sil. V. str. 217 n. 9.)

W tym to czasie przyszło w dyecezyi lubuskiej po śmierci biskupa Frederyka I. do wyboru następcy. Z powodu trudności z jakiemi się spotkano przy wyborze, wyznaczono 5 kanoników a potem 7, którzy mieli wyboru dokonać. Rezultat jednak był ten, iż dwóch uważało się za wybranych: Mikołaj, kantor w kościele św. Krzyża we Wrocławiu i Stefan, dziekan kapituły. O szczegółach dowiadujemy się z dokumentu wydanego 4 lata później 1320 r., a wzywającego Stefana wraz z tymi kanonikami z Gniezna, którzy go potwierdzili, by się stawili przed sądem Stolicy św. w Awinionie (Theiner „Mon. Pol". I. str. 160 nr. 151). Cały przebieg wyboru i sprawy w Awinionie szczegółowo tu opisany. Zajmował się tem z ramienia Stolicy św. bisk. Guillermus, który zbadawszy dokumenta, przedłożył

[1]). Caro „Gesch. Pol." II t. str. 71.

wszystko do decyzyi papieżowi; „*juribus et munimentis predictis cum diligentia recensitis, nobis de praemissis omnibus et singulis relationen fecit plenariam et fidelem*". (Theiner str. 162 n: 251). Z tego dokumentu dowiadujemy się, że pierwszy miał być wybrany większością głosów Mikołaj[1]), który zgodziwszy się i przyjąwszy wybór, zwrócił się do Wikaryusza Metropolity Gnieźnieńskiego prosząc o potwierdzenie. — Tymczasem z treści dokumentu wynika, iż „*post dictam electionem ejusdem Nicolai intervallo aliquo*", wybrany został Stefan „*licet a minori parte dictorum septem canonicorum*". Tę okoliczność potwierdza dokument z r. 1320. słowami *duas electiones contigit celebrari*" (Theiner: „M. Pol. I. t. str. 296 n: 379.) Wikaryusz arcybiskupa, do którego się też i Stefan udał, zbadawszy sprawę „*cognitis hujusmodi causae meritis et juris ordine observato*", potwierdził wybór Mikołaja, a wybór Stefana uznał za „*minus canonica*". Ten ostatni jednak znalazł poparcie u trzech kanoników, którzy twierdzili, że są wikaryuszami kapituły gnieźnieńskiej i pozwał Mikołaja przed ich sąd. Mimo, iż Mikołaj apelował do Stolicy św., otrzymał Stefan potwierdzenie od owych trzech kanoników i na podstawie tego zajął się zarządem dyecezyi. — O tych kanonikach wyraża się dokument (l. c.), iż „*sibi fecerumt munus consecrationis impendi*"; tymczasem z listu biskupa Henryka do arcybiskupa Borzysława dowiadujemy się (Cod. dipl. Sil. V. str. 217, n. 9.), że Stefan udał się do Prus, by tam otrzymać święcenia: „*Stephanus.... dum a sanae mentis vestris suffraganeis, coepiscopis nostris conprovincialibus, consecrationem habere non potuit, sicut non debuit in provincia, licet ad hoc nos numquam requisiti fuerimus vel vocati, de provincia vestra exiens.... in Prussia prout accepimus.... consecrari se fecit*".

Arcybiskup Borzysław polecił biskupowi Henrykowi, aby spór załagodził. Tenże zajął się sprawą i, o ile można sądzić z tego, co donosi arcybiskupowi, czynił to bezstronnie. Wynika to zwłaszcza z listu pod nr. 9 (Cod. dipl. Sil: V. str. 215).

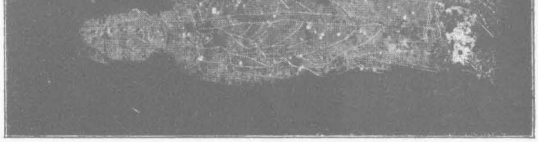
---

[1]). Cod. dipl. Sil. V. etr. 232.

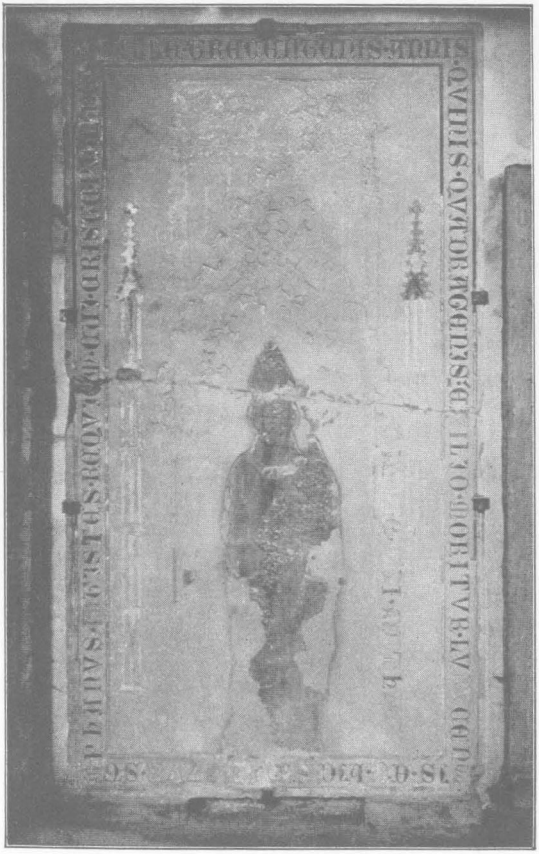
Przedewszystkiem zwrócił się do samego Stefana (C. d. Sil: V. str. 226 nr. 19). Otrzymawszy dużo dobrodziejstw od kościoła lubuskiego, pragnie usunięcia nieszczęść, jakie może spowodować taki podwójny wybór; proponuje więc, by sprawę załatwić w sposób polubowny, obu stronom zejście się i porozumienie w wspólnie obranem miejscu, gdzieby poddali rozstrzygnięcie sprawy *viris prudentibus et honestis*. On sam gotów się tem zająć, mimo że w trudnem jest położeniu *in discrimine non modico*. Pragnie Stefanowi dać wszelką sposobność do obrony, z drugiej jednak strony przedstawia w swym liście smutne skutki niezgody ich dla dyecezyi: *vestra discordia dictae vestrae Lubucensis ecclesiae prompta erit desolatio et ruina, ut de utriusque vestrum dispendiis taceamus*. List ten jednak został bez skutku (C. d. Sil: V. str. 215 u dołu i 216).

W tymsamym czasie zwrócili się też owi trzej kanonicy gnieźnieńscy, którzy Stefanowi udzielili potwierdzenia, do biskupa Henryka, żądając jego poparcia. Brak jednak dowodów był powodem odmowy: *quaecunque.... demandanda vobis visa fuerint opportuna, vestris litteris autenticis et sigillo ipsius Capituli Gnesnesis signatis nobis.... insinuare curetis*. (C. d. Sil: V. nr. 25. str. 232 w przedostatniem zdaniu). Do tegosamego odnosi się jego list, w którym apeluje do Stolicy św. wobec gróźb tychże kanoników: „*si de praedictorum dominorum nobis constaret jurisdictione, de qua penitus nihil constat*". (C. d. Sil: V. nr. 132 str. 117).

Tymczasem Mikołaj apelował do Stolicy św., o czem biskup Henryk donosi kapitule gnieźnieńskiej (C. d. Sil: V. str. 218 nr. 10). „*e causis probababilibus apellationem interposuerit*". Teraz więc rozstrzygnięcie sprawy należało wyłącznie do Stolicy św. Z dokumentu zawartego u Theinera („Mon. Pol". I. str. 161 nr. 251) wiemy, iż to się działo przed wyborem Jana XXII. na Stolicę apostolską, a więc przed 7. sierpnia 1316 r. (C. d. S: str. 216 nr. uwag. 1) — Mikołaj zachorowawszy, wkrótce po wyborze swoim, wysłał prokuratora do Awinionu „*cum actis et munimentis*" (Th. l. c. i C. d. Sil: pag. 218. nr. 10). który poświadczył o jego chorobie i bronił sprawy. Później sam („*adhuc*



Płyta z bronzu z wyobrażeniem bisk. Stefana II. (Fragment z nagrobka, obecnie w dyecezyalnem muzeum wrocławskiem).



Płyta kamienna z nagrobka bisk. Stefana II. (obecnie w podziemiach kościoła św. Krzyża we Wrocławiu).

illa vacante" Th.) do Awinionu, się udał. Prawdopodobnie był obecny przy wyborze Jana XXII. i potem „*in pleno consistorio plenam petiit sibi justitiam exhiberi*". (Th. str. 161). Sprawa jednak bardzo długo się ciągnęła. Wtedy umarł Mikołaj, nie doczekawszy się rozstrzygnięcia. To było powodem, iż wezwano Stefana i owych trzech kanoników gnieźnieńskich, by się stawili osobiście w Awinionie, w przeciągu trzech miesięcy po otrzymaniu rozkazu pod groźbą ekskomuniki i suspenzy „*cum omnibus actis, juribus et munimentis..... facturi et recepturi super praemissis, quod ordo dictaverit rationis*". Chodziło o to, iż inaczej, po śmierci jednego z wybranych, drugi przez to samo byłby uchodził za jedynego legalnego kandydata. Tymczasem dotychczasowe dokładne zbadanie sprawy „*actis et processibus..... juribus et munimeutis... cum diligentia recensitis*" (Th. I. str. 162, wykazało, iż wybór Stefana należało uważać za „*minus canonica*". Byłoby więc rzeczą szkodliwą („*res perniciosa esset exemplo et eidem Lubucensi ecclesiae magnum dispendium allatura*" l. c.) gdyby Stefan przez samą śmierć Mikołaja doszedł do władzy. Dotychczasowe badania sprawy wypadły na niekorzyść Stefana; dokument wspomniany nazywa jego postępowanie „*surreptionis astutia*". Chodziło teraz o ostateczne załatwienie jej i Stefan, który później również został potwierdzony, miał obecnie wraz z trzema obrońcami swej sprawy z kapituły gnieźnieńskiej, osobiście bronić swego postępowania i wykazać się prawami do potwierdzenia na Stolicy biskupiej lubuskiej. Wezwanie to zostało wydane w cztery lata po rozpoczęciu sprawy, 31. maja 1320 r. Wykonanie polecono dwom opatom dyecezyi wrocławskiej i kantorowi kościoła św. Krzyża we Wrocławiu. Jak wspomnieliśmy Stefan otrzymał już był święcenia biskupie, od biskupa któregoś w Prusiech. 3. Lutego 1317. dali mu margrabiowie brandenburscy Waldemar i Jan zapewnienie, że biskupstwem jego opiekować się będą (Wohlbrück „Gesch. d. Bist. Lebus". str. 150).

W roku 1320 był Stefan obecny przy poświęceniu i nadaniu odpustów kościołowi P. Maryi OO. Franciszkanów „in Camenecia", w Nowym Sączu (W. Abraham „Kośc. łać. na

Rusi" str. 200 uw. 5. rozdz. VII.) Skrobiszewski („*Vitae Archiepiesc. Halic*" cap. IV.) podaje datę V. *nonas Julii*, czyli 3. lipca, Friese zaś (*Kirchengeschichte des Königreiches Polen* I str. 383; 6-ste *Abhandl*). 27. czerwca czyli V. *kalendas Julii* bez podania źródła. Wohlbrück wreszcie (*Gesch. des Bist. Lebus* I. t. str. 150 i 439) podaje oba fakta jako różne; prawdopodobnie wziął Friese też z tego samego źródła ten szczegół, a pomyłka zaszła co do daty. Było to w miesiąc po wydaniu owego wezwania, by stawił się w Awinionie. Biskup Stefan jednak nie udawał się jeszcze wtedy do Stolicy św., ale według wszelkiego prawdopodobieństwa na Ruś.

Jak wiemy, książęta Czerwonej Rusi, synowie Jerzego I-gog Andrzej I. i Lew II., zawarli 9 sierpnia 1316 r. (*Cod. dipl. Prussi*. T. II. str. 92 u. 75) przymierze z Prusami. Roku następnego wystosował Jan XXII. 3. lutego z Awinionu pismo do tychże książąt, zachęcając ich, by porzuciwszy schizmę, przeszli na łono kościoła katolickiego. (Wł. Abraham „*Powst. organizacyi kość. łać. na Rusi*" tekst pisma w dodatku str. 364 nr. II.) Zostało to jednak bezskuteczne; trudności pochodziły tak ze strony Rusinów samych, jak i Tatarów, ich panów. Roku 1324. zginęli śmiercią gwałtowną jeden po drugim obaj owi książęta. (Vitodurandus in Eccard. „*Corpus historic. medii aevi* I. str. 1862). Groziło teraz niebezpieczeństwo od Tatarów, zwłaszcza, iż to oni właściwie, jak twierdzi Vitodurandus, otruli obu tych książąt. W tem położeniu zwraca się Łokietek do papieża Jana XXII. Łokietek nazywa owych książąt „*scutum inexpugnabile*" niezwyciężoną tarczą broniącą Polski przed okrutnymi Tatarami. Przedstawiwszy całą grozę położenia, gdyż teraz Polska wystawiona na bezpośrednie ich napady, prosi papieża o pomoc i radę w tem położeniu (Tekst listu „*Kwartalnik historyczny*" rocznik VI. 1892 str. 29. A. Prohaska „*W sprawie zajęcia Rusi*"). Na list ten wysłany 14. czerwca odpowiedział papież następnego roku dwoma listami z ogłoszeniem odpustu zupełnego dla biorących udział we walce przeciw schizmatykom i poganom; w pierwszym[1]) z 1. lipca nadaje odpust na 3 lata, w dru-

[1]) Theiner Mon. Pol. str. 215 nr. 334.

gim 1. sierpnia[1]) przedłuża o dalsze dwa lata jego trwanie. W tym samym roku objął panowanie na Rusi mąż siostry zamordowanych książąt Andrzeja i Lwa, Maryi, Bolesław Trojdenowicz; przyjąwszy nazwę Jerzego II. przeszedł na schizmę.

Te były dzieje Rusi w czasie, gdy biskup Stefan odbył swe pierwsze podróże w te strony. O rezultacie zdał sprawę w Kuryi, starając się o potwierdzenie swej jurysdykcyi w tych krajach, oraz o obronę przeciw sąsiednim biskupom, wdzierającym się w jego prawa (Theiner „*Mon. Pol.*" I. str. 295. nr. 376). Dowiadujemy się o tem z polecenia danego od Stolicy św. arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, by sprawdził te szczegóły. Stefan twierdził, iż oddawna we Włodzimierzu (*Flandimiria*) „*in partibus minoris Galathe quae Russia nuncupatur*", znajdowała się stolica biskupów lubuskich i, że duchowieństwo uznało go za swego biskupa. Miał on tam widzieć groby biskupów lubuskich, oraz wykonywać jurysdykcyę biskupią, wyświęcając kleryków, bierzmując, poświęcając ołtarze, miał budować kościoły i ustanawiać księży, jednem słowem „*fructum animarum multiplicem faciendo*". Dowodów na to biskup Stefan nie dał: „*nobis non constitit de praemissis*" i nie wiemy, czy arcybiskup gnieźnieński zdołał to stwierdzić. Jedna wszakże rzecz jest pewna, mianowicie ta, że w tym czasie mianował biskupem Dominikanina Henryka, lektora klasztoru w Porwalle (*Pasewalk*). (Theiner: *Mon. Pol.* str. 162. nr. 252 i str. 167 nr. 255). Biskup Stefan, jak widzieliśmy, twierdził, iż bardzo go proszono o mianowanie biskupa: „*clero etiam et populo earumdem Civitatis et dioecesis sibi patrem et pastorem animarum suarum implorantibus ab Episcopo antedicto concedi*". Z drugiej strony opierał się na rzekomym przywileju: „*asserens sibi fore per speciale privilegium apostolicae sedis indultum*". Stolica św. pochwala jednak Henryka, iż o tem powątpiewając „*merito haesitans*", gdyż dowodów nie widział i nie chciał się przyczynić do nielegalności tego aktu, udał się osobiście do Kuryi i złożył godność w ręce kard. Jakóba „*cessisti libere*" — Chociaż Stolica św. nominacyi nie uznała, to jednak wybór musiał być dobry, gdyż po ustąpieniu ponownie

[1]) Theiner Mon. Pol. str. 216 nr. 338.

został mianowany biskupem kijowskim „*ecclesiae Kiovensis in confinibus Ruthenorum*" ze względu na cnotę i naukę „*litterarum scientiam, vitae munditiam, morum honestatem aliaque virtutum merita suffragari percepimus*". Dokument mianowania wydany został 15. grudnia 1320 r. W lutym następnego roku został wyświęcony przez Berengara biskupa Portueńskiego i wysłany do swej dyecezyi. Odpowiedni dokument nosi datę 18 lutego 1321 r. Zdaje się, że biskup Henryk, jeźli był wogóle w Kijowie, to długi czas tam nie bawił. Przebywał on przeważnie w różnych miastach niemieckich i przez resztę życia był, o ile można przypuścić, biskupem *in partibus infidelium*. (Wohlbr. „*Gesch. d. Bist. Lebus*". III. str. 441 Abrah. „*Kość. łać. na Rusi:* str. 202 c. I. r. VII.)

Tymczasem biskup Stefan starał się nadal o potwierdzenie swej godności. Stosownie do wezwania, jakie otrzymał od Kuryi miał się tam stawić osobiście. Temu też uczynił zadość; 1-go października 1321 r. był już w Awinionie. Od lipca 1320 r. mógł więc bawić na Rusi. (*Kod. dypl. m. Krak.* nr. 370. str. 494). — Znajdujemy nazwisko jego na dokumencie, w którym patryarcha aleksandryjski Egidyusz udziela odpustów kościołowi P. Maryi w Krakowie. Nazwisko jego znajduje się na trzeciem miejscu, jako pierwszego z biskupów, zaraz po arcybiskupach, taksamo i pieczęć. Co do rezultatu tej podróży do Awinionu, to wiemy tyle na pewno, iż potwierdzenia wtedy nie otrzymał.

Jak długo trwał ten jego pierwszy pobyt w Awinionie, dokładnie nie wiemy. Przynajmniej jednak dwa lata. Dnia 9. listopada 1323 r. w Awinionie z innymi biskupami podpisany jest na dokumencie, mocą którego otrzymuje odpusty jakiś kościół dyecezyi Ołomunieckiej. (Emler „*Reg. Bohemiae*" I II. str. 366 nr. 943). Zdaje się, iż nie wrócił prosto do Lubusza, ale drugi raz bawił na Rusi (Theiner „*Mon. Pol.* str. 295. nr. 376 „*Dum noviter ad sedem apostolicam de mandato nostro se personaliter contulit, in eisdem partibus existebat, et diutius antea extiterat*".) Zdaje się, iż około r. 1325. wrócił znowu do swej stolicy.

W tym czasie nastąpiło zbliżenie Polski do Litwy. Zakon krzyżacki bowiem, po podbiciu Prus i zagarnięciu Pomorza, cią-

głymi napadami trapił Litwę. To było powodem przymierza zawartego między Łokietkiem a Gedyminem i uwolniło Polskę od napadów Litwy. Zbliżenie to stało się jeszcze ściślejsze w r. 1325. gdy nastąpił ślub jedynego syna Łokietka, Kazimierza z Aldoną córką Gedymina, oraz jej chrzest, na którym otrzymała imię Anny. Zdaje się, że przy końcu tegoż roku lub na początku następnego, urządzili Litwini razem z Polakami pod dowództwem Dawida Gartena, napad na Brandenburgię i spustoszyli Lubusz. (Wohlbruck „*Gesch. des ehem. Bist. Lebus*" I str. 442. — Caro „*Gesch. Polens*" I. *Gotha* 1863 str. 117 i nast. I. *Buch* 4. *Cap.* Długosz „*Hist. Pol.* IX. *an.* 1325 *p.* 113). Być może, iż było to w związku z ową wspomnianą już unią przeciw Brandenburgii w każdym razie jest uwagi godnem, że Brandenburczycy mszcząc się pod wodzą Henryka Wultowa (*Vogt oder Hauptman zu Lebus, Erich von Wulkov* Wohlbrück „*G. d. Bist. Leb.*" *S.* 444 *Bisch. Steph.*) zniszczyli stolicę biskupią lubuską z polecenia Ludwika Bawarskiego Młodszego, uważającego się za margrabiego Brandenburgii. (Theiner „*M. Pol.*" str. 498.) Być może, iż w biskupie lubuskim upatrywano stronnika Jana XXII., któremu mylnie przypisywano spowodowanie tej wyprawy Litwinów ze względu na nieporozumienie z cesarzem Ludwikiem Bawarskim, oraz na bullę z dnia 15. lipca 1325 r. (Caro. *Gesch. Pol. II.* str. 113 uw. 2. — Wohlbrück, „*Bist. Leb.*" I. str. 444.) Kraj uległ więc podwójnemu spustoszeniu, a po pożarze katedry znajdującej się w miejscowości zwanej Gorycya, gdzie była też rezydencya biskupia, okolica, jak czytamy w odnoszącym się do tego dokumencie papieskim, tak była zniszczona, iż „*facta est campus et ager, in quo semina seminantur*". (Theiner „*Mon. Pol.*" str. 498 nr. 647). — Biskupa Stefana spotkała w tym czasie prócz owego podwójnego napadu inna nieprzyjemność ze strony mieszkańców Frankfurtu, wrogów biskupa i dyecezyi lubuskiej, którzy zrabowali siedzibę biskupią i zniszczywszy ją, wypędzili biskupa Stefana (Theiner „*M. Pol.*" I str. 296 nr. 378). A nadto jeszcze niektórzy panowie polscy zajęli i zatrzymali ze szkodą biskupstwa niektóre

dobra biskupa lubuskiego. (Theiner „*M. Pol.*" I. str. 295. nr. 377).

Zmuszony do opuszczenia swej stolicy biskupiej udaje się biskup Stefan znów do Awinionu. Dnia 23. sierpnia 1326 r. już go tam znajdujemy; łącznie z innymi biskupami nadaje odpusty pewnemu kościołowi dyecezyi pragskiej (Emler „*Reg. Bohemiae*": str. 474 nr. 1220). Wynika z tego, iż owe napady na Lubusz przed tym czasem się zdarzyły; była to druga podróż biskupa Stefana do Awinionu. Jak widzimy z czterech odnośnych dokumentów, podróż ta bardzo wiele przyniosła mu korzyści; uregulował się też wreszcie jego stosunek do Kuryi. Głównym faktem tego pobytu jest, iż zrzekł się dobrowolnie praw, zdając się zupełnie na wyrok Stolicy św. „*omni jure... in nostris cessisti manibus tua sponte*" (Theiner „*Mon. Pol.* I. str. 297. nr. 379). Bardzo możliwe, iż ułatwiła sprawę ta okoliczność, iż był prześladowany przez Margrabiego Brandenburskiego, który występował przeciw Janowi XXII. i był pod ekskomuniką. (Caro II, str. 116, rozd. IV. ks. I. Theiner „*M. Pol.*" str. 328. nr. 582. „*Ludovicus olim dux Bavariae haereticus et schismaticus, hostis Dei et ecclesiae, manifestus et publicus justitiae inimicus*").

Walka przeciw wspólnemu przeciwnikowi Ludwikowi Bawarskiemu i synowi jego, którego ojciec zrobił margrabią brandenburskim, zbliżyła papieża Jana XXII. i Łokietka. Panowały między nimi wtedy bardzo żywe stosunki. Musiało to wpływać na sprawę, o którą nam chodzi i odbija się też niemało w dokumentach (u Theinera „*M. Pol.*"). Tymczasem mieszkańcy Frankfurtu i Brandenburczycy byli stronnikami Ludwika, a zaciętość panowała bardzo wielka między temi dwoma partyami.

Najgłówniejszym rezultatem tej drugiej podróży do Awinionu było otrzymanie potwierdzenia na godność biskupa lubuskiego. (*Theiner* „*Mon. Pol.*" I. nr. 379 str. 296). Biskup Stefan i trzej kanonicy z Gniezna, którzy go potwierdzili, stawili się przed Kuryą. Z przeciwnej strony pozostał tylko kanonik Tamon de Watzinrode. — Sprawą kierował kardynał — biskup Tuskulański Berengarius, a po jego śmierci zakończył ją kardynał-dyakon Bertrandus. Wyraźnie zaznaczono, iż biskup Stefan

zrezygnował nie dla jakichś braków osobistych, ale jedynie, by położyć koniec nieporozumieniu w łonie kościoła lubuskiego i dla szkód jakie z nielegalnego obsadzenia mogły wyniknąć. Ważnem też dla charakterystyki biskupa Stefana jest wyrażenie „*personam tuam, claris virtutum titulis insignitam*". — Zdaje się, że potwierdzenie otrzymał już wkrótce po przybyciu do Awinionu: (17. października 1326 : Abraham. „*Kość. łać. na Rusi*" str. 203. uwz. 4-ta) ogłoszone zostało jednak dopiero 23. marca 1327. r.—Jako powód potwierdzenia podano, iż dyecezya lubuska dłużej nie może już być pozbawioną pasterza.

Rozważywszy że w tych burzliwych czasach biskup Stefan, tyle miał do ucierpienia od swych wrogów, niewystarczyło samo potwierdzenie. Zwrócił się więc Jan XXII. do Łokietka i polecając mu biskupa Stefana prosił, by zaopiekował się nim i pomógł mu do odzyskania swych dóbr. (*Theiner. M. Pol.*" T. I. str. 295. nr. 377). List ten nosi datę 1. marca 1327 r. Następnego roku 25. maja w odpowiedzi na to wystawił Łokiesek biskupowi Stefanowi w krakowskim klasztorze Dominikanów obszerny akt, w którym nadzwyczaj jasno się przebija niezwykła poprostu łaskawość i ta wyraźna dążność do uczynienia wszystkiego, co tylko jest w jego mocy, by okazać mu swą przychylność i życzliwość. (Kod. dypl. Wielkop. II. nr. 1088 str. 419).

Dokument ten jest potwierdzeniem i poręczeniem dóbr, już pierwej w posiadaniu biskupa będących: „*possessionem veram et legitam omnium bonorum ecclesiae Lubucensis*". Znajdowały się one w ziemiach krakowskiej i sandomierskiej, oraz w Wielkopolsce. Obszerny ten przywilej zwiększa dotychczasowe prawa i imunitety biskupa lubuskiego. „*Gaudet.... omnibus bonis prenominatis... pleno dominio et omnimoda libertate*". Między innemi wolno mu: „*villas et omnia bona ipsorum jure Theutonico locare, erigere et aedificare*". Stawia je pod każdym względem na równi z innemi biskupstwami polskiemi dyecezyi gnieźnieńskiej: „*quemadmodum episcopi Gnesnensis provinciae*".

Co do stosunku do niego samego, jako króla, to idzie bardzo daleko w swej łaskawości, gdyż wyrzeka się praw swych, zadawalając się tylko tem, co biskup sam raczy mu użyczyć: „*nihil juris*

nobis reservantes, sed quod de beneplacito antedicti episcopi et bona voluntate volumus et obtinere". Usprawiedliwia się nawet, iż tylko mniejszej pieczęci użył gdyż, jak twierdzi, większą zabrała ze sobą królowa („*majus sigillum nostrum erat apud consortem nostram*"). Dokument ten zwraca się przedewszystkiem do urzędników królewskich, uwiadamiając ich o tych przywilejach. Hojność pokazuje się rzeczywiście królewska i widoczna dążność do naprawienia doznanych przez bisk. Stefana krzywd. Wylicza prócz dóbr Opatowa wsi dwadzieścia, w Wielkopolsce cztery, nadto na Kujawach osiem, prócz bardzo licznych częściowych nadań po różnych wsiach królestwa. Wyczerpuje wszelkie wolności i przywileje; nawet co do sądownictwa żadnych ograniczeń nie stawia, pozostawiając tak większe, jak i mniejsze sprawy wyraźnie sądownictwu biskupiemu („*causas parvas et magnas*"). Charakterystyczne dla tych czasów jest udzielenie pozwolenia, a raczej przywileju biskupowi na polowanie w całem królestwie i to na wszelki rodzaj zwierzyny „*licentiam venandi feras magnas et parvas*". Jak daleko szła pod tym względem dobra wola Łokietka, świadczy, iż nie wystarczało mu użyć superlativu „*liberrime*", ale dodaje jeszcze dla wzmocnienia z naciskiem słowa „*largam libertatem*", by nikt w najszerszem tego słowa znaczeniu wątpliwości mieć nie mógł. Za tym przykładem szczodrobliwości królewskiej poszła w cztery lata później Jadwiga i polecając się gorąco modłom biskupa, bierze pod swoją opiekę dobra biskupie („*bona mensae episcopalis... sub meam protectionem*") w akcie wystawionym dnia 5. kwietnia 1332. r. Godnem uwagi jest w tym dokumencie wrażenie, jakie biskup Stefan wywarł na królowej Jadwidze: „*laudabilem conversationem vestram habitam nobiscum studiosius recensentes venerabilem personam vestram... in favorem..... recipimus specialem*" (Kod. dypl. Wielkop: II. str. 448. Nr. 1120.)

Te dwa akty, tak dobitnie świadczące o przychylności Łokietka i Jadwigi względem biskupa Stefana, stanowią niejako punkt zwrotny w jego życiu. Odtąd staje się gorliwym stronnikiem Polski i króla; niemało musiał się też czuć zobo-

wiązanym względem św. Stolicy, gdyż w tym czasie dużo jej zawdzięczał.

Przy sposobności tej drugiej podróży biskupa Stefana do Awinionu nie zostaje też pominiętą sprawa ruska. Jak wiemy, zdał biskup Stefan obszerną relacyę, co do swego stanowiska, względem Rusi i panujących tamże stosunków, o ile się z tem stykał. Celem jego było zapewnić sobie jurysdykcyę w tych krajach. Papież polecił arcybiskupowi Janisławowi zbadać tę sprawę drogą prywatną („*sine strepitu*“ Theiner „*M. Pol.*“ I. str. 295, nr. 376) i w razie, gdyby rezultat okazał, że biskup Stefan miał racyę, ma go obronić przeciw niesprawiedliwym uroszczeniom, choćby za użyciem kar kościelnych. Polecenie to wydanem zostało 1 marca 1327 r. Nie mamy wprawdzie odpowiedzi arcybiskupa, ale zastanawia nas to, iż tegosamego roku 17. lipca wysyła papież list do Łokietka, pisząc, iż słyszał, że Jerzy II. książę ruski ma zamiar wrócenia na łono kościoła katolickiego („*spiritum conceperit ad unitatem ipsius ecclesiae redeundi*“ Theiner „*M. Pol.*“ str. 299 nr. 383) i prosi go usilnie o poparcie owego w wykonaniu tego postanowienia. Równocześnie pisze do samego księcia Rusi i życząc mu „*Spiritum consilii sanioris*“ (Theiner „*M. Pol.*“ str. 299 nr. 384) prosi, by przypadkiem nie porzucał powziętego zamiaru.

Zdaje się, iż jeszcze przed tym listem papieża Jerzy II. postanowił się nawrócić i w tym celu nawiązał stosunki ze Stolicą św. (A. Prohaska *W sprawie zajęcia Rusi*, Kwart. hist. rocz. VI. str. 7). Kiedy tego dokonał, niewiadomo, ale w każdym razie przed rokiem 1331., w którym wedle świadectwa Długosza ochrzcił żonę swą, córkę Gedymina; obrzęd został wykonany w kościele rzymsko-katolickim w Płocku, przez łacińskie duchowieństwo. Odtąd staje się Jerzy II. gorliwym krzewicielem wiary, którą przyjął i w tym celu sprowadzał kolonistów z Zachodu, mających szerzyć na Rusi wiarę i cywilizacyę swej ojczyzny. Odnawia on też traktaty i przymierza zawarte z Krzyżakami. Ten wzrost katolicyzmu na Rusi nie małem musiał być ułatwieniem dla poparcia pretensyi, jakie

miał biskup lubuski, co do rozszerzenia swej jurysdykcyi nad tymi krajami. Było to też połączone z korzyścią dla Polski.

Popierany tak gorliwie przez królów polskich czuł się biskup Stefan dla nich zobowiązany. Najbliższa przyszłość, gdyż już koronacya Kazimierza po śmierci Łokietka 1333 r., dała mu sposobność do okazania obecnością swoją na niej, iż ma zamiar trzymania się ściśle nowego władcy Polski. (Bielowski „*Mon. Pol.*“ II. str. 619, *Kron.* Janka z Czarn.: cap. 2-um i str. 920: Kal. krak. 1333 r. 25 kwietnia. — Długosz: *Hist. pol.* lib. 9-us ed 1876 pag. 163).

Nowa zagadka się nasuwa co do dalszego stosunku biskupa Stefana do Kazimierza W. Chodzi o to, iż Kazimierz z pewnością popierał biskupa Stefana na Rusi póty, póki Ruś nie przeszła pod jego panowanie. Później jednak z natury rzeczy musiał dążyć do utworzenia tam samodzielnych biskupstw i wtedy dążenia biskupa lubuskiego i króla stały w sprzeczności do siebie. Otóż niewiadomo, czy starcie się tych dwu dążeń nastąpiło dopiero po śmierci biskupa Stefana. Zdaje się jednak, iż on trudności nie miał. Kazimierz W. z właściwą sobie przezornością i ostrożnością przygotował wszystko do zajęcia Rusi na wypadek śmierci bezdzietnego Jerzego II. Nawet używał już w r. 1337 tytułu „*haeres ac dominus totius terrae Russiae*“ (*Kod. dypl. Małop.* str. 24, nr. 651, podobnie jak w *Akt. gr. i ziemsk. t.* VII. str. 7. nr. VI). Układy pod tym względem były zawarte z Węgrami i Jerzym II. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa układy te zostały rozpoczęte na zjeździe w Wyszehradzie, w lipcu 1338 r. Dowodzi tego zgodność postępowania władców sąsiadujących z Rusią w chwili śmierci Jerzego II. Król węgierski udzielił pomocy Kazimierzowi przeciw Rusi (A. Prohaska *W sprawie zajęcia Rusi, Kwart. hist.* R. VI, str. 20). Kazimierz miał nawet w wojsku swojem zastępy Mazowszan, co dowodzi, że działał w porozumieniu z książętami Mazowieckimi. (Bielowski „*Mon Pol.*“ II, str. 861). Świadczy o tem również ta okoliczność, iż Piastowie mazowieccy mimo, że bliższymi byli krewnymi Jerzego II., nie protestowali nigdy, chociaż przynajmniej równe mieli z Kazimierzem W. prawa

do Rusi. To wszystko jednak potwierdza przypuszczenie, iż Jerzy II. wiedział o tych układach co do Rusi na wypadek śmierci i może już sam na to się zgodził. (O. Balzer „*O następstwie tronu w Polsce.*“ Rozpr. akad. um. r. 1897, str. 430. Wł. Abraham „*Powstanie org. kość. łać. na Rusi*“, cz. I. rozdz. VII, str. 206).

Ale też pod względem kościelnym postarał się Kazimierz W., by Stolica św. po śmierci biskupa Stefana bezpośrednio obsadziła stolicę biskupią lubuską kandydatem, któryby Kazimierzowi nie robił trudności w przeprowadzeniu swego planu. Już za życia biskupa Stefana postanowiono w Kuryi na ten raz zarezerwować wybór następcy: „*Dudum siquidem bonae memoriae Stefano episcopo Lubuscensi regimini... praesidente, nos intendentes eidem ecclesiae... per apostolicae sedis providentiam idoneam praeesse personam, provisionem ipsius... duximus specialiter reservandam*“ (Theiner „*Mon. Pol.*“ str. 485, nr. 629). Taksamo też co do Rusi mamy dowody, iż Stolica św. obsadzenie biskupstw sobie rezerwowała. [1]) Wiemy, że Klemens VI. tak uczynił z biskupstwem przemyskiem: „*provisionem ejusdem ecclesiae ordinationi et dispositioni suae duxit ea vice specialiter reservandam*“ (Theiner „*Mon. Pol.*“ I. str. 543. nr. 720). Zdaje się jednak, iż możliwe jest, że przed zajęciem Rusi przez Kazimierza W. biskupstwo przemyskie miało określone granice i że miało biskupa. W *Aktach grodzkich i ziemskich* (VII. n. 20, str. 36) jest mowa o biskupie Macieju i o jego prośbie do Stolicy św. Między innemi zachodzą słowa: „*limites ad statum pristinum reducas*“, mianowicie tak, jak były za owego biskupa. Można jednak z pewnością przypuścić, iż po owej nieudałej próbie mianowania na własną rękę biskupa Henryka, biskup Stefan już drugi raz tego nie próbował, do czego zresztą zupełnie prawa nie miał. Ale przed zajęciem Rusi biskup Stefan wyko-

[1]) Quia te Regnumque tuum prosperis habundare successibus et ab adversitatibus cupimus custodiri, causis pro reservatione Lubucensis ecclesie nobis expositis intellectis, ipsam ecclesiam duximus ea vice nobis et sedis predicte specialiter reservandam, intendentes, cum eam primo vacare contigerit nisi forsan persona eidem perutilis ac nobis et tibi devota eligeretur ibidem canonice per circumspectionen dicte sedis prelibate ecclesie de pastore ydoneo provideri, Theiner: „*Mon. Hung.*“ I. nr. 910.—Pag. 610.

nywał jednak tamże jurysdykcyę i był popierany przez Kazimierza W.

Ruś jednak tymczasem była w ciągłej pewnej zawisłości od Tatarów. Zdarzały się nieraz wspólne wyprawy na Polskę; tak n. p. 1337 r. prawie dwa tygodnie oblegali Lublin zniszczywszy doszczętnie okolicę. (*Rocznik Świętokrzyski*, „*Mon. Pol.*“ III. str. 78). Prawdopodobnie jednym z celów Jerzego II. przy wprowadzeniu katolicyzmu do Rusi było, by przy pomocy zachodniej cywilizacyi uwolnić się od owej zależności od Chana. Ta dążność właśnie stała się powodem katastrofy. Tatarzy popierali niechęć bojarów do religii katolickiej i wpływów zachodu. [1]) Równocześnie prawie z owym napadem na Lublin urządzili inny bardzo silny na Węgry, jak świadczą ówczesne dokumenta („*Mon. Vaticana Hung.*“). Bardzo możliwe, iż w związku z tem była gwałtowna reakcya bojarów ruskich, której ofiarą padł przedewszystkiem sam Jerzy II. Dnia 7-go kwietnia 1340 r. zadano mu śmierć gwałtowną trucizną; Vitodurandus wyraża się, iż „*ipsum intoxicabant per venenum tam forte, quod dissiliit in plures partes*“ (*Eccardus „Corpus historicorum medii aevi*“ Lipsiae 1723 I. 1862. Tosamo też *Rocznik Traski* Bielowski „*Mon. Pol.*“ II. str. 860). Nastąpiła teraz okrutna walka przeciw obcym przybyszom i znienawidzonej religii; krwawo się mszczono na tych wszystkich, których Jerzy II. sprowadził.

Być może, iż reakcya ta wybuchła już przed śmiercią Jerzego II. i że jemu na pomoc zdążał z wojskiem Kazimierz W. Inaczejby trudno wytłómaczyć, iż w dziewięć dni po śmierci tegoż, mianowicie 16. tegosamego miesiąca, już jest Kazimierz W. na Rusi, jak nam mówi *Rocznik Traski* (Bielowski „*Mon. Pol.* t. II, str. 860 „*Audiens Kazimirus, rex Poloniae quod ita vita decessisset (Boleslaus), Rusiam circa festum paschae (16 aprilis) in parvo numero intrans*“. Zdaje się, że w maju król węgierski Karol wkroczył do Rusi, a Kazimierz zebrawszy większe wojsko powtórzył w czerwcu swą wyprawę. Tyle wie-

[1]) Hruszewskij, Istoria I c. III.

my z „Rocznika Traski", którego autor w ostatniem zdaniu wspomina, iż sam brał udział w tej wyprawie. Wedle jego świadectwa zajął był Kazimierz W. Lwów. (Bielowski „Mon. Pol." t. II. str. 860 i 861). Na czele opozycyi na Rusi stał Dymitr Detko, „*pessimus baro*" jak go nazywa Janko z Czarnkowa w swej „Kronice". (Bielowski „*Mon. Pol.*" II, str. 621). Od niego się dowiadujemy, że podczas gdy bojarowie przeważnie poddali się Kazimierzowi „*fidelitatis homagia juramentis firmantes*", on będąc komendantem Przemyśla wraz z Danielem z Ostroga, potajemnie doniósł fałszywie Tatarom, iż Kazimierz zakazuje im płacić haracz. To sprowadziło nawałę tatarską; królowie Polski i Węgier, nie czując się na siłach, by odeprzeć potężnego chana Usbeka zwrócili się o pomoc do cesarza Ludwika i do papieża Benedykta X. (*Vitodurandus Jan z Winterthur u Eccarda „Corpus historicum medii aevi"* I. str. 1861 i 2). Pierwszy odmówił „*nullum illis praestitit auxilium*"; papież zaś napisał list do chana, potem ogłosił krucyatę, która wprowadziła do Polski gromady krzyżowców. Śmierć Usbeka 1341 r. położyła koniec niebezpieczeństwu, a Detko, pozbawiony pomocy, wszedł w układy z Kazimierzem W. („*Mon. Pol.*" Theinera I. str. 434, nr. 566). Otrzymał on zarząd kraju jako „*capitaneus*", a Kazimierz W. obiecał szanować obrządek ruski: „*Inter quae quidem conventiones et pacta praefatus rex* (Kazimierz) *praestito juramento promisit, quod capitaneum* (Detka) *et gentem praedictos in omnibus tueri debebat ipsosque in eorum ritibus, juribus et consuetudinibus conservare*".

Z tego przebiegu rzeczy wynika, iż biskup Stefan najłatwiej przed śmiercią Jerzego II. mógł utrwalić na Rusi swą jurysdykcyę i rozwinąć działalność. Z wybuchem reakcyi musiała nastać przerwa; od chwili, gdy stosunki jakoś się ułożyły na Rusi, aż do śmierci biskupa Stefana, czas do r. 1345 nie był tak długi, by mogło przyjść na tem tle do nieporozumień między nim, a dotychczas popierającym go Kazimierzem W.

Długo trwało nim Ruś przeszła w posiadanie Polski. Zdaje się jednak, iż pomimo, że Kazimierz W. odrazu dążył do zor-

ganizowania Rusi pod względem kościelnym, z biskupem Stefanem jednak usiłował ze swej strony nie mieć zatargów. Roztropny, jak był zwykle, dopiero po tegoż śmierci chciał sprawy pokierować wedle swego planu, który jednak dotąd wobec braku źródeł wyświetlonym nie jest. Mianowicie niepewnem jest, czy Kazimierz W. chciał poddać owe dyecezye bezpośrednio Stolicy św., czy też metropolii gnieźnieńskiej. (Abrah. „*Kość. łać. na Rusi*„ str. 240). Bardzo prawdopodobne jednak, że Jerzy II. już przed zajęciem Rusi znosił się pod tym względem z papieżem Klemensem VI. To jednak nie wykluczałoby, iż stosunki z biskupem Stefanem na tem nie ucierpiały i że dopiero po jego śmierci sprawa nowy obrót wzięła i postawiona na ostrzu miecza skończyła się po długich zatargach wykluczeniem biskupów lubuskich z Rusi za Władysława Opolczyka bullą „*Debitum pastoralis*“, wydaną przez Grzegorza XI. 13. lutego 1375. r.

Taki był przebieg stosunków na Rusi za biskupa Stefana. Równocześnie jednak musiał się on starać o uregulowanie stosunków z zachodnim sąsiadem Polski, z Branderburgią. Wiemy, że wskutek napadu i zniszczenia, jakiemu uległa katedra i siedziba biskupa lubuskiego, otrzymał tenże pozwolenie od Jana XXII. do wyszukania w dyecezyi innego miejsca, odpowiadającego temu celowi. (Theiner „*M. Pol.*“, str. 296, nr. 378 dn. 1. marca 1327). Zastanawia to, że biskup w prośbie twierdził, iż w dyecezyi niema odpowiedniego i bezpiecznego miejsca „*in praedicta diocesi... non sit aliquis locus aptus et tutus*“. Tymczasem mimo to papież powtarza w poleceniu tosamo, mianowicie, czy niema takiego miejsca „*utrum in praefata dioesi locus aliquis valeat inveniri*“. Nasuwa się więc myśl, czy biskup lubuski nie pragnął pozwolenia, by wyszukać miejsca odpowiedniego na Rusi, ponieważ tu w całej dyecezyi nie był bezpiecznym przed mieszkańcami Frankfurtu i napadami Brandenburczyków, a tam pobyt więcej mu się uśmiechał, zwłaszcza, iż to było w czasie, gdy religia katolicka coraz bardziej się rozszerzała w ostatnich latach rządu Jerzego II. Po dwudziestu latach

mniejwięcej, w rok po śmierci biskupa Stefana (dnia 2. września 1346. r.) znowu mamy odpowiedź Kuryi, do tego samego się odnoszącą. Prośba odwoływała się już nie do napadu mieszkańców Frankfurtu, ale napadu owego „*miles Henricus de Wultow*", który jednak miał miejsce w tymsamym czasie. Odpowiedź papieska brzmi podobnie, z tą różnicą wszakże, iż wyraźnie dodane są słowa, że mają wynaleźć miejsce odpowiednie w tejsamej dyecezyi „*locum idoneu mejusdem dioecesis*" (Theiner „*M. Pol.*" I. str. 498, nr. 647). Z tych dwóch danych możemy ten wniosek wyciągnąć, iż biskup Stefan po powrocie z drugiej podróży do Awinionu nie miał stałej siedziby, inaczejby przynajmniej w tej drugiej prośbie nie byli się odwołali do napadu z przed dwudziestu laty.

Zdaje się jednak, iż biskup Stefan później, pogodziwszy się z mieszkańcami Frankfurtu, tam przenieść się pragnie około 1330 r. (Wohlbrück *Bist. Lebus.* S. 450 *et seq.*), gdyż dotąd jeszcze nad głównym ołtarzem kościoła P. Maryi, który mu chciano odstąpić, widać patronów dyecezyi lubuskiej, Najśw. Pannę, św. Wojciecha i św. Jadwigę. Możliwe, iż dopiero po zawarciu układu z miastem przyszedł zakaz cesarza Ludwika Bawarskiego, grożącego niełaską („*gravem indignationem*"), gdyż prawo patronatu należało do margrabiego jego syna, któremu takie przeniesienie mogło, jak twierdzi, szkodę przynieść („*in grande praejudicium*"). Przebija się tu żywo niechęć, której pierwszym wyrazem był wyżej wspomniany napad. Biskup Stefan pogodził się też później, zdaje się, z Brandenburczykami, którzy napadli go byli i zniszczyli rezydencyę biskupią w Gorycyi i przebaczył im; zgoda jednak nie długo trwała. Później znów nastąpiło rzucenie ekskomuniki na Frankfurt, tegoż apellacya i wyjazd biskupa, który nie czuł się tam już bezpiecznym. Ostatnie lata życia spędził biskup Stefan na dobrowolnem wygnaniu we Wrocławiu. [1]) Od kiedy nastąpiło zbliżenie i porozumienie z Łokietkiem i Kazimierzem nie miał już bliższych stosunków z Zakonem Krzyżackim. W r. 1339. był nawet ko-

[1]) Mieszkał tam w dworzyszczu należącym do biskupów lubuskich; dziś znajduje się na tem miejscu „Hotel Węgierski".

misarzem w sprawie z Krzyżakami i 15. września tegoż roku znajduje się między biskupami, którzy podpisali wyrok, mocą którego arcybiskup Janisław rzucał klątwę na cały Zakon za napady i rabunek. Działo się to w Warszawie w dyecezyi poznańskiej. (Dogiel IV. 65. Długosz *Hist. Pol.* lib. IX. *Tomi III.* „*Lites ac Res gestae*“ t. I. str. 137).

Umarł on poza dyecezyą we Wrocławiu r. 1345. Do czasów ostatniej restauracyi epitafium jego znajdowało się w chórze katedry wrocławskiej, naprzeciwko grobowca biskupa Nankera, poniżej grobu Henryka I. Nosi napis następujący:

Mille trecentis annis quinis quadragenis
Exilio moritur Lubucensis et hic sepelitur
Stephanus antistes, requiem cui, Christe, piam des.

Po prawej stronie słowa „*In die S-ti Mathei*“, jako data śmierci. Kamień grobowy opatrzony również napisem: *Stefanus Epus. Lubucensis Exul. Obiit MCCC XLV Hic sepultus.* Tak Wohlbrück w r. 1829.

Przy obecnej restauracyi wydobyto płytę grobową z brązowym wizerunkiem. Bronz wziął ks. Prałat Jungnitz do muzeum dyecezyalnego, gdyż płyta sama, długości około 2 m. a 1 m. szerokości, była za wielką. Przy wydobywaniu wypadło wiele liter i ornamentacyi, czarnej intarzyi. Na płycie widzimy ślad metalu i plamy. Znajduje się ona obecnie we Wrocławiu, w kościele św. Krzyża. *M. Skibniewski.*

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe".

Dwie potęgi.

Gasło słońce...

Jeszcze horyzont wydawał się jedną falą płynnego złota, po której płynęły wydęte żagle chmur białych, lekkich, bezszelestnych, zmieniających co chwila kształt i ton... jeszcze nagich wzgórz szczyty paliły się błyskiem purpurowym, a na stokach trawy przybierały głęboki, ciepły koloryt i kwiaty płonęły jak kadzielnice żywe w ogniu słonecznym.

Czasem wśród wzgórz, dalekim echem dźwięczał róg pasterza..

Czasem wiatr nadleciał, trawy do ziemi zgiął, w gałęziach drzew uśpione zbudził głosy i znowu cisza...

Tylko w dolinie wezbrany strumień baśń nieskończoną mruczy i fale przelewa za falą... jak łzy jakieś ciężkie, niewstrzymane a życiem płodne...

Spoczywając na złomie skalnym, spoglądał na owo słońce gasnące, królewskie, z broczone... Jezus z Nazaretu.

Głęboka zaduma taiła się w jego oczach szeroko rozwartych, wpatrzonych w niebieską pożogę a duch z dziecięcą pokorą podziwiał, chłonął potęgę twórczą Ojca.

Znał drogi tych powietrznych łodzi, gnanych wichrem po bezkresie nieba, tajemnice tych skał nagich, łąk kwietnych, muszek ledwo dostrzegalnych, atomów drgających w słonecznym promieniu i... ziemi łez... Znał ich cel, los, przeznaczenie.

Tam, gdzie człowiek przeczuwa tylko... on wiedział. I dlatego tam, gdzie człowiek podziwia jedynie... on się modlił.

Wszystko przemija... a jednak nie przemija.

Wszystko śmiercią się kończy, a jednak... żyje!

Gasło słońce...

Purpura przeszła w głęboki, żałobny fijolet, białe żagle chmur nieuchwytnymi stały się cieniami, przygasło płynne złoto horyzontu, zciemniała zieleń traw...

I tylko cisza stała się jeszcze większa, jeszcze świętsza... zda się, że światem potęgi Bożej wionęła moc... na tym przełomie nocy i dnia.

Smutek jakiś bezbrzeżny zaczął się snuć od dolin, spowitych mrokiem, od przepastnie ciemnych rozpadlin skał... coś szło od tej ziemi młodej, rodnej, pięknej... pełzło do stóp Pana bezszelestnie... Jakaś tragedya bez słów, milcząca skarga, prośba olbrzymia, bezradny krwawy jęk...

Słuchał... głosów nocy wstępującej w swoje prawa... pochylił nieco szczupłą, długim postem zaostrzoną twarz, w której oczy błękitne zaziemskim płonęły ogniem.

Słuchał...

A na skrzydłach mroku kołysała się olbrzymia, żałosna skarga... psalmem bolesnym rwała się gdzieś z dalekich osad ludzkich, z cmentarzy, z przestrzeni i otaczała go... chórem dźwięków coraz wyraźniejszych, silniejszych...

— Synu Boży... co miłość swoją rzuciłeś jako pomost pomiędzy ziemią a królestwem twojem... wysłuchaj nas...

— Ty, który zapaliłeś światło miłosierdzia wśród mroków winy... zrozum nas.

— Panie! Panie! miłość twoja odwieczne słowo w ciało przyoblekła, byśmy lepiej zrozumieć mogli ciebie! Nie masz granic dla miłości twojej, ni dla woli twojej!

— Panie!... zrozum nas... wglądnij w naszą istotę, człowiekiem bądź, by poznać cierpienia ludzi... O Panie! Panie!

Skarga kołysała się w przestrzeni, stawała jękiem boleści pełnym, rozszamotanych dusz krzykiem:

— Panie! Panie!... bośmy nie tylko z ducha ale i z ciała... O Panie! Panie!

Pochylił głowę... płonęła w Jego sercu ta miłość olbrzymia, potężna, ofiarna, co Go przywiodła na ziemię z bezkresów nieba i ta litość nieskończona, którą dało mu trzydzieści lat pobytu na ziemi. Odczuł błagalny ton tej prośby, płynącej z mroków i jasny, łagodny uśmiech opowił szczupłą twarz... gdy wznosząc oczy ku fijoletom nieba, prosił:

— Ojcze mój... niech i to się spełni!...

I oto ludzka natura weszła w swoje prawa, organizm, nad którym niepodzielnie władał duch, cieleśnie ożył i Pan odczuł głód...

Straciły bystrość zamglone źrenice, skurcz gardło schwycił, straszne nerwowe łaskotanie powstało w przełyku... trzewiami szarpnął głodu sęp. Uporczywy, ssący ból jak polip zagnieździł się w żołądku i myśli z czaszki pił, rzucając wyobraźni kuszące wizye pożywienia.

I Chrystus, który przez czterdzieści dni nie odczuwał wcale potrzeby pokarmu, przechodził teraz dobrowolnie przez mękę głodu.... która jego stworzenia spychała tak często na drogę błędu.

Każda woń, której syty nie odczuwa prawie, potężnieje i staje się dla głodnego powodem męki... Szał niepokoju ogarnia... każda woń to pokusa... kwiat nasuwa wspomnienie miodu, miraż pokarmu drażni przełyk, ścinają się konwulsyjnym skurczem szczęki, błony wydają śluz, a w głębi organizmu zwija się coś w męce, szarpie, skowyta, szaleje... głód!...

Jakgdyby setki kościstych dłoni szarpały wnętrzem... Jakgdyby każda część trzewi osobnem życiem żyła, skręcała się, drżała, wiła w bolu.

Przymknął powieki i wsłuchał się w tę mękę organizmu, jak w jakąś dziwną, obcą, nieznaną pieśń... co bolem szarpie, a wzrusza do łez...

Nagle z mroku wionął ku niemu jakiś szept... ledwo uchwytny, łagodny, przyjacielski:

— „Jeżeliś jest Syn Boży... rzecz kamieniowi temu, aby stał się chlebem..." wszak możesz...

Ach... więc i to jeszcze... do głodnego zbliża się bezszelestnie owa druga potęga, wiecznego mroku władzca i rzuca w chwili stosownej:

— Stwórz sobie chleb...

I chyli swoją piękną twarz upadłego anioła i powtarza jak wybawca łagodnie, słodko, kusząco:

— Stwórz sobie chleb... Ja ci drogę wskażę... pójdź... nasycę cię... Litość mam dla twojej nędzy... Pójdź... jam przyjaciel człowieka... zaufaj mi... Wczora za tobą bolesne... jutro niepewne... ale dzisiaj... dzisiaj twoje... jeno dłoń wyciągnij, a weźmiesz...

I pajęcza sieć myśli opowija ofiarę, przędzą jedwabną, śmiertelną, aż z odwłoku duszę wypije.

Ból drżał w sercu Pana...

Raz w Nazarecie, zimową porą, wchodząc do domu Matki, dojrzał przy glinianem naczyniu z zapasami zboża, dziewczynkę drobną, obdartą, w pół nagą... drżącemi, chciwemi dłońmi czerpała złote ziarna do łachmanu szaty... kradła... Lęk ściganego zwierza w niej był... zapadnięte, podciemnione oczy spojrzały ku niemu krwawem, bolesnem spojrzeniem, a drżące usta rzuciły cicho... jak usprawiedliwienie:

— Głodna byłam...

I taka tragedya była w tych słowach... i taki ból w tych oczach rozwartych szeroko.

Ptaki mają gniazda... lisy jamy mają... a ono dziecię ludzkie nie miało gdzie głowy przytulić. Łagodnie położył wtedy dłoń na gęstwie jej włosów splątanych i pytał:

— Czyż nie byłoby lepiej... gdybyś była przyszła do mnie i powiedziała „głodna jestem", dobro cudze świętem być powinno..

— Byłam już dzisiaj u tylu progów, prosiłam tyle razy... nie należę do żydowskiej gminy... obca jestem, a oni chleb jeno dla swoich mają... — rzuciła twardo — aż wreszcie pomyślałam, że szkoda prosić, gdy wziąść można.

Czarne, dzikie jej oczy spojrzały ku niemu wyzywająco.

— Możesz mnie wydać... i zrobisz to prawda?

Uśmiechnął się do niej — litość w nim była i smutek bezbrze-

żny... gromić jej nie mógł... więc przed nią pokarm postawił, który dla niego przygotowała matka i rzekł jej prosto a serdecznie:

— Spożywaj z Bogiem...

I wtedy nad zwierzęcą potęgą głodu nawet w tem dziecku zbłąkanem zapanował duch... zamiast do pokarmu podawanego, rzuciła mu się do nóg i gorącą twarz tuląc w jego szatę, łkała tak boleśnie, bezradnie, żałośnie...

A teraz jak wizya stanęła mu przed oczyma jej nędzna, wychudła sylwetka, jak tuliła mu się do nóg, szepcąc uiywanie:

— Nie tyle za chleb... za dobroć, za litość twoją dzięki ci Panie!

Więc duch i w człowieku potrafi zapanować nad ciałem... więc i jemu zapomnienie fizycznego bolu daje duchowa siła...

I wspomniał Jana... który przez lat trzydzieści postem zwalczał ciało, by ducha potęgę wzmódz... któremu głód bratem się stał i towarzyszem, przyjacielem i przewodnikiem... źródłem ekstazy i siły!

Radość była w duszy Pana.

A z mroku snuł się znowu ów głos kuszący, jakgdyby ośmielony ciszą, wyraźniejszy, dźwięczniejszy.

— Jeżeliś Synem Bożym jest... to rzecz kamieniowi temu, by stał się chlebem...

Więc zwrócił pogodną twarz ku ciemnym rozpadlinom skał, skąd głos natrętny się snuł i rzucił w przestrzeń jasne i silne:

— Napisano: że nie samym chlebem żyć będzie człowiek ale i słowem Bożem!

Wrażenie głodu zniknęło... Pan jednak wiedział, że ten, kto przeszedł przez głód, zrozumie mękę drugiego, odczuje ją i pomoc da.

Syty od progu odepchnie nędzarza... nakarmi go, kto chociaż raz w życiu łaknął... więc głód to klucz do ludzkiej litości... do ludzkiego serca...

Zadumał się Pan... dłonie na kolanach splótł i patrzył w dal... jak struny harfy drgają jeszcze długo, choć pieśń umilknie i trą-

cać je przestaną palce harfiarza... tak w nim dźwięczało echo ludzkiego cierpienia.

A z mroku spoglądał na białą sylwetkę Jezusa... ciemności książę... Widział jasną, pochyloną głowę, przymknięte powieki, rys bolu w kącikach ust i to białe, przeczyste czoło, po za którego sklepieniem był bezkres myśli, których zbadać i objąć nikt nie był w stanie.

Bóg-człowiek...

W mroku prężyła się wysoka, smukła postać szatana, jego płomienne, głodne źrenice chłonęły jasnej postaci zarys... jak nieba wspomnienie... a duszę szarpała straszna, krwawa, beznadziejna boleść...

Niebo...

Bóg...

Przeszłość...

Potężne ręce wpiły się w skały...

Czyż niema zapomnienia?

Czyż wiecznie rozdzierać trzeba... rany krwawe...

Wiecznie tęsknić i boleć!

I wspominać dobra utracone...

Nieśmiertelnym ja... i męka moja... i mój żal...

Żal?

Pycha raczej...

I zaraz coś rozśmiało się w nim drwiąco.

Ty i żal?...

Nie... ty i pycha twoja!

Uśmiechnął się purpurą zmysłowych warg i szedł z mroku lekko, szybko, bezszelestnie... z tęsknotą szaloną a nieświadomą za spojrzeniem Chrystusa... chociażby to miał być grom, co w proch ściera.

Ale gdy stanął w pobliżu białej, nieruchomej, w dal zapatrzonej postaci, tysiące myśli zawirowało mu w mózgu, jak czarnych ptaków spłoszone stado i zgłuszyło tęsknotę a została w nim jeno pycha potężna, mocarna... gotowa do walki ze Stwórcą własnym.

Metaliczny jego głos zabrzmiał w przestrzeni.

— Jam jest... książę ciemności i winy... tej ziemi pan!

Wyciągnął silną, smukłą dłoń, w przestrzeń wskazał... mówił i upijał się zwolna dźwiękiem i treścią własnych słów.

— Spójrz... władztwo moje objęło całą ziemię... Jeżeli staniesz do walki ze mną... będziesz musiał zdobywać z trudem, po trochu... tę iskrę, która z ciebie jest... boć zgłuszyło ją władanie moje... Spójrz... co zagarnąłem... co mojem jest... o co ci walczyć przyjdzie...

Smutne, błękitne oczy Pana patrzyły w dal, na odległe świata krańce, na ludy szalejące, bogów świątnice... na grzech, kłam, występek... mord!

Po nad zjawą miast, siół... jak nietoperzy tysiące chybotały się dymy ludzkich myśli, ciężkie, przyziemne... do ziemi lgnące... Gdzieniegdzie tylko, jak ognik zbłąkany, drżała iskra myśli o Bogu... gdzieniegdzie tylko dziewiczo jasna dusza promienie tęsknot słała ku niebu... ale zaraz one ciemne dymy wystrzelały za nią kłębiącym się słupem, otaczały gęstwą, ściągnąć usiłowały ku ziemi.

I widział Pan, jak ludzkość nadużywała imienia Boga do kłamu i zbrodni... Jak obłąkane masy ludu w prochu się korzyły przed drewnianą lub marmurową bożka statuą, na twarz padały przed człowiekiem, chwilowo dzierżącym ziemską władzę, pełzały w prochu za możnymi... I tylko myśl o dzisiejszym dniu była w tych duszach... i tylko lęk obłędny o pokarm i o dach... i tylko strach przed pięścią silniejszego, przed batem władzcy...

Nadludzki ból i litość olbrzymia wstały w duszy Pana... wszakże to dzieci jego były, co tak bezmyślnie na zatracenie szły... błądziły, cierpiały, upadały, szarpały się w męce daremnej... I do nich to, do tych biednych, szukających jak ślepy w mroku drogi... drżącemi rękami... On przyszedł... aby przejrzeli.

— Widzisz... jak silny jestem... jak władanie moje od krańca sięga do krańca! — I jak niegdyś u tronu Ojca najpiękniejszy z Jego aniołów, szaloną uniesiony pychą, wołał: władanie Twoje ze mną podziel!... tak teraz prężył obok Jezusa swoją silną, gibką, piękną postać... W księżycowym błysku otchłanne jego oczy płonęły dumą.

— Wyrzucon z nieba... rozpocząłem z Bogiem walkę o Jego twór, który rozumem i wolną obdarzył wolą... wykołysałem w nich cielesne żądze, związałem z ziemią potężnymi łańcuchami pragnień... i dziś gdy Ty staniesz między nimi, obcym im będziesz i niezrozumiałym, nienawistnym i wrogim... Bo przepaść położyłem pomiędzy nimi i tobą... przepaść nie przebytą... bo oni z ciała są a Ty tylko z ducha!

Wyciągnął Pan ramiona w mrok, jakgdyby w uścisk przygarnąć pragnął całą ziemię.

— Miłość moja ciemność rozświeci, zbłąkanym drogę wskaże, cierpiących ukoi... I jak do zapalonej w mroku pochodni garną się motyle... tak do mnie wróci, co ze mnie jest...

Ciemna dłoń upadłego anioła, wskazała w dal gestem pychy przepotężnej:

— Nienawiść moja równie wielką być potrafi jak miłość twoja... w obrębie ziemi silniejszym ja... zbrodnia zbrodnie rodzi, grzech rodzi grzech... — urwał i nagle rzucił głosem, którego dźwięk urywany jak szczęk mieczy rozległ się w przestrzeni — „Dam Ci tę wszystką moc i sławę... bo jest mi dana, a komu chcę dawam ją... — głos do szeptu spadł..." „Jeżeli się ukłonisz przedemną... wszystko to... twojem będzie...".

— „Idź precz szatanie!"

Płomienne oczy księcia ciemności spotkały spojrzenie Pana, silne, nakazujące... Spojrzenie władzcy, którego rozkaz jest prawem.

Moc tego spojrzenia paliła go... z księżycowego rozbłysku cofnął się w mrok, do skały przylgnął i tylko jego nienawiścią brzemienne myśli snuły się ku młodzieńczej sylwetce Jezusa.

— „Napisanem jest: Panu Bogu twemu kłaniać się będziesz i Jemu samemu służyć!"

Raz jeszcze jak zwierzę uderzone, szarpnęła się nienawiść, pycha, duma w piersi szatana... dziki, drwiący śmiech rozległ się w nagich górach Judei, echem rozpłynął w dolinie i światem wstrząsnął.

Z pod stóp Chrystusa zniknęły kwietne, górskie stoki... na ganku świątnicy jakiejś stał... przed nim księżyc rozświecał

kamieni białych sztuczne wiązania... w dole rozwierała się czarna chłodna, tajemnicza głąb... a przestrzenią płynął drwiący, ironiczny głos:

— „Jeżeliś jest Syn Boży... spuść się na dół... Albowiem napisano: że aniołom swoim przekazał o Tobie, aby cię strzegli... na ręku nosili... byś snadź nie obraził nogi twojej..."

Łagodne oczy Pana rozbłysły... w nocną ciszę padły słowa silne jak grom.

— „Nie będziesz kusił Pana Boga twego!" Precz!...

W mroku, raz jeszcze, przez mgnienie spotkały oczy Pana zarys znikającej twarzy i oczu mściwych, wyzywających wizje... Jak dwie pochodnie rozbłysły w ciemni... purpurowe, krwawe, pyszne, srogie a przecież bolesne źrenice, głos nizki jękiem się rozwiał w przestrzeni.

— Gdyby jeno z ducha byli, poszliby za tobą, aleć i z ciała są, więc za pokusą moją idą... dwie potęgi, co się w duszy ludzkiej zmagają wiecznie...

Gdzieś od nagich, ponurych skał szarpnęło się łkanie, krótkie, urwane, przebolesne... nieśmiertelnego bolu pełne i zgasło w wichury poświście...

Zniknęły białe wiązania kamieni i przepaść ciemna, opowity księżycową poświatą na kwietnym stoku gór Judei... Chrystus chylił swoją jasną, młodzieńczą głowę... modlił się...

W przestrzeni rozkołysała się woń kwiatów rozwitych, białe, ciche zjawy aniołów otoczyły Pana... widmowe dłonie otarły pot z wyniosłego czoła.

A nad światem rozkołysał się modlitewny, dziękczynny, zwycięzki hymn miłości i wiary.

Marya Czeska.

Początek życia na ziemi.

(Ciąg dalszy).

Rozdział VI.

NOWSZE TEORYE.

Pflüger, Allen, Preger. — Zdobycze chemii organicznej. — Płynne kryształy. — Kryształ a organizm. — Radisby. — Teorye, komiczne Kelvina i Helmholza. — Panspernil Arrheniusa.

Zbierając rezultaty naszych dotychczasowych rozważań widzimy, że najprostszym elementem życiowym, znanym dotychczas, jest komórka, pojęta jako bryłka protoplazmy, opatrzona jądrem, i że niema w przyrodzie żadnej materyi żywej, któraby nie była komórką lub jej wytworem; że dalej ta komórka, czyto jako część składowa organizmu, czy jako istota samodzielnie żyjąca, jest już wysoko zorganizowaną, zawiera świat cały zjawisk ogromnie skomplikowanych. Jednem słowem, idąc od strony biologii, to znaczy od świata żywego, do materyi niezorganizowanej, napotykamy w przyrodzie na stromą przepaść. Zobaczyć teraz trzeba, czy usiłowaniom badaczy nie udało się wykryć w przyrodzie lub przynajmniej zbudować jakiejś drogi od materyi martwej do życia, sztucznie, w laboratoryach, przy pomocy sił potężnych fizyki i chemii, które już tyle dziwnych i nieprawdopodobnych dokazały rzeczy.

Usiłowania takie były i odbywają się jeszcze ustawicznie i nic w tem dziwnego. Przecież dzisiaj cała fizyka stoi na stanowisku, że wobec prawa zachowania energii *perpetuum mobile* jest niemożliwe, a przecież podobno corocznie około 60 pro-

jektów tej niepokojącej maszyny się wyłania. Cóż więc dziwnego, że w sprawie takiej, jak samorództwo, dla której panujące wszechwładnie obecnie stronnictwo monistyczne w biologii bardzo jest przychylnie usposobione, od czasu do czasu któryś z badaczy, znudzony szarugą codziennej pracy, bądź myślą, bądź czynem wspiąć się usiłuje na ten maszt ślizgi a wysoki, na którego szczycie jako nagroda czeka go prócz sławy faustowski *homunculus*, wykrystalizowany z retorty.

Pominąwszy stojącego oczywiście na czele tych wielkich porywów Haeckla, który kwestyę bardzo sobie uprościł, oznajmując, że wogóle niema materyi nieżywej, a świat cały składa się z żywych atomów, przypatrzyć się musimy usiłowaniom nieco poważniejszym. Pierwsze miejsce należy się tu bezsprzecznie sławnemu i zasłużonemu fizyologowi Pflügerowi, który w rozprawie wydanej w r. 1875 podaje bardzo misternie ułożoną teoryę powstania życia S materyi nieorganicznej. Za punkt wyjścia swych rozważań bierze Pflüger analogią, jaka zachodzi między zachowaniem się połączeń cyankowych (grupy CN), to jest zawierających rdzeń złożony z węgla i azotu, a zachowaniem się chemicznem żywego białka. Dodając do tego hypotezę opartą na faktach[1]), które niestety okazały się później nieprawdziwe, że białko żywe różni się od białka martwego właśnie tem, iż zawiera w sobie cyanek, którego brak w białku martwem, snuje już potem śmiało genezę życia na ziemi w następujący mniej więcej sposób:

Zaczątkiem materyi żywej stanowił cyanek, a że, jak uczy chemia, do wytworzenia cyanku trzeba bardzo wysokich temperatur, więc samo narzuca się przypuszczenie, że pierwsze

[1]) Pflüger sądził mianowicie, odpowiednio do panujących wówczas poglądów, że mocznik, kwas moczowy i inne produkty rozkładu białka otrzymać można tylko z białka żywego, gdy tymczasem Hofmeisterowi (Merworn l. c. str. 318) udało się sporządzić mocznik także z białka martwego. Drugie błędne założenie, na którem oparł Pflüger swą teoryę, było mniemanie, że mocznik powstaje w organizmie jako bezpośredni produkt żywego białka; dziś już wiemy, że tak nie jest, gdyż tworzy się on tam przez syntezę drugorzędną substancyi takich, jak kwas węglowy, kwas mleczny, amoniak, powstałych bezpośrednio przez rozpadanie się drobiny białka.

początki życia na ziemi odnieść należy do epoki, kiedy planeta nasza była jeszcze w stanie płynnego żaru. W tym też czasie powstały inne składniki białka, jak węglowodany, a potem to wszytko, w miarę ostygania ziemi, łączyło się w coraz bardziej skomplikowane związki, aż powstało żywe białko[1]). Teorya, jak widzimy bardzo piękna, a jeżeli komu się zdaje nieprawdziwa, to niech udowodni, że tak nie było.

U innego przyrodnika, anglika Allena, który postawił teoryą w głównych zarysach podobną do teoryi Pflügera, rdzenium i zarodku życia szukać należy we własnościach tlenu, a życie powstało później niż u Pflügera, bo dopiero wtedy, gdy wody zaczęły spływać na powierzchnię ziemi.

---

[1]) „Wszystkie fakty chemii wskazują na ogień, jako na siłę, która przez syntezę wytworzyła składniki białka. Życie powstało więc z ognia i w swych zasadniczych warunkach założone zostało w czasie, gdzie ziemia była jeszcze ognistą". (E. Pflüger: „Über die physikalische Verbrennung in den lebendigen Organismen" w „Archiv für die gesammte Physiologie des Menschen und der Thiere" Bonn 1875 t. X. str 341). Uderzyć tu musi przeskok, jaki autor robi, mówiąc w pierwszem zdaniu, że wszystkie składniki białka powstały pod wpływem ognia, a w następnym wypowiadając wprost twierdzenie, jako wniosek z poprzedniego, że życie powstało z ognia. Nieuwzględnia autor zupełnie, że cała kwestya powstania życia obraca się właśnie około tej trudności, w jaki sposób składniki białka zostały złożone w białko, a tembardziej w istotę, czy jak chcą inni, w materyę żywą. Tę trudność rozwiązuje zresztą Pflüger bez żadnego kłopotu na innem miejscu: „Powiedziałbym" czytamy tam ze zdumieniem „że pierwsze białko, które powstało, było odrazu materyą żywą, obdarzoną własnością, we wszystkich swych rdzeniach z wielką siłą i zamiłowaniem (Vorliebe) przyciągania przedewszystkiem równorodnych części składowych, by je włączyć chemicznie w skład molekuły i w ten sposób róść *in infinitum* (tamże str. 342). Ponieważ i dzisiaj mamy w przyrodzie, naprzykład pod skorupą ziemską, a w laboratoryach sztucznie otrzymać możemy, bardzo wysokie temperatury, więc nieświadomy czytelnik mógłby zapytać, czy obecnie w ten sposób materya żywa, obdarzona własnością „rośnięcia in infinitum" powstać może. Na to odpowiada Pflüger: „sądzę, że wszystko dzisiaj na świecie znachodzące się białko pochodzi wprost od owego pierwszego. Dlatego wątpię w *Generatio spontanea* (samorództwo) w obecnym czasie". Dlaczego wątpi, o to pytać nie trzeba, po przeczytaniu całej rozprawy, gdzie gruntowna wiedza przyrodnicza w sposób niewytłómaczalny zespoliła się z zupełnym brakiem krytycyzmu i ścisłości, a nawet nieraz sumienności w rozumowaniu i stawianiu wniosków i hypotez. Czytając ową klasyczną rozprawę Pflügera, odnosi się na niektórych kartach wrażenie, jakgdyby się przypatrywało zabawie lekkomyślnego dziecka, które wsunęło się niespostrzeżenie do pracowni ojca i teraz igra, i rzuca lekkomyślnie drogocennymi przedmiotami — zdobyczami nauki ścisłej.

Wszystkich jednak szaloną naprawdę pomysłowością przewyższył Preyer. Według niego ognista, płynna masa ziemi, była jednym wielkim żywym organizmem, którego życie objawiało się jako ruch przewalających się w jego wnętrzu płynnych, ognistych substancyi. W miarę, jak substancye te ostygały, zamieniały się na materyę martwą, aż wreszcie skrystalizowało się życie wyłącznie w białkowatej protoplaźmie. Wspominam o tym pomyśle Preyera dlatego, że znany profesor fizyologii w Getyndze, Max Merworn, w książce swej: „*Die allgemeine Physiologie*", które rości sobie prawo do dzieła naukowego, uważa za stosowne kilka stron marzeniom Preyera poświęcić a nawet poważnie je krytykować. Widzimy że każda teorya będzie miała wartość naukową, byle prowadziła do uzasadnienia monistycznego samorództwa,

Lecz zejdźmy z tych obłoków rozkiełznanej wyobraźni na pola więcej równe i prozaiczne, do laboratoryów naukowych, gdzie więcej realne czyni się wysiłki, by rozwiązać piekącą zagadkę życia. Na pierwszy plan wysunie się tu cała falanga niestrudzonych pracowników na polu chemii organicznej. Dali oni już światu cały zastęp niezmiernie pożytecznych i ciekawych wynalazków, robią już nawet w wielu wypadkach konkurencyę przyrodzie. I tak zniszczyli uprawę indyga, gdyż wytwarzają sztucznie indygo, lepsze i tańsze i zalewają targi swym towarem w wartości rocznej przeszło 50 milionów koron, niezależnym w gatunku i cenie od pogody, i innych zewnętrznych warunków. Z brzydkiego, czarnego teru, owej substancyi smołowej, pozostałej przy fabrykacyi gazu świetlnego, wyciągają najwspanialsze olejki wonne i pachnidła, których w samych Niemczech sprzedają rocznie za 20 milionów marek. Z tego samego teru wytwarzają cały szereg farb, i wreszcie sacharynę, która słodyczą swą 300 razy przewyższa cukier trzcinowy. Jednym słowem chemía umie wytwarzać dziś prawie wszystkie substancye organiczne, które dawniej brać musiano wyłącznie ze świata organicznego, z roślin lub zwierząt. Prawie wszystkie — do niewielu opornych należy białko. Ale to białko, połączenie chemiczne węgla, tlenu, wodoru, azotu i zwykle jeszcze siarki, jest właśnie najważniejszą i naj-

potrzebniejszą organiczną substancyą, ono bowiem stanowi główny, istotny składnik protoplazny, bez której niema życia. To też usiłowania chemików całego świata pod wodzą wielkiego Emila Fischera skierowane są do tego, by białko sztucznie otrzymać.

Wiadomo, że białko ulega trawieniu, rozkładowi, pod wpływem soku żołądkowego, mianowicie rozkłada się ono na peptony. Otóż po wielu latach usilnej pracy, przy zastosowaniu wszystkich środków olbrzymiego chemicznego laboratoryum, jakiemi tylko nauka dziś rozporządza, Fischer dziś święci tryumf, że doszedł do sztucznego wytworzenia ciał podobnych do tych produktów rozkładu białka. Lecz synteza tych produktów na białko, to jest złożenie z nich białka, opiera się dotąd wszelkim usiłowaniom. I tu chyląc czoła przed świetnymi rezultatami wysiłków Fischera i tylu innych mężów nauki, przypomnijmy sobie jednak równocześnie, że czego oni nie mogą dokazać przy użyciu całego potężnego aparatu naukowego i technicznego, wysokich temperatur i ciśnień prądów elektrycznych i olbrzymich motorów, to w nas i wszędzie naokoło nas w zwykłach warunkach i temperaturze, cichutko, bez huku motorów i wysiłku wielu pracowników kierowanych geniuszem uczonego profesora, dokonuje każda komórka, niewidzialna dla oka nieuzbrojonego w mikroskop każdy pierwotniak lub bakterya. Bo chociaż organizmy zwierzęce potrzebne sobie białko brać muszą z zewnątrz gotowe w pożywieniu, jednak to białko w pokarmach pobrane nieulega wprost przyswojeniu przez komórki organizmu, lecz rozkłada się najpierw pod wpływem soków trawiących na związki prostsze, z których znowu przez syntezę, komórki odpowiednie, w sposób dla siebie zupełnie prosty i łatwy, a dla nas całkiem tajemnicą pokryty, wytwarzają białko.

Wielu z przyrodników, widząc z niepokojem bezowocność usiłowań sztucznego stworzenia życia, za ostatnią ucieczkę dla samorództwa uważają wytworzenie sztuczne białka. Gdy białko takie wytworzymy, gdy zgłębimy i poznamy całkowicie chemią białka, wtedy dopiero, zdaniem ich, będziemy mogli mówić o życiu, jego tajemnicach i jego powstaniu. Ale odpowiedzieć na to trzeba, że jeżeli chemikom uda się stworzyć białko, to bę-

dzie to przedewszystkiem białko martwe, nie obdarzone właściwościami życia, takie, jakie mamy obecnie w przegotowanym jaju lub mleku. I jeżeli produkt taki sztuczny ma być doskonały, to musi on być we wszystkiem podobny do białka naturalnego. Jak daleka jednak droga od takiego naturalnego białka ściętego do białka żywego, zorganizowanego, a od niego do istoty żywej, wiedzą i czują to dobrze ci, którzy z badaniami biologicznemi mają do czynienia. Pojęciowo i faktycznie między białkiem ściętem a żywą plazmą jest prawie ta sama różnica, co między żywą substancyą a jakimkolwiek wytworzonem przez nią organicznym produktem, jak tłuszczem, cukrem, lub jakimkolwiek węglodanem. Chociaż bowiem drobina białka ma budowę bardziej skomplikowaną, niż jakikolwiek inny związek chemiczny, ale mimo to nie posiada ona ani śladu zasadniczych własności istot żywych. Mógłby powiedzieć ktoś wprawdzie, że może idąc tą drogą do syntezy białka uda się z analogicznych do białka związków koloidowych utworzyć wprost żywą drobinę, omijając stadyum białka ściętego, każdy jednak, kto stawia ten zarzut, przyznać musi, że do takiej nadziei nieuprawnia nas nic z tego, co wiemy dzisiaj o własnościach chemicznych i fizycznych ciał w przyrodzie, a przeczy jej wszystko to, co zbadała biologia.

Także z zupełnie innej gałęzi nauki dochodzą echa o usiłowaniach czy nadziejach sztucznego samorództwa. Od lat przeszło trzydziestu Lehman, profesorf izyki w szkole technicznej w Karlsruhe, pracuje nad drobnym, lecz dosyć interesującym zakątkiem fizyki, mianowicie nad tak zwanymi płynnymi i płynącymi kryształami. Jeżeli mianowicie zmieszamy ze sobą pewne organiczne płyny, powstają krople, przybierające rozmaite kształty i podobnie jak kryształy minerałów, podwójnie załamujące światło[1]). Rzecz cała da się zupełnie wytłómaczyć zapomocą oddziaływań fizycznych, adhezyi, kohezyi i dyfuzyi, nie byłoby też potrzeby o tych zjawiskach tu wspominać, gdyby nie usiłowania, dążące do wykazania analogii pomiędzy zachowaniem się tych płynnych kryształków a objawami życio-

[1]) Lehman Dr. O. Die neue Welt der flüssigen Kristalle, Lipsk 1911.

wemi istot drobnoustrojowych. Rzekomo tę analogię znaleziono zresztą i często się o niej wspomina także w przypadku kryształów zwykłych. I tak mówi się. że kryształ rośnie z roztworu, w którym się znajduje, a więc odżywia się, biorąc zeń drobiny, potrzebne do swej budowy, dalej że kryształ rośnie tylko do pewnej wielkości, a potem ten wzrost ustaje; wreszcie, że gdy kryształ zranimy, on odbudowuje uszkodzone miejsce, jak gdyby leczył zadaną sobie ranę. Analogie te jednak tak zupełnie się mają do zjawisk życiowych komórki, jak wspomniane wyżej dźwięki wydawane przez gramofon do głosu człowieka.

Weźmy tylko pod rozwagę najciekawsze zjawisko, regeneracyi kryształu, to jest naprawiania miejsc uszkodzonych, jakie często obserwować można w krysztale. Otóż by kryształ taki, albo raczej jego międzycząsteczkowe siły odbudowały część uszkodzoną, musi koniecznie pobierać substancyę do tego potrzebną z zewnątrz; roztwór, w jakim się kryształ znajduje, musi mieć pewną ściśle oznaczoną gęstość, czyli koncentracyą. Tymczasem u istot żywych widzimy całkiem co innego. Obserwowano nieraz, że gdy niższego robaka rozcięto na dwie części, każda z tych części odrodziła się i utworzyła całkowitego robaka, chociaż żywności zwierzęciu z zewnątrz się nie dostarczyło. Dalej różnica ważna, że materyał, z którego kryształ się tworzy, dorzuca się cząstką do cząstki od zewnątrz, jakby cegły do budującego się muru, podczas gdy w istotach żywych substancya, służąca za pokarm, musi być strawioną, to znaczy uledz wielokrotnym nieraz zmianom chemicznym i dostać się do wnętrza organizmu. Żaden organizm nie żywi się i nie rośnie przez nakładanie nań z zewnątrz cząstek węglowodanów, tłuszczów lub białka. To są różnice istotne, chociaż pozornie subtelne. Jest jeszcze jedna, która od razu uderzyć musi każdego.

Wszystkich znanych systemów figur, w których występować mogą kryształy, jest tylko trzydzieści dwa, a ściany tych brył muszą być zawsze płaszczyznami. Któż jednak zliczyć zdoła te przepiękne, w różnorodne wzory ułożone kształty i szkielety, jakie wytworzyć może komórka, bądź sama jedna, bądź na spółkę z innemi! A pamiętać trzeba, że są to twory

misternie wykonane z bardzo nieraz twardego materyału, bo z krzemu, a wykonane przez mikroskopiczną bryłkę miękkiej, niesłychanie delikatnej i wiotkiej protoplazmy i to w ciągu kilku godzin! Jakaż i tu różnica niezgłębiona między mechanicznem działaniem drobin martwego minerału, a celową siłą twórczą żywej istoty!

Podczas gdy kryształy płynne Lehmanna pod względem fizycznym dorzucają coś do dorobku naukowego, chociaż o ich podobieństwie do istot żywych niema mowy, i sam Lehmann w to podobieństwo nie wierzy i o niem wspomina tylko chyba celem zainteresowania szerszego ogółu swymi książkami,[1]) to prace angielskiego przyrodnika Butlera Burkego zaliczyć należy do humorystycznych raczej epizodów naukowego badania samorództwa. Ponieważ jednak tu i owdzie o nich się słyszy, więc trzeba im poświęcić choć krótką wzmiankę. W r. 1905 z początkiem lipca rozeszła się wieść po świecie, że Mr. John Butler Burke, z obserwatoryum w Cambridge, działając bromkiem radu na bulion, otrzymał twory w postaci drobnych niezmiernie kuleczek, które zupełnie tak się zachowywały, jak istoty żywe: rosły, a więc odżywiały się, mnożyły się przez dzielenie, a nawet niektóre z nich wykazywały wewnątrz twór, jakby komórkowe jądro. Z początku Burke był przekonany, że to są rzeczywiście żywe istoty, i nazwał je dlatego *radiobes*, radioby, żyjątka, które powstały pod wpływem radu. Później zmodyfikował nieco swe zdanie i twierdził, że mamy tu do czynienia z istotami, stanowiącemi jak gdyby pomost pomiędzy kryształami a istotami żywemi. Badaniu radiobów poświęcił też wiele pracy i trudu i napisał o nich grube dzieło p. t. „*The origin of life*“ — gdy w sprawę wmieszał się sławny fizyk i chemik Ramsay, który jednym zamachem pozbawił uroszczeń do życia wszystkie

[1]) Kryształy płynne Lehmana nastręczają pewne im tylko właściwe analogie do istot żywych. Mianowicie często wykonują one szybkie ruchy, a nadto dzielą się, jak istoty jednokomórkowe. Zjawiska te jednak są wyłącznie skutkiem działań cieplnych i kohezyjnych, czysto fizycznych, z życiem nie mają one nic wspólnego.

radioby. Fizykom już poprzednio znanym był fakt, [1]) że rad, działając na wodę, rozkłada ją na tlen i wodór. Działanie to jest tak energiczne, że gram soli radowej w roztworze wodnym wywiązuje dziennie 13 cent. kub. mieszaniny tych gazów. Znanem było również zjawisko, odkryte w r. 1903 przez Hardy'ego, (Londyn 1906), że promienie wychodzące z radu, mianowicie promienie alfa, ścinają płynną globulinę[2]). Stosując to do radiobów, Ramsay odsłonił wkrótce całą ich tajemnicę. Emanacya radu rozkładała wodę bulionu, wytwarzając pęcherzyki gazowe, a że nadto ma ona własność ścinania białka, więc naokoło tych pęcherzyków gazowych białko ścięte tworzyło ową otoczkę, albo ściankę komórkową. W ten sposób pokazał Ramsay ponad wszelką wątpliwość, że radioby rzeczywiście powstają pod wpływem radu, z materyi nieżywej, zawierającej białko, że ponad wyżyny tej materyi nie wychodzą i nie są tworami żywymi.

Poza Lehmannem i Burkem niema na razie czynnych bojowników za sprawą samorództwa, chybaby jeszcze wspomnieć o Bastianie w Anglii, który od lat czterdziestu przeszło walczy z Pasteurem i jego zwolennikami i wielkim głosem a grubemi tomami dowodzi, że w sterylizowanych roztworach kolloidalnych po upływie kilku miesięcy otrzymuje rodzaj żywej substancyi, zoogleę, a także że z jednych gatunków przez heterogenezę powstają inne.[3]) Mimo jednak przytoczonych rzekomych

---

[1]) Rutherford: Radio-active Substances. Commbridge 1913, str. 317.

[2]) Rutherford: l. c. str. 316. — M. Curie: Traité de Radioactivité. Paris 1910, t. II, str. 245.

[3]) H. Charleton Bastian jest wybitnym przykładem jednostronnego zacietrzewienia się czy skrzępnięcia w pewnym kierunku myślowym Rozpocząwszy w młodości, przed laty przeszło czterdziestu, kampanię w obronie samorództwa, toczy ją i dzisiaj z niezmiennym zapałem. I choć zdobył sobie skądinąd miejsce nieostatnie w nauce doświadczalnej, tak, że jest nawet członkiem akademii londyńskiej, i wielu innych wybitnych naukowych towarzystw, nie wacha się w tej sprawie zasadniczej sam jeden stanąć na przekór wszystkim przyrodnikom obecnym. Najpoważniejsze czasopismo przyrodnicze, londyńska *Nature*, dzieła Bastiana: *The Nature and Origin of living Matter* nazywa wprost „*Biological Heresis*", herezya biologiczna, i mówi: „Dr H. Charlton Bastian wykłada na nowo swe dobrze znane herezye biologiczne z siłą i gorliwością godną lepszej sprawy: zmuszeni stać zdala od herezyi Dra Bastiana, nie możemy jak

dowodów doświadczalnych, ilustrowanych mikrofotografiami, w poważnym świecie naukowym posłuchu żadnego nie znajduje.

Wszystkie tedy usiłowania wzbudzenia życia z materyi nieorganicznej zawiodły, a postęp nauk biologicznych wykazał, że najniższym elementem życiowym jest komórka, twór wysoko

---

tylko podziwiać jego uparte (*dogged*) popieranie tego, co nam się wydaje jako sprawa stracona. Jestto czemś niemałem stać *unus contra mundum* bez straty odwagi albo dobrego humoru". *Nature* t. LXXIII str. 361.

To pisano przed laty ośmiu, lecz Bastian wcale się nie zachwiał ani cofnął i ciągle słowem i pismem teorye swoje stara się uzasadnić. Przed kilku miesiącami nadsyła znowu do *Nature* długi list, w którym przedstawia wyniki swych najnowszych prac doświadczalnych, mających zdaniem jego udowadniać, że w rurkach sterylizowanych, zawierających krzemian sodowy i azotan żelaza, powstały po kilku miesiącach zarodki żywe organizmów, a jako świadków tego przytoczył między innymi J. B. Farmera i V. H. Blackmana. Uczeni ci jednak nadesłali natychmiast do *Nature* następujące sprostowanie, które redakcya wydrukowała w n. 92 str. 660 (12 lutego 1914 r.): „Spostrzegamy w sprawozdaniu, które się ukazało w najnowszym zeszycie *Nature* (22 stycznia str. 579), że Dr Bastian jest widocznie pod wrażeniem, iż przyjmujemy jego własne tłómaczenie „organizmów", jakie się zjawiły w jego zapieczętowanych i sterylizowanych rurkach, mianowicie, że to są rzeczywiście żyjące organizmy. To nie przedstawia naszego stanowiska... Nie byliśmy i nie jesteśmy dotychczas przekonani o żywej naturze (*living nature*) „tych organizmów" wogóle, tem mniej, że one są żyjącymi organizmami, powstałemi przez samorództwo". Krytycy Bastiana wyjaśniają, że niektóre z tych rzeczy, które on widzi, nie są zapewne wcale tworami żywymi, inne zaś powstały przez zakażenie czyto szkiełka, na którem preparat obserwowano, czy też innych przyrządów. Jak trudno od takiego zakażenia się ustrzedz, przykład niezmiernie interesujący widzieć można w pierwszej sali przyrodniczego działu British Museum w Londynie. W osobnej gablotce widać tam wystawione suchary w puszkach blaszanych, jakich się używa w armii i flocie angielskiej, przepełnione owadami i ich poczwarkami. Suchary sporządza się w ten sposób, że wprost z pieca piekarskiego, a więc z temperatury około 200 stopni, umieszcza się je w sterylizowanych blaszanych puszkach, które natychmiast lutuje się hermetycznie. Otóż z przerażeniem spostrzeżono po paru latach w wielu tak starannie zamkniętych puszkach obecność owych pasożytów. Zwyczajem angielskim wysadzono zaraz komitet z fachowych przyrodników, którzy się mieli zająć zbadaniem tej sprawy, lecz dotychczas — przeszło rok — niezdołano napewne stwierdzić sposobu, w jaki owady do puszek się dostają. Jest tylko bardzo silne przypuszczenie, że dzieje się to w tej krótkiej chwili, której potrzeba, by pieczywo przenieść z pieca do puszek. Oczywiście nikomu jednak nie przyszło na myśl przyjąć tłómaczenie *à la Bastian*, że mamy tu do czynienia z samorództwem. Jeżeli więc zarodki tak wysoko zorganizowanych istot, jak owady, zdołały dostać się do szczelnie zamkniętych sucharów, to tembardziej mogło się to stać i stało się z kulturami Dra Bastiana, w której tenże znajduje niższe rośliny, pierwotniaki, wrotki itp.

zorganizowany, obdarzony wszelkiemi cechami życia, i stanowiący sam dla siebie świat zjawisk i przemian chemicznych i fizycznych, kierowawnych wewnętrzną celowością. Wobec takich wyników sprawa samorództwa musiała umysłom logicznym i ścisłym okazać się beznadziejną, toteż mężowie tej miary, co Lord Kelvin w Anglii i Helmholtz w Niemczech niewidząc ratunku na ziemi, poza nią oczy swe skierowali. William Thomson (Lord Kelvin) w r. 1871 i Hemholtz w r. 1876 występują z ową sławną i znaną dziś powszechnie hypotezą, że zarodki pierwsze życia spaść mogły na ziemię we wnętrzu meteorów, które wedle panujących obecnie teoryi, są odłamkami rozbitych planet.

Za tę teoryę nie przemawia nic, żaden fakt pozytywny a przeciwko niej zarzutów podniesiono wiele[1]), toteż porzucono je powszechnie, a natomiast jej miejsce zajęła teorya o tak zwanej panspermii, którą w połowie zeszłego wieku podał niemiecki lekarz Richter, a obecnie na naukowych oparł podstawach znany szwedzki fizyk Svante Arrhenius. Skorzystał on mianowicie z faktu, przepowiedzianego teoretycznie przez Maxwella przed wielu laty, a udowodnionego doświadczalnie przez Lebedewa w r. 1900, że każda energia promienista, a więc i promienie słońca, wywierają na powierzchnię, na którą padają, mechaniczne ciśnienie. Gdyby nie siła grawitacyjna, która przedmioty trzyma na powierzchni planet, pod wpływem tego ciśnienia musiałoby puścić się na wędrówkę po wszechświecie wszystko, co ruchome na

[1]) Zarzuty te zbiera krótko, lecz trafnie, Svante Arrhenius: „Przedewszystkiem jest wątpliwem, czy istoty żywe mogą wytrzymać gwałtowne wstrząśnienie przy zderzeniu się dwóch ciał niebieskich. Następnie wiemy, że spadający na ziemię meteoryt przez tarcie w atmosferze rozżarza się na całej swej powierzchni tak, że wszystko nasienie na niem musi stracić swą zdolność kiełkowania. Prócz tego meteoryty mają skład całkiem inny, aniżeli odłamek z podobnej do ziemi planety. Rośliny rozwijają się prawie wyłącznie w pulchnych warstwach ziemi, a bryłę ziemi, którąby spadła w atmosferę ziemską, roztarłby bezwątpienia opór powietrza na masę drobnych okruchów; te, każdy dla siebie, rozgorzałyby żarem w postaci gwiazdy spadającej i dosięgłyby powierzchni ziemi nie inaczej, jak w formie przepalonego pyłu. Inna trudność polega na tem, że tego rodzaju zderzenia, które, jak się przypuszcza, odpowiadają zjawieniu się tak zwanej nowej gwiazdy, są zjawiskami wcale rzadkiemi. Svante Arrhenius: Das Werden der Welten. Lipsk 1907.

ziemi. Ale pamiętać trzeba, że siła grawitacyjna zależy od wielkości masy, a więc jest proporcyonalną do trzeciej potęgi promienia ciała, na które działa, podczas gdy ciśnienie zależy od wielkości powierzchni, a więc do kwadratu tegoż promienia. Toteż gdy weźmiemy bardzo małe ciało, może się zdarzyć, że siła przyciągania stanie się mniejszą, niż ciśnienie świetlne. Fizycy obliczają, że dla ciał, znajdujących się na powierzchni naszej ziemi, mających ciężar gatunkowy jeden, to znaczy równy ciężarowi wody, nastąpi to wtedy gdy średnica ciała wyniesie 16 milionowych części milimetra. Gdybyśmy więc mieli nasienie lub istotę żywą takich rozmiarów, to pewnego poranku puściłaby się ona w podróż we wszechświat na promyku świecącego nań słońca. A istoty takie rzeczywiście mamy. Sąto spory czyli zarodki bakteryi, które nieraz są tak drobne, że nie można ich dojrzeć nawet pod najsilniejszemi powiększeniami.

Arrhenius obliczył bardzo dokładnie długość trwania podróży takiej żyjącej cząstki. Na Marsa doszłaby z ziemi już w ciągu dni 20, na Jowisza po dniach 80, a podróż na Neptuna w najlepszym razie wynosiłaby 14 miesięcy. Inaczej jednak rzecz się przedstawia, gdyby promyk słoneczny porwał ją ze sobą dalej i zechciał unieść aż na najbliższą gwiazdę stałą. Zarodek, któryby opuścił ziemię w zamierzchłych czasach przedhistorycznych Egiptu, jeszczeby tam może obecnie nie doleciał, bo na taką podróż, według Arheniusa, potrzeba lat 9 tysięcy. Czyżby jednak tymczasem nie zgasła w niem ta iskra życia, która ma dać na nowej planecie w warunkach dogodnych, początek nowym żywym istotom! Nie, odpowiada Arhenius. W przestrzeni bowiem kosmicznej panuje wielkie zimno, koło 220,° a zimno to nietylko że nie zabije zarodka, lecz zawiesi jego objawy życiowe, a tem samem życie jego ogromnie przedłuży[1]).

[1]) Gdy zwolennikom teoryi kosmicznego pochodzenia życia, czy to w formie podanej przez Kelvina i Helmholtza, że zarodki spadły na ziemię z meteorami, czy też panspermy Arheniuszowskiej zrobiono zarzut, że oni zagadki powstania życia wcale nie tłumaczą, lecz ją tylko odsuwają, wielu z nich uciekło się do hypotezy dodatkowej, że życie nigdy nie miało początku, lecz jest wieczne. Pomijając, wobec tak zdumiewającej konkluzyi, tę niemałą zresztą trudność, dlaczego życie, rozwijające się od nieskończoności, na tak stosunkowo

Przepiękna ta teorya, której szerzej rozwijać nie będziemy przedewszystkiem zadaje kłam tak często powtarzanemu twierdzeniu, że nauki przyrodnicze zabijają natchnienie poetyckie w swych adeptach. Niewiem, czy który poeta zdobył się na tak wspaniały obraz samotnej, w ciemności i mrozie niebywałym pędzącej szalenie życiowej drobiny, która idzie z zaświatów na ziemię, by zaszczepić tu tę odwieczną iskrę życiową, mającą pustą bryłę kosmiczną zamienić w siedzibę przeróżnych formą i przymiotami istot żywych. I któż z niespokojną sympatyą nie popędzi myślą za owym zarodkiem i nie odetchnie swobodnie, gdy zoczy, że osiadł on wreszcie na miękkim gleby podłożu, i odtajał wśród ciepłej atmosfery.

Lecz jakoś z niego życie się nie rozwija — co się stało? Spada zarodek jeden, drugi, tysiączny, a życia niema. — To widocznie trupy!

Tak trupy — a uśmierciło je to samo słońce, które na swych promieniach je niosło. I tu już nie marzenia teoretyczne, lecz fakta, doświadczalnie stwierdzone w czasach najnowszych, znowu stawiają fizyków w rzędzie ludzi najżywszą obdarzonych wyobraźnią.

Mistycy chrześcijańscy malują okropności tego miejsca stra-

---

niskim znajduje się stadyum rozwoju, albo dlaczego przybrało te, a nie inne formy — stwierdzić z całą stanowczością musimy, że mówić o wieczności życia jest rzeczą zupełnie nienaukową. Przyrodnik, chociażby krańcowo krytycznym obdarzony umysłem, może twierdzić, że na razie nauka nic o początku życia powiedzieć nie umie, że w tej sprawie długo i bardzo długo jeszcze wypowiedzieć się nie odważy. Lecz przyrodnik taki, o ile zachował zdolność i odwagę logicznego myślenia nad zasadniczymi problemami przyrody, nie zaryzykuje nigdy wniosku, że skoro o powstaniu życia nic nie wiemy, więc — nie ma ono początku, nie powstało nigdy. Do takiego wniosku nie uprawnia nic, ani fakta doświadczalne, ani nawet poważniejsze hypotezy naukowe. Hypoteza o wieczności życia jest nienaukowa, całkowicie dowolna — a że znajduje pewien oddźwięk u niektórych przyrodników, tłómaczy się to tylko tem, że widząc beznadziejność wytłómaczenia zagadki życia bez przyjęcia Stwórcy, wolą całą sprawę rzucić w nieskończoność, a więc poza sferę rozumu i dociekania naukowego.

Ale hypoteza o wieczności życia nie tylko jest niezgodną z nauką — ona nadto staje w sprzeczności i z dogmatami Kościoła katolickiego. Na początku samym zaznaczyliśmy, że Kościół w dociekaniach nad początkiem życia na ziemi pozostawia przyrodnikom zupełną swobodę, lecz w określeniach dogmatycznych tego Kościoła czytamy, że świat cały powstał w czasie, a więc ma początek (n. p. na koncylium lateraneńskiem w r. 1215 (Denzinger 428), watykańskiem w r. 1869 (Denz. 1783)). Jak z uwagi o nienaukowości hypotezy wieczności życia widać, orzeczenie to Kościoła niczem nie krępuje wolności badania naukowego, potępia ono tylko to, co i nauka, jak długo trzyma się ścisłości logicznej w swych enuncyacyach, odrzucić i potępić musi.

sznego, nad którem Dante umieścił ów napis: *Lasciate ogni speranza* — snuli obrazy, że znajduje się tam ogień, który pali, ale nie świeci, ani nie grzeje. Długo pojęcie to błąkało się nieraz wyśmiewane, aż je obecnie wskrzesili fizycy. Tak, powiadają, ogień taki, czyli mówiąc językiem naukowym, promieniowanie, takimi sprzecznymi pozornie obdarzone przymiotami, rzeczywiście istnieje. Są to promienie pozafiołkowe, o bardzo krótkich falach, jakie wychodzą n. p. ze słońca, lub elektrycznego łuku[1]). Promienie te są ciemne, bo na zmysł wzroku naszego nie działają, ale palą, to jest utleniają się niesłychanie gwałtownie. Żadna bakterya, żaden zarodek ich działaniu oprzeć się nie zdoła. Jules Courmont[2]) ogłasza przed trzema laty w *Revue Générale des Sciences* o promieniach tych artykuł, w którym między innemi opisuje następujące doświadczenie: Litr wody zakażono bakteryami, których tam było 128,200.000 a zarodki tych bakteryi taką posiadały odporność, że kilkugodzinne gotowanie, wrzenie, nic im uszkodzić nie mogło. Skoro tylko jednak taki litr wody wystawiono na działanie promieni pozafiołkowych, wszystkie bakterye wraz z zarodkami natychmiast zginęły. Korzystając z tego faktu w wielu miastach wodę do picia sterylizują w ten sposób, że ją przepędzają przez rurę, oświeconą promieniami pozafiołkowymi. A nawet temperatura wody przez to się nic prawie nie podnosi, bo promienie pozafiołkowe palą, lecz nie grzeją, posiadają one osobliwą własność, że utleniają, bez wywiązywania gorąca.

Te dziwne promienie zabijają więc panspermę Arrheniusa i jego całą teoryę, a nas stawiają znowu wobec piekącego pytania: więc skąd życie na ziemi?

Nie z samorództwa, nie z wszechświata — a więc zkąd?

(C. d. n.)

X. F. Hortyński.

---

[1]) H. Buisson et Ch. Fabry: La Lumière Ultra-Violette. W *Revue Générale de Sciences* t. 2 (r. 1911) str. 309 i nast.

Daniel Berthelot: Les Effets Chimiques des Rayons Ultra-Violets. Tamże str. 322 i nast.

[2]) Jules Courmont: La Stérilisation de l'Eau par les Rayons Ultra-Violets, ib. str. 336. Przyrząd sterylizował 81 litrów takiej wody na godzinę, a więc litr mniej niż w minucie.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

„Początki parafii polskich“ *Zachorowski Stanisław Dr* str. 275—297 w wydawnictwie zbiorowem: „Studya historyczne“ ku czci prof. Wincentego Zakrzewskiego — Kraków — 1908 r.

„Sądy synodalne w Polsce“ str. 81; osobne odbicie z 54 t. rozpraw wydz. hist. filoz. Ak. Um. w Krakowie z 1. 1911.

„Rozwój i ustrój kapituł polskich w wiekach średnich“ str. 268; nakład Akad. Um. w Krakowie z r. 1912.

W autorze trzech powyżej wymienionych rozpraw przysposabia Wszechnica Jagiellońska nową siłę na rzecz katedry prawa kanonicznego. Z samego przeglądu nagłówków tych rozpraw wypływa wniosek, iż Dr. Zachorowski, poza pozyskaniem erudycyi kanonistycznej, postawił przed sobą chwalebny cel zużytkowania nabytej wiedzy dla samodzielnej pracy naukowej w kierunku badań nad historycznym rozwojem instytucyi kościelnych w Polsce. Poszedł on zatem śladem tych nielicznych duchownych i świeckich kanonistów, którzy studyum historyi prawa kościelnego szczytnie pojęli, jako jeden ze środków, wiodących do rozpoznania dziejów kultury własnego narodu. Niezaprzeczenie bowiem — wpływ kościoła rzymskiego, tak pod względem zasad moralnych, jak i urządzeń prawnych, oddziałał w wysokim stopniu na nasze stosunki społeczne i w głównej mierze przyczynił się do wprowadzenia Polski w rząd państw wielkiej republiki chrześcijańskiej zachodniej Europy. Ocenić zatem, jakie stosunki zastał ten wpływ w Polsce, garnącej się do kultury Zachodu, jak je kształcił i naginał a zarazem godził z potrzebami i ogólnymi celami Kościoła rzymskiego, to nie tyle metodyczne zagadnienie z historyi partykular-

nego prawa kościelnego, ile odkrywanie formacyi pokładów kultury, której spadkobiercami jesteśmy — my dzisiejsi.

Wprawdzie w dotychczasowych rozprawach nie zdaje się jeszcze autor dochodzić do tego rodzaju pojmowania swego zadania, rozkoszując się jakoby wykazywaniem form powszechnego prawa kościelnego i ujmowaniem w schematy prawnicze form nieznacznie odeń odbiegającego prawa partykularnego, to jednak jest nadzieja, że jako wyszkolony historyk, odnajdzie właściwą drogę, po nabraniu przekonania o jałowości formalistycznego tylko badania rozwoju instytucyj kościelnych w Polsce. Ileż to razy przychodzi autorowi w swej ostatniej pracy o rozwoju kapituł wyznać, iż ogólny ich ustrój prawny pokrywa się z ogólną normą prawa kościelnego i ileż razy nie może znajść zasady lub formy prawnej, z którejby wysnuł, lub w którąby ujął odrębność genezy, czyto fakt istnienia odmiennych urządzeń w zakresie instytucyi kościelnych na naszej ziemi. Dociec zaś tego nie może, albowiem nie liczy się prawie nigdy z stosunkami i warunkami, jakie wprowadzane do Polski instytucye kościelne zastawały na miejscu. To też o ile nie tworzy fantastycznych teoryi, wysnuwanych zawsze tylko z ducha powszechnego prawa kanonicznego i wyłącznie interesu Kościoła, lub z analogii obcych stosunków, nie umie, czy nie chce oprzeć genezy i rozwoju badanych instytucyi o grunt rzeczywistości, jaki stanowiły współczesne potrzeby, pojęcia i urządzenia w Polsce, wobec których powszechne urządzenia kościelne musiały w pewnych kierunkach uledz odmianie.

Stądto wątpliwem się wydaje, czy autor, lekceważąc wskazany moment historyczny, dotrze do dokładnego i ścisłego ujęcia form partykularnego prawa kościelnego, a zupełnie pewnem się okazuje, iż posługując się tylko zmysłem dogmatyczno-prawnym, odejmie badanym instytucyom ich istotną wartość i znaczenie dziejowe. Tę ogólną, ale zasadniczą uwagę usprawiedliwi — być może, krótka sprawozdawcza ocena dotychczasowych prac autora na polu historyi prawa i urządzeń kościelnych w Polsce.

„*Początki parafii polskich.*“[1]) — Zanim parafia ukształtowała się na gruncie polskim, dokonał się już przebieg jej rozwoju na Zachodzie (wiek IX). U nas rozpowszechnia się ona, jako najniższy okręg administracyi kościelnej w dyecezyi, dopiero w początkach XIII wieku.

[1]) Por. sprawozdawczą wzmiankę ks. J. Sasa w Przeglądzie Powszechnym z r. 1909 — Rocznik XXVI t. CI str. 103.

Przedtem istniały kościoły biskupie, grodzkie (zakładane przez pierwszych chrześcijańskich władców polskich) i wiejskie (prywatne), fundowane przez wielmożów po wsiach, a spotykane już u schyłku XI stulecia. Kościoły grodzkie stanowiły niejako surrogat parafii (obsługa kapłańska — duszpasterstwo nad okoliczną ludnością), ale nie posiadały jeszcze okręgu parafialnego (administracyjnego). Późniejsze od nich kościoły wiejskie, będąc własnością prywatną, przez związek z całym kluczem (kompleksem) gospodarczym, w obrębie którego się znajdowały, stwarzały zarodek okręgu parafialnego, pokrywający się z przestrzenią tegoż klucza gospodarczego. Nie był to jeszcze okręg administracyjny, ale stał się nim wskutek skierowania dziesięciny (wiek XIII) z całego klucza do kościoła wiejskiego ze strony pana, który (według poglądu prof. Abrahama) uważał się za jej właściciela. Na ogół zatem: każda „*ecclesia*", spotykana w źródłach polskich z XI i XIII wieku może uchodzić za zarodek parafii, ale nie tworzy go „*capella*", która podobnie jak na zachodzie, tak i w Polsce posiada mniejsze znaczenie niż „*ecclesia*" w organizacyi kościelnej.

W ten sposób, niejednokrotnie ściślej od przedstawienia autora, dadzą się ująć wyniki rozprawki o początkach parafii polskich, a może raczej o ich zarodku. Opierają się one o nader szczupły materyał źródłowy i doświadczalny.

Jako jedyny dowód parafialnych znamion kościołów grodzkich w tym okresie przytacza autor świadectwo czeskiego kronikarza Kosmasa, według którego pradziad kronikarza miał być w r. 1038 (zapewne — w Polsce?) „*presbyter officio*". Pozatem wszystko inne polega na domniemaniu, począwszy od przejmowania przez książąt polskich wzorów czeskich i norweskich we wznoszeniu kościołów po grodach, a skończywszy na przypisywaniu tym kościołom mniej lub więcej wybitnych znamion kościołów parafialnych.

Co do kościołów wiejskich (prywatnych) — wystarczyło autorowi powołać się na kilka dokumentów z XII wieku, w których kościoły te, jako własność prywatna wielmożów, bywały z ich strony przedmiotem darowizny. Ze względu, że darowywany kościół występował zazwyczaj w dokumencie w związku z sąsiedniemi wioskami (*donatio ecclesiae cum villis*), dopatruje się w tym związku — autor — cech „węzła duchowego" między tym kościołem a wymienionemi obok niego w dokumencie wioskami. Skutkiem tego węzła: „kościół taki skupiał w sobie i jednoczył wszystkie wsi pewnego właściciela". Brak bardziej szczegółowego rozwinięcia tej myśli nie pozwala zro-

zumieć jej trafności. Zdawałoby się z niej wynikać, iż o ile tego rodzaju darowizna nie rozbijała jedności majątkowej wielmoży, lub jej całkiem nie niszczyła, to przynajmniej ratowała węzeł duchowy pomiędzy kościołem a wioskami po stronie obdarowanego, którym był z reguły (czego autor nie uważa za stosowne zaznaczyć) instytut kościelny, zazwyczaj klasztor. W ten sposób obdarowany klasztor otrzymywaćby miał nietylko kościół prywatny z poblizkiemi wioskami, ale i ów nieokreślony ściśle węzeł duchowy między tymi przedmiotami darowizny istniejący. Dalszymi losami tego węzła i jego następstwami już się autor nie zajmuje.

Wątpić należy, czy ktoś poza autorem zdołałby wyczytać tyle treści ze wspomnianych dokumentów, które mniej przenikliwemu badaczowi przedstawiają sprawę darowizn kościołów prywatnych znacznie prościej, a mianowicie, że darowywano je zazwyczaj z przydatkiem poblizkich wiosek na rzecz klasztorów, a przytem pozbywano się troski o utrzymanie ich i o utrzymanie przy nich obsługi kapłańskiej. Kto ich nie pozbywał, ten — być może — w epoce rozpowszechnienia systemu parafialnego w Polsce (w. XIII) wyznaczał, pod wpływem doktryny kościelnej o dziesięcinach, pewne opłaty dziesięcinne ze swego majątku na rzecz kościoła dawniej prywatnego, a obecnie patronatowego. Że opłaty dziesięcinne mogły się przyczynić do wytworzenia-okręgu parafialnego, obejmującego w Polsce zazwyczaj kilka wiosek, to z tym poglądem autora zgodzićby się można było. Natomiast wywód swój o kościołach prywatnych z XI i XII wieku i ich węźle duchowym z poblizkiemi wioskami osłabia w końcu sam autor, wyrażając się o tych kościołach, jako o kaplicach *(sic!)*, odpowiadających w pierwszym rzędzie interesom prywatnym, a podległych pod wpływem jurysdykcyjnym i ściśle kościelnym właściwym kościołom parafialnym (?). Godziłoby się przy ostatnich wyrazach objawić jak największe zdumienie, skąd autor doszedł do pojęcia właściwego kościoła parafialnego w Polsce, skoro przedmiotem całej jego rozprawki są kościoły bez właściwego piętna parafialnego.

Ten rozdźwięk pomiędzy założeniem rozprawki, która tytułem swoim zapowiada przedstawienie początków parafii polskich, a w rzeczywistości omawia sprawę kościołów przedparafialnych, wywołuje zasadnicze nieporozumienie pomiędzy autorem a czytelnikiem. Istnienie kościołów biskupich, grodzkich i wiejskich w Polsce przed XIII wiekiem — nie potrzebowało wywodu, także przypuszczenie, iż te kościoły spełniały niejako zadanie późniejszych kościołów parafialnych,

nie jest żadnem odkryciem naukowem; w rozprawce miały być wyjaśnione początki parafii polskich. Szuka się więc w niej odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób powstawały przy kościołach grodzkich i wiejskich owe najniższe okręgi administracyi kościelnej w dyecezyi, których przełożonym jest proboszcz (*praepositus*), posiadający pewne typowe uposażenie z obowiązkiem utrzymania kultu w powierzonym mu kościele i prawo domagania się (*pro foro interno*) od wiernych swego okręgu pewnych opłat oraz zaspokojenia niektórych potrzeb religijnych w swoim kościele. Tego właśnie, co jest istotą parafii, autor nie dotyka, ani nie wywodzi. Wynika to oczywiście stąd, że okres, w którym autor poszukuje znamion kościołów parafialnych, nie może ich dostarczyć, gdyż zaledwie zdołał się w nim ustalić ustrój dyecezyalny, wyczerpujący na razie cały system organizacyi kościelnej na ziemiach polskich.

To też, jeżeli autor ma przekonanie, niewątpliwie słuszne, iż system parafialny rozpowszechnia się w Polsce dopiero w XIII wieku, nie zdziwi się zapewne, że pomimo jego rozprawki —wywód początków parafii polskich pozostanie nadal postulatem naukowym.

„*Sądy synodalne w Polsce*". — Pod tym nagłówkiem przedstawia autor szczątkowy niemal okaz dawnego sądownictwa kościelnego, któremu skrupulatny i drobiazgowy nawet kanonista niewiele poświęciłby uwagi. Według określeń autora były to sądy średniowieczne: „w których sędzia przy sposobności wizytacyi, występując z urzędu, powołuje pewnych ludzi, t. zw. świadków synodalnych, którzy pod przysięgą wskazują mu, kto w danym okręgu dopuścił się jakiego przestępstwa, a on na tej podstawie wydaje wyrok", albo też „trybunały, przeznaczone przedewszystkiem do karania przestępstw, popełnionych przez świeckich." Sądy te, mimo zaznaczenia, iż odbywały się przy sposobności wizytacyi, mieni autor sądami synodalnymi w myśl teoryi niemieckiej, która w terminie „*Sendgericht*" dopatruje się przekształconego wyrazu „*synodus*" (*synodus-gericht*).

Tego rodzaju sądy, które kanoniści niemieccy chcą przypisać wyłącznie tworzywu germańskiemu, wywodzi autor w przeciwieństwie do nich — jeszcze z urządzeń kościelnych w państwie rzymskiem. Mianowicie dopatruje się w peryodycznej wizytacyi kościołów parafialnych przez biskupa, przedsiębranej dla dozoru podwładnego kleru i wiernych, także znamion sądowych. Wynikać to ma z rozporządzenia koncilium brakareńskiego, w którem określono, że biskup wizytujący winien pouczać kler i wiernych (*doceant illos*) o unikaniu

błędów pogańskich i zbrodni. Z owego pouczenia czyni autor trybunał, w którym biskup otrzymuje skargi na przestępców, a po przeprowadzeniu dochodzenia nietylko ich napomina, lecz także wymierza kary. O ile tego rodzaju interpretacya wyrazu: „*doceant illos*" we wspomnianem rozporządzeniu synodalnem przekona kanonistów niemieckich, to rzeczywiście powinni porzucić mniemanie o frankońskiej genezie sądów synodalnych.

Zdaje się jednak, że będą oni mieli i inne argumenty w podtrzymywaniu swego twierdzenia. Wiadomo bowiem, że pierwotnym stosunkom frankońskim, pod względem organizacyi i administracyi sądownictwa niewyrobionym, odpowiadało dążenie do zużytkowania w tym kierunku czynnika kościelnego, przedstawiającego wiedzę prawniczą i pewien zapas doświadczenia. Dlatego posłużenie się kościelną formą wizytacyi w celach sądownictwa karnego nad ludnością świecką, nie mogło trafić na znaczniejsze przeszkody. Wnosić to zresztą można z rozbicia aktu wizytacyi w stosunkach frankońskich, na czynność duszpasterską i odrębną czynność sądową, z których ta druga, odrzynająca się już wyraźnie w IX wieku, przybiera znamiona trybunału dla świeckich, sprawowanego przez sędziego kościelnego przy sposobności wizytacyi, z zachowaniem formy procesowej o wybitnem piętnie germańskiem, a polegającej na naganie, czyli łajaniu przestępców przez zaprzysiężonych (a może raczej uczciwych) świadków.

Takie „*Sendgerichty*", czyli sądy synodalne, rozwinięte w IX i X wieku w Niemczech, miały — według autora — przejąć od cesarstwa wszystkie kraje średniowiecznego świata chrześcijańskiego, przedewszystkiem zaś te, „które całą organizacyę kościelną oparły na wzorach germańskich: Czechy i Polska" — stamtąd je w swoje stosunki wprowadziły i na dłuższy czas zaszczepiły.

Przyjść one miały do Polski razem z formą wizytacyi parafialnej, dla której istniał tutaj grunt w początkach XI stulecia (str. 55) i która miała się już odbywać w „Polsce Bolesławowej" (str. 56). Z tej przyczyny — sądzi autor — „można związać początki sądownictwa synodalnego w Polsce z samymi początkami organizacyi Kościoła polskiego". Wiadomości z kroniki Thietmara, że biskup Jordan, chrystyanizując te strony „napocił się wielce nad ludem", że Bolesław Chrobry przestępcom kościelnym osobiście wymierzał kary (nieposzczącym wybijał zęby) i wiadomość Kosmasa, że pradziad jego był: „*presbyter officio*"; wiadomości te mają być wymownym dowodem powyższych twierdzeń o istnieniu gruntu w Polsce do odby-

wania wizytacyi i o odbywaniu się ich w „Polsce Bolesławowej“ wraz z sądownictwem synodalnem. Według jakiej formy odbywały się wtedy wizytacye parafialne, połączone z sądownictwem synodalnem, tego oczywiście autor, mimo powołanych świadectw, nie przedstawia.

Reakcya pogańska (po Mieszku II) miała je znieść z widowni stosunków kościelnych w Polsce; wszakże nie na długo, gdyż wnet miały się odrodzić za wpływem wzorów kolońskich, podług których wykształcać się zaczął na nowo ustrój kościelny na naszych ziemiach. Opowieść kronikarza Galla o napadzie Pomorzan na arcybiskupa Marcina (r. 1108), znajdującego się w Spicimierzu w „otoczeniu duchownych“ z „ołtarzem przenośnym“ [1]) — pozwala — jak utrzymuje autor — „wyrobić sobie niejakie wyobrażenie o sposobie odbywania sądów synodalnych w w. XI i XII“. Nie wszyscy jednak, poza autorem, mogą korzystać równomiernie z owej cennej wiadomości kronikarza, która literalnie żadnego, ani z wizytacyą biskupią, ani z sądami synodalnymi nie posiada związku.

Jeżeli zatem argumenty autora nie wzbudzają współmiernego przekonania w czytelniku co do istotnego odbywania się wizytacyi wraz z sądami synodalnymi w Polsce XI i XII wieku, to jednak pozostaje możliwość domniemywania się ich istotnie w tych czasach, pomimo braku wyraźnych w tym względzie świadectw źródłowych. Domniemanie takie byłoby usprawiedliwione, gdyby z jednej strony można było widzieć Polskę XI i XII wieku, pokrytą siecią parafii, co z rozprawki autora o początkach parafii polskich nie zdaje się wynikać, a co właśnie stanowiłoby najpodatniejszy grunt dla wizytacyi i umożliwiało przypuszczenie sądów synodalnych; lub wreszcie gdyby przynajmniej uwidoczniło się, że przyjęta po reakcyi pogańskiej forma niemiecka w odbywaniu sądów synodalnych utrzymała się do tych czasów, w których wizytacya istotnie w źródłach się zarysowuje.

Z pierwszą okolicznością zupełnie się autor nie liczy; co do drugiej zaś tyle zauważyć można, że po kilkakrotnem wyrażeniu przekonania o przejęciu przez Polskę formy niemieckiej w odbywaniu wizytacyi parafialnej, jako łączącej się z trybunałem dla świe-

---

[1]) To otoczenie duchowne składało się z 3 osób: arcybiskupa, archidyakona i kapłana; arcybiskup odprawiał mszę nie na ołtarzu przenośnym, ale na kościelnym spicimirskim: *altaria viatica*, jakie obok relikwii zrabowali Pomorzanie, były to: *sacrae vestes* i *vasa sanctuarii*, co sam kronikarz objaśnia. Por. kronikę Galla (wyd. Finkel, Kętrzyński) str. 455—6.

ckich, wyznaje (str. 63 — 4), „że sądy synodalne polskie odbiegają od typu sądów synodalnych niemieckich, które jasno odrzynają się od wizytacyi pastoralnych, zbliżają się zaś raczej do typu francuskiego, gdzie, podobnie jak w Polsce, na plan pierwszy wysuwa się wizytacya pastoralna...“

Pomijając już nieprzekonywujący wywód autora o istnieniu wizytacyi i sądów synodalnych w Polsce XI i XII wieku, czas przystąpić do omówienia tej części jego rozprawy, w której na podstawie istotnego materyału źródłowego kreśli „w przekroju“ (to zn. bez różnicy czasowej i przestrzennej) ustrój sądów synodalnych w Polsce, działających w wieku XIII do XV.

Główną podstawę źródłową w tym względzie stanowią formularze pytań, skierowywanych przez wizytującego biskupa lub jego zastępcę do pewnych parafian, w celu wywiedzenia się o postępkach duchowieństwa parafialnego i wiernych. Takich formularzy odkryto trzy dotychczas (Szujski—Ulanowski—Abraham); z tych jeden uważany za najstarszy przesuwa prof. Ulanowski wbrew prof. Abrahamowi z wieku XIII w XIV[1]). Autor nic się nad tem nie zastanawia i nie zaznaczając wcale pochodzenia formularzy (znaleziono wszystkie trzy w rękopisach XV w.); przyjmuje je za obowiązujące w ciągu trzech stuleci (wiek XIII do XV) na przestrzeni całej Polski, gdy tymczasem przynależność formularzy jest dyecezyalna (jeden z nich, najstarszy, pochodzący z XIV w., przynależy dyecezyi włocławskiej).

Wydawcy formularzy domyśliwali się ich zagranicznego pochodzenia; autor wcale trafnie wskazał to pochodzenie, wykazując istotne podobieństwo pomiędzy polskimi a kolońskimi formularzami. Formularze kolońskie pochodzą z w. XIV, a więc z tych samych czasów, co najstarszy polski, nie można przeto z tej przyczyny wnosić, że służyły za wzór stosunkom kościelnym w Polsce, po reakcyi pogańskiej (wiek XI, o czem już wyżej była wzmianka). Autor nie zna zresztą wszystkich formularzy tego rodzaju z całego ówczesnego świata chrześcijańskiego; może znalazłby się jeszcze wzór bliższy i podobniejszy.

Treść formularzy pozwala autorowi ująć właściwą część rozprawy o sądach synodalnych w Polsce w schemat prawniczy, odpowiadający zwyczajnemu przedstawieniu znamion jakiejkolwiek instytucyi sądowej, a więc formułuje tytuły: 1. Sędzia, 2. Świadkowie synodalni,

[1]) Zob. Archiwum komisyi historycznej krak. Akad. Um. T. V. str. 200.

3. Właściwość sądów synodalnych: *a*) podmiotowa, *b*) przedmiotowa, *c*) miejscowa, 4. Kary, 5. Czas i miejsce sądu synodalnego. Prokuracye, 6. Postępowanie. Trzeba przyznać i należy podnieść z uznaniem, iż pod względem formalnym (metodycznym) nietylko podział przedmiotu, ale i przeprowadzenie przezeń znamion instytucyi wypadło jasno i konsekwentnie. Całkowita też treść formularzy w tym zakresie jak i pomocnicze źródła historyczne zostały przez autora starannie i wyczerpująco wyzyskane tak, że to, co autor mieni sądem synodalnym w wizytacyi parafialnej, znalazło w rozprawie jak najzupełniejszy wyraz. Nie brak aliści pewnych zasadniczych usterek, które, mimo sumienności autora i niemałej finezyi prawniczej, wychodzą na wierzch.

Przedewszystkiem uderza przesądzające stanowisko autora o znamionach sądowych tych czynności wizytacyi parafialnej, które szczegółowiej omawia. Formularze polskie, ani poboczny materyał źródłowy nie daje do tego rodzaju stanowiska żadnego uprawnienia. Nigdzie nie znalazł autor uzasadnienia, któreby mu pozwalało oznaczyć badaną stronę wizytacyi, jako sądową. Wszakże nie spotkać, aby źródła wiązały wizytacyę parafialną z pojęciem sądu i żeby przeprowadzającemu wizytacyę przyznawały charakter sędziego (*iudex*). Inna to zupełnie rzecz upodobniać sobie dzisiaj jakąś instytucyę historyczną do instytucyi sądowej, a wykazać jej znamiona sądowe w zastosowaniu do czasów jej obowiązywania i działania. Nasze średniowieczne źródła nietylko że nie wspominają o sądzie synodalnym podczas wizytacyi parafialnej, ale w ogóle nie łączą wizytacyi parafialnej z terminem: (*iudicium — iudicium synodale*). Nie znać też śladu, aby przeprowadzający wizytacyę parafialną występował w charakterze sędziego (*iudex — iudex synodalis*). Wprawdzie w przeprowadzającym wizytacyę, o ile był nim biskup, lub w zastępstwie oficyał, względnie archidyakon, tkwił z mocy urzędu — charakter sędziego, wszelako w ciągu wizytacyi nie wysuwał się on tak naprzód, iżby wykluczał pojęcie pastersko-nadzorczej władzy wizytującego.

Jak fałszywemu uległ zresztą autor złudzeniu o znaczeniu sądowem wizytacyi parafialnej — dość powiedzieć, iż czyni z niej sąd, w którym sędzia ma ograniczoną działalność inkwizycyjną do szeregu pytań i odpowiedzi ze strony świadków, a następnie zamyka postępowanie bez wydania orzeczenia (wyroku) i wymiary kary. To bowiem, co autor w bardzo skąpych ustępach powiada o wydawaniu wyroku i wymiarze kary przez „sędziego synodalnego“, to może jest bardzo

konsekwentnem rozwinięciem teoryi sądu, ale z wizytacyą parafialną w Polsce nic to nie ma wspólnego, a w materyale źródłowym w odniesieniu do takiej instytucyi nie znajduje poświadczenia.

Łatwo wskazać, co autora uwiodło na manowce fantastycznej teoryi sądów synodalnych w Polsce. Było to z jednej strony spotkanie się w źródłach polskich, dotyczących wizytacyi, z pojęciem świadka synodalnego (*testis synodalis*), z drugiej zaś strony — rozczytanie w pracy A. M. Königera: „*Die Sendgerichte in Deutschland*" (München — 1907). Nie wykazawszy bowiem, żeby jakakolwiek czynność wizytacyi parafialnej wskazywała na pojęcie i charakter postępowania sądowego, a ulegając sugestyi, wywartej przez książkę cudzoziemca o sądowem znaczeniu wizytacyi parafialnej w Niemczech, mógł autor, zetknąwszy się z terminem świadka synodalnego w polskim materyale źródłowym, nabrać złudnego przekonania, że wizytacya parafialna w Polsce, tak jak i w Niemczech, istniała w związku z trybunałem sądowym. Jakoż niewątpliwie tego przekonania nabrał, skoro napisał rzecz o sądach synodalnych w Polsce, przedstawiając ją jako studyum instytucyi sądowej.

Mogłyby się też istotnie zdawać, że w spotykanem u nas pojęciu świadka synodalnego (*testis synodalis*), występującego podczas wizytacyi parafialnej, pozostało coś, coby wskazywało na przejęcie instytucyi sądów synodalnych (*iudicium synodale — Sendgericht*) z Niemiec. Byłoby to jednak zawodne, o czem przekona właściwy charakter świadka synodalnego na gruncie wizytacyi parafialnej w Polsce. Wbrew bowiem wywodom autora, a zgodnie z treścią naszych źródeł, świadkami synodalnymi w Polsce nie są wyłącznie ludzie świeccy, zaprzysięgani przez przeprowadzającego wizytacyę, ale są nimi w regule duchowni i to przedewszystkiem ci, co samą wizytacyę przeprowadzają (źródła nasze zowią ich: *visitatores — nuncii synodales — testes synodales*, ale nigdy *iudices synodales*)[1]. Wyjątkowo tylko takimi świadkami synodalnymi są zaprzysiężeni ludzie świeccy. [2]. Poza obrębem tych świadków synodalnych istnieje jeszcze kategorya zwykłych świadków, oznaczonych ogólnikowo: *testes*.

Z przytoczonych źródeł wynika, iż, o ile biskup przeprowadzał wizytacyę parafialną przez zastępców, to ci zastępcy (*visitatores — nuncii sy-*

[1]) Por. Archiwum kom. prawniczej, T. I, str. 253, oraz pomnik: „*Processus contra testes synodales*" w temże Archiwum, T. V, str. 230.

[2]) Zob. Szujski — Sokołowski: „*Codex epistolaris saec. XV*", strona 350.

nodales — testes synodales) byli świadkami synodalnymi, a reszta zapytywanych podczas wizytacyi duchownych i świeckich — zwykłymi świadkami (*testes*); jeżeli zaś sam biskup dokonywał wizytacyi, w takim razie zaprzysięgał niektórych duchownych i świeckich, którzy przez to zyskiwali charakter synodalnych świadków. Obowiązkiem pierwszych było przeprowadzić dochodzenie za pomocą odpowiednich pytań, zwróconych do duchowieństwa i wiernych parafii, ażali nie jest im wiadoma jakaś zbrodnia, lub występek w obrębie dyecezyi, a następnie spisać odebrane zeznania i przedłożyć jeden ich egzemplarz archidyakonowi, drugi zachować przy sobie do najbliższego synodu dyecezyalnego, przyczem skrypt ten uchodził jako świadectwo przez nich w charakterze świadków synodalnych sporządzone. W drugim wypadku — biskup sam przeprowadzał dochodzenia, zadając pytania niektórym zaprzysięganym duchownym i świeckim osobom (*testes synodales*) i zeznania ich, jako świadków synodalnych, rozkazywał spisać swoim duchownym, zapewne notaryuszowi.

Tak przedstawia się znaczenie świadków synodalnych na gruncie polskim — czego autor zdaje się zupełnie nie uwzględniać, a skutkiem tego także i nie doceniać. Świadkowie ci synodalni nie przedstawiają się zatem w Polsce, jako przejątek z sądów synodalnych niemieckich, w postaci świadków procesowych, ale jako mężowie zaufania biskupa, którzy z jednej strony mają dostarczyć materyału do sądowej działalności biskupa, względnie archidyakona, z drugiej strony zebrać szereg spostrzeżeń dla pracy synodu dyecezyalnego. To ostatnie zadanie było snadź najważniejsze, skoro źródła nasze przekonywują, iż wizytacye parafialne w Polsce poprzedzały zwołanie synodu dyecezyalnego i skoro znaczenie zaprzysiężonych świadków dla synodu dyecezyalnego odbiło się na ich nazwie: świadkowie synodalni.

O tem wszystko głucho w rozprawie autora; uwierzył on w formę wizytacyi parafialnej w połączeniu ze sądami synodalnymi, jaką kanoniści niemieccy zauważyli w stosunkach kościelnych swego średniowiecznego społeczeństwa i wbrew brzmieniu źródeł polskich — przetworzył czysto pasterską formę wizytacyi parafialnych w Polsce na jakieś trybunały sądowe, w których władza kościelna rozpatruje, sądzi i karze przewinienia świeckich przeciw moralności, wierze i przepisom Kościoła. Przez to — rzec można — zamącił jasny pogląd na dzieje wizytacyi parafialnej w Polsce wieków średnich i popsuł prawie wysiłek swej pracy. Ktoby w rozprawie autora chciał odnaleźć właściwą

formę wizytacyi parafialnej w Polsce, tenby ją musiał stale i konsekwentnie odgrzebywać z pod pojęć instytucyi sądowej, jako naleciałości obcych, nie znajdujących potwierdzenia w polskim materyale źródłowym. Ponad to, skutkiem zwrócenia uwagi autora na jedną tylko stronę czynności wizytacyjnych — nie odnalazłby czytelnik całości obrazu wizytacyi parafialnej w Polsce.

Nasi kanoniści: prof. Ulanowski i Abraham, ogłaszając formularze pytań dla celów wizytacyi przeznaczonych, nie łączyli ich z żadnym objawem sądownictwa kościelnego. Jako prawnicy o rozległem doświadczeniu — dopatrywali się znaczenia tych formularzy tylko ze względu na pastersko-nadzorczą władzę biskupa; jako historycy — uznawali w nich niezwykłe świadectwo do objaśnienia stanu obyczajowego w średniowiecznem społeczeństwie polskiem.

Sądy synodalne — *Sendgerichty* mogły w stosunkach niemieckich przekształcić formę wizytacyi parafialnej, wnosząc w nią pierwiastki sądowe; w Polsce, gdzie wizytacya parafialna najwcześniej w XIII stuleciu pojawić się mogła, nie było widocznie potrzeby przerabiania jej w instytucyę sądową, ani też brać jej gotowej z stosunków niemieckich z przyczepką sądu synodalnego, i dlatego znamion sądowych w niej u nas dopatrzeć się niepodobna. Natomiast sprawa wizytacyi parafialnej zasługuje na szczegółowsze rozpatrzenie, jako średniowieczna instytucya kościelna (traci znaczenie po soborze trydenckim), która dopuszczała jeszcze pewien współudział wiernych w rządzie kościelnym, współudział wogóle słaby, ale mimo to stale ograniczany i która — z drugiej strony — dawała możność pasterzom dyecezyi naocznego przekonania się o stanie budynków kościelnych, spełnianiu obowiązków przez podwładny kler, o jego uposażeniu, sposobie życia, czystości nauki katolickiej, jak również o stanie wiary i obyczajów u społeczeństwa wiernych. W rozprawie o sądach synodalnych w Polsce znajdzie czytelnik niejeden objaśniający szczegół w tym względzie.

„*Rozwój i ustrój kapituł polskich w wiekach średnich*". Tytuł tej pokaźnej rozprawy, niebardzo ścisły ze względu na wprowadzone weń pojęcie „kapituły polskiej" (może raczej kapituły w Polsce!) tłómaczy dość szczegółowo przedsięwzięcie autora. Wykonał je w ten sposób, że naprzód (str. 15 — 79) rozpatrzył z punktu widzenia historycznego sprawę tworzenia się kapituły w Polsce i jej pierwiastkowy rozwój, a następnie ustaloną już formę tej instytucyi kościelnej (wiek XIII do końca XV) przedstawił w ujęciu jej cech charakterystycznych

(str. 80 — 261). Rzecz swą poprzedził wstępem oraz wykazem źródeł i literatury [1]).

Początki kapituły w Polsce mają już u nas swoją literaturę (prof. Wojciechowski i Abraham), a skutkiem tego są też przedmiotem spornych zapatrywań. Stwierdzono zgodnie, że sięgają one swem pochodzeniem czasów pierwszego organizowania się Kościoła w Polsce (Mieszko I), poróżniono zaś się co do tego, czy w tej pierwotnej kapitule na ziemiach polskich przeważają pierwiastki klasztorne (pogląd prof. Wojciechowskiego), czy raczej czynnik kościelno-świecki (pogląd prof. Abrahama). Sprawy tej nie można rozwiązać powołaniem się bezwzględnem na stosunki zachodniego świata, gdyż kapituła jest tak na Zachodzie, jak i w Polsce w stadyum równoczesnego wytwarzania się.

O ten przedmiot sporu potrąca autor, czyniąc go punktem wyjścia w swej rozprawie. Uderza z miejsca na pogląd prof. Wojciechowskiego, hołdując z góry powziętej teoryi o oparciu się pierwotnej organizacyi w Polsce na biskupie i otaczającym go klerze świeckim (*presbyteryat*). To polemiczne zacięcie przeciw zasłużonemu w pracy naukowej uczonemu, niebardzo zgadza się z dalszymi wywodami autora, wprowadzającymi pojęcie kapituły mieszanej (złożonej z pierwiastków zakonnych i świeckich), jako właściwe dla tej instytucyi w początkach jej istnienia w Polsce; przyznającymi zasadniczą słuszność prof. Wojciechowskiemu, a zarzucającymi tylko nieścisłość interpretacyi odnośnych źródeł (właściwie jeden tylko tekst tłomaczy autor, idąc za prof. Abrahamem, ściślej od prof. Wojciechowskiego); wreszcie jak najwyraźniej wykazującymi w przytoczonych źródłach, że pierwotna kapituła w Polsce wyszła z pierwiastków życia klasztornego, otaczającego biskupa, jako pasterza zakonu (*pastor coenobii*). Zdawałoby się więc raczej, że autor merytorycznie polemizuje z poglądem prof. Abrahama, a formalnie — nie wiadomo dla jakiej przyczyny — sprzeciwia się prof. Wojciechowskiemu. Według zapatrywania sprawozdawcy — korzystniejszemby może było zwrócenie się przeciw zgodnej opinii obydwóch profesorów, a podzielanej także przez autora, przyjmującej jednomyślnie — istnienie kapituły już w czasie pierwotnego organizowania się kościoła w Polsce. Idzie tu rzecz o to, czy słu-

[1]) W wykazie źródeł zaznacza autor wdzięczność dla prof. Ptaśnika za użyczenie nieogłoszonych jeszcze rzymskich analektów (*Monumenta Vaticana III*). Szczególniej odznaczyła się ta wdzięczność wśród przypisków rozprawy, gdzie najdrobniejszy wyciąg z innych wydawnictw zaznacza autor aż do przesady nazwiskiem wydawcy, wyjąwszy tylko rzeczone analekta prof. Ptaśnika.

sznie dopatruje się nauka nasza znamion kapituły w otoczeniu biskupa polskiego w wieku X i XI?

Skąpa ilość małomównych źródeł do tych czasów nie powinna — zdaniem naszem — ulegać, pozbawionej wszelkiej miary, hermeneutyce. Teksty tych źródeł świadczą zaledwie, że istnieli biskupi w otoczeniu duchownych, związanych regułą zakonną, ale nie rozstrzygają przecie, czy to była reguła zakonna dla presbiteryatu biskupiego (Chrodeganga — akwizgrańska), czy też reguła mnisza (Benedyktynów, Cystersów i t. d.). „*Coenobium, monasterium*", na gruncie których występują pierwsi biskupi polscy, przemawiałoby raczej — w myśl wywodów prof. Wojciechowskiego — za mniszem otoczeniem biskupa, ale nie świadczyłoby wcale o swym charakterze, jako kapituły. Śladów zaś, żeby to otoczenie składało się z duchownych świeckich, związanych właściwą regułą kapitulną (Chrodeganga lub akwizgrańską) — niema żadnych. Skoro przytem z tych czasów nie zachowało się świadectwo istnienia kapituły (*capitulum*), względnie kanonika (*canonicus*), czyż nie słusznie byłoby się ograniczyć do wniosku, że w epoce misyjnych jeszcze biskupów w Polsce nie znać życia kapitulnego w tem znaczeniu, jakoby ono było organizacyą kleru świeckiego przy biskupie, oparte o regułę kapitulną, niż toczyć jałowe spory o mniej lub więcej świecką formę nieistniejącej instytucyi.

Wiadomość to prawie pewna, że na przełomie wieków XI i XII wytwarza się przy kościele św. Wacława (katedralnym) w Krakowie instytucya kapituły z uposażenia monarchy; nie da się też zaprzeczyć, że w ciągu XII wieku zaznaczyło się — wprawdzie nielicznymi śladami — istnienie kapituły i kanoników przy innych kościołach katedralnych; byłby to zatem wiek tworzenia się i organizowania omawianej instytucyi. Odtąd więc rozpocząć się winno studyowanie podstaw jej rozwoju. Wiek XII, jak słusznie wyznaje autor, nie daje jeszcze szerokiego pola dla wniosków badawczych. Niepodobna w tym okresie oznaczyć składu kapituły, ani jej zakresu działania. Coś niecoś tylko dałoby się powiedzieć o stosunku jej do majątku kapitulnego i do biskupa.

Trafnie domyśla się autor, że majątek kapituły stanowił naówczas własność użytkową tej instytucyi, ale właśnie temwięcej należałoby go uważać za niewyodrębniony — wbrew twierdzeniu autora, przyznającemu temu majątkowi samodzielność (odrębna masa kapitulna). W bullach papieskich z XII. w. potwierdzających chu posażenie biskupstw, oraz w dokumentach owoczesnych, zawierających darowizny na rzecz

kościołów, nie znać jeszcze rozróżnienia między majątkiem biskupim a kapituły. Autorzy, dopatrujący się takiego rozróżnienia, zapoznawają zasadniczą cechę owoczesnego majątku kościelnego w Polsce: że majątek ten był przedewszystkiem własnością instytutu kościelnego, a więc w danym wypadku kościoła katedralnego, a właściwie jego świętego patrona. Wskazywanie w tych dokumentach na majątek biskupi (*villae, decimae episcopi — episcopales*), występujący w obrębie i na podstawie majątku instytutu kościelnego, dowodzić może jedynie zarządu tym majątkiem przez biskupa, ale nie stwierdza odrębnego majątku biskupiego, (*mensa episcopalis*), tem mniej majątku kapitulnego, który w takim razie musiałby być przeciwstawiony majątkowi biskupa a formie równorzędnej: *villae, decimae capituli, capitulares*, czego się w odnośnych dokumentach nie spotyka. Materyał źródłowy XII wieku świadczy o jednolitem prawie własności instytutu kościelnego na odnośnym majątku, zarządzanym wyłącznie przez biskupa na wspólny użytek, dzielony z kapitułą. Stąd trudno pogodzić się z poglądem autora, jakoby już wtenczas istniał rozdział majątku kościelnego na dwie odrębne masy: biskupią i kapitulną. Dowodzić zaś, że z tego wspólnego majątku miał tak biskup, jak i kapituła własność tylko użytkową, byłoby bezcelowe, gdyż wogóle charakterystyką majątku kościelnego jest jego używalność, a nie bezwzględna własność tak po stronie biskupa, jak i kapituły; dlatego domysłom i wywodom autora w tym względzie nie podobna odmówić słuszności.

Dopiero u schyłku XII stulecia można przypuścić rozdzielanie się wspólnego dotąd majątku kościelnego na odrębną masę użytkową biskupa i kapituły, a w następstwie tego domyślać się też oddzielnego zarządu biskupiego i kapitulnego w stosunku do tych odrębnych mas. Na ten rozdział wpłynęły niezawodnie sporadyczne darowizny na rzecz kapituły, lub jej członków, a przedewszystkiem tendencye współczesnej polityki i ustawodawstwa papieskiego, faworyzujące uprawnienia kapituł przeciw biskupom i umożliwiające kapitułom przeprowadzenie emancypacyi majątkowej z pod wpływu i zarządu biskupa. W XIII wieku majątek kapituły w Polsce nosi już wyraźne znamiona odrębnej masy, poddanej administracyi kapituły.

Stosunek biskupa do kapituły w tym okresie jej wstępnego rozwoju charakteryzuje autor wcale udatnie, podnosząc możliwość nominacyi kanoników przez biskupów (zarysowuje się to bowiem wyraźnie w XIII wieku) i wykazując, że biskup nie uważał jeszcze wtedy kapituły za organ, krępujący w czemkolwiek swoje zarządzenia, ale

za organ doradczy, dobrowolnie i sporadycznie przez siebie uznany. Następnie rozprawia autor o wpływach zewnętrznych, które oddziałały na formacyę kapituły w Polsce, z których to wpływów jeden tylko wspomnianej polityki i ustawodawstwa papieskiego na korzyść kapituł, ma cechę wiarygodności. Okazuje się bowiem, że mimo niechęci ukorzył się episkopat polski przed wolą Stolicy Apostolskiej i to do tego stopnia nawet, że autor może wskazać przykład: biskupa krakowskiego Iwona, uznającego w r. 1222 uprawnienie kapituły do udzielenia konsensu na ważniejsze zarządzenia majątkowe biskupa. Przytoczenie tego przykładu dozwala autorowi zamknąć pierwszą część swojej rozprawy efektownym wnioskiem ogólnym, że biskupom polskim „zawdzięczały kapituły nie tylko początek, nie tylko utworzenie osobnego majątku, nie tylko wewnętrzną organizacyę i samorząd, ale także i rychłe, bez staré zdobyte i ochoczo *(sic!)* nadane uprawnienia w dziedzinie zarządu dyececzyą *(sic!)*, które w niejednym wypadku wolę biskupa uzależniały od woli kapituły! Efektowność tego wniosku nie jest równoznaczna z jego ścisłością i wiarygodnością, o czem zawiele jednak przyszłoby się rozpisywać.

W drugiej szczegółowej części swej pracy odtwarza autor ustrój kapituły w Polsce. Jestto znowu studyum przekrojowe z przestrzeni całej Polski i z obrębu trzech stuleci (z XII — XV w.) i jest ono znowu bardzo dobrem ujęciem pod względem prawniczej metody i ścisłości najważniejszych znamion ustrojowych kapituły w Polsce, o tyle górujące nad teoryą sądów synodalnych, że autor zajmuje się tutaj nieurojeniem, ale realną istotą zupełnie pewnej i wyraźnie zarysowywującej się instytucyi kościelnej. Metodycznie możnaby zarzucić jeden tylko ważniejszy brak t. j. brak ustępu, poświęconego charakterystyce źródeł, na których osnuł autor swe przedstawienie. Pokrótce warto tutaj zaznaczyć, że materyałem źródłowym są w tym wypadku, o ile idzie o wiek XIII i XIV, pośrednie wiadomości, wyciągane z dokumentów; co do wieku zaś XV — przebogate księgi uchwał i rozporządzeń kapitulnych, po części też sądów konsystorskich, których wydobycie na światło dzienne zawdzięcza nauka nasza niestrudzonemu wydawcy: prof. Bolesławowi Ulanowskiemu. Materyału bezpośredniego, konstytutywnego posiada się na ogół niewiele; ustawodawstwo kościelne w Polsce w postaci uchwał synodów prowincyonalnych, dyececzyalnych, do pewnego stopnia także i statutów kapitulnych, przedstawia się dotąd niekompletnie i chaotycznie, a jest nadto pozbawione kryteryów

naukowej oceny. Stąd — na razie — w niedużym tylko stopniu można ten materyał wyzyskiwać.

Rozpoczynając od składu kapituły, wykazuje autor istnienie godności prałackich i zwyczajnych kanoników: pierwsi są naczelnikami kapituły, wskutek pełnienia obowiązków (proboszcza, dziekana, kustosza, scholastyka, kanclerza), drudzy są zwykłymi członkami kapituły. Podział na *dignitas* i *personatus* nie stanowi żadnego specyficznego rozróżnienia między nimi. Jest to więc normalny stan rzeczy według powszechnego prawa kościelnego. Ilość prelatur i zwykłych członków kapituły jest w Polsce względna i nieustalona, zazwyczaj waha się ona pomiędzy liczbą ogólną 20 lub 30 członków, w której mieści się 5 — 6 miejsc prałackich. Liczbę kanoników powiększali przygodnie kanonicy dożywotni (*canonici gratiales*), których uposażał biskup, na co kapituły patrzały się krzywem okiem i niektóre zdołały uzyskać rozporządzenie, ograniczające biskupa w tym kierunku (kapituła poznańska i krakowska). W skład kapituły zalicza też autor wikaryuszów kapitulnych, czyli zastępców kanoników w odbywaniu czynności duchownych. Stanowili oni osobną korporacyę, poddaną jurysdykcyi kapituły, a utrzymywaną z dochodów, specyalnych zapisów (*fundacyi*) i z taks, za dokonywane czynności duchowne. Poza wikaryuszami — winien był jeszcze włączyć autor notaryusza kapitulnego w skład kapituły, jeżeli już ten skład tak szeroko pojmuje. Mówi o nim dopiero przy sposobności wyliczenia urzędników kapitulnych (str. 200); wzgląd, że nie będąc kanonikiem, stał poza korporacyą kapitulną, nie jest tu rozstrzygającym, bo w takim razie musiałby przecież autor i wikaryuszów, stojących poza korporacyą kapitulną i nie będących kanonikami, wyłączyć ze składu kapituły, coby zresztą uważał sprawozdawca za właściwe.

Obsadzania kanonii dokonywał w Polsce aż do schyłku XIII wieku — biskup, w czem się przejawia pewna odrębność od stosunków kościelnych na Zachodzie, gdzie kapituła wspólnie z biskupem wybierała kanoników. Autor tłómaczy to zjawisko naczelnem stanowiskiem biskupa w dyecezyi, nie szukając innych historycznych wskazówek. Wpływu ze strony panującego na akt wyboru kanonika nie chce przyznać, w bardzo niejasny sposób omawiając prawa patronatu panującego, z tytułu dokonanej fundacyi. Jedynym rywalem biskupów co do prawa wyborów kanoników było papiestwo; ono to w drodze t. zw. rezerwacyi i ekspektatywy usunęło faktycznie w ciągu XIV wieku prawo wyboru kanonika przez biskupa, anektując je prawie

w zupełności dla siebie. Szereg nadużyć wywołał jednak reakcyę przeciw papieżom w tej sprawie. W wieku XV, po działalności soborów, ustalono zasadę, według której połowa kanonii miała być rozdawaną przez papieża, połowa zaś przez uprawnionych do tego prawem kościelnem powszechnem. W Niemczech przeobraziła się ta zasada na zwyczaj nadawania kanonii według prawa powszechnego — w miesiącach parzystych, a obsadzania jej w drodze prowizyi papieskiej w miesiącach nieparzystych. Jak w Polsce tę sprawę uregulowano? nie umie dać autor stanowczej odpowiedzi, wymawiając się nieopracowaniem jeszcze tej kwestyi przez naukę naszą. Przypuszcza przejęcie zasady niemieckiej; a co do nominacyi kanoników przez królów polskich, tak częstej w XV stuleciu, oświadcza się za przypisaniem jej łasce papieskiej, odstępującej monarchom prawo nadawania kanonii w miesiącach papieskich.

Akt recepcyi i instalacyi wprowadzał nominowanego kanonika w posiadanie kanonii. Przedstawiwszy pokrótce tę formę, omawia autor warunki otrzymania kanonii: święcenie, bezżeństwo, prawe pochodzenie, wiek, pochodzenie szlacheckie. Właściwie jest to zbyteczne. Stwierdzenie, że dla osiągnięcia kanonii wymagano święcenia wyższego, usuwało potrzebę omawiania tych wszystkich warunków z wyjątkiem jednego specyficznego w odniesieniu do kanonii, jakim jest warunek pochodzenia szlacheckiego. Nie znano tego warunku w Polsce, jako zasady, aż do końca XIV wieku. W wieku XV zaczynają się dopiero tworzyć prejudykaty a w końcu i postanowienia w tym zakresie, prowadzące do zasady, iż kanonie dostępne są tylko szlachcie, a wyjątkowo plebejuszom ze stopniem doktorskim i to jeszcze w ograniczonej liczbie (pięciu na każdą kapitułę). Przyznaje aliści autor, mimo wielu trafnych uwag ze swej strony, że rzecz ta wymagała jeszcze osobnego opracowania naukowego. Wskazawszy na łączenie kilku kanonii w ręku jednego kanonika, jako na chorobliwe, a jednak typowe zjawisko w średniowiecznych stosunkach kościelnych tak w Polsce, jak w całym chrześcijańskim świecie, przystępuje autor do omówienia praw i obowiązków kanonika.

Przeciętny kanonista nic tu się nie dowie nowego, bo i kanonik polski, tak jak inni, miał głos stanowczy na posiedzeniach kapitulnych, miejsce w chórze kapitulnym, uposażenie w prebendzie (majątek fundacyjny kanonii i udział w wspólnych dochodach kapituły, czyli w t. zw. *distributiones quotidianae*), zapewniony t. zw. *annus gratiae*, służący do pokrycia długów po śmierci z rocznego dochodu swej kano-

nii i specyalny przywilej, według którego dopuszczenie się gwałtu na kanoniku ściągało interdykt kościelny na całą dyecezyę. Obowiązki kanonika polskiego normuje także powszechne prawo kanoniczne, a więc jest to znany obowiązek uczestnictwa w posiedzeniach kapituł oraz we wspólnych nabożeństwach i obowiązek rezydencyi przy katedrze, łatwo tłómaczący się dwoma pierwszymi obowiązkami. Bardziej byłoby tu może interesujące rozwinięcie praw i obowiązków kanonika w państwie; ale autorowi, znajdującemu się w ciasnem kole pojęć czysto kościelnych, nie przychodzi to na myśl.

Grono kanoników stanowiło stowarzyszenie (korporacyę) czyli kapitułę, która miała podmiotowość prawną, wyrażającą swą wolę na wspólnych zebraniach kanoników, zwanych także kapitułą. Te posiedzenia dzieliły się na zwyczajne (partykularne, którego to terminu zdaje się autor nie znać) i generalne kapituły. Pierwsze odbywały się w Polsce co tydzień, drugie 2 do 3 razy na rok i w nadzwyczajnych, ważnych przypadkach. Różnicy w składzie, kompetencyi, sposobie odbywania się tych dwóch kategoryi kapituł — nie dopatruje się autor — znacznej. Kompetencyę — zakresu działania obu kapituł objaśnia przykładowo, uważając ją niemal za jednakową. Wszakże zdaje się, iż uroczystszej i rzadszej formy kapituł generalnych używano do odbierania rocznych sprawozdań z administracyi majątku kapitulnego, do przedsiębrania ważniejszych planów gospodarczych, a chyba najpewniej w sprawach trwałego obciążenia, pomniejszenia lub powiększenia majątku kapitulnego. Usiłuje też autor dowieść, że kapituły generalne zaczęły w XV w. zajmować miejsce synodów dyecezyalnych, wychodzących wtedy z użycia. Charakterystyczną cechą posiedzeń kapitulnych w Polsce jest udział biskupa w tych posiedzeniach i to, wskutek jego stanowiska, dominujący. Zaznaczyło się to szczególnie na statutach kapitulnych (ordynacyach urządzeń kapitulnych w obrębie prawa powszechnego), które zaczyna się odkrywać w źródłach XV wieku. Powstają one z inicyatywy i woli biskupa za zgodą i poradą jednakże kanoników, co świadczy o uległości kapituły względem biskupa — uległości, będącej zresztą typowem choć nie bez wyjątków, zjawiskiem w stosunku kapituł do polskiego episkopatu.

Względem członków kapituły, wikaryuszów kapitulnych i swego notaryusza posiadała kapituła władzę dyscyplinarną, karząc swych członków i podwładnych karami porządkowemi; ważniejsze przewinienie karał oczywiście sąd biskupi w normalnej drodze prawnej. O sądownictwie kapituły nad poddanymi z tytułu posiadanych dóbr

ziemskich nie pisze autor nic zupełnie, jak również o stosunek kapituły do państwa nie potrąca.

W obrębie kapituły powstawały urzędy prałackie, o czem już wyżej była mowa. Wspomina się o tem tutaj z tego względu, że autor powraca do tej sprawy przy sposobności wyliczenia innych urzędników kapitulnych, jakimi byli prokuratorowie i notaryusze kapitulni. Nie spotyka się w tem wyliczeniu t. zw. *fabricatores*, którzy podobnie pochodzili z rzędu kanoników, jak prokuratorowie. Jedni i drudzy byli wybierani na pewien przeciąg czasu; pierwszym (*fabricatores*) poruczano fundusz na reparacye katedry i nadzór nad temi pracami, drudzy — prokuratorowie byli niejako urzędnikami majątkowymi (kasyerami, rachmistrzami, administratorami) wspólnego dobra kapitulnego. Należałoby tu wspomnieć chociażby autorowi o czasach zastępcach kapituły, jakimi byli owi *nuntii delegati* kapituły, tak często spotykani w źródłach. Zabrakło jednak dla nich miejsca w pracy.

Zarząd majątku kapitulnego sprawowała kapituła nad wspólnym majątkiem kapituły, który składał się z dóbr ziemskich, czynszów, dziesięcin i opłat. Wśród tego majątku wspólnego wyróżniają się t. zw. wsie prestymonialne, wydzierżawiane przez kapitułę poszczególnym kanonikom, odmiennie od tych wsi wspólnego majątku, któremi zarządzali prokuratorowie z ramienia kapituły. Autor stara się wyszukać historyczną podstawę dla tych dwóch rodzajów wsi w obrębie wspólnego majątku kapitulnego, objaśniając ją dość przekonywująco. Poza ramy niejako zarządu kapituły wychodziły dobra fundacyjne, stanowiące specyalne uposażenie poszczególnych kanonii; zarządzał niemi i pobierał z nich dochody na swą wyłączną korzyść kanonik, posiadający kanonię z takiem fundacyjnem uposażeniem, wchodzącem w skład jego prebendy.

Powszechne prawo kanoniczne przyznaje kapitule doniosłe uprawnienie udzielania konsensu na ważniejsze zarządzenia majątkowe biskupa, dotyczące majątku kościelnego; toż samo prawo nadaje również kapitule wyjątkowe stanowisko wobec osierocenia stolicy biskupiej, bo czasowy zarząd dyecezyą, wybór administratora generalnego, a wreszcie wybór biskupa. Pod tym kątem widzenia kreśli autor ostatni ustęp swej pracy p. t. „*Stanowisko kapituły w dyecezyi*“ Toteż nie wiele więcej dowie się czytelnik z tego przedstawienia, niż mu może dać podręcznik powszechnego prawa kościelnego. Jedynie ustęp o wyborze kapitulnym biskupa w Polsce większe w nim zdoła wzbudzić zaciekawienie. Zaciekawienie to w tym wypadku

zostaje jednak tylko poruszone, a nie zaspokojone. Autor stwierdza wprawdzie w sposób stanowczy, że do schyłku XII wieku monarchowie polscy obsadzali stolice biskupie na mocy uprawnienia, nadanego przez imperatora Ottona III Bolesławowi Chrobremu i jego następcom (przekaz kronikarza Galla), że od XIII wieku przechodzi ona na kapitułę, aby być faktycznie owładniętem przez Stolicę Apostolską, — w drodze ekspektatyw i rezerwacyi, — ale to stanowcze stwierdzanie nie może uchodzić za przekonywujące wyjaśnienie podstaw faktycznego stanu rzeczy. Naprzód rzekome uprawnienie monarchów polskich do obsadzania stolic biskupich, udzielone przez władcę świeckiego, o ile nie jest zmyśloną przez kronikarza legalizacyą zdarzających się przypadków, zgadza się ze stosunkami kościelnymi na Zachodzie, ale kłóci z odmiennymi polskimi, wśród których, jak wiadomo, daremnem byłoby doszukiwanie się pierwiastków lennych, umożliwiających nietylko wytworzenie się inwestytury monarszej co do beneficyów kościelnych, ale też jej utrzymanie. Następnie szereg źródeł, znanych autorowi, wykazuje, iż w XII wieku są ślady elekcyi biskupa przez kapitułę. Wynikałoby stąd, że ani podstawa prawna monarchów polskich do wyboru biskupów nie jest zupełnie pewną, ani też bezwzględne wykonywanie przez nich rzeczonego prawa. Stawianie kwestyi ostro nie może tu być zatem wskazane. Bezpieczniej byłoby zapewne z uwzględnieniem uwag autora przypuścić raczej faktyczną przewagę panującego polskiego w tych czasach, w których wskutek nieograniczonej swej mocy posuwał się do samowolnego obsadzania stolic biskupich, dozwalając, czyto z łaski, czy to z niedopatrzenia, ubiedz się niekiedy kapitule. Odrzucenie przez autora możliwości wybierania biskupów w Polsce XII wieku przez kapitułę, utrudnia niezmiernie zrozumienie nagłego wyrzeczenia się panujących polskich swego, jak chce autor, uprawnienia. Tymczasem przyjęcie tej możliwości — odpowiednio do stanu źródeł — utorowałoby drogę gładszemu zastosowaniu ustawodawstwa papieskiego w tym względzie. Przewaga panującego w sprawie obsadzania katedr nie znikła zresztą zupełnie; odżyła w XV wieku, o czem nie sposób jednak z autorem rozprawiać, gdyż zjawisko to pomija milczeniem.

O duszpasterskich funkcyach kapituły — mówi autor na samym końcu rozprawy: miały one utrzymać się do końca XII wieku. Jestto dość prawdopodobne przypuszczenie, że katedry biskupie w epoce małej jeszcze ilości kościołów w Polsce spełniały zadanie jakoby kościołów parafialnych — tylko domysł autora, przypisujący prepozytowi

kapitulnemu stanowisko proboszcza, wydaje się chybionym z tej przyczyny, że naczelna władza nad kościołem katedralnym w sprawach kultu może przynależeć wyłącznie biskupowi, a następnie z tej przyczyny, iż sam autor wyznał niemożliwość wykazania składu kapituły w XII wieku, a temsamem wykazania egzystencyi prepozyta kapitulnego, któryby zarazem spełniał czynności duszpasterskie dla wiernych osady katedralnej.

W ślad za pochodem myśli autora przedstawiło się tutaj w grubszym zarysie: „rozwój i ustrój kapituł polskich" — objęty jego rozprawą; nie było bowiem możliwem dotknąć i ocenić mnogości szczegółów, drobnych spostrzeżeń i uwag, rozsypanych szczodrą ręką autora. Zadaniem ich niejako powiększanie objętości książki — tembardziej niewłaściwe, iż objętość tę samą można było uzyskać wprowadzeniem ustępu o stanowisku kapituły do państwa i o jej znaczeniu gospodarczo-społecznem. Dla tych celów, jakie przyświecały autorowi, wystarczyło przytoczyć główne zasady rozwoju i ustroju kapituły według prawa powszechnego, a następnie przystąpić do zaznaczenia znamiennych różnic, jakie się w rozwoju i ustroju kapituł w Polsce uwidoczniły, oraz wyjaśnić przyczyny tych różnic. W ten sposób, według zasady: *non multa, sed multum*, zdołałby autor kwestye takie jak n. p.: wybór kanonika, stosunek kapituły do biskupa, skład i czynności kapituły (w tem kapitulny wybór biskupa) — nietylko szczegółowiej, ale i ściślej, z pożytkiem dla nauki rozwiązać. Obrawszy odmienną drogę, uczynił autor z swej książki rodzaj słownikowego informatora, bogatego w szczegóły, ale ubogiego w dobrze i wyczerpująco ujęte poglądy naukowe.

* * *

Stanąwszy u kresu swego zadania, pozwala sobie sprawozdawca z naciskiem zaznaczyć, iż myśl obniżania stanowiska naukowego autora — była mu obca i daleka. Dr. Zachorowski posiada znakomitą rutynę naukową: umiejętność operowania materyałem źródłowym, samienność w używaniu wszelkich środków badania, rzadkie — w naszych stosunkach — oczytanie w literaturze zagranicznej, które to zalety wysuwają go w rząd poważnych autorów. Jeżeli tutaj podniosło się w przeważnej mierze ujemne wyniki dotychczasowego studyów Dra Zachorowskiego, to, pomijając, iż takie jest właśnie zadanie krytycznego sprawozdania, uczyniono to także ze względu, że suma

zalet naukowych autora zasługiwała i zasługuje na wskazanie drogi doskonalszego i wydatniejszego ich spożytkowania. W przypuszczeniu, iż niniejsze omówienie prac Dra Zacharowskiego nie pozostanie bez pewnego dodatniego wpływu na twórczość jego naukową, podjął się podpisany — na życzenie Redakcyi „*Przeglądu powszechnego*“ — ogłoszenia powyższych uwag.

Abdon Kłodziński.

Z piśmiennictw obcych.

Sternkunde u. Sterndienst in Babel. *Franz Xawer Kugler S. J.* I. Buch: Entwickelung der babilonischen Planetenkunde von Ihren Anfängen bis auf Christus. Mit 24 keilinschriftlichen Beilagen. Münster i/W 1907. str. 292. cena 32 Mrk. — II. Buch: Natur, Mythus u. Geschichte als Grundlagen babilonischer Zeitordnung nebst eingehender Untersuchungen der Älteren Sternkunde u. Meteorologie —Część pierwsza. Münster i/W 1909; str. 200. Z części II ukazał się poszyt pierwszy. Münster i/W 1912; str. 200 — 320.

Pięknie powiedziano,że chronologia i geografia, to dwoje oczu historyi. Niezmiernie bogata literatura, wykopana z piasków z nad Eufratu i Tygru, rozszerzyła bardzo dotychczasowy widnokrąg historyczny. Jeszcze do połowy XIX w. był Wschód cały, z wyjątkiem Egiptu, pogrążony w mrokach legendy i mitów. Prócz historyi Grecyi, monarchii perskiej, mieliśmy tylko nawpół legendarne, nawpół historyczne dzieje Herodota. O ile historya Herodota jest niezmiernie ważnem źródłem i wiarogodnem do dziejów wojen perskich, o tyle jego ekskursy poza ten okres przeplatane są prawdą i fantazyą. Obok wielu ważnych i cennych fragmentów o istotnie wielkiej wartości historycznej mamy mnóstwo zmyślonych opowiadań, przyjętych przez Herodota naiwnie za prawdę. W każdym razie jego zasługą jest, że odchylił szeroko zasłonę, pokrywającą starożytny Wschód. Czasy jednak przed Herodotem t. zn. od VI. w. przed Chr. w górę, prócz kilku wybitniejszych postaci ginęły zupełnie z przed oczu naszych. Biblia tylko posuwała historyę Wschodu o całe tysiąc lat naprzód — niestety, jej pierwszorzędny materyał historyczny, o całe nieba wyższy niż półmityczne dzieje Herodota, lekceważyła nauka, bojąc się go brać pod uwagę, by się nie narazić na ironiczny uśmiech racyonalizmu, traktującego Pismo św. po barbarzyńsku. Biblia jednak tylko mimochodem zaj-

muje się historyą wogóle, a ludów wschodnich w szczególności: Cel jej wzmiosły kieruje oczy nasze wciąż ku Bogu, autorom świętym nie chodzi o pisanie dziejów — oni raczej śledzą w dziejach tylko nadprzyrodzone przejawy myśli Bożej; ale że te przejawy są faktami, zatem stały się one jakby słupami z granitu, około których nawiązywać może historyk swe badania i swe wnioski.

W głównych zarysach Biblia wierny dała obraz religijny Wschodu. — Opatrzność Boża zrządziła, że właśnie w naszych czasach wyrósł nagle z ziemi cały dawny Wschód ze swoją literaturą, sztuką, kulturą, religią. Literatura egipska nie może iść w porównanie z piśmiennictwem Babilończyków, o wiele starszem i wyższem, a szczególnie o wiele więcej wielostronnem. Poczesne miejsce zajmują tam zabytki historyi, religii, poezyi, ale najpierwsze miejsce należy się literaturze astronomicznej. Jak wszędzie tak szczególnie w Babylonii już w bardzo dawnych czasach otrzymała religia zabarwienie astralne. Pogodne niebo, czyste nad wyraz powietrze, regularność zadziwiająca zjawisk nieba gwiaździstego, związek zjawisk astralnych z meteorologią, klimatem i wegetacyą, podniecały wyobraźnię — i nic dziwnego, że w Babilonii już w odległej starożytności wierzenia religijne jak najściślej zrosły się z kultem gwiazd, szczególnie słońca i księżyca. Nie ulega wątpliwości, że mitologia babilońska prawie cała ma charakter astralny. Bardzo też dawno w Babilonii słońce, księżyc i planety stanęły na czele panteonu religijnego; to znaczenie ich religijne tem więcej potęgowało pragnienia ludzi, aby przeniknąć tajniki nieba. Z ruchu gwiazd poznać chciano wolę nieba; to też kapłanom przysługiwało prawo i obowiązek badania tej woli, układania horoskopów najważniejszych zdarzeń. Wcześnie też w Babilonii zaczęto zapisywać różne zdarzenia astralne w rocznikach tak starannie zachowywanych i przepisywanych przez późniejsze pokolenia. Już nawet stosunkowo wcześnie zaczęto badać i obserwować naukowo ruchy gwiazd i ściśle je umieszczać w czasie i przestrzeni. Podział nieba na 360 stopni, na minuty i sekundy wprowadzili Babilończycy. Starannie zapisywali wschody i zachody ważniejszych ciał niebieskich, badali obroty ich i drogi, stosunek do obrotów słońca i księżyca. Już dawno wiedziano, że nadzwyczajne odkrycia astronomiczne Hipparcha i Ptolomeusza dokonane zostały li tylko dzięki bogatym zapiskom babilońskich astronomów.

Otóż już dzisiaj znamy bardzo znaczną część tej literatury astralnej; znaczenie jej dla astronomii, chronologii i poznania religii babilońskiej jest niezmiernie ważnem. Ksiądz Kugler T. J., znakomity

astronom a zarazem assyryolog, postanowił opracować historyę astronomii babilońskiej i nakreślić jej początek oraz rozwój. Nadto zamierza poddać krytyce sumiennej najstarsze zapiski astronomiczne, jakoteż zbadać stosunek ich do chronologii, a wreszcie także oznaczyć dokładnie charakter astralny mitologii babilońskiej. Dzieło to obliczy na cztery tomy; z tych wyszedł tylko pierwszy i cała pierwsza część drugiego. Mianowicie tom pierwszy obejmuje rozwój astronomii babilońskiej; tom drugi podaje terminologię babilońską i jej stosunek do mitologii astralnej: Tom trzeci ma zawierać badania nad typami bóstw i nad formami kultu. Tom czwarty zaś będzie syntezą nad astronomicznemi spostrzeżeniami Babilończyków. — Jako biblista nie jestem w możności ocenić należycie tomu pierwszego. Jednak i dla niefachowych astronomów jest on bardzo ważnem źródłem dla zapoznania się z terminologią i pisownią babilońską, odnoszącą się do tych faktów astronomicznych. W pierwszej księdze najwięcej interesują rozdziały wstępne, omawiające nazwy planet i charakterystyczne zjawiska, a szczególniej rozdział o peryodach planetarnych tak ważnych dla chronologii (str. 41—55). W dalszym ciągu zajmuje się wyłącznie tablicami ściśle astronomicznemi, ich znaczeniem i krytyczną wartością. Na końcu tomu znajdują się: doskonały słownik, oraz 24 tablic litograficznych, zawierających kopie tekstów oryginalnych. Księga pierwsza jest znakomitym i to pierwszym podręcznikiem do zapoznania się z astronomią babilońską. Ks. Kugler na bardzo wielu miejscach poprawia błędne lekcye dotychczasowych wydań. Teksty omawiane są przeważnie bardzo późne, bo powstałe w epoce Seleucydów i Arsącydów.

Dla biblistów większe znaczenie ma tom. II. poświęcony chronologii babilońskiej.

Księga II. najpierw roztrząsa szereg kwestyi wstępnych. Mianowicie w znakomity sposób usuwa O. Kugler niczem nie uzasadnioną hypotezę Wincklera, że Babilończycy już w najodleglejszej starożytności znali zasady precesyi słonecznej. Rzecz ta jest ważna, bo na tem przypuszczeniu oparła szkoła Wincklera swoją teoryę o astralnym początku religii, którą Winckler przystosował do Biblii z całą bezwzględnością. — Otóż zagadnieniu, jak dawną jest naukowa astronomia, poświęca O. Kugler pierwszą część tomu drugiego; na podstawie dokumentów historycznych stwierdza, że najstarsze zapiski, które zasługują na nazwę naukowych, sięgają najwcześniej do r. 700 przed Chr.; że ośmioletni cykl planetarny jest w użyciu w w. VI i V.,

czternastoletni cykl wchodzi w użycie dopiero w w. V. W szczególności zaś co do twierdzenia Wincklera o znajomości precesyi już w okresie bliźniąt, wykazuje dowodnie, że Babilończycy nie znali precesyi nawet jeszcze pod koniec II w. przed Chr.: stoimy wobec wysokiej doniosłości faktu, że Babilończycy, mimo że z górą od dwóch tysięcy lat zajmowali się zjawiskami astralnemi, nie doszli jednak nigdy do znajomości precesyi punktu wiosennego, w którym wschodzi słońce. Zaszczyt tego największego odkrycia astronomicznego dawnych wieków przysługuje jedynie i wyłącznie Hipparchowi z Nicei, astronomowi z Rodos. Wniosków z tego faktu odnośnie do astralno-mitologicznych spekulacyi wysnuwać nie chcemy, zostawiając to innym, bo nie leży w interesie i zamiarze naszym wdawać się w niepotrzebną i rozbieżną polemikę. Jedno jest pewnem: o zupełnie zadowalającej chronologii (w kwestyi rozwoju astronomii) nie może być mowy nawet w klasycznym czasie rozwoju astronomicznego. Jednak to nie uchybia jej wartości. Badacze gwiazd z ostatnich siedmiu stuleci przed Chr. celowo i z całą energią dążyli do tego, aby postawić na miejsce mistycznych marzeń przeszłości umiejętne badanie zjawisk niebieskich. Babilończycy są i zostaną inicyatorami astronomii i meteorologii (której naówczas od tamtej nie oddzielano), a ich rozumna i sumienna robota ma nie tylko wartość historyczną i kulturalną, ale i dzisiaj jeszcze w wysokiej mierze usługi nam oddaje.

Dalszy szereg kwestyi obejmuje rozbiór krytyczny dawniejszych zapisków astro i meteorologicznych, a szczególnie not o zaciemnieniach słońca i księżyca (str. 32—128). Po tym obszernym wstępie, poświęconym zbadaniu literatury astronomicznej przed okresem naukowej astronomii, dopiero przystępuje O. Kugler do właściwego tematu księgi II. Babilończycy byli ludem wysoce religijnym; religia przenikała ich wszystkie instytucye, nawet chronologia na usługach religii stała. To też koniecznem było poruszyć szereg kwestyi religijno-socyalnych ściśle z chronologią związanych jak: 1) starobabiloński panteon; 2) królewską godność monarszą jako dar Boga; 3) stosunek króla do kapłaństwa i 4) ubóstwienie królów. O. Kugler doszedł tu do konkluzyi zgoła różnych od poglądów Jastrow'a: *Die Religion Babyloniens u. Assyriens*. Dla assyryologii jest niezmiernie rzeczą ważną poznać, jak wyglądała najstarsza hierarchia panteonu babilońskiego — ulegała ona w ciągu wieków ustawicznym zmianom. O. Kugler twierdzi, że najpierwsze miejsce w panteonie babilońskim w okresie historycznym zajmuje En-lil (Bel), bóg sfery powietrznej, którego bronią

jest burza, a synem księżyc płynący po przestworzach. Najstarsza świątynia oraz najgłośniejsza w Babilonii w Nippur, była jemu poświęcona; nazywano ją E-kur domem-górą, bo wyobrażano sobie, że Bel z najwyższego punktu przestworza patrzy na całą ziemię. Obok niego już w epoce Gudea ukazują się Anu, bóg strefy gwiazd stałych i Enki, bóg przepaści, morza; a że wody wypływają z tajemniczych głębin ziemi, więc był też bogiem mądrości. O. Kugler zatem konsekwentnie przeczy, by te bóstwa miały charakter astralny. Zatem jest to coś innego niż teorya Wincklera, która i w tych bóstwach dopatruje się charakteru astralnego (cfr. A. Jeremias: *Das Alte Testament im Lichte des alten Orients* str. 6). Mianowicie Winckler i Jeremias wychodzą z mylnego zapatrywania na rozwój astronomii Babilończyków i twierdzą, że od samego początku istniała trójca babilońska Anu, Enlil i Enki i od samego początku bóstwa te mają charakter astralny: Anu jest bóstwem, mającem rząd nad sferą gwiazd powyżej zodyaku; Bel jest rządcą planet, przesuwających się w pierścieniu zodyaku; Enki zaś panuje nad sferą pod zodyakiem. O. Kugler uniknął takiego błędu, o którym niema zresztą śladu w najstarszych napisach; najstarsze bóstwa Babilonii nie mają charakteru astralnego.

Nie chce jednak przeczyć O. Kugler, by Anu niegdyś w epokach przedhistorycznych nie stał na czele bóstw — owszem podkreśla tylko, że w epoce historycznej, sięgającej do roku 3000 przed Chr., faktyczny prymat dzierży Enlil — ale z licznych reminiscencyi w literaturze widać, że niegdyś tę rolę przewodnią, którą zresztą po części teraz ma, zajmował pierwotnie Anu. O. Kugler uważa tę trójcę bóstw za wyraz sił kosmicznych. Ale już w najstarszych tekstach obok tych trzech bóstw ukazują się inne; są one również uosobieniem różnych sił kosmicznych; i te bóstwa zostały potem powiązane z tamtemi węzłami pokrewieństwa. Tak przedewszystkiem księżyc czczony jest pod różnemi nazwami, jako Sin w Akkad, Enzu w Lagasz, Nannar w Ur, również starym jest kult słońca. Księżyc uważano za syna Enlil. Obok tego czczony jest w Lagasz bóg świetlny, Ningirsu, który odgrywa główną rolę w napisach Gudea. Jako małżonkę jego czczono Bau. Obok niej czczono w Lagasz boginię Nina, córkę Enki — jako bóstwo kanałów i mądrości, także boginię Nisaba, bóstwo proroctwo, które nosi „tablicę dobrej gwiazdy". Również wielkiej czci doznawała Innina; za jej gwiazdę uważano Wenus. Za czasów Szargani - szar - ali czczono trójcę Bel, Szamasz, Innina. O. Kugler ostrożnie rozbiera te teksty zawiłe i stwierdza, że dopiero w napisach Gudea (Cyl. A. XVII

23) napotykamy na pierwsze dowody astrologii na gruncie religii babilońskiej.

Również interesującem jest dla chronologii, że nie zawsze i nie wszędzie władcy babilońscy otrzymują tytuł królów — monarchowie z Lagasz, aczkolwiek są zupełnie niezależnymi władcami, nigdy sobie nie dają tego tytułu, kontentując się nazwą „patesi"; tytuł króla tylko bogom dają. Raz tylko Eannatum I po wojnie zwycięskiej nad Elamem i Kisz w „steli sępów" ten tytuł nosi. Dopiero królowie z Akkad: Sargon i Naramsin stale siebie nazywają królami, lecz tę godność zawdzięczają bóstwu Enlil z Nippur. O. Kugler całym szeregiem dowodów wykazuje, że tytuł Bóg (Dingir), który znajduje się na wielu napisach Sargona i Naramsina z Akkad oraz królów z Ur, począwszy od Dungi i królów Isin aż do Rim-Sina z Larsa, oznacza raczej tylko króla, jako opiekuna świątyni Ekur w Nippur. Rzeczywiście tylko ci władcy babilońscy, którzy posiadali pod swem panowaniem Nippur, noszą ten tytuł. Lecz to nie na podstawie faktycznego posiadania miasta, raczej na zasadzie jakiejś inwestytury, nadanej im przez arcykapłana świątyni Ekur. Tytuł ten nie był dziedziczny ani też dożywotni, można go było utracić przez utratę miasta Nippur — ci królowie jednak, co go mieli do śmierci swojej i na późniejszych napisach dalej go mają. Pierwszy ten tytuł przybrał Szargani - szar - ali z Akkad, potem Dungi, syn Engur, założyciela dynastyi Ur i jego następcy, królowie dynastyi Isin, a ostatni ma ten tytuł Rim-sin, (prawdopodobnie biblijny Ariach), syn Kudur- mabug, władca miasta Larsa. Zaczem w Babilonii tytuł „Bóg" przy imieniu króla oznaczał tylko posiadanie protektoratu nad świątynią Ekur w Nippur.

Bardzo obszerne studyum O. Kugler poświęcił kalendarzowi oraz jego historyi w starej Babilonii (cfr. I, II, str. 151—254). Aby zrozumieć ten cały niezmiernie ważny ustęp, należy uprzytomnić sobie stosunki, jakie panowały w Babilonii między r. 2700 do 1300, bo właśnie temu okresowi są poświęcone badania O. Kuglera nad kalendarzem babilońskim. Otóż połud. Babilonia w tym okresie nosi nazwę Sumer i Akkad. Sumerejczycy różnią się swoim językiem i pochodzeniem od Akkadejczyków, którzy są w całem tego tego słowa znaczeniu Semitami. Ale ani Sumerejczycy ani Akkadejczycy nie tworzą stałe jednolitej organizacyi politycznej, lecz dzielą się na szereg państewek, które sobie wzajem hegemonię wydzierają. Tak zrazu hegemonia jest w ręku władców z Lagasz, wkrótce przechodzi kolejno na władców Akkad, Ur, Isin i Larsa, i aż ostatecznie tak zw. pierwsza dyna-

stya babilońska nie dokonała zupełnego zlania się w jedno państw Sumer i Akkad. Na stosunki połd. Babilonii najsilniejsze światło rzucają wykopaliska dokonane w Tello, a potem w Nippur — wydobyto tam mnóstwo tablic, niezliczone dokumenta urzędowe; przeważnie zaś są to dokumenta o charakterze prywatnym z zapiskami kalendarzowymi oraz natury gospodarczo-społecznej. Tabliczki z Tello w liczbie tysiąc dwieście są datowane latami według panowania królów. O. Kugler poddał najwcześniejsze z nich dokładnemu rozbiorowi. Otóż na ich podstawie dowiadujemy się, że rok w czasach Lugul Anda i Urakagina z Lagasz koło roku 2700 przed Chr., Sargona z Akkad i dynastyi z Ur dzielił się na dwanaście miesięcy, które w Ur i Akkad noszą te same nazwy — tymczasem w Lagasz nazwy są nieco odmienne. Miesiące te były księżycowe miały dwadzieścia ośm lub trzydzieści dni, wobec tego rok był krótszy od słonecznego — wskutek czego okazała się potrzeba interkalaryi jednego miesiąca. W Akkad i Ur rok rozpoczyna się od miesiąca Gan-mesz, zatem w sierpniu, a miesiącem interpolarnym jest Se-kin-kud, „miesiąc cięcia zboża", zatem przedostatni miesiąc roku.

Wsuwano miesiąc interkalarny nie na podstawie obliczeń astronomicznych, lecz tylko ze względu na wegetacyę, gdy się żniwa nie mogły w nim skończyć, wtenczas wstawiano drugi Se-kin-kud. Następstwo lat interkalarnych, jak pokazują napisy, jest bardzo arbitralne i kapryśne i tak aż do epoki pierwszej dynastyi; jak nieregularnym jest rozwój wegetacyi z roku na rok, tak nieregularnie też następują lata przestępne.

Osobne studyum poświęca O. Kugler epoce Patesi z Lagasz z Lugalanda i Urukagina — mianowicie tabliczkom, odnoszącym się do ich panowania, a noszących na sobie lata ich urzędów. Otóż kalendarz z Lagasz inaczej przeważnie nazywa miesiące roku; rok zaczyna się z miesiącem Bau — świętem noworocznem zaślubin Ningursu, boga Lagasz z Bau, obchodzonem uroczyście. Miesiąc piąty był an-ta-sa-ru, poprzedzał go miesiąc Se-kin-kud — miesiąc ścinania zboża — zatem nasz czerwiec byłby An-ta-sa-ru, którego nazwa wskazuje według O. Kuglera na pojawienie się gwiazd Perseid, wschodzących właśnie wówczas z początkiem czerwca. Rok więc z Lagasz rozpoczynałby się w lutym (str. 205—228).

Wreszcie przychodzi pod rozbiór kalendarz pierwszej dynastyii babilońskiej, której katalogi w licznych doszły nas odpisach. Roczniki z tych czasów, podobnie jak dawniejsze, charakteryzują lata pano-

wania tych królów pobieżnie zdarzeniami wybitnemi i to z życia religijnego, z życia króla i jego czynów, a zwłaszcza wielkie sukcesy wojenne; również notowane są wielkie klęski publiczne, ale nigdy, nawet ani razu, nie zapisują przez trzechsetletni ciąg rządów tej dynastyii jednego zaćmienia słońca. Rok ma dwanaście miesięcy. Nazwy są te, które potem przez dwa tysiące lat nie ulegną żadnej zmianie. Pisane są albo jak nazwy dynastyi z Ur ideograficznie albo też fonetycznie. Są to te same nazwy miesięcy, które potem przyjmą inne ludy, między innymi Żydzi. Pierwszym niesiącem roku jest miesiąc Nisan. Miesiącem interkalarnym jest Adar, ale za czasów Hamurapiego także Elul; według obliczeń O. Kuglera 1. Nisan przypadał przeciętnie na 28 kwietnia, naturalnie mógł się on zacząć jeszcze 16 dni później lub 23 dni wcześniej a nawet za Hamurapiego jeszcze te wahania były większe. Źródła historyczne z tych czasów nic nie mówią o uroczystem święcie „Zak-muk" „Nowy rok", które później taką rolę odgrywało. Roczniki notują jednak na ten dzień cały szereg ważnych aktów publicznych, inaugurowanych przez królów. Pierwszy Nisan więc był w każdym razie w wielkiem poszanowaniu. Nawet jeszcze w tych czasach niema żadnych śladów o istnieniu cyklów ośmio - czy ośmnastoletnich. — lata interkalarne nie postępują regularnie. Zdaje się,, że osobne dekrety królewskie normowały wstawianie miesięcy interkalarnych, pewnie też pobudką były względy natury nie astronomicznej ale wegetatycyjnej.

Klasycznym jest ustęp tomu II. 257—310. O. Kugler dzięki swoim ogromnie metodycznym i ścisłym badaniom ustalił ostatecznie daty rządów pierwszej dynastyi babilońskiej, z której wyszedł Hammurapi. Tu Babilonia połd. staje się ostatecznie jednolitą monarchią. O. Kugler poświęcił baczną uwagę zapiskom, odnoszącym się do wschodu i zachodu Wenus, tak rano jak i wieczorem. Z czasów przedostatniego króla pierwszej dynastyi Ammisaduga, panującego 21 lat, mamy szereg spostrzeżeń astronomicznych nad planetą Wenus. Tabliczka ta, nosząca nazwę K 160, pochodzi z biblioteki Assurbanipala z Kojundżik, opublikował ją już w r. 1870 Smith G. w tomie III. *Cuneiform inscriptions of Western Asia* tabl. 63 pod t.: *Table of the Movements of the Planet Venus and their influences.* Poddał ten dokument krytycznemu rozbiorowi i udowodnił, że szereg zapisków niewątpliwie jest owocem spostrzeżeń bezpośrednich, jednakże tu i ówdzie tablica została później uzupełnioną — autor, zdaje się, już zdawał

sobie sprawę, że ewolucye planety Wenus powtarzają się mniej więcej w ścisłych okresach ośmioletnich. — Otóż O. Kugler poddał te dane ścisłym i bardzo sumiennym obliczeniom i przy pomocy dotychczasowych danych historycznych udowodnił, że Ammisaduga panował od r. 1977—1957 przed Chr. Ponieważ jednak, jak wspomniałem, planeta Wenus bardzo regularne ma ruchy, więc jeszcze zachodziła możliwość pomyłki 56-letniej. Aby tę pomyłkę usunąć, zwrócił uwagę na bardzo liczne datowane kontrakty prywatne z czasów pierwszej dynastyi — kontrakty te odnoszą się do najmu żniwiarzy, do sprzedaży zboża; przy ich pomocy zdołał O. Kugler dokładnie obliczyć, kiedy w okresie panowania Ammisaduga przypadał miesiąc Nisan, który był zarazem miesiącem żniw, i wykazał na podstawie tych żmudnych, ale pewnych obliczeń dowodnie, że panowanie Ammisaduga nie mogło absolutnie przypaść ani 56 lat wcześniej ani później — tylko że data panowania Ammusaduga, przez niego padana, jest zgodną i z obliczeniami astronomicznemi i meteorologicznie gospodarczemi oraz obliczeniami historyków. Zatem obliczenia Ungnacha i Thureau Dangin są najbliższemi prawdy. Daty panowania pierwszej dynastyi według obliczeń O. Kuglera tak się przedstawieją:

Sumu-abum	panował	lat 14	— 2225	— 2212
Sumu-la-el	„	„ 36	— 2211	— 2176
Sabium	„	„ 14	— 2175	— 2162
Abil-Sin	„	„ 18	— 2161	— 2144
Sin-muballit	„	„ 20	— 2143	— 2124
Hammurapi	„	43	— 2123	— 2081
Samsuiluna	„	„ 38	— 2080	— 2043
Abi-ešuh	„	„ 28	— 2042	— 2015
Ammu-ditana	„	„ 37	— 2014	— 1978
Ammi-saduga	„	„ 21	— 1977	— 1957
Samsuditane	„	„ 31	— 1956	— 1926
Razem panowali		300 lat	od 2225	do 1926

Co do tak zw. drugiej dynastyi babilońskiej O. Kugler idzie za zdaniem tych, co utrzymują, że ona najpierw nie jest jednolitą dynastyą, że królowie ci nie panowali bezpośrednio po sobie, że wielu z nich po części jest współczesnych dynastyi pierwszej, a ostatni są współcześni dynastyi trzeciej kossejskiej.

Dzieło O. Kuglera na długo będzie klasycznem w literaturze assyryologicznej; umiał on połączyć w sobie znakomitego astronoma z wybornem znawstwem assyryologii; jego metoda ścisła niezmiernie,

nie oglądająca się na żadne opinie i teorye, choćby nie wiem jak rozpowszechnione, uchroniła go od wielu błędów i zboczeń. Wykazał w dziele swem dowodnie, jak to szkoła Winckiera zeszła na manowce, zwłaszcza dlatego, że nie umiała się w badaniu swojem otrząść z powziętej z góry teoryi o astralno-mitologicznym charakterze najpierwotniejszej religii i kultury babilońskiej. O. Kugler przyznaje, że już koło roku 2700 astrologia coraz to zaczyna się wgłębiać w religię i kulturę Babilonu, ale że jej wpływ jest wówczas bardzo nieznaczny; astronomii naukowej tam nie było—obliczenia astronomiczne ówczesne nie mogły być podstawą kalendarza, który przechodził różne ewolucye, ale nigdy nie jest stałym: reguluje go najwcześniej kapryśny rozwój wegetacyi tak, że jeszcze w czasach dynastyi pierwszej miesiąc żniw Nisan różnie się zaczyna: w przestrzeni między pierwszymi dniami kwietnia aż do początku czerwca. Tu się okazuje jasno, że punkt wiosenny nie był wcale brany pod uwagę w obliczeniach kalendarzowych, zatem teorye Winckiera, że miesiąc Siwan, poświęcony kultowi boga księżyca Sin, miał być w szóstem tysiącleciu przed Chr. pierwszym miesiącem roku, że zatem już w szóstem tysiącleciu miano obliczać kalendarz według punktu wiosennego, będącego wówczas w konstelacyi bliźniąt, jest czystą fantazyą. A niestety, wielki ten uczony, assyryolog Hugo Winckler na tem oparł cały swój system wykładu starego Testamentu i za nim poszli tacy uczeni jak Jeremias, Hommel, Peiser, a wielu chciało ten system zastosować jeszcze do N. Testamentu.

W świecie naukowym doznała praca O. Kuglera ogromnego uznania. Stanowi ona trwałą podstawę pod chronologię Wschodu, a temsamem oddaje olbrzymie usługi Biblii; jego mozolna krytyka tekstów, często bardzo drobnych i żmudnych, ale za to najbardziej objektywnych, przyczynia się do wyświetlenia stosunków religijnych i społecznych w Babilonii.

Ks. W. Michalski C. M.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Monumenta ecclesiastica Petropolitana. *Dr. Michael Godlewski.* Zeszyt 5. Petropoli 1913, str. 76.

Journal et Correspondance de Stanislas Siestrzeńcewicz—Bohusz, premier archevequè - métropolitain de Mohilew. *Mgr. Michel Godlewski — W. Kriksine* I partie. Petersburg 1913, str. IV + 157.

Obydwie publikacye mają pierwszorzędne znaczenie dla historyi Kościoła katolickiego w Rosyi za rządów metropolity Siestrzeńcewicza. Piąty zeszyt „Monumenta", jak i poprzednie cztery, przynosi szereg ciekawych dokumentów z rosyjskich archiwów państwowych; dokumentów, które obracają się, jakby około osi, około idei przewodniej urządzenia kościoła katolickiego nie tyle według jego własnych praw, jak raczej według pojęć, jakie sobie urobił o nim Siestrzeńcewicz, i jakię rząd podzielał. Najciekawszym pono z pomiędzy ogłoszonych tu ośmiu dokumentów jest memoryał, podany władzom rządowym przez Siestrzeńcewicza w r. 1826, czyli na parę tygodni przed śmiercią. Mamy tu zatem rzeczywiste polityczne *credo* arcybiskupa i testament jego. Stojąc nad grobem „metropolita wszystkich kościołów" w państwie rosyjskiem, jeszcze sprzeciwia się myśli ustanowienia nuncyatury papieskiej w Petersburgu, widząc w tem ograniczenie swej władzy, natomiast nastawa na rozszerzeniu kompetencyi arcybiskupa i uczynienia go bardziej jeszcze niezależnym od Rzymu. Jedną tylko dobrą radę spotykamy w tym testamencie Siestrzeńcewicza: radę skasowania kolegium duchownego, któremu on sam prezydował w ciągu więcej niż ćwierć wieku.

Dziennik Siestrzeńcewicza, którego część ogłosił ks. Godlewski na spółkę z W. Kryksinem, przechodził dziwne koleje, opisane w przedmowie, zanim dostał się do rąk wydawców, by ujrzeć światło dzienne. Ogłoszona część odnosi się do lat 1797 — 1798; pisana po francusku, polsku, rosyjsku (we wszystkich językach nie tęgo) odsłania nam duszę Siestrzeńcewicza, jaką ona w całej szczerości przed samą sobą się odsłaniała: obok kościelnych, raczej antykościelnych, jego poglądów, obserwujemy tu dworactwo arcybiskupa, które kazało mu pochlebiać Pawłowi I, uniżał się przed nim aż do śmieszności, bywać na przyjęciach dworskich, gdzie po prostu kpiono z niego, podczas gdy on uważał to sobie za wielki zaszczyt. Pożądanem jest jaknajprędzej ogłoszenie drugiej części rękopisu, znajdującego się w rękach wydawców, a następnie zarządzenie poszukiwań papierów, czy może podobnego dziennika, z innych okresów rządów Siestrzeńcewicza. Przy dalszem wydawnictwie przydałaby się staranniejsza korekta, która w tej pierwszej części często szwankuje.

J. U.

Dr. Jos. Tumpach a Dr. Ant. Podlaha: Dějiny a bibliografie České katolické literatury náboženské. Čast. druha. V Praze 1913. od str. 481 — 960.

Dr. Alois Soldát: Nástin základův a všeobecných zásad společensko — hospodářských. V Praze 1913. Str. XIV. 550.

Działalność Dziedzictwa św. Prokopa w Pradze zaznaczyła się chlubnie na polu naukowego piśmiennictwa religijnego także i w ubiegłym roku. Omawiamy tylko dwa wyżej wymienione wydawnictwa. Pierwsze z nich to dalszy ciąg bibliografii czeskiej literatury religijnej. Praca to nadzwyczaj sumienna i wyczerpująca, nie pominięto nawet drobnych rozporządzeń władzy kościelnej i świeckiej, tak, że stanowi ona prawdziwą kopalnię i olbrzymie ułatwienie dla każdego, kto tylko z tej dziedziny informacyi potrzebować będzie, czy z zakresu teologii, czy filozofii, czy też kaznodziejstwa, prawa kościelnego, historyi kościelnej, muzyki, archeologiii i td. Wypada tylko pogratulować Czechom takiego „*standard work*" i życzyć aby i w naszej literaturze kościelnej coś podobnego stworzono.

Dzieło Dr. Soldàta, profesora wszechnicy praskiej, przedstawia niemniej pokaźne tak co do treści jak i formy ujęcie. Jestto treściwa ekonomia narodowa, wzorowana na „*Lehrbuch der Nationalekonomie*" i „*Allgemeine Volkswirtschaftslehre*" H. Pescha T. J., ekonomia oparta na zasadach chrześcijańskiej sprawiedliwości i wzajemności. Dzieli się na trzy części, z których pierwsza objaśnia podstawę pojęcia i systemy go-

spodarstwa narodowego (§ 1 — 32). Druga zaś podaje podwaliny ładu społecznego i prawo własności (§ 33 — 59); w części trzeciej wreszcie omawia autor kwestyę dobrobytu narodowego. Treść jędrna i na ogół dobrze rozłożona, może tylko niektóre rozdziały trzeciej zwłaszcza części dałyby się korzystniej rozmieścić. Autor sam nazywa swe dzieło tylko „pierwszą próbą" i przeznacza je dla szerszych warstw, i dlatego też unika balastu cytatów i cyfr. Próba ta wypadła bardzo dobrze i sądzimy, że jego książka spotka się z wielkiem uznaniem w narodzie o tak wybitnym zmyśle gospodarskim, jakim odznacza się naród czeski. *L.*

Institutiones iuris ecclesiastici, quas in usum Scholarum scripsit Josephus Laurentius S. J. Friburgi Br. B. Herder 1914. str. XVI + 762.

Jest to trzecie wydanie dzieła, które po raz pierwszy okazało się w r. 1902. Niniejsze wydanie pomnożone od drugiego o z górą trzy arkusze druku (drugie było powiększone o dwa arkusze) — spotka się niewątpliwie podobnie jak poprzednie, z przychylną i pochlebną krytyką naukową, zwłaszcza, że w obecnem wydaniu dzieło to nietylko nic nie straciło na swej wartości, ale zyskało.

Powiększenie to dość znaczne, tudzież inne zmiany w tekście, zostały spowodowane przez równoczesne zmiany w prawie kanonicznem, które — jak to powszechnie wiadomo — wstąpiło w ostatnich latach w stadyum nader żywego rozwoju, urzeczywistniając w ten sposób postulaty, przedstawione już na ostatnim soborze watykańskim, by nieco przestarzałe już w niejednej dziedzinie dotychczasowe prawo kościelne przystosować do nowych warunków, wytworzonych przez olbrzymi przewrót, jaki się dokonał w stosunkach życia publicznego i prywatnego w ciągu ostatniego stulecia.

Zadaniem autora, niemieckiego Jezuity, było podać naukowy wykład obowiązującego prawa kościelnego, z uwzględnieniem historycznego rozwoju poszczególnych instytucyi. W wydaniu obecnem zostały uwzględnione wszystkie dotychczasowe zmiany w prawie kanonicznem, wprowadzone przez papieża Piusa X. aż do roku 1913; wiele zatem zostało dodanych nowych szczegółów przy pojedynczych częściach wykładu, inne zostały zmodyfikowane lub opuszczone; na nowo zaś zostały opracowane: organizacya kongregacyi rzymskich, trybunałów papieskich i urzędów, normy dotyczące postępowania przy wyborze papieża, cały szereg nowych przepisów dyscyplinarnych dla duchowieństwa świeckiego i zakonnego, wreszcie nowe prawo małżeńskie (*Ne temere* z r. 1908) o ile uległo ono dalszemu rozwojowi przez następne dekrety i decyzye rzymskie.

Przy uważnem czytaniu trudno nie dostrzedz, że każde niemal słowo zostało przez autora ściśle odważone i rozważone, by w ten sposób ze sprzecznych często opinii wypośrodkować te, co słuszne i prawdziwe, zwłaszcza w tych częściach dzieła, które dotyczą dość drażliwych materyj, jak np. gdzie mowa jest o konkordatach, o stanowisku Kościoła wobec państwa, zwłaszcza w czasie naprężenia wzajemnych stosunków, o prawach Kościoła w dziedzinie szkolnictwa i t. p.

Z innych zalet należy podnieść: przejrzysty układ dzieła, ścisłość i dokładność w cytatach (jak się o tem przekonać można z kontroli na wyrywki) a wreszcie i to, że najnowsza literatura zarówno katolicka jak i niekatolicka została starannie uzupełniona. *Dr. Ch.*

Fr. Ks. Kugler S. J. *Im Bannkreis Babels:* Panbabylonistische Konstructionen u. religionsgeschichtliche Tatsachen. Münster i. W. 1910 str. 165.

Dla wielu nowszych krytyków, nie umiejących zoryentować się w nadprzyrodzonym pierwiastku Pisma św., jest ono ciągłą zagadką, którą trzeba wciąż rozwiązywać, by wkrótce na nowo z tymsamym rezultatem podejmować pracę syzyfową. Odnosi się to tak do St. Test. jak do Nowego. Panbabiloniści, jak słusznie zauważył O. Kugler, pragnęli za pomocą błędnego koła, w jakie sobie ujęli swój pogląd na Babilonię i jej kulturę, wytłumaczyć całą literaturę mitologiczną wszystkich ludów. Zdaje im się, że wszystko na ziemi można wytłumaczyć źródłami klinowemi. Naturalnie Biblia cała jest dla nich niczem innem jak tylko magazynem i zbiornikiem najróżnorodniejszych poglądów astralno-mitologicznych Babilonii, wciąż komentowanych i przystosowywanych do każdej postaci historycznej. Nawet i postaci Pana i Boga naszego, Jezusa Chrystusa, nie oszczędzili. Nie tylko tacy jak Drews, Niemojewski, ale i ludzie tej miary co Winkler, Gunkel, Hommel nie

cofnęli się przed konsekwencyą fantasmagoryi, przez siebie wytworzonej. System ten, z pilnością godną lepszej sprawy, zastosował Winkler do historyi St. Test., gdzie się według jego pojęć roi od różnych herosów księżycowych, słonecznych, planetarnych. Fantazya jego po kolei ubiera w tę szatę Abrahama, Izaaka, Jakóba, Ezawa, Dawida, Salomona, Saula, Mojżesza, Jozuego, Aarona i t. d. Niema wybitniejszej postaci, w której by się nie dopatrzył rysów jakichś astralno-mitologicznych herosów. Nie cofa się przed żadną konsekwencyą: cała historya starożytna Persów, Greków, Rzymian, wieków średnich, to nic innego, jak ciągłe bawienie się w osłanianie postaci historycznych barwami astralno-mitologicznemi. System ten dopiero miał ostatecznie według Winklera zniszczyć Kopernik, swojemi odkryciami astronomicznemi. W nieco łagodniejszej i oględniejszej formie występuje ten system u Alfreda Jeremiasa: *Das Alte Testament im Lichte des alten Orients.*

Nawet i u nas znalazł się zwolennik tej teoryi. Najlepiej przeczytać dzieło „Bóg Jezus", aby mieć wyobrażenie o metodzie panbabilonistów — tylko że u Niemojewskiego to jeszcze spotęgowane: naiwność, ignorancya, fanatyzm podały sobie tu ręce, aby stworzyć płód, za który się kiedyś nasza literatura polska XX w. będzie musiała rumienić, bo istotnie tego rodzaju metoda jest po prostu urąganiem zdrowemu rozumowi, nie mówiąc już, że jest to wykpienie obecnej ścisłości i drobiazgowości w zastosowaniu metody indukcyjnej.

O. Kugler ma do czynienia z przeciwnikami skądinąd bardzo zasłużonymi nauce, traktuje ich zatem spokojnie, ale na szeregu przykładów okazuje fantastyczność i brak wszelkich poważnych dowodów na twierdzenie panbabilonistyczne. Najsmutniejsze jest to, że tacy assyryologowie jak Winkler i Hommel, obałamuceni swą fantazyą, nie uniknęli wielu kardynalnych błędów w tłumaczeniu tekstów klinowych, a już ich znajomość astronomii, do której apelują, wykazuje często zupełną nieznajomość.

W drugiej części swej broszury O. Kugler zbija punkt po punkcie podstawowe dogmaty panbabilonistyczne, podaje druzgocącej wprost krytyce ich teorye o czterech epokach światowych; o mniemanem znaczeniu planety Wenus, księżyca, słońca, aprecesyi i kalendarza na ukształtowanie się różnych form religijnych; wykazuje wszędzie zadziwiającą lekkomyślność w traktowaniu źródeł oraz nieuzasadnioną śmiałość panbabilonistycznej teoryi, która miała tak zasadniczy wpływ wywrzeć już nie tylko na Izraela, ale na całą historyę ludzkości.

Książka ta poprzedziła ostatnie publikacye O. Kuglera o studyach nad kalendarzem i chronologią Babilonii, gdzie ostatecznie dopiero wyświetlono te kwestye i skąd się oczywiście okazuje, jak małą stosunkowo była znajomość astronomii jeszcze w czasach Hammurabiego.

O. Kugler wykazał w swej broszurze zwycięsko, jaka jest wartość fantazyi panbabilonistów — ale ostateczny cios zadał im dopiero swem wielkiem dziełem o astronomii babilońskiej. *Dr. M.*

Das österreichische historische Institut in Rom 1901 — 1913 Festgabe *Ludwig v. Pastor von Dr. Philipp Dengel* dargebracht. Wien u. Freiburg im Breisgau 1914.

Miły podarek w sześćdziesiątą rocznicę urodzin składa uczeń mistrzowi: sprawozdanie z działalności „Instituto austriaco di studi storici" za dyrektury Jubilata znanego autora „Geschichte der Paepste."

Instytut ten istnieje w Wiecznem Mieście już od r. 1881 i przez dwadzieścia lat pozostawał pod kierunkiem prof. Teodora Sickla. W r. 1886 Krakowska Akademia Umiejętności za inicyatywą prof. Smolki utworzyła w Rzymie Polską Ekspedycyę historyczną. Za dyrektury Pastora w r. 1903 polscy badacze zostali uznani za nadzwyczajnych członków „Instituto austriaco" i dzieje naszej naukowej ambasady łączą się odtąd z nim. Jakkolwiek całe sprawozdanie prof. Dengla jest bardzo interesujące, — najwięcej obchodzi nas Ekspedycya polska.

Naszych badaczy bywa rocznie dwóch lub trzech — przeważają z natury rzeczy historycy; warto ich tu przytoczyć. Prof. Brzeziński pracował nad historyą polskiego konkordatu w w. XVII i XVIII — prof. J. Ptaśnik, dr. St. Zachorowski, dr. St. Kętrzyński, prof. K. Baran i prof. E. Długopolski opracowywali Mon. Pol. medii aevi Vaticana. — Dr. M. Loret: dzieje Kościoła katolickiego w Polsce i w Rosyi 1764 — 1840. Prof. St. Zakrzewski, dr. St. Zachorowski i dr. L. Boratyński: nuncyaturę Caligariego, Bolognettiego i Pos-

sevina — X. dr. Goląb: stosunek Polski do Soboru trydenckiego — Dr. Tarnawski: przyczyny upadku unii — Dr. Kościałkowski (z Wilna) — nuncyaturę Litty w ostatnich latach Rzpltej. Poza tymi specyalistami znajdujemy ś. p. Waszyńskiego, który zajmował się historyą starożytną, archeologów prof. Hadaczka i dra Bulandę, a w końcu współpracowników pomnikowego wydania pism ś. Grzegorza z Nazyanzu, prof. Sinkę, dra Przychockiego i dra Sajdaka.

Poczet Polaków wcale pokaźny, a i dorobek naukowy niepośledni. Trzeba bowiem zaznaczyć, że prof. Dengel poza samem sprawozdaniem i spisem członków umieszcza dokładną biografię prac, ogłoszonych przez zwyczajnych i nadzwyczajnych członków Instytutu.

F. B.

Mój syn wstępuje do szkoły. *W. Kosiąkiewicz.* Kilka rad dla młodzieży. Poznań 1914. 1 Mk. str. 61.

Ojciec wysyła 15-stoletniego chłopca do szkoły publicznej. Ponieważ dotychczas chował się on w rodzicielskim dworku, dostaje od ojca wskazówki i ostrzeżenia, tyczące nowego życia w społeczeństwie kolegów. Przedewszystkiem chodzi o Wiarę; tu przedstawia autor motywy i argumenty, które mogą młodego ująć i wiary go pozbawić. Dalej określa autor stanowisko naukowe wobec wiary i przestrzega przed dysputami, które z konieczności muszą być wśród młodych chłopców powierzchowne a apodyktyczne. W zakończeniu naszkicowane znaczenie i potęga Wiary dla młodej, kształcącej się duszy.

Mała ta książeczka napisana jest nie tylko ze znajomością i odczuciem Wiary i jej przodującego stanowiska w życiu człowieka, ale z wniknięciem w psychikę młodych, gorących, szlachetnych chłopców. Przez to zasadnicze i jasne ujęcie poleca się książeczka sama i młodzieży i tym, co jej radzić mają.

F. B.

Ossyan w Polsce na tle genezy romantycznego ruchu. *Dr. M. Szyjkowski.* 1913.

Autor w szeregu gruntownych rozpraw zajmował się prądami umysłowymi z początku XIX w. i ich wpływem na zaczątki i rozwój polskiego romantyzmu. W obecnej pracy zapoznajemy się z oddziaływaniem świetnej mistyfikacyi poety szkockiego Macphersona na literaturę i umysłowość w Polsce w czasie od r. 1782 — 1822. Poematy mitycznego Ossyana obudziły wszędzie uczucia tak nieodłączne od pierwiastkowego szczególnie romantyzmu, jak poczucie piękna dzikiej natury, uczucie grozy, a także smutku i melancholii. Już pierwsza recepcya Ossyana w Polsce przez tłumaczenie Tyminickiego, Krasickiego i Kniaźnina przyniosła, choć nieco zmodyfikowane, dość jednak wyraźne, nowe pierwiastki naszej literaturze. Druga, dokonana już po obwołaniu Ossyana przez p. Staël „nowym Homerem", była już silną awangardą romantycznego ruchu. Dlatego też Ossyan staje się bronią w walce na pióra między starymi a młodymi.

W ten sposób za sprawą Ossyana zyskuje nie tylko poezya; w krytyce też rozszerza się widnokręg myśli i kryteryum sądu dzieł sztuki.

W ostatnim rozdziale zaznacza autor ogromną popularność motywów ossyanicznych i wylicza cały legion pomniejszych poetów, zostających pod wpływem barda Północy. Na równi z pierwszorzędnymi, gdyż druga recepcya pieśni Ossyana była zjawiskiem zbiorowem, przygotowali grunt pod romantyzm polski.

Po szczegółowej analizie, której wyniki króciutko zaznaczyliśmy, dochodzi autor do wniosku, „że u kolebki romantycznego ruchu w Polsce stoi stary śpiewak celtycki Ossyan". Pedantycznym, ale jak się zdaje uzasadnionym, byłby dodatek „wraz z paru innymi patronami".

Po Ossyanie i Rousseau oczekujemy niecierpliwie Gessnera, bo wtedy mielibyśmy zapełnioną tę lukę naszej historyi literatury: „pierwiastki romantyczne przed r. 1822".

F. B.

Wpływ biblii na Zygmunta Krasińskiego *Józef Andrzej Teslar,* (Odbitka „Przeglądu polskiego".) Kraków 1912, Skład głów. w Księgarni Gebethnera i S-ki in 6-o. str. 30.

„Wobec wzmożonego zajęcia się Krasińskim w okresie jubileuszowym — uważał autor — za potrzebne choć w kilkudziesięciu egzemplarzach odbić tę szkicową pracę", będącą jakby zaokrąglonym programem czy spisem treści obszernego dzieła p. t. „Krasiński a Biblia", w którem autor

zamierza wskazać jedno ze źródeł wizyi, myśli i stylu Krasińskiego. Pracę tę uważamy jako konieczne, integralne uzupełnienie do „Dziejów myśli" p. Kleinera.

J. K.

Boecyusz a Kochanowski. *Ks. Izydor Richter.* (Odbitka z „Przewodnika naukowego i literackiego".) Lwów 1912. in 6-o str. 19.

Może zbyt wiele obiecuje autor, pisząc na karcie tytułowej: Boecyusz a Kochanowski — gdyż w niniejszej rozprawce, napisanej stylem dość ciężkim, roztrząsa tylko opierający się na zasadzie przeciwieństwa wpływ wzajemny „Trenów" i pełnej szatorskiego wdzięku, neoplatońskiej „Konsolacyi", wpływ tak w zakresie ogólnej idei moralnej, jako też co do drugorzędnych szczegółów artystycznych, po uprzedniem zaznaczeniu przyciągającej siły „Konsolacyi" w ruchu humanistycznym za granicą i w Polsce. Praca autora zasługuje na zaszczytną wzmiankę w historyi objaśnienia nieśmiertelnych „Trenów".

J. K.

Katedra historyi literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim (1826 — 1904). *Dr. Wiktor Hahn.* Lwów 1912. Nakładem autora in 8-o str. 12.

Chociaż już 4. XI. 1817 r. stworzono katedrę języka i literatury pol. z instrukcyą, opartą na projekcie J. M. Ossolińskiego, to faktycznie obsadzono ją dopiero w 1825 r. w osobie *M. Michalewicza*, który, choć zupenie na to stanowisko nieodpowiedni, piastuje ten urząd do 1844, by ustąpić miejsca niemile widzianemu przez rząd *J. Szlachtowskiemu* (do 1852 r.) Po czteroletniem opróżnieniu zasiada wreszcie na niej aż do 1873. *A. Małecki*, który w swych wykładach, po raz pierwszy wygłaszanych w języku polskim, dał całokształt dziejów literatury pol., a zarazem wychował zastępy dzielnych pracowników na niwie krytyki literackiej, między innymi swego następcę: *R. Pilata* (1872 — 1904). Ten należycie przemyślanymi i jasno przedstawionymi wykładami starał się utrzymać katedrę na poziomie naukowym, a jako kierownik seminaryum polskiego, zaprowadzonego urzędownie w 1887 r., wprowadza metodę filologiczno-porównawczą. Na utworzonej w 1903 r. drugiej zwyczajnej katedrze hist. lit. pol. zaledwie kilka miesięcy pracuje *Piotr Chmielowski*, zmarł bowiem 23. IV. 1904. Oto treść niniejszej broszurki, spełniającej znakomicie swe popularyzatorskie zadanie.

J. K.

Bogusławski czy Kołłątaj? *Wiktor Hahn.* (W sprawie autorstwa Cudu czyli Krakowiaków i Górali). Lwów 1912. Odbitka z „Pamiętnika literackiego". in 6-o str. 7.

Długo utrzymywała się tradycya, przypisująca autorstwo Cudu jużto Niemcewiczowi, jużto Kołłątajowi. Gdzie tego przyczyna? Najpierw w znanej ich działalności społecznej i literackiej; powtóre, że w czasie powstania Kościuszkowskiego Bogusławski miał sławę dopiero dyrektora sceny. Autorstwo Niemcewicza nie opiera się na żadnych podstawach, prócz wymienionej; nieco inaczej ma się sprawa z Kołłątajem. Oto w rękopisie bibl. Ossolińskich, (l. 1594), zawierającym różne materyały kołłątajowskie, znajdują się piosenki osób, występujących w Cudzie, a wypowiadające myśli Kołłątaja; twórcą więc ich jest prawdopodobnie sam Kołłątaj. „Wobec czego — wnioskuje dalej prof. Hahn — możnaby z pewnem prawdopodobieństwem przypuszczać, że Kołłątaj był autorem *także innych piosenek* w Cudzie" i stąd ową tradycya.

J. K.

W przededniu odrodzenia literatury Polskiej (1706 — 1779). **Wacław Rzewuski.** *Alfred Brodnicki.* Poznań. Drukiem „Pracy". — in 6-o str. 12.

Po wyjaśnieniu przyczyn zastoju umysłowego epoki saskiej, na którą przypada przeważna część działalności W. Rzewuskiego, wykazuje autor, że „brodaty hetman" mimo konserwatywnego stanowiska w stosunku do reform państwowych, jest zwiastunem prądów pseudoklasycznych, wywołanych przez Boileau'a — Woltera i t. d. Uzupełnia swoje twierdzenie trafnie dobranymi wyjątkami z poematu p. t. „O nauce wierszopiskiej", pierwszej, drukowanej w Polsce poetyce (Poczajów 1762 — w zbiorze p. t. „Zabawki wierszopiskie y krasomowskie" przez J. Rzewuskiego). Niniejsza więc praca, szczupły wprawdzie, ale rzetelnej wartości stanowi przyczynek do krytyki dziejów literatury polskiej.

J. K.

Epos szlacheckie Kazimierza Brodzińskiego *Dr. Aleksander Łucki*, (Odbitka z księgi Pamiątkowej dla prof. Józefa Tretiaka). Kraków 1912. Nakładem autora. in 6-o str. 26.

Zasłużony wydawca poezyi „Kazimierza z Królówki", odnalazłszy w rękopisach Bibl. Jagiell. papiery Dmóchowskiego, usiłuje odtworzyć plan poematu Brodz. p. t. „Dwór w Lipinach", kombinując zachowane fragmenty ze wskazówkami Dmóchowskiego, ogłoszonemi w 1870 r. w Bibl. Warszawskiej. Następnie, po dokładnej analizie krytycznej nowych i dawnych, ogłoszonych przez Dmóchowskiego (96 w.), zastanawia się autor nad pomysłem poematu, wyprzedzającego na 10 lat Pana Tadeusza, a łączącego, podobnie jak arcydzieło Mickiewicza, dwa odrębne pierwiastki: szlachecką sielankę i wspomnienia z kampanii napoleońskiej. Wreszcie dołącza autor pełny tekst wszystkich fragmentów, zachowanych w rękopisach Bibl. Jag. n. 4605 i 4608, ułatwiając tem samem badania nad twórcą Wiesława.

J. K.

Pod Miechowem. Obraz z powstania 1863 roku opracował ks. Józef Jędrys. Nakład autora. Druk Foltina. Wadowice 1914.

Chłopi za wpływem proboszcza i dziedzica idą do powstania. Giną jednak wkrótce w potyczce pod Miechowem, wraca tylko Maciek śmiertelnie raniony i konając opowiada, że bardziej podłość i samolubstwo swoich jak przemoc wroga sprowadziły klęskę. Proboszcz konkluduje, że naród nie wyzbył się wad Targowicy stąd sam sobie jest największym wrogiem i zrozpaczyćby trzeba, gdyby nie wiara w miłość Bożą. Dziedzic zaś sieroty po poległych obdarza swoim majątkiem. Udatny ten obrazek i szczerością i prostotą nakreślony nadaje się dla scen wiejskich. *A. P.*

Męczennicy Kartagińscy. Obraz w pięciu odsłonach na podstawie aktów męczeńskich, opracował X. Józef Jędrys. Nakład autora, Druk Foltina — Wadowice 1914.

Obraz to z czasów prześladowania chrześcijan w Kartaginie w trzecim wieku po Chr. Pojmanych wtrącono do więzienia, gdzie Satur kapłan chrzci katechumenów. Skazani na męki w amfiteatrze posilają się Eucharystyą. To przedstawione jest w czterech odsłonach. W piątej odbywa się pogrzeb umęczonej Perpetui, w czasie którego powraca z wycięskiej wyprawy jej mąż Vibius poganin i na widok ciała żony wpada w rozpacz, bluźni Chrystusowi i zemstę przysięga, lecz gdy mu chrześcijanie opowiedzą o miłości żony względem niego, o jej nadzwyczajnem męstwie, z jakiem śmierć poniosła, zwyciężony potęgą wiary i łaski Bożej nawraca się wraz z ojcem Perpetui.

Idea męczeństwa przedstawiona tu jak najdoskonalej. Męczennicy ci wszyscy to święci i wielcy święci, pełni doskonałej miłości Chrystusowej. Jestto wielka zaleta tej religijnej sztuki, ale i wada zarazem, bo za odlegli od nas, za mało są ludźmi, a charakterami za mało się różnią między sobą. Druga rzecz, która razi w tej sztuce, to istne traktaty teologiczno-oratorskie, o chrzcie, eucharystyi, i t. d. Sztuka sceniczna jest też i kazalnicą ale na swój sposób niech każe, działaniem osób a nie przez oracyę, zwłaszcza takiej treści, jeśli nie chce wywołać niesmaku lub nudy wśród słuchaczów. — Zachowanie się lubieżne Trybuna w scenie V. w akcie drugim, jest w tej sztuce nieodpowiednie, podobnie i ojciec Perpetui niegodnie jak na Rzymianina obchodzi się z córką, bijąc ją i usiłując jej oczy wydrzeć, w scenie VII tejże odsłony, w końcu przewracanie się jeden na drugiego wchodzących męczenników w trzeciej odsłonie, śmiech chyba wywoła. Usterki te jednak, jak sądzimy, dobry reżyser łatwo usunie, a gdy mowy przydługie poskraca, sztuka na tem wiele zyska i wyorze na słuchaczach wierzących podniosłe i głębokie religijne wrażenie. *A. P.*

Ojcowizna. Jan Gall. Nakład „Związku teatrów i chórów włośc." Lwów 1914.

Jestto część muzyczna do sztuki ludowej F. Dominika. Składa się na nią mazurek, Krakowiaki i piosenki Marynki na jeden głos z tow. fortepianu. Charakter ludowy, wybornie trafiony, na wyróżnienie szczególne zasługuje na motywie kozackiej dumki. Brak krzyżyka gis w takcie 34 i 38 oraz w siódmym od końca, niech grający partyę portepianową tejże piosenki uzupełni. *A. P*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Radykalna demokracya we Lwowie.

Po rozbiciu politycznego bloku, żywioły, z których się składał, poszukały sobie nowych odpowiedniejszych ujść i dróg. Jeżeli z jednej strony wśród czynników lepszych objawił się zwrot na prawo aż do śmiałego podkreślenia na pierwszem miejscu katolickiego charakteru partyi, to z drugiej strony wystąpił wśród żywiołów wywrotowych bardziej zdecydowany ruch na lewo. Radykalizm nurtujący w bloku, a maskujący się, obecnie zdziera maskę, występuje jawnie, jaskrawo aż do programowego ogłoszenia jawnej propagandy wyzbycia się religijnych przekonań.

Najjaskrawszem może i znamiennem pod tym względem jest powstanie nowego stronnictwa radykalnej demokracyi, która się zawiązała we Lwowie 3 maja b. r.

Już artykuły pisane przed zjazdem lwowskim w *Monitorze*, który dawał inicyatywę do założenia stronnictwa, zawierały hasła bezwzględnej walki przeciw Kościołowi. Dla redaktorów *Monitora*, Breitera i jego wspólników, ideałem są stosunki francuskie, które od czasów rewolucyi wytworzyły stan niemal ustawicznej walki z Kościołem. Ciasny sekciarski duch burzenia instytucyi religijnych i kościelnego życia, dochodzący do absurdu, mający niejednokrotnie znamiona obłąkania antyreligijnego, wyrasta w oczach redaktorów do godności „wielkiego

czynu francuskiego", który trzeba przenieść koniecznie także na teren naszego społeczeństwa. Do tego jest powołana radykalna demokracya, która ma wcielać te ideały francuskich sekciarzy i usuwać religię „ów mistyczny nastrój ducha tamujący postęp" — i przygotowywać naród do „wielkiego wyścigu kulturalnego".

Pocieszającem dla nas jest to, że społeczeństwo nasze na głos trąbki radykalnej pozostało głuche. Mimo, że inicyatywa wyszła z gazety w polskim języku redagowanej, że na zjeździe byli ludzie, przyznający się także do polskości, to jednak nie ulega wątpliwości, że nie ma on z polskością nic wspólnego, ani nie służy polskim interesom. Na zjazd pospieszyli przedewszystkiem Żydzi i oni nadawali ton całemu wiecowi. Wystarczy przejrzeć nazwiska głównych referentów: obok Breitera Reitzes, Honigmann, Zipser, Wirth. Wystarczy dowiedzieć się, w jakich lokalach obradowano, kto był prezesem zjazdu, żeby sobie zdać sprawę z charakteru organizacyi i na jakiem podłożu powstaje.

Żydzi czują, że jak w Poznańskiem i w Królestwie, tak też i w Galicyi zaczyna się im grunt z pod nogi usuwać. Idyliczne czasy, w których hasła i liberalne piosenki usypiały społeczeństwo polskie, a Żydom rozwiązywały ręce do różnych łatwych interesów wśród uśpionego społeczeństwa, mijają — zdaje się — bezpowrotnie. Natomiast wchodzą w życie i zyskują na znaczeniu wartości, które liberalizm usuwał — stara religia katolicka, która daje społeczeństwu zdrowie i siłę moralną; — lepsze i bardziej określone pojęcie narodowościowe, ta miłość ojczyzny, która na pierwszem miejscu każe dbać o swoich, a nie o obcych, przybyszów, czy też pasożytów, zagrażających samemu bytowi narodowemu. To są wartości, które są bardzo a bardzo dla Żydów niewygodne — dla nich, którzy są zasadniczymi wrogami chrystyanizmu, a związani handlowymi stosunkami z całym światem, są urodzonymi międzynarodowcami — a jakiejś ojczyzny ściślejszej nie znają, ani znać nie chcą.

Wobec takiego stanu rzeczy powstało u Izraela zamięszanie i gwałtowne szukanie nowych dróg do utrzymania się

przy wpływach i znaczeniu. Na razie nie widzą innej, jak opanować prądy radykalne w kraju i powieźć je do walki przeciw odradzającemu się społeczeństwu. Toteż w sam raz na rękę żydowskim elementom była inicyatywa sprytnego intryganta, spekulującego na skandalach i dobrem imieniu ludzkiem, żeby zorganizować wykolejone duchowo jednostki na gruncie galicyjskim i utworzyć z nich partyę radykalną. Ze skwapliwością węszących dobrą okazyę licytantów rzucili się do tej myśli i całą siłą swą dali wszelką pomoc jej urzeczywistnieniu; rozchwytali referaty, dostarczyli lokalów na zebrania, postarali się o delegatów z różnych stron kraju. Prócz nielicznych zresztą samozwańczych przedstawicieli polskich i ruskich byli to Żydzi, którzy tworzyli główną siłę zjazdu. Nie bardzo się nawet taili z tem, o co im chodzi. Delegat żydowski Wirth nie wytrzymał i zaraz w swej mowie powitalnej bez obsłony wyjaśnił cele, jakie mają Żydzi w radykalnej demokracyi, apelując do polskich i ruskich delegatów, aby „przeciwdziałali propagandzie antysemityzmu, szerzonego przez żywioły ciemne i niekulturalne (!!) etc.“

Odpowiednio do tego żydowskiego międzynarodowego charakteru radykalnego zebrania wypadły też referaty i rezolucye. Bardzo radykalne, zwracające się przeciw wszystkim niemal stosunkom społecznym, ekonomicznym, politycznym, pod ogólnikową dla przyzwoitości formą były wyrazem aspiracyi, sympatyi i antypatyi żydowskich.

Prasa polska, z wyjątkiem tej, która stoi na usługach Izraela, przyjęła zawiązanie się nowego stronnictwa z tem przykrem uczuciem, z jakiem człowiek przypatruje się tworzeniu nowego wrzodu na własnym organizmie. W powstaniu jej widzi tylko koncentrowanie się żywiołów wykolejonych, zepsutych w jednem ognisku. Ta jednomyślna ocena każe się spodziewać, że do wpływu wielkiego stronnictwo to nie dojdzie. Ale bądź co bądź będzie jątrzyć i zakażać społeczeństwo. Oprze się przedewszystkiem na elemencie żydowskim, ale sieci swe zarzucać będzie i na drobne mieszczaństwo polskie, na tę półinteligencyę, która nie mając jeszcze kultury, ma do niej pretensye,

do której kultura dochodzi tylko w imponujących frazesach, w błyskotliwych hasłach, wogóle w ostatnich swych szumowinach. Na ten lep donośnie brzmiących radykalnych haseł — oraz przez niesienie pomocy osobom czującym się pokrzywdzonymi jednać sobie będzie zwolenników i wciągać w swe szeregi. Dlatego zawczasu trzeba sobie zdać sprawę z niebezpieczeństwa grożącego, zwłaszcza, że zorganizowana demokracya swą zgubną agitacyę rozwinie zapewne w szerszym niż dotąd zakresie i już o założeniu partyjnego dziennika przemyśliwa.

Postulat „wolnej szkoły" i niejasne stanowisko nauczycielstwa.

Omawiając powstanie radykalnej demokracyi, nie można pominąć milczeniem przynajmniej tego jej postulatu, który przed innymi w najwyższym stopniu obchodzić musi społeczeństwo katolickie, mianowicie rezolucyi o odchrześcijanienie szkoły. Przeszła ona pod inną formą mniej alarmującą, ale tożsamo znaczącą, o wyzwolenie jej z pod wszystkich czynników, krępujących niezależność myśli i wiedzy. Postulat ten odsłania, jak głęboko już od chrześcijańskiego światopoglądu odpadli ci, którzy wraz z wrogami Chrystusa podnoszą takie hasło i śmią pokazywać się z niem demonstracyjnie na ulicy w oczach katolickiego społeczeństwa. W tem policzku zadanym przez radykalną demokracyę otrzymali katolicy ostrzeżenie, że nie mogą poprzestać na biernym spokoju o kierunek wychowania młodzieży — bo oto tworzą się gromady ludzi wyzutych z poczucia religijnego, którzy się skupiają i pracować będą, aby młodzież usunąć od samych podstaw religii i moralności — żeby ją wychować bez Boga.

Niedawno się toczyła dyskusya na łamach prasy polskiej o masoneryi. Można wierzyć w jej istnienie u nas, można nie wierzyć — ale zaprzeczyć się nie da, że istnieją u nas tendencye masońskie, że to, czego dokonują jawni masoni na zachodzie, do tego u nas pokazuje się dążność, nieoznaczona wprawdzie etykietą masońską — ale faktycznie masońska. Jedną z tych dążności to postulat wolnej szkoły. Przeprowadzony bezczelnie we Francyi z najgorszym skutkiem dla społeczeństwa zjawia

się u nas w radykalnej demokracyi, jako jeden z najważniejszych jej postulatów.

Radykalna demokracya wciąga już do tej akcyi o odchrześcijanienie szkoły nauczycielstwo polskie. Na referenta w tej sprawie uprosiła sobie z Krakowa p. Mayera, redaktora *Głosu nauczycielstwa ludowego*, oraz sekretarza krakowskiego *Ogniska* nauczycielskiego. Co gorsza — p. Mayer referat przyjął i on to zgłosił rezolucyę o wolnej szkole — aby dzisiejszą szkołę wyzwolić z pod wszelkich czynników (religijnych przedewszystkiem), krępujących niezależność myśli i wiedzy. Wprawdzie miał się zastrzegać, że referuje w imieniu własnem a nie jako reprezentant nauczycielstwa, faktem jestjednak, że osoba, która bierze bardzo czynny udział w ruchu nauczycielskim i jako redaktor staje na jego czele i toruje drogi opinii wśród kolegów, zabiera głos na zjeździe partyi wywrotowej, solidaryzuje się z nią i w oczach katolickiego społeczeństwa śmie występować z rezolucyą o odchrześcijanienie szkoły. Ten fakt znamienny i bardzo wiele mówiący musiał wywołać w społeczeństwie niepokój, który już objawił się w prasie. Znane było już nie od dziś przewrotne stanowisko *Głosu nauczycielskiego*, który atakował stanowisko religijne, zapewniając kłamliwie o swej poprawności względem religii. Występ redaktora odsłonił jego obłudę. — W *Ognisku nauczycielskiem*, w *Głosie nauczycielstwa* istnieje cały, systematyczny, wyrozumowany prąd radykalny aż do zaprzeczania chrześcijańskiego światopoglądu. Czy może społeczeństwo katolickie powierzać takim wychowawcom swe dzieci? Czy może ścierpieć, by mu takich narzucano?

Wśród nauczycielstwa jest wielu — może i większość, którzy należąc do „Ogniska" ubolewają nad występem p. Mayera. Ale ciche ubolewanie i potępianie wobec publicznego zgorszenia nie wystarcza. Trzeba się odważyć na krok publiczny, aby uspokoić opinię wzburzoną społeczeństwa i usunąć niejasność, która tylko pogarsza sytuacyę.

Wybory we Francyi. Wybory we Francyi nie przyniosły dla katolików żadnej poważniejszej zmiany sytuacyi. Zyskali wprawdzie bardzo znaczną ilość mandatów zjednoczeni socyaliści pod wodzą Jau-

rés'a, ale stratę tę ponoszą partye średnie, lawirujące między lewicą a prawicą, co katolików bezpośrednio nie dotyka. Nie może jednak być dla nich obojętny olbrzymi przyrost mandatów socyalistycznych. Mogą sobie wśród nich niektórzy mówić i pocieszać się przysłowiem: im gorzej, tem lepiej — ale pocieszanie się takie, jak również oddawanie pod tym hasłem głosów na socyalistę, oznacza ich zupełną polityczną bezradność i niemoc. Bezwątpienia w obozie katolickim jest bardzo źle — nie dlatego, żeby brakło im wyborców, ale, że siły, któremi mogliby rozporządzać, nie są zorganizowane; brak im jedności — każdy na własną rękę chce politycznie działać. Rozbieżność poglądów na metodę działania prowadzi ich ostatecznie do wzajemnego zwalczania się, zamiast złączonemi siłami przeciwstawić się atakującemu wrogowi.

Zdawało się, że jakiś ład, jakąś oryentacyę wniesie w to bezhołowie nowa, na szeroką skalę pojęta i zakreślona organizacya *Union catholique*, powstała z inicyatywy pułkownika Kellera. Znalazła ona wielkie poparcie ze strony episkopatu francuskiego, ale nie mogła dokonać cudu. Zawiązana na miesiąc przed wyborami, jako całkiem twór nowy wzbudzała nieufność konkurencyjną u innych partyi, do których katolicy należeli i mimo zapewnień, że nie idzie jej o rozbijanie dawnych partyi, lecz o skoncentrowanie głosów katolickich na kandydatów najpewniejszych bez względu na ich przynależność partyjną, nie zdołała oczywiście w tak krótkim czasie zdobyć sobie należnej powagi i obowiązującego autorytetu. Cóż dopiero mówić o przeprowadzeniu jakiejkolwiek organizacyi przy wyborach, poznaniu stosunków i t. d.?

Zresztą sami inicyatorowie Zjednoczenia katolickiego nie łudzili się co do wpływu swego na obecne wybory. I rzeczywiście można powiedzieć, że o ile chodzi o przeprowadzenie kandydatów, mało go znać było. Zaledwie tu i ówdzie zdołali wprowadzić jaką taką jedność między katolikami i skupić głosy na własnego kandydata. Ale na razie nie o to im chodziło.

Czego dopiąć chcieli, to dać poznać się przy okazyi wyborów, zwrócić na siebie uwagę i wywiesić sztandar, który już

dawno wywiesić należało: sztandar katolicki — i tego dopięli. Program przez Zjednoczenie katolickie uchwalony rozbrzmiał echem po całej Francyi. Nie skupił katolików, ale zwrócił na siebie uwagę, nakazał uszanowanie, do pewnego stopnia onieśmielił zdecydowanych nawet antyklerykałów. Faktem jest, że przy obecnych wyborach unikano tego jaskrawego afiszowania się ze sekciarską zaciekłością antyreligijną, jaką można było napotkać dawniej. Wybory nie miały zabarwienia religijnego ze strony radykałów; za to w partyach prawicowych hasło religijne rozbrzmiało wyraźniej i bardziej stanowczo; niektórzy nie proklamując swego osobistego stanowiska religijnego dawali wszelkie gwarancye obrony postulatów podniesionych przez Zjednoczenie katolickie, inni, a liczba ich doszła do kilkudziesięciu, do swego określenia politycznego wnieśli krótką i wielce znacząca nazwę: katolik, oznaczającą już nie tylko polityczne ale religijne ich stanowisko. To podniesienie katolickiego hasła, zwrócenie uwagi na obronę spraw religijnych na pierwszem miejscu, już i w obecnych wyborach stanowi zasługę Unii katolickiej. Chodziłoby tylko o to, żeby dawszy się poznać i wywiesiwszy sztandar katolicki Unia nie poszła wypoczywać, a rzeczy nie pozostawiła ich biegowi. Ma przed sobą cztery lata do następnych wyborów i te lata trzeba zużytkować na przygotowanie do nich. Cztery lata, to nie za wiele; bodaj czy nie za mało. Wszak wszystko jeszcze zostaje do zrobienia. Bo prócz ukonstytuowania zarządu i wyznaczenia komitetów miejscowych właściwie niczego jeszcze w organizacyjnej pracy nie dokonano. Trzeba dać się poznać bliżej, trzeba urządzać zebrania, dyskusye, na którychby wyjaśniano program Zjednoczenia i przekonano o jego potrzebie, trzeba poznać okręgi wyborcze i skupić w nich wyborców około tego programu, trzeba wyszukać odpowiednich kandydatów katolickich i nakłonić ich do przyjęcia kandydatury pod hasłem katolickiem. Wszak w obecnych wyborach we większości okręgów nawet kandydatura katolicka się nie zjawiła; gdzieindziej, jak widać z korespondencyi ogłaszanych, zdecydowano się dopiero w ostatniej chwili, parę dni przed wyborami, na postawienie kandydatury, tak, że prócz

rozesłanego uwiadomienia, które zapewne nie zawsze dochodziło do rąk odbiorców, agitacyi nie prowadzono zupełnie. Unia katolicka musi zawczasu postarać się o kandydatów wszędzie, zbliżyć ich do ludności wyborczej, zaznajomić z techniką agitacyjną i dostarczyć funduszów na agitacyę. To wszystko wymaga nakładu olbrzymiej pracy a także i czasu tak, że zwlekać nie będzie można.

„Wy katolicy — mówił jeden z przewódców socyalistycznych do reportera katolickiej gazety *Croix du Nivernais* — wy powinnibyście tworzyć potęgę, ale nie umiecie się do tego zabrać. Brak wam kompletnie organizacyi i nie macie jasnego programu. I to was gubi". — Socyalista ocenił trafnie. Katolikom francuskim trzeba na gwałt organizacyi i zespolenia sił. Czy ją znajdą, czy prócz pięknych słów, o które u nich tak łatwo, prócz dowodzeń, znajdzie się dość energii, dość życiowego pędu, aby zaprzestać jałowych rozdwajających dyskusyi i zabrać się do twardej, żmudnej, nie demonstracyjnej ale gruntownej pracy organizacyjnej?

Są tacy, którzy wszystkie klęski i niepowodzenia katolików we Francyi przypisują powszechności głosowania. Z pewnością, że powszechne głosowanie jest bronią obosieczną w polityce i nieraz już widziano, jak klika sprytnych agitatorów umiała bezwładne masy pchnąć w kierunku najzgubniejszym. Ale dziwna rzecz, dlaczego to wybory w Niemczech, w Belgii, a nawet we Włoszech — jak to się pokazało niedawno — nie wyglądają tak źle jak we Francyi, owszem dają taką siłę, że jej pozazdrościć mogą katolicy w innych krajach. Sekret cały leży w tem, że nie poprzestając na modłach i pięknych deklamacyach katolickich, zrozumieli, że trzeba także przygotować wszystko, co tylko się da siłami ludzkiemi, by zapewnić pomyślny wynik wyborów i wytworzyli potężne organizacye katolickie, które karnie idą w bój wyborczy i nie dopuszczają do przegranej. Ta tylko droga może też ocalić katolików francuskich od zupełnego upadku.

Reforma szkolna w Belgii.

Po długich i niekończących się debatach zdołano wreszcie reformę szkolną w Belgii doprowadzić do końca. Reforma pożądana była z wielu względów, przedewszystkiem jednak rozwinięte nadzwyczaj w tym kraju wolności szkolnictwo prywatne domagało się lepszego unormowania swoich stosunków. Podjął się przeprowadzenia tej reformy gabinet Broqueville'a, należący do prawicy katolickiej i na niej oparty. Zadanie trudne podjął na szeroką skalę i stworzył dzieło wielkie, głęboko obmyślane, które przynosi zaszczyt twórcom, a może służyć za wzór i bezstronności i uczciwości w prawodawstwie.

Główna trudność polegała na tem, że rząd w ustawie chciał pogodzić dwie rzeczy niemal się wykluczające: chciał zaprowadzić przymus szkolny a równocześnie zostawić nietkniętą wolność rodziców do wychowania dzieci według własnych przekonań. Liberalne prawodawstwo innych krajów zwykle nie wiele sobie łamało głowy nad rozwiązaniem tej trudności. Zaprowadzano przymus szkolny i nie licząc się z prawem rodzieów do kierowania wychowaniem dzieci według własnych przekonań, zmuszano ich do oddawania dzieci do szkół, jakie rządowi podobało się utworzyć. To też na podłożu takiego przymusu wyrasta jedna z najstraszniejszych tyrania, tyrania duchowa, która pod postacią prawa ograbia rodziców z dusz własnych dzieci — wyrywa z tych dusz dziecięcych najszczytniejsze i najświętsze dla rodziców ideały rodzinne, ojczyste, religijne. Społeczeństwo polskie zna ten przymus szkolny i tworzy on jeden z najboleśniejszych ustępów naszej martyrologii narodowej; zna go i Kościół katolicki, któremu narzucone szkoły rządowe zepsuły i zgubiły już niezliczoną ilość dusz dziecięcych bezpowrotnie.

Katolicki rząd belgijski, jakkolwiek nie wywiesza etykiety liberalizmu, jednak okazał większe zrozumienie i uszanowanie dla wolności i praw rodzicielskich aniżeli pokazały go kiedykolwiek rządy, zwące się oficyalnie liberalnemi. Postarał się on o to, żeby nawet przy przymusie szkolnym prawa rodzicielskie do dzieci zostały nietknięte.

Osiągnął to, przyjmując system szkół dwojakiego typu: rządowych i wolnych prywatnych. Przymus szkolny przynagla

rodziców tylko do spełniania rodzicielskiego obowiązku dania wyszkolenia dzieciom, ale przyznaje im wolność oddania dzieci do szkół takich, jakie w sumieniu uważają za odpowiednie dla nich. Mogą więc je posyłać do szkół rządowych — albo mogą się starać o szkoły prywatne, żeby w nich dzieci swe umieszczać. Żeby jednak ta wolność wyboru szkół była rzeczywista, faktyczna, to szkoły prywatne muszą dawać te same korzyści i prerogatywy, jakiemi się cieszą szkoły rządowe — innemi słowy, muszą posiadać równouprawnienie z rządowemi a muszą udzielać nauki bezpłatnie. W przeciwnym razie ustawa o wolności wyboru szkół pozostałaby tylko martwą literą, iluzoryczną zwłaszcza dla rodzin niezamożnych, nie posiadających środków na wykształcenie dzieci. Była to trudność dla rządu poważna, jak po nadaniu równouprawnienia szkołom prywatnym, zabezpieczyć ich bezpłatność. Dawne ministeryum Schollaerta chciało w ten sposób zapewnić wolność wyboru szkół, że postawiło wniosek o przyznanie rodzicom zapomogi w wysokości całego kosztu utrzymania dziecka w szkole. Zapomoga ta miała być wypłacana szkole, mającej uprawnienie rządowe, do której rodzice dzieci swe wysyłali. Obecne ministeryum obrało inną drogę, drogę mniejszego oporu, ustępstw i unikania konfliktu z dawną autonomią gmin.

Nowe prawo szkolne jest pracą p. Poullet'a, ministra Oświaty i Sztuki i profesora prawa w Lowanium, który dokonał dzieła zaiste wielkiego. Zawiera ono pięć głównych działów i 37 poddziałów. W pierwszej części omawia przymus szkolny; w drugiej ustala bieg szkół i wychowania elementarnego; w trzeciej zajmuje się płacą nauczycieli; w czwartej szkolnictwem wolnem; w części piątej zamieszcza zbiór postanowień dopełniających poprzednie. Nie jest to więc prawo prowizoryczne, okolicznościowe, ale prawo zasadnicze, obejmujące całokształt prawodawstwa szkolnego, normujące kwestye, które już są, a właściwie być powinny poza wszelką dyskusyą: jak przymusowe czy dowolne kształcenie, równe traktowanie nauczycieli, wiek szkolny, przystosowanie szkoły do potrzeb społeczeństwa, oględziny lekarskie dzieci szkolnych i równe popieranie kosztem państwa szkół

wszystkich, które, szerząc oświatę, pracują dla dobra państwa i czynią zadość jego wymaganiom.

Przy tem wszystkiem w całem prawodawstwie znać wielką troskę o zapobieżenie wszelkim ewentualnościom, wynikłym z prawa, któreby niepotrzebnie obarczały ludność lub krępowały wolność rodzicielską. Dlatego pozostawiono do woli rodzicom nietylko wybór między szkołą rządową albo prywatną, ale także pozwolono na kształcenie domowe, przyczem ubezpieczono się, że obowiązek kształcenia będzie spełniony. Ustanowiono, że uczeń, który przeszedł i zadość uczynił wszystkim koniecznościom szkolnym może otrzymać świadectwo odejścia w trzynastym roku swego życia. Wakacye szkolne umieszczono w takich czasach, które są najdogodniejsze ze względu na roboty sezonowe. Uregulowano płacę nauczycielską. W szkołach gminnych ma nauczyciel pobierać pensyę od gminy, w szkołach wolnych od zarządu szkolnego. Opłata nauczycieli, jakkolwiek zależna od ugody, jednakowoż nie może być niższa od 1200 franków dla nauczyciela, 1100 fr. dla nauczycielki, ze stosowną dopłatą na mieszkanie, gdzie go niema w budynku szkolnym. Gdy nauczyciel jest żonaty, lub jako wdowiec obarczony jest rodziną, albo zostaje kierownikiem szkoły, wówczas to minimum dla niego ma być zdwojone. Dla dzieci nauczycielskich ponad lat 14, uczęszczających do szkół normalnych ustanowiono osobne stypendya. Również prawo bierze nauczycieli w obronę przed kapryśném redukowaniem ich pensyi.

Prawo uwzględnia przekonania rodziców. Rodzice mając zostawiony do woli wybór szkół dla dzieci odpowiadających ich przekonaniom, są zupełnie zwolnieni od przymusu szkolnego, jeżeli w promieniu 4 mil niema żadnej szkoły, w którejby mogli zgodnie ze swem sumieniem umieszczać dzieci. Aby zapobiedz możliwym nadużyciom oraz presyi na nieobznajmionych z prawodawstwem szkolnem ma być na zawiadomieniach szkolnych, wysyłanych rodzicom z okazyi powoływania dzieci do szkoły, umieszczone pouczenie dla rodziców o ich pełnem prawie dowolnego wyboru szkoły, i że nikt nie może wywierać na nich przymusu, aby swe dzieci oddawali do tej a nie innej szkoły.

W szkołach wolnych, przez rząd równouprawnionych naukę udziela się bezpłatnie. Troskę o utrzymanie tak szkół gminnych jak i wolnych bierze rząd na siebie. Ponieważ, tak w szkołach wolnych, jak i we wielu gminnych, nauczycielskie obowiązki spełniają osoby zakonne, prawo przyznaje im takie wynagrodzenie za ich usługi jak osobom świeckim. Suknia i śluby zakonne nie stanowią przeszkód do pracy oświatowej szkolnej, a chcieć usuwać takie osoby ze szkół albo odmawiać im całej należnej im pensyi sprzeciwiałoby się konstytucyi — poucza sam wstęp do nowej ustawy szkolnej. Jeżeli w szkołach wolnych osoby zakonne godzą się uczyć za cenę poniżej taksy, to państwo uważa to za piękny objaw ich bezinteresowności; nie narzuca im takiej zniżki, co wyglądałoby na karę jakąś — ale pozwala na nią, aby zatkać usta tym, którzy naiwnie wygadują na fundacye zakonne. Wreszcie prawo zwraca uwagę i na to, aby zapewnić równe traktowanie uczniów tak jednych jak drugich szkół. W tym celu oddaje radom prowincyonalnym i gminnym do dyspozycyi fundusz na zaopatrywanie młodzieży szkolnej w odzież, pożywienie itd. Ich decyzye mają być przedkładane do zatwierdzenia królowi, który będzie czuwał nad tem, by fundusze rzeczywiście szły na wsparcie wszystkich uczniów bez różnicy, tak dla uczniów szkół gminnych jak i dla uczęszczających do szkół wolnych.

Ustawa ta wyjdzie na korzyść przedewszystkiem katolickiego społeczeństwa, które dotychczas uiszczając podatki na szkoły rządowe, jeszcze złożyło olbrzymie ofiary na szkoły wolne, do których więcej miało zaufania i których wytworzyło wiele. Odtąd troska o ich urzymanie przechodzi na rząd. Ale też właśnie dlatego, że korzyść odnoszą z tego ustawodawstwa zakłady katolickie, liberalna i socyalistyczna opozycya zwalczała przedłożenie rządowe jak najzawzięciej i trzeba było niewyczerpanej wprost energii ministra Poullet'a, jego taktu, cierpliwości, żeby je przed atakami obronić i doprowadzić szczęśliwie do końca. Wreszcie reforma uchwalona zyskała zatwierdzenie królewskie. Dziełem tem ministerium Broquevilla postawiło sobie pomnik w pamięci nietylko wolnego ludu belgij-

skiego, ale i wszystkich, którzy dążą do zrealizowania ideału prawdziwej wolności obywatelskiej w organizmie państwowym.

L. Rudnicki.

Nowe wydawnictwo.

Nasze Kościoły. Wyd. ks. J. Żyskar.

Od połowy roku 1913 zaczęły wychodzić zeszyty wydawnictwa pod skromnym tytułem: „*Nasze Kościoły*" zakrojone na szeroką skalę, bo mające objąć jedną po drugiej wszystkie dyecezye, wchodzące w skład Polski pod trzema zaborami. Ma ono na celu przechowanie tej części dziejów naszych, jakie się zespoliły z budową kościołów, tych jednych przez długi czas środków kultury na wschodnich i południowych kresach dawnej Rzeczypospolitej.

Podjęcie takiej pracy było tem konieczniejsze, że wiele z tych kościołów z drzewa wzniesionych chyli się ku upadkowi, a wraz z nimi i parafia. Zdziesiątkowane nadto dzięki politycznym zawieruchom i ruinie ekonomicznej, oraz dobrowolnym i niedobrowolnym emigracyom wiernych.

Takich parafii, wyglądających na stracone placówki i wygasających stopniowo niemało w Mohilewszczyźnie. Czas pamięć ich przynajmniej uratować od zagłady. Ale cóż? Archiwów kościelnych, porządnie prowadzonych, nie mamy wcale. Zaledwie w ostatnich czasach pojawiać się zaczynają monografie kościołów lub klasztorów naszych. Trzeba mozolnie szperać po strychach i składach kościelnych, zaglądać do źródeł historycznych, badać podania miejscowe; kto się tej żmudnej pracy podejmie wiedząc z góry, że poparcia wśród nieco ospałego społeczeństwa nie znajdzie, a tem mniej bogatych i hojnych mecenasów?

Otóż znalazł się wśród duchowieństwa kresowego kapłan, który odważnie jął się pracy. Jest nim X. Żyskar obecnie proboszcz w Dorpacie.

Postać to niepospolita. Urodzony z ojca katolika Francuza, oraz z matki Niemki i protestantki, przez nią był wychowany. Kiedy wstąpił do korpusu kadetów w Petersburgu, zaczął uczęszczać na wykłady religii, przez jednego z Ojców Dominikanów prowadzone.

Tam też Bóg rzucił pierwsze ziarno powołania w duszę chłopca,

za którem idąc, wstąpił do seminaryum, gdzie w ciągu jednego roku o tyle przyswoił sobie język polski, dotąd mu nieznany, że mógł swobodnie choć niezupełnie poprawnie mówić i pisać. Wraz z językiem pokochał naród polski, który stał się dla niego prawdziwie ojczystym co do ducha, pokochał jego przeszłość, dzieje i lud, tak gorąco do wiary ojców przywiązany i pracy nad nim całkowicie się poświęcił. Przez lat dwadzieścia pracuje w największej archidyecezyi świata, miał sposobność zapoznaćsię z Polakami rozprószonymi od Rewla i Rygi do Irkucka, od Wologdy do Suchum-Kale nad Morzem Czarnem, a owocem tych wędrówek była praca „*Polacy w rozprószeniu*“ drukowana częściowo w *Przeglądzie katolickim* i *Kuryerze litewskim*, a następnie w osobnej odbitce. Czytelnik z tej książki najlepiej pozna duszę ks. Żyskara, odnajdzie w nim brata, który choć od tak niedawna wcielił się do naszej rodziny, zawstydził niejednego ze starszych swych braci w kapłaństwie żarliwością iście apostolskiego ducha.

Odbija się i on w opisach *Naszych kościołów*, do prenumeraty których pragnąłbym jak najwięcej konfratrów moich zachęcić.

Wydawnictwo to kosztowne, potrzebuje pieniędzy; liczba kapłanów archidyecezyi Mohylowskiej i dyecezyi Mińskiej (od których ks. Żyskar rozpoczął swą pracę) zaledwie do 400 dochodzi, nie wystarcza na pokrycie kosztów prenumeraty. Czyż nie obowiązkiem kapłanów ze wszystkich dyecezyi, którzy „mamy jedność w sercu choć podział na karcie“ wydawnictwo to groszem naszym podtrzymać, tembardziej że w tem leży i nasz bliższy interes. Po opracowaniu bowiem dyecezyi białoruskich przyjdzie kolej na Królestwo Polskie, Galicyę, Poznańskie, a może nawet na Brazylię i Stany Zjednoczone, jak autor zamierza, w razie poparcia ze strony naszej. Wstyd byłoby nam, gdyby się zawiódł. Zeszyt arkuszowy z kilkunastu ilustracyami kosztuje 15 kop. Spróbujmy.

Cały tom I-szy Arcydyecezya Mohilewska 4 rb. Przyjmuje się prenumeratę na „*Nasze Kościoły*“ w Ameryce północnej. Cały tom 5 rubli. *X. W. Czeczott.*

Odnowienie Fary poznańskiej.

Do rzędu najwspanialszych świątyń nietylko Poznania i zaboru pruskiego, ale całej Polski, należy bezsprzecznie fara poznańska. Chcąc jednak mówić o jej obecnem odnowieniu, trzeba się cofnąć

wstecz, zaczerpnąć wiadomości z dziejów Poznania, aby tem lepiej zrozumieć charakter i zalety tego świetnego pomnika architektury.

Fara poznańska zawdzięcza swe powstanie zakonowi Jezuitów. Było to w r. 1570, gdy Adam Konarski, biskup poznański — szukając pomocy i obrony przeciw zaborczym postępom dyssydentów — sprowadził z Brunsbergi do Poznania zakon Jezuitów. Z jego porady miasto odstąpiło im kościół św. Stanisława z kaplicą św. Gertrudy, dwoma szpitalami, szkołą miejską i wszystkiemi przyległościami. Biskup zaś oddał im w posiadanie cztery wsie kapitulne. Taki był początek fundacyi zakonu, który przystąpił odrazu do budowy kollegium. Ale potrafili sobie Jezuici jednać na wszystkie strony dobrodziejów i nowych fundatorów. Toteż majątek ich ziemski wzrastał szybko wskutek coraz to nowych zapisów, a kollegium wkrótce okazało się za ciasném dla zwiększonej liczby zakonników. Właśnie zasiadał na tronie ich najgorętszy zwolennik, król Zygmunt III., gdy w r. 1622 zawarli z magistratem poznańskim nowy układ, na mocy którego miasto ustąpiło im dużego placu, dochodzącego aż pod same mury forteczne, a w parę lat później tą samą drogą weszli w posiadanie placu, za kościołem św. Stanisława położonego. Na nabytych w ten sposób gruntach założyli ogród, rozszerzyli kollegium i w końcu sam kościół. Ale zawsze była to łatanina, której zamiłowani w sztuce Jezuici, mając smak lepszy, znieść nie mogli. Dlatego postanowili przystąpić do budowy nowego kościoła i kollegium na miejscu dawnych. W r. 1651 odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod kościół, do którego plan podał Bartłomiej Wąsowski, rektor kollegium poznańskiego.

Budowę prowadzoną przez parę lat, przerwał najazd szwedzki, który tak dał się we znaki Jezuitom, że dopiero w kilkanaście lat później rozpoczęli na nowo fabrykę, kończąc ją koło kościoła w 1701 r. W trzy dziesiątki lat potem (r. 1733) ukończono także budowę wspaniałego kollegium. Wkrótce również powstała potężna i pyszna wieża, łużąca zarazem za dzwonnicę i za basztę. W ten sposób zakon Jezuitów zaokrągliwszy naprzód swe posiadłości w jednolitą a olbrzymią posesyę, zabudował ją pod koniec XVII i w pierwszej połowie XVIII w. paru monumentalnymi gmachami, które — mimo zmiany właściciela — przetrwały niezmienione do dzisiejszych czasów. W obrazie ulicznym Poznania odgrywają one ważną rolę. Rozmiarami proporcyi ogromne, skończoną formą stylu wspaniałe — imponujące

wrażenie pozostawiają każdemu, kto je choć raz oglądał z daleka czy z blizka. W szereg wązkich uliczek staroświeckich wciśnięte, są dziś jeszcze najlepszem świadectwem wielkiej niegdyś potęgi zakonu. Kollegium zamieniono na pałac regencyi Księstwa poznańskiego, a świątynia przedtem zakonna, stała się głównym kościołem farnym Poznania. Temu kościołowi — z powodu obecnego odnowienia — poświęcam niniejszy artykuł.

Główną i najtypowszą cechą świątyni poznańskiej jest pompatyczny, choć poważny i uroczysty przepych. Na tę nutę nastrojoną jest cała budowla i każdy jej szczegół. Zbudowana na planie krzyża łacińskiego, nakryta beczkowem sklepieniem, ma imponujące wielkością rozmiary wnętrza. Dość zaznaczyć, że wysokość do szczytu sklepienia dochodzi aż trzydziestu metrów. To też nawa główna, wraz z poprzeczną i prezbiteryum robi wrażenie olbrzymiej hali, nawet w epoce baroku dość rzadko spotykanej. Mimo tych niezwykłych rozmiarów, wnętrze fary wydaje się jeszcze znacznie większem. Zwłaszcza nawa, widziana od strony prezbiteryum, urasta do gigantycznych wprost proporcyi. Czynnikiem, który wywołuje to złudzenie, są kolosalne kolumny, użyte do podziału wnętrza. Przystawione wolno do ścian nawy, ujmują wokoło kościół. Na nich wspiera się wielkie belkowanie, z kolosalnym gzymsem koronującym, którego wyskoki nad kolumnami dochodzą aż do dwóch metrów szerokości. Powyżej, zaś piętrzy się półkoliste sklepienie, związane ze ścianami nawy za pomocą pasów poprzecznych czyli gurtów, z nad kolumn wybiegających.

Nad tą kompozycyą architektury wnętrza zastanawiając się głębiej, dochodzimy do przekonania, że te kolumny użyte są w sposób czysto dekoracyjny, gdyż konstrukcya kościoła nie wymaga ich zupełnie; one same nie spełniają właściwie żadnej funkcyi. Potężny, kolosalny gzyms, dostosowany do rozmiarów kolumn, jest również spowodowany dekoracyjnym efektem. Dalej kolumny, wsparte na nizkiej kwadratowej bazie, są właściwie za wielkie i za grube do stosunkowo nie tak szerokiej znowu nawy. Przez to jednak mają one dominujące znaczenie we wnętrzu kościoła. W nich wyraża się najlepiej pionowy akcent architektury wnętrza. One właśnie wywołują swymi rozmiarami złudzenie znacznie większej nawy, niż wskazuje rzeczywistość i ze względu na nie musiał architekt zakreślić sklepienie tak wysokim łukiem.

Należy to szczególniej podkreślić, gdyż w tej umiejętności zestrojenia kolumn z wysokością sklepień, leży cały sekret wrażenia przepychu i pompy, jakim nas olśniewa ten pomnik. Rzecz to na pozór tak drobna: wyższe czy niższe sklepienie, gdy tymczasem od trafnego wyboru wysokości łuku, zawisła udatność tego dzieła sztuki. W innych bowiem kościołach barokowych panuje większa dowolność w tym kierunku, a nawet znaczne niższe sklepienie nie psuje wnętrza. Ale tam zwykle do podziału ścian i naw użyte są pilastry, nie kolumny. We farze poznańskiej architekt wprowadził kolumny stosunkowo już za wielkie do rozmiarów nawy, czyli pod tym względem przecholował. Przy trochę tylko niższym łuku sklepień kolumny te jużby się nie mieściły we wnętrzu nawy. Przytłoczone niższem sklepieniem, robiłyby wrażenie skrępowanych gigantów, wciśniętych przemocą w zamałą dla siebie przestrzeń.

Taką jest konstrukcya wnętrza świątyni w głównych zarysach. Drugim zaś czynnikiem, wytwarzającym uroczysty nastrój, pełen powagi, jest efekt kolorystyczny. Cała nawa bowiem ma ton brunatno-ceglastego marmuru, w którym są utrzymane kolumny z nieco jaśniejszym odcieniem ścian. Zwyczajem ówczesnym na ściany i kolumny nie złożył się prawdziwy marmur, lecz tylko wyprawa naśladująca go, czyli tak zwany stiukko-marmur. Ponad tą ciężką, poważną nawą wznosi się lekkie sklepienie będące poniekąd kolorystym kontrastem dołu wnętrza. O ile bowiem w nawie dominuje ton ciemnawy, to sklepienie przeciwważą tony jasne, pogodne, wprost radosne: jasno-różowy tła sklepienia i biały stiukowego ornamentu, przyczem ostatni kolor gra większą rolę. Obok zaś tych dwóch głównych kolorów występuje także trzeci w postaci figuralnych obrazów, malowanych wprost na ścianie, utrzymanych jednak w jasnych barwach. Te obrazy ograniczają się do lunet okien sklepiennych i do środkowych płaszczyzn każdego pola.

Wreszcie trzecie miejsce zajmują detale. Z powagą architektury łączy się niezwykły przepych urządzenia, który wypowiada się w bogatych bardzo ołtarzach, rzeźbionych ławkach, pompatycznym chórze muzycznym, we wspaniałych konfesyonałach, w ślicznej ambonie i w długim szeregu różnych innych szczegółów. Warto zwrócić uwagę na ściany nawy. Pomiędzy kolumny rozpięte są arkady do naw bocznych, nad niemi duże okna loggii, ujęte w piękną oprawę z drzewa, rzeźbioną i złoconą, oszklone w drobną kratkę. Powyżej zaś — na

wysokości złoconych kapiteli kolumn znajdują się owalne medaliony, malowane „*en grisaille*“ ze scenami figuralnemi. Nawy boczne, dość zaciemnione, mają ton ogólny, trochę może ciemniejszy, niż nawa główna.

Fara poznańska, od wielu lat nieodnawiana, zaczęła się zasnuwać jakby mgłą zniszczenia, coraz bardziej trawiącą ten piękny pomnik. Potrzeba renowacyi stawała się koniecznością. Nie chcąc jej dłużej odkładać, ks. prałat Stychel przystąpił do niej z największą rozwagą i ostrożnością. Głównem zadaniem restauracyi było odczyszczenie i utrwalenie kompozycyi figuralnych, malowanych na sklepieniach. One bowiem najwięcej ulegały zgubnym postępom czasu. Że zaś w nich przebijał się jakiś świetny pendzel i wielka maestrya, nie dziw, że od nich właśnie zaczęto pracę.

Jezuici bowiem troszczyli się nietylko o przepych i bogactwo świątyni, ale także o artyzm. Dlatego do wykonania tych fresków użyli jednego z najzdolniejszych wówczas malarzy, Karola Dankwarta, z pochodzenia Szweda, osiadłego w Nissie na Śląsku. Ten Dankwart wykonał w Polsce szereg prac, a do najważniejszych należy jego dekoracya malarska kościoła na Jasnej Górze i kościoła św. Anny w Krakowie, współcześnie z poznańskim budowanego. Cechą jego sztuki jest lekkość i przejrzystość kompozycyi, jasność kolorytu. Jest to malarstwo podporządkowane architekturze. Nie zajmuje ono całych wielkich płaszczyzn, jak w gotyku, ale tylko niektóre jej odcinki i mniejsze pola. Jest ono dopełnieniem ogólnej dekoracyi wnętrza i dlatego nie może się wybijać na pierwszy plan, wciskać się gwałtownie w oko. Musi się stosować do ogólnego tonu kolorystycznego. A ponieważ całe sklepienie utrzymane jest w jasnych tonach, różowym i białym, dlatego koloryt samych kompozycyi Dankwarta jest również jasny i przejrzysty.

Restauracyę kościoła zaczęto w lipcu r. 1912. Ks. prałat Stychel za radą znawców zdecydował się w końcu to trudne zadanie złożyć w ręce przedwcześnie zmarłego ś. p. malarza Popiela. Wybór ten trzeba uważać za bardzo szczęśliwy. Renowacya obrazów sklepiennych nastręczała jednak wielkie trudności techniczne. Pod względem bowiem techniki nie był to bowiem fresk, ale raczej technika mieszana czy pośrednia pomiędzy freskiem, a malowaniem „*al secco*“ t. j. na suchym podkładzie czy ścianie, w przeciwieństwie do fresku, gdzie artysta malował na ścianie, podrzuconej świeżem wapnem. Fresk

w wykonaniu jest znacznie trudniejszą i żmudniejszą techniką, niż „*al secco*“, ale zarazem nierównie trwalszą. Z tych więc powodów w epoce baroku — gdzie bardzo zależało na pośpiechu — zarzucono prawie zupełnie freskową technikę, posługując się drugą, łatwiejszą i szybką w wykonaniu.

W obrazach Dankwarta w farze poznańskiej możemy właśnie zaobserwować wszystkie te cechy. Tam bowiem wszędzie, gdzie malarz wybrał technikę mieszaną czy pośrednią na pół fresk, na pół suche malarstwo, tam jego kompozycye lepiej się zachowały i mogły być przez umiejętną restauracyę odczyszczone i utrwalone. Dlatego ś. p. Popiel miał łatwiejszą przez to pracę. Do odnowionych przez niego obrazów należą kompozycye w prezbiteryum, w kopule i w nawie poprzecznej. Treścią ich — podobnie jak wszystkich przedstawień jest legenda o św. Stanisławie. Zwłaszcza obrazy nad wielkim ołtarzem trzeba uważać za bardzo dobrze odnowione. Po śmierci ś. p. Popiela dalszą pracę, jak również kierownictwo nad całą restauracyą objął prof. Procajłowicz, który kończył właśnie polichromię kościoła św. Wojciecha. Po różnych technicznych poprawkach, uskutecznionych przez architekta p. Andrzejewskiego, prof. Procajłowicz przystąpił do restauracyi obrazów w nawie głównej. Zaraz przy wstępnych robotach nad odczyszczeniem malowideł okazało się, że są bardzo zniszczone. Wskutek zwietrzenia barw, powierzchnia tych obrazów była skalaną i gdzieniegdzie farba łuszcząc się, sypała ze ściany. Charakterystycznem jest przytem niejednakie zachowanie się farb. Np. farby koloru czerwonego i żółtego za najlżejszem dotknięciem sypały się ze ścian. Natomiast kolory niebieskie i ciemno-zielone okazywały większą trwałość. Wszystkie zaś razem wzięte były zupełnie wyblakłe tak, że mogły raczej uchodzić za ślady kolorów. Był to wynik parowiekowego rozkładu chemicznego. Trudność leżała w zachowaniu dawnych barw i odświeżeniu ich walorów. Prof. Procajłowicz wybrnął jednak bardzo szczęśliwie z tego trudnego, a zarazem ryzykownego zadania. Koloryt tych obrazów świeższy jest i w tonach intenzywniejszy, ale jest zwykła świeżość początkowa, która po paru miesiącach ustąpi, gdy barwy nabiorą zwykłego sobie matowego tonu.

Istotnie cieszyć się można i trzeba z tak świetnego odnowienia tej wspaniałej świątyni, pełnej majestatu. Gdy czas zaczął trawić to niezwykłe dzieło sztuki, gdy robak zniszczenia zaczął toczyć ten piękny pomnik — znaleźli się ludzie gorącego serca, znaleźli się do-

skonali artyści, którzy mu znowu wrócili dawną świetność i przepych stubarwny. Ale gdy mowa o wszystkich, nie wolno zapomnieć imienia malarza-artysty Rutkowskiego z Torunia, który kapitalnie odnowił piękny obraz Smuglewicza w wielkim ołtarzu: „*Wskrzeszenie Piotrowina*“ i wszystkie inne płótna świątyni.

Możnaby jeszcze długo mówić o całym szeregu kwestyi i przedmiotów, należących i nowo wprowadzonych do tego kościoła. To jednak przechodzi ramy skromnego artykułu dziennikarskiego. A więc odłóżmy pióro.

Franciszek Klein.

Druk ukończono dnia 10-go czerwca 1914

Nowy u nas zwyczaj kościelny.

W ostatnim miesiącu ogłosił Ks. Arcybiskup Bilczewski list pasterski, którym, w myśl życzeń Piusa X i w myśl starych tradycyj kościelnych, ustanawia w swojej dyecezyi zwyczaj corocznego odnawiania obietnic chrzestnych, w dzień św. Trójcy. W każdym kościele dyecezyi, przed wystawionym Najśw. Sakramentem odnawiać będą publicznie w tym dniu wszyscy wierni przymierze z Bogiem, zawarte przy Sakramencie Chrztu.

Ktokolwiek zastanawiał się dokładniej nad treścią tego przymierza, nie może czuć dość wdzięczności za to postanowienie. Rzadko w której formule kościelnej mieści się taka głębia treści, rzadko kiedy słowa tak bezpośrednio dotykają istoty rzeczy i tę istotę z tak przenikającą jasnością stawiają przed oczyma. Nie można chyba lepiej wyrazić, w czem tkwi istota chrześcianina i chrześciańskiego życia, jak wyraża to obietnica chrzestna. A przytem świadomość, że jest to obietnica wiążąca każdego, wiążąca od pierwszych chwil życia, a więc zrośnięta z całą istnością człowieka, że jest to przymierze, rozstrzygające o całem życiu i całej wieczności, — świadomość ta, umiejętnie pracą duszpasterską rozbudzona i rozwinięta, nadać może aktowi odnowienia znaczenie pierwszorzędnej doniosłości.

Nigdy nie będzie za wiele wysiłków dla cucenia życia chrześciańskiego ze snu i nigdy nie będzie za wiele sposobów dla rozbudzenia żywej wiary. A to jest jeden ze sposobów donioślejszego znaczenia.

Dostojny Arcypasterz, wprowadzając ten zwyczaj w społeczeństwo polskie, w prześlicznych myślach przedstawia znaczenie wiary chrześciańskiej dla Polski a zwyczaju tego dla wiary. Myśli są tak piękne, że trudno wstrzymać się od pewnych przynajmniej przytoczeń. „Przed chrztem Mieczysława — czytamy — gromady, pokolenia, chociaż miały wspólnego księcia i język wspólny, tworzyły tylko luźną całość; kiedy zaś chórem poczęły wołać: Ojcze nasz,

który jesteś w niebie, poczuły się naprawdę rodzeństwem we wspólnym Ojcu niebieskim i Zbawicielu Jezusie Chrystusie. Wiara katolicka była magnesem mistycznym, który działki szczepów zgromadził dokoła siebie, złączył, skupił w chrześciańskie państwo, dla wspólnego wielkiego celu ziemskiego i wiecznego. Wdzięczny też Kościołowi naród za uszlachetnienie swoje, za kulturę i cnotę obywatelską, za wielkość swą polityczną i znaczenie wśród ludów chrześciańskich, nazwał się w szlachetnej swej dumie: Wiarą".

Przechodzi następnie dostojny Arcypasterz dalsze losy wiary w naszym narodzie, losy także smutne, w następstwie czego runęło państwo. I znowu myśl niezwykła: „Nadzieja cała, że w tym pogromie wiara ludu pozostała nietkniętą — widocznie chciała Opatrzność zachować w nim budulec na przyszłą, silniejszą ojczyznę".

Nie przeocza ks. Arcybiskup niepomyślnych dziś objawów dla religii i wśród ludu, owszem przedstawia je bardzo wymownie. Ale dlatego właśnie, po wielu innych doniosłych przedsięwzięciach, i po ten nowy środek sięga. Przeciw nazywaniu tego środka nowym zastrzega się, wskazuje na znaczenie obietnicy chrzestnej w całem chrześciaństwie, począwszy od pierwszych wieków. I tu znowu taki piękny ustęp: „Czytamy w Dziejach męczeńskich, że gdy wierni nie mogli zbliżyć się do braci, prowadzonych na śmierć i posilić ich wiatykiem, ani słowem Bożem, ukazywali im przynajmniej z daleka szatę białą, włożoną na nich wówczas, kiedy przy chrzcie świętym, Chrystusowi zaprzysięgali wierność. Widokiem tym dziwnie krzepiły się serca męczenników".

Prześlicznie kończy się ten list pasterski: „Patrycyusz lwowski — czytamy — lekarz Jan Abrek, umieścił w roku 1624 na wstępie swego testamentu te chlubne dla naszej stolicy słowa: urodziłem się tu w najbardziej katolickiej mej ojczyźnie Lwowie. Niczego ja, Najdroższi w Panu, bardziej nie pragnę jak, żebym umierając, mógł powiedzieć o mojej drogiej dyecezyi, że byłem pasterzem najbardziej katolickiego ludu... Oby każdy z nas w całej prawdzie zasłużył sobie w najszlachetniejszem znaczeniu na imię wiarusa i naród cały, jak za najlepszych swych czasów, zasłużył na miano: Wiary".

Ufać można, że nowy zwyczaj silnym będzie bodźcem i znaczną pomocą ku temu celowi. *Ks. J. Pawelski.*

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Sprawozdanie Wydziału Związku Stow. Zarobkowych. Lwów 1913. str. 15.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filozoficzny. T. LIII. Nakładem Akademii Umiejętności, czcionkami drukarni Jagiellońskiej, 1913. str. 780.

Daniło z Ostrowa. Duma o ruskim Bojarze. Napisał L. H. Morstin. nakładem i czcionkami Księg. Spółki wydawniczej. Kraków 1913, str. 32.

Das Österreichische historische Institut in Rom 1901 — 1913. Von Prof. Dr. Dengel, nakładem i czcionkami drukarni Herdera. Fryburg Wiedeń 1914, str. 98.

Materyały i prace Komisyi językowej Akad. Umiejętności w Krakowie. T. VI. Nakładem Akademii Umiejętności. Kraków 1913, str. 465.

Pod czerwonym Wirchem. Powieść przez Artura Gruszeckiego. Nakładem Gebethnera. Kraków str. 434.

Documents sur les atrocités greques. Napisał L. Miletitch. Sofia, str. 175.

Paryżanin. Napisał Skiba Wołody (Wł. Sobowski). Nakładem Gebethnera. Kraków 1913, str. 176.

Réponse à la brochure des professeurs des universites d'Athénes „Atrocites Bulgares en Macedonie. Sofia 1913, str. 129.

Fascimiles de certaines lettres trouvées dans le courrier du 19-me regiment de la VII-me division greque... Sofia 1913.

Dzwon — Krzyż Lampa. Napisał St. Gromnicki. Buczacz 1913, str.

Die Herrlichkeiten der göttlichen Gnade. Von dr. M. Scheeben. Nakładem i czcionkami drukarni Herdera. Fryburg 1913, str. 673.

Wywłaszczenie. Dramat górnośląski. Napisał Arios Nikodem. Nakładem Altenberga. Lwów str. 151.

W ogniu. 9 obrazków dram. Napisała M. Hubicka. Nakładem Altenberga. Lwów 1912, str. 179.

Korrespondencya 1815 — 1823. Napisał Jan Czubek. Nakładem Akademii Umiejętności, Kraków 1913 str. 500.

60 **Generalversamlung der Katholiken Deutschlands in Metz.** Metz 1913, str. 571.

Mój syn wstępuje do szkoły. Napisał W. Kosiakiewicz. Nakładem księgarni św. Wojciecha. Poznań 1914, str. 61.

Wykłady o katechizacyi. Napisała M. Brownsfordówna. Nakładem księgarni św. Wojciecha. Poznań 1914, str. 62.

Stare miasto. Nap. Biernacki Bolesław: Powieść historyczna, nakładem: Kroniki Rodz. Warszawa 1913, 12-o str. 262.

Nakładem Biblioteki Dzieł wyborowych. Warszawa.

„Listy z podróży" nap. Sierakowski hr. Adam, t. 4. in 16.

Nakładem Senatu Akademickiego, Lwów.

„Pamiętnik obchodu jub. w 250 rocznicę założenia Uniwersytetu we Lwowie“. nap. Hahn Dr. Wiktor str. II+158 in 8 .

Egzorty do młodzieży szkolnej. Napisał ks. M. Jeż, Poznań 1914, str. 231.

Kiry i Wawrzyny. Powieść przez St. Korabicza. Poznań 1914. t. I.str. 303, t. II. str. 330.

Trębacz na ratuszu. Ball. w 3 akt. Napisała Z. Zielewiczówna. Poznań 1914, str. 131.

Wstęp do dziejów nauki państwowej. Napisał Fr. Pollock. 1913. str. 180.

Rok Chrystusowy w sonetach. Napisała S. M. A. Nakładem i czcionkami księgarni i drukarni Z. Jelenia. Tarnów 1914. str. 414.

Luthers Lehre von der Ehe. Von Dr. Theol. S. Baranowski, nakładem księgarni H. Schöningha. Monaster 1913, str. 210.

Listopad. Dramat przez M. Mutermilcha. Nakładem Gebethnera; Warszawa, Kraków 1909. str. 104.

Jawa. Przyroda i sztuka — uwagi z podróży. Napisał M. Siedlecki. Nakładem J. Mortkowicza. Warszawa, Kraków 1913. str. 294.

Wykład Mszy świętej. Z angielskiego. Napisał ks. Wł. Hozakowski. Nakładem autora. Poznań 1914. str. 209.

Wina Kadory. Powieść Wielkopolska z I. dziesiątka w. XX. napisał Hr. Broel-Plater, nakł. autora. Poznań 1913. T. I. str. 365.

Na Golgotę, nap. C. W. Kalinka, nakł. Kroniki Rodzinnej. Warszawa 1914. str. 120.

Teosofia i Teosofowie współcześni, nap. Dr. Jasionowski, nakł. Kroniki Rodz. Warszawa 1914, str. 31.

Lew Tołstoj. nap. Janusz Jamontt, odczyt, nakł. Kroniki Rodz. Warszawa 1914, str. 50.

Unia Litwy z Polską 1385—1369, nap. Żerbiłło Łabuński. T. I. nakł. Kroniki Rodz. Warszawa 1914, str. 247 (8-o).

Nakładem Księgarni św. Wojciecha.

„Krótkie homilie i nauki“, t. 3. t. I. str. XI + 319; t. II. B90; t. III. 377 in 8 .

„Dombi i syn“ (pow.) nap. Dickens Karol, t. 3. t. I. str. 305; II. 276; III. 208. in 8 .

„Walka o życie“ (pow.) nap. Dickens Karol, str. XI + 123 ; in 16 .

„Świerszcz za kominem“ (pow.) nap. Dickens Karol, str. XX + 144 in 16 .

„Z ziemi św. (Wspomnienia i wrażenia) nap. Miś Wincenty Ks. Dr. in 16 str. 260.

„Gdzie Prawda? nap. Prawdomir, str. 263 in 16 .

„Oszczędność podstawą szczęścia narodu“ nap. Gunther ks. W. str. VI + 112 in 16 .

„Dwa spotkania“ (Skończone — dozwolili) (zbiór nowel.) nap. Żmijewska Szreniawa Eugenia str. IX + 143 in 16 .

„Tak jej widocznie było sądzone“ (kom.) str. 61 in 16 .

„Wenancyusz“ (dramat) nap. Carnot Maurus ks., str. 104 in 16 .

„Rozjemca“ nap. Bogusławska Marya. str. 28 in 16 .

„Po dwudziestu latach“ (szt. lud.) str. 55 in 16 .

„Córki Syonu“ (obr. scen.) nap. Tłoczyński A. ks., str. 27. in 16 .

„Sclavus saltans“ (obr. dram.) nap. Bogusławska Marya , str. 34 in 16 .

„Pan Chciwski, czyli skąpy zawsze dwa razy traci“ (kom.) str. 59 in 16 .

„Kto im łzy powróci?“ (obr. scen.) nap. Marya Bogusławska. str. 48 in 16 .

„Pogodzeni“ (kom.) str. 20 in 16 .

„Prządka pod krzyżem“ (baśń lud.) nap. Omańkowska F. str. 38 in 16 .

„Brzytwa swatem“ (obr. scen.) str. 24 in 16 .

„Fatalna kiełbasa“ (krotochwila) str. 16. in 16 .

„Rokiczana“ (obr. dram.) str. 38 in 16 .

„Zmartwychwstanie czyli nieboszczyk z urojenia“ (kom.) str. 36 in 16 .

„Napad bandytów czyli tym razem jeszcze mu uszło na sucho“ (krotochwila) str. 15 in 16

Miscelanea historyczne, Życie domowe mieszczaństwa warszawskiego w dawnych wiekach, nap. Kraushar Aleks. Warszawa str. 47 in 8-o.

Polskie Apostolstwo Litwy, nap. Ks. Propolanis Kazim. Wilno 1913, str. 198 in 8-o.

Disputationes cum Hussitis Jacobi de Leoviane, nap. Jeames Sedlak Dr. Brunae 1914, str. 24 in 8-o.

Agitazione Scismatica in Galizia, nap. X. Urban T. J. str. 32 in 12. Nakładem Civilta Cattolica Rzym 1914.

„Na wyżynach modlitwy“ (przekł. z francuskiego) nap. Bolo Henryk Ks. str. 192 in 16 .

Nakładem Akademii Umiejętności, Kraków.

„Historia critica scholiastarum et commentatorum Gregorii Nazianzeni“, nap. Sajdak Jan, str. 340 n 8 .

Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce t. XIV, Kraków, 1914.

Ankieta w kwestyi polsko-ruskiej.

Ważymy się na rozpisanie ankiety w kwestyi polsko-ruskiej. Krok ten poprzedziła niejedna godzina roztrząsań, niejedna rozmowa z przedstawicielami obydwu narodów.

Niewątpliwie, chwili równie sposobnej do takiej ankiety, nie było już dawno i może rychło nie będzie. Po takiem zbliżeniu, jakiem było uchwalenie reformy wyborczej, po wielu obustronnych oświadczeniach, z okazyi tej uchwały, jeżeli nie przyjacielskich, to również nie wrogich, nastała chwila względnej ciszy, jeżeli nie obiecującej, to przynajmniej nie wykluczającej możliwości jakiegoś wzajemnego zbliżenia. A nadto, zapominać nie trzeba, że chwila obecna jest wstępem do nowego stosunku obydwu narodów, stosunku opartego na nowym ustroju prawnym. Zostawić rzeczy ślepemu biegowi, kierować się tylko przemijającymi warunkami bieżącej chwili i doraźnych haseł partyjnych, a nie pomyśleć w tym stanie o zasadniczym kierunku, świadczyłoby nietylko obustronnie o zaniku głębszej idei, ale dowodziłoby także braku poczucia własnego, dobrze zrozumianego interesu.

Oczywiście łudzić się nie można i nie wolno, żeby jedna chwila wyczerpać potrafiła to morze, które się kwestyą polsko-ruską nazywa. Pomijając już dziedzictwo wieków, jakie cięży na obecnym biegu spraw, samo teraźniejsze położenie jest tego rodzaju, że uniknięcie wzajemnych ścierań się jest niemożliwe; żywiołowy rozwój budzącego się do pełniejszego życia jednego narodu styka się niejednokrotnie z historycznym stanem posiadania i z dążnościami rozwojowemi drugiego. Nikt, znający życie, wobec podobnych zawikłań, ani łudzić się ani rozczarowywać się nie będzie.

Poza tym jednak zakresem na którym nie ankiety, ale życie samo ścieżki wytyczać musi, istnieją zakresy inne, i to niejednokrotnie takie, gdzie najbardziej egoistyczny interes jednego narodu domaga się współdziałania drugiego narodu. Na polu ekonomicznem takiemi sprawami mogłyby być: osiągnięcie

większych wkładów rządowych, pewne strony emigracyi, sprawa wydobycia kraju z pod zależności od obcego przemysłu, uregulowanie kwestyi żydowskiej i wiele innych. Ileż momentów wspólnych dałoby się odkryć w innych zakresach, w zakresie kulturalno-cywilizacyjnym, w zakresie spraw religijnych. A nawet związki wspólne, płynące z historyi obu narodów, ze wspólnej tradycyi i krwi, które w skutek biegu dziejowych wypadków stały się tylko krwawymi i jątrzącymi ranę kajdanami, pod wpływem innych idei czyż nie mogłyby się stać złotem ogniwem? Szczere wyczucie takich wspólnych momentów, wskazanie na odpowiednie środki, sposoby urzeczywistnienia tych wskazań choćby w najszczuplejszych na razie granicach, wszystko to przyniosłoby niezawodnie walną pomoc tym dziedzinom, do których by się bezpośrednio odnosiło, a pośrednio przyczyniałoby się do powolnego zbliżania się obu narodów i łagodziłoby ostrze kwestyi tam, gdzie ostrze to jest nieuniknione.

Ujmujemy powyższy wywód w krótkie następujące pytania: Jakie, poza spornym terenem kwestyi polsko-ruskiej, istnieją sprawy dla obu narodów wspólne? Jakimi środkami możnaby współpracownictwo obustronne w tych sprawach urzeczywistnić?

Ankietę tę urządzamy, jako pismo katolickie, stojące ponad polityką. Sam charakter naszego pisma najlepiej świadczy, że nie plany polityczne kierują nami, ale głębsza troska o złagodzenie narodowej waśni, chęć pogłębienia zasady Chrystusowej w pożyciu dwu narodów.

W tym duchu kierujemy ankietę naszą do przedstawicieli obydwu narodów, z czego płynie, że toczyć się ona może w dwu językach: polskim i ruskim.

Termin do nadsyłania do naszej Redakcyi odpowiedzi, opatrzonych podpisem autora, kończy się z dniem 1 czerwca (nowego stylu) bieżącego roku.

Wszystkie pisma polskie i ruskie uprzejmie prosimy o powtórzenie niniejszej odezwy.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.
Kraków, ul. Kopernika 26.

Zwiastuny nowej ery w kraju.

Zakotłowało w Galicyi. Na wiecznie ołowianym widnokręgu tego kraju, wiecznie spowitym w duszny opar pospolitości, zjawiają się dziś raz po razu jaskrawe błyskawice i nawalne burze.

Rozpoczęło się od wystąpienia Episkopatu z okazyi reformy wyborczej. Wystąpienie męskie, stanowcze, w obronie zasady chrześcijańskiej w życiu publicznem, stające w imię tej zasady przeciw nadużyciom władzy i stronnictw politycznych, zwłaszcza przeciw demoralizacyi ludu — wystąpienie takie nie mogło pozostać bez skutków. Był to grom, którego tylko donośnym echem są dalsze wstrząsające wypadki.

Pisaliśmy wówczas, że w błędzie są ci, którzy enuncyacyę Episkopatu oceniają tylko miarą politycznych względów. Te względy niewątpliwie w enuncyacyi tkwiły, pociągnęły też za sobą doniosłe polityczne skutki. Przedewszystkiem jednak tkwiła w tej enuucyacyi wielka apostolska gorliwość o zdrowie moralne narodu, o wydobycie społeczeństwa z bagna korupcyi i z zaniku wyższych pobudek, o przywrócenie wreszcie zasadzie chrześciańskiej tego znaczenia, bez którego życie publiczne przestaje mieć sens.

Ta siła moralna, idąca z tej enuncyacyi w sumienie społeczeństwa, zaważyła na biegu dalszych wypadków. Bez niej, mimo znajomości różnorodnych pobudek i sprężyn, nie można wystarczająco psychologii tych wypadków wytłómaczyć.

Te dalsze wypadki skupiają się przeważnie koło osoby dotychczasowego trybuna ludu, Stapińskiego. Jedno nazwisko,

ale nazwisko to było sygnaturą całej sytuacyi kraju. Sprawa ludowa, z jakiejkolwiek brałoby się ją strony, społecznej, politycznej, czy narodowej, jest ośrodkiem obecnego życia publicznego Galicyi. Wszystkie polskie stosunki i wpływy w sejmie i parlamencie, we Wiedniu i Lwowie, w Galicyi i Austryi, o tę sprawę zahaczać muszą i od niej mniej lub więcej są zależne. Nie jako jednostka, ale jako symbol ludowej sprawy stał się Stapiński tem czem był. Ze swej strony dodał tylko to, co stało się jego tragedyą.

Potęgę tej sytuacyi Stapiński zrozumiał odrazu i stał się jej panem. Z przed nóg jego usunęły się wszystkie przeszkody, w ręku jego skupiały się coraz liczniejsze wpływy. Przez szereg lat chadzał w gloryi jawnego trybuna ludu i tajnego dyktatora kraju. Siła jego była tak wielką, że wtedy nawet, gdy pod orędziem Episkopatu runął namiestnik i rozwiązany był sejm, Stapiński, choć orędzie w niego najsilniej godziło, pozostał na widowni nietknięty. Konserwatyści poświęcili orędziu wszystko, sojuszu jednak ze Stapińskim poświęcić nie chcieli. Działała dotychczas siła polityczna orędzia, nie zaczęła jeszcze działać siła moralna.

Nagle zaczęły nadbiegać jedna po drugiej wieści, że w stronnictwie Stapińskiego zaczęła się rewolucya. Wkrótce przyszła wiadomość, że Stapiński złożony został z godności wiceprezesa Koła, potem z prezesury Klubu w parlamencie, następnie z prezesury Klubu w sejmie. Zaszły wreszcie wypadki, po których odebrano mu prezesurę całego stronnictwa i z Klubu stronnictwa, a temsamem i z Koła polskiego, wyrzucono. Potentata, z którym jeszcze miesiąc temu liczyli się wszyscy, wyrzucono ze swej społeczności jako shańbionego korupcyonistę,

Jeżeli się pomyśli, że w całej tej sprawie wzięło udział nie kilka osób ale cały szereg ludzi, że zatem jakaś animozya lub interes jednostki nie mogły być jedynym czynnikiem, jeżeli nadto się doda, że to wszystko stało się w Galicyi, gdzie korupcya przestała niemal sprawiać wrażenie występku, to cały ten powszechny zwrot opinii, choćby się przypuściło rozmait

wpływy, bez wyższej moralnej siły wytłómaczyć się nie da. Powiał od orędzia duch i obudziło się sumienie społeczne.

Jakkolwiek się te sprawy mają, rewelacye rzeszowskie, które w ciągu tych wypadków były punktem kulminacyjnym, stały się w życiu Galicyi datą.

Stały się najpierw datą, jako sąd nad dotychczasowym moralnym stanem kraju. Przed oczyma zdumionego społeczeństwa otwarła się przepaść występków, popełnianych w życiu publicznem przez ludzi, którzy temu życiu nadawali ton. Dawni towarzysze klubu Stapińskiego, jeden po drugim, wyliczali mu przed licznem zgromadzeniem, z cyframi dokładnemi w ręku, całe szeregi korupcyj. Łapówki, ohydne sprzedawczykowstwa, szły w setki tysięcy. Między temi pieniądzmi były judaszowe srebrniki za sprzedane prawa ludu, tego ludu, który Stapińskiemu z całą ufnością losy swoje oddał.

Stapiński, przyparty do muru, do popełnionych występków się przyznał. Tensam człowiek, lat temu trzy, na kongresie ludowym w Tarnowie, mówił, zwrócony do ludu, następujące słowa: „Przysięgam Wam, że wszystkie moje myśli i uczynki poświęcę jednej idei: złączenia ludu polskiego w jedną potężną armię, celem wywalczenia dla niego lepszej przyszłości. Przysięgam Wam, że jak dotąd nie użyłem żadnej sposobności, celem wzbogacenia się, tak i nadal wszelkie korzyści będą mi dalekie. Przysięgam Wam, że daleki jestem od wszelkiej zależności i paktów a w pracy mojej kierować się będę jedynie względem na dobro ludu, jako przyszłości Polski". Jakżeż w tem zestawieniu brzmią, wyjąkane pod obuchem niezłomnych dowodów wyznania rzeszowskie? „Sprzedawałem Was i interesy stronnictwa, łączyłem się na Waszą szkodę z konserwatystami, sprzedawałem wasze prawa, walałem się w błocie i korupcyi, brałem pieniądze od rządu, od konserwatystów, brałem od Popperów i jeszcze od innych brałem"...!!

Oto pieczęć, jaką na polityce galicyjskiej wycisnęły rewelacye rzeszowskie, na wieczną rzeczy pamiątkę. Bieg wypadków był tak szybki, błyskawica sądów Opatrzności przyszła tak znienacka i w tak jaskrawem świetle ukazała ohydę

rzeczywistości, że wszelkie rozumowanie i komentarze stają się zbędną igraszką wyrazów. Prawda sama mówi bez słów.

Los Stapińskiego przestaje po Rzeszowie być faktem, mającym jakiekolwiek znaczenie dla ogółu. To, co z rzeszowskich wydarzeń, jako fakt ogólnego i doniosłego znaczenia, wypływa, to jest złamanie przewrotnych nałogów w tym kraju, zerwanie z korupcyą, ze systemem tylnych drzwi, z polityką brudnych dróg. Oto zwiastun nowej ery w Galicyi.

Zwiastowanie to zwraca się przedewszystkiem w kierunku stronnictwa konserwatywnego. Dziś, gdy przedstawiciel tego stronnictwa, pod wpływem wypadków rzeszowskich, złożył mandat, stronnictwo konserwatywne złożyło publiczny dowód, że sytuacyę ocenia taksamo, jak całe społeczeństwo, że wszystkie logiczne i praktyczne konsekwencye z tej sytuacyi wyciąga. Jeżeli zatem chodzi o sprawę taktu publicznege, to wymaganym formom stało się zadość. Inna rzecz, jeżeli chodzi o pomożenie prawdzie do odniesienia zupełnego tryumfu i o przyspieszenie całkowitego rozkwitu etyki w życiu publicznem. Tu potrzebaby publicznego manifestu, któryby jasno popełnione błędy jednostkowe potępił i stwierdził dosadnie, że zasady zachowawcze, jak miały być, tak będą zawsze oparte na etyce chrześcijańskiej. Innemu stronnictwu wolnoby nazwać podobne żądanie czczą pretensyą i zadowolić się zachowaniem formalności. Inaczej stoi sprawa ze stronnictwem konserwatywnem. Wysoki szacunek, jaki wszyscy życzliwi dlań żywią, wielka tradycya przeszłości, nieposzlakowana cześć wybitnych jego przedstawicieli, a przedewszystkiem głos pokrzywdzonych zasad, będących podwaliną stronnictwa,—wszystko to domaga się jasnego i pełnego zadośćuczynienia. Dopiero po takim akcie odetchnie społeczeństwo całą piersią i z większą ufnością rozpocznie w przyszłość spoglądać. Nie potrzebujemy uzasadniać, że sam dobrze pojęty interes stronnictwa podobnego kroku się domaga.

To jedno następstwo kryzysu, jaki się w Rzeszowie rozegrał. Drugie jest również doniosłe. Raz wreszcie w tym kraju zaczynamy mieć do czynienia ze sytuacyami jasnemi

i ze zdecydowanymi typami. Niejasność i połowiczność charakterów była zawsze w Galicyi taka, że, chyba jedyna kombinacya, by być równocześnie chrześcijaninem i żydem, była wykluczoną. Jak długo chodzi o jednostki prywatne, rzecz, choć nie przestaje być smutną, mniej jest jeszcze szkodliwą. Jeżeli jednak wchodzi w grę człowiek publiczny, skupiający około siebie szersze koła, jeżeli tem szerszem kołem jest cały lud polski, to szkoda publiczna staje się wprost nieobliczalną. Przez cały szereg lat lud ten pod kierownictwem Stapińskiego doświadczał na swojem przekonaniu i sumieniu wszystkie możliwe kombinacye wpływów. Kierunek wychowawczo-polityczny Stapińskiego stale amoralny i areligijny jednoczył się doskonale raz z afirmacyą religijności i prawowierności katolickiej, drugi raz z tendencyami antykatolickiemi, zależnie od chwili i potrzeby — taksamo, jak w pewnych wypadkach był ten kierunek wyłącznie chłopsko-klasowym, w innych także narodowym, lub raz radykalnym, nieraz gorzej niż socyalistycznym, kiedyindziej konserwatywnym. Jaki powstawał stąd chaos w głowie i sercu niewyrobionego ludu?

Dziś wreszcie nastaje tym kosztownym eksperymentom koniec. W obozie Stapińskiego nastąpił rozłam. Większość posłów tego stronnictwa, wyrzuciwszy Stapińskiego, zorganizowała się we właściwe stronnictwo ludowe, a choć nie było jeszcze czasu na stworzenie jasnego programu, to sama już idea przeciwieństwa ze Stapińskim daje jakieś gwarancye.

Za Stapińskim opowiedziało się tylko pięciu posłów. Ten drugi obóz pod przewodem Stapińskiego steruje już pełnymi żaglami ku socyalizmowi. Nie przeczymy, że istnieje dzisiaj niebezpieczeństwo zawleczenia na wieś zarazy socyalistycznej, od której dotychczas lud polski był wolny, żywić też można obawę, że walka tych dwu obozów odbije się zrazu wielką zawieruchą na wsi. Jakieś wyobrażenie o tem dają już czasopisma obu obozów. Ale też, z drugiej strony, istnieje uzasadniona nadzieja, że już raz jasny, zdecydowany, kierunek życia publicznego, oparty szczerze na chrześcijańskiej zasadzie, roztoczy opiekuńcze swoje skrzydła nad polską wsią.

Stapiński, jako radykał i zwolennik socyalizmu, grasować będzie czas jakiś w oddanych sobie powiatach, nie jest bezpodstawnem jednak przypuszczenie, że zda sobie wkrótce sprawę z tego, iż działaniem swojem jest tylko bodźcem, podniecającym wszystkie żywioły ładu do skutecznej samoobrony.

Jeżeli już mowa o znaczeniu wypadków rzeszowskich, jako takich to na koniec jeszcze jedna uwaga. Wątpię, by był ktoś w Polsce, ktoby nie doznał bolesnego wzruszenia na wiadomość, że znalazła się część ludu polskiego, która, mimo druzgocących dowodów ohydnego przeniewierstwa Stapińskiego, stanęła jednak po jego stronie i dała mu dowód zaufania i oddania się, ośmieliła się natomiast potępić tych posłów ludowych, którzy tych dowodów dostarczyli i z najoczywistszą słusznością, tylko uzdrowienia stosunków społecznych pragnęli. Przypomniał się wtedy Szela, przypomniała się rabacya, przypomniał się ów nieszczęsny lud ślepy, który wskutek ciemnoty i niewyrobienia moralnego dał się użyć za narzędzie potwornej zbrodni. Chłop z rabacyi i chłop ze zgromadzenia rzeszowskiego to jedna i tasama kategorya; w sali rzeszowskiej oglądał Stapiński najdojrzalszy owoc swojej pracy nad ludem. Ale przy tej sposobności jawi się i promień jasny, zwiastun nowej ery w kraju. Przecież większość posłów chłopskich rzuciła na Stapińskiego wyrok taki, jaki jeszcze nigdy nie padł na przeniewierców w tym kraju, a w ślad za przykładem tych posłów poszły niezliczone gromady ludu. W całej tej sprawie nikt właściwie inny, jeno lud, był mścicielem występku. Więc tylko część ludu, ta część najbliższa i najbardziej przystępna wpływom Stapińskiego, kontynuuje ponure tradycye rabacyi — reszta, to już siła wyzwolona. Raz wreszcie zjawił się na wsi ten czynnik, który tworzyć zaczyna zdrową opinię ludu.

Oto zwiastuny nowej ery. Era, zapoczątkowana orędziem Episkopatu, przyniosła dotychczas tylko dodatnie wyniki.

Ks. J. Pawelski.

Z dawnych dziejów.

Messeńczycy, wedle zdania Greków, bitniejsi byli od Spartan. Ale po drugiej wojnie messeńskiej ulegli ostatecznie ich liczebnej przewadze. Na nic nie przydało się bohaterstwo Arystomenesa, na nic zwycięstwo odnoszone przed przybyciem Tyrteusza do Lakonii, na nic morze przelanej krwi. Zwyciężonym zagroziła niewola, ziemi zabór.

Lecz dola spartańskich helotów była zbyt straszna, by się mógł zgodzić na nią dzielny i wolny naród, więc mieszkańcy Messyny, Menote, Pylos i innych miast nieszczęsnej krainy, zabrawszy żony i dzieci, siedli na statki i nie oparli się aż w Sycylji, w mieście Zankle, które jeszcze przedtem zajął ich rodak Anaxilos. Była to drobna dotychczas kolonia, ale położona wybornie, nad zatoczonem w półksiężyc wybrzeżem, które tworzyło głęboką i zaciszną morską ostoję. Jednakże pierwsze pokolenie wychodźców dużo zaznało biedy. Miasto było zbyt ciasne, a okolica nie mogła mieszkańców wyżywić. Brakło im dachu nad głową, brakło chleba, brakło oliwy. Niektórym tęknota za utraconą ojczyzną wyssała siły i życie. Natomiast znacznie lżej było już ich dzieciom, a wnukom wiodło się wcale niezgorzej. Zankle przybrało z czasem zupełnie odmienną postać. Ludność wzrosła dziesięciokrotnie; miasto zabudowało się szeroko wzdłuż wybrzeża. Wyrastały rok rocznie okazalsze domy, a nim upłynęło lat pięćdziesiąt, wspaniałe gmachy, otaczające agora, poczęły budzić podziw przybyszów z Syrakuz z Panormu i z Agrygentu, którzy w sprawach kupieckich lub przez ciekawość odwiedzali nową osadę. Ocembrowano wybrzeże i pogłębiono zatokę. Okręty greckie i z greckich osad azya-

tyckich, okręty z Tyru, Sydonu i z Kartaginy poczęły zapełniać bezpieczną przystań. Las masztów przesłaniał mieszkańcom błękitną roztocz morską. Zakwitnął handel i przemysł. Zankle przezwano Messyną. Bitna luduość odparła kilkakrotne napady syrakuzańskich tyranow i chciwych a okrutnych Kartagińczyków. Dla osłony miasta zbudowano na cyplu twierdzę, która broniła wejścia do przystani. Przyszło bogactwo, przyszedł spokój i życie powszechne poczęło bić równem a potężnem tętnem.

Zaś z biegiem lat zakwitły i nauki. Lekarze messyńscy zasłynęli w całej Sycylji i osiadali częstokroć w obcych nawet miastach, w których ludność witała ich z radością i tłumnie szukała ich porady. Do syrakuzańskich kamieniołomów wzywano inżynierów i górników z Messyny, opłacając na wagę złota ich trudy. Budowniczych wyrywały sobie liczne grody w osadach greckich, leżących na południu Italii. Rolnictwo rozkwitło tak, że oliwy i pszenicy messyńskiej poszukiwano na wszystkich targach Wielkiej Grecyi. Statki kupców messyńskich krążyły od Słupów Herkulesa aż do Archipelagu i azyatyckich wybrzeży. Bogactwo rosło z każdym rokiem.

A za bogactwem przyszła i moc. Kilka tysięcy peltastów i hoplitów strzegło miasta i kraju, sto galer przystani. Sparta, która niegdyś skrzywdziła bez miary ten lud, zaniepokoiła się jego potęgą i wysłała tajnych posłow do Sycylii, aby ci naocznie przekonali się, czy flota i falangi messyńskie mogą być groźne dla Lakonii.

Lecz gdy posłowie wrócili, gdy zdali sprawę z wielkości miasta, z jego bogactw, z zysków, które tam zewsząd napływają, z dostatku i wygód, w jakich żyją mieszkańcy, uspokoili się starce z geruzyi i rzuciwszy troskę z serca, mówili do siebie wzajem :

— Zaiste, zbyt im tam dobrze, aby nie mieli zapomnieć o dawnej ojczyźnie.

Ale mylili się starce z geruzji, wspomnienia bowiem dawnej ojczyzny ani na chwilę nie zatarły się w duszach Messeńczykow. Nie zasypało tych wspomnień złoto, ni zniweczyły zyski kupców, ni zarobki lekarzy, inżynierów i budowniczych. Pokolenie przekazywało pokoleniu miłość i tęsknotę By zaś myśl nie odwracała sią ani na chwilę od krainy,

w której leżały prochy ojców i aby miłość dla niej była tak trwałą, jak bronz i kamień, weszło wygnańcom w zwyczaj ryć na architrawach świątyń, na przyczółkach gmachów publicznych, na utwierdzeniach, następujące słowa:

„Pamiętajcie o starej ziemi".

I pamiętali. Pamiętali nawet wówczas, gdy w zmiennej losów kolei przyszły nieszczęścia, gdy Ateńczycy opanowali na krótko osadę i gdy Himilkon Kartagińczyk zburzył gród prawie do szczętu. Ludziom wydawało się, że niema już Messyny, ale zapomnieli, że są Messeńczycy, którzy błądząc wśród zgliszcz i gruzów, czytali na złomach świątyń i zwaliskach gmachów słowa, które najgłębiej wyryte były w ich sercach:

„Pamiętajcie o starej ziemi".

Więc pamięć przetrwała niedolę. Lata poczęły płynąć. Odbudowało się z sąsiedzką pomocą miasto. Przystań zaroiła się znów od masztów. Rozbłysły w powietrznych błękitach i w słońcu marmury nowo wzniesionych świątyń i pałaców. Wracała zwolna dawna pomyślność.

Ale oto, pewnego dnia „ wieścionośna Ossa " przyleciała przez morze z Hellady i jęła głosić w Messynie, że Teby porwały się do śmiertelnego boju z tą Spartą, która niegdyś podbiła Messenję, a której stopa zaciężyła kamieniem po wojnie peloponeskiej na piersiach wszystkich Greków. Imiona Epaminondasa i Pelopidasa rozegrzmiały od północnych granic Tessalii i Epiru do skalistych krańców Peloponezu i od wybrzeży Azyi aż do Słupów Heraklesa. Za Tebami powstały inne miasta helleńskie, Grecya zerwała pęta.

I wieść biegła za wieścią, a każda do gromu podobna. Leuktra!... Mantinea! Niezwyciężona dotychczas Sparta pobita, wojska jej rozprószone, siła na zawsze złamana, wyludniona Lakonja, opuszczone przyległe, niegdyś zagarnięte krainy!...

W Messynie rozgorzały serca i głowy. Tłumy ludu rozkołysały się, jak fale morskie i jak fala, zalewały agora i wybrzeża, wyglądając gońców z Peloponezu. Na rynkach i ulicach przed świątyniami i areopagiem, w przystani i w ogrodach miejskich rozbrzmiewały pieśni na cześć Arystomenesa, na cześć dawnych bojów i dawnej ojczyzny.

Aż wreszcie przybyli gońce z najnowszą wieścią, iż Spar-

tanie, broniąc ostatkiem sił Lakonii, opuścili starą Messenię, i że cała kraina zmieniła się w napół bezludną pustynię.

Wówczas lud zebrał się na wielki wiec, archontowie zaś zwołali radę, złożoną ze starców i znakomitych obywateli.

A w miesiąc później, większe i mniejsze statki pokryły tysiącami morze i, zwróciwszy dzióby ku wschodowi, wyciągnęły się w jeden nieskończony łańcuch na cichych rozpływach Jońskiego morza. Na statkach widać było prawie całą ludność Messyny. Mieszkańcy kwitnącej osady porzucili sklepy, zyskowne prace, wielkie zarobki i wracali do opuszczonej przed wiekami ojczyzny, do Messyny, do Pylos, do Menote, do dawnych siedzib, do wiosek, ukrytych w górskich dolinach, do pastwisk na połoninach Tajgetu, do dawnych cmentarzy, do prochów ojców.

Wracali do krainy mniej żyznej, na jałowe pola, na nowe wysiłki, na nowe trudy w niedostatku i ubóstwie, ale wracali tam, skąd nigdy nie oddalały się ich serca.

To też, gdy po długiej żegludze wylądowali wreszcie w przystaniach peloponeskich, padli na twarze i, obejmując ramionami starą ziemię, wołali ze łzami, jak dzieci, które po długiej rozłące obejmują matkę kochaną:

— Ziemio Rodzicielko, nie zapomnieliśmy o Tobie!

*

Tak to przed wiekami kochali Messeńczycy swoją pierwotną ojczyznę.

Henryk Sienkiewicz

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
ANKIETA PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO	1*—2*
HASŁA ETYCZNO-RELIGIJNE MONIZMU. Przez *ks. F. Klimkego T. J.*	1
METODY W PRACY SPOŁECZNEJ. (Dok.) Przez *ks. M. Kuznowicza T. J.*	14 211
POGŁOSY MŁODEJ POLSKI W DRAMACIE, POWIEŚCI I KRYTYCE LITERACKIEJ. Przez *Antoniego Mazanowskiego*	28 195
WUJEK W ŚWIETLE NOWO ODKRYTEJ KORESPONDENCYI. (Dok.). Przez *ks. J. Sygańskiego T. J.* . . .	48 229
Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe". NAD JORDANEM. Przez *Maryę Czeską*	64
POCZĄTEK ŻYCIA NA ZIEMI. Przez *ks. Feliksa Hortyńskiego T. J.*	76 250 399
W SPRAWIE NAUKI HISTORYI W NASZYCH SZKOŁACH ŚREDNICH. Przez *Dra K. Krotoskiego.*	165 343
O CZŁOWIEKU NA ZIEMIACH POLSKICH. Przez *J. Talko-Hryncewicza.*	179 354
WYODRĘBNIENIE GALICYYI. Przez *W. Czerkawskiego* .	321
STEFAN II. BISKUP LUBUSKI 1316 — 1345 (Szkic historyczny). Przez *Ks. M. Skibniewskiego T. J.* . .	368
Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe" DWIE POTĘGI. Przez *Maryę Czeską*	399

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

SOCYOLOGIA. Leopold Caro. (*W. Gostomski*).	96
POCZĄTKI HIERARHII KOŚCIELNEJ Ks. Dr. K. Sieniatycki. (*K. Ranoszek*). . .	99
DZIEJE KOŚCIOŁA POLSKIEGO. Ks. Kamil Kantak (*Ks. K. Konopka*). . . .	101
JENERAŁ ZAMOYSKI 1803—1863. (*Dr, K. Krotoski*).	103
CZASOPIŚMIENNICTWO POLSKIE WIEKU XIX W KRÓLESTWIE NA LITWIE I RUSI ORAZ NA EMIGRACYI. Jan Kucharzewski. (*Dr. Stanisław Zdziarski*) . .	109

Strona

Mowy żałobne z dodatkiem kilku innych mów kościelnych i dwóch okólników. Ks. Józef Kłos. *(B. Macewicz)*. 268
Prawne środki w procesie kanonicznym. Ks. Dr. Ignacy Grabowski. *(Dr. Ch.)*. 271
Konstantyn Wielki Ks. Arkadyusz Lisiecki *(Z.)* 276
początki parafii polskich — sądy synodane — rozwój i ustrój kapituł polskich w wiekach średnich Dr. St. Zachorowski. *(Dr. Abdon Kłodziński.)*. 413

Z piśmiennictw obcych.

Opere Storiche del P. Matteo Ricci S. J. P. Pietro Tacchi Venzuri S. J. *(Ch.)*. 116
Z literatury francuskiej (Dok.). *(T. Wodzicka)* 117
La grande pitié de Eglises des France. Maurice Barrès. *(Helena Skolimowska)*. 277
Luthers Lehre von der Ehe. Dr. Theol. Siegmund Baranowski. *(Ch.)*. . 282
Biografia della serva di Dio Gemma Galgani vergine lucchese P. Germano di S. Stanislao Passionista *(St. M.)* 285
Lettere ed Estasi della serva di Dio Gemma Galgani *(St. M.)* . . .
Sternkundu u Sterndienst in babel Franc. X. Kugler (S. J.) *Dr. M. Michalski*. 435

Zapiski bibliograficzne.

Prądy słowianofilskie wśród Emigracyi wielkiej. (1830—1863). Edmund Kołodziejczyk *(H. K.)* 123
Lirnik Najśw. Panienki *(A. P.)*. 124
joseph Graf zu Stolberg-Westheim 1804—1859. Otto Pfülf S. J. *(R. M.)* 124
Rybałt Piotr Maszyński. *(R. M.)* 124
Unsere Lebensideale umd die Kultur def Gegenwart P. Joh. Chrysostomus Schulte O. M. C. *(R. M.)*. 124
Skarga, chwała narodu polskiego Feliks Gątkiewicz. 124
Piotr Skaga. H. Rzepecka 124
Ks. Piotr Skarga. Ludwika Życka 124
Piotr Skarga Pawęski. Julian Baczyński. 125
Skarga, ewangelista polski. Ks. Andrzej Macko. 125
Piotr Skarga. Jan Bełcikowski 125
Duch skargi. Roman Borelowski. *(J. K.)*. 125
Moje wsp omnienia Ks. Adolf Bakanowski. *(H. K.)*. 126
Wiązanka Majowa na cześć Matki Bożej. Zofia Hartingh. *(J. Chłapowski)*. 126
Lehrbuch der Fundamentaltheologie oder Apologetik. Dr. Franz Hettinger *(R.)*. 127
Unsere liebe Frau. Moritz Meschler. *(H.)*. 127
Saint Casimir. J. Leliwa de Józefowicz *(St. M.)* 127
Mehr Liebe D. Benedicta von Spiegel O. S. B. *(S. M.)*. 128
Handbuch der Katholischen Liturgik. Thalhofer-Eisenhofer *(Z.)*. . . . 128
Bibliotheca Apocrypha Dr. Stephanus Szekeley. *(R. K.)* 129
In illo tempore... Michał Rolle. *(H. K.)* 129
W płonącej moskwie J. Majcher *(H. K.)*. 129
Konferencye. O. Lacordaire 287
Słowo o królu Warneńczyku. Ignacy Kozielewski. *(J. K.)*. 287
Passionsbüchlein. Alban Stolz. *(St. M.)*. 288
Polska — ludzie i czyny — przyjaciele i wrogowie *(F. B.)*. 288
Sprawy i rzeczy ukraińskie. Fr. Rawita Gawroński. *(F. B.)*. 288

Strona

Unsere Lebensideale und die Kultur der Gegenwart. P. Joh. Chryzostomus Schulte O. M. C. *(J. Pł.)*. 289
Lourdes im Lichte der Warheit. Alois Schweykart. *(Ch.)*. 289
»Aleksander I.«. Dymitr Mereżkowski. *(G.)*. 290
»Die Mission auf der Kanzel und im Verein« A. Huonder S. J. *(Ks. F. Schmidt T. J.)*. 291
Dzieje i ustrój polityczny monarchii austryacko-węgierskiej Dr. Jan Leniek. *(K.)*. 290
Dzieje Polski ilustrowane. Julian Baczyński. *(F. B.)*. 291
Rok Chrystusowy. *(J. Pł.)* 291
Kwintusa Horacego Flakkusa ody. Wincenty S. Ogrodziński. *(J. Pł.)*. . 291
Listy Augusta Bielowskiego do Walentego Chłędowskiego. Bronisław Czarnik. *(L. K.)*. 292
Stulecie Gazety Lwowskiej. Redakcya Gazety Lwowskiej. *(L. K.)*. . . 292
Ziemia Polska w Pieśni. Jan Lorentowicz. *(J. Pł.)*. 292
Monumenta ecclesiaslica petropolitana. Dr. Michael Godlewski. *(J. U.)* 445
Journal et correspondance de stanislas siestrzeńcewicz — bohusz, premier archevêque — mètropolitain de mohilew. Mgr. Michael Godlewski — W. Kriksine. *(J. U.)* 445
Dr. Jos. Tumpach a Dr. Ant. Podlaka: Dějiny a bibliografie české katolické literatury naboženské. *(L.)* 445
Dr. Alois Soldát: nastin zakladuv a vseobecnych zasad spolecensko-hospodarskych. *(L.)* 445
Institutiones iuris ecclesiastici, quas in usum Scholarum scripsit Josephus Laurentius S. J. *(Dr. Ch.)* 446
Fr. X. kugler s. j. *Im Bannkreis Babels.* Panbabylonistische Konstructionen u. religionsgeschichtliche Tatsachen. *(F. B.)* 446
Das österreichische historische institut in rom 1901—1913 Festgabe *Ludwig v. Pastor von Dr. Philipp Dengel* dargebracht. *(F. B.)* . . 447
Mój syn wstępuje do szkoły. *W. Kosiakiewicz.* Kilka rad dla młodzieży, *(F. B.)*
Ossyan w polsce na tle genezy romantycznego ruchu. *Dr. M. Szyjkowski. (F. K.)* . . . . . .
Wpływ biblii na zygmunta krasińskiego. Józef Andrzej Teslar. *(J. K.)*
Bocvusz a kochanowski. *Ks. Izydor Richter. (J. K.)* . . . . . .
Katedra historyi literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim (1826—1904). *Dr. Wiktor Hahn. (J. K.)* . . . . . .
W przededniu odrodzenia literatury polskiej (1706—1779) wacław rzewuski. *Alfred Brodnicki (J. K.)*. . . . . .
Epos szlacheckie kazimierza brodzińskiego. *Dr. Aleksander Łucki. (J. K.)*
Pod miechowem. Obraz z powstania 1863 r. *Ks. Józef Jędrys. (A. P.)*
Męczennicy kartagińscy, (obr. scen. w 5 aktach). *(Ks. Józef Jędrys. (A. P.)*
Ojcowizna. *(Jan Gall. (A. P.)* 445

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Skandaliczne zajście w kościele w Berlinie. — Przedewszystkiem katolicy. Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.* 130
Listy z warszawy. Bankructwo Maryawitów. — Antysemityzm Niemojowskiego. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 145
Towarzystwa naukowe literackie w r. ub. (Dokończenie. Przez *Dra St. Zdziarskiego* 151
W sprawie artykułu o edykcie medyolańskim. Przez *Prof. Dr. Władysława Abrahama* 162

Strona.

MAJ.

Sprawy Kościoła: Maryawityzm i jego ostateczne oparcie. — Katolicy Irlandcy i Home Rule. — Stanowisko katolickich Unionistów w sprawie Home Rulu. — Organizacya Ancient Order of Hibernians. Przez *ks. I. Rudnickiego T. J.* 293
Regulacya rzek w Galicyi. Przez *X. X.* 303
Towarzystwa naukowe i literackie w r. ub. (Dokończenie). Przez *Dra Stanisława Zdziarskiego* 309
Jeszcze w sprawie artykułu o edykcie medyolańskim. *X. Arkadyusz Lisiecki. — Prof. Dr. Władysław Abraham — Redakcya.* 317

CZERWIEC.

Sprawy kościoła: Radykalna demokracya we Lwowie. — Postulat »wolnej szkoły« i niejasne stanowisko nauczycielstwa. — Wybory we Francyi. — Reforma szkolna w Belgii 451
Nasze kościoły 463
Odnowienie fary poznańskiej 464